~~TOLERANCJA WYBÓR WOLNOŚĆ~~

POLITYKA MEDIA WŁADZA

# PIĘKNE ZWIERZĘTA

RAFAŁ CICHOWSKI

Rafał Cichowski

**PIĘKNE ZWIERZĘTA**

2022 | RCY.PL

Na świecie istnieją tylko dwie osoby – ja i ty. W twoich żyłach płynie światło, każde uderzenie serca to wybuch bomby atomowej. Na świecie istnieją tylko dwie osoby, więc nie zawiedź mnie. Nie nudź mnie. To miejsce jest twoim placem zabaw. Chcę patrzeć jak obrastasz w dni, jak brodzisz przez lata krokiem ciężkim od chwil i słów, złamany i polepiony w całość wspomnieniami zasychającymi niczym krew. Jak wyjesz, jak tarzasz się, unosisz i znów padasz w piach, jak kąpiesz się w hałasie i lśnisz blaskiem, który nosisz pod skórą. Wszystkie gwiazdy świecą dla ciebie. Wszystkie melodie ułożono specjalnie dla ciebie. Każdy żyje dla ciebie i wszechświat został stworzony dla ciebie. Podnieś się i połknij słońce. Otwórz oczy i zaciśnij zęby. Zjedz ból. Zabij głód. Przerośnij swoje sny. Na świecie istnieją tylko dwie osoby – ty i ja. Klepsydra leżała na boku. Teraz wstawaj!

Część pierwsza

## BÓG W BURDELU

Poseł Sierpiński zabił inwalidę na pasach. Każdy nagłówek krzyczał czerwienią i śmiercią odmienioną przez przypadki. W każdym z nich widniało nazwisko znane już teraz wszystkim. Czasem sześć słów wystarczy, by wyrobić sobie zdanie o człowieku. Być może w treściach artykułów walały się zagrzebane sprostowania clickbaitów, szczegółowe opisy przebiegu wydarzeń (o okolicznościach łagodzących, póki co, nie było co marzyć), ale okienka z informacją o polityce ciasteczek nie pozwalały ich teraz dostrzec. Ważne, że oczy i algorytmy wychwytywały najważniejsze słowa kluczowe. Sierpiński, poseł, wypadek, inwalida, śmierć na miejscu. Puste przestrzenie w ciągu przyczynowo skutkowym wypełniają się automatycznie. Nasze zmysły oszukują nas nieustannie dopisując to, czego nie jesteśmy w stanie zauważyć, poczuć i zrozumieć. Bez skrótów i uproszczeń pochłonąłby nas hałas świata. To nasz mechanizm obronny. Mamy to we krwi.

Pożar nie zdążył rozprzestrzenić się na dobre, a Internet eksplodował po raz drugi jeszcze tego samego wieczoru, gdy niezidentyfikowana ofiara zamieniła się w Romualda Zakrzewskiego, profesora literaturoznawstwa, poetę, aktywistę na rzecz osób niepełnosprawnych i LGBT. Wśród przyjaciół znany jako Romek, a post mortem zwykle każdy ma więcej przyjaciół niż za życia. Gej. Inwalida. Nauczyciel. Teraz trup rozjechany na pasach przez rządową limuzynę. Mogło być lepiej jedynie gdyby o maskę auta roztrzaskała się skroń ciężarnej, niepełnosprawnej zakonnicy noszącej nieślubne dziecko prezydenta, ale kumulacja niefartu w tym przypadku i tak wzniosła się wysoko ponad standard ogórkowego zwykle początku lipca. Nawet BMW było czarne.

Słyszeliście? Polityk zabił pedała. Ludzie gdyby mogli

wydestylowaliby esencję tych słów i wstrzyknęli ją sobie prosto w żyłę. Skruszyli w pył tę historię i natarli nią dziąsła. Już następnego dnia na plaży w Łebie z pofalowanej wilgocią okładki Faktu łypały rozbite ślepia czarnego auta. Super Ekspres czytany w kolejce na Kasprowy miał lepszą jedynkę bo tam, oprócz przekoszonego grilla limuzyny w dole kadru zmieściło się jeszcze koło wózka inwalidzkiego, którego groteskowo zdeformowany kształt dopowiadał historię tego, czego oficjalnie pokazać na okładce brukowca nie było wolno. Oczywiście, po sieci hulały zdjęcia trupa wystającego spod tylnego koła beemki, wyglądającego niczym kukła wyrwana z butów i odarta z ubrań (dwie tony rozpędzone do autostradowej prędkości naprawdę ciężko zatrzymać), a nim weekend się skończył na jednym z portali dostępnych za paywallem wypłynął film przedstawiający moment, w którym doszło do tragedii. Zbyt ciemny i zaszumiony, by można było uznać go za materiał dowodowy. Ale paliwa, które dowiózł wystarczyło, by historia zaliczyła kolejne okrążenie.

Przez pierwsze 48 godzin po wypadku Sierpiński pozostawał pod ścisłą obserwacją lekarzy. Gdy w hallu na parterze rzecznik Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA z profesjonalną powściągliwością podkreślał jak wielkim przeżyciem (dobór słów nieprzypadkowy, no bo wciąż przecież żył i trwał i musiał sobie z tym wszystkim jakoś poradzić) były dla polityka wydarzenia z feralnego piątku, pięć pięter wyżej poseł Kazimierz Sierpiński (49) z czołem lśniącym od potu i tyłkiem przyklejonym do deski klozetowej podsumowywał swoje dotychczasowe osiągnięcia.

Gdziekolwiek poszedł, zawsze nosił ze sobą tę zdartą taśmę ze składanką najlepszych momentów swojej równie błyskotliwej, co dynamicznej kariery, gotową, by odtwarzać ją na pętli w chwilach zwątpienia. Przyglądał się sobie z trzeciej osoby, widział siebie takim, jakim oglądano go na ekranach – uśmiechniętym, nienagannie ubranym gdy dawał się sfotografować w towarzystwie premiera i prezydenta podczas obchodów Święta Flagi w Ożarowie Mazowieckim. Przyćmiewał ich w tym swoim garniturze Kiton, nad którym czterdziestu pięciu krojczych i krawców pracowało przez

dwadzieścia pięć godzin i ani jednej minuty dłużej. Wyglądał zagranicznie, z profilu jak Kennedy – myślał z dumą jednocześnie ukłuty świadomością, że nad wszystkimi jego porównaniami od pewnego czasu unosił się cierpki swąd tragedii.

Potrząsnął głową, a taśma przewinęła wieczór wyborczy, sypiące się z sufitu konfetti i światło fleszy ślizgające się po krawędziach kieliszków, przeskoczyła ponad wystąpieniami na posiedzeniach sejmu, gdzie z mównicy wielokrotnie punktował opozycję rzeczowo, precyzyjnie, nigdy nie popadając w ironiczny ton (kiedyś marzył o tym, by zostać neurochirurgiem, otwierać głowy dosłownie, nie tylko ideami, nigdy nie trzęsły mu się ręce), ponad brawami i uściskami przypadkowych przechodniów na gdańskiej starówce na ostatniej prostej kampanii i tym jednym dziadkiem, który podszedł i objął go znienacka mówiąc ciepłym, wzruszonym głosem: „ja w pana wierzę, bo widzę, że panu jeszcze zależy" (powtórka na ustawce wyszła już mniej przekonywująco, cały później śmierdział starością), ponad ogłoszeniem programu partii Nowy Początek, którą stworzył i na czele której stanął, prosto do dnia, w którym pojawił się protestować pod kancelarią premiera Nowaka, a splot nieoczekiwanych wydarzeń dał początek jego karierze politycznej.

Obraz zaczyna szumieć i falować, a spod spodu przebija się twarz kobiety w ekstazie, pojedyncza scena z filmu porno, który skasował, by nagrać na nim kompilację swoich sukcesów. Dokładnych słów nie pamięta, było coś o prawicy, lewicy, ping-pongu i o tym, że Polska nie chce być ani lewa ani prawa tylko normalna (a później każdy sobie tę mityczną, nieuchwytną normalność zinterpretował jak mu/jej się żywnie podoba i przepchnął jego partię ponad próg wyborczy). Ale nazwiska Żanety Zięby, dziewczyny, która przystawiła mu obiektyw do głowy i uczyniła go sławnym nie zapomni nigdy.

Teraz myślał o kobietach. Myślał o zapachu rozgrzanej skóry i włosach, w które wsuwał swoje palce, o miękkich ustach, na których lądował bezpiecznie po całym dniu i wytracał prędkość, o dłoniach, długich palcach zakończonych amarantowymi, seledynowymi, byle nie obgryzionymi paznokciami, które sunęły w dół po jego brzuchu,

ledwie muskając ciało, a wnętrzności przeszywały jasne błyski. Amalgamat epizodów wyrwanych z kontekstu zawirował mu w głowie, do uszu huknął chór jęczących gardeł i poczuł, że musi otworzyć oczy, by nie osunąć się na ziemię. Sterylna biel szpitalnej toalety uderzyła go jeszcze mocniej. Ze skroni do ust spłynęła pojedyncza kropla potu. Zasmakował soli i odebrał to jako zaproszenie – natychmiast zalały go strumienie łez.

Sierpiński płakał rzadko – ostatni raz piętnaście lat temu na pogrzebie żony – ale gdy już to robił, nigdy sobie nie żałował. Nie był jednym z tych stoików, połykających żal z powietrzem i wydających z siebie na wpół stłumione szczeknięcia, nie zasłaniał twarzy rękoma, próbując wepchnąć emocje tam, skąd wylazły. On otwierał śluzy, odpalał syreny i wyjeżdżał w miasto. Więc wył, puszczał bańki nosem, trząsł się, tupał i pierdział wyłamując sobie palce, nie dbając o to czyich uszu może dosięgnąć kanonada odgłosów jego słabości. Gdyby nie usłyszał chlupnięcia pod swoim tyłkiem, nie poczuł jak odruchowo ściągnięta z palca obrączka uderza go w udo i daje nura pomiędzy nogami mógłby nigdy nie przestać.

Zerwał się na zdrętwiałe nogi i natychmiast upadł uderzając gołym tyłkiem w zimne kafelki. Podwinął mankiet przepoconej koszuli i walcząc z obrzydzeniem wepchnął dłoń w głąb kibla. Zmacał dno, pod palcami poczuł coś miękkiego i oślizgłego. Soki żołądkowe podpłynęły mu do ust wraz z gorzkim smakiem absolutnej klęski. Miał świadomość, że na sinusoidzie życia zalicza właśnie najniższy możliwy punkt. Cały tam zjechał, w tę mroczną i wilgotną otchłań obsraną gównem. Jak mogło do tego dojść, że wszyscy chcą go ukrzyżować – dywagował grzebiąc w toalecie. Przecież on nawet nie siedział za kierownicą.

Sierpiński splunął. Wcisnął rękę głębiej i wyciągnął obrączkę. Zaparł się o deskę i z najwyższym trudem wstał. Zrzucił z siebie koszulę, wyplątał stopy ze spodni. Gdyby miał zapalniczkę przy sobie podpaliłby te szmaty, wypaliłby to wspomnienie, całe ostatnie 48 godzin.

Wszedł pod prysznic i zalał głowę gorącą wodą. Od piątku nie spał. Praktycznie nic nie jadł. Stres wygasił wszystkie pragnienia, zamknął go w szklanej trumnie, w której leżał czujnie nasłuchując przytłumionego bełkotu dobiegającego z zewnątrz. Teraz, w strumieniu ciepła opływającym jego ciało poczuł, że rozpada się na kawałki. Zużył cały szampon i cały płyn do mycia. Zakręcił wodę. Wziął ręcznik i długo tarł czerwoną skórę podrażniając ją jeszcze bardziej, a później zawiązał go sobie wokół pasa i przeszedł na palcach pomiędzy rozrzuconymi ubraniami nie spoglądając w ich stronę ani razu. Zamarł z dłonią opartą o drzwi. Stąd możemy iść już tylko do góry – pomyślał i wszedł w chłód szpitalnej sali.

„Limuzyna posła Sierpińskiego potrąciła ze skutkiem śmiertelnym inwalidę na jednym z warszawskich skrzyżowań". Ten nagłówek był lepszy, ale wciąż daleki od ideału. Przede wszystkim zbyt długi. Miał dziwną składnię i zupełnie nie przypominał nagłówka, tylko jakieś obwieszczenie. Tydzień polski w Lidlu – w promocji śmierć i kaszanka. Był wtorek. Sierpiński siedział na zapleczu swojego biura poselskiego, które w porównaniu z lastrykowo-paździerzową fantasmagorią przedsionka dla interesantów pełnego tandety było urządzone ze standardem, do którego przywykł jako syn garmażeryjnego potentata, który w wieku 35 lat odziedziczył, a następnie spieniężył jego flaczane imperium. Ściany ozdabiały zrobione na zamówienie reprodukcje obrazów Ajwazowskiego i Gudina, sceny pełne czarnych fal łamiących maszty i spienionych grzbietów lśniących światłem księżyca zamrożonych na zawsze w morderczym tańcu. Nad głową dyndał kryształowy żyrandol. Pod stopami drewniane deski skrzypiały jak należy. Na powierzchni długiej dębowej ławy majaczyły szare odbitki miasta za oknem. W tej tchnącej arystokratyczną nostalgią przestrzeni przeznaczonej wyłącznie dla oczu beau monde Sierpiński zawierał sojusze, omawiał projekty ustaw i negocjował finansowanie dla swojej kampanii. Czasem zalegał tu do późnych godzin nocnych z butelką dwudziestoletniego Mortlacha i sączył go z ciętego kryształu

wyobrażając sobie, że jest falą, która wzbiera. Jego czas miał nadejść, czuł to jak zbliżającą się zmianę pogody.

Ale teraz czuł jedynie niepokój trzymający go lodowatymi łapskami za gardło i przyrodzenie. Przerzucił bezwiednie wzrokiem po nagłówkach rozpostartych przed nim brukowców (w niektórych jego sprawa spadła już szczęśliwie na dalsze strony) stuknął w klawiaturę laptopa, by przywołać go z uśpienia i podniósł wzrok.

- No i co wy o tym sądzicie? – zapytał swoich doradców.

Na drugim końcu dębowej ławy rozległo się szuranie butami i skrzypnięcie krzesła. Sierpiński przeniósł spojrzenie z Blanki na Edwina i z powrotem na Blankę, bo po pierwsze łatwiej było mu na nią patrzeć ((pociągła twarz z zapadniętymi i niechlujnie ogolonymi polikami wyrażała determinację człowieka pijącego gęsty beton przez słomkę), Blanka była pełnych kształtów czterdziestką w typie złotowłosej menedżerki (choć bliżej jej było do matki niż do suki)), a po drugie to ona podsunęła mu pomysł napisania tego tekstu.

- Myślę, że wyszło bardzo dobrze – odpowiedziała tonem naszprycowanym dostępną na zawołanie pewnością siebie, którą kobiety na tego typu stanowiskach są zobowiązane udawać lepiej niż orgazmy.

Sierpiński i tak nie uwierzył w ani jedno jej słowo. Westchnął zaciągając się głęboko powietrzem, w którym unosiła się woń drewna i perfum (czuł tego jej lepkiego, rzygliwego Diora z drugiego końca stołu, tak jak ona czuła jego strach) i zerknął na zegarek. Do konferencji prasowej zostało pięć minut. Obce głosy coraz śmielej przebijały się przez ciężkie drzwi. Drewniany prostokąt na ścianie rósł, zbliżał się do niego, sprawiając, że on sam malał.

Pomyślał o czaszce pękającej pod tylnym kołem limuzyny, którą nie tylko niezwykle wyraźnie usłyszał, ale dodatkowo poczuł całym sobą, jakby usiadł z impetem na surowym jajku. Podskok, trzask i chlust. Momentalnie otrzeźwiał. Oczywiście, że wypuszczenie spreparowanego newsa cztery dni po wypadku, w momencie gdy

nawet przychylne mu media zdążyły już prześwietlić cały jego życiorys, a te nieprzychylne wyciągnęły z otchłani archiwów wszystkie brudy, źle dobrane słowa i niekorzystne zdjęcia i zrobiły z niego pirata drogowego, spoconego knura o niewyparzonej mordzie, gdy zdążył za jednym zamachem sprowokować dyskusje o homofobii, transfobii i związkach partnerskich, wyciągnąć spod ziemi postulaty niepełnosprawnych domagających się radykalnych zmian w infrastrukturze i prawie i ściągnąć nauczycieli z wakacji, jego rozpaczliwa rekapitulacja nie miała najmniejszego sensu. Dyskurs przeniósł się do innego wymiaru. Ale Sierpiński chciał odzyskać kontrolę nad własną opowieścią. Cofnąć czas do piątku i spokojnie przedstawić fakty. To nie on prowadził auto. Było ciemno. Padało. To był nieszczęśliwy wypadek.

Nikt nie chciał go słuchać. Poza kilkoma szeroko opisanymi incydentami jego życie prywatne było nudne (niezwykle przydatny i pożądany stan dla każdego polityka w tym kraju), dlatego spojrzenia szybko skierowały się w stronę pozostałych dramatis personæ. Centralne miejsce na scenie zajął partner denata: wyszczekany blondyn o aparycji skandynawskiego drwala przedstawiający się światu jako Ludwik Gaj (w pewnych kręgach znany jako Gajowy), który towarzyszył tego wieczora profesorowi, dopóki rozpędzona limuzyna dosłownie nie wyrwała szczęścia z jego rąk. Gaj przyjął zaproszenie do każdego programu, udzielił tuzina wywiadów, a na jego kanale YouTube codziennie pojawiał się nowy film. Zaskakująca, chłodna rezerwa jego wypowiedzi, pod którą czuć było namacalny, kipiący gniew miała idealną temperaturę, by budzić respekt i współczucie. Gdy domagał się sprawiedliwości mówił jednocześnie głosem dyskryminowanych, jak i każdego przeciętnego Kowalskiego zmęczonego całą tą hałastrą regularnie rozbijającą się limuzynami za jego pieniądze. W niejednym Kowalskim świadomość znajdywania się po tej samej stronie barykady, co osoby o odmiennych preferencjach seksualnych zapewne wywoływała niemały dysonans poznawczy, ale większość z nich była gotowa zaakceptować ten fakt i kibicować Gajowemu, by nie stracić miejsca w pierwszym rzędzie i nie przegapić spektaklu powolnego wyburzania wizerunku popularnego polityka.

- Pięć minut – przypomniał Edwin zbierając notatki ze stołu, wyrównując ich krawędzie pojedynczym uderzeniem w blat, które po dwudziestu latach spędzonych w kancelarii adwokackiej wykonywał precyzyjnie i bezwiednie.

To, czego nie zdołał i nie zamierzał powiedzieć swojemu szefowi, to fakt, że niecałe dwie godziny wcześniej na Czerniakowie, całkiem niedaleko ronda Jawaharlala Neru, które od czterech dni powiewało tęczowymi flagami, a wieczorami żarzyło się światłem zniczy, na którym do później nocy dało się słyszeć śpiewy, nawoływania i z którego policja niejednokrotnie musiała usuwać demonstrantów i rozmontowywać ich naprędce skonstruowane namioty, dwóch dociekliwych youtuberów zdołało namierzyć kierowcę limuzyny posła Sierpińskiego i rozstrzelać go w biały dzień serią pytań. Film szybko zyskiwał na popularności i istniała duża szansa, że podchwycą go wieczorne wydania wiadomości i jutrzejsza prasa. Edwin filmu nie widział, ale przez całe spotkanie z Sierpińskim telefon w jego kieszeni drżał chłostany gradem powiadomień, dlatego spędził ostatnie trzy kwadranse obmyślając kolejne plany awaryjne, które pozwoliłyby mu wycofać się z całej sytuacji nie tracąc twarzy. Pamiętaj, synu, nigdy nie daj się sfotografować z trupem – mawiał jego ojciec, ponury kamieniarz spod Radomia, który oprócz długów zostawił mu po sobie garść sentencji. Te słowa wyrzucane od niechcenia pomiędzy haustami wódy z latami nabrały dla Edwina coraz bardziej złowieszczego i profetycznego wydźwięku. Postanowił, że konferencję spędzi po bezpiecznej stronie drzwi.

Zazgrzytało. Sierpiński podniósł się zza stołu i ołowianym krokiem przemaszerował przez gabinet tonący w szarości deszczowego popołudnia. Coś się zmieniło, czuł to wyraźnie. To nie był on, unoszący się ponad lasem wyciągniętych rąk i powiewających flag, niesiony wyżej dopingiem setki gardeł. Teraz był mniejszy, słabszy, cały pokreślony i zmięty jak ostateczna wersja oświadczenia, które miał za chwile oczytać. Po głowie tłukły mu się słowa wybite z rytmu. Chciał rozładować jakoś to napięcie, zarzucić żartem, mimochodem zapytać Blankę o plany na wakacje, Edwina o przeprowadzkę na

Kabaty, które mu sam od lat zachwalał. Zboczyć na chwilę z kursu.

- Jak wyglądam? – zapytał wreszcie stając przy drzwiach.

- Dobrze – pokiwały głowami plastikowe pieski. Jego auto, choć podskoczyło na nierówności, musiało jechać dalej.

Sierpiński złapał za klamkę i ruszył sam przez krótki korytarz wiedziony światłem i wonią przemoczonych ubrań. Zajął miejsce za stołem. Przeczytał wszystkie słowa. Dał czas na pytania. I wrócił skąd przyszedł.

Po walce zwykle rozlegają się brawa, gasną światła i to jest koniec widowiska. Nikt, kto nigdy nie walczył i nie przegrał nie doświadczył ciszy wypełniającej szatnię przegranych. Jest zimna i ciężka. Osiada na lustrach, barkach i powiekach, przyciska tak mocno, że nie sposób odlepić łokci od kolan i podnieść głowy. Sierpiński zamarł. Krople potu kapały z jego brwi prosto na drewnianą posadzkę odmierzając czas według własnego zdeformowanego standardu. W głowie huczały mu świeże słowa i obrazy, błyski flesza, w których implodował. Wyobrażał sobie wyraz własnej twarzy zamrożony w czasie gdy padło pierwsze pytanie. Gdy spoglądał bez zrozumienia w kierunku młodej dziewczyny o jasnych, pokręconych od wilgoci włosach nie wierząc, że coś tak drobnego i niewinnego może spowodować tyle bólu (ta mała myszka wypruła mu pięć metrów jelita z podbrzusza i zawinęła je wokół jego szyi). Czy to prawda, że chwilę przed wjazdem na skrzyżowanie powiedział pan swojemu kierowcy, cytuję: „Wdepnij chłopie ten gaz, bo cię załatwię tak, że już nawet taczek na budowie nie poprowadzisz?" Czy namawiał go pan, by oddalić się z miejsca zdarzenia? Czy proponował pan łapówkę policjantom? Czy był pan pod wpływem alkoholu? Czy… czy… czy… – kolejne krople urywały się z brwi powiększając kałużę, w której mógł się już z powodzeniem przejrzeć.

Francuzi mówią na tę mądrość po fakcie l'ésprit d'escalier. Teraz znał każdą ripostę. W głowie deptał mierne dziennikarzyny nadpisując wstydliwe jąkanie huknięciami basu. Ale światła już dawno zgasły, a on nie wypowiedział żadnego z tych słów. Próbował, ale ciężko się

mówi z wyprutymi flakami zawiniętymi wokół gardła, więc tylko jęczał przecząco i zapadał się w sobie, aż cały zniknął. Lepiej by zrobił gdyby nie powiedział nic. Gdyby odwalił Budda Dwyera i faktycznie tam umarł (lufa ledwie włożona w usta, tak szybko upadł). Blanka i Edwin przyglądali się mu przez cały czas w milczeniu, obejrzeli całe dwanaście rund zakulisowej walki Sierpiński kontra Sierpiński. Za oknem błysnęło (piorunem nie fleszem). Ich spojrzenia spotkały się nad stołem.

- Myślę, że stanęliśmy w obliczu poważnego kryzysu wizerunkowego – wydłubał z siebie Edwin.

W odpowiedzi usłyszał skrzypnięcie drzwi od barku, trzy donośne huknięcia kryształu o blat i bulgotanie przelewanego trunku.

- Mówcie o rozwiązaniach a nie o problemach – warknął Sierpiński po tym jak pierwsza fala Mortlacha przedarła się ognistą falą przez jego przełyk.

Blanka wyciągnęła telefon spod stołu. Na ekranie widniało powiadomienie od syna. Znów chciał żeby przelała mu stówę. Poprzednią przewalił na jointy, no to teraz pewnie zgłodniał. Przesunęła jego prośbę w niebyt i stuknęła w ikonę koperty (listy na papierze, kto je jeszcze pamięta?) - Znam kogoś, kto może nam pomóc – powiedziała sięgając po swoją szklankę.

Sierpiński zerwał z siebie krawat i rzucił go w kąt. Zapowiadał się długi wieczór i jeszcze dłuższa noc.

***

Powietrze zawsze tu pachnie terpentyną i nikotyną. Na podłodze walają się skrawki kolorowych płócien, ale to my jesteśmy obrazem. Dwie eleganckie postaci w fotelach pod wysokim sufitem, kompozycja symetryczna. Po środku stolik kawowy. Z popielniczki unosi się nitka dymu. Wnętrze z gatunku tych ciemnych, ciepłych i pozytywnie zaśmieconych. Za rupiecie robią tu książki, pędzle i butelki po drogim winie, z których wystają kwiaty. Magnus pali papierosa, ja cygaro, bo rzuciłem i już się nie mogę zaciągać. Siedzę noga na nodze. On

rozwalony, bo jest u siebie, a poza tym w jego wieku to wygodnie jest tylko leżeć. W tle muzyka, jej nie da się namalować. Ani opisać, ale spróbuję przymiotnikami: szorstka, jasna, kłująca, gęsta, niewygodna, zmysłowa, precyzyjna, pierwotna, biblijna. Twierdzi, że umieścił w zmurszałej piwnicy dwa magnetofony, z których przez rok odtwarzał i nagrywał naprzemiennie przemówienia Hitlera aż echo i brud taśmy zamieniło je w jednorodną esencję zła. Ten szum jest w każdym z utworów, tak głęboko wciśnięty pod fortepian, wokal i skrzypce, że nie sposób go wyłuskać, jedynie poczuć. Atawistyczny niepokój. Struktury zbudowane z braków, które trzeba samemu sobie uzupełnić. Magnus uważa, że każdy odbiorca sztuki jest zobowiązany do wykonania pracy. To czyni go współautorem i dopełnia dzieło. Tylko leniwi napiszą, że nie rozumieją. Z recenzji zawsze można dowiedzieć się tyle samo o dziele, co o krytyku.

- Bardzo mi się podoba, że się nie boisz – mówię mu gdy ostatni utwór dogasa w kakofonii skatowanego fortepianu. W głośnikach słychać trzaski palącego się drewna i pękające od temperatury struny.

- W starości już niewiele rzeczy przeraża – odpowiada wciskając peta w popielniczkę.  – Chyba, że jesteś bogobojny. Makulski i tak da mi 6/10 i napisze, że na „Simulacrum" mój nihilizm przestał być zaraźliwy.

- Najgorsza ocena – kręcę głową. – Szóstka to czwarte miejsce na podium. Utracona szansa. Na pierwszy rzut ucha dla mnie to co najmniej osiem. Ósemka leży na dolnej granicy geniuszu. Nie ma nic piękniejszego niż subtelnie oszpecone piękno. Oczywiście tu preferowana byłaby dziewiątka. To najlepsza nota, na jaką można zasłużyć. Osiągalna perfekcja.

- A co z dziesiątką?

- Nie ufam dziesiątkom. Są podejrzane. Czuć w nich zmowę i sponsoring.

- Siódemka to uczciwy standard. Zadowoliłbym się siódemką.

- W takim razie lepiej trzymaj kciuki za jedynkę. Stwórz fantastyczne, legendarne gówno, o którym będzie mówione długo po tym jak wyciągniesz kopyta. Wiele siódemek chciałoby dostać tyle uwagi, co jedynki – mówię mu zaciągając się cygarem.

- Dwójka byłaby gorsza od jedynki?

- Naturalnie. Dwójka jest zarezerwowana dla rzeczy, które są złe, bo są złe. Dwójka nie ma swoich amatorów, nie zostaje kultowym klasykiem. Piątka za to jest zaskakująco dobrą oceną. Zawieszona między piekłem a niebem. Ziemia jest 5/10, przeciętnemu życiu wystawiam 5/10. Człowiek jest tworem tylko w połowie udanym. Piątka to środkowy palec wycelowany w odbiorcę mówiący „sam sobie wyrób własne zdanie," a to akurat bardzo w twoim stylu – uśmiecham się. – Koniecznie wystrzegaj się czwórki. Jest prawie tak samo niewarta zachodu jak szóstka. Lepiej już dostać solidne trzy. Tu do gry wracają emocje, w tej ocenie czuć aktywną chęć znienawidzenia czegoś.

Magnus prostuje się w fotelu, grymas bólu przeszywa jego twarz, ale jest ukontentowany, jak każdy, kogo wypełnia duma z doprowadzenia sprawy do końca. W tej kompletności odnajduje swój spokój. Sięga po kolejnego papierosa. Jego lekarz powiedział mu, że to już bez znaczenia.

- Tylko parweniusze tworzą dla ocen – stwierdza wreszcie rolując bibułę pomiędzy suchymi palcami. Liście trzaskają cicho. Spoglądam w kierunku filiżanki, w której został trzeci i ostatni łyk espresso. – Nasze pieniądze są stare jak my. Ale i tak wciąż chcemy prosić świat do tańca.

- Jestem od ciebie dwukrotnie młodszy – zauważam. – Nie dbam o pieniądze. I na całe szczęście nie czuję potrzeby uzewnętrzniania się.

- Nie bądź taki skromny, Arturze. Przyglądam ci się i wiem, że jesteś artystą. Całe twoje życie jest sztuką.

- Znajdź dla niej dobry tytuł – proponuję przełykając czarną

smołę.

- Pomyślę o tym.

Wspieramy się na szerokich ramionach pikowanych foteli i ruszamy długim korytarzem w kierunku wyjścia. Dom nuci własną melodię. Wiatr hula po strychu, niedomknięte okno wali we framugę, stare schody żałośnie skrzypią uginając się pod naszym ciężarem, ale przeżyły obie wojny, trzy pokolenia Magnussonów i tuzin smarkaczy zjeżdżających po nich na srebrnych platerach, więc nic nam nie grozi. Będą jęczeć dopóki nie przyjdą tu moi ludzie i nie rozerwą domu na strzępy wypuszczając światło do piwnic, a cały ten zapach starości, pleśni i zadumy uleci razem z wiatrem nad polami aż nie pozostanie po nim nawet wspomnienie.

Magnus odwraca się i spogląda na mnie jakby wiedział o czym myślę, a w jego spojrzeniu skrywa się pytanie. Zawsze staje na stopniach pierwszy być może licząc na delikatne szturchnięcie w plecy, które zamknie ten rozdział i wypełni go ostatecznym spokojem. Zaprasza do swojego domu śmierć żeby się z nią oswoić, częstuję ją kawą, cygarami i puszcza jej swoje utwory. A śmierć rozsiada w jego fotelu, wysłuchuje wszystkich opowieści, a później odpala silnik BMW i wraca sto kilometrów do biura w Warszawie zostawiając go tu sam na sam ze snami. Magnus jest stary, ale wciąż karmi się tą samą przeterminowaną iluzją, wierząc że każda historia musi mieć swój wielki finał. Być może nie będzie farciarzowi dane zrozumieć, że życie jest urwanym zdaniem.

Niebo przepływa nisko nad domem. Ciężkie chmury wiozą deszcz za horyzont. W tym miejscu, gdzieś pośród niekończącej się szachownicy złotych i zielonych pól, człowiek kurczy się do swoich rzeczywistych rozmiarów. Wcale się nie dziwię Magnusowi, że nie chce go opuszczać, wielu z nas zrobiłoby wszystko by mieć w swoim życiu coś, o co warto walczyć. W oddali, na krawędzi lasu dostrzegam wyręb. Jest jak wybity ząb, jak pęknięcie w tamie. Niebawem asfaltowa rzeka przeleje się przez tę zapomnianą krainę, porwie jego dom i pozwoli ludziom z Siedlec dojechać w cywilizowany sposób do Warszawy.

Wystarczy jeden podpis na dokumencie, który wożę ze sobą na każde nasze spotkanie. Od dawna nawet nie zabieram go z samochodu. Ruszamy przez gościniec w kierunku bramy. Srebrne kałuże są jak dziury wytarte w podłodze świata, pod jej powierzchnią gotuje się drugie niebo. Jest tak cicho, że chrzęst żwiru dobiegający spod podeszw brzmi jak osuwanie się skał. Magnus wyprzedza mnie, otwiera furtkę i podaje mi dłoń. Mocny uścisk, jedno świdrujące spojrzenie pary błękitnych oczu gdy nazywa mnie swoim przyjacielem. Nic więcej nie może zrobić. Jego władza kończy się w tym miejscu. Ruszamy każdy w swoją stronę.

Wsiadam za kierownicę i odprowadzam go wzrokiem do samych drzwi. Czarny dom obrośnięty czasem góruje nad równiną. Tylko on jest tu definitywny, po dach wypełniony treścią, reszta pejzażu wykadrowanego przez przednią szybę przypomina nieukończony szkic. To jasne, że świat nie pozwoli mu trwać. Zbyt bardzo wystaje z tej pradawnej ziemi. W komin nieustannie walą pioruny. Jak wszystko inne, niewzruszony czas wyrówna go do zera, a betonowa rzeczywistość przejedzie po nim na tempomacie ustawionym na 140 km/h.

Magnus znika za drzwiami, ja wciskam gaz, spod kół wystrzeliwują pióropusze rudej ziemi. 252 konie pchają BMW przez labirynt nieutwardzonych dróg. Zanim moje auto wydostanie się z wiejskich żylaków na miejskie arterie ja zdążę zgubić cały entuzjazm. Podmokłe pola obsiane pustką, z samotnymi drzewami moknącymi w ciszy rozpłyną się w oddali, a przed długą czarną maską wyrosną mosty, bloki, światła, druty i obowiązki. Tu już nie mogę udawać, że nie mam zasięgu.

- Halo?

- Dzwoniłam do ciebie wcześniej, ale chyba nie miałeś zasięgu – głos Lipy wypełnia kabinę beemki jak ciepłe powietrze. – Jak poszło u pana Magnussona?

- Jak zwykle. Chce się z nami procesować. Jego prawnicy złożą do końca tygodnia apelację. Powiedział, że jego dom jest dziełem

sztuki i ma wartość artystyczną. Oczywiście, nie miał do mnie żalu personalnie, bo w jego mniemaniu jestem jedynie narzędziem, biernym wykonawcą woli szatana, natomiast podzielił się ze mną bardzo ciekawymi spostrzeżeniami dotyczącymi obecnej władzy, ale tego już nie będę ci cytował.

- Jezu.

- Co tam słychać na zakładzie?

- Przyszła do ciebie jakaś baba.

- I co chciała?

- Nie mam pojęcia. Ona wciąż tu jest.

- Ma nazwisko?

- Nie przedstawiła się. Powiedziała, że będzie rozmawiać tylko z tobą.

- Opisz ją.

- Blondynka po czterdziestce.

- A bardziej poetycko?

Lipa wzdycha. Słyszę jak podnosi się z fotela. Jej obcasy stukają po panelach w korytarzu gdy rusza w kierunku mojego gabinetu. Zatrzymuje się przy ekspresie, wybiera americano, bo robi się najdłużej i czeka, by hałas młynka zagłuszył jej słowa.

- Ołówkowa spódnica Guess, w to wpuszczona jedwabna koszula Hugo Bossa. Noga słusznej długości, na dole beżowe szpile Gucciego, więc nie ma bidy. Pod spodem ciało wyrobione na siłowni, w sypialni wygląda pewnie na dziesięć lat młodszą, ale w twarzy ma coś chmurnego. Cały czas spogląda na telefon i czeka. Była bardzo miła gdy próbowała wydębić ode mnie twój numer. Taka ciepła suka z przedmieścia. Lubi pieniądze, ale wie kim był Faulkner.

- Widzisz, zawsze wiedziałem, że masz duszę artystki.

- To mogę na ten urlop w sierpniu?

- Nie. W sierpniu ja idę na urlop.

- W poradniku ambitnego pracownika było napisane żeby prosić szefa o rzeczy zawsze gdy zapunktujemy.

- Wyrzuć poradnik. Poza tym, dobrze wiesz, że jesteś jedyną osobą, która tu pracuje. Bez ciebie miliony Polaków na wschodzie nie zaznają luksusu podróży autostradą. Skończ studia, to wkręcę cię do działu prawnego. Za dziesięć lat będziesz siedzieć w moim biurze, scrollować Instagram całymi dniami i mieć swojego własnego chłopca na posyłki, który będzie wypełniał za ciebie sprawozdania po nocach.

- Ty się już nawet nie kryjesz ze swoim nieróbstwem.

- Pomyśl o tym jak o eksperymencie. Sprawdzamy jak wysoko da się awansować w strukturach administracji rządowej nie robiąc absolutnie nic. Jak zostanę dyrektorem napiszę o tym książkę.

- A propos dyrektora, Nowak pytał o ciebie. Powiedziałam mu, że działasz w terenie przez cały dzień. Chodzi jakiś naburmuszony od rana, słyszałam jak opieprzał tego nowego stażystę. Halo, jesteś tam?

- Zuch dziewczyna – szepczę jej do drugiego ucha.

Lipa podskakuje jak oparzona, odwraca się spoglądając na mnie z wyrzutem.

- Nie rób tak więcej. Prawie wrzuciłam telefon do kawy.

- Zrób dwie. Idę pogadać z Blanką.

- Znacie się?

- Nie.

Zapraszam ją do gabinetu i wskazuję miejsce w fotelu. Siadamy naprzeciw siebie. Za mną wymalowana w szybach szaro-stalowa panorama niechybnie zamykającego się miasta pulsuje ruchem, paruje deszczem. Za nią pustoszejące biura i gasnące ekrany kierują myśli do

domu. Czas opływa naszą wyspę wartkim nurtem. Ale ona już nie nigdzie się nie spieszy, pozwala, bym zapytał ją o imię. Cel wizyty. Unosi kąciki ust gdy po kilku sekundach wypełnionych ciszą mówię, że wiem kim jest i dla kogo pracuje. Oczy nie urzeczywistniają uśmiechu, tylko patrzą przeze mnie na wylot. Odpowiada, że wszyscy ją znają, ale niewiele osób ma świadomość kim ja jestem. Precyzyjnie dobiera słowa, strzelając każdym obok celu, by nie zostawić żadnych śladów, ale i tak przekazać wiadomość.

- Dysponuje pan unikalnym zestawem umiejętności, które mogą okazać się dla nas bardzo przydatne.

Jeśli odseparujemy wypowiedzi polityków od ich intonacji i mowy ciała, złapiemy za końce zdań i skręcimy je w spirale wyżymając treść, to może okazać się, że nie uronią z siebie ani jednej kropli. Ona jest politykiem, ale pod służbową zbroją ukrywa się człowiek i tego bardziej chcę poznać. Dlatego popycham ją, wybijam z rytmu. Mówię, że nie spodziewałem się rozmowy o pracę. Pytam półżartem czy powinniśmy na tę okoliczność zamienić się fotelami. Chcę żeby przestała się pilnować i powiedziała mi coś prawdziwego. Ona cofa się w chłodny formalizm tak głęboko, że znika. Mam przed oczyma suchy, czarny tekst wydrukowany na kartce i to już moja sprawa jak ją sobie wyobrażę. Nie da mi nic więcej. Kiwam głową, bo znam zasady. Ona wstaje, rzuca wizytówkę na moje biurko. Niezależnie od decyzji, jaką podejmę ta rozmowa nigdy nie miała miejsca.

Wypijam kawę jednym haustem, a później sięgam po jej filiżankę i ruszam do okna. Czarny mercedes parkuje pod głównym wejściem. Blanka siada na krawędzi tylnej kanapy i unosi szpilki z chodnika. Półobrót na półdupku. Drzwi domykają się miękko. Auto rusza w kierunku centrum i rozmywa się w drugim planie. Z szyby patrzy na mnie mężczyzna w koszuli znoszonej dniem. Jego spojrzenie mówi wyraźnie: zostaw to. Ale ten prawdziwy ja, ten, który oddycha i żyje i nie zaśnie dopóki się nie dowie już zdążył wyczuć zapach krwi i płynie w jej kierunku.

***

W łóżku zawsze kładł dwie poduszki, mimo, że od dawna sypiał tu sam (a jeśli był z kobietą, to nigdy na własnym terenie). Teraz leżał na boku, twarz do połowy zatopiona w falach aksamitu, z głowy parował ponury sen. Pamiętał lustro zawieszone na zardzewiałym gwoździu wbitym w drzewo i spoglądającą zeń twarz Wiktorii. Pamiętał mgły snujące się nad mokrymi polami w oddali i zapach mydła pieniącego się pod pędzlem do golenia. Pamiętał więcej niżby chciał: jak uderzył w niego podmuch zimnego wiatru gdy odrzuciła swoje kruczoczarne loki na plecy i zaczęła nanosić pianę na policzki, brodę i szyję. Ostrze brzytwy błysnęło w dłoni martwym światłem. Dzień nad polami był szary jak karton, on nieruchomy niczym słup wbity w to błoto. Twarz wysunęła się z lustra i wyjrzała na niego zza kotary włosów. Para czarnych oczu nie mrugnęła ani razu. Tylko dłoń uniosła brzytwę do krtani i cała postać zastygła jak fotografia. Nie usłyszał chrobotania nierdzewnej stali przedzierającej się przez gęsty zarost, którego przecież tam nie było. Nie ujrzał karmazynowej fali spływającej wodospadem pomiędzy piersi. Uniósł się w górę nagle szarpnięty za kołnierz, potylicą przebił kruchą granicę bezświadomości i wypłynął na powierzchnię. Zacisnął jeszcze raz ciężkie powieki i przesunął dłonią po pustej poduszce, z której ciepło uleciało lata temu.

Wolał o tym nie myśleć, nie przypominać sobie zapachu wygniecionej pościeli, odgłosu bosych stóp wspinających się leniwie po schodach. Ale przeszłość wracała do niego gorącymi falami, napadała go w sejmowej ławie i pośród barowego zgiełku, na skrzyżowaniu pod zielonym światłem nim za plecami eksplodował ponaglający klakson i bladym sierpniowym świtem w jego własnym łóżku. Banalną symbolikę poderżniętego gardła potrafił zrozumieć, ale dlaczego goliła się zupełnie jak ojciec, tego niepozbieranym porannym umysłem jeszcze nie był w stanie ogarnąć. Sierpiński wierzył w znaki i wierzył w sny, bo ostrzegały go i prowadziły gdy gubił drogę. A teraz był pogubiony bardziej niż kiedykolwiek.

Przewrócił się na plecy. Wierzch prawej dłoni oparł na czole, drugą zacisnął wokół członka rozsadzanego poranną erekcją. Niedawno odkrył, że ciało faceta na pięćdziesiątym okrążeniu wokół słońca

przypomina przechodzone auto, które przerobiło swoich właścicieli w odwrotnej kolejności. Zanim dostał je w posiadanie wzięty polityk, jeździło nim kilku mniej lub bardziej zamożnych biznesmenów, którzy nigdy nie zwalniali na progach, ale przynajmniej pamiętali, by od czasu do czasu odwiedzić myjnię i nawoskować lakier. Przez chwilę użytkowała je głowa rodziny z pędrakiem wiecznie wcierającym jedzenie w tapicerkę i zakupami tłukącymi się po bagażniku. Największym problemem jednak było to, że na samym początku dostał je w posiadanie jakiś narwany skurwiel, który lał byle co do baku, palił gumę jakby nie było jutra i dawał się ujeżdżać koleżankom z liceum na tylnym siedzeniu (w czasach jego młodości własne auto było jak afrodyzjak i wiecznie wolna chata w jednym). Dlatego teraz, setki tysięcy kilometrów później zmęczone życiem barachło jeździło jak chciało – w niektóre dni odpalało na zawołanie, w inne dławiło się, charczało i gasło akurat gdy trzeba było przyspieszyć. Dziś był jeden z tych lepszych dni – pomyślał Sierpiński przesuwając dłoń w górę i w dół przyrodzenia, dokładnie dziesięć razy zanim do reszty stracił zainteresowanie.

Usiadł na łóżku, spojrzał na kolorowe wydruki rozrzucone po biurku i pomyślał, że jesień w tym roku przyjdzie szybciej niż zwykle. Do późnej nocy studiował symbolikę i terminologię środowiska LGBTQ, czytał wpisy na forach, artykuły i prace naukowe szafujące karkołomnymi skrótami, niejasnymi neologizmami, przepoczwarzeniami znanych mu terminów (cis i trans do tej pory kojarzyły mu się jedynie z izomerią geometryczną). Klikał w rekomendowane filmy a algorytm Youtube'a prowadził go głębiej przez zacienione sypialnie androgynicznych influencerów, krótkometrażowe pocałunki kobiet sfilmowane z ziarnem (ale osłabione nudnym, symetrycznym kadrem i czy każdy film musi w dzisiejszych czasach być przykryty dwudziestoma filtrami i wyciśnięty z koloru?) przez tutoriale o nawilżeniu, lizaniu i ssaniu prosto w otchłań memicznego postironizmu i kompilacji z TikToka. Z mieszaniną fascynacji i osłupienia odkrywał zakamarki równoległego świata przechadzając się po nim bez mapy i z kołnierzem postawionym na sztorc, podziwiając konstrukcje, które

przebudowywano jeszcze zanim zostały ukończone. Każdy mówił tu językiem, który sam wynalazł. Definicje przelewały się przez kontury. Wszystkie kolory tęczy pochodzą od bieli. Zmieszane na powrót dają biel.

Gdy kładł zdrętwiałe ciało spać, wiedział tylko tyle, że aby nikogo nie wykluczyć należało stosować skrót LGBTQQIAAP2S, a żeby nikogo nie obrazić najlepiej było wcale nie otwierać ust. Przypomniał sobie o człowieku, o którym mówiła Blanka i postanowił zadzwonić do niej z samego rana. Jeszcze przez chwilę wyobrażał sobie jak staje na krawędzi schodów z telefonem przystawionym do głowy („jestem gotów rozważyć alternatywne rozwiązania" w żadnym przypadku „miałaś rację"). Zrozumiał wreszcie, że potrzeba mu było czegoś więcej niż słów i pieniędzy, by wygrzebać się z tego bagna. Wybiła druga w nocy. Do wyborów zostało czternaście miesięcy. On miał prawie pięćdziesiąt lat. Nic w tym momencie nie przerażało Sierpińskiego bardziej niż roztrwoniony czas.

Uczciwe siedem godzin snu później faktycznie stanął na krawędzi schodów z telefonem w ręku, ale zamiast dzwonić przewijał palcem niekończące się tasiemki mediów społecznościowych, te kolorowe segmenty uzbrojonych tasiemców zżerających go od środka. Kciuk przesuwał się po ekranie ostrożnie. Tuż za dolną granicą ekranu mógł czaić się post, który zawierał jego nazwisko. Chciał przeczytać je wszystkie. Sprawdzić komentarze. Dotknąć nazwisk ludzi, którzy życzyli mu śmierci pod kołami rozpędzonego auta, wejść na ich konta i przejrzeć zdjęcia z bachorami w ciasnych klitach umeblowanych IKEĄ, te wysmarowane olejkiem nóżki rozprostowane na zatłoczonej plaży w Mielnie, prześwietlone i spocone twarze patrzące mętnym wzrokiem w obiektyw telefonu na imieninach u brata na emigracji, wszystkie tęczowe nakładki na zdjęciach profilowych i wszystkie udostępnione pieski, których nie uratowali ze schroniska. Przypomniał sobie jak jeszcze tydzień temu zdarzało mu się mówić na post „psot" i uważać to za zabawne. Teraz był ekspertem od facebooka, youtube'a, instagrama i twittera, założył anonimowe konta o ordynarnie nieprawdziwych nazwiskach (Ludwik Rataj, Mateusz Miniszewski,

Luiza Czarnecka), uwiarygodnił je pakietami przyjaciół z allegro i nauczył się sprawnie wyszukiwać informacje. Przez większość czasu nie rozumiał tego, co docierało do jego oczu. Machnął kciukiem mocniej, a świat na sekundę zlał się w kolorowy bełt.

Po raz pierwszy od wypadku stężenie Sierpińskiego w Internecie utrzymywało się na wyjątkowo niskim poziomie. Znalazł co prawda dwa artykuły stawiające odważne pytania w tytułach, ale wszyscy obeznani z clickbaitowymi praktykami wiodących portali już dawno wiedzieli, że jeżeli tytuł artykułu został zakończony znakiem zapytania, to odpowiedź zawsze brzmiała „nie". Tego dnia sieć żyła proboszczem parafii Świętego Wawrzyńca w Kutnie, który podczas zbierania ofiary przetoczył przez nawę główną monstrualnych rozmiarów kocioł, by uzmysłowić wiernym rozdźwięk pomiędzy potrzebami kościoła, a pomocą ze strony przetrzebionego współczesnymi zarazami stada owieczek. Aby dać co łaska należało wspiąć się po trzech stopniach drabiny i wyciągnąć w górę dłoń. W zimnej ciszy świątyni wypełnionej po sklepienie konsternacją dało się słyszeć szelest opadających na dno banknotów i niespokojne szepty ilekroć jakaś oddana babinka odważyła się narazić zdrowie w intencji remontu dzwonnicy. Film nakręcony z (jakże by inaczej) ostatniej ławki prezentował powolną procesję ofiarnego dzbana w smakowitym detalu i całej rozciągłości, aż do momentu kulminacyjnego w siódmej minucie, gdy cierpliwość widzów została nagrodzona ujęciem wnętrza naczynia, w którym pojedyncze zwitki papieru spoczywały na dnie rezonującej otchłani przypominając w swojej samotności suche liście rozrzucone po nagrobkach.

Blanka cofnęła film do samego początku, by jeszcze raz przypatrzeć się twarzom wiernych, uchwycić moment krótki jak refleks światła odbitego w otwieranym oknie gdy zaskoczenie ożywiło ich twarze przytępione monotonią rytuału. Przede wszystkim chciała przez chwilę zapomnieć o świecie poza prostokątnym kadrem filmu, nie patrzeć na zegarek, nie myśleć. Niekończący się strumień obrazów dawał jej jedynie połowiczny spokój, był jak świadomy sen. Zastanawiała się czy Sierpiński już widział poświęcony mu fanpage na

facebooku zatytułowany „Jak będzie pod kołami – sekcja Sierpińskiego”, który zdążył pozyskać 10 000 fanów w jedną dobę wrzucając niewybredne memy i linki do artykułów z doniesieniami o spalonych tęczach, a następnie rozpoczął dystrybucję naklejek z hasłem „Pedał gazu” doprawionym dyskretnie umieszczonym znakiem zapytania wciśniętym pomiędzy słowa. Blanka sprawdziła w wyszukiwarce co oznacza skrót KMWTW, po czym zgłosiła fanpage za propagowanie nienawiści. Wiedziała, że do końca dnia nie będzie po nim śladu, ale spodziewała się jeszcze nie raz spotkać mieście auto ozdobione niewinnym na pierwszy rzut oka hasłem, które niewtajemniczonym mogło kojarzyć się jedynie z zamiłowaniem do przekraczania prędkości. Kto ma wiedzieć ten wie.

Echo kroków w korytarzu natychmiast wybudziło ją z letargu. Podniosła wzrok i ocknęła się wciśnięta w rząd zdrętwiałych kręgosłupów wbitych w krzesła ustawione pod białą ścianą, z niemym ekranem nadającym wiadomości bez treści tuż nad głową i zbliżającym się w jej kierunku chirurgiem płynącym jak duch przez tę niedofinansowaną szpitalną trwogę.

- Może się pani zobaczyć z synem – powiedział nie spoglądając na nią ani razu, jakby zrobił jej wielką przysługę, której natychmiast pożałował. – Badanie RTG potwierdziło złamanie dwóch żeber, ale narządy wewnętrzne nie zostały uszkodzone i nie ma ryzyka krwotoku. Rana cięta na szyi jest powierzchowna, obędzie się bez szycia. Chłopak miał naprawdę dużo szczęścia – tłumaczył prowadząc ją w kierunku sal pooperacyjnych. Blanka podążała obok i tylko kiwała głową, nie czując podłogi pod stopami.

W łóżku leżał Maciek, lub ktoś, kto jedynie go przypominał. Spod spuchniętej powieki wyjrzało przekrwione oko. Próbował się podnieść i przywitać, ale otwarte dłonie lekarza kategorycznie tego zabroniły. Podeszła i chwyciła w dłoń jego palce ściskając je może odrobinę za mocno. Chciała odgarnąć przewody i go przytulić, nigdy nie wypuścić z rąk, chciała odłączyć całą aparaturę pomagającą mu oddychać i przycisnąć poduszkę do twarzy, by już nigdy nie czuć tego bólu, by nie musieć się bać tak jak przez ostatnią godzinę, od momentu gdy

obudził ją telefon, przez całą drogę do szpitala, po bezkresne minuty w poczekalni. Chyba usiedli obok niej jacyś ludzie, ktoś pocieszał ją gdy płakała. Oglądała film na youtube. Odpisała na smsa. Chyba.

- Maćka przyjęliśmy na ostry dyżur o czwartej nad ranem. Przyjechał z nim kolega. Mówił, że znalazł pani syna leżącego w uliczce za klubem, w którym spędzali wieczór. Nie dzwonił na karetkę, postanowił wziąć sprawy we własne ręce i zamówił Ubera – automat wypluł resztkę czarnej cieczy do plastikowego kubka. Lekarz przekazał go Blance i sam zaczął wrzucać monety do maszyny. Dziesięciogroszówka po dziesięciogroszówce brzęczały w przełyku kawomatu (słowa z jego ust płynęły z identyczną prędkością) – Ten chłopak uratował mu życie.

Pięć wyrazów, pięćdziesiąt groszy zabrzęczało jej w głowie.

- Gdzie… gdzie on teraz jest – jąknęła się, jej gardło było wciąż pełne lepkiego żalu. – Chciałabym mu podziękować.

- Zawiadomiliśmy policję i zabrali go na komendę, żeby złożył zeznania – wyjaśnił chirurg spoglądając na zegarek. – Teraz już pewnie jest w domu i odsypia. Twierdził, że przyjaźni się z Maciejem od lat. Nie wie pani kto to mógł być?

- Wstyd się przyznać, ale nie znam przyjaciół syna.

Lekarz upił piankę ze swojego cappuccino i spojrzał na nią z profesjonalną obojętnością, którą doceniła.

- Proszę pamiętać, że cała ta historia mogła skończyć się dużo gorzej. Jeśli nie ma pani więcej pytań, wracam na oddział i kończę dyżur. To była długa noc.

- Bardzo panu dziękuję – rzuciła po chwili do oddalających się pleców.

Nie wróciła do sali, tylko oparła się biodrem o parapet i wdychając opary kawy długo obserwowała auta na szpitalnym parkingu bezradnie krążące w poszukiwaniu wolnego miejsca. Przez chwilę w jej głowie ustał wiatr, istniały tylko te małe, połyskujące żuczki w

oddali kręcące się bez celu po labiryncie białych linii. Wreszcie kawa się skończyła, a jej znudziło jej się patrzeć tę bezradność, ale powracającą falę gniewu powstrzymał dźwięk telefonu, który musiała odebrać.

- Blanka, jak się nazywał ten gość od Nowaka? – Sierpiński krzyczał do słuchawki pełen porannego entuzjazmu.

- Przepraszam, kto?

- No ten od wizerunku.

- Artur Welkin.

- To jest prawdziwe nazwisko?

- Nie zaglądałam mu do dowodu.

- Skontaktuj się z nim i zaproś go do nas. Chcę się dowiedzieć co ma do powiedzenia.

- Już to zrobiłam – przyznała, wnioskując po ciszy, która zapadła na łączach, całkowicie niepotrzebnie.

- Daj znać jak się odezwie – rzucił Sierpiński i się rozłączył.

Co prawda miał użyć innych słów, ale uznał, że tak zabrzmiało to jeszcze lepiej. Oparł łokcie na balustradzie i wyjrzał na świat. Okna w jego penthousie ciągnęły się przez dwie kondygnacje zalewając drewniane podłogi i białe ściany ciepłym światłem. Uwielbiał to mieszkanie, jego oddech, przestrzeń i ciszę (na dziewiąte piętro docierało niewiele ulicznego zgiełku, a może po prostu zdążył się do niego przyzwyczaić?), uwielbiał przechadzać się na boso po pustych pokojach, gwiżdżąc pod nosem improwizowane melodie, które zawsze jakimś cudem zmieniały się w Prząśniczkę. Najbardziej ze wszystkiego uwielbiał jednak to, że przed wejściem do Unii metr mieszkania w tej okolicy kosztował 3 600 złotych brutto, co oznaczało, że jego luksusowe lokum w ciągu ostatnich dwóch dekad zwiększyło swoją wartość sześciokrotnie. Ojciec niechętnie finansował jego fanaberie (A na cholerę ci 170 metrów i do tego w bloku? Tyle samo kosztuje dom

pod Warszawą!), ale z twardą kasą nigdy nie negocjował. Przy obecnych zwrotach nie przeszkadzałby mu nawet fakt, że wyrastające jedno po drugim osiedla praktycznie całkowicie zasłoniły mu panoramę Lasu Kabackiego. Sierpiński zszedł powoli po schodach do kuchni pogwizdując beztrosko. Ponury sen zapomniał na zawsze.

***

To miasto jest jak pusta szklanka. Nikt tu nie śpi, słowa zdają się na nic. Ale w ruchu jest piękne. Można się w nim zakochać gdy błyszczy w deszczu, spływa po szybach milionem świateł i pędzi w przeciwnym kierunku. Gdy wyją syreny, a ty możesz tańczyć, tańczyć, tańczyć na jego bijącym, czarnym sercu. Nieruchome niebo nad głową zmienia się w plamę atramentu. Chore miasto, pełne ludzi, którzy nie mogą znaleźć sobie miejsca. Nikt nie opisze tego, co przyniesie noc. Jutro wstaniemy bez pamięci, zastanawiając się czy było warto.

Zamykam książkę. Mężczyzna za kierownicą Maserati spogląda raz po raz w lusterko wsteczne zżerany ciekawością, ale nie pyta o nic. Kabinę wypełnia szum kół toczących się po mokrym asfalcie i brutalny pomruk V-ósemki. Auto brzmi jak przesterowana gitara, wygląda jak wnętrze filharmonii. Dopasowany garnitur ze stali naciągnięty na ujarzmioną bestię, która wciąż zapomina się, warczy i wierzga wypluwając z rur melodię w pojedynczych aktach pomiędzy skrzyżowaniami. Człowieka łatwo rozszyfrować nie po tym czym jeździ, ale jak prowadzi. Edwin jest metodyczny i zachowawczy. Przez większość czasu płynie z prądem rzeki świateł przelewającej się na drugi koniec miasta, ciężko wzdychając i nieustannie marząc, by zepchnąć wszystkich z drogi. Edwin jest adwokatem.

Zjeżdżamy spiralą dwa poziomy pod ziemię, silnik milknie, ślepia gasną. Bestia syczy i ocieka wodą, my w marynarkach niedotkniętych ani jedną kroplą deszczu ruszamy do windy. Na parterze dołącza do nas kobieta z MacBookiem w etui pod pachą i workiem ziemniaków w drugiej dłoni. Z włosów odpadają krople, wzrok trzyma skierowany do wewnątrz gdy marzy o zerwaniu z siebie stanika i pierwszym łyku Chardonnay ziębiącym jej podniebienie, cieple prysznica

rozlewającym się po plecach, może obmyśla lepszą historię dla opiekunki, która po raz kolejny została po godzinach. Wspólnie milczymy przez siedem pięter z dziewięciu towarzysząc jej na ostatniej prostej tego dnia. My dopiero zaczynamy.

Niewidzialna dłoń otwiera przed nami drzwi apartamentu. Wchodzimy w rozświetlone przestrzenie pachnące drewnem i kwiatami. To mieszkanie jest jak płótno, które ktoś zapomniał pokryć farbą i nazwał sztuką. Napuszony nowobogacki minimalizm. Dorobiona teoria. Fałszywa asceza. Blanka wita się ze mną skinieniem i wskazuje drogę do salonu. Tam, w perfekcyjnie zaaranżowanej scenie, w skórzanym fotelu ustawionym na tle gigantycznego okna znajduję posła na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, szefa partii Nowy Początek i żyjącego mema Kazimierza „Homokillera" Sierpińskiego. Na mój widok podrywa się na nogi i wyciąga łukiem przez stół. Pierwszy i ostatni raz podkreśla, jak bardzo się cieszy, że doszło do tego spotkania. Pyta czego się napiję, podaje mi zamówioną szklankę wody, wskazuje fotel i gdy widzi, że wygodnie zająłem wyznaczone miejsce strzela prosto między oczy.

- Jak się panu pracuje się z Nowakiem? Były premier musi mieć u pana dług wdzięczności.

Zaczyna z wysokiego C, choć głos, którym dysponuje to bardziej baryton niż tenor. Chce żebym wiedział, że jestem dla niego przezroczysty, że jego informatorzy zajrzeli mi pod łóżko i przeczytali mój pamiętnik. Po tym jak wypłynęły taśmy prawdy Sierpiński był jednym z najgłośniej domagających się dymisji Nowaka. Praktycznie postawił cały swój kapitał polityczny na ruinach jego kariery.

- Pan go przewrócił, ja go podniosłem. Na tyle na ile było to możliwe – dodaję. – Szefowanie Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad pewnie nie jest marzeniem osoby z jego ambicjami, ale biorąc pod uwagę okoliczności, to mógł skończyć dużo gorzej.

- Pan za to znalazł się w bardzo komfortowym miejscu.

„Zważywszy na brak doświadczenia" pozostawia w domyśle.

Konsekwentna strategia urobienia mnie przez wywlekanie brudów, o których nie przeczytasz w gazecie i ustalanie hierarchii na podstawie ilości wpisów do CV to coś, czego absolutnie spodziewałbym się po Sierpińskim. Ale jak każdy wokalista, który porywa się na utwór technicznie przerastający jego możliwości w jego głosie wybrzmiewają fałsz i desperacja.

- Jest pan gotowy podjąć kolejne wyzwanie? – kokietuje gdy już jest pewien, że sprowadził mnie do parteru.

- To zależy tylko od tego czy pan jest gotowy przestrzegać żelaznej zasady współpracy ze mną i zawsze mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

- Prosi pan polityka o szczerość. Jak szedł ten dowcip z dziewicami w domu publicznym? – uśmiecha się do Blanki.

- Dziękuję za spotkanie w takim razie. Proszę się nie kłopotać – zwracam się w stronę Edwina, który zdążył jedynie otworzyć szerzej oczy – wrócę metrem – dodaję opierając obie dłonie na stole.

- Pan wybaczy, panie Welkin. Myślę, że zaczęliśmy to spotkanie od złej strony – usadza mnie z powrotem w fotelu, siląc się na przyjacielski ton – ale zważywszy na naturę zadania, które chciałbym panu powierzyć, muszę zweryfikować pewne fakty żeby dowiedzieć się czy jest pan odpowiednią osobą do tej roboty. Proszę potraktować to jako rozmowę kwalifikacyjną, a nie przesłuchanie czy konfrontację. Chciałbym lepiej pana poznać.

- Mam opowiedzieć o moich dobrych stronach?

- Jeśli byłby pan łaskaw.

- W podstawówce wygrałem konkurs lotów papierowych samolotów. Zrobiłem kulkę.

Dyskretny uśmiech, palący gniew, obojętność w kolejności od lewej do prawej dosiadają się do naszego stołu. Jeśli chcesz poznać człowieka musisz wytrącić go z równowagi. Delikatnie popchnąć, ale nie na tyle mocno, by się przewrócił, jedynie wysunął poza pole gry. Dopiero w

tej białej przestrzeni pozbawionej punktów odniesienia możesz przyjrzeć się jego prawdziwemu obliczu. Dopóki figury pozostają na szachownicy ograniczone regułami i konwenansem, pionek zawsze pozostanie pionkiem.

- Panie Sierpiński – odzywam się, gdy uznaję, że cisza wystarczająco wybrzmiała – to prawda, zdarzało mi się wspierać osoby o nadszarpniętej reputacji, chociaż nie rozpatruję siebie w kategoriach specjalisty od budowania wizerunku, a raczej architekta. W każdym przypadku podstawą współpracy była absolutna transparentność pomiędzy wszystkimi zaangażowanymi stronami. Tu także chciałbym mieć w tej materii jasność. Innymi słowy, chciałbym wiedzieć, czy jeżeli zapytam pana o stopień trzeźwości w momencie tragicznego wypadku, pan odpowie dwa i pół promila. A jeżeli będę chciał przypomnieć sobie nazwisko policjanta, któremu oferował pan przyjęcie korzyści majątkowej w zamian za składanie fałszywych zeznań to usłyszę, że był to aspirant Grzegorz Brudnik, który obecnie przebywa na przymusowym zwolnieniu i nie wiadomo kiedy z niego wróci.

Ciszą stawiam kolejną kropkę. Ta chwila jest jak wystrzelony pocisk zatrzymany w czasie, pozwalam mu się dokładnie przyjrzeć nim sięgnie celu. Jeśli ugodzi w ego, wylecę stąd jeszcze zanim ulotni się dym. Sierpiński chwyta za szklankę, ale nie odrywa jej od stołu. Podnosi wzrok, przełyka cokolwiek spłynęło mu na koniec języka i pozwala mi mówić dalej.

- Musi pan zdać sobie sprawę, z tego, że sytuacja, w której pan się obecnie znalazł jest bardzo korzystna. Ilu polityków w Polsce może pochwalić się takim zainteresowaniem i rozpoznawalnością? Wszystkie oczy i uszy są zwrócone teraz w jedno miejsce, każdy wysłucha tego, co ma pan do powiedzenia. Ale ten moment nie będzie trwał wiecznie. Na nasze szczęście i nieszczęście świat zapomina bardzo szybko, w szczególności ten wirtualny.

- I jest pan w stanie wykorzystać tę okazję? Obrócić ją w sukces? Jak?

- Każdy człowiek na tym świecie jest kontrolowany przez dwie siły: miłość i strach. W tym momencie nikt pana nie kocha i nikt się pana nie boi. Możemy zmienić ten stan rzeczy. Sprawić, by ludzie zaczęli pana uwielbiać, a jeśli nie to przynajmniej żyli w strachu przed alternatywą. Nastroje społeczne są ku temu idealne. Nie ma jednomyślności. Społeczeństwo rozdrobniło się na frakcje, w ramach których wciąż narastają wewnętrzne konflikty. Ożywiona dyskusja prowadzona w bardzo wąskim spektrum ma podwójną zaletę: daje iluzję wolności słowa i bardzo łatwo ją moderować. Współczesna technologia pozwala nam docierać natychmiastowo do każdego odbiorcy z dowolną informacją. Osiągnięcie celu wydaje się w tym momencie właściwie tylko kwestią budżetu i doboru odpowiednich narzędzi. Mamy całe osiem miesięcy.

Długo wyczekiwany łyk whisky. Szum aut na jezdni dziewięć pięter niżej. Przy stole ciekawość, ciekawość, zdziwienie.

- Czternaście jeśli dobrze liczę. Chyba nie mówi pan o wyborach prezydenckich?

- Naturalnie.

- Mam zobowiązania wobec partii, którą jak pan dobrze wie, sam stworzyłem.

- Ma pan zobowiązania przede wszystkim wobec siebie. Grupa pana osłabia. Sam pan kiedyś przyznał, że w partii Nowy Początek brakuje zawodników z ekstraklasy. Jest pan sterem, żeglarzem i okrętem unoszącym się ledwie ponad progiem wyborczym. A z racji tego, że od samego początku krytykował pan zarówno lewą, jak i prawą stronę sceny politycznej skazał się pan na samotny rejs. Prezydentura jest dla pana najbardziej logicznym wyjściem i jeśli mam być szczery jedynym osiągalnym. Oczywiście, poprawa pańskiego wizerunku wpłynie pozytywnie na odbiór partii, ale na pana miejscu rozejrzałbym się w szeregach za mocnym numerem dwa, który poprowadzi dalej ten wątek.

Sierpiński uśmiecha się przyciskając plecy do oparcia fotela. Dziś rano

marzył o tym, by internauci przestali produkować obsceniczne memy z jego wizerunkiem, teraz przez chwilę krótką jak mrugnięcie powieki dopuścił do siebie myśl, że przeprowadzka na Krakowskie Przedmieście jest w zasięgu ręki. Zobaczył siebie na zaprzysiężeniu, rozległy się słowa hymnu. Sen trwał krótko, ale i tak ciężko było się otrząsnąć.

- Prezydent Kazimierz Sierpiński. Nie powiem, podoba mi się brzmienie tych słów, ale obawiam się, panie Welkin, że to scenariusz, który nie ma szans na realizację.

- Rzeczywistość jest tym, co sami stworzymy. W żadnym momencie w historii nie mieliśmy dostępnych tak wielu środków, dzięki którym bylibyśmy w stanie kreować swój obraz na nasze przeciwieństwo. Nieustający strumień przekazu sprawia, że nikt już nie potrafi odróżnić fikcji od prawdy. Wszyscy funkcjonujemy w hiperrzeczywistości, w której symbole są ważniejsze od rzeczy, które reprezentują. Te symbole są tak wiarygodne, tak doskonałe, że są w stanie ukryć fakt, że rzeczywistość nie istnieje. Współczesny świat jest kopią bez oryginału.

- I uważa pan, że powinniśmy cynicznie wykorzystać ten fakt mówiąc ludziom dokładnie to, co chcą usłyszeć?

- Bynajmniej. Większość ludzi nie wie czego chce. To także trzeba im wyłożyć. Naszym zadaniem jest prezentowanie gotowych zestawów problemów i rozwiązań, pragnień i realizacji, pytań i odpowiedzi, oczywiście pozycjonując pana zawsze na dodatnim biegunie. W ten sposób zachowujemy pełną kontrolę nad narracją. Oponenci nie będą w stanie pana zaatakować jeśli zaatakuje pan siebie pierwszy trzymając na podorędziu wszystkie niezbędne argumenty.

I znów biała plama, ale w tej pauzie unoszą się echa słów. Sierpiński przygląda mi się z ciekawością. Blanka obraca pod stołem telefon. Adwokat wyzerował swoją whisky, policzył wszystkie obrazy na ścianach salonu a teraz zastanawia się czy faktycznie będzie musiał wykonać jeszcze jeden kurs przez miasto. Wydaje mi się, że na

zewnątrz przestało padać. Mam ochotę wyjść stąd i rozpłynąć się w ciepłej miejskiej nocy. Jeszcze chwila.

- Rozumiem, że może mieć pan zastrzeżenia co do strategii, które proponuję i poddawać w wątpliwość ich moralne aspekty, ale po drodze na to spotkanie przeczytałem, że w Białymstoku w ramach walki z LGBT ktoś spalił biuro Rainbow Tours. To jest kraj, w którym żyjemy. Tu jest naprawdę dużo pracy do zrobienia. Myślę, że nikt nie zauważy jeśli trochę bardziej popsujemy Polskę zanim zaczniemy ją naprawiać. To, co się tak naprawdę liczy to fakt, że Polacy dostaną prezydenta, na którego zasługują. Dopiero wtedy będzie można mówić o prawdziwym nowym początku.

Właśnie z tą myślą chcę go zostawić. Chcę, żeby żył z nią jak z rakiem, bez końca obracał ją w głowie i oglądał pod światło, żeby marzył o rzeczach, których nie może mieć, stawał wyprostowany przed lustrem, układała orędzia i pomnażał swoją władzę. Niech zasłoni mu wszystko na co patrzy. Niech go spali na popiół.

- Nietrudno będzie o prezydenta lepszego niż Rogucki. Jego największym atutem jest wysoka tolerancja na alkohol. Zakładając… – widzę jak przez ułamek sekundy próbuje się wycofać nieświadom, że już przekroczyliśmy horyzont zdarzeń. – Zakładając – powtarza, – że przemyślę temat i zdecyduję się skorzystać z pańskich usług, panie Welkin, o jakich warunkach współpracy mówimy?

- Bitcoin miesięcznie po kursie z dzisiaj, płatne z góry do samych wyborów. Będę też potrzebował skompletować niewielki zespół. Na początku wystarczą dwie osoby: informatyk i ktoś, kto popracuje nad pańską mową ciała. No i oczywiście podstawowa kwestia czyli całkowita szczerość między nami. Bez tego nie będę w stanie dla pana pracować.

- To akurat już sobie wyjaśniliśmy – odpowiada unosząc się lekko w fotelu – Edwin odwiezie pana do domu.

- Nie ma takiej potrzeby, jest ciepło, z przyjemnością przespaceruję się i złapię taksówkę.

- W takim razie życzę panu udanego wieczoru.

- Wzajemnie.

Wrota grobowca zamykają się za plecami z głuchym echem i mogę myśleć już tylko o tym, co przede mną. Wychodzę na zewnątrz stąpając po wilgotnym chodniku ze świadomością każdego kroku, każdego stuknięcia podeszwy o beton, chrzęszczących ziarenek piasku, które przyniosła woda spływająca ulicami i wysuszył wiatr. Ziemia oddaje ciepło, które wlało w nie lipcowe słońce, pożera kałuże spragniona każdej kropli, oddycha. W powietrzu unoszą się zapachy mokrych gałęzi, spalin, perfum i jedzenia. Przez ułamek sekundy świat zapomina o mnie, a ja mogę skorzystać z chwili jego nieuwagi i ruszyć w każdą stronę, pociągnąć za dowolny z wątków wystających z ciemności i stać się jego częścią pisząc kompletnie odmienną historię. Za rogiem dostrzegam knajpę, w której skończę ten wieczór. Rozświetlone wnętrze jest wciąż pełne najedzonych i pijanych ludzi, ale stoliki na zewnątrz przetrzebione aurą pozwalają znaleźć miejsce z dala od świateł, trzaskających drzwi, kolizji naczyń ze stołem i opowieści zawsze znajdujących sposób, by zmącić powierzchnię mojego wewnętrznego spokoju i zamyślenia, które wypełniają mnie teraz we wzorcowych proporcjach. Zajmuję stolik najdalej od wejścia i siadam pewnie na wilgotnym krześle. Popielniczkę wypełnia czarna maź, w której pływają złamane glisty z grzbietami umazanymi różową szminką. Wiatr zawiewa kwaśny zapach znad ich grobu i myślę sobie, że mógłbym zamordować kogoś za jedno porządne cygaro, łyk rocznikowego primitivo i Loscil puszczone z winylu na granicy słyszalności.

Kelnerka podchodzi do szyby i mruży oczy wypatrując ruchu w ciemnościach. Przez moment jest postacią z obrazu Hoppera, zamkniętą w kolorowym akwarium, zamrożoną w czasie, której mogę bezkarnie się przyglądać. Ekran zegarka rozświetla wiadomość, ona zauważa mnie, zgarnia menu z baru i rusza pewnym krokiem na zewnątrz.

- Mam nadzieję, że nie czekał pan długo.

- Proszę się nie przejmować, noc jest dziś wyjątkowo przyjemna.

- To prawda.

- Czy jest szansa, że dostanę cygaro, kieliszek czerwonego wina i puścicie państwo Loscil?

- Niestety, tylko to co w karcie. A jeśli chodzi o muzykę, to wyłącznie indyjska. Wyłącznie.

- Poproszę whisky z lodem w takim razie. Przy okazji, Evan Rachel Wood jest do pani bardzo podobna.

- No tego jeszcze nie słyszałam.

- Naprawdę?

- Zwykle ludzie mówią, że to ja jestem podobna do niej. Dziękuję.

- Nie przejmowałbym się tym. W końcu to tylko wygląd.

Kobieta odbiera ode mnie kartę energicznym ruchem, roześmiane spojrzenie stygnie. Gdyby mogła zabrałaby też to „dziękuję". Po chwili wraca z zamówieniem, tym razem obywamy się bez słów.

Podciągam mankiet koszuli i sprawdzam wiadomość. Lipa wysłała mi przypomnienie o spotkaniu z Nowakiem na dziesiątą. Nad ogródkiem przeciągnięte sznury żarówek bujają się leniwie w rytm popchnięć lipcowego wiatru. Dziewięć pięter wyżej w oknach apartamentu Sierpińskiego wciąż palą się światła. Unoszę whisky w toaście, przykładam zimną krawędź do ust, kostki lodu chrzęszczą ślizgając się w górę i w dół. Pierwszy łyk z rzeki zapomnienia.

***

- Podążaj za swoimi marzeniami – uśmiechnął się Brygant. – Brzmi jak doskonały przepis na zarabianie minimalnej krajowej do końca życia.

Edwin zarzucił wypchany kijami wór na plecy i ruszyli na zielone.

Brygant maszerował przodem mocno gestykulując, on wlókł się z tyłu, depcząc swój cień, pochylając głowę przeszywaną bezlitosnymi promieniami słońca, nie spuszczając z celownika malutkiej chorągiewki wyznaczającej kres wędrówki, coraz bardziej pogłębiając dystans do lidera, garbiąc się i potulnie milcząc niczym chłopiec na posyłki, którym w istocie był.

- Powiedziałem synowi, że na marzenia to najpierw trzeba zarobić i posadziłem go w radzie nadzorczej Velo Media. Szczerze nienawidzi tej roboty, ale to zawsze lepiej niż ma nienawidzić siebie jak się okaże, że w życiu nie wyszło. No nie mam racji? Ty masz Edwin jakieś dzieci?

- Nie, nie mam.

- A żonę?

- Też nie.

- Taki to pożyje – uśmiechnął się odwracając głowę uzbrojoną w dwa rzędy śnieżnobiałych zębów (był całkowicie amerykański w tym swoim wyćwiczonym uśmiechu, jego twarz na każdym zdjęciu wyglądała identycznie). – A po co ty dźwigasz te wszystkie kije? Na zielonym tylko putter.

Edwin zrzucił z siebie torbę i przetarł pot z czoła. Ledwie zdążył wziąć prysznic, a już się spocił. Przed oczami śmignęło mu świeże wspomnienie porannej sztafety z sypialni do łazienki, z łazienki do kuchni, z kuchni do garderoby i z powrotem do sypialni gdzie w rozgrzebanej pościeli kompletnie nagi Oskar spał dalej w najlepsze. Dwa razy wczoraj go pytał czy nastawił ten budzik, a on dwa razy mu odpowiedział, że tak. Ale byli pijani, więc mógł chłopak zapomnieć. Albo Edwinowi mogło się tylko wydawać, że go zapytał.

- Mów mi o Kaziu – zarządził Brygant upuszczając piłeczkę i przymierzając się do uderzenia. – Nie przyjechałeś tu przecież słuchać farmazonów o mojej rodzinie. Jeszcze wystawisz mi rachunek za terapię.

- Nieoficjalnie: Sierpiński będzie ubiegał się o fotel prezydencki.

Brygant wbił kij w ziemię, uniósł daszek czapki i zmierzył Edwina wzrokiem.

- Czy on przed chwilą nie rozjechał swojej kariery na pasach?

- Ma zamiar wykorzystać to zamieszanie i obrócić je na swoją korzyść.

Czapka wróciła na zmarszczone czoło, a wielka głowa pokręciła się mechanicznie oceniając dystans pomiędzy piłką a flagą.

- Podziwiam ludzi takich jak on, kompletnie ignorujących rzeczywistość – skwitował biorąc anemiczny zamach. – Z drugiej strony w Polsce wszystko jest możliwe. Jeśli wyczołga się z tego grobu, poprę go.

Piłka śmignęła po trawie w kierunku dołka, zachwiała się na krawędzi ledwie wpadając w pole grawitacyjne czarnej dziury i poturlała dalej. Brygant zarzucił kij na ramię i podreptał w jej kierunku stawiając zamaszyste kroki (bujał się bardziej jak bałucki blokers niż prezes największej grupy mediowej w Polsce (człowiek może wyjechać z Łodzi, ale Łódź zostaje w człowieku na zawsze)). Dla Bryganta Sierpiński leżał na samej prawej krawędzi spektrum jego sympatii politycznych. Wszystko bardziej konserwatywne zwykł tytułować mianem „bandy jebanych oszołomów". Z drugiej strony po aferze taśmowej, dymisji Nowaka, drastycznym spadku zaufania wobec Ruchu Obywatelskiego i przegranych wyborach z Polską Inicjatywą Patriotyczną, gdy na portale wchodzące w skład jego grupy mediowej spadły oskarżenia o zbytni apologetyzm wobec ekipy rządzącej i nierzetelne komunikowanie nadużyć ówczesnego premiera, Brygant zaczął ostrożniej dobierać słowa i swoich sojuszników. Trzy lata później, z wizją wyborów na horyzoncie i truchłem prasy drukowanej stygnącej pod nogami, w obliczu otwartej walki o śladową uwagę odbiorców w internecie portale i blogosfera podlegająca Velo Media gotowe były opisać dowolną sensację niezależnie od kierunku z

którego ją przywiało, a Brygant mógł składać obietnice bez pokrycia przedstawicielom dowolnej opcji politycznej niczym profesjonalna dziwka z lasu, którą w mniemaniu Edwina zawsze był.

Drugie uderzenie było bezbłędne. Brygant ukucnął przy dołku, Edwin podniósł wzrok ku bezlitosnemu słońcu. Wydawało mu się, że na świecie nie pozostało już nic poza widokówkowym błękitem i fluoroscencyjną zielenią, niebo powoli opadało mu na głowę jak sufit jakiejś antycznej pułapki. On wklejony bez finezji w ten sterylny krajobraz poddawał się gorącym uderzeniom kaca, który wyżymał jego mózg z myśli i skręcał jelita w supeł. Gdyby mógł rozebrałby się do naga, zrzuciłby z siebie koszulę, rozpiął spodnie i zaprezentował pokaźną kolekcję tatuaży zdobiących jego plecy, o których wiedzieli jedynie ich autorzy i jego kochankowie. A później osunął się na ziemię i wczołgał cały do dołka, ogłuszył kijem (driverem, nie putterem), zrobił cokolwiek, byleby nie musieć znosić dłużej tych męczarni. Brygant, wciąż niezadowolony ze swojego wykończenia, przeciągnął go przez kolejne cztery stanowiska próbując uderzeń na pochyłym terenie i coraz częściej pudłując. Po drodze Edwin dowiedział się wszystkiego o szczepach winnych (primitivo podobno polewano podczas Ostatniej Wieczerzy) i cenach ziemi w Napa Valley.

- Wiesz, że ja Kaziowi życzę jak najlepiej, – powiedział Brygant gdy już stanęli na parkingu z dłońmi opartymi o klamki swoich błyszczących aut (rubinowa Bentayga deklasowała nie tylko Quattroporte ale i całą resztę pospolitego niemieckiego złomu) – tylko niech pamięta, że w grze o tron wszystkie chwyty są dozwolone. Będę przyglądał się uważnie rozwojowi wypadków. I jestem otwarty na propozycje, ale najpierw muszę zobaczyć potencjał, bo na dzień dzisiejszy to poruszamy się jedynie w sferze marzeń. I na litość boską nie pozwólcie mu już więcej pisać artykułów. Ten tekst, który przesłała mi Blanka… - zawiesił głos. – Niech to po prostu robi ktoś inny.

- Kompletujemy zespół od PR.

- Wybornie – odparł Brygant i zasalutował luźnym gestem,

który miał więcej wspólnego z rapem niż służbami mundurowymi.

Kilka sekund później jego krwisty Bentley wypadł z biblijnym rykiem na drogę i pomknął w kierunku Wilanowa zostawiając za sobą kłęby kurzu i spalonej żywcem benzyny. A Edwin nie mógł przestać myśleć o tym, jak we współczesnym świecie samochody stawały się coraz bardziej doskonałe i wykastrowane z emocji. Obłe puszki z miękkim środkiem wypchane technologią pozbawiającą nas prawa do podejmowania złych decyzji, otępiające swoich ubezwłasnowolnionych użytkowników ordynarnymi uproszczeniami, w towarzystwie których nuda stawała się synonimem komfortu. Jeszcze trochę i zaczną jeździć za nas – myślał przeskakując z pasa na pas – przywilej obcowania ze śmiercią stawał się z każdym rokiem coraz droższy.

Gdy wreszcie wszedł do domu z twarzą przemrożoną klimatyzacją i wciąż płynnym wnętrzem wydawało mu się że od rana minęło dwadzieścia godzin. Opadł ciężko na kanapę obok Oskara i położył głowę na jego udach. Jednym okiem obserwował jak dziewczyna w kusym stroju pokojówki szlachtowała gigantycznym mieczem zastępy robotów wykrzykujących swoim robotycznym głosem przypadkowe frazy (zabij! nienawiść! ból! kocham cię! rozpacz! miłość! musimy. to. przerwać!). Odpływał zasłuchany w zgrzyty stali i odgłosy eksplozji spod których wybrzmiewał anielski, eteryczny wokal o niewątpliwie arabskiej wrażliwości (cóż za połączenie!).

- Ta gra to czysty twardy egzystencjalizm – powiedział Oskar odkładając pada. – Powinieneś kiedyś spróbować. No chyba, że jesteś jednym z tych marudnych dziadów, dla których gry to strata czasu.

- Życie jest jedną wielką stratą czasu – odparł otwierając drugie oko. – Posprzątałeś. Dziękuję.

- Trzeba zrobić zakupy. W lodówce mamy tylko białe wino i sery.

- Można na tym przeżyć kilka dni.

- Jak spotkanie? Pograłeś w golfa? Załatwiłeś hajsik dla Kazia?

– ironizował.

- Chcę umrzeć – westchnął Edwin zaciskając mocniej powieki na samo wspomnienie o drodze krzyżowej w pełnym słońcu. – Naprawdę nie wiem po co ja to sobie robię. Obiecuję ci, Oskar – jego ton nagle spoważniał, przewrócił się na plecy skąd widział jedynie czubek nosa wystający z wypielęgnowanego zarostu i do tego czubka nosa począł wpychać swoje wizje – jak tylko skończymy tę kampanię sprzedam wszystko, zamknę firmę i polecimy do Argentyny. Bilet w jedną stronę. Osiedlimy się w Cordobie, będziemy jeździć na wakacje do Patagonii. Zgubimy się w tłumie ludzi, których ni w ząb nie będziemy rozumieli i to będzie piękne, wyobraź sobie, móc tak żyć bez tego pierdolenia o polityce, o pieniądzach, o pogodzie, o Polsce, o tym kto co powiedział, co sobie kupił, czym jeździ, jak żyje, gdzie komu co wkłada, z kim mieszka.

Oskar nie odpowiedział od razu. Był zbyt zajęty przegrywaniem pojedynku z nagim androidem.

- No chyba, że Sierpiński wygra wybory.

- Nie wygra. Proszę cię, kto na niego zagłosuje? Wszyscy ludzie, którzy go prostują nie mają jeszcze praw wyborczych.

- Propsują – poprawił go Oskar. – A ten wasz specjalista od wizerunku? Nie pomoże mu?

- To żaden specjalista od wizerunku. Prędzej płatny morderca. Nadaje się tylko do tego, by usuwać przeszkody z drogi, ale żeby wygrać wyścig trzeba przede wszystkim mieć czym jechać – spróbował metafory. – Szczerze mówiąc, to liczę, że mu zaszkodzi. Im szybciej ta farsa się skończy, tym lepiej.

Ekran zamigotał i zgasł. Odgłosy walki ustały otwierając drogę pustynnej melodii przywodzącej na myśl powietrze falujące ponad wypalonymi słońcem dachami jakiegoś anonimowego miasta, w którym mogliby być szczęśliwi. Pod powiekami zobaczył to wyraźnie – pomarańczowe światła odbijające się w wyszlifowanym bruku, białe stoliki o wygiętych nogach pod markizami knajpki przy kanale (tło

ostatniej sceny własnego filmu, którą mógłby powtarzać w nieskończoność), miękki wieczorny gwar, kojący niczym muzyka, robiący w sercu porządek. I zamarli tak we dwoje na tej kanapie na długie minuty, każdy pogrążony w swoim własnym śnie, dopóki utwór nie zgasł, a zza uchylonych okien nie wybrzmiały silniki. Edwin otworzył oczy i usta, ale nie zdążył zapytać czy śnili o tym samym. Ubiegł go nerwowy jazgot telefonu, który eksplodował w tylnej kieszeni spodni. Wygiął się w łuk i z trudem wygrzebał go spod siebie. Sierpiński Priv.

- Pierdolę, nie odbieram – powiedział do ekranu zanim odebrał.

***

Uchylone drzwi, a w progu Lipa o równie uchylonych ustach, które miały coś powiedzieć, ale teraz jedynie wpuszczają szybki oddech do środka, jej piersi unoszą się nieznacznie do góry i na boki i zamiera nadmuchana tym strachem. Zatrzymana w pełnym rozmachu z nogą wyciągniętą za siebie wygląda jak łyżwiarka figurowa. Nad głowami wyje alarm. W biurach, windach, na korytarzach, z palcami na klawiaturach i nieprzełkniętą kawą w ustach, w środku rozmowy i w głębi myśli hałas wciska w każdym z nas pauzę. Spojrzenia krzyżują się pomiędzy monitorami i przelatują przez pokoje szukając potwierdzenia. Tak działa instynkt stadny. Wszyscy nagle stajemy się figurkami ze szkła na parapecie. Wystarczy jeden gwałtowny podmuch, by strącić nas w chaos. Lipa patrzy na mnie zadając pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Może to tylko ćwiczenia. A może za sekundę świat błyśnie, huknie i zgaśnie nam w oczach, a ta chwila w której po raz pierwszy widzę cię przerażoną i nagą będzie jak łoskot przewracającego się drzewa, którego nikt nie usłyszał.

Gdzieś z tyłu otwierają się kolejne drzwi. Ochroniarze kierują wszystkich do wyjść ewakuacyjnych. Jest dziewiąta pięćdziesiąt dziewięć, miasto otrząsa się z porannych skurczy, upał powoli staje się nie do zniesienia. Podchodzę do drzwi, zamykam je cicho i przekręcam zamek. Czekam aż na zewnątrz zgaśnie każdy dźwięk,

wyłączą alarm, stuknięcia obcasów oddalą się, ustaną pytania i prośby, by zachować spokój, a ja będę mógł spojrzeć na świat oczami ostatniego ocalałego dzień po apokalipsie.

To niezwykłe uczucie poruszać się przez zamrożony czas, być w stanie obejrzeć każdy szczegół z dowolnej strony, zajrzeć rzeczywistości pod sukienkę i sprawdzić czy nosi majtki. Na ulicy pisk opon, syreny, nawoływanie, tu, na górze, słychać jedynie szczęk zamka i moje kroki gdy depczę rozrzucone po korytarzu kartki kierując się w stronę gabinetu Nowaka. Spoglądam na zegarek. Spóźniłem się tylko pięć minut, a ciebie już tu nie ma. Z siedziska fotela wciąż bije ciepło. Wybudzam komputer z uśpienia i podłączam pendrive'a. Program robi swoje, a ja przymierzam się do gabinetu, pochylam oparcie i zarzucam nogi na biurko. Pewnego dnia zajmę to miejsce. Zastygnę w tej samej pozycji, spokojny i spełniony, a pod powiekami mignie mi wspomnienie dzisiejszego poranka. Dopilnuję, aby tak się stało. W bukiecie długopisów i obgryzionych ołówków połyskuje nóż do rozcinania kopert. Chwytam go i opieram ostrze o krawędź blatu tworząc praktycznie niezauważalny ślad. Wysyłam do przyszłego siebie wiadomość w języku, który tylko my znamy. Jeśli możesz to przeczytać przyjacielu, to znaczy, że wszystko zrobiłem dobrze.

Ekran laptopa gaśnie i zapala się ponownie. Chowam pendrive'a do kieszeni i wskakuję na biurko dostrzegając gabinet z nowej perspektywy. Przez moment czuję się jakbym złamał kod gry, wyszedł poza ramy świata i oglądał rzeczy, których nikt nie powinien zobaczyć. Wyobrażam sobie jak rozpinam rozporek i zaznaczam swój teren. Ciepły strumień moczu uderza w stertę dokumentów na regale, kanonada kropli podskakuje na skórzanym fotelu, strugi fruną od lewej do prawej przez gabinet i wsiąkają w wykładzinę pokrywając ja chaotycznym wzorem, w którym widać silne wpływy twórczości Pollocka. Jeszcze przez chwilę delektuję się świadomością, że nie ma na świecie siły, która mogłaby mnie powstrzymać przed zrobieniem czegoś tak ordynarnego. Wreszcie zeskakuję na podłogę, dłonią ścieram z blatu ślady podeszw i ruszam do windy niezatrzymywany przez nikogo.

Na dole czas przyspiesza z nawiązką. Przeszklony hall jest wypełniony ludźmi w mundurach, błyska niebieskimi światłami jak wnętrze klubu. Strażacy czym prędzej kierują mnie do wyjścia. Za rzędem radiowozów i samochodów pożarniczych dostrzegam grupę pracowników biura. Kobiety palą cienkie fajki, faceci zagadują do kobiet. Wszyscy raz po raz spoglądają w okna czekając na fajerwerki, wyliczając rzeczy, których dzisiaj nie zrobią. Nowak stoi w drugim planie przy parkingu. Oparty o budę strażnika rozmawia przez telefon lustrując tłum. Nasze spojrzenia odnajdują się pomiędzy zadartymi głowami. Podnosi dłoń i woła mnie na zaległe spotkanie.

- Sześćdziesiąt koła w plecy – mówi do mnie lub do telefonu. – Który to raz w tym roku?

- Trzeci – odpowiadam zajmując miejsce w cieniu.

- Jakby ktoś chciał nas wysadzić w powietrze to po prostu by to zrobił, a nie marnował pieniądze i nasz czas. Pięćdziesiąt baniek rocznie. Tyle kosztują żarty znudzonych bachorów i obłąkanych staruchów ale to podobno moje auto służbowe dużo pali.

- Mieliśmy o czymś pogadać?

- W poniedziałek przyjdzie siostrzeniec Wolniaka. Wprowadź go w temat i znajdź mu jakieś zajęcie. Tylko takie żeby mógł się wykazać. Niech wie, że nie ma nic za darmo.

- Już się nie lubicie z Adamem?

- Łączy nas skomplikowana relacja, ale dobro partii jest naszym nadrzędnym celem. W końcu jesteśmy profesjonalistami.

- Wyślę go w takim razie na negocjacje do Magnussona. Przy odrobinie szczęścia utopi się w błocie.

- Idealnie. Przy okazji - słyszałeś co mówią na mieście o Sierpińskim?

- Że zamierza startować na prezydenta? Tak.

- Tępy chuj nie potrafi sterować autem, a co dopiero krajem.

Podobno poszedł do Bryganta po pieniądze na kampanię.

- Słusznie. Jacek jest jak bank. Zainwestuje w każdego, jeśli będzie miał gwarancję zwrotów. A Sierpiński pewnie chce wykorzystać zamieszanie wokół własnej osoby.

- Lepiej niech się baran skupi na przekroczeniu progu wyborczego z tą swoją śmieszna partią. Kurwa, Arturze, ja już nie wiem co się z tą Polską dzieje. Teraz mamy wodza ochlejmordę, który trzeźwieje tylko w Święto Niepodległości. Tylko patrzeć jak następnym prezydentem zostanie jakaś transseksualna abominacja i mianuje swojego konia ministrem spraw zagranicznych.

- Historia lubi się powtarzać.

- Jak mamy kopiować Rzymian to niech wrócą też niewolnicy i orgietki. Wtedy przynajmniej sobie odpoczniemy i poruchamy. A propos – rozgląda się po twarzach w tłumie – nie chcesz oddać mi swojej asystentki? Marta przenosi się do kadr.

- Nie ma mowy. Lipa to najlepszy pracownik na zakładzie.

- Od razu wiedziałem, że coś tam się między wami kręci.

- Nie jest w moim typie. Przed chwilą skończyła studia. Poza tym nie ma prawa jazdy.

- A co to ma do rzeczy?

- Kobieta dla mnie musi spełniać dwa warunki: mieć co najmniej trzydzieści lat i potrafić dobrze prowadzić.

- Dość osobliwe kryteria.

- Pomagają uniknąć tych, które nie potrafią podejmować decyzji. Nie znoszę niezdecydowania.

- Amen – Nowak energicznie uderza piętą w blaszaną budę. – Przysięgam ci, że roztrzaskam talerz na głowie następnej suce, która po kwadransie gapienia się w kartę stwierdzi, że „dla niej obojętnie”.

- Myślałem, że już nie jadasz na mieście?

- Bardzo, kurwa, śmieszne – rzuca z przekąsem odklejając plecy od ściany – Jadam. Tylko nie rozmawiam już o polityce w miejscach publicznych.

Telefon Nowaka budzi się do życia przypominając mu, że wciąż trzyma go w dłoni. Żegnamy się ledwie skinieniem. On odbiera i maszeruje w dół ulicy, przyspiesza i zwalnia krokami wybijając rytm rozmowy, ja przeciskam się przez tłum.

- Weź sobie resztę dnia wolnego – mówię przechodząc obok Lipy. – Ja tu już nie wracam.

- Jakoś mnie to nie dziwi – rzuca pod nosem i odprowadza mnie wzrokiem do samego auta. Czuję te jej karcące spojrzenie na plecach. Wiem, że stoi tam zastanawiając się nad dysproporcją i uprzywilejowaniem w tym pękniętym świecie, nie mając nawet pojęcia, że właśnie uratowałem jej tyłek. Ale ma jeszcze czas żeby zatruć się naszą goryczą, przesiąknie nią i tak spędzając swoje dni za kulisami teatru, przyglądając się z bliska jak wiele kunsztu i charakteryzacji wymaga stworzenie wiarygodnej iluzji. Wreszcie sama napisze dla siebie rolę w tym przedstawieniu i wejdzie w nią gładko przejmując kontrolę nad każdą emocją, znając wszystkie kwestie od dawna na pamięć. Póki co, niech się cieszy, że strzaskane szkła jej różowych okularów jeszcze nie całkiem wypadły z oprawek. Póki co, niech przychodzi punktualnie na ósmą w wyprasowanej koszuli i uśmiecha się nawet jak ma kaca, wynajmuje kawalerkę na Pradze z dobrym dojazdem do centrum, spędza wieczory na kanapie albo odświeża kontakty ze znajomymi ze studiów tylko po to, by przez cztery bite godziny wysłuchiwać o problemach młodych małżeństw, planując z tyłu głowy wycieczki camperem po Europie i przysięgając sobie sologamię, przesiaduje w modnych kawiarniach, rezerwuje pojedyncze miejsce w kinie, kupuje książki, których nie ma czasu czytać i dzwoni co drugi dzień do mamy opowiadając jej co nowego w wielkim mieście.

Właśnie ewakuowali nasze biura, ktoś wysłał maila do administracji, że w budynku jest bomba. Stoimy na ulicy, jest straszny upał. Szef dał

mi wolne i pojechał na Czerniaków zamordować człowieka. Teraz przebija się przez centrum do Wisłostrady i rusza na południe trasą, którą w feralny wieczór podróżowała limuzyna Sierpińskiego. Trzyma się prawego pasa, jeśli ruch mu na to pozwoli przetnie rondo Jawaharlala Neru na późnym pomarańczowym z prędkością stu dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Chce odtworzyć warunki wypadku, zobaczyć jak skonstruowane jest skrzyżowanie, czy trudno tam rozjechać przechodnia. W ciemności na pewno łatwiej. Teraz nie ma ani jednej chmury na niebie. Z estakad spływają auta, ich dachy błyszczą w pełnym słońcu za rzędami brudnych ekranów akustycznych. On podnosi wzrok i patrzy jak metalowa krew leniwie przelewa się przez arterie miasta. Przyspiesza i wpada autem w cień. Podmuch ledwie porusza tęczowymi flagami rozciągniętymi pomiędzy filarami wiaduktów, ale porywa spojrzenia kilku pikietujących tam osób. Wyjące BMW znika wchłonięte przez ruch, ale po chwili wraca i przemyka ponownie w przeciwnym kierunku. Coraz więcej oczu śledzi czarny pocisk gdy oddala się do najbliższego skrzyżowania, by zawrócić. Kobieta podnosi się ciężko z ogrodowego krzesełka, stąpa ostrożnie pomiędzy osmolonymi skorupami zniczy zatopionych w martwym jeziorze stearyny i staje przy krawędzi jezdni z telefonem w ręku celując aparatem w nadjeżdżające auto. Limuzyna nagle zwalnia, skręca i wpada na parking pod salonem samochodowym. Kobieta mruży oczy, kręci głową a w niej zapewne obijają się myśli o idiotach w drogich furach traktujących ulice jak prywatny tor wyścigowy. Rozgania je wszystkie kolejnym potrząśnięciem i wraca na krzesło.

Artur wysiada z klimatyzowanego wnętrza prosto w falujący skwar. Powietrze jest ciężkie, zużyte i pozbawione tlenu. Oddech miasta śmierdzi gotowanym betonem i spalinami. Rzędy bloków odbijają ciepło niczym ściany piekarnika. On rusza powoli przedzierając się centymetr po centymetrze przez oblepiający upał. Rozpina kołnierz i podciąga rękawy jak przed porządną bójką, ale pięści wkłada do kieszeni. Pomiędzy palcami obraca pendrive'a. Druga dłoń zamienia kluczyk od auta na telefon. Przykłada go do ucha, przechodzi przez ulicę i robi zdjęcie zgromadzonym pod wiaduktem. Jest ostrożny, by nie zwracać na siebie uwagi. Odwraca wzrok, gdy kątem oka

rejestruje jak jedna z osób odłącza się od grupy i rusza prosto w jego kierunku. Mężczyzna przekracza dwoma susami ścieżkę rowerową i przebiega przed nim po pasach zdążając na ostatni błysk zielonego światła. On zostaje na samotnej wyspie po środku. Odprowadza mężczyznę wzrokiem dopóki mieniąca się w słońcu blond czupryna nie zniknie za rzędami przejeżdżających aut rozpływając się w bezlitosnym blasku sierpniowego dnia.

Później rusza przed siebie, przechodzi sto metrów i opada ciężko na ławkę przystanku. Półprzezroczysta wiata daje tylko częściowe schronienie. Podjeżdża autobus linii 131, drzwi otwierają się z sykiem, a ze środka wysypują się ugotowani ludzie. Po chwili znów jest pusto. Tylko pędzące auta podnoszą kurz z rozgrzanego asfaltu, z monotonnego warkotu przebijają się na powierzchnię odległe syreny, wkurwione klaksony i sporadyczne piski. Mężczyzna siedzący obok odrywa wzrok od telefonu i ciężko wzdycha. Spogląda ponad głową Artura pod wiadukt wypatrując na roztańczonym upałem horyzoncie obiecanego środka transportu, który zabierze go z tej beznadziei, a później zrozumienia na twarzy współtowarzysza niedoli.

- Słońce nie ma dziś litości – odzywa się. – To ma być najgorętszy dzień roku.

- Czterdzieści jeden stopni. Nowy rekord.

- Myśli pan, że to da trochę ludziom do myślenia?

- Jest taki mem z pieskiem w płonącym domu. Zna go pan?

- Wszystko jest w porządku – odpowiada sam sobie. – No tak.

- Z drugiej strony nie można oczekiwać od ludzi żeby przejmowali się planetą gdy im rośnie rata kredytu.

- Niby dlaczego?

- To umniejsza wadze ich problemów. Sprawia, że sami stają się jedynie elementem w zbiorze, rozdziałem opowieści, która ma się później toczyć bez ich udziału. Pan chciałby grać epizodyczną rolę w historii swojego życia? Poświęcić się dla dobra ogółu? Nawet jeśli ego

jest przyczyną wszystkich naszych cierpień, nikt z nas nie jest wystarczająco silny, by je zabić, panie Gajowy. Dlatego wolimy poświęcać innych.

- Przepraszam, czy my się znamy?

- Oglądam czasem pańskiego vloga. Od wypadku jest pan bardzo aktywny na youtube. To stało się pod tym wiaduktem, prawda?

- Wolałbym nie poruszać tego tematu.

- Oczywiście. Proszę mi wybaczyć, ale nurtuje mnie jedna kwestia i muszę o nią zapytać. Pan numeruje swoje filmy. Zauważyłem, że na kanale brakuje sześćdziesiątego czwartego odcinka.

Mężczyzna otwiera usta i traci głos. Upał wciska go mocniej w ławkę gdy dociera do niego, że został osaczony, że w tym spotkaniu nie ma przypadku. Codziennie około południa przyjeżdża tu autobusem linii 180, by spotkać się z manifestującymi pod wiaduktem. Przywozi im napoje, rozmawia, nagrywa film na kanał, czasem udziela wywiadu. Chce aby ogień, który rozpalili po śmierci Romka nie zgasł łatwo. Wiele osób widzi w nim lidera, który może dokonać realnej zmiany, wyprowadzić Polskę z mentalnego średniowiecza. W głowie wciąż słyszy pisk opon i huk blachy, na pasach błyszczy krew, mimo, że już dawno zmył ją deszcz i rozjechały samochody i to przerażą go i jednocześnie motywuje żeby wyjść z domu nawet w dzień taki jak ten.

Artur podnosi wzrok ku bezchmurnemu niebu. Telefon w jego dłoniach odtwarza ledwie słyszalny dialog, ale mężczyzna zna każde słowo. Nie musi patrzeć na ekran, by ujrzeć siebie pchającego jedną ręką wózek i Romka w dolnej części kadru podążającego wzrokiem za obiektywem. „Cześć, dzisiaj będzie odcinek bardziej na luzie” – zaczyna. „Jest dwudziesty pierwszy marca, mamy piękny wiosenny dzień, więc postanowiliśmy wyjść z domu i odwiedzić park. Przy okazji sprawdzimy jak wyglądają po zimie–„ – głos urywa się. Film przeskakuje dalej. „A teraz odpowiemy na pytania, które pojawiły się

pod naszym ostatnim vlogiem. Marika22 pisze: od kiedy jesteście razem?". Pauza. „To już będzie ze trzy lata" – odzywa się głos zza grobu.

- Proszę to wyłączyć!

- Poczekaj, teraz będzie mój ulubiony fragment.

Artur przechyla ekran w stronę mężczyzny. W kadrze dwie twarze na tle parkowej zieleni. „Już ci mówiłem, że jak będziesz mi przerywał, to cię wepchnę pod samochód. Tak właśnie z tobą skończę" – oświadcza jego własny głos. Na przystanek zajeżdża autobus linii 180. Drzwi otwierają się i zamykają wypuszczając pojedynczego pasażera.

- To był tylko głupi żart – przeciska przez zęby.

- Jutro ten fragment pojawi się na każdym liczącym się portalu z wiadomościami. Policja otworzy nowe dochodzenie i bardziej skrupulatnie prześwietli twoje relacje z panem Zakrzewskim. Śledztwo będzie ciągnęło się miesiącami. Zanim je umorzą z braku dowodów twoja reputacja zostanie kompletnie zrujnowana i nikogo nie będzie obchodziło co masz do powiedzenia na swoją obronę. Każdy dopisze własną teorię do wydarzeń z lipca. Przeczytasz milion obrzydliwych komentarzy na wasz temat. Ludzie przestaną przychodzić pod wiadukt, znikną flagi. Ostatecznie, wszystko, co zrobiłeś dla środowiska LGBT nie będzie miało żadnego znaczenia. Ktoś upubliczni twój adres domowy, ktoś inny powybija szyby w twoich oknach. Będziesz miał dosyć oglądania się za siebie na ulicy i wyjedziesz z miasta, ale smród będzie ciągnął się za tobą latami.

- Kim ty jesteś? Dlaczego to robisz?

- Nie przejmuj się mną. Ja jestem duchem. Jestem nikim. A tak naprawdę jestem twoim przyjacielem, bo daję ci możliwość znalezienia lepszego wyjścia z tej sytuacji.

Przed oczami mężczyzny mkną auta bez dźwięku.

- Chcesz żebym się wycofał?

- Chcę żebyś skasował swój kanał na youtube, konto na facebooku i twitterze. Chcę żebyś przestał udzielać wywiadów i zachował powściągliwość w rozmowach prywatnych. Świat ma jak najszybciej o tobie zapomnieć. Wytłumacz się wypaleniem, depresją, żałobą. Powiedz im co chcesz, a później nie mów już nic. I żyj spokojnie bez strachu. Inaczej ty i pamięć o wszystkich, których kiedykolwiek kochałeś zostanie zniszczona.

Artur wstaje i wychodzi spod wiaty. Jego biała koszula razi odbitym światłem, cień pod stopami jest czarny jak plama farby.

- Jutro będę wiedział jaką podjąłeś decyzję – mówi i oddala się w kierunku, z którego przyszedł.

Każdy z nas czasem tak robi – przyjmuje perspektywę trzeciej osoby i zachowuje się jakby był narratorem własnego życia. Chwyta dystans od słów, które wypowiada i rzeczy, które musi zrobić. Wszystkie podjęte decyzje i przyszłe możliwości mieszkają w pamięci i wyobraźni. A jeśli istniejemy tylko w jednym miejscu w czasie i przestrzeni – tu i teraz – tym łatwiej nam uciekać, wystarczy ruszyć w dowolną stronę. Niektórzy znikają na chwilę, inni całe życie mieszkają poza sobą. W łóżkach leżą obok siebie ciepłe kukły wypchane marzeniami, w niedzielnej zupie toną puste spojrzenia. A co u ciebie, mamo?

***

Daniel Vermont był gotowy. Na haku wbitym w sufit zawisła zielona lina. Tubę z klejem umieścił na szafie, w zasięgu dłoni. Otworzył wieko laptopa, przez chwilę szukał odpowiednich znaków na klawiaturze, by wpisać hasło, jego myśli wciąż odpływały w przyszłość, do miejsca, w którym miał się za chwilę znaleźć. Wycelował obiektyw aparatu w pustą przestrzeń pomiędzy liną a krzesłem i zablokował autofokus (reszta syfu w mieszkaniu szczęśliwie zniknęła w głębi ostrości). Przez okna, pomiędzy uchylonymi żaluzjami przeciskały się strumienie pomarańczowego światła. Zachód słońca i wąskie cienie spływające po wszystkich powierzchniach jak linie pomocnicze rysunku na zaliczenie z perspektywy przywoływały

wspomnienia, których nie był w stanie zidentyfikować (być może wnętrze biura z tego filmu noir: najpierw długie ujęcie wprowadzające, później uchylające się drzwi, a w nich – jak zawsze – kobieta pełna seksu i problemów – najbardziej mordercze i najczęściej spotykane połączenie (tylko tamten film był czarno-biały, nie mogło być mowy o ciepłej barwie złota i krwi, która zalewała jego salon)).

Daniel Vermont stanął na krześle, złapał linę oburącz i przełożył głowę przez pętlę. Dobra lina, by powierzyć jej życie – myślał dzień wcześniej w Decathlonie ważąc w dłoni estetycznie zapakowany zwój. Ciężar skojarzył mu się z jakością, ale skoro ani razu się nie wspinał ani nie wieszał, wrażenie mogło być mylne. Najważniejsze, że mieli na nią dobrą promocję. Znalazł w kieszeni pilot i włączył nagrywanie. Czerwona dioda ukuła go prosto w oko wstrzykując do głowy strach (to już!). Ale Daniel Vermont był gotowy. Miał linę, klej i odpaloną kamerę. Miał spisany testament i zaplanowaną automatyczną wiadomość, która następnego dnia miała powiadomić wszystkich o jego śmierci. Choć na jego ciele powyżej pasa ciężko było znaleźć wolne miejsce udało mu się wcisnąć na kark jeszcze jeden tatuaż. „Miłość to patrzenie jak powoli umierasz. A patrzenie jak umierasz jest trudne" (co oczywiście po angielsku brzmiało dużo bardziej poetycko). Sentencję zawinął wokół odwróconego pika, który w tej konfiguracji stał się sercem z klinem wbitym w sam środek. Mimo, że ledwie ściągnął folię z tatuażu, cały był gotowy. Poprzedniego wieczora wypił litr podrzędnego rumu i w przypływie fantazji zapłacił dwóm prostytutkom, by namiętnie się całowały podczas gdy on kompletnie nagi siedział po turecku w nogach łóżka i czytał im swoje wiersze. Czar prysł, gdy przyszło do płacenia (osobliwe fetysze zawsze są najdroższe), ale przez moment poczuł się jak w prawie zapomnianym śnie, który nie chciał mu się nigdy drugi raz przyśnić.

Daniel Vermont był gotowy. Sięgnął po tubę z szybkoschnącym klejem, wysmarował sobie nią obie dłonie i klasnął za plecami zlepiając ze sobą skórę palców (klej wiązał mocniej i szybciej niż się tego spodziewał). Wziął głęboki oddech i wykopał spod siebie krzesło. Hak jęknął, sufit sprószył tynkiem jego głowę, lina naprężyła się, a on

zawisnął dziesięć centymetrów nad drewnianą podłogą z jednym butem na stopie i mózgiem przełączonym w stan paniki. Pomimo niewyobrażalnego bólu promieniejącego z zaciskającej się krtani i wrażenia, że lada moment jego głowa oderwie się od reszty ciała, podciągnął kolana do piersi i podjął próbę przełożenia złączonych rąk do przodu. Od razu uświadomił sobie, jaki popełnił błąd. Dłonie były zbyt blisko siebie. Kajdanki, z którymi ćwiczył dawały mu niespełna centymetr przestrzeni więcej (on nie chciał kajdanek, o których wiadomo, że w rękach iluzjonisty są jedynie niuansem bez wagi), ale w tej różnicy zmieściło się właśnie całe jego życie. Całe trzydzieści pięć lat robienia z siebie błazna zwieńczone szczytowym osiągnięciem skrajnego idiotyzmu. Z prologu życia przez spleen dojrzałości prosto w rigor mortis. W oddali zadzwonił telefon. Daniel otworzył oczy i nie zobaczył nic. W mroku słychać było jedynie wibrujący dźwięk, który tak samo jak on gasł. Wreszcie przestał walczyć. Swobodnie spadł na samo dno kojącej ciszy i ciemności.

Pierwsze, co poczuł to szarpnięcie w górę, jakby wylądował w windzie mknącej w kierunku ostatniego piętra. Jego ciało ważyło tonę, jedynym, co nie poddało się bezwzględnej sile ciążenia były powieki. Przełknął żyletkę stojącą mu w gardle i trwał przez minuty sparaliżowany próbując skupić wzrok na szarej plamie pulsującej tuż przed nosem. Każdy z nas widzi swój nos przez całe życie tylko mózg wycina go z kadru – przypomniał sobie i zaczął oddychać świadomie. Wdech, wydech, wdech, wydech. Ślina napływała mu strumieniami do ust. Po tym poznał, że wciąż żyje. Czwarta próba podniesienia głowy zakończyła się niepowodzeniem, ale kolejne huknięcie skronią w podłogę wyregulowało ostrość i ujrzał leżący tuż obok metalowy hak z gwintem utytłanym tynkiem, który sam dzisiejszego przedpołudnia wkręcił w sufit szczęśliwie partacząc robotę.

- Prawie, kurwa, umarłeś ty pierdolony pojebie – wybrzmiała jego afirmacja życia (bo czy jest na tym świecie coś dobitniej podkreślającego fakt, że życie wciąż nas obchodzi niż wyegzaltowane wulgaryzmy?).

Daniel Vermont był gotowy poruszyć się, ale przywrócenie pionowej

pozycji, gdy jego dłonie wciąż związane mocnym klejem drętwiały mu za plecami, okazało się wyjątkowo trudne. Wykonał kilka gwałtownych ruchów. Przewrócił się na brzuch, podciągnął pod siebie nogi i rozjechał ponownie szorując barkiem po śliskim parkiecie. Powtórzył tę sekwencję kilkukrotnie, pełzając z salonu do łazienki niczym psychodeliczna interpretacja robaka-samobójcy, znacząc ślad swojej pielgrzymki potem startym z czoła. Wreszcie zaparł się o pralkę i usiadł. Zębami otworzył szafkę pod zlewem, odwrócił się do niej plecami i po omacku wydobył z wnętrza butelkę acetonu. Obficie polał dłonie rozpuszczalnikiem. Palce puszczały po kolei od najmniejszego. Separował je pojedynczymi szarpnięciami i czuł jakby centymetr po centymetrze zrywał z nich skórę. Uwolnił ręce, zrzucił stryczek z szyi i wziął głęboki oddech, który w drodze powrotnej przerodził się w śmiech, a zakończył kaszlem. Cały wypełniony bólem i ulgą kulił się w sobie i krztusił wdzięczny za każdy łyk powietrza przesyconego ostrym, chemicznym zapachem. Gdy konwulsje ustały, zebrał się z podłogi i wyszedł odwracając wzrok od lustra. Nie był jeszcze gotowy, by spojrzeć w twarz kretynowi, który go tak urządził.

Stanął na balkonie, włożył papierosa w usta i długo obserwował jak noc połyka miasto. Ulicami powoli ciągnęły auta odmawiające klaksonami modlitwę o koniec dnia. Zimny wiatr hulał nad czarnymi dachami i wyciągał dym z jego rozchylonych ust. W oknach zapalały się światła. Daniel przyglądał się tym małym pomarańczowym światom zamkniętym w klatki i uporządkowanym w rzędy, stawał się przypadkowym świadkiem fragmentów historii wyrwanych z kontekstu, które nie mogły nic dla niego znaczyć, ale dla tych osób były całym ich życiem. Chciał stać się częścią przedstawienia, zejść na dół i zgubić się w rytmie miasta łapiącego oddech po długim tygodniu. Usłyszeć głos i muzykę. Chwycić czyjąś dłoń i włożyć pomiędzy palce coś więcej niż pustkę i papierosy. Wypuścił dym i zawrócił do salonu. Jego wzrok zatrzymał się na krześle rzuconym w kąt. Podniósł głowę i ujrzał czarną dziurę łypiącą na niego z sufitu. Cały w niej zniknął. Przypomniał sobie to uczucie, gdy na chwilę umarł. Ciało bez wagi, serce bez pragnień. Perfekcyjny spokój, w którym nie istniał ból ani czas był wciąż na wyciągnięcie ręki. Tak łatwo przechylić się na drugą

stronę – pomyślał. Mrok, w którym ledwie się zanurzył zamieszkał w nim już na zawsze.

***

Światła ostre jak na sali operacyjnej uciekają przed moimi krokami, spływają po wyprostowanych grzbietach książek. Kolorowe opakowania krzyczą z półek obietnice, wpraszają się do moich oczu. W powietrzu wciąż unosi się zapach śmierci. Spoglądam na puste krzesła i wyłączone mikrofony. Chłopak opisany plakietką z imieniem i usprawiedliwieniem nurkuje pod stół i wygarnia spod niego drobno porwane strzępki papieru, bezwiednie skubane, rozrywane włókno po włóknie, wypuszczane spomiędzy palców okruchy stresu. Gdy wstaje wali głową w krawędź tak mocno, że jestem w stanie nie tylko usłyszeć, ale też poczuć jego ból. Rafał-uczę-się-beznazwiska przemyka przez pobłażliwe spojrzenia ze łzami w oczach masując rozłupaną czaszkę i gubiąc wszystko, co pozbierał. Ja zatrzymuję się przy stosie i podnoszę książkę. Czerwoną cegłę opisaną nazwiskiem i tytułem. Czuję jej wagę w dłoni, sztywna oprawa nie poddaje się palcom, taką książką można z powodzeniem kogoś zatłuc. Korci mnie żeby zajrzeć do środka, wyłowić przypadkowe zdanie z rozsypanych słów i wypowiedzieć je na głos do pierwszej napotkanej osoby.

- Spóźnił się pan na spotkanie autorskie – mężczyzna staje obok i sięga po tytuł, przygląda się przez chwilę okładce, czyta blurb, bezwiednie kartkuje zawartość czekając na moją reakcję.

- Pandora pokochała go na własność i dlatego wciąż marzyła o jego śmierci – mówię mu.

- Słucham?

- Proszę się mną nie przejmować, to gra, którą czasem urozmaicam sobie rzeczywistość.

- Czy to gra w zdradzanie fabuły książki przypadkowym osobom?

- To akurat niezamierzony efekt uboczny. Zasady są nieco

bardziej złożone.

- Mówią, że to dobry tytuł, choć brak mu polotu debiutanckiej powieści. Pierwsza książka Otto była arcydziełem. Z jednej strony romans, z drugiej dysekcja szaleństwa, historia która nawet w swoich najmniej wiarygodnych momentach wciąż brzmiała niezwykle realistycznie. Liczyłem na autograf. Podpisane łatwiej sprzedać, zwłaszcza jak autorka pojawia się publicznie po raz pierwszy od pięciu lat. Pan zamierza to przeczytać?

- W żadnym wypadku. Interesuje mnie tylko literatura faktu. To żadna przyjemność pławić się w wynurzeniach osób ściśniętych kryzysem wieku i całej tej współczesnej apokaliptycznej biedafilozofii.

- Co pan powie w takim razie na wynurzenia nastolatków? Coraz więcej ich na półkach. Młode pokolenie zabiera głos.

- Tu już lepiej, ale wciąż daleko od ideału. Poza oczywistym wyjątkiem Rimbauda człowiek zawsze jest w niewłaściwym wieku, by pisać. Gdy ma ogień, brak mu umiejętności. Te przychodzą na starość, jak już nie ma nic wartościowego do powiedzenia i tkwi w swojej bańce odklejony od świata. Dlatego preferuję prozę czystą, rzeczywistą jak odsłonięty nerw, nie ukrywającą się za metaforą.

- Da pan jakieś przykłady?

- Był taki gość Dimitry Kuznetsov, któremu w podmoskiewskim slumsie odrąbali rękę. Napisał książkę o tym jak mu tę rękę odrąbywali. Można usłyszeć zgrzytanie zardzewiałego ostrza i chrupiące kości w tych akapitach. Czterysta stron żywego bólu.

- Zgaduję więc, że poezji pan nie dotyka?

- Jeśli jest coś mniej wartościowego od straconego czasu, to jest to właśnie poezja.

- Ja z kolei słyszałem, że poeci są zwykle bliżsi prawdy niż historycy. Życzę panu miłego dnia.

- I wzajemnie, panie Lorenc.

Mężczyzna podnosi wzrok, posyła mi pół złamanego uśmiechu i odchodzi równie urażony, co ukontentowany, że go rozpoznałem. Z piętnastu współczesnych polskich poetów, ten wciąż należy do elitarnego grona trzech nazwisk, które ktoś jeszcze wydaje.

Z książką pod pachą ruszam ku niewielkiej scenie. Wpatruję się w umazany brązową cieczą kieliszek i ponure, porzucone krzesło na którym spoczęła niczym bryła lodu, skąpana trupim światłem, błyszcząca czerwienią ust a pod powierzchnią rozsypująca się papierowym łupieżem upuszczanym spomiędzy palców. W tym miejscu zapach śmierci jest najbardziej wyczuwalny. Spoglądam na okładkę, na której wąż zaplata morderczy uścisk wokół serca. Adekwatne – myślę i rzucam powieść z hukiem na stół. Dla Artura z życzeniami udanej lektury poproszę.

BMW katapultuje się z garażu podziemnego galerii handlowej i mknie przez leniwy, poniedziałkowy ruch. Pędzę zygzakiem pomiędzy taksówkami oglądając film na telefonie, w którym wytatuowany mężczyzna w typie burtonowskiego anemika prezentuje karciane triki. Jego dłonie są w ciągłym ruchu. Pomiędzy palcami karty spływają jedna po drugiej wartką rzeką i zlewają się w pojedynczy kształt. Z pustej dłoni wystrzeliwuje wysoko w górę karowy król. Kręci piruety pod sufitem jasnego, zawalonego książkami i lustrami pokoju i spada wbijając się głęboko w grzbiet wachlarza nie burząc jego harmonii. Każdy gest jest pozbawiony przypadku, a gdy kończy, zatrzymuje się w bezruchu, jak ostatnia klatka nagle przerwanego filmu. Absolutna kontrola po ostatni oddech i mrugnięcie. Oto człowiek który okiełznał tiki i pozbył się grymasów, tych niekontrolowanych refleksów prawdy wypływających na powierzchnię naszych masek. Twarz jak fasada pozbawiona wejść. Jest kompletnie nieczytelny. Mógłbym go oglądać godzinami, a na koniec i tak poczułbym się jakbym cały ten czas gapił się w stuletni obraz namalowany bez referencji. Wysyłam film Sierpińskiemu. On oddzwania praktycznie natychmiast.

- Skoro przeszliśmy na ty, to teraz będziemy sobie wysyłać śmieszne filmiki w porze lunchu?

- To Daniel Vermont. Chcę żeby popracował nad twoją mową ciała.

- To jego prawdziwe imię?

- Nie mam pojęcia. Ważne jest to, co potrafi. Kontaktowałem się z nim w temacie szkoleń i jest otwarty na współpracę. Poza tym zrobi to za pół darmo.

- Dobra, poproszę Blankę żeby umówiła go na spotkanie. Coś jeszcze?

- Drugi temat jest nieco bardziej skomplikowany. Będziemy potrzebować człowieka z dość specyficznym zestawem umiejętności do moderowania dyskusji w internecie. Chcę żebyście zaszyli ogłoszenie w kodzie partyjnych stron. Treść i pełną specyfikację wyślę mailem jak tylko dotrę do biura.

- Jak to w kodzie stron? Ktoś to w ogóle znajdzie?

- Nikt. Albo osoba, której potrzebujemy.

Sierpiński milknie na chwilę, w której omijam buspasem rzędy aut spiętrzone przed skrzyżowaniem i wyskakuję na czoło stawki równo z błyśnięciem zielonego światła, zupełnie jakby cały wszechświat zmówił się żeby umożliwić mi ten manewr. Łapię oddech wolnej przestrzeni i znów wbijam się klinem w korek rozpychając go na boki, przedzierając się przez blachę i szkło centymetr po centymetrze aż wyprzedzę wszystkich, bezsensowna gra, w której można uczestniczyć, ale nie można jej wygrać.

- Spotkajmy się przed końcem tygodnia. Chcę poznać dokładny plan działań. Czas ucieka, a ja czuję, że stoimy w miejscu.

- Od piątku wieczora jestem poza miastem.

- W takim razie czwartek. Edwin potwierdzi godzinę i miejsce odbioru. Arturze…

Taksówkarz wyjeżdża z podporządkowanej prosto przed moją maskę. Jestem wystarczająco blisko, by uchwycić moment, w którym zauważa

kątem oka czerń wyrastającą w jego bocznej szybie, zaciska pięści na kierownicy, unosi barki, chowa pomiędzy nie swoją małą głowę niczym żółw cofający się do skorupy i cały sztywnieje antycypując śmierć. Rzucam autem na lewy pas obierając kurs kolizyjny z nadjeżdżającym autobusem i równie gwałtownie skręcam kierownicę obracając się o 180 stopni. Opony piszczą, tylny zderzak zakreśla szeroki łuk po niewłaściwej stronie jezdni i robi unik w ostatniej sekundzie. BMW wpada w wolną przestrzeń przed pojazdami czekającymi na zielone światło ustawiając się tyłem do kierunku jazdy. Czerwona książka odbita od schowka, drzwi i oparcia fotela ląduje na moich udach. Spoglądam przez przednią szybę i dostrzegam taksówkarza leniwie toczącego się w moim kierunku. Stajemy zderzak w zderzak. On unosi dłonie w geście pojednania. Ja składam palce w pistolet i celuję między parę wielkich oczu rozwartych strachem. Złotówa ocenia spojrzeniem spiralę świeżo zdartej gumy wyznaczające mój lot od krawężnika do krawężnika i składa ręce do oklasków albo modlitwy o litość. Za moimi plecami zapala się zielone. Uśmiecham się, wrzucam wsteczny i ruszam tyłem przez skrzyżowanie.

- Tak?

- Liczę, że doprowadzimy tę sprawę do pomyślnego końca.

- Nie widzę innej możliwości.

- To chciałem usłyszeć.

Do biura docieram z czterogodzinnym opóźnieniem. Lipa patrzy na mnie wzrokiem matki, która nigdy nie chciała mieć dzieci. Postanawiam, że nie będę jej fatygował i przewinę się sam. Staję przy kawomacie i wbijam podwójne espresso. Ona wyrasta tuż przy mnie niczym duch, ale dziś wyjątkowo nie straszy konsekwencjami, tylko przypomina o spotkaniu ustawionym na dziesiątą. Chłopak dalej czeka w hallu. Chudy blondas w przykrótkich i przyciasnych spodniach odsłaniających kostki, białej koszuli i czapce z wybitnie prostym daszkiem podnosi znużony wzrok znad broszury informacyjnej. Widać, że dupa wrosła mu w fotel, oczy zaszły mgłą od pełzania przez suche słowa. Młynek szatkuje ziarna zagłuszając nasze głosy gdy

rozgrywamy z Lipą kolejną partię werbalnego ping-ponga nie poganiając czasu.

Wreszcie ruszam do gabinetu i zgarniam go ze sobą. Siada w fotelu powoli, jakby przyzwyczajał ciało do lodowatej wody. W podobnym tempie wchodzi w rozmowę – najpierw eksponuje koniuszki informacji, wiek, edukacja, zainteresowania, nieważne pierdoły, które puszczam mimo uszu. Ale gdzieś tam w głębi, pod gęsią skórką i powiekami opadającymi na przekrwione oczy ilekroć nawiążemy kontakt wzrokowy schowany jest człowiek, którego muszę poznać. Wywabię go na zewnątrz albo wydrę siłą, bo chcę wiedzieć z kim mam do czynienia zanim ześlę go na galery. Dlatego pytam wprost co przeskrobał, że zmusili go do pracy w Gdace. Nikt nie przychodzi tu dobrowolnie, są lepsze miejsca żeby zmarnować ostatnie chwile młodości, zwłaszcza jeśli jego wujkiem jest sam prezes Wolniak. Chłopak unosi kąciki ust i natychmiast poważnieje. Jego spojrzenie wędruje po pomieszczeniu, ucieka przez okno w przygasły dzień, błądzi po szarych wieżowcach skulonych pod niskim sufitem z chmur, liczy ptaki na drucie rozciągniętym pomiędzy słupami. W szumie aut kolebiących się po bruku i biurowym zgiełku za plecami wyszukuje zwiastunów nagłego kataklizmu, który jest jedyną rzeczą mogącą go uratować przed odpowiedzią na zadane przeze mnie pytanie. Wreszcie przyznaje, że wpadł z taką jedną.

Poznali się na uczelni. Chciał ją namówić żeby usunęła ciążę, ale ona powiedziała, że wychowa dziecko nawet bez jego pomocy. Obiecał, że jej nie zostawi samej z problemem. Nie miał innego wyboru niż opowiedzieć o wszystkim rodzicom i dobrowolnie poddać się karze. Matka zrobiła mu długi wykład o odpowiedzialności i konsekwencjach. Ojciec nie powiedział nic tylko chwycił za telefon i po godzinie wszystko było postanowione. Igor zawiesi studia, wypowie kawalerkę i pójdzie do normalnej pracy. Póki co mogą mieszkać kątem w rodzinnym domu, ale jak tylko dostaną klucze od dewelopera docelowo przeniosą się do tego mieszkania na Mokotowie, które miało iść pod wynajem. Ślub w październiku, zdążą przed porodem. Jak ona w ogóle ma na imię, synu?

Paulina póki co nie powiedziała nikomu o ciąży, tylko chodzi w coraz luźniejszych ciuchach i wraca z kibla z opuchniętymi oczami. Ale za miesiąc brzuch będzie wystawał tak bardzo, że nie da się go dłużej ukrywać i czeka ich rozmowa z jej ojcem - byłym wojskowym z raną postrzałową w brzuchu, która podobno nigdy się nie goi. Do tego czasu chciałby pozbierać się do kupy, poukładać z życiem, skleić wszystko, co mu się potłukło tak, żeby wejść tam i wyjść w jednym kawałku. Dlatego jak będzie trzeba jest gotowy pracować nawet na kasie w Lidlu.

Ale obaj dobrze wiemy, że tacy jak on nigdy nie kończą na kasie w Lidlu. Lądują miękko na aksamitnych poduszkach, otrzepują się i idą dalej przez salony, biura i sale konferencyjne, dlatego łatwo im wypowiadać słowa, które nic nie ważą. Jedyne, co muszą poświęcić w procesie stawania na nogi to odrobina kontroli, gdy za sterami siadają starsi i lepiej ustawieni od nich, by umiejętnie wyprowadzić ich życie z poślizgu. Za pięć lat Igor będzie zasiadał w radzie nadzorczej spółki skarbu państwa, inwestował w startupy, kolekcjonował fikuśne obcinarki do cygar i udawał, że nie rozpoznaje kumpli ze studiów stemplujących jego papiery w urzędzie komunikacji. Mimo, że czuje, że znalazł się na zakręcie, to tak naprawdę ostatni łuk przed długą prostą.

Prawda wypływa z niego, a zaraz nią na powierzchni pojawia się on. Teraz jest już wyprostowany, jego plecy przylegają do oparcia fotela, wyciągnięte z kieszeni dłonie przestają dłubać, skubać, rozsupływać i drapać i zamierają bezruchu na kolanach. Nie chowa oczu do środka, tylko przygląda się żywo mojemu braku reakcji czekając na słowa komentarza, propozycje lub polecenia. Zastanawiam się czy właśnie tak wygląda gdy rozpędza auto przez nocne ulice, wznosi toast i wali drinki na raz, przedziera się przez roztańczony tłum w klubie, pieprzy ją na tylnym siedzeniu pożyczonej limuzyny, gdy żyje, a nie przeczekuje chwile.

Jasny refleks znika szybko z jego twarzy ustępując znużeniu. Zgodnie z ustalonym planem kieruję chłopaka do archiwum po dokumenty, które będą niezbędne w doprowadzeniu sprawy Magnussona do

końca. Chcę żeby znalazł wszystkie akty własności działek, na których stoją jego posiadłości, dotarł do umów kupna, prześwietlił historię właścicieli, otworzył roczniki statystyczne i porównał ceny zakupu gruntów z wycenami obowiązującymi w danym rejonie i wrócił do mnie z wnioskami. Igor podnosi się z fotela i dziękuje za spotkanie nie wiedząc, że wysłałem go prosto do piekła.

Za piętnaście minut stanie oko w oko z prawdziwym obliczem chaosu, który płynie w żyłach i trawi trzewia każdej państwowej instytucji w tym kraju. Gdy każdy korytarz okaże się ślepą uliczką, wszystkie pytania zrodzą kolejne pytania i okaże się, że odpowiedzialność pracowników ledwie sięga krawędzi ich biurek, zrozumie wreszcie, że znalazł się w świecie bez boga. W tym miejscu istnieje tylko entropia wpełzająca w ściany i niepostrzeżenie połykająca kolejne fragmenty rzeczywistość po drugiej stronie okienka. To do niej modlimy się urzędniczym bełkotem i na jej ołtarzu składamy ofiarę z własnej bezużyteczności. Zagubione papiery, odrzucone podania, niezrozumiałe polecenia i rozmowy przełączone donikąd – świadectwa naszej wiary w to, że niczego nie da się zmienić. Każdego dnia biernie obserwujemy jak rozkład nabrzmiewa i pulsuje sącząc się do środka przez szwy trzymające ostatkiem sił w ryzach kontury tego obłąkanego miejsca. Niczym kosmiczna pustka zawieszona tuż nad naszymi głowami, pozostaje niewzruszony na wydarzenia naszego świata. Dla niego jesteśmy tylko pyłem na ramieniu nieskończoności. Chaos reigns.

***

Zaplotła palce obu dłoni wokół papierowego kubka i wsunęła go między uda. Przełknęła kawę i poczuła jak przyjemne ciepło wkrada się do jej ciała z obu stron. Deszcz walił w dach auta. Rzeczywistość za oknem przypominała czarno-białą akwarelę, wpatrywała się w nią przez długie minuty wypełnione szumem (Blanka była jedną z tych osób, które lubiły deszcz na odległość, najlepiej spod włochatego koca, zza szyby zaparowanej oddechem). Ulice były puste za wyjątkiem pojedynczych aut przejeżdżających przez skrzyżowanie w leniwym tempie godnym niedzielnego popołudnia. Co ja tu robię? – zapytała

się siebie prawie na głos. Zapragnęła muzyki, by zagłuszyć wątpliwości. Włączyła radio, z głośników huknęła reklama leku na gardło o niedającej się wymówić nazwie, którą lektor powtórzył czterokrotnie, ale i tak jej nie zapamiętała. Wyszukała na telefonie Ruby Throat, przymknęła oczy, wtuliła się w fotel i odjechała na głosie KatieJane gdzieś daleko w głąb siebie.

Przez wpół zamknięte powieki przedarł się błysk świateł nadjeżdżającego pojazdu. Refleks słońca odbitego w błyszczącym lakierze. Rozmazane cienie powoli nabierały kształtu, przytłumione głosy wydawały się coraz donośniejsze, wołały ją do siebie. Znajomy śmiech, słowa, które doskonale pamięta, zapach rozgrzanego silnika, wściekle błękitne niebo milion kilometrów nad głową, mokre dłonie na jej biodrach i mokre usta wspinające się po szyi w kierunku płatka ucha, ciągnące za niego zębami jakby dało się go zerwać, prześwietlone sceny z innego życia. Brodzące w wodzie auta szumiały w oddali niczym fale uderzające o brzeg jej snu. Ona tonąca we wspomnieniach, pozwalała się wozić przez miasta zbudowane z dymu i neonów, leżąc na wznak na dachu szukała na nocnym niebie psiej gwiazdy, siadała na krawężniku, by mu towarzyszyć gdy palił ostatniego papierosa przed snem, jeszcze przez chwilę posłuchać jego głosu, wypełnić się nim i zabrać choć fragment ze sobą po schodach na górę, włożyć do drewnianego pudełka i schować pod łóżkiem na później.

Monotonny dźwięk zgasł. To jego brak wybudził ją ze snu, jakby zarwała się pod nią ziemia. Z auta wysiadła rodzina. Tata, mama, córka, syn. Wszyscy jak z serialu, dobrze ubrani, mocno przytuleni, teatralnie osłaniający się przed falami deszczu, jakby wiedzieli, że ktoś ich obserwuje i ocenia. Pobiegli do wejścia, trzasnęli drzwiami swojego ślicznego domku ustawionego w szeregu równie ślicznych domków. Nie chciała zgadywać co dzieje się po drugiej stronie, zaglądać im do głowy i pod dywan, szukać pęknięć przez które można dostrzec to, co ukrywamy pod grubą warstwą pudru (Blanka nie wierzyła w zakończenia, wierzyła w chwile. Każdy związek z czasem wytracał ciepło). Zamiast tego postanowiła ustalić konkretny moment,

w którym jej życie zmieniło się w procesję skreślonych dni. Teraz, gdziekolwiek nie spojrzała widziała przed oczyma wielkiego czarnego iksa przekreślającego wszystko w zasięgu wzroku. Samotna matka. Czasem te słowa dodawały jej sił. Czasem czuła się jak pies ciągnący za sobą smycz, którą ktoś celowo wypuścił z ręki.

Srebrny mercedes zaparkował po drugiej stronie ulicy. Ze środka wysiadł chłopak (każdy, kto w jej mniemaniu wyglądał na mniej niż 40 lat był dla niej „chłopakiem", jeśli sprawiał wrażenie starszego – facetem, na miano mężczyzny trzeba było sobie zapracować). Blanka położyła palec na przycisku opuszczającym szybę. Przez chwilę biła się z myślami. To bez sensu – powiedziała wreszcie do siebie i sięgnęła po pasy uderzając łokciem w kierownicę. Klakson zawył żałośnie, chłopak podniósł głowę, zaciągnął się dopiero co odpalonym papierosem i ruszył przez chmurę w jej kierunku.

Postanowiła zachować spokój. Opuściła szybę do połowy, wraz z chłodnym powietrzem do środka auta zaczęły wpadać pojedyncze krople.

- Przepraszam, gdzie znajdę numer 15b? – odezwała się pierwsza.

- Szuka pani Ostrej 15b? – chłopak nachylił się do okna, deszcz spływał z jego kaptura i jasnych, kręconych włosów. Wspaniałomyślnie wydmuchał kącikiem ust resztę dymu, ale i tak zawiało go do kabiny.

- Tak. Nawigacja zgłupiała.

- A kogo pani dokładnie szuka? – zapytał zaciągając się ponownie papierosem (i powtarzając to swoje „pani" jakby rozmawiał z nauczycielką, choć w tonie jego głosu nie było za grosz respektu).

- Kolegi syna.

- Kolega się jakoś nazywa? – teraz on grał z nią w grę pozorów, zaglądał jej w karty – Znam tu wszystkich na osiedlu.

- Husky – odparła.

- Dość osobliwe imię – rzucił uśmiechając się pod nosem. – Nie słyszałem o żadnym Huskym – dodał odwracając się i ruszył w kierunku swojego auta.

- Poczekaj – krzyknęła w deszcz. Autobus wpadł pomiędzy nich zasłaniając przygarbioną postać, a gdy odjechał ujrzała go ponownie stojącego na krawężniku po drugiej stronie ulicy i przyglądającego się jej z głębi wielkiego kaptura.

- Jestem mamą Maćka. Chciałam ci podziękować, za to, że uratowałeś mu życie.

Nagle zrobiło się wystarczająco cicho, by usłyszała syknięcie papierosa gasnącego w kałuży. Chłopak obejrzał się w lewo i w prawo wypatrując nadjeżdżających samochodów a może ciekawskich spojrzeń ukrytych w ciemnych i mokrych oknach. Niespiesznie ruszył w jej kierunku, okrążył jej SUVa i szarpnął za klamkę jakby chciał ją wyrwać. Blanka odblokowała drzwi. Czarna plama, śmierdząca dymem i ociekająca wodą, chlusnęła na siedzenie obok, samochód przechylił się i wyrównał akceptując jego ciężar. Chłopak ściągnął kaptur. Rozgarnął przylepione do twarzy włosy, pociągając nosem i spojrzał na nią z ukosa żywym, błękitnym spojrzeniem. Dopiero gdy całkowicie zwrócił ku niej swoją twarz zauważyła drugie oko, w którym po tęczówce rozlała się plama brązu.

- To się nazywa heterochromia – wyjaśnił od razu. – Moi przodkowie najwidoczniej lubili ruchać własne dzieci.

Puściła to mimo uszu. Brzmiało jak wyćwiczona odpowiedź, którą od zawsze zbywał wszystkie zaczepki i natarczywe spojrzenia.

- Uratowałeś Maćkowi życie – powtórzyła zdobywając się na autentyczną wdzięczność w głosie.

- Po prostu przechodziłem obok i zauważyłem go leżącego pod śmietnikiem – wzruszył ramionami. – Nie szukałem go. Myślałem, że zawinął się do domu.

- Opowiedz mi co tam się właściwie wydarzyło – poprosiła

przypominając sobie o wciąż otwartym oknie. Na zewnątrz deszcz zamieniał się w letnią mżawkę, rozganiany wiatrem, sypał się drobno po szybach niczym igły.

- Proszę spytać syna.

- Maciek nie chce ze mną o tym rozmawiać.

- Skąd ta pewność, że ja ci powiem? – rzucił ostro odpuszczając formy grzecznościowe.

Blanka nawet nie mrugnęła. Wiedziała z jakim typem człowieka ma do czynienia. Dziesięć lat temu na rodzinnym osiedlu, w życiu, które zostawiła daleko za sobą, ale które nie chciało zostawić jej w spokoju, tylko wyglądało na nią z wyblakłych tatuaży i ziarnistych fotografii znała same takie chodzące katastrofy. Pierwsi do bójki i pierwsi do łóżka, wiecznie na kursie kolizyjnym z całym życiem. Chłopcy pachnący skrętami i benzyną, osiedlowa *ars amatoria* przy winie za 14,99 i kwiatach podjebanych z parkowego kwietnika (Kutno miasto róż).

- Maciek pożyczył kasę od niewłaściwych typów. Wyciągnęli go z klubu na papierosa i skatowali za rogiem. Koniec historii.

- Pomożesz mi ich znaleźć?

- To tak nie działa – odparł kręcąc głową i wyciągając kolejnego papierosa z paczki.

- A jak to działa?

- Jak wisisz komuś pieniądze to mu je po prostu oddajesz i masz spokój. Jakby wszyscy działali w myśl zasady ząb za ząb to już dawno nikt by tu nie miał zębów. Maciek swój dług spłacił. Może spać spokojnie. No chyba że zaczniesz szukać typów, którzy go tak urządzili – dodał ugniatając papierosa. Suchy tytoń szeleścił w bibule i opadał pomiędzy palcami złączonymi w klepsydrę na kupkę we wnętrzu jego dłoni. – Co? – zapytał widząc, że mu się przygląda.

- Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałam.

Strzepnął tytoń na podłogę. Błękitne oko zmierzyło ją od czoła po kolana.

- Mogę się ciebie o coś zapytać?

- Słucham.

- Jak to możliwe, że masz dwudziestoletniego syna? Urodziłaś go jak miałaś dwanaście lat, czy co?

Blanka uśmiechnęła się starając się ze wszystkich sił nie pokazać jak bardzo schlebiało jej że tak się przeliczył.

- Maciek nie jest moim synem. Jego biologiczna matka mieszka gdzieś w Kanadzie, nie ma z nią od lat kontaktu. Byłam przez kilka lat z jego ojcem, a gdy się rozwodziliśmy Maciek zdecydował że woli zostać ze mną. Robert… - zawiesiła głos, bo czuła że i tak powiedziała zbyt dużo. – Jego ojciec jest bardzo zajętym człowiekiem – dodała ucinając wątek. Nienawidziła mówić o nim tak bardzo jak faktu, że nie miała z kim o tym wszystkim porozmawiać. Teraz wyżymała się z historii swojego życia jakiemuś gnojkowi w zaparowanym aucie na poboczu dopisując kolejny żałosny epizod. Gdyby mogła opowiedziałaby mu wszystko. Gadałaby do rana.

- Nigdy mi o tym nie mówił. On w ogóle nie lubi rozmawiać o swojej rodzinie.

- Bo jej nie ma. Jestem dla niego jak przyszywana ciotka. Albo starsza siostra. Choć czasem mówi do mnie mamo.

Pokiwał głową. Przez chwilę miała wrażenie, że też chciał jej o czymś opowiedzieć, gdy tak zmrużył swoje oczy i wypatrywał świata pomiędzy spływającymi kroplami. Z rozchylonych ust wydobyło się jedynie westchnienie pełne niedowierzania, bo prawie udało jej się podważyć wieko. Opuścił powieki i powkładał wszystko z powrotem do środka. Trwali tak przez minutę w niemym porozumieniu, bezpieczni od deszczu i świata na zewnątrz, który rozmiękał jak szary papier.

- Nie ma za co – powiedział wreszcie, szarpnął za klamkę i

wysiadł.

Spojrzała na mokrą plamę, którą zostawił po sobie na siedzeniu i odprowadziła go wzrokiem gdy przechodził przed maską auta obmacując kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. Otworzyła szybę, zaciągnęła się głęboko zapachem płynącego miasta i zawołała go ponownie do siebie.

- W czym mogę pani pomóc? – zapytał z udawaną uprzejmością (na zewnątrz, gdy świat patrzył znów stała się jakąś tam „panią").

- Załatwiłbyś mi jointa?

***

Czerwień rozlewa się po polach. Stare słońce faluje tuż nad horyzontem, rośnie i opada pomiędzy drzewa, powietrze pachnie ostatnim dniem lata. Ani jeden dźwięk nie zakłóca naszego spokoju, gdy przechylamy się powoli na stronę nocy. Za naszymi plecami gęstnieje ciemność, maszerują blade dni pełne wiatru, ale my wciąż czujemy ciepły dotyk na skórze, niebo wrzeszczy kolorem, dumny świat przeciąga się pod nim leniwie jakby czas nigdy miał się dla niego nie skończyć. Unoszę szklankę whisky i topię w niej gwiazdę. W bursztynowej cieczy pływają odpryski światła, promienie tańczą piruety na krawędzi kryształu, rozpalają lód. Biorę ostatni łyk, żar wybucha w gardle, spływa w dół i gaśnie. Wyrzucam kostki ze szklanki, a one wpadają bez dźwięku w trawę i błyszczą w niej jak fałszywe obietnice. Magnus prostuje się w fotelu, stuka fajką w oparcie, dmucha w komin, układa tytoń warstwa po warstwie. Jego chude dłonie są w ciągłym ruchu. Na pomarszczonej skórze zasycha farba olejna.

- A przed domem zasadzę las ze szkła – dokańcza myśl.

Nie spieszymy się donikąd, smakujemy przepływające przez nas momenty. Nawet słońce zatrzymało się ze swoim pocałunkiem tuż nad widnokręgiem jakby czekało na polecenia. Bezpieczny azyl pomiędzy światami ulepionymi z papieru i hałasu, szczekających drukarek,

duszących perfum, trzaskających drzwi. Tu, na werandzie domu Magnusa świat na moment przymyka oko.

- Wyobraź sobie to Arturze. Tysiąc szklanych rzeźb, każda z nich inna, odwzorowująca chaotyczne piękno natury po ostatni detal. W dzień taki jak dziś, przenikające przez nie słońce dałoby nam prawdziwy koncert. Zleciłem już pisanie algorytmu. Zarezerwowałem laser. Niebawem zamówię szklane bloki i zacznę je obrabiać.

- Podziwiam twoje poświęcenie dla rzeczy bezużytecznych.

- Chcę wysłać wiadomość.

- Ci, do których próbujesz dotrzeć mają zatkane uszy. Sztuka to język, którym mówią i który rozumieją tylko bogaci.

- I nie ma w tym nic złego. Powiedz mi, Arturze, czy na tej ziemi istnieje jakiekolwiek miejsce, w którym możesz bardziej oddalić się od swojej zwierzęcości niż w filharmonii? Czy znasz miejsca, gdzie człowiek bardziej czuje się panem tego padołu niż w galerii wypełnionej reprezentacjami świata dostrzeżonego, przetworzonego i stworzonego na nowo? Jako ludzie idziemy małymi krokami do przodu, oddalając się od jaskini z której wypełzliśmy. Nauka jest taranem wyważającym kolejne drzwi, ale sztuka zawsze czeka na nią po drugiej stronie. Nasza wyobraźnia nie zna ograniczeń, nie przejmuje się błahostkami takimi jak czas. Wrzuca swoich autorów w błoto, prosto pod koła i przejeżdża po ich strzaskanych kościach, ku uciesze tłuszczy. Dla odbiorców jest piękna, dla twórców jest piekłem, ale koniecznym, byśmy mogli wciąż nazywać się ludźmi. Jeśli to poświęcenie nie jest warte wszystkich twoich pieniędzy, to naprawdę nie wiem co jest. I oczywiście, aby w pełni docenić intencje twórców twój aparat poznawczy musi być regularnie serwisowany u najlepszych i najdroższych mechaników, a twoja dieta musi się składać z najbardziej pożywnych treści, ale paradoksalnie sztuka daje nam więcej niż możemy sobie kupić pieniędzmi. Bogaci o tym wiedzą, dlatego chcą się nią otaczać, by poczuć się jeszcze bogatszymi. Chcą stać w pierwszym rzędzie człowieczeństwa. Dla całej reszty pariasów zrozumienie kontekstu dzieła jest poza zasięgiem, ale oni wciąż mogą

zdać się na czucie, z którym mają problem zdesensytyzowane wyższe sfery. Sztuka jest wspaniale demokratyczna, nie wyklucza nawet największych idiotów.

- Świat nie potrzebuje poezji. Tylko dobrych dróg.

- Świat nie potrzebuje nas, a jednak tu jesteśmy.

- Tylko na chwilę. Znikniemy i wszystko, co stworzymy ulotni się razem z nami.

- A mówią, że to ja w nic nie wierzę – rzuca z uśmiechem spoglądając w siniejące niebo. – Wciąż ci powtarzam, że w głębi duszy jesteś twórcą, nie wyprzesz się tego. Twoim medium jest życie, opowieści, które piszesz nie pozostawiają śladu na papierze, ani płótnie, ale i tak wypalasz swoje piętno na garbie tego świata. Rzeźbisz go pod swoje dyktando. Jestem fanem twojej cichej rewolucji.

Magnus uderza zapałką o poręcz i wkłada ją w fajkę zaciągając się mocno. Liście skwierczą, zwijają się i płoną, chmura dymu zawiesza się na długo w nieruchomym powietrzu. Pociąga jeszcze raz i przygląda mi się parą oczu wypełnionych po brzegi błękitnym płomieniem. Jego ciało może ważyć tonę, ale wola wypełnia go jak hel i unosi lekko ponad ułomnościami formy, którą zamieszkuje. Nawet w młodym wieku niewiele osób znajduje w sobie tyle inspiracji. On jest jak nakręcona sprężyna. Pozbawiony więzi i powinności może bezkarnie oddać się zabawie w boga w każdy z siedmiu dni tygodnia. Ten stary dom pełen kurzu jest skrzypiącym sercem jego królestwa. Nic dziwnego, że będzie walczył do końca o ziemię, którą ja chcę zalać asfaltem. Ta walka trzyma go przy życiu. Sprawia, że może zapomnieć o tym jak rozpada się i gnije od środka, o nowotworze, który pożera jego komórki, sercu pompującym zatrutą krew gęstszą od smoły i ciele, które stało się zepsutym mechanizmem pełnym luźnych elementów obracających się po wyszczerbionych ścieżkach, pracującym tylko dzięki sile przyzwyczajenia, o charczeniu, duszeniu się i rzyganiu na wpół strawionymi wnętrznościami, których opary wpadają do oczu i wyciskają z nich łzy o czwartej nad ranem.

Litania do zatkanego kibla i gorzki posmak życia. Zastanawiam się jak by zareagował gdybym mu powiedział, że wcale nie umiera bardziej niż my wszyscy.

- Musisz się spieszyć – mówię zamiast tego kierując jego spojrzenie z powrotem ku pustej przestrzeni wyciętej w lesie, w której przed chwilą zatonęło słońce.

- Ufam, że dasz mi jeszcze trochę czasu na przygotowania?

- Tylko tyle, ile sam dostanę.

Magnus kiwa swoją starą, siwą głową, z której sucha skóra sypie się niczym popiół z fajki. Kolejna sjesta dobiega końca. Niechętnie podnosimy się z foteli. Noc rozlewa się po niebie odcieniami różu i fioletu gdy drepczemy przez podwórko. Powietrze jest sine, zimne i świeże. Oglądam się na dom, którego ściany zostały do połowy pokryte farbą. Z miejsca, w którym się znajduję dostrzegam, że linia horyzontu zgrywa się idealnie z wzorem wymalowanym na jego powierzchni – kolory ziemi, ściętych pól i majaczących w oddali lasów przenikają przez bryłę sprawiając wrażenie, że czarny dach unosi się w powietrzu. Jeszcze kilka dni i on też zleje się z barwą nieba, a dom zniknie.

- W przyszłym tygodniu przyjedzie tu mój asystent. Poczęstuj go dobrym whisky, zaproponuj cygara, a jak będzie sprawiał kłopoty zakop skurwysyna w ogrodzie.

Magnus uśmiecha się, ściska swoimi zimnymi, kościstymi palcami moją dłoń i zawraca na werandę, by śnić na jawie. Ja wsiadam do auta i pędzę wiejskimi drogami próbując dogonić gasnący dzień.

Część druga

## KAŻDY POTRZEBUJE WROGA

Sierpiński stanął przy tablicy, obrócił suchą kredę w palcach i poczuł się znów jak w liceum na lekcji matematyki z przepitym prymitywem przelewającym się przez biurko, niecierpliwie wlepiającym w niego parę podkrążonych oczu i trzydziestką gardeł gotową przypieczętować jego kompromitację krótkim, acz donośnym zrywem schadenfreude. Ile razy stawał tak z pustką w głowie słysząc w uszach pisk kredy sunącej po tablicy, z rozwartymi ustami wdychającymi jej popioły i oczyma wodzącymi za dłonią kreślącą jeszcze nie odkryte wzory matematyczne gdy wymyślał algebrę na nowo? Nikt nie poznał się na jego geniuszu, ale z każdym kolejnym rokiem jego głowa zwisała coraz niżej gdy odchodził z placu boju pokonany. Ręce strzepywały kredę coraz energiczniej, aż któregoś razu sam zaczął sobie bić brawo, wiedząc, że w murach tej szkoły nikt nie ma nad nim władzy. Zawsze udawało mu się prześlizgnąć ponad kreską, uratować tyłek cudem poprawionym sprawdzianem, odpowiedzią rzuconą w absolutnie ostatniej chwili przed zatrzaśnięciem się dziennika, zaskarbić sobie łaskawe spojrzenie polonistki gdy mylił Krasińskiego z Krasickim czy innym Krasuckim (dla niego wszyscy tak samo martwi), ledwie zauważalnym pociągnięciem pióra przeprawić kilka pał na czwórki i usprawiedliwić garść nieobecności. Gruba koperta dbała o to. Ojciec psioczył, ale pod koniec każdego roku robił objazd po okolicznych domostwach wiedząc, że Kazik jest stworzony do wyższych celów. Co by powiedział dzisiaj widząc go zawieszonego pomiędzy prezydenturą a zapomnieniem?

Sierpiński uniósł dłoń ponad głowę. Kreda piszczała nieznośnie, tynk sypał się mu w oczy jak dawniej. Rano poprosił Blankę żeby załatwiła mu tablicę do gabinetu, myślał o takiej białej do mazaków, ona zamówiła szkolną. W pierwszej chwili roześmiał się pobłażliwie, w drugiej przypomniał sobie jak to ostatnimi czasy coraz częściej miał jej

dosyć. Zatrudnił ją przez wzgląd na Roberta, a gdy ten związek się rozpadł przez chwilę chadzał spać i budził się z myślą, że coś między nimi może zaiskrzyć. Zaprosił ją nawet raz na kolację, a ona zanudziła go historią swojego życia. Upił się strasznie i szybko stracił cały entuzjazm. Teraz, gdy świat wtargnął w jego życie nieproszony wypruwając z niego najgłębiej zaszyte wątki, on też miał okazję przyjrzeć się bliżej każdej relacji i coraz częściej dochodził do wniosku, że obsiadł go rój pasożytów. Wieczorami po drugiej szklance whisky lubił myśleć o ostrych narzędziach, którymi odcinałby ich od własnej skóry, w chłodne poranki ze stopami zwieszonymi z łóżka i głową pełną pytań zastanawiał się czy tak radykalna przebudowa życia była mu w tym momencie potrzebna.

I tak wprowadził już wystarczająco wiele zmian – pomyślał zerkając w stronę swojego nowego specjalisty od mowy ciała, którego ciało przypominało tył zeszytu od wyjątkowo nudnego przedmiotu (i co on miał tam wytatuowane na tych trupich palcach? PURA VIDA?). Siedział tam pomiędzy Arturem i Edwinem niczym posąg i wlepiał w niego spojrzenie, w którym nie sposób było zidentyfikować ani jednej emocji. Być może ta powściągliwość była potężnym narzędziem, którego warto było się nauczyć – pomyślał Sierpiński. On sam nigdy nie potrafił panować nad odruchami, ilekroć oglądał siebie w mediach (a ostatnio zdarzało mu się to nazbyt często) jego błyszcząca twarz przypominała billboard wyświetlający proste i zrozumiałe komunikaty (Dajcie mi wszyscy święty spokój!). Spojrzał ponad głowami w kierunku drzwi, za którymi kilka tygodni wcześniej dał się publicznie pożreć i poczuł jak ponure wizje gęstnieją mu przed oczyma.

- Sprawa jest prosta – rzucił na powrót wyłaniając się z mgły. – W Polsce mamy sześć partii, które mogą realnie powalczyć o głosy w najbliższych wyborach parlamentarnych i sześciu liderów, którzy najprawdopodobniej spróbują usadzić się na fotelu prezydenckim. Pierwsza to Polska Inicjatywa Patriotyczna – rzucił podkreślając na tablicy hieroglif przypominający kurczaka z rożna. – PIP jest partią cieszącą się obecnie ponad czterdziestoprocentowym poparciem, której jedynym realnym programem jest bycie w opozycji do

wszystkich pozostałych partii. Od lat pokazują jak skutecznymi narzędziami w walce o władzę są populizm i rozdawnictwo. Dopóki kryzys nie wjedzie na pełnej kurwie, albo nie zabije ich jakiś astronomiczny skandal to oni będą rozdawać tu karty, bo z twardą gotówką ciężko dyskutować, nawet jeżeli dają ci ją tylko przez chwilę potrzymać i zaraz zabierają w nowym podatku od deszczówki spadającej na dach twojej kamienicy albo potrójnie zmobilizowanej policji wystawiającej mandaty za brak numeru mieszkania na drzwiach. Gdy ktoś w obecności PIPY zaczyna zdanie od „dlaczego" oni nie czekają na koniec pytania tylko od razu odpowiadają, że to przez te świnie z Ruchu Obywatelskiego, które kradły latami i doprowadziły Polskę do ruiny. Twierdzą, że nie lubią zmian i chcą ojczyzny tradycyjnych wartości, ale jak damy im dłużej porządzić to zostaniemy Koreą Północną Europy, inflacja osiągnie trzycyfrowe wartości, a stolica zostanie przeniesiona do Lichenia. PIPami przewodzi Józef Batory, krępy skurwiel, któremu podałem raz rękę i tak ją ścisnął, że omal nie straciłem czucia. Batory wypowiada się jak debil choć zrobił doktora z socjologii i politologii i chodzi w Wólczance, mimo, że ma kasę na Armaniego. Wszystko w jego wizerunku jest wykalkulowane tak, żeby zyskać poparcie tej części społeczeństwa, która wierzy we wszystko, co zobaczy w telewizorze. Dalej, moi ulubieńcy, czyli Ruch Obywatelski – Sierpiński przerwał, by wziąć łyka wody. – Obecny tu Artur Welkin z pewnością może powiedzieć kilka ciepłych słów o byłym premierze Nowaku, który obecnie szefuje mu w Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad. Krzysia usunięto z intratnego stanowiska po tym jak nagrano jego wielce kontrowersyjne wypowiedzi dotyczące poziomu inteligencji własnych wyborców. Nie pomogła mu też próba ukręcenia łba sprawie za handel narkotykami, w którą zamieszany był jego syn, wytykano mu powiązania z mafią VAT-owską i nie zapominajmy też o absolutnym klasyku czyli, pominięciu prywatnego jachtu na oświadczeniu majątkowym. Po tym jak Nowak spadł z rowerka, do czego muszę nieskromnie przyznać sam się przyczyniłem, Ruch Obywatelski namaścił swojego nowego lidera, Adama Wolniaka, postać tak krystaliczną, że aż niezauważalną i zanotował

dwudziestoprocentową redukcję poparcia. Mimo wszystko RO wciąż jest drugą siłą polityczną w kraju i trzeba się z nimi liczyć. Program RO zawiera się w trzech słowach: my wiemy lepiej. To partia dla ludzi, którzy jadają na mieście, segregują śmieci i uważają się za inteligentnych, ale wciąż nie są w stanie odróżnić lustracji od defenestracji. Europejscy, postępowi, otwarci, tolerancyjni, ekologiczni, wegetariańscy, odtłuszczeni, kompatybilni i bezglutenowi. Postrzegasz ich właśnie w ten sposób, bo żadna inna partia nie wydaje tyle kasy na agencje reklamowe, fryzjerów i dopasowane garnitury od Hugo Bossa. Tak naprawdę siedzi tam masa skostniałego betonu, która od lat dziewięćdziesiątych nie robi nic tylko kombinuje jak tu się utrzymać przy korycie. Pomimo skrajnych różnic powyższe partie łączy jedno: nienawiść do trzeciej siły politycznej w kraju czyli partii Nowy Początek, której wasz skromny, acz ekspresywny prelegent ma przywilej zawiadywać – tu postawił kropkę.

Mimo, że miał wrażenie, że opowiadał największe banały (a w najlepszym przypadku parafrazował latarnika wyborczego, którego mógłby opublikować na swoim fanpeju jakiś rozczarowany boomer (pełna definicja tego epitetu była wciąż poza zasięgiem Sierpińskiego)) twarze jego rozmówców wciąż nie wyrażały znudzenia wymagającego wciśnięcia w jego wypowiedź bardziej soczystej anegdoty lub brukowego żartu. Sierpiński pomyślał o tym, że chętnie zapaliłby sobie teraz cygaro, najlepiej sącząc drinka przez słomkę w jakiejś nadmorskiej miejscowości, po czym trącił palcem wskazującym kredę jakby jej końcówka faktycznie tliła się żarem i ruszył dalej z miejsca.

- I teraz wyobraźcie sobie taką sytuację, że te dwie partie, które spędzają całe dnie na publicznym obrzucaniu się gównem w każdym możliwym programie publicystycznym, wywlekają najbardziej zasuszone truposze z szaf, podkładają sobie świnie i rękami opłaconych redaktorów przekazują opinii publicznej jedyną słuszną, bo własną wersję prawdy, za kulisami całego tego cyrku spotykają się, by podać sobie dłonie i zawszeć sojusz w celu wyeliminowania Nowego Początku z gry. Nic nie jednoczy tak, jak

wspólny wróg, więc wrogowie, by móc dalej się napierdalać bez przeszkód najpierw muszą się na chwilę pogodzić i pochylić nad kwestią niejakiego Kazimierza Sierpińskiego, który nie dość, że śmiał zatańczyć na grobie premiera Krzysztofa „Ołszyn Adwenczer" Nowaka, to jeszcze w całej swojej bezczelności zaproponował społeczeństwu systemowy, wielowarstwowy i przede wszystkim realny program reform stymulujących gospodarkę, odmulających edukację i stawiającą na nogi trupa, jakim jest służba zdrowia, które w efekcie znacząco poprawiłyby jakość życia każdego Kowalskiego bez potrzeby dawania mu kieszonkowego, które i tak bez porządnej edukacji wpajającej mu prawidłowy system wartości rozpierdoli na głupoty. W Polskim prawie istnieje dokładnie sto trzydzieści siedem przepisów działających destrukcyjnie lub w najlepszym przypadku spowalniająco na wyżej wymienione obszary. Wiem, bo zapłaciłem specjalistom od prawa i ekonomii żeby je znaleźli i zaproponowali alternatywne rozwiązania, wykonując tym samym kawał monumentalnie dobrej i absolutnie niepotrzebnej roboty. „Ludzie mają wystarczająco dużo swoich własnych problemów" ile razy słyszeliście to zdanie? Przewinęło się pewnie w rozmowach przy stole wigilijnym czy w kolejce w przychodni. Kto ma czas dywagować nad propozycjami strajkujących lekarzy i zastanawiać się w którym miejscu krzywej Laffera jesteśmy z naszym opodatkowaniem małych i średnich przedsiębiorców albo dlaczego wciąż trzeba płacić VAT od faktur, których nikt nam nie uregulował? Prawda niestety jest taka, że każdy problem Kowalskiego można by było wytłumaczyć internistą ściśniętym przez przepisy tak, że od lat przychodzi do roboty za karę, nowym podatkiem wywołującym redukcję etatów w firmie, która go zatrudnia i kolejnym przedsiębiorcą zmuszonym podnieść ceny usług żeby chronić dupę przed ludźmi, którzy mu nie płacą na czas i skarbówką, którą to wszystko chuj interesuje. Ale jeśli myślicie, że ludzie nie lubią słuchać o problemach, spróbujcie porozmawiać z nimi o rozwiązaniach, no to dopiero jest prawdziwa jatka. Zmienić przyzwyczajenia? Przyjąć inny punkt widzenia? Zrezygnować z wygody w imię jakiegoś bliżej nieokreślonego, nienamacalnego wspólnego dobra? Kto z tego skorzysta, ja? Nie? To może pan? A

może pani? – przerwał opuszczając dłoń wycelowaną prosto w Blankę.

Znowu się nakręcił, może nawet przeszarżował. Ale to jeszcze nie było zaprzysiężenie na prezydenta, jedynie briefing w koszarach. Chciał, żeby zobaczyli jego ludzką twarz, usłyszeli wszystko, czego nie mógł mówić publicznie. Zobaczyli w nim obywatela, a nie polityka. Mimo, że jadał w stołówce poselskiej Sierpiński nigdy nie przestał uważać się za człowieka z zewnątrz. Kreda ponownie uderzyła w tablicę stawiając długą poziomą kreskę.

- Poniżej progu wyborczego: Wszystko Jest Możliwe, czyli ultralewacka akcja Krzysztofa Łacha. Jeżeli chcecie zdelegalizować kościół, prowadzić auto bez pasów i świateł, poślubić swojego psa i nakładać kary bezwzględnego pozbawienia wolności za deptanie zieleni to opcja dla was. Ich wyborcy, choć aktywni w Internecie, przeważnie są zbyt zajęci zmienianiem nakładek na profilówkach i udostępnianiem postów o zaginionych zwierzętach żeby pójść na wybory, więc WJM oscyluje w granicach solidnych trzech procent. Przeciwległe ekstremum, mokry sen prawdziwych Polaków to KOPA lub Koalicja Patriotyczna dowodzona przez nieustraszonego Mariana Bieleckiego. Ekipa pełna silnych mężczyzn o silnych poglądach głosi pielęgnowanie narodowych wartości, szerzenie miłości do historii i kraju, działania edukacyjne i konserwacyjne mające chronić nasze narodowe dziedzictwo, co brzmi całkiem sensownie, ale jak na chwilę przestaniesz słuchać wywodów o miłości do ziem matczynych i przyjrzysz temu, co właściwie robią, to szybko się okaże, że po drugim piwie od razu proszą o pięć piw. Bezpieczne półtora procenta wyborców chciałoby dziś Polski silnej, białej i otoczonej trzymetrowym murem z drutem kolczastym. Na końcu mamy hit ubiegłej jesieni, czyli zyskującą niezwykłą popularność partię NORMA. Narodowa Organizacja Monarchistyczna wraz z pierwszą tego imienia Mariettą Potocką, nową Polski królową, to reprezentanci prawdziwie starej szkoły, w myśl której obiady należy jadać powoli, a polowania rozpoczynać o świcie. Dla NORMY demokracja jest jednostką chorobową, którą należy jak najszybciej zwalczyć zastępując ją oświeconym absolutyzmem. Niewyedukowana i nazbyt podatna na

sugestie tłuszcza nie może mieć pojęcia co jest dla niej najlepsze, dlatego powinna zrzec się prawa do głosu i zjednoczyć w bezwzględnym uwielbieniu tronu. Rządy silnej ręki mają przywrócić naszemu krajowi należny respekt na arenie międzynarodowej i raz na zawsze ukrócić bezproduktywne, wewnętrzne konflikty. Nie wiem jak wy, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej przekonuję się do słuszności ich poglądów. Mają mój głos, ale nie cytujcie w tym temacie. Jakieś pytania?

Nikt nie zdążył wybudzić się z odrętwienia i sformułować myśli, gdy drzwi gabinetu się otworzyły, a do środka wparowała nastolatka w powyciąganych dresach i rozsznurowanych trampkach. Na głowie niedbale ufarbowane włosy na niebiesko, byle jak upięte w kok pałeczkami od sushi (ewidentnie używanymi), w zmrużonym spojrzeniu złość, która nie potrzebowała powodu, by istnieć. Dziewczyna rzuciła ciężkim plecakiem o ziemię, odsunęła wolne krzesło i umościła się na nim podciągając kolana pod brodę. Była niemową. Kazała nazywać się Null.

***

Ciemność ustępuje mgle. Z mgły wyłania się jej twarz. Zmrużone, brudnoniebieskie oczy i usta, z których odpłynęła krew. Łapię oddech, a ostrze rusza w dół, czuję jego zimno gdy powoli przesuwa się przez moje wnętrzności. Skóra na brzuchu zamyka się jak zasłona, kałuża krwi pod nogami maleje, ciepłe strugi pną się po udach, wpełzają pod koszulę. Jej popękane, czarne paznokcie zrastają się i żłobią mój kark coraz płycej, aż stają się ledwie wyczuwalnym wspomnieniem prawdziwego dotyku. Zastygamy w bezruchu, jak dwa odbicia lustrzane wpatrujemy się w siebie bez końca. Tylko deszcz zrywa się z chodnika i strzela kropla po kropli w górę dziurawiąc niebo. Łzy zawracają do oczu. Jej warga naciąga kolorem. Wypuszcza ją spomiędzy zębów, obraca nóż jak klucz w zamku, po czym wyciąga go ze mnie jednym płynnym ruchem i szybko chowa za plecami. Ból cofa się w arterie, mknie do brzucha, kurczy w jeden jasny, ostry punkt i znika. Znów słyszę szum ulic przepływających obojętnie wokół nas i melodię deszczu skaczącego po blaszanych parapetach. Coraz

wyraźniej czuję w ustach smaki dymu, wina, kawy, pieprzu i miodu, wszystkich tych rzeczy, z których się składa. Gdy całuje nigdy nie zamyka oczu. Zimne dłonie obejmują moją twarz, jakby chciała się upewnić, że jej nie ucieknę dopóki nie skończy. Wypuszczam ją z objęć, odsuwamy się na odległość kroku. Jej uśmiech znajduje mnie jak strumień słońca wystrzelony spomiędzy kłębów mokrej szarości. W moich snach bez przerwy umieramy. Wyrywamy sobie serca i języki. Tańczymy w światłach pędzących aut, pijemy benzynę z potłuczonych kieliszków i połykamy szkło.

Książka upada ciężko na podłogę, a ja otwieram oczy o sekundę za późno. Lipa już stoi w drzwiach gabinetu z rękami skrzyżowanymi na piersi i politowaniem wypisanym na twarzy. Prostuję się w fotelu i przesuwam dłonią po powiekach zdejmując z nich lepki sen.

- Bezsenna noc?

- Ostatnio mam dużo pracy.

- O, to coś nowego. Nowak czeka na ciebie w gabinecie. Mówił, że nie odpisujesz na jego wiadomości.

- Wiem – mówię dostrzegając na monitorze stertę nieodebranych maili – Zaraz tam przyjdę.

Lipa odchodzi zostawiając uchylone drzwi. Subtelna złośliwość godna wieloletniego związku. Schylam się po grubą książkę w czerwonej okładce, zaznaczam stronę paragonem z pralni i wrzucam do szuflady biurka. Mam ochotę na kawę. Podwójne espresso w restauracji na wodzie w Ahlbeck ze spienionymi falami tłukącymi się pod podłogą i zapachem soli wdzierającym się wraz z letnim wiatrem przez okna otwarte na morze. Zarzucam na plecy marynarkę i wychodzę z biura. Jest dziesiąta nad ranem, korytarze dudnią, drukarki szczekają, chaos pulsuje w ścianach. Po drodze zgarniam z biurka Lipy szklankę z ostatnim łykiem herbaty i wrzucam ją z brzękiem do zlewu obok ekspresu. Nie muszę spoglądać za siebie, by zobaczyć jak przełyka ślinę i próbuje rozszarpać mnie wzrokiem.

W biurze Nowaka pachnie kurzem, tuszem i nikotyną. Budynek jest

nowy, meble nie noszą śladów zużycia, ale to za nim ciągnie się od lat trupi swąd urzędniczego PRL-u, popiołu, paprotek w doniczkach i stempli odbijających krwawe orły na dokumentach. Witamy się uściskiem dłoni, do którego nie wstaje, jedynie wyciąga się ponad biurkiem. Dopiero po chwili zauważam Igora wkomponowanego pomiędzy drzwi i szafę, ze stertą teczek przyciśniętych do piersi. Opadam na fotel i mierzę go wzrokiem. Chłopak prostuje się i poważnieje.

- Igor poprosił o to spotkanie, ponieważ ma nam do przekazania raport z archiwum, który zawiera kluczowe informacje mogące przyspieszyć budowę odcinka A2 Groszki – Siedlce. Rozumiem, że sam zleciłeś tę pracę, Arturze?

- Zgadza się.

- Doskonale. Panowie, mamy tam już szesnaście miesięcy opóźnienia, więc nie dokładajmy kolejnych.

Z kąta pokoju dobiega nas pojedyncze chrząknięcie. Chłopak otwiera usta, najwyraźniej dając pozostałym częściom ciała wolne, bo dokumenty zsuwają się z jego kolan i spadają na podłogę tworząc szeleszczący papierowy wodospad, którego bieg stara się bez powodzenia zatrzymać. Nowak spogląda na zegarek a później przez okno przeczekując sekundy i powstrzymując się od komentarza. Słońce wciąż rozgrzewa miasto, ale cienie są coraz dłuższe, barwy przesycone. Niebawem parkowe aleje wybuchną kolorem w ostatnim zrywie przed nadejściem stalowej, jesiennej szarugi, krótkich dni lśniących od zimnego deszczu i zawianych nocy przez które przyjdzie nam się przedzierać ze spuszczonymi głowami i kołnierzami postawionymi na sztorc.

- Przepraszam, nie mogę znaleźć teraz tego fragmentu, który chciałem przeczytać, ale w skrócie sprawa wygląda tak, że dotarłem do informacji potwierdzających, że Magnus Magnusson nie jest tym, za kogo się podaje. To znaczy jest Magnusem Magnussonem, ale innym niż widnieje w akcie własności gruntu. Bo ich było dwóch. I ten, co kupił ziemię, to umarł. Na jego miejsce wprowadziła się osoba

o identycznym imieniu i nazwisku. Niezwykła historia. Ale Magnusson to bardzo popularne imię na Islandii, skąd pochodzi ta rodzina. O, tu to jest - Igor przekazuje Nowakowi wymięty dokument i pokazuje palcem odpowiednią rubrykę. – Sprawdziłem w Internecie, że jak działka nie ma spadkobiercy to przechodzi na własność gminy. Magnusson właściciel wrócił na Islandię jeszcze w latach dziewięćdziesiątych i tam zmarł. Magnusson drugi, który jest jego dalekim kuzynem mieszka tam do dziś, ale on nie ma prawa do gruntu. Więc nie trzeba go wywłaszczać – dodaje.

- Dobra robota – mówię uśmiechając się po przyjacielsku, zastanawiając się czy starczy mu paliwa na dużo ciekawszą część drugą tego spotkania. Oczywiście musi mieć świadomość tego, że się domyślam dlaczego nie przyszedł bezpośrednio do mnie tylko poprosił o audiencje samego prezesa. On zbiera się w sobie, kalkuluje, mimo, że kalkulował już wcześniej, ale na próbie wszystko brzmi inaczej niż podczas koncertu. Teraz ruchom brakuje pewności, słowa czołgają się przez usta zamiast wypełniać pokój. Cała nadzieja w tym, że ich znaczenie pozostanie takie samo.

- Jest jeszcze jedna sprawa – mówi biorąc głęboki oddech. – Ta nieprawidłowość może nie jest oczywista na pierwszy rzut oka, ale wbrew pozorom nie była wcale trudna do wychwycenia. Mi wystarczyło porównać pesele Magnussonów zawarte w oryginalnym akcie własności i zaświadczeniu o przekształceniu użytkowania wieczystego. Pogrzebałem trochę głębiej i połączyłem fakty. Natomiast, jestem pewien, że obecny tu pan Artur Welkin musiał od dawna wiedzieć o całej sprawie, bo to on jest osobą odpowiedzialną za kompletowanie dokumentacji i wywłaszczenia na tym odcinku autostrady. Poczułem, że muszę pana o tym poinformować, dlatego też poprosiłem o to spotkanie.

Igor siada nie patrząc w moją stronę ani razu. Twarz Nowaka wciąż jest ukryta za papierami. Antyczne kartki szeleszczą pomiędzy żółtymi palcami, zapada sekunda grobowej ciszy. I znów szorstki szelest. Szuranie nogami. Przełknięcie śliny. Burczenie brzucha. Wyciec samochodowego alarmu za oknem. Śmiech za ścianą. Szczekanie

drukarki, czarne rzygi kawomatu spuszczającego się do kubka. Plama ciszy ciężkiej jak ołów, długiej jak wydech. Wreszcie dokumenty opadają na biurko, a zza nich wyłania się twarz przeciągnięta przez połowę stulecia, przeorana stresem i przypudrowana dobrobytem.

- Ja mam mu powiedzieć czy ty to zrobisz? – Nowak zwraca się do mnie.

Wzruszam ramionami. On oddaje chłopakowi papiery.

- Dobra, Igor. Pracujesz tu od niedawna, więc jeszcze nie wiesz wszystkiego. Artur jest osobą, która lubi stosować wobec swoich podwładnych dość nieortodoksyjne metody. Jedną z nich jest test, który właśnie udało ci się z sukcesem ukończyć. Test polega na tym, że dostajesz przydzieloną konkretną sprawę, w dokumentacji której znajduje się mniej lub bardziej oczywisty błąd. To czy go wychwycisz i co dalej z nim zrobisz pozwala nam zrozumieć z jak bardzo spostrzegawczym i lojalnym człowiekiem mamy do czynienia. Ja rozumiem, że nie jest to konwencjonalna metoda oceny kompetencji i może być postrzegana jako pewnego rodzaju manipulacja, ale doświadczenie pokazuje, że jest niezwykle miarodajna i potrzebna, zwłaszcza w środowisku, w którym relacje pomiędzy pracownikami muszą być oparte na obopólnym zaufaniu. Innymi słowy, nie kwestionuję metod Artura. Twój przełożony jest osobą, która niejednokrotnie udowodniła swoje poświęcenie dla tej instytucji i nie mam absolutnie żadnych podstaw, by sądzić, że jest inaczej. Ale jeśli ty się z tym nie zgadzasz, do czego masz pełne prawo i jesteś niezadowolony z metod weryfikacji twoich umiejętności, które stosujemy, to nic nie stoi na przeszkodzie żebyś opróżnił swoje biurko i rozpoczął praktyki w innym miejscu. Wierzę, że z pomocą Adama Wolniaka szybko znajdziesz bardziej adekwatny adres.

Igor spuszcza głowę. Papiery palą się w jego rękach. Po raz pierwszy spogląda w moim kierunku, parą wydrążonych oczu. Czujny i przerażony jak pies, który nasrał na dywan i usłyszał szczęk zamka. Czas się skończył.

- Muszę ogarnąć teraz kilka spraw, ale jak skończę przyjdę do

ciebie z pierwszym prawdziwym zadaniem.

Skinieniem pokazuję mu że to dobry moment, by się ulotnił. Chłopak przenika przez pokój jak błąd montażowy, w jednej sekundzie podnosi się z krzesła, w drugiej już chwyta za klamkę. Ja też wstaję.

- Zaczekaj Arturze, chcę przegadać z tobą jeszcze jeden temat.

Zamykam za nim drzwi i odliczam kroki w korytarzu. Gdy zlewają się z bełkotem biura odwracam w stronę Wolniaka, który znów na sekundę umknął wzrokiem i myślami przez okno.

- Dzięki – mówię.

- Dzięki? – pyta jak wybudzony ze snu. – Jakie dzięki? Żadne, kurwa, dzięki! – powtarza z hukiem uderzając dłonią w blat. – Jeszcze mi tego potrzeba żeby szczur od Wolniaka zwęszył spisek i zesłał na nas kontrole. Zaraz by tu się zleciały wszystkie PIPy i NIKi razem z prasą i zrobili nam z dupy jesień średniowiecza. Mnie to by chyba przybili do krzyża. Już widzę te nagłówki: były premier celowo opóźniał budowę autostrady, zobacz memy. Klikałbyś, co?

- Słuchaj…

- Nie. Nie chcę słuchać. Cokolwiek to jest, uwierz mi, nie chcę wiedzieć. Ale powiem ci jedno. Jeszcze w tym roku na działce tego Magellana ma być wylany asfalt. Nie wiem jak to zrobisz. Możesz chłopa sam usunąć siłą. Proszę bardzo. To jest moje ultimatum.

- Dopilnuję tego.

- Mam, kurwa, nadzieję. I druga sprawa. Z końcem września znajdujesz sobie nową asystentkę. Lipa będzie pracować dla mnie. Możesz uznać to za złośliwość. Albo wykorzystywanie sytuacji, ale mam to w dupie.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko. A teraz do roboty. I trzymaj krótko tego wścibskiego chujka. Żebym to ja musiał dbać o twój wizerunek? Co się stało, straciłeś wyczucie?

- To się więcej nie powtórzy. Masz moje słowo.

- Dobra. Przeprosiny przyjęte.

Nowak opada ciężko na fotel. Zamykam miękko drzwi i zatrzymuję się patrząc na biuro zza ściany dźwiękoszczelnej bańki. Jasny dzień czołga się po wykładzinie bez sił docierając ledwie kilka metrów w głąb pomieszczenia. Dalej już tylko półmrok poprzetykany światłami monitorów odbijających się w nieruchomych oczach. Wizja opuszczenia tego miejsca na zawsze wypełnia mnie nieopisaną radością, ale to jeszcze nie czas. Dekompresja dobiega końca, a ja znów mogę oddychać normalnie i iść.

W pierwszej kolejności ruszam powiedzieć Lipie żeby złożyła wypowiedzenie, ale przy jej biurku zastaję jedynie kubek pełen świeżo zaparzonej herbaty. W drugim planie za szklanymi drzwiami w korytarzu sylwetka dziewczyny zsuwa się plecami po ścianie jakby w jej ciele zabrakło prądu. Upuszcza telefon, siada na podłodze i zwija się w kłębek rąk i włosów, z którego wystają tylko czubki szpilek. Z pokoju naprzeciwko wychodzą trzy osoby i ruszają do wind nie zwracając na nią żadnej uwagi. Mijają sekundy, nic się nie zmienia. Drzwi mojego gabinetu wciąż są uchylone. Otwieram je, ciskam do środka marynarkę, która otwiera się w locie jak spadochron i opada bezwładnie na ziemię dobry metr przed kanapą, w którą celowałem i idę do niej.

- Lipa – mówię.

- Tata – odpowiada nie podnosząc głowy.

Siadam obok i opieram plecami o ścianę. Przez otwarte okno wlewają się do środka odgłosy ulicy, w których znikają pozostałe dźwięki, kroki, szum wind, plastikowy szelest klawiatur, rozmowy. Ja też zamykam oczy i wyobrażam sobie, że nas tu nie ma, że rozpłynęliśmy się w tym dziwnie ciepłym, wrześniowym dniu. Pod moimi powiekami dachy warczących aut błyszczą jak pancerze owadów, wiatr szarpie za drzewa skubiąc pojedyncze liście, życie przelewa się po dnie tego miasta jak ostatni łyk herbaty, porywając rozpędem całą esencję obrót

po obrocie.

- Dalej tu jesteś – pyta ochrypniętym głosem kwadrans później.

Podnoszę się pierwszy i wyciągam do niej dłoń pomagając jej wstać. Lipa chwyta ją, a później chwyta mnie wciskając mi swoją głowę pod brodę. Cała jest miękka i mokra, roztapia się w moich objęciach jak wosk. Jej włosy pachną goździkami, jej ciepło przesiąka przez warstwy ubrań, wdziera do środka bez zaproszenia i pełza pod moją skórą. Chwila prawdziwa jak ból i nierealna jak sen.

- Weź sobie wolne do końca tygodnia.

- Dzięki – odpowiada wreszcie rozluźniając uścisk, odwraca się i znika zostawiając po sobie jedynie mokrą plamę na mojej koszuli.

Wracam niespiesznym krokiem do gabinetu, podnoszę marynarkę z podłogi i otwieram szafę pełną książek, ubrań zastępczych i alkoholu w prezentowych opakowaniach. Rozpinam kolejne guziki i odruchowo przesuwam palcami po szramie na brzuchu. Gruba pionowa bruzda biegnie od mostka do pępka. Stwardniała skóra jest praktycznie nieczuła na dotyk, ale pod spodem pulsuje krew. Serce uderza jak pięść w zaspawane drzwi. Wewnątrz coś szamocze się, warczy i ślini próbując przedrzeć się przez ostatnią barykadę i wypuścić na świat.

Wyłączam komputer, zasłaniam żaluzje i wychodzę. Zgarniam ze stanowiska Lipy pokaźną stertę dokumentów i upuszczam ją na biurko Igora. Chłopak podnosi zmęczone spojrzenie znad telefonu i przez pierwszą sekundę patrzy na mnie jakbyśmy się nie znali. Dopiero gdy w prześwietlonym kadrze pojawią się kontury i kolory, w jego oczy wlewa się z powrotem niepewność.

- Sprawdź mi błędy – mówię podsuwając mu raporty. – To nie jest kara. Moja asystentka idzie na urlop.

- Okej.

- Coś jeszcze?

Igor wzrusza ramionami, uśmiecha się pod nosem na myśl o rzeczach,

których mi nie powie, a później spogląda mi prosto w oczy i mówi: - Ty potrafisz kłamać, ale prezes… bardzo słabo jak na polityka.

- Szybko się nauczysz jak to wszystko działa – odpowiadam i wychodzę.

***

Spotykali się przez sześć dni w tygodniu. W każdy wieczór parkowali swoje auta pomiędzy wrośniętymi w ziemię szkieletami tramwajów i wspinali się po metalowych schodach spiralą w górę. Szkło chrzęściło pod podeszwami ich butów, wiatr wpadał przez wytłuczone okna i urzędował na niezagospodarowanych kondygnacjach (byli tam kompletnie sami). Z siódmego piętra rozciągał się widok na miasto. W oddali feeria betonu i szkła wychylała swój łeb ze spalinowej mgły, tu, bliżej, po błyszczących grzbietach splątanych torów ślizgało się pomarańczowe słońce. W te dni zmierzch zapadał coraz szybciej wypełniając brudne szyby tęsknymi światłami latarni kierującymi myśli do domu. Wszyscy zgodnie nienawidzili tego miejsca. Powietrze śmierdziało tu rdzą i rozkładem, po korytarzach walały się duchy zmarnowanych szans. Nawet gdy puste hale wypełniły się biurkami i krzesłami, rozciągnięto kable, rozstawiono stoły i kanapy, a monitory wreszcie ożyły rzucając na betonowy strop bladą poświatę nie przestali czuć się jak we wnętrzu zimnego grobowca.

Cztery laptopy z mechanicznie usuniętymi kamerami i mikrofonami, dwa komputery stacjonarne bez kart sieciowych, nadajnik internetowy 5G, pełnoklatkowa lustrzanka cyfrowa z wyborem teleobiektywów i szkieł portretowych, studyjne oświetlenie, zielony ekran, szybki dron sportowy i drugi o dużym zasięgu, GoPro nagrywające obraz w 8K, mikrofon kierunkowy, teleskop z intefejsem umożliwiającym podłączenie kamery, sprzęt skanujący i drukujący wysokiej klasy, wiertarka udarowa do niszczenia nośników danych, pięćdziesiąt tysięcy w gotówce w różnych nominałach, snus General Extra Strong – dwadzieścia opakowań (nielegalny w Polsce, ale możliwy do zdobycia jako produkt kolekcjonerski, zwykle dodawany gratis do pustego opakowania), karton wina El Abuelo Reserva i gumowa kaczka do

debugowania (Sierpiński czytał listę czując się jak bohater powieści szpiegowskiej i jednocześnie zastanawiając czy to wszystko jest aby na pewno niezbędne).

Kontakt z Null był utrudniony. Dziewczyna porozumiewała się w języku migowym, którego poza Danielem, znającym jedynie podstawowe zwroty, nikt nie rozumiał, dlatego odręczne notatki i uniwersalne gesty stały się preferowaną formą komunikacji (jej pismo było nieporadne i powolne, przypominało gryzmoły dziecka, palce pozbywały się sztywności dopiero przy klawiaturze (gdy kodowała po grobowcu śmigały serie wystrzelone z karabinu maszynowego)). Zapytana o pochodzenie wskazywała migoczące miasta za oknem (lub cały świat), przy pytaniu o wiek odliczała na palcach do dziewiętnastu (wszyscy podejrzewali, że mogła mieć co najwyżej szesnaście lat), resztę interpelacji puszczała mimo uszu lub zbywała je wzruszeniem ramionami. Przychodziła pierwsza i wychodziła ostatnia, zrzucała trampki ze stóp, siadała na krześle po turecku lub w łamiącym kręgosłup przysiadzie, zakładała słuchawki na uszy i pochylała się w kierunku monitora. Zamknięta na zawsze w swojej ciszy zza polepionych strąków śledziła linijki znaków zasypujących ekran.

Sierpiński spędzał te wieczory korygując swoją postawę przed lustrem, zgłębiając niuanse gestów, pracując nad dykcją i nabierając coraz większych wątpliwości. Ale po każdym spotkaniu z zespołem i długiej podróży przez opustoszałe miasto w limuzynie pełnej znajomych głosów z wewnątrz rozkazujących mu zawrócić z obranej drogi, nim będzie za późno, przychodził leniwy, acz pozbawiony wyrzutów sumienia poranek spędzony w wymiętej pościeli z telefonem w ręku, podczas którego dostrzegał pierwsze efekty ich działań. Wyszukiwarki coraz lepiej reagowały na jego nazwisko, podsuwały uporządkowane wpisy wytłuszczające zasługi, a w najgorszym przypadku rzeczowo informowały o bezbarwnych faktach z życia. Kwestia wypadku spadała na coraz odleglejsze strony, chęć poznania pikantnych szczegółów lub przypomnienia sobie kompilacji najbardziej niefortunnych wypowiedzi zostawała ostudzona linkiem ładującym się w nieskończoność, błędem 404 lub artykułem ukrytym za płatną

subskrypcją. Sierpiński odzyskiwał dawną neutralność i jeśli wierzyć algorytmom znów stawał się tym samym anonimowym politykiem sprzed wypadku. Śmierć Romualda Zakrzewskiego stała się elementem popkultury, ale nie newsem, z którego warto było wyżymać kolejne krople treści. Ucichły głosy środowisk LGBTQ, pomimo szumnie zapowiadanych protestów pierwszego września nauczyciele otworzyli bramy szkół, wciągnęli brzuchy i zasiedli za swoimi biurkami. Zwietrzałymi memami nie wypadało się dzielić. Koszulki, naszywki, naklejki na auta były jak dowcip ze słabą puentą, który wszyscy słyszeli już zbyt wiele razy. Świat na moment dał mu spokój.

- Co to jest? – zapytał Sierpiński patrząc ponad ramieniem Null na monitor.

Na zdjęciu posłowie Ruchu Obywatelskiego Kazań, Wielkopolski i Limańczyk szarpali pokaźnych rozmiarów plastikowe wory pełne śmieci po leśnej ścieżce. Uśmiechnięci i eleganccy nawet w swojej casualowej odsłonie wciąż wyglądali na polityków spod igły bardziej niż zapyziałych ekologów utytłanych w ściółce, ale przekaz był jasny: to my troszczymy się o przyrodę. Jak każdej jesieni wraz z pierwszymi chłodnymi dniami na tapetę wjeżdżały tematy smogu, wysypisk, recyklingu, kopalni, filtrów, diesla i nowotworów. Chłopaki od Wolniaka najwidoczniej postanowili wcześniej popracować nad swoim wizerunkiem, by zacementować swoją pozycję po jedynej właściwej stronie barykady i gdy przyjdzie na to pora gromkim głosem reprezentującym interesy wszystkich zagazowanych krakowskich astmatyków gnoić partię rządzącą za nieefektywne działania na rzecz poprawy jakości powietrza w Polsce, tudzież proponować równie nośne, co niemożliwe do wprowadzenia reformy, z których nierealizowania PIP musiałby się później jakoś wytłumaczyć. Sierpiński miał w zanadrzu przygotowany temat finansowania systemów rekuperacji powietrza, które realnie mogły poprawić fatalny stan powietrza w szkolnych salach, ale ręka do góry, kto znał to słowo bez googlowania. Na posiedzeniach partyjnych niewiele osób zgłaszało się do odpowiedzi. Jeszcze mniej kogokolwiek obchodził fakt, że powietrze w klasie pod koniec lekcji matmy było gorsze niż na

ulicy w Delhi. Kosztowny, pracochłonny projekt, który wymagał zamknięcia szkół był wykonalny tylko w wakacje, podczas których mówienie o smogu było równie na miejscu, co śpiewanie kolędy. Sierpiński nie musiał być spin doktorem, żeby wiedzieć, że uśmiechnięty ryj Kazania dzierżącego wór śmieci wysyłał dużo czytelniejszy sygnał.

- Skąd to macie?

- Przegląd opublikował to na swojej stronie, ale od razu zdjęli artykuł. Test lub falstart – wyjaśnił Daniel. Null zakreśliła dłonią okrąg nad klawiaturą i ułożyła palce w literę V. – Monitorujemy wszystkie serwisy należące do Velo Media i wyszukujemy artykuły po słowach kluczowych – przetłumaczył.

Karty przeskoczyły bezwiednie pomiędzy jego palcami. Pikowy as wystrzelił w górę wpadł z powrotem w talię jak w otchłań.

- Czyli nikt tego jeszcze nie widział? Pokażcie mi te foty – polecił Artur.

Dziewczyna rozłożyła na ekranie siatkę zdjęć polityków sfotografowanych z każdego możliwego kąta,  grupowo, w parach i osobno, zbliżenia na Wielkopolskiego kucającego przy stercie zgniecionego plastiku, Limańczyka oddalającego zamyślone spojrzenie ku majestatycznym szczytom potężnych dębów, Kazania schylającego się z uśmiechem po zużytą prezerwatywę. Soczysta, idealnie wykadrowana opowieść zgodnie z zamówieniem.

- To – rzucił Welkin stukając palcem w ujęcie sylwetki Limańczyka z profilu ciągnącego za sobą pokaźny wór. – Rozmaż je trochę i obetnij jakość tak, żeby wyglądało na amatorskie. Potem roześlijcie to do wszystkich prawicowych portali i sympatyzujących profili z adnotacją, że poseł Ruchu Obywatelskiego został dziś popołudniu sfotografowany jak wyrzuca śmieci do lasu. Sami dopiszą resztę.

- To teraz produkujemy fejk niusy? – obruszył się Sierpiński.

- Dajemy wyborcom pretekst do głębszego przeanalizowania swoich sympatii politycznych.

Null odwróciła się na krześle spoglądając na mężczyzn zniecierpliwionym spojrzeniem. Sierpiński przekalkulował, zmrużył oczy i jeszcze raz spojrzał na ekran.

- Pewnie można to tak nazwać – przytaknął wreszcie.
Dziewczyna pochyliła się nad klawiaturą i zaczęła wygrywać na niej nową uwerturę.

Tej nocy Sierpiński śnił, że spadał powoli przez płomienie. Języki ognia muskały jego nagą skórę, a on pijany wrażeniem nieważkości obracał się wewnątrz nich jak świnia na ruszcie. Czuł w nozdrzach swąd spalonych włosów, skóra na jego plecach pękała od temperatury. Chciał krzyczeć, ale bał się, że żar stopi jego płuca jak plastik, a jego narządy skurczą się, przywrą do siebie i stwardnieją, że cały zmieni się w furkoczącą kroplę ognia. Uderzył w ziemię i obudził się spocony i przemarznięty. Przez otwarte okno wlewało się chłodne powietrze wrześniowego poranka. Znów padało. Wiatr rzucał wściekle garściami deszczu w szyby apartamentu, ściana ze szkła prężyła się jak żagiel przy fordewindzie. Sam w blisko dwustumetrowym apartamencie, wśród jęków metalu, szumów i zimna poczuł się zagubiony i bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej. Jakby nienazwany kataklizm odciął go od świata na zawsze, a jego dziewiąte piętro oderwało się od ziemi i lewitowało w limbo.

Dźgnięty w bok potwornym przeczuciem zgarnął telefon z nocnej szafki i włączył facebooka. Znajomi trzeci tydzień z rzędu zasrywali jego feed zdjęciami uśmiechniętych dzieci i posążków buddy w każdym rozmiarze złowionymi w północnej Tajlandii, ktoś zmienił status związku na zajęty(a), ktoś przebiegł siedem kilometrów wzdłuż Wisły, ktoś inny pochwalił się mergerem przypieczętowanym single maltem i blow jobem, w dół, w dół, algorytm wypluł reklamę garniturów z włoskiej manufaktury (ostatnio jakiś nuworysz go zapytał czy jego Kiton to przypadkiem nie Vistula, więc ugodzony tym faktem postanowił sprawdzić jakie trendy obowiązują u włoskich

krawców), obejrzał kompilację bramek kolejki z Premier League (wszystkie te satysfakcjonujące bomby w okienko, gdy tylko widział rozpędzoną piłkę umykającą wyciągniętym dłoniom bramkarza i uderzającą o poprzeczkę zalewała go fala dopaminy (sam dobrze pamiętał jakie to uczucie wkręcić w sam róg (choć teraz prędzej wybiłby sobie palce u stopy niż trafił w gałę z wystarczającą siłą, by doleciała choćby i do pustej bramki))), zostawił sto trzeciego lajka pod nowym profilowym Żanety i zatrzymał się na linku do artykułu o pośle RO przyłapanym na wyrzucaniu śmieci do lasu.

Usiadł i przeczytał każde z pięciuset słów tekstu zoptymalizowanego pod wyszukiwarki, w którym to samo zdanie zawierające garść najważniejszych słów kluczowych zostało sparafrazowane na wszystkie możliwe sposoby oraz kilka nieprzewidzianych przez współczesne zasady gramatyki. Póki co temat podchwyciły fanpage i kilka serwisów plotkarskich, ale pół godziny później po wyjątkowo krótkim prysznicu i przy porannej kawie przeczytał na Przeglądzie Politycznym, że sprostowanie do wyjątkowo okrutnego przekłamania rzeczywistości jest już przygotowywane przez posła Limańczyka i kolegów z Ruchu Obywatelskiego. W tym samym czasie ktoś przerobił spreparowane zdjęcie na mema. „W Polsce jak w lesie" głosił górny napis. „W Polsce jak w chlewie obsranym gównem" puentował ten na dole. Sierpiński odświeżał stronę i patrzył jak przyrastają lajki. Było ich już trzysta gdy musiał wyjść z domu.

W limuzynie (z rezerwą wrócił do jazdy rządowym autem, z nowym kierowcą zamienił może cztery zdania w ciągu ostatniego miesiąca) przeprowadził dwudziestominutową rozmowę z Jackiem Hyżym, którego coraz częściej widział jako swojego partyjnego następcę. Dużo myślał o tym młodym chłopaku. Co prawda jego dotychczasowe doświadczenie zawodowe zajmowało tyle samo miejsca w CV co rubryka „Hobby" (dyrektor ośrodka dla trudnej młodzieży, później naczelnik wydziału kultury, promocji i rozwoju jakiegoś podlaskiego zadupia), ale przynajmniej dobrze mu z oczu patrzyło – utwierdzał się w przekonaniu. Dziś nie mógł skupić się na słowach wlewających się do ucha razem z hałasem sejmowego tła (twarde, marmurowe echo

korytarzy, którego nie sposób pomylić z żadnym innym miejscem). Przeczołgał się przez rozmowę na autopilocie, lawirując pomiędzy pytaniami, wsadzając w zbyt długą ciszę przypadkowe półsłowa, byle by dalej, do brzegu, chcąc sprawić wrażenie zbyt zajętego, by skupić myśli na dłużej, ale zapewne będąc odbieranym jako pospolity buc.

W sejmowej ławie odruchowo złapał za telefon, by sprawdzić newsy, ale zaraz przeszył go dreszcz na samą myśl, że przypadkowe spojrzenie przez ramię wyłowi słowa, skojarzy fakty i przypisze mu winę. Dalekosiężne założenie, ale z drugiej strony w każdej chwili naszego życia jesteśmy dwa kroki od katastrofy – powiedział mu kiedyś Edwin. Sierpiński znów myślał o tłustych czerwonych tytułach odmieniających jego nazwisko i mikrofonach wpychanych w twarz. Cały elektryczny doczekał do przerwy i pobiegł do kibla. W kabinie przejrzał wiadomości i omal nie zawył z zachwytu, bo dokładnie znał to palące uczucie, które nicowało teraz Limańczyka (jakby ktoś wepchnął ci w ryj rozżarzony pręt i powoli wyciągał go przez dupę, kolego). Nawet przychylne media zamiast zbywać news jako manipulację zastanawiały się nad konsekwencjami, które niechybnie dosięgną posła RO, w kolejnych siedmiu akapitach konsekwentnie przypominając kto tak naprawdę blokuje uchwały krajobrazowe i odpowiada za wycinkę lasów i coraz gorszy stan powietrza w Polsce.

Kwadrans po piętnastej Przegląd opublikował sesję w lesie, na której znalazły się zdjęcia przedstawiające wyłącznie posła Limańczyka. Do artykułu dołączono porównanie oryginalnego i przerobionego ujęcia wraz z komentarzem profesjonalnego grafika oraz wywiad z samym zainteresowanym, który w swojej wypowiedzi pozycjonował się na ofiarę precyzyjnie wymierzonego strzału oddanego zapewne z jednego z okien siedziby opozycji. Podczas gdy RO podjęło próbę znalezienia winnego zamachu, niektóre komentarze ostrożnie pytały o prawdziwe intencje polityka paradującego z workiem śmieci przez portretowym obiektywem. Nawet po godzinie większość portali wciąż nie opublikowała sprostowania. Sierpiński wbijał widelec w kiełbasę w sejmowym bufecie równie zafascynowany, co przerażony. Z bezpiecznego dystansu napawał się widokiem powoli dogasającego

pożaru.

Około dziewiętnastej, gdy wydawało się, że pierwotny temat został już w całości przykryty przez rozmowy o potrzebie reform w celu ochrony polskiej przyrody do wiadomości publicznej trafiły pozostałe zdjęcia z sesji przedstawiające całą trójkę posłów hasających po lesie, a traktowana z niebywałą ostrożnością przez wszystkich zainteresowanych kwestia manipulacji w środkach przekazu eksplodowała Ruchowi Obywatelskiemu prosto w twarz. Sierpiński kazał kierowcy zwolnić, rozsiadł się na tylnej kanapie i pochłaniał smakowite komentarze mówiące w niewybrednych słowach o leśnej hucpie, kampinoskiej ustawce i pseudoekologii elit w 5-litrowych limuzynach, wśród których tonęły te bardziej wyważone, nawołujące do baczniejszego przyglądania się partii Wolniaka na ręce. Szambo wybijało ze wszystkich stron. Politycy RO milczeli w całej swojej bezradności przeczekując deszcz gówna, który poniekąd sami przywołali cenzurując zdjęcia Kazania i Wielkopolskiego.

Krawat wylądował na oparciu krzesła. Szklanka huknęła o blat i chlusnął rudy płyn. Jeden porządny łyk schadenfreude, jedno donośne odchrząknięcie z podrażnionego gardła, a zaraz po nim w pustym apartamencie rozległ się donośny śmiech. Sierpiński stanął przed szybą, twarzą w twarz ze swoim nowym ja i spodobało mu się to, co ujrzał. Uniósł toast i uniósł wzrok, spojrzał wyżej na światła samolotów migoczące na ozłoconym ursynowskim niebie i wreszcie uwierzył.

***

W wagonie metra jedzie z nami trup. Bezwładne ciało wrzucone w kąt odchyla się przy hamowaniu jak łodyga mocniej szarpnięta wiatrem, broda wokół ust lśni od śliny w martwym świetle lamp. Mężczyzna rozpościera przed nami całą mapę katastrof: skręcone tłuste włosy ledwie oblepiające wypalony słońcem czerep, brud pod paznokciami, czarną plamę zimnego moczu w kroku i puchnie sobie w swoim tempie, ledwie mieszcząc się w sztywnych od brudu łachmanach jakby dostał pozwolenie, by rozkładać się tu całymi tygodniami. Poszarzałe

oczy zakotwiczone w podłodze są jak rysunki na powiekach, groteskowe i nieludzkie, w spojrzeniu kukły nie ma nic. Tylko te dłonie rzucone na uda wciąż próbują złapać w zagięte palce świat.

Ludzie szturchają go spojrzeniami. Spoglądają przez ramię lub znad ekranu telefonu, przerywają na moment rozmowę ponad hałasem, by przyjrzeć się dokładniej, zadać sobie w głowie pytanie, na które nie chcą poznać odpowiedzi. Ci, którzy mają komfort patrzenia z bezpiecznego dystansu szukają najmniejszych oznak życia raz po raz rozglądając się z obawą po obojętnych twarzach współpasażerów. Wsiadający jedynie kręcą głowami w poszukiwaniu źródła smrodu i przepychają się w przeciwnym kierunku. Wagon jedzie dalej przez ciemność. Kolejna stacja. Dziura w jednostajnym szumie jest jak cisza pomiędzy utworami, z każdym postojem staje się coraz bardziej wymowna. W hałasie przynajmniej można się schować.

Ale każdy powoli zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, co tu się zaraz wydarzy. Strach jest jak choroba, w tak niewielkiej przestrzeni zaraża wyjątkowo szybko. Wreszcie wszystkie rozmowy ustają. Ekrany gasną. Widać już tylko martwego mężczyznę w rogu wagonu i czerwony przycisk na ścianie. Pod nim instrukcja jak go użyć, każdy wpierw czyta ją skrupulatnie i w obu językach, nawet jeśli nie zna żadnego z nich zbyt dobrze. „Czy on nie żyje?" Czyjś głos artykułuje to, co od wielu minut wisi w powietrzu. Nie ma odpowiedzi, ani nawet wzruszenia ramion. Tylko żywe, ostrożne spojrzenia jakbyśmy odkryli, że na pokładzie jest bomba. Odliczanie zatrzymało się, ale nikt wciąż nie odważy się wykonać gwałtownego ruchu. Skuci zmową milczenia dojeżdżamy do kolejnej stacji. Przeczekamy to wszystko. Ile jeszcze zostało przystanków do centrum? Dwa? No, bardziej pięć. Ale trupowi i tak już wszystko jedno. Podnieśmy alarm, a zaraz wpadnie tu policja, zacznie szukać świadków, zadawać pytania. Trzeba będzie złapać autobus, zamówić taksówkę. Jest sobota wieczór, za nami długi dzień, przed nami długa noc, każdy się dokądś spieszy. Wytrzymajmy. Już niedługo.

W wagonie metra jedzie z nami trup. Jest jak nasz stary znajomy. Zabijamy czas zastanawiając się kim był i dlaczego skończył tak, jak

skończył. Jesteśmy mu wdzięczni za to, że nie hałasuje, nie awanturuje się gdy pozwalamy mu trwać w tej niegodnej transpozycji. Ostatnia prosta przez tunel. Skład przyspiesza i hamuje, wreszcie wpadamy w światła stacji centrum. Kobieta rozgląda się po wagonie i nie widząc sprzeciwu uruchamia alarm. Zatrzymujemy się gwałtownie. Z trupa wydobywa się charkot jakby wewnątrz próbowała odpalić stuletnia maszyneria. Zardzewiałe części trą o siebie, koła nawijają pajęczyny, z rur rzyga czarny dym. Obudzony chrapnięciem podnosi głowę, rozgląda się otępiałym spojrzeniem i z powrotem zapada w pijacki letarg. Za moimi plecami wybucha szczery śmiech. Wolni od winy, z uśmiechem na ustach wylewamy się na peron. Porwany masą kieruję się do schodów i wypływam na powierzchnię. Noc jest młoda, powietrze pełne obietnic. Rozdzielamy się i jedną po drugim połyka nas miasto.

Dwadzieścia minut później skręcam w Nowy Świat, przechodzę wąską uliczką pomiędzy budynkami i znikam w bramie. Na końcu długiego tunelu znajduje się punkt informacji dla imigrantów, w połowie drogi do niego bar. Wszystkie ściany są szczelnie pokryte świeżym graffiti. Czerwone napisy krzyczą „Biała Warszawa”, „Zajebiemy was lewackie kurwy”, „Sport Zdrowie Nacjonalizm”. Śmierdzi uryną i nikotyną. Ciche rozmowy przy stolikach na zewnątrz przykrywa pulsująca muzyka łupiącą w szyby lokalu. Znajduję wolne miejsce w środku, naprzeciwko wejścia, rozkładam książkę i sączę rozwodnione piwo wsłuchując się w rytm tego wyszynku. Tani alkohol przyciąga tu głównie studentów, bladych, długowłosych, zgarbionych, wcierających pot z dłoni w czarne jeansy, którzy strzelają słowami na twarze swoich koleżanek, z każdym kolejnym łykiem odkrywając kolejne okruchy prawdy na temat świata, sztuki, boga, związków, miłości, narkotyków, muzyki, poezji, jogi, seksu, korków, samotności, wegetarianizmu, snów, społecznego aktywizmu, gamedevu, pieniędzy, zalet picia kawy, wad pracy w korpo, ocieplającego się klimatu, gramatyki języka angielskiego i tego przeklętego miasta. Bliżej baru dostrzegam trio przyprószonych kurzem mężczyzn, którzy tworzą stały wystrój wnętrza, na pewno zawsze siadają na tych samych miejscach i wszystko zamawiają skinieniem. Ich pożółkłe palce upuszczają na blat

zgniecione banknoty dziesięciozłotowe z nieopisaną czułością, jakby były płatkami kwiatów. Pierwszego łyka biorą jeszcze po drodze do stolika. Dalej, w rogu dwóch wysportowanych, ogolonych na gładko młodzieńców ciska spojrzeniami po sali. Ich ruchy są przypadkowe, zawsze czujne, ptasie w swojej gwałtowności, wypijany w zawrotnym tempie alkohol zdaje się nie wywierać na nich żadnego wpływu.

Ktoś puszcza „Sen o Warszawie" z szafy grającej. Ktoś inny pyta czy to lokalny Banksy wskazując napisy za oknem. Podobno była straszna zadyma w zeszłym tygodniu. Chcieli wyciągnąć z punktu ciapatych i ich ukrzyżować. Policja przyjechała po godzinie i zastała na miejscu tuzin nawalonych świadków, kilka rozbitych nosów i zgniecione puszki po sprayu. Spisali zeznania, nawet nie ściągali odcisków. Jutro wolontariusze mają to zamalować. Polska tolerancja. My jesteśmy otwartym krajem, ale jak tu przyjeżdżają z tej Syrii czy innej Ukrainy to powinni uczyć się języka. Asymilować z kulturą. Pusta szklanka wali o podłogę. Trzaskają drzwi. Gołębie ledwie usiadły, już odfrunęły i ruszają dalej lotem koszącym w miasto. Boże błogosław dresiarzy – mówi szczupła dziewczyna przygryzając czarny paznokieć. Taki ISIS to nie miał by u nas żadnych szans. Dostaliby wpierdol i od razu by im przeszło. Wolę gówno, które znajomo śmierdzi niż importowany szajs. Łachy z WJM wszystkich by tu wpuścili najchętniej. Może jeszcze zrzucimy się na lokale dla ekspatów? Moneta wpada do szafy, Krawczyk nadaje prosto z pomostu. „Niedostatkiem w piękny rejs" intonują podpici humaniści. Oczywiście zdajecie sobie sprawę z tego, że my za parę lat będziemy konkurować na rynku pracy z wykształconymi Ukrami i nietrudno zgadnąć kto zawoła mniej pieniędzy. Wiecie co się dzieje teraz z Algierczykami we Francji? U nas ktoś rzuci cegłą to wszystkie media o tym trąbią. Tam palą się samochody, ale immigrants welcome. Wielka Brytania miała rację żeby się wypisać z tego cyrku. Polakom na wyspach żyje się coraz gorzej, ale te chuje, które głosowały zdalnie na Inicjatywę Patriotyczną mogą wreszcie wrócić do ziemi obiecanej i zamieszkać w raju, który nam tu zgotowali. Wszyscy i tak żyjemy w symulacji. Muszę się odlać.

Chłopak opiera się ciężko o blat i wstaje. Pierwsze dwa kroki są ekstrawaganckie, trzeci sztywny. Dopada drzwi od ubikacji i ciągnie je zamiast pchać. Dziewczyna wyciąga telefon z torebki i przewija. Starsi panowie zagadują niewinnie do studentek przy barze z szarmancką bezpruderyjnością godną obytych meneli, którymi są. W ich rubasznym śmiechu wybrzmiewa wołanie o pomoc i echo odchodzącego świata, w pobłażliwych spojrzeniach kobiet tęsknota za mężczyznami, którzy chcą jeszcze rozmawiać. Zamykam książkę, dopijam piwo, zabieram stenogramy i ruszam dalej w głąb nocy.

- A panu jak się żyje w tej Polsce?

Artem wzrusza ramionami, przeciąga leciwą mazdę na drugim biegu pod samo czerwone pole.

- Na pewno spokojniej niż u nas – odpowiada. W spółgłoskach wybrzmiewa ledwie słyszalny akcent.

W lusterku widzę parę szarych, zamyślonych oczu wycelowanych w drogę. Światła lamp przepływają po masce auta, gdy przecinamy miasto w pół. Z radia sączy się ambientowy smooth jazz, dźwięki wyjęte spod prochowca, pachnące dymem i wyrzutami sumienia zapijanymi o czwartej nad ranem, może to Bohren und der Club of Gore, może to The Mount Fuji Doomjazz Corporation, wszystkie te kapele są jednakowe w swojej estetyce tak samo jak w zamiłowaniu do długich nazw. Mamy zieloną falę, noc przykryła miasto, jesteśmy dwójką ludzi, którzy się nie znają i nigdy więcej nie spotkają, w tym momencie możemy powiedzieć sobie wszystko, więc on mówi.

- Mój brat zginął w 2023 roku odbijając Charków. Służył w oddziale zwiadowczym razem z Amerykanami i Brytyjczykami, było tam nawet kilku Rosjan i Polaków. Ja wiem, co u was mówią. Że jak byśmy się dogadali z orkami od razu, to trzysta tysięcy ludzi wciąż by żyło. Ale wtedy cały świat do dziś bał by się ruskich.

- Pan się nie boi?

- Teraz już nie, ale wtedy bardzo się bałem. Dlatego spakowałem walizki i przyjechałem tu. Na początku porobiłem trochę

na budowach, rozwoziłem paczki, pracowałem na kasie, nauczyłem się języka i poszedłem na studia. Za rok kończę medycynę. Teraz mi zabrakło dwóch punktów do stypendium to sobie jeżdżę na Uberze. Nie poszedłem bić się za kraj, ale co? Mam mieć wyrzuty sumienia? Jeden zostaje martwym bohaterem, inny żywym lekarzem. On swoje już zrobił, ja jeszcze mogę komuś pomóc. Być może tak spłacę swoje długi. Za rok kończę praktyki i wracam do Kijowa. Pomogę odbudować, to, co nam zniszczyli.

- Przemoc to najstarszy język na Ziemi – mówię mu. – Był wcześniej niż słowo, bo każdy żywy organizm na tym świecie rozumie ból. Człowiek ubiera się w rytuały, obrasta w odruchy, tworzy symbole i przypisuje im znaczenia stając się coraz bardziej cywilizowany i zmanierowany, odsuwa od siebie zwierzęcość, ale gdy dochodzi do konfliktu interesów wojna jest zawsze najbardziej skutecznym rozwiązaniem. Jej przekaz jest klarowny, nie podlega interpretacji. Wobec wojny wszyscy jesteśmy równi, tak samo jak jesteśmy równi wobec śmierci. Wydawać by się mogło, że unikanie konfrontacji pozwoli nam zmienić naszą prawdziwą naturę, ale proszę sobie wyobrazić, że jutro flara słoneczna wyłącza nam Internet i wszystkie nasze pieniądze znikają, a z kranów przestaje lecieć bieżąca woda. Jak pan zamknie oczy, to widzi ludzi dzielących się posiłkiem przy świecach czy rozrywających na strzępy na ulicach? Wojna była tu na długo przed nami, cierpliwie czekała na swoich praktykantów, którzy wynieśli ją do rangi sztuki. Wojna zostanie z nami do końca. Może nam się wydawać, że jesteśmy w stanie uciec od walki, ale prędzej czy później ona odnajdzie nas, ponieważ jest wpisana w naszą naturę i kształtowała człowieka na swoje podobieństwo przez miliony lat ewolucji faworyzującej silniejsze jednostki. Żeby odrzucić przemoc musielibyśmy zrzec się człowieczeństwa, zastąpić nasze serca, kości, oczy, języki i głowy, przestać oddychać, pić, wydalać i pożądać. Być może historia pokaże czy post-człowiek osiągnie ideał pokoju, ale póki nasze istnienie jest zależne od czegokolwiek, zawsze będziemy mieli pretekst do tego żeby się zabijać.

- Skoro tak, to mam nadzieję, że następny wirus położy nas

wszystkich do ziemi – odzywa się po chwili. – Jesteśmy na miejscu.

Wieżowce centrum błyszczą nad moją głową. Połyka mnie zimny blask hallu. Wchodzę do wyperfumowanej windy i ruszam prosto na czterdzieste piętro. Po minucie pionowa linia dzieląca moje ciało na pół rozszerza się, a przestrzeń wypełnia ruch i dźwięk. Neonowe wnętrze pulsuje muzyką. Białe kołnierzyki i białe zęby, opięte uda, wysokie szpilki, dolepiane rzęsy, nienaganne włosy, kolorowe drinki, platynowe karty, przypudrowane nosy i rozbiegany wzrok, a za oknami panorama Warszawy nocą, jej rzeki spływają światłem. Siadam przy barze, wyciągam telefon i daję Artemowi pięć gwiazdek za kurs, a później zapominam, że ktoś taki w ogóle istnieje. Rudy barman obraca butelkę w dłoni niczym rewolwer i strzela we mnie pytaniem.

- Whisky z lodem – odpowiadam.

- Zrób dwa – platynowa hostessa przepasana szarfą Moët & Chandon cumuje przy barze. Jej suknia skrzy się jak świeży śnieg w pełnym słońcu. Wyciąga telefon i odpala przednią kamerę sprawdzając czy jej twarz wciąż znosi trudy wieczoru. Unosi brew i uwiecznia się na rozmazanym zdjęciu, które od razu kasuje.

- Myślałem, że nie można pić w robocie.

- A ty, co, z policji? – pyta podejrzliwie.

Drinki lądują na blacie. Podnoszę swojego do ust. Miss szampańskiej zabawy rusza z drugim w głąb zatłoczonej sali. Widzę jak wręcza go sobowtórowi Gérarda Depardieu samotnie okupującemu stolik przy oknie. Gość wciska dziewczynie banknot w dłoń i zauważa, że się mu przyglądam trochę dłużej niż powinienem. Biorę łyka, czytam kartę drinków, choć nie interesuje mnie nic poza whisky, a gdy znów zerkam przez ramię on wciąż uparcie gapi się na mnie. Wreszcie unosi rękę i woła wskazując wolne miejsce naprzeciw. Podnoszę się i po chwili dosiadam do jego stolika.

- Artur Welkin – przedstawiam się wyciągając dłoń.

- Pomyliłem cię z kimś innym – mówi rozczarowany nie odrywając łokci od stołu. – Ale skoro już tu jesteś możemy się równie dobrze napić…

Unosimy szklanki. Gérard odgarnia bałagan z czoła i bierze łyka. Dwie strużki zimnego Lagavulina ściekają po jego licznych podbródkach, wyciera usta mankietem koszuli i wygania spojrzenie w noc. Jest pijany w sztok, spokojny i znudzony, ale wciąż świadomy wszystkiego, co dzieje się wokół.

- Jak nie będziesz bogaty na starość to zostanie ci tylko starość. Tak mi kiedyś powiedział ojczym.

- I co? Udało się?

- Każdemu z nas się poszczęściło, skoro tu jesteśmy.

- Podobno szczęścia nie można kupić.

- Szczęścia nie. Ale pieniądze pozwalają nie myśleć o pieniądzach, a to już jest komfort sam w sobie. Pozwalają nie myśleć w ogóle – dodaje biorąc drugiego i ostatniego łyka. Gestem przywołuje hostessę. – Przynieś nam kochanie całą flaszkę tego specyfiku, a jak się skończy następną i tak dalej, dopóki jeden z nas nie wyląduje pod stołem.

Dziewczyna uśmiecha się, wyciąga sto euro spomiędzy jego palców i rusza w kierunku baru bujając biodrami jak należy.

- Dzisiaj pracownik w mojej firmie zaspawał się wewnątrz zbiornika. Zrobił spawy od środka, bo tak było ustalone w specyfikacji. Ktoś w ten sposób to zaprojektował, ktoś inny zaakceptował, technolog przyklepał, a pracownik wykonał. Procedury zwalniają nas z obowiązku samodzielnego myślenia. Wszyscy robią dokładnie to, co im się każe. Musiałem zredukować dziewięć osób. Zatrudniasz jakiś ludzi?

- Na szczęście nie.

- I bardzo dobrze. Na ludziach w ogóle nie można polegać.

Czekam aż pracowników zastąpią roboty. Jak zautomatyzujemy wszystkie procesy wytwarzania ludzie będą potrzebni wyłącznie do kreacji i konsumpcji. Wytniemy cały ten zepsuty środek, który udaje, że coś umie. Tyle energii zmarnowanej na odtwarzanie czynności, których można by nauczyć małpę albo procesor. To niewiarygodne.

- Ale potrzebne. Jeśli pozbawimy się możliwości popełnienia błędu zminimalizujemy nasze szanse na odkrywanie nowych rzeczy. Większość wynalazków była dziełem przypadku. Gdybyśmy przyjęli, że nic więcej nie jesteśmy w stanie osiągnąć, żylibyśmy w stanie udawanej doskonałości. Maszyny jedynie sprawiłyby, że nasza przeciętność stałaby się bardziej efektywna.

- Być może, ale dlaczego ja mam za to płacić? – uśmiecha się.

Na stole ląduje zamówiona butelka. Hostessa powoli, acz stanowczo uwalnia swoją dłoń ze spoconego uścisku wdzięczności i znika błyszczeć gdzieś indziej.

- Ja mam takiego starego Land Cruisera, którego lubię czasami zabrać w teren. I jak tak przedzieram się nim przez las, to zawsze sobie myślę, że prowadzenie firmy w Polsce wcale się wiele się od off-roadu nie różni. Wyobraź sobie, że jedziesz rzęchem przez błoto, z tym, że na pokładzie zamiast pilota masz dwustu jęczących pasażerów i nawet na chwilę nie możesz się zatrzymać, bo od razu utoniesz. Za każdym razem jak coś zaczyna stukać w silniku, to trzeba wysadzić połowę ludzi i kazać im pchać auto, samemu próbując zreperować usterki pod maską. I jak już człowiek ma nadzieję na kawałek prostej drogi, to zaraz dzwonią urzędasy i mówią, że od dzisiaj wszyscy muszą jeździć na kwadratowych kołach, bo te okrągłe nie spełniały jakiejś normy. Te kwadratowe gorzej się obracają, ale może powodują mniej zanieczyszczeń albo chuj wie co. No ale jaki masz wybór? I tak już wjechałeś po szyję w błoto, to brniesz dalej. Pasażerowie jęczą, że za bardzo trzęsie, zawieszenie skrzypi, urzędasy każą przemalować lakier zgodnie z nową dyrektywą i wymienić filtry na bardziej ekologiczne, skarbowy dzwoni, że auto za dużo pali, na co drugim drzewie wisi fotoradar, a co zakręt stoi szlaban jak na autostradzie, z

tym, że z każdym kilometrem opłaty wzrastają wykładniczo. I ludzie mi się dziwią, że zatrudniam imigrantów albo zamawiam części z Chin? Ty się w ogóle interesujesz polityką?

- Niespecjalnie.

- Zazdroszczę, bo ja już nie mogę sobie pozwolić na ten komfort. My mielibyśmy w Polsce dobrych polityków i normalne prawo, ale ludzie mają zbyt krótką pamięć. Możesz dzierżawić mafii kamienice pod burdele, ukrywać jachty na zeznaniach podatkowych i brać w kieszeń przy świadkach, ale jak się ładnie uśmiechniesz i obiecasz więcej paszy dla elektoratu, to od razu wszystkie grzechy odpuszczone. Ktokolwiek jeszcze pamięta, że najebany Sierpiński poganiał kierowcę i zabił człowieka na pasach? To było dwa miesiące temu. Dzisiaj czytam, że to super gość, bo ktoś odkrył, że przekazuje kasę na dzieciaki w hospicjum i się wcale z tym nie afiszuje. Kurwa jego mać – obrusza się, kolejny haust whisky ledwie trafia do ust. Kołnierz jego koszuli jest już kompletnie przemoczony.

- Mi to wygląda na kolejną ustawkę, jak ostatnio z Limańczykiem – proponuję.

- Nie, nie, oni są na to za głupi. Poza tym po co tyle zachodu? Dobrze wiedzą, że wszystko ujdzie im płazem, więc już nawet nie muszą udawać. Skurwysyny zapomniały, że to oni służą nam, nie na odwrót.

- Może powinniśmy co miesiąc składać ofiarę z polityka? Tak żeby czuli więcej respektu.

- O! I to jest doskonały pomysł! Za to wypiję.

- To kto wygra wybory?

- Szatan, mam nadzieję. Polska wreszcie dostanie prezydenta, na którego zasługuje – rzuca i opiera się czołem o szybę.

Gdy pięć minut później wracam z toalety stół jest pusty. Po Gérardzie został jedynie tłusty ślad na oknie i plama potu spływająca z krawędzi stołu słonymi kroplami wprost na podłogę. Nawet szklanki i resztę

whisky ktoś już posprzątał. Muzyka gra coraz ciszej, ruch ustał, miasto na zewnątrz powoli zawraca do domu podsumowując zyski i straty. Rozglądam się za swoją marynarką i słyszę znajomy głos szepczący mi ponad ramieniem.

- Sponsor ci uciekł – mówi hostessa, na jej powiekach ciąży zbyt długi dzień, w gardle chrzęści piach.

- Mogłem zgodzić się na lewatywę, ale wspólne spacery nad Wisłą to już za gruby fetysz. Szanujmy się.

Ona wybucha śmiechem. Unosi brwi rozbrojona. Spogląda na mnie jeszcze raz, kompletnie wychodząc z roli.

- No co?

- Znalazłam skręta w damskim kiblu, może chcesz go ze mną spalić?

- A co jak to szałwia i zaczną po nas pełzać robale?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

- Znam gościa z ochrony, wypuści nas na dach. Stamtąd najlepiej się skacze.

Odpycham metalowe drzwi i dostaję po twarzy wiatrem. Jest chłodniejszy niż się spodziewałem. Dach nie należy do miasta, nie czuć tu spalin. Jesteśmy wysoko ponad zgiełkiem ulic, prawie w chmurach. Wciąż słychać klaksony taksówek i syreny karetek, ale są jak muzyka w tle, albo oddechy, znikają gdy tylko przestajemy się na nich skupiać. Podchodzę do samej krawędzi i spoglądam w dół. Szklany monolit zwęża się i wbija klinem w ziemię niczym ostrze. Przede mną beton poprzetykany światłami, wyżej już tylko samoloty na skłębionym niebie przeciągniętym pomarańczową łuną. Gwiazd nie ma. Wszystkie przylepiły się do jej sukni. Nawet nie wiem jak ma na imię. Nigdy o to nie zapytam. Zapalniczka strzela w dłoniach, papier zwija się, liście stają w ogniu. Pierwszy mach, trzyma go w płucach długo, póki nie pęknie i nie zacznie kaszleć. Teraz ja wypełniam się dymem. Przyjemne mrowienie spływa po gardle i wsiąka we mnie

głębiej. Nogi wciąż stoją na dachu, ale usta już całują kolejną chmurę. Ciało staje się coraz lżejsze. Zamykam oczy i czuję jak podmuchy zimnego wiatru wpadają pod koszulę i obmywają mnie z barowego zaduchu, zrzucam z siebie wszystko, w co ubrał mnie dzień.

Rozkładam marynarkę na ziemi. Siadamy na niej opierając się o siebie plecami. Jej włosy przesuwają się po moim karku, ciepło przenika ubrania, oddechy synchronizują się bezwiednie. Przekazujemy sobie jointa przez ramię. Nie widzę jej twarzy, ale wiem, że się uśmiecha, nie można się nie uśmiechać w takiej chwili.

- Słyszałam dzisiaj tak wiele głupot. Powiedz mi coś prawdziwego.

- Jadłem na obiad carpaccio i kawałek wołowiny utknął mi między zębami. Próbuje go stamtąd wyciągnąć językiem od dobrych czterech godzin i nie mogę. Strasznie mnie to wkurwia.

Śmieję się razem z nią, zwijam w kłębek. Kolejna chmura dymu ulatuje w górę. Ciepło z powrotem zlepia nas w jedno. Przestrzeń zgniata w punkt. Ona mówi, że szybko skoczy na dół po nić dentystyczną. Wyciąga telefon z torebki i pyta czego chcę posłuchać. Mówię, że hymnu. Wpisuje w Spotify „Poland" i włącza pierwszy wynik z listy. Dźwięki pianina sączą się jak krople spadające z gałęzi. Znam ten utwór. Opowiadam jej całą historię, o tym jak Ólafur Arnalds napisał go na kacu po całej nocy chlania, podróżowania i rzygania na polskich dziurawych drogach. Nie wszystkie piękne utwory muszą wylewać się z pękniętych serc. Taka prawda. Zastygamy na długie minuty pogubieni w dźwiękach, wiatr rozwiewa nas gdzieś nad miastem. Jutro pozbieramy się do kupy. Jutro będziemy odpowiedzialni, założymy maski i zaciśniemy zęby, ale przez chwilę jeszcze pozwól nocy zapomnieć drogi do domu.

Ostatni mach rozpływa się w powietrzu. Strzelam niedopałkiem, a on spada z dachu i spala się w atmosferze nie dosięgając Ziemi. Odwracamy się i siadamy po turecku naprzeciw siebie. Dziewczyna bierze moją dłoń, prostuje dwa palce i kładzie na swojej szyi. Sama chwyta mnie za krtań i znajduje pulsującą tętnicę. Czujesz to – pyta.

Żyję. I ty też żyjesz. Żyjemy.

Zjeżdżamy windą na sam dół i maszerujemy wolno przez hall spoglądając na siebie ukradkiem i uśmiechając pod nosem jakbyśmy dzielili jakąś wielką tajemnicę. Światło razi nas w oczy, stuknięcia obcasów odbijają się od ścian i wracają głośniejsze i rozwarstwione. Podłoga faluje jak pomost. Portier kłania się i życzy udanego wieczoru. Otwieram drzwi taksówki, ona zdejmuje z ramion moją marynarkę, oddaje mi ją i wsiada do auta. Trzaśnięcie, zgrzyt zapłonu, jednostajny pomruk silnika. Para zmrużonych oczu wygląda na mnie spod mojego odbicia. Usta poruszają się bez dźwięku. Samochód rusza, dwa czerwone punkty fruną przez chwilę nad ulicą i giną w roju innych świateł. . Jeśli chcesz dowiedzieć się o czym mówi miasto trzeba przyłożyć ucho do chodnika i słuchać, słuchać, słuchać.

***

Blanka obudziła się tuż przed wschodem słońca. Sine światło sączyło się spomiędzy rozchylonych zasłon wydobywając z mroku kontury przedmiotów. Przetarła oczy, usiadła na łóżku i dostrzegła swoje odbicie w zgaszonym telewizorze. Z głębi matowej czerni gapiła się na nią papierowa twarz. Przeczesała palcami włosy, wyprostowała plecy, unosząc dumnie nagie piersi, przeciągnęła się bez ziewnięcia i poczuła się starsza niż świat. Bolała ją głowa, plecy i cipka i nie mogła pozbyć się wrażenia, że zapomniała o czymś niezwykle istotnym. Schyliła się po torebkę wystającą spod rozrzuconych ubrań i wygrzebała z niej telefon. Zero powiadomień, pusty kalendarz. Stuknęła odruchowo w ikonę twittera i natychmiast wyłączyła ekran. Bardzo ostrożnie obróciła głowę spoglądając na mężczyznę zagrzebanego w pościeli. Nie spał. Patrzył się na nią parą niepasujących do siebie oczu i uśmiechał tak, jak uśmiechają się faceci, gdy zdobędą to, czego pragną.

- Obudziłam cię? – spytała go zastanawiając się od jak dawna ją obserwował i co zobaczył. Czy po ostatniej nocy pozostało coś, czego jeszcze nie widział? W wieku czterdziestu trzech lat wstyd stawał się mglistym wspomnieniem, abstrakcją zagłuszoną przez

zgrzyt obracających się wskazówek. Ale i tak miała ochotę ubrać się i uciec. Nie mogła znieść tego jego spojrzenia przewiercającego ją na wylot. Bała się, że znowu mu się podda.

- Chodź – powiedział leniwie zsuwając nogi z łóżka. – Zjemy coś. Zrobię kawy.

Ruszyła przez uśpione przestrzenie. Bose kocie kroki przemknęły po zimnych deskach, później miękki dotyk szlafroka, gwizd czajnika (tradycyjny, metalowy czajnik z wściekle wyjącym gwizdkiem (lądującym z trzaskiem na podłodze ilekroć ktoś ten świdrujący dźwięk wytrzymał wystarczająco długo) z jakiegoś powodu kompletnie ją rozczulił), w kilka chwil cała kuchnia wypełniła się parą. On krzątał się wyjmując kubki z szafki i nasypując do nich kawy, ona przyglądała się jego tatuażom, które widziała po raz pierwszy wyraźnie w świetle. Część z nich wyglądała na profesjonalną salonową robotę, inne przypominały więzienne dziary zrobione kolką, niechlujne i wyblakłe. Na plecach drzewa splecione korzeniami – to u góry pełne liści, to poniżej suche i kompletnie martwe, pod nimi dwa lwy wspinające się po łańcuchu, które skojarzyły jej się z herbem jej rodzinnego miasta, na żebrach runa Algiz (młodość spędzona na próbach miejscowych kapel i w zadymionych barach wyposażyła ją w wielokrotnie złamane serce i ponadprzeciętne zrozumienie metalowej symboliki), na piersi cztery symbole alchemiczne powietrza, ziemi, wody i ognia ułożone jeden pod drugim, na splocie słonecznym czarne słońce, w poprzek brzucha słowo „helvete” zapisane gotyckim fontem. Poza tym cała masa drobnicy bez większego znaczenia – gwiazdki, liście, kocie czaszki, krucze pióra. Całość zmieszczona szczelnie wewnątrz granic t-shirtu, na co dzień ukryta przed światem jak on sam (Blanka miała wrażenie, że za każdym lakonicznym zdaniem, którym ją zbywał stała większa historia i gdyby pociągnęła go mocniej za język mogłaby wypruwać z niego wątki kilometrami). Widocznie same oczy wystarczały mu, by się wyróżnić. Nie potrzebował do tego dwudziestu tatuaży. Te były tylko dla niego.

Usiedli przy stole i spoglądali na siebie przez chmury. Przypomniała sobie jak wczoraj mocno przyciągnął ją do siebie i przyssał do jej ust.

W pierwszym odruchu chciała dać mu po mordzie, ale gdy położyła dłoń na jego piersi, by go odepchnąć i poczuła dudniące pod koszulką serce nie była już tego taka pewna. Zawahała się, a on poszedł za ciosem, rozłożył ją na podłodze i rozsunął jej kolana na boki torując sobie drogę do środka. Podobała jej się ta jego nonszalancja. To, że miał w dupie czy on jej się podoba i czy jej się będzie podobało to, co zaraz zrobi. Nie napisał maila z ostrzeżeniem, nie umówił się na spotkanie ani nie wysłał kwiatów, nie zostawił liścika na biurku w pracy, nie zaprosił jej do drogiej i modnej restauracji na kolację, by przez całe godziny opowiadać o giełdzie i włoskich krawatach. Nie wyperfumował się, nie zapalił świec i nie rozrzucił płatków róż. Po prostu wypatrzył swoją szansę i zerwał z niej majtki. Z głośnika leciał jakiś uliczny hip-hop, oni byli nawaleni, spaleni i niewykąpani. I nic z tego nie miało najmniejszego znaczenia. Samo wspomnienie tej chwili sprawiało Blance tyle samo przyjemności, co bólu.

- Kawa ci stygnie – powiedział.

- Masz czasem takie wrażenie, że mieszkają w tobie dwie różne osoby, które się nawzajem nienawidzą? – zapytała go i natychmiast pożałowała, że w ogóle otworzyła usta. – Nieważne, nie słuchaj mnie, bredzę.

On wzruszył ramionami. Wziął łyka kawy i poszedł pokroić bułki. Doskonale wiedział kiedy nie należało drążyć tematu. I to spodobało jej się najbardziej.

Sierpiński obwiązany szalem, w ciepłym płaszczu na tle jesiennej palety, pasujący do entourage jak model w trakcie profesjonalnej sesji z fryzurą trzymającą fason pomimo podmuchów północnego wiatru. Sierpiński mówiący swobodnie, bez tremy, panujący nad głosem, stawiający akcenty na kluczowych słowach niczym wytrawny jazzowy perkusista, który dokładnie wie kiedy trzeba się powstrzymać, a kiedy przypierdolić. Sierpiński poruszający się spokojnie i dostojnie, nie trzymający rąk w kieszeniach, nie wymachujący nimi niepotrzebnie, nie dłubiący w uchu pomimo tysięcy bodźców i odruchów skręcających jego wnętrzności w ciasny warkocz. Sierpiński

odmieniony, elokwentny, mówiący o rzeczach istotnych z pokorą, wtrącający pomiędzy zdania nienachalny humor. Sierpiński pełen dobrych chęci, dający nadzieję. Sierpiński idealista, Sierpiński zaangażowany. Sierpiński 2.0.

- Szanowni Państwo, w czasach gdy większość europejskich miast sadzi drzewa, otwiera ulice dla ruchu pieszego, tworzy strefy wolne od spalin i aktywnie walczy ze smogiem władze Warszawy pozwalają na zabetonowanie Lasu Bemowskiego i postawienie gigantycznego osiedla w bezpośrednim towarzystwie rezerwatu. Mnie ta sprawa dotyka osobiście, bo żyję tu od wielu lat i widzę jak z każdym kolejnym rokiem zamiast aspirować do najlepszych wzorców coraz bardziej przyzwalamy na samowolkę w imię krótkowzrocznego zysku. Proszę nie zrozumieć mnie źle, ja nie jestem przeciwnikiem rozbudowy miasta, chcę widzieć więcej mieszkań, szczególnie dla młodych osób, dla których własny kąt powinien być absolutnie osiągalną finansowo kwestią, natomiast nigdy nie powinno się to odbywać kosztem przyrody. Przy obecnej technologii jesteśmy w stanie postawić blok mieszkalny w dwadzieścia miesięcy, ale wyhodowanie lasu wciąż wymaga pracy trzech pokoleń. Proszę o tym pomyśleć – powiedział spoglądając prosto w zimne oko obiektywu. Kamery zawsze lubiły go. Dzięki kamerom zbudował swoją karierę. To był jego żywioł, teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Wielu ekspertów twierdzi, że sprawa jest przegrana, bo działka to teren prywatny i deweloper może zrobić z nią co chce – dociekała dziennikarka.

- Konsultowałem tę kwestię z moimi doradcami i faktycznie, ustawa mieszkaniowa stworzona przez Polską Inicjatywę Patriotyczną i podpisana przez prezydenta Roguckiego jest dziurawa jak sito i teoretycznie zezwala na budowanie wbrew ustaleniom studiów przestrzennych, ale teren, o którym mowa został zakupiony przez dewelopera od wojska i zanim powstał plan osiedla przez lata spełniał funkcję rekreacyjną. Moi prawnicy są zgodni, że specustawa nie ma tu żadnego zastosowania. Wierzę, że ratusz zna obowiązujące przepisy i podejmie właściwą decyzję, ale jeśli będzie trzeba udzielę

protestującym mieszkańcom Bemowa wszelkiej pomocy prawnej. Mam zamiar zaangażować się w tę kwestię osobiście.

Edwin odwrócił wzrok od telewizora zawieszonego nad barem, westchnął ciężko i przepłukał gardło piwem.

- Zaorane.

- Kazio wchodzi na wojenną ścieżkę – zauważył Oskar. – Batory będzie musiał się z tego jakoś wytłumaczyć.

- O to chodzi – pokiwał głową. – Sprowadzić wszystkich do pozycji obronnej i nadawać ton dyskusji. Tak mu doradzili jego specjaliści od siedmiu boleści.

- Póki co ich strategia sprawdza się świetnie. Zobacz go, wygląda jak nowy człowiek.

Gajowy wyprostował się na krześle. Grymas przeszył jego twarz, nie pierwszy raz z resztą odkąd gadająca głowa Sierpińskiego pojawiła się na ekranie, a z głośników popłynął zbyt znajomy głos. Edwin siedział naprzeciw i widział to doskonale, jak zmianę pogody za oknem. Myślał o tym jak to jest patrzeć gdy ktoś, kogo kochasz umiera na twoich oczach, a ty wrzeszczysz w pustkę. Najczarniejszy mrok oblepił jego myśli. Ruszył przez słowa ostrożnie jakby stąpał boso po potłuczonym szkle.

- Będzie jak będzie – wyprodukował zdanie, które absolutnie nic nie znaczyło, ale przynajmniej wypełniło ciszę. Edwin pamiętał dokładnie moment, w którym dowiedział się o wypadku. Siedział na lotnisku w Paryżu czekając na opóźniony lot, gdy jego telefon oszalał. Wiadomość od Blanki, później od Oskara. Wiedział szybciej od gazet, że na skrzyżowaniu w Warszawie jego życie zawodowe wjechało prosto w prywatne. Czytał nagłówki i bał się, że kolejny będzie o nim. Że prześwietlą go na wylot i wyciągną wszystkie brudy, opublikują filmy, których nigdy nie nagrał, napiszą o pieniądzach, których nigdy nie ukradł. Wykłócił się z otyłym Amerykaninem o miejsce, które nie było jego. Gdy przelatywał nad Berlinem stewardessa odmówiła mu podania kolejnej whisky.

- Ludwik, a ty właściwie gdzie się ostatnio podziewałeś? – Oskarowi jak zwykle takt był obcy. Z subtelnością czterolatka był gotów zaatakować każdy temat, często mówił zanim pomyślał. Gdy chciał coś wiedzieć, po prostu pytał.

- Byłem zajęty. Sprawy rodzinne mnie pochłonęły. Ojciec… - urwał bez pomysłu jak skończyć zdanie.

- Ostatni raz się widzieliśmy pod wiaduktem w sierpniu - wspomniał.

- Możliwe. Wtedy jeszcze bywałem na pikietach.

- Ludzie widzieli tam w tobie lidera. Mieli nadzieję, że coś się zmieni, a wszystko jak zwykle rozeszło się po kościach.

- Ta sprawa szybko zrobiła się zbyt polityczna. Każdy chciał coś na tym ugrać. Staliśmy się argumentem w partyjnej przepychance, a to nie robiło absolutnie nic dla naszego środowiska. Nie chciałem się dłużej w to mieszać – rzucił sucho.

- W Polsce wszystko jest polityczne – dodał Edwin.

- Amen.

- Ostatnia runda? – zapytał wskazując na trzy puste szklanki. Oskar pokiwał głową. Gaj spojrzał na zegarek.

- Już osiemnasta. Miał być szybki obiad i jak zwykle zasiedzieliśmy się.

- Zrobimy jeszcze po jednym na koniec długiego tygodnia. A ty Ed, w międzyczasie opowiedz Ludwikowi swój wspaniały plan na życie.

- Plan brzmi: sprzedać wszystko i osiedlić się w Argentynie.

- Plaża, słońce, piasek? Życie rolnika z dala od tego pierdolnika? Przecież ty tam wytrzymasz góra tydzień.

- Z Oskarem na pewno.

- A kto ci powiedział, że ja też polecę?

- Jeszcze zatęsknisz za mną, chłopaku – rzucił i uśmiechnął się do niego. – Dla mnie pszeniczne – powiedział i argentyńskie słońce nagle zgasło. – Która jest? Osiemnasta?

W głowie Edwina odpaliły wszystkie alarmy. Machnął ręką nad stołem i wyrzucił ciężki zegarek spod mankietu koszuli podsuwając go płynnym ruchem pod nos (odkąd usiedli przy stole nie uwierzył w ani jedno słowo, które wypowiedział Gajowy i ta niewiara przeniosła się na coś tak prozaicznego jak podanie czasu). Ze swoim Chopardem już nie negocjował, tylko rzucił bluzgiem, później stówą na blat, wygrzebał kluczyki do auta z kieszeni, pożegnał się salutując i wybiegł z jedną ręką w rękawie marynarki powiewającej za nim niczym peleryna bohatera (z wykręconego uniwersum, którym homoseksualny adwokat mógłby być wzorem do naśladowania dla kogokolwiek) wbiegającego w sam środek akcji. Dwa skrzyżowania później pędząc swoim Maserati przez późne pomarańczowe zorientował się, że auto prowadziło się inaczej niż zwykle, reagowało na polecenia raz z opóźnieniem, raz zbyt gwałtownie, jakby dostało własnego mózgu i zaczęło samo decydować o kierunku jazdy. Poczuł swój oddech, przypomniał sobie o tym, że właściwie zawsze miał bardzo słabą głowę i zwolnił.

Na miejsce dotarł spóźniony, spocony i kompletnie trzeźwy. Dwadzieścia kilometrów spędzonych w popołudniowym bezruchu miejskim z alkoholem parującym z ust i Bowiem śpiewającym, że nie ma już nic do stracenia oczyściły jego umysł i ciało. Takich aut nie zatrzymują – powtarzał sobie w głowie zastanawiając się czy jechanie przepisowo prawym pasem nie jest przypadkiem proszeniem się o kontrolę. Gdy zaparkował wreszcie w krzakach na tyłach budynku (suche badyle skrzypnęły zdzierając lakier z maski) miał ochotę rzucić kluczykami daleko ponad betonowym płotem i zrzec się luksusu posiadania limuzyny na rzecz wieczystego komfortu taksówek. Idiota – mruknął wspinając się po betonowych schodach.

- Trudno się nie zgodzić – usłyszał głos Blanki za plecami. Była

równie spóźniona, ale niezbyt przejęta tym faktem.

- A ty co, też zaspałaś? – zapytał ciężko dysząc.

- Miałam pracowity dzień.

Para długich nóg w szpilkach wyprzedziła go i pobiegła z gracją w górę. Edwin zawsze zazdrościł kobietom tego jak się poruszają i to właściwie by było na tyle.

Tego dnia Sierpiński przyjechał na miejsce przed czasem i zastał Null w swojej standardowej pozycji: zwisającą nad klawiaturą, w którą wbijała linijki tekstów, w języku którego nie miał prawa znać. Dziewczyna (raczej nie kobieta i zdecydowanie już nie dziewczynka) dawała wytchnienie palcom jedynie gdy jej długie niebieskie włosy zsuwały się z ramion i wpadały w pole widzenia, rzadziej by sięgnąć po kieliszek lub go uzupełnić. I gdy tak na nią patrzył (bo zagaić się bał i z jakiegoś powodu przerażała go wizja wymiany myśli w sposób inny niż werbalny) obudził się w nim dawno zapomniany instynkt opiekuna. Przez chwilę miał ochotę kazać jej usiąść prosto, zapytać czy wlewanie w siebie butelki wina co wieczór jest aby na pewno dobrym pomysłem. Myślał o tym skąd biorą się tacy ludzie jak ona, w jaki sposób zdobywają swoje umiejętności? Czy jej rodziców obchodziło gdzie córka znikała na całe dnie i noce? Czy w ogóle miała rodziców? Ona zwróciła się ku niemu niczym zwierzę, które zawsze czuje na sobie obce spojrzenie. W jej oczach nigdy nie gasł gniew.

- Nie przeszkadzaj sobie – powiedział cicho i odwrócił się w stronę okna. Pod budynkiem zaparkowało czarne BMW. Z auta wysiadł Welkin.

Sierpiński postanowił przywitać go na siedząco. W swoim tajnym biurze na końcu miasta czuł się jak boss podziemia przyjmujący interesantów (choć usadowiony za chybotliwym stołem z IKEA, na tle zielonego ekranu przypominał co najwyżej aktora w surowym ujęciu odartym z cyfrowej magii). Czasem wprost nie był w stanie ukryć jak bardzo podobały mu się te ich wieczorne spotkania. Dziś znów poganiał kierowcę oglądając przez całą drogę powtórki wywiadu.

Chciał świętować sukces, wskoczyć na grzbiet wznoszącej fali, płynąć dalej, sięgać wyżej, wymyślać nowe sposoby, by ponownie lądować z impetem na łbach zdezorientowanych oponentów, ale traf chciał, że wszyscy go zawiedli swoim brakiem punktualności.

- Utknąłem w OBOPie – wytłumaczył się Welkin rzucając na stół otwartą teczkę. – Widzisz to pierwszy – powiedział dotykając palcem rubryki zakreślonej na czerwono. Obok nazwiska Sierpińskiego stała wytłuszczona cyfra 76%.

- To moje poparcie?

Artur uśmiechnął się.

- Nie. Rozpoznawalność. Dokładnie tyle dorosłych osób w tym kraju wie kim jest Kazimierz Sierpiński. Świetny wynik jak na polityka.

- Będzie co świętować jak uda nam się to przełożyć na głosy – rzucił sucho i zamknął folder. – Widziałeś wywiad?

- Rozmawiałem po drodze z Danielem i obaj jesteśmy zgodni, że to było twoje najlepsze wystąpienie. Jest jeszcze kilka rzeczy do poprawy, ale mamy na to chwilę zanim ogłosimy twoją kandydaturę. Pierwsza debata najprawdopodobniej odbędzie się w okolicach Święta Niepodległości.

- Przez ostatnią godzinę, którą spędziłem cierpliwie czekając aż ktokolwiek z was się tu pojawi, odebrałem siedem telefonów. Sześć z gratulacjami i jeden od obsranego ze strachu ministra środowiska, który poprosił mnie o niepodważanie jego kompetencji. Baran twierdził, że znają sprawę i już pracują nad wdrożeniem poprawek do ustawy. Ciekawe tylko co robili do tej pory? Widzisz Arturze, to jedno wystąpienie w telewizji przyniosło więcej dobrego niż wszystkie wasze internetowe akcje.

- Póki co działaliśmy retroaktywnie żeby posprzątać historię, teraz mamy czyste konto i możemy myśleć naprzód. Telewizja wciąż jest ważnym medium, ale w internecie możemy być bardziej

kreatywni.

- Kreatywni? – Sierpiński roześmiał się. – Słyszałeś o tym Zubrzyckim? Zambrzyckim? Prezesie ZUS z Kościana, co mu próbują udowodnić, że brał w łapę? Już go koledzy z Inicjatywy wytłumaczyli, że faktycznie przyjmował koperty, ale wyrzucał wszystkie do kosza bez otwierania. To jest dopiero kreatywność! Do poniedziałku sprawa przyschnie. Ty sobie wyobrażasz, co my moglibyśmy robić gdybyśmy byli u władzy?

- Wszystko. I do tego za darmo.

- Dlatego w walce z Goliatem potrzebujemy każdego wsparcia, a zwłaszcza tradycyjnych mediów. Potrzebujemy Bryganta. I gdzie do cholery jest Edwin? – złapał za telefon.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do środka wpadła Blanka.

- Już idzie – powiedziała rozpinając żakiet. – Straszne dziś korki.

Na klatce rozległo się głośne tupnięcie, jakby ktoś się potknął, a chwilę później w drzwiach stanął mężczyzna w czarnym garniturze. Na ponurej twarzy przypominającej oblicze maszkarona wyciosanego w granicie zgromadziło się zmęczenie zbyt długiego tygodnia, przerzedzone włosy na głowie odstawały groteskowo od czaszki obciągniętej szarą skórą. Nabrał powietrza w płuca i ruszył bez przywitania przez pomieszczenie zmierzając prosto w kierunku Sierpińskiego, ściskając w palcach telefon jak gdyby ten miał się zaraz stać narzędziem zbrodni.

- Wiadomość z ostatniej chwili – oznajmił chłodno podając mu swojego iPhone'a. Sierpiński przesunął palcem po ekranie. Przeczytał nagłówek i lead na głos.

- Drugiego samochodu nie było? Nowe fakty w sprawie wypadku posła Sierpińskiego, w którym śmierć poniosła jego żona. Czy zeznania emerytowanego policjanta wystarczą by ponownie

otworzyć śledztwo sprzed piętnastu lat?

- Opłacony strzał – skomentowała Blanka. – Kto to wypuścił?

- Velo Media, oczywiście. Brygant jest jak bank złych informacji. Otwiera swoje skrytki przed tym, kto najwięcej zapłaci – wyjaśnił Edwin. – Podobno ma brud nawet na prezydenta.

- Pytanie brzmi: czy to może nam zaszkodzić?

- Sugerujesz, że ten gównonews to prawda? – Sierpiński uniósł się z krzesła.

- Nie obchodzi mnie prawda – rzucił Welkin. – Tylko to, w co wierzy opinia publiczna. Wszystko co zrobiliśmy do tej pory może zostać pogrzebane jeśli twoje nazwisko znów zacznie się kojarzyć z trupami na drodze. Wiemy coś o tym policjancie? Dlaczego po latach postanowił się rozpruć? Null?

Dziewczyna zanurkowała za ekran. Pozostali chwycili za telefony. Trzaśnięcie drzwi nie zwróciło niczyjej uwagi. Daniel uśmiechnął się pod nosem wchodząc w sam środek surrealistycznej adaptacji trzeciego aktu licealnej imprezy gdy kończy się alkohol, ustają rozmowy i każdy ze spojrzeniem pustym jak szklanka zjeżdża instagramową windą próżności głęboko pod kreskę, ale nie odezwał się ani słowem. Mignął do Null, a ona odpowiedziała. Podsunął sobie krzesło i dosiadł się do jej biurka obserwując przez długie minuty jak dziewczyna przedzierała się przez zakamarki internetu, o którego istnieniu niewiele osób wie.

To tam, schowana przed spojrzeniami wyszukiwarek mieszka ciemniejsza strona sieci, której przeciętny użytkownik nigdy nie ujrzy (mimo, że wejście do niej zawsze stoi otworem, wystarczy zapukać dwa razy). Zamknięta w bity emanacja cyfrowego chaosu, ziemia niczyja istniejąca ponad granicami państw, wyjęta spod jurysdykcji, zdecentralizowana i wolna, której nigdy nie ureguluje żadne prawo. Dark net wychyla swój łeb nad powierzchnię sporadycznie i ostrożnie, głównie gdy organy ścigania pochwalą się (bez wdawania w szczegóły) zlikwidowaniem kolejnej strony z narkotykami, bronią lub

dziecięcą pornografią, na miejscu której zdążyło już powstać dziesięć kolejnych, bo nawet otchłań nie znosi próżni, ale przez większość czasu wszystkim wygodniej jest nie myśleć o tym, że pod twardym gruntem, po którym na co dzień stąpamy czai się spadanie bez końca. Jeśli wszystko we współczesnym świecie jest na handel, naturalnie znajdziemy tam także najcenniejszą substancję na świecie: informację.

Daniel patrzył Null przez ramię jak złożyła dyspozycję i przelała krypto. Wyśledzenie człowieka było dość skomplikowaną operacją, mogło zająć pięć minut lub pięć tygodni, ale ryzyko nie było wcale większe niż przy kupnie butów z allegro. Nawet w takim miejscu jak podziemna giełda zleceń reputacja była czymś, o co warto było bezwzględnie dbać, a użytkownik X8reeR mógł poszczycić się jedynie pozytywnymi komentarzami. Fabularyzując wydarzenia tego wieczoru wyobraźnia autora dopisującego nieznane mu wątki zapewne automatycznie przedstawiliby go jako szerokiego mężczyznę ze wschodnim akcentem i balaklavą zasłaniającą kwadratową twarz, zamieszkującego duszny pokój z wygniecionym materacem rzuconym pod ścianę, do którego żaden promień słońca nie miał wstępu. W rzeczywistości prędzej był policjantem z małego miasteczka dorabiającym na boku handlem kartotekami, albo zbyt ciekawskim licealistą, który przez przypadek odpalił niezabezpieczony feed kamery internetowej na posterunku i przyuważył hasło. Na koniec dnia pytania „kto" i „jak" nie miały tu racji bytu. Każdy państwowy system był dziurawy jak sito, informacja o skompromitowaniu strony lub bazy danych wypływała dopiero wtedy, gdy nie było można dłużej na niej zarabiać.

Null spojrzała Daniela, jakby chciała się upewnić, czy jest gotów przyspieszyć zanim wjadą w kolejny zakręt. On uśmiechnął się i kiwnął głową. Słowa były nieprecyzyjnym narzędziem, dawały możliwość ukrycia swoich intencji, ale w spojrzeniach i gestach wszyscy byli dla niego nadzy (on z kolei nauczył się blokować sygnały, na zawołanie mógł stać się przedmiotem o idealnie gładkiej powierzchni, w której można było jedynie zobaczyć odbicie własnej twarzy). Ale przed nią nie krył niczego. Otworzył oczy szeroko i

wpuścił ją do środka, a później rozmawiali, rozmawiali godzinami ani razu nie otwierając ust.

Wyjął z kieszeni talię kart i wystrzelił jedną z nich wysoko pod sufit. Null wcisnęła enter. Po ekranach rozsypały się archiwalne artykuły. Jak wszyscy, Daniel słyszał o tej historii, ale nie znał szczegółów. Piętnaście lat temu, w środku gorącej czerwcowej nocy auto Sierpińskiego wypadło z trasy i dachowało zatrzymując się bokiem na drzewie (zdjęcia pokazywały limuzynę zgiętą potworną siłą w łuk, pień wyrastał w miejscu fotela pasażera). Aspirujący polityk reprezentujący nowe ugrupowanie ze świetnym startem w karierę cudem wyszedł z wypadku jedynie z kilkoma zadrapaniami. Jego żonę, Wiktorię, siła odśrodkowa wyssała przez okno. Auto przetoczyło się po niej bokiem ubijając w pulpę, łamiąc kości i zamieniając je miejscami wewnątrz drobnego ciała. Gdy wreszcie przestało nim szarpać Sierpiński rozpiął się z pasów, wyciągnął ponad deską rozdzielczą, przeczołgał po masce i stracił przytomność. Zdawało mu się, że słyszał jej głos nad głową szepczący, by wstawał, bo zaśpi. Ale gdy wreszcie się podniósł i przykuśtykał te kilkanaście metrów podążając po śladach głębokich bruzd, odłamków szkła i fragmentów karoserii i ujrzał wreszcie jej ciało z twarzą wbitą w wilgotną, pachnącą łąkę i rozwartymi ustami, które nabrały ziemi, z suknią zerwaną z pleców, włosami zlepionymi ciepłą krwią, z nogą złamaną w kolanie i położoną wzdłuż uda zrozumiał, że nie miała mu już nic do powiedzenia.

Policjanci, którzy przybyli na miejsce zastali go leżącego obok żony, jak w małżeńskim łożu, z dłonią zaplecioną w zimne, czerniejące palce, otwartymi oczyma i papierosem między zębami ulatniającym się siwą smugą prosto w bezwietrzną noc. Powiedział, im że ją zabił. Że specjalnie skręcił w pola, bo miał dosyć słuchania jej słów. Powiedział, że był tu bóg, wszystko widział i dał im rozwód. Położył dłoń na jego rozpalonym czole, nakreślił krzyż, rozgrzeszył i pozwolił zapomnieć. Nad polami błyskały niebieskie lampy, a on leżał na świeżo skopanej ziemi i patrzył jak niebo pełne gwiazd obraca mu się nad głową. Następnego dnia, złożył zeznania: około godziny zerowej

trzydzieści poruszał się drogą 575 w kierunku Warszawy. Kwadrans wcześniej opuścili dom rodziców Wiktorii. Pogoda była dobra, auto sprawne, on trzeźwy, żona śpiąca. Na wysokości Śladowa nieoświetlony pojazd wyjechał im z bocznej uliczki prosto przed maskę. Sierpiński odruchowo uciekł na przeciwległy pas, w skutek gwałtownego manewru wpadł w poślizg i wyleciał z trasy. Ludzie z okolicznych chałup słyszeli grzmot przez sen, jedna kobieta zeznała, że przeżegnała się, myśląc, że nadciąga burza. Przez pewien czas podejrzewano księdza okolicznej parafii, o którym mówiono we wsi, że lubi jeździć na bani po nocy, ale ten zaprzeczał i zarzekał się na rany Chrystusa, aż mu odpuszczono z braku dowodów. Ponoć nigdy nie widziano go już później pijanego. Gazety suchym tonem relacjonowały brak postępów w śledztwie, zmianę oficera prowadzącego sprawę, kolejne tygodnie impasu. Sierpiński znaczył wtedy zbyt niewiele, by zapracować sobie na emocjonalne, pełne insynuacji podteksty, którymi obecnie szczuto go z każdej strony. Na pogrzebie Wiktorii pojawili się przedstawiciele opozycji. Wreszcie cała sprawa wyblakła i osunęła się w niebyt.

Znów wymienili spojrzenia. Na ekranie pojawiły się wyniki autopsji, czarno-białe zdjęcia zimnego ciała i zakrwawionych organów na metalowej tacy. Oględziny auta, raporty, jeszcze więcej fotografii. Notatki, nazwiska, daty, pytania bez odpowiedzi. Daniel rozwinął karty w wachlarz, a te wysunęły się spomiędzy jego palców i posypały na podłogę. Poczuł się intruzem, brudnym barbarzyńcą w świątyni cudzej prywatności, ale Null była nieubłagana. Zdzierała kolejne warstwy i wchodziła głębiej pod powierzchnię. Dla niej to była gra o przezroczystych zasadach, którą przechodziła dzięki wyuczonym odruchom. Dziś akurat postanowiła ustanowić nowy rekord.

- Macie coś? – zapytał Welkin.

Telefon Sierpińskiego nie przestawał dzwonić. Pozbawiony dźwięków wibrował twardo przesuwając się po powierzchni stołu przypominając w najbardziej irytujący ze sposobów, że na zewnątrz czas nie stanął w miejscu. On stał przy oknie z rękami w kieszeniach i czekał, podczas gdy reszta pracowała, by dzisiejszy wieczór nie okazał się ich

ostatnim. Stukanie w klawiaturę, pojedyncze chrząknięcie, jęk krzesła uginającego się pod ciężarem Edwina. W oddali metalowa serenada pociągów uciekających w noc. Pomiędzy tym wszystkim zimna cisza. Null przelała wino do kieliszka. Krwisty płyn zawirował w środku, uniosła go do ust i przechyliła na raz nim zdążył się ustać. Na ekranie pojawiło się powiadomienie. Przeczytała je dwa razy a następnie chwyciła monitor oburącz jakby chciała nim cisnąć w dal i obróciła w ich stronę.

- Nie żyje? – zapytała Blanka studiując skan dokumentu. – To potwierdzona informacja?

Null przytaknęła i uniosła trzy palce nad głowę. Sierpiński odwrócił wzrok od rozświetlonego miasta, chwilę mu zajęło zanim przyzwyczaił wzrok i zrozumiał na co patrzy.

- Ten policjant zmarł trzy miesiące temu – wyjaśnił Welkin. – Widocznie namówili go na złożenie zeznań, spreparowali newsa i czekali na odpowiedni moment. Dzisiaj bardzo boleśnie nadepnąłeś komuś na odcisk, więc się pospieszyli i nie zweryfikowali informacji przed publikacją. Ta sprawa już jest nieaktualna.

Sierpiński huknął ręką w blat i wydał z siebie bojowy okrzyk. Ruszył przez pokój bez obranego celu, żądny krwi niczym zwierzę, które zrozumiało, że jest silniejsze niż pręty swojej klatki. Chciał powyciągać z nor wszystkich odpowiedzialnych za ten zamach i rozwiesić jak pranie. Pozakładać sprawy, odpalić kamery, a później spuścić ze smyczy najbardziej wygłodniałych skurwysyńskich adwokatów żeby ich rozdarli na strzępy. Koniec końców i tak ukarano by jakiegoś bogu ducha winnego dziennikarzynę grzywną za zniesławienie i nakazano pokajać się akapitem przeprosin spluniętym pomiędzy strony szmatławca, którego nikt nie czyta, ale w mniemaniu Sierpińskiego to dokładnie należało to zrobić. W imię zasad. Trzy kwadranse zajęło wszystkim odwiedzenie go od tej myśli i uświadomienie, że ludzie czytający nagłówki bez zrozumienia znów ujrzeliby słowo wypadek stojące w niebezpiecznie bliskim sąsiedztwie jego nazwiska, a przeprowadzenie krucjaty tuż przed samymi

wyborami otworzyłoby pozostałym oponentom drogę do przyjęcia postawy ambasadorów kwestii ważniejszych dla kraju niż prywatna wendetta. Sierpińskiego skręcało na samą myśl, że milczenie było najkorzystniejszym i jedynym dostępnym wyjściem, ale w głębi rozpędzonego serca wiedział, że mają rację. Wreszcie ostygł i zamiast drapać ten świąd do krwi zwinął dłonie w pięści i wsadził je do kieszeni na powrót zamierając przy oknie ze wzrokiem wycelowanym w światła miasta (nocna panorama ostatecznie położyła do snu wszystkie niemożliwe scenariusze).

- Edwin, chciałbym żebyś umówił mi spotkanie z Brygantem. W cztery oczy – oznajmił chłodno.

- Zajmę się tym z samego rana.

- Dobrze. Daj mu do zrozumienia, że to nie może czekać.

Teraz chciał być sam na sam z widokiem Warszawy. Z dystansu wydawała się milcząca i statyczna, jak odległa planeta. Mógł ją całą zmieścić pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, położyć na niej dłoń i zgasić. Trzeba było podejść bardzo blisko, żeby zobaczyć, że każdą ulicę szczelnie pokrywały lśniące ciała wijących się pasożytów. Poczuł jak w ciszy za jego plecami coś urosło. Powoli odwrócił się i przesunął wzrokiem po twarzach. Niemowa. Magik. Goniec. Nudziara. Chuligan. Całkiem niezłą ekipę sobie tu skompletował – pomyślał. W wolnych chwilach nadawał im pseudonimy, zastanawiał się jakie oni mogli mieć dla niego. Czy były to prześmiewcze epitety, jak w liceum, które z czasem wrastały w skórę i szpeciły ławki, czy może wulgarne, kanciaste słowa, których wymowa haratała gardło? Gdyby mógł rozłupałby im czaszki i powylewał z nich treści, wydłubał z nich te opisane jego nazwiskiem, rozłożył obok siebie i pogrupował zgodnie z barwą. Oddałby wiele, by nigdy nie poczuć, że stracił kontrolę.

- Czy jest jeszcze coś o czym powinniśmy wiedzieć? – zapytał go Welkin.

Nie spodobał mu się jego ton. Brzmiał jakby stawiał ultimatum. Sierpiński przysiadł na stole, wzruszył ramionami, głęboko zaciągnął

się zapachem betonu i kurzu.

- Nie sądzę. Nie – uciął.

Wziął telefon do ręki, by przeczytać tuzin zaległych wiadomości, więc umknął mu moment, w którym Artur dał dziewczynie sygnał, by zrobiła z nim to, co potrafiła najlepiej. Gdyby zareagował w porę być może byłby w stanie użyć swojego autorytetu i ich powstrzymać. Zamiast tego odruchowo usunął mailowy spam, odpisał krawcowi na SMS-a, podrzucony z zastrzeżonego numeru link zaprowadził go do tego samego artykułu, który nie mógł mu już wyrządzić krzywdy. Odetchnął. Gdy ponownie podniósł głowę pytanie wisiało już nad nim jak perfekcyjnie zawiązana pętla.

- Kim jest Żaneta Zięba? – rzucił Welkin kierując jego wzrok ku ekranom.

Tam, na powierzchni dwóch monitorów niczym pacjent przygotowany do operacji leżało jego prywatne życie, nagie, bezbronne i doskonale oświetlone. Wspólne zdjęcia wrzucone w chmurę, setki lajków tego samego profilu udokumentowane w dzienniku aktywności, numery kont połączone przelewem cyklicznym, akty urodzenia Hanny i Julka, numery tablic rejestracyjnych srebrnego Jaguara i adres działki w Rucianym. Nagle poczuł się przyparty do muru, pozbawiony możliwości ucieczki. Pięć twarzy przyglądało mu się znów czekając na reakcję. Hakerka. Kłamca. Złodziej. Żmija. Zabójca.

- Jeśli my możemy to znaleźć, to każdy może – powiedział bez krzty emocji w głosie. – Starszy syn ma szesnaście lat, twoja żona nie żyje od piętnastu. To już jest temat na artykuł. Chyba, że to nie twoje dzieci?

- Moje – przyznał po raz pierwszy w życiu przed obcą osobą.

- Zastanówmy się wspólnie, co możemy zrobić żeby uniknąć ryzyka.

Null odłożyła pusty kieliszek, przymknęła oko i wycelowała dwoma palcami w ekran. Kciuk opadł jak kurek, strzał, strzał, strzał,

spomiędzy ust wydobyły się dmuchnięcia bez dźwięku.

- Czy was popierdoliło? – krzyknął. – Nie pozwolę wam krzywdzić mojej rodziny!

Rodziny. Słowo wróciło do niego odbite od kostropatego sklepienia, przeszyło go na wylot. Mimo, że nigdy nie udało mu się zbudować nic trwałego w życiu (małżeństwo z Wiktorią było pijanym tańcem na ostrzu noża, romans z Żanetą snem, którego nie potrafił ziścić) te wspólne chwile rozrzucone przez lata w pojedyncze dni zakreślone w kalendarzu czerwonym markerem, te popołudnia wyszarpane z nurtu wydarzeń, wspólne spacery pełne niewypowiedzianych pretensji, pachnące ciastem Wigilie (twój rozmiar? Sprowadziłem specjalnie ze Stanów. A zobacz co tu dla ciebie mam. Myślicie, że mamie się spodoba?), nawet trzaśnięcia drzwiami, odrzucone połączenia, bezsenne noce, łzy, przeprosiny, cały ten jebany ping-pong, zataczanie się po omacku przez życie po linii, która jedynie krzyżowała się z jej linią, ale nigdy nie chciała połączyć, zaplątać, to wszystko było dla niego prawdziwą bliskością, jedyną jaką znał.

- Nie pozwolę wam skrzywdzić nikogo – powiedział i sam usłyszał jak chude były jego słowa, jak mało substancji w nich zawartej.

Ale postanowił nie wyjaśniać niczego. Nie brnąć głębiej. Emocje były, jak się okazało, jedyną rzeczą, którą mógł przed nimi ukryć. Emocje, których sam do końca nie rozumiał, bo nawet przed sobą samym trudno mu było się wytłumaczyć z wyborów, których dokonał. Ale jak każdy musiał z nimi żyć. Więc żył biorąc się za łby z każdym kolejnym dniem pojedynczo, w kolejności, w jakiej do niego podchodziły. Z zasady nie poddając się marzeniom (od kiedy te spełnione nauczyły go, że nie ma nic bardziej rozczarowującego niż pustka, która przychodzi wraz z pytaniem „co dalej?"), oprócz jednego snu o potędze, tego, w którym trwał po obu stronach powiek.

- Zatrzyjcie wszystkie ślady – rzucił chłodno odzyskując kontrolę nad tonem głosu. – Będę bardziej ostrożny.

- Null?

Dziewczyna wyprostowała się na krześle, obróciła do siebie ekrany. Dziesięć minut później zameldowała wykonanie zadania. Ogromny fragment życia został nadpisany zerami. To było takie proste. Sierpiński uśmiechnął się przypominając sobie jak jeszcze przed chwilą próbował przekonać Welkina, że wejdzie do pałacu prezydenckiego przez telewizor. Nie. Tu była władza absolutna. Miała niebieskie włosy i palce szybsze niż seria z karabinu. Wytatuowane przedramiona i perfekcyjną koordynację ciała. Oczy wilka i deficyt empatii. Kiwał głową i uderzał w dłonie mocno, a jego oklaski wybrzmiewały dźwięcznym echem.

- Dobra robota – powiedział. – A teraz zbierajmy się do domu. Wystarczy na dzisiaj wrażeń.

Monitory i lampy zgasły wpuszczając do środka smugi blado pomarańczowej łuny. Klatka schodowa wypełniła się krokami. Silniki mruczały w chłodnym, nocnym powietrzu, gruz chrzęścił pod kołami, światła znikały w oddali parami. Artur dogonił dziewczynę z plecakiem maszerującą szutrową drogą wśród opadającego pyłu, opuścił szybę i zwolnił.

- Podwieźć cię gdzieś? – zapytał.

Wyjęła słuchawkę z ucha i dała mu znać, by powtórzył.

- Wiem, że potrafisz mówić – powiedział. – Więc mów.

Ona zmrużyła oczy, wyprostowała środkowy palec i wróciła do słuchania muzyki. Artur przyspieszył. Z rykiem przeciął serce miasta łomoczącego piątkowym rytmem i ruszył na południe.

***

Dziewczyna ma niebieskie oczy, kręcone włosy zaplecione w warkocz i obgryzione paznokcie. W środku się pali. Gdyby mogła cała schowałaby się za zeszytem, który trzyma przyciśnięty do brzucha i tam w spokoju eksplodowała raz za razem. W jej gestach jest coś znajomego, ma podobną budowę ciała jak Lipa, taki sam wzrost, tak

samo się ubiera. Ale nie jest nią. Nie zgadzają się szczegóły, rozjeżdżają linie. Oczy znajdują się na niewłaściwym miejscu, usta są zbyt pełne, uszy zbyt odstające. Wygląda jak rysunek Lipy, który ktoś wykonał z pamięci, kompletny sam w sobie, naszkicowany dobrą kreską, ale nie wytrzymujący starcia z oryginałem. Nie nosi w sobie ani jednej z moich myśli. Stoi krystalicznie przezroczysta w pierwszy dzień pracy i zalewa mnie słowotokiem dziękując za spełnienie jednej z jej życiowych ambicji, jaką jest możliwość parzenia kawy w Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad.

W chwilach takich jak ta mam ochotę wyjść na miasto z wielką pałą bejzbolową i przypierdolić prosto w zęby każdemu autorowi i reżyserowi, który przyłożył rękę do stworzenia etosu dziewczyny z małego miasta przyjeżdżającej do Warszawy i poznającej wziętego menedżera, bo będziemy trwali skuci tym stereotypem dopóki czyjeś ręce nie wylądują w czyiś majtkach albo nie damy sobie wyraźnie do zrozumienia, że nie jesteśmy sobą zainteresowani. To jak rytuał przejścia, obowiązkowy element każdej relacji na linii przełożony-asystentka wpisany w nasz popkulturowy kod genetyczny i uwzględniony w planie dnia. Z drugiego końca pokoju czuję jak obawy i nadzieje ulatniają się z niej niczym zapach tanich perfum. Tylko Lipa potrafiła tu wejść z wymemłaną gumą do żucia w dłoni, stanąć na piętach i powiedzieć mi w drugim zdaniu jak beznadziejnie mam zawiązany krawat, zaskarbiając sobie mój szacunek po sam koniec tego durnego świata.

- Skąd jesteś?

- Mieszkam na Woli. Ale pochodzę z Kościana.

- Jak ten… Zambrzycki.

- Przykro mi, ale nie znam. Też pracuje tutaj?

- Nie. Nieważne.

- Czy ma pan dla mnie jakieś zadania?

- W pierwszej kolejności prosiłbym żebyś zwracała się do mnie

po imieniu. Mam na imię Artur.

- Magda.

- Cześć Magda. Teraz najlepiej by było gdybym oprowadził cię po biurze i zapoznał z ludźmi, ale niestety mam za kwadrans umówione bardzo ważne spotkanie z prezesem Nowakiem. Lipa cię wdroży we wszystkie rytuały.

- Lipa?

- Moja poprzednia asystentka. Przyjdzie po ciebie jak tylko skończy się przeprowadzać na nowe miejsce.

Trwamy przez moment zasłuchani w biurową uwerturę na dwadzieścia klawiatur, ekspres i drzwi od kibla, która jest jak biały szum, otula nas swoją obecnością i zapewnia spokój stale pozostając tuż poza krawędzią kadru. Wreszcie zaczyna do niej docierać, że nikt nie napisał dla nas dłuższego dialogu i ta scena właśnie dobiegła końca. Wycofuje się tyłem nie przestając uśmiechać i miękko zamyka za sobą drzwi.

Na telefonie wiadomość od Null. Dogrzebała się do zdjęć hajlującego Mariana Bieleckiego. Chce wiedzieć, czy wypuścić to w świat. Mijają trzy sekundy, niebieski balonik ulatuje z ekranu jak gdyby nigdy go nie było. Ja pytam czy hajlujący Marian Bielecki to w ogóle news? Wszyscy spodziewają się po nim, że jest człowiekiem o silnych poglądach. Poszukaj dalej – piszę. Odebrane. Odliczanie rusza. Trzy sekundy. Kolejna wiadomość zapada się w cyfrowy niebyt. Marian Bielecki nie jest dla nas zagrożeniem, dyskredytowanie go dokłada kolejną cegiełkę do budowy obrazu polskiego polityka jako zbioru wszystkich najgorszych cech ludzkich. To mają być precyzyjne punktowe strzały w oponentów, a nie przejazd walcem po status quo. Jest młoda, wiec wciąż jej się wydaje, że my tu próbujemy zmienić świat, gdy w rzeczywistości próbujemy jedynie dotrwać do weekendu.

Wychodzę z gabinetu. Na korytarzu dogania mnie Igor. Państwowa posada mu służy. Odkąd tu pracuje przybrał już na oko z siedem kilo. Wcześniej też nie był kulturystą, ale udało mu się przekroczyć tę

magiczną granicę, za którą brak formy rzuca się w oczy niezależnie od rozmiaru koszuli. On nie jest gruby. Gorzej. Jest chudo-gruby w groteskowy sposób przypominający posturę trzyletniego dziecka rozciągniętego do metra osiemdziesięciu, u którego masa nie rozlewa się równomiernie, ale cała gromadzi w okolicach brzucha. Spuchnięty tułów, z którego wystają patykowate, nieproporcjonalne odnóża podbiega do mnie, zamiast przywitania wydaje z siebie ciężkie westchnięcie.

- Jak wizyta u Magnussona?

- Rzucał we mnie słoikami z terpentyną i krzyczał coś po islandzku. To już postęp, ostatnim razem po prostu udawał, że go nie ma.

- Spróbuj jeszcze raz pod koniec tygodnia.

- Serio? Miej litość, człowieku. Przydziel mi jakieś zadanie w archiwum. Sprawdzam się w wyszukiwaniu informacji.

- Tak, to akurat wszyscy wiemy.

- Zdziwaczały dziad spuści na mnie psy. Albo uwięzi w piwnicy i zacznie na mnie eksperymentować. Czytałem kiedyś taką książkę o gościu, którego jakiś czubek zmienił w dzieło sztuki. Napisał ją— - Nowak kazał mi trzymać ciebie z dala od papierologii. Boi się, że wykopiesz brudy, których nikt nie będzie w stanie wyjaśnić.

- Gdyby ludzie wiedzieli w jakich realiach wy musicie tu pracować nikt nie narzekałby na stan dróg, serio. To cud, że w ogóle je mamy.

- Potrzebujemy żeby Magnusson podpisał papiery. Teraz nie ma już wyjścia i możemy zająć teren siłą, ale wolałbym załatwić to po dobroci.

- Ja to wiem. Ty to wiesz. Ale co ja mam zrobić?

- Każdy człowiek na świecie mówi w innym języku. Musisz go poznać ten, którego on używa i się z nim dogadać.

- Chodzi ci o islandzki?

- Chodzi mi o to żebyś poszedł teraz do mojego biura, wyjął z szafki butelkę Bowmore Darkest i dwie Cohiby a w piątek pojechał z tym do Magnussona i machał kontrabandą zza bramy robiąc uniki dopóki stary nie zejdzie na dół i ci nie otworzy. Jak już wypijecie whisky i wypalicie cygara, a on wyłoży ci swoje poglądy na temat współczesnej sztuki performatywnej, wtedy daj mu jasno do zrozumienia, że czas się skończył i już nic więcej nie mogę dla niego zrobić. To jest rytuał, proces przez który musisz przejść. Dopiero wtedy cię wysłucha.

- Butelkę czego?

- Biała etykieta, górna półka. Cygara znajdziesz obok, leżą luzem. Tylko powiedz Magdzie, że cię wysłałem, inaczej dziewczyna pomyśli, że obrabiasz mi gabinet. Jest tu nowa.

- Dzięki.

- I pozdrów go ode mnie. Przekaż mu, że wpadnę obejrzeć ten jego las ze szkła.

Igor kręci głową i uśmiecha się pod nosem. Unosi rękę jak przygotowujący się do skrętu rowerzysta i podąża za nią w głąb korytarza. Błysk światła w kąciku oka. Lipa przemyka obok, na szczycie sterty papierów balansuje kwiat w doniczce. Wymieniamy krótkie spojrzenie, zbyt krótkie bym zajrzał do środka i dowiedział się udało jej się pozbierać po pogrzebie, jak odnajduje się w nowej roli asystentki prezesa, czy ma do mnie żal. Nie otrzymała żadnego powiadomienia. Rano po prostu zastała Magdę siedzącą na jej miejscu i cały swój bajzel spakowany w cztery kartony. Tak tu się załatwia sprawy.

Telefon dyskretnie wibruje w kieszeni. Zwalniam kroku. Podstawiam papierowy kubek pod dystrybutor i sprawdzam wiadomość. Błyszcząca twarz Bieleckiego wyjęta błyskiem flesza z ziarnistego mroku jakiejś podejrzanej knajpy. Pomiędzy dolną krawędzią koszulki z symbolem Polski Walczącej, a paskiem spodni wybiła fałda

owłosionego tłuszczu, niżej w kroku czarna plama moczu rozlewa się na uda i skórzaną kanapę. Nad jego głową dwa przepite ryje protestują w stronę obiektywu. W prawej krawędzi kadru ucięta w połowie twarz dziewczyny zasłania usta, ale w jej oczach nie ma radości. Palce nie zatrzymują śmiechu, ale sączącą się krew. Czy on nie był podejrzany w sprawie o pobicie? - odpisuję. Poproś naszego przyjaciela od kartotek żeby prześwietlił wycofane oskarżenia. Hajs? – pyta Null. Do 20k – odpowiadam. Po tylu zleceniach powinniśmy zapracować na jakąś zniżkę.

Wiadomości znikają, telefon wpada do kieszeni. Odwracam się w stronę pustego korytarza. Na drugim końcu Igor przedstawia się Magdzie. Używa słów i gestów żeby wyjaśnić po co przyszedł. Ona uśmiecha się nerwowo, podnosi brwi i rozkłada ręce. Obydwoje wyglądają jak aktorzy, którzy nauczyli się kwestii z dwóch różnych filmów. Wyrzucają z siebie wykute zdania, nie skupiając się na tym, co druga strona ma do powiedzenia. Brak w tym rytmu i składu, ale chęci są szczere. Igor odwraca się w moją stronę, Magda podąża za jego wzrokiem. Daję im skinieniem błogosławieństwo. On wreszcie wchodzi do mojego gabinetu, ja pukam do drzwi Nowaka.

Zastaję go rozwalonego w fotelu. Niczym kameleon zlał się z wszechotaczającą go szarością, odrywa tylko jedno oko od monitora i leniwie sięga w kierunku ekranu laptopa, by go zamknąć. W szybie za jego plecami odbijają się zakurzone kadry z odcinka Breaking Bad, rozklekotany kamper pędzi przez pustynię podskakując na nierównościach. Nowak dopija ostatniego łyka zimnej kawy, która zaczęła przysychać do filiżanki brązowym strupem i zrywa się na równe nogi jakby w jego ciele włączono nagle zasilanie.

- Widzę, że zagoniłeś Lipę do pracy od pierwszego dnia – mówię.

- A co ty myślałeś? Nie zabrałem ci jej żeby ją ruchać. To zajebisty pracownik, wreszcie może się dowiem na jakim etapie są projekty. Chodź – rzuca ściągając płaszcz z wieszaka.

- Dokąd?

- Mamy ważne spotkanie, nie pamiętasz?

Po drodze zawijam do gabinetu i widzę Igora wiszącego nad biurkiem Magdy w ten barowy sposób, gdy po trzecim piwie włącza się gawędziarstwo, ale wciąż nie wiadomo czy można się dosiąść. Zawzięcie mieli ustami wypracowując sobie miejsce. Dziewczyna uśmiecha się i kiwa głową. Jeszcze nie ma wyrobionych odruchów obronnych.

- Wychodzę na resztę dnia – rzucam przechodząc obok. – Na komórkę przekieruj jedynie telefony w ważnych sprawach.

- A jakie to są ważne sprawy?

- Milionowe spadki, pozytywne wyniki testów ciążowych i groźby pozbawienia życia. Reszta musi poczekać do jutra.

- Przyjęłam.

Na zewnątrz pizga spalinowym wiatrem. Powietrze jest suche i zimne, wyjątkowo miejskie, mimo, że godziny porannego szczytu już dawno za nami. Podobno ma być zima tysiąclecia w tym roku – obwieszczają portale. Od ośmiu lat nie spadł tu porządny śnieg. Chętnie zobaczyłbym Warszawę zasypaną po dachy z soplami lodu jeżącymi się ze znaków drogowych w poziomie. Z zamarzniętymi figurami przechodniów skutych w bryły mrożonego mięsa, usłyszałbym tę pierwotną ciszę kłującą w uszy i zaciągnął się powietrzem białym i ostrym jak kieł. Każdy z nas w głębi duszy czeka na koniec świata.

Skręcamy za róg i podchodzimy do panamery przerzuconej ukosem przez krawężnik. Nowak szuka kluczy po kieszeniach płaszcza jak palacz zapalniczki. Chwilę później prujemy przez miasto. Styl jego jazdy można określić jedynie jako ultraagresywny. Leci slalomem, spycha taksówkarzy z buspasa, wsiada na zderzak matkom odwożącym swoje dzieci do przedszkola. W głośnikach Lana Del Ray spowiada się, że wyruchała sobie drogę na szczyt, że to jej show.

- Kurwa, kocham ją – mówi Nowak - Ja myślałem, że ty nie słuchasz muzyki.

- To jest ideał kobiety. Gangsterska wersja Nancy Sinatry. Wszyscy marzą o lasce z charakterem, ale wiesz jaka jest prawda? Jakby taka wparowała im na chatę to nie wiedzieliby którędy uciekać. Większość mężczyzn potrzebuje kobiety, którą będą mogli sobie schować do kieszeni i wyjmować ją na ruchanie. Bez własnego zdania, potrzeb, pasji i kręgosłupa.

- Tak nie jest łatwiej?

- Oczywiście, że jest. Ale ja, drogi Arturze, nigdy nie idę na łatwiznę i w przeciwieństwie do reszty tych buraków, szanuję kobiety i pozwalam im być przy mnie sobą. Nie kontroluję, nie przyciskam kolanem do ziemi. Najwyżej drugi raz się z nimi nigdy nie spotkam. Ale nawet jeśli to tylko jeden wieczór, sprawię, że będą pamiętać go do końca. Bo szczęśliwym to się w życiu bywa, nigdy jest na stałe. Ta mądrość przychodzi z wiekiem, dlatego przestałem uganiać się za młodymi laskami, twoja Lipa może czuć się przy mnie bezpieczna.

- Moja?

- Byłeś kiedyś z młodszą kobietą? Tak z piętnaście lat młodszą? Dużo facetów rzuca swoje żony dla tej fantazji. Nie wiedzą, że gonią za snem, który dobrze wygląda, bo ma wszystko napięte, ale przez większość czasu leży pod tobą jak kłoda i fatalnie obciąga. Jezu, robienie laski przez te instagramerki przypomina wkładanie chuja w temperówkę.

- Ty, mimo przeciwności, wciąż trzymasz się Marysi. Dajesz dobry przykład.

- Moja żona jest ostoją, kompasem, jest kotwicą w sztormie, rzeźbą wyciosaną z granitu, wzorem kilograma z Sevres. Moja żona jest jak skała, po której spływają spienione fale. O jej stalową waginę łamią się najtwardsze kutasy.

Porsche parkuje z piskiem na Nowogrodzkiej, tuż pod główną siedzibą PIP. Wyglądam przez okno na niski, obskurny budynek wyglądający jak kontener do przewozu drobiu. To stąd na resztę kraju radio Batory nadaje komunikaty informujące o nieustającym paśmie sukcesów. Jest

dobrze, a będzie jeszcze lepiej.

- Nie żartowałeś z tym spotkaniem – mówię.

- Arturze, wyjmij proszę z bagażnika maski klaunów i kałasznikowy.

Nowak uderza w przycisk na desce rozdzielczej. Tylna klapa unosi się bez dźwięku. Rozpinam się z pasów i wysiadam. Przestrzeń bagażowa jest pedantycznie wysprzątana. Wciąż widać regularne pociągnięcia szczotki odkurzacza, którymi zaczesana jest tapicerka, w tym aucie przewozi się głównie powietrze. W bocznej siatce znajduje się czarna drewniana skrzynka. Wyjmuję ją i podchodzę do drzwi kierowcy. Pudełko jest ciężkie, ale cokolwiek znajduje się w środku waży tyle, co nic. On odbiera je ode mnie, wkłada pod pachę i kieruje się do wejścia. Za naszymi plecami przemyka rząd czarnych limuzyn. Jedna po drugiej wyłączają sygnały i zjeżdżają do garażu podziemnego.

Witamy się z ochroniarzem, wprasowanym w fotel dziadkiem z gęstym wąsem, który spędza swoje życie gapiąc się w wypalony ekran monitoringu parą równie wypalonych oczu. Myślę, że gdybyśmy faktycznie wmaszerowali tu w maskach i pod bronią odprowadziłby nas tym samym apatycznym spojrzeniem i natychmiast powrócił do stanu nirwany. Według kierunkowskazu siedziba PIP znajduje na piętrze, my skręcamy w prawo. Za drewnianymi drzwiami przypominającymi wejście do angielskiego pubu mieści się klub bilardowy. Ogromne, ciemne pomieszczenie wypełnione stołami do snookera z suknami w kolorze toksycznej zieleni, półkami uginającymi się od przykurzonych pucharów i niewielkim barem umieszczonym obok spiralnych schodów prowadzących na antresolę. Powietrze pachnie tu zwietrzałym alkoholem wlanym hektolitrami w szarą wykładzinę i tytoniem wypalanym podczas prywatnych spotkań. Miejsce stara się być ekskluzywne skrupulatnie chowając swoje niedociągnięcia w półmroku, ale gdyby zerwać ciężkie zasłony z okien i wpuścić tu trochę światła szybko okazałoby się, że to zwykła studencka speluna, a nie izba lordów.

Zamawiamy po espresso i ruszamy do stołu numer osiem. Nowak

otwiera swoją magiczną skrzyneczkę i wyciąga z niej kij snookerowy w trzech częściach. Zanim rozłoży je obok siebie na suknie przygląda się każdej z nich jakby miał do czynienia z drogocennymi eksponatami, waży w dłoniach, ocenia materiał i kunszt.

- To Balabushka. Ręczna robota. Szczytówka jest zrobiona z klonu o charakterystycznym wzorze przypominającym ptasie oczy. Trzy miesiące pracy potrzeba żeby wystrugać taki patyk. Możesz w to uwierzyć?

- Ładny – mówię, bo coś wypada powiedzieć.

- Tysiąc euro.

- No to śliczny.

Skręca kij i mierzy nim we mnie jak szpadą. Zdejmuję trójkąt z bil i rozsiadam się wygodnie przy stoliku sącząc gęstą esencję. Telefon wibruje po raz kolejny, wyciągam go i sprawdzam wiadomość od Null. Z ekranu patrzy na mnie twarz dziewczyny po kolizji z życiem, sina skóra błyszczy i płonie, przecięte usta napuchnięte bólem składają się jak do gorzkiego pocałunku, oczy pełne strachu, który wycieka na poliki srebrnymi strugami. Obraz znika po trzech sekundach, ale zostaje w głowie na dłużej. Druga wiadomość – skan obdukcji. Wstrząśnienie mózgu. Pęknięcie błony płodowej. Poronienie. Trzecia wiadomość – pojedynczy znak zapytania. Waham się. Dla naszej sprawy to wciąż bez znaczenia. Ale po takiej wiedzy, jakie przebaczenie? Namierz ją – odpisuję i chowam telefon.

Nowak pochyla się nad stołem, wstrzymuje oddech niczym snajper przed strzałem i uderza rozbijając bile. Drzwi za jego plecami otwierają się z hukiem, a do sali wpada partyjna delegacja z Józefem Batorym na czele. Nasze spojrzenia spotykają się praktycznie od razu, jakby wiedział, że tu będę. Sekundę później dostrzega Nowaka i zmienia kurs ciągnąc za sobą resztę stada. Na twarzy pojawia się profesjonalny uśmiech zza którego nie widać pośpiechu, zmęczenia, niczego.

- Krzysiu, Krzysiu, no ciebie to bym się tu nie spodziewał.

Ma lektorski głos, idealną dykcję, prawidłowo rozłożone akcenty. Nigdy nie przestaje wciągać brzucha. Nawet w domowym zaciszu wciąż jest Józefem Batorym, którego znamy z telewizji. Wypełnia sobą cały kadr. Jego poplecznicy czują ten autorytet jak im wsiąka w kości, każdy z nich napięty niczym struna ustawia się w tle tworząc mur broniący dostępu do bramki, pozostając gotowym, by podskakiwać na komendę.

- Słyszałem, że tu wszystko dają za darmo, to przyszliśmy – odpowiada Nowak.

- Ja to ci czasem zazdroszczę. Siedzisz sobie z boku na wygodnym fotelu i już nie musisz się tym wszystkim przejmować. Jak sprawy w Gdace? Dojedziemy autostradą do Siedlec jeszcze w tym stuleciu?

- Jak to mówią: wszystko jest na dobrej drodze.

- I to lubię słyszeć. Pozytywne podejście a nie ten nasz narodowy fatalizm. Ty wiesz, że będzie dobrze. A za pół roku to wręcz fantastycznie. Pogadałbym, ale muszę ustalić skład sztabu wyborczego. Panowie wybaczą.

Nie czeka aż odejdą. Od razu szturcha łokciem Templina i pyta kim jestem. W tym mieście nic nie może dziać się bez jego wiedzy. Minister rolnictwa ogląda się przez ramię jeszcze dwa razy i wyrzuca z siebie pojedyncze zdanie. Wszyscy, w zasięgu jego głosu natychmiast wybuchają śmiechem. Ktoś woła „Ahoj, kapitanie" odrobinę zbyt donośnie. Batory poważnieje najszybciej, żart się udał, ale nie kupił im zbyt wiele czasu, odpowiedź ma się znaleźć, choćby mieli przyjść po nią tu i wyciągnąć mi ją z gardła lub z kieszeni. Nowak odwraca głowę, jego twarz wygląda tak, jakby właśnie uświadomił sobie, że cały świat jest ulepiony z gówna. Ma je przyklejone do podeszw, zasycha mu pod paznokciami. Wiem, że chce stąd wyjść jak najszybciej. Złożyć swój zajebisty kij do trumny i odjechać z piskiem opon. Ale nie da im tej satysfakcji, będzie tu siedział dopóki jego obecność nie zacznie ich uwierać. Powoli dopije zimną kawę. Zapłaci gotówką i nie weźmie reszty.

- Wiesz co lubię najbardziej w snookerze? – pyta mnie. – Żeby wygrać musisz planować trzy ruchy do przodu. To są kinetyczne szachy.

Uderza ponownie, czarna bila tańczy na krawędzi łuzy i wraca z powrotem na stół.

***

Edwin poczuł jakby w jego wnętrzu nagle otworzyły się drzwi. Za drzwiami nie było nic, kosmiczna pustka, wyjąca czernią i zimna, która wysysała go kawałek po kawałku i pluła nim w przestrzeń. Przed oczyma wybuchła czerwona mgła, jak wokół głowy boksera po solidnym uderzeniu. Noc. Krzyki za plecami, coraz głośniejsze, nogi za pasem, serce w gardle, płuca w ogniu. Długi cień wychylający się spod stóp to w przód, to w tył. Cień małego, wystraszonego chłopca rozpaczliwie wymachującego swoimi chudymi rękami. Uciekał teraz razem z nim. Znów czuł w nosie radomską zimę, ostre powietrze przepełnione dymem wyrzyganym z kominów, który osiadał na dachach i zaspach jak czarna wysypka. Nogi rozjeżdżały mu się na oblodzonym chodniku, pot spływał po skroniach. Łap pedała!

Chłopiec, który go gonił, ten który najgłośniej krzyczał, jeszcze dwa dni temu pokazywał mu swojego siusiaka za garażami przy szkole (odciągnął majtki od podbrzusza, w ciemności niewiele było widać, ale Edwina i tak przeszył prąd, poczuł się jakby przeszedł na drugą stronę lustra, przed którym nie raz stawał kompletnie nagi i przyglądał się swojemu kościstemu i blademu jak papier śniadaniowy (ale wciąż ciepłemu) ciału). Teraz chłopiec ratował swoją skórę zmieniając się w oprawcę. Zabij pedała! Ryczał i wymachiwał długim kijem. Krzyki i kroki kłębiły się tuż za plecami, brzmiały jak lawina gotowa połknąć go i przeżuwać. Gorąca krew pędziła przez żyły. Był pewien, że po byle uderzeniu czerwień zacznie z niego sikać jak z przebitego węża, tak był napompowany tym strachem. Zimne palce zakleszczyły się na siatce. Buty zaczęły szorować po przęsłach. Wyżej. Podciągnął się jakby ciało przestało ważyć, przerzucił rękę na drugą stronę. Miękkie druty wygięły się pod jego ciężarem, przebiły kurtkę i

dotknęły ciała. Przeciągnął się po metalowej koronie wypruwając cały puch z podbrzusza. Rozpędzony kij huknął w ogrodzenie tuż obok jego głowy, następne uderzenie o milimetry minęło kolano. Spadł na dół, ześlizgnął się niżej, zatoczył. Lód chrupnął pod piętami, ale nie pękł. Po zalewie przemknął jęk. Czarna głębia rozwarła paszczę w oczekiwaniu.

Odwrócił się, by na nich spojrzeć. Chłopiec wciąż rzucał wyzwiska, wciąż uderzał kijem w siatkę. Edwin był wystarczająco blisko, by ujrzeć łzy w jego oczach, cały ten żal i strach i gniew. Zostaw go. I tak utonie – powiedział ten drugi. Lód pęknie. Już po nim. W życiu nie dotrze na drugą stronę. Edwin cofnął się ostrożnie, jakby spacerował tyłem w kierunku przepaści. No już, spierdalaj stąd! – huknął ten z kijem, siatka zazgrzytała metalowymi zębami. Wtedy odwrócił się i zaczął iść. Śnieg iskrzył się w świetle księżyca, a on stawiał kolejne kroki po jego powierzchni. W samotności.

Gdzieś w mieszkaniu trzasnęły drzwi. Zauważył, że trzyma w ręku nóż, pod nożem leżał kawałek surowego mięsa, olej ulatniał się z patelni tłustymi kłębami. Nie pamiętał jak długo tak stał, może minutę, może od wczoraj. W kuchenne okna walił jesienny deszcz, dzień na zewnątrz gasł, znikał pod szumem. W progu stanął Oskar. Zimne krople spływały z jego włosów i brody. Chciał o coś zapytać, ale zamilkł, bo zobaczył to od razu. Znali się zbyt długo, by nie widzieć i za krótko, by ignorować.

- Boję się, Oskar – powiedział Edwin głosem w którym nie było siły. – Powiedz mi, co ja mam teraz zrobić?

Sierpiński wszedł do studnia ostatni. Miejsca przy stole były już pozajmowane, światła rzucone, palce na spustach. Od wypadku zapraszano go często, ale wyłącznie na egzekucje. Publiczność domagała się pokuty, chciała otworzyć go i nakarmić jego własnym sercem. Myślał o tym idąc powoli przez ciemność, lawirując wśród statywów i kabli (już zapomniał ile maszynerii potrzeba, by obsługiwać ten cyrk, jak dysproporcjonalne jest to, co znajduje się poza kadrem). W rogu pomieszczenia, na podwyższeniu znajdował się owalny stół z wyciętą po środku dziurą. W tym roku szczęśliwie zrezygnowano z formuły teleturnieju 1 z 10 z groteskowymi podestami ustawionymi w rzędzie jak nagrobki. Wszystkich gości i prowadzącego rozsadzono wygodnie dookoła w równych odstępach, a w centralnym punkcie umieszczono kamerę 360$^{o}$ transmitującą obraz na żywo w rozdzielczości pozwalającej policzyć ilość kropli potu występujących na czoło Kazimierza Sierpińskiego czy siwe włosy w zaczesanej grzywce Krzysztofa Łacha. Internauci dodatkowo otrzymali możliwość przełączania się pomiędzy wybranymi kandydatami lub oglądania ich wszystkich jednocześnie na podzielonym ekranie. Streaming reklamowano również jako kompatybilny z urządzeniami VR dla tych, którzy pragnęli najwyższego stopnia imersji.

Kurwa mać – pomyślał Sierpiński dostrzegając miejsce, jakie przydzielono mu w politycznym heptagonie. Vis-à-vis zasiadali Batory z Wolniakiem. Szerzej, po bokach, na krawędziach pola widzenia królowa Potocka i prowadzący – Łukasz Kupiec, wyszczekany dziennikarz, który najpierw zrobił karierę na youtubie robiąc wywiady w swoim zdezelowanym aucie (Dwieście koni Łukasza czy jak to tam się nazywało) a następnie płynnie przeszedł do stawania na ściankach w towarzystwie najbardziej wziętych celebrytów, na otwarciach nowych warszawskich klubów i gdziekolwiek pojawiały się kamery ważnych prywatnych stacji. Wreszcie stał się prezenterem jednej z nich ze swoim własnym talk-show i nieustającym pasmem bezpiecznych afer sprzedawanych w abonamencie kolorowym magazynom i plotkarskim portalom.

Dalej, po lewej stronie, w bezpośrednim sąsiedztwie Sierpińskiego, dokładnie 51,43 stopnia obok, usiadł Krzysztof Łach. Miejsce po prawej było puste. Miejsce po prawej było kraterem, czarną wyrwą, nad którą wciąż unosił się toksyczny dym. Brudna bomba eksplodowała zaledwie trzy godziny przed debatą, gdy Kurier Stołeczny opublikował wywiad-rzekę z pierwszą żoną Mariana Bieleckiego, która w długich, przemyślanych przez dekadę zdaniach opowiadała o związku z kimś, kogo można było opisać jedynie jako furiata i alkoholika (choć komentujący nie szczędzili sobie epitetów wyzywając go od skurwysynów i morderców już pięć minut po publikacji tekstu). Cztery tysiące wrogich reakcji i dziesięć tysięcy udostępnień linka później rzecznik Koalicji Patriotycznej potwierdził, że partia przygląda się zaistniałej sytuacji, by sprawdzić czy nie doszło do nadużycia, ale w związku z głęboko personalnym charakterem opublikowanego materiału, którym kandydat Bielecki został szczególnie mocno zaatakowany i dotknięty, sam zainteresowany nie będzie w stanie wziąć udziału w debacie. Równie dobrze mógł przyznać, że oficjalne stanowisko partii brzmi: jebać konfidentów i tych, co za plecami sieją zamęt. Opinia publiczna i tak już wydała wyrok, a Welkin mógł skreślić z listy pierwsze z pięciu nazwisk.

Sierpiński usiadł przy stole, prowadzący błysnął zegarkiem, przypomniał o wyłączeniu telefonów. Ostatnia minuta upłynęła w ciszy (słychać było jedynie świadome oddechy, tupanie i szelest dworskiej sukni Marietty Potockiej, którą pozycja siedząca najmniej zadowalała, gdyż nie mogła zaprezentować przepychu swojej złoto-karmazynowej szaty w pełnej krasie, a zasznurowany gorset zapewne niezwykle skutecznie ograniczał dopływ tlenu). Wreszcie na kamerach zapaliły się czerwone diody i wszyscy rzucili się na tę ciszę jak głodne zwierzęta.

- Co ty mówisz? Czego się boisz? – zapytał Oskar. – Spałeś w ogóle? Wyglądasz jak gówno na podeszwie.

Edwin widział to wyraźnie, bo stał tuż obok. Widział Welkina schylającego się po kredę, biały pył strzelający spod jego dłoni, szybki

ruch jak cięcie, życiorys przecięty w pół. Pod kreską wszystko, co do tej pory udało się osiągnąć, fundamenty, szkielet, mięso, słowa, myśli, wizerunek budowany latami oddzielony wydarzeniami dzisiejszego dnia od całej reszty, która dopiero nadejdzie, ale zawsze będzie naznaczona tą grubą rysą (a minę miał przy tym jakby zamawiał espresso (ich spojrzenia spotkały się na chwilę – para szarych oczu przeczytała go całego (bo składał się z jednego słowa (a tym słowem był strach) za plecami rozległy się znajome krzyki, kij znów śmignął mu obok ucha i huknął w siatkę) ale nie odwrócił spojrzenia) chciał zobaczyć cokolwiek, choćby cień uśmiechu przeraziłby go mniej niż ta nieskończona obojętność). To było takie proste. To wszystko działo się tu, bez filtra, na żywo, w tym samym pokoju, w którym on teraz się znajdował. Przez moment na świecie istniało tylko to pomieszczenie. Miejsce, w którym podejmowano decyzje erodujące krajobraz, zsyłające deszcz. Gdyby wyciągnął dłoń. Gdyby zmusił mięśnie do współpracy może mógłby to powstrzymać. Wystarczyło wepchnąć dłonie w tryby, rzucić się pod koła (ale kto tak naprawdę lubi słuchać chrzęstu własnych kości?). Nie zrobił nic. Pozwolił, by strach wsiąknął w niego i osiadł na dnie jak brudna, ciężka woda.

Sierpiński szybko zauważył, że brał udział w spektaklu powściągliwości, w którym każdy robił co mógł, by nie wypaść ze sztywnego rytmu. Najbardziej widać było to po coraz bardziej zirytowanym obliczu Batorego, który zaczynał każdą swoją wypowiedź głębokim oddechem (zapewne w myślach dopowiadając sobie jakąś magiczną formułę, dzięki której jego ton natychmiast nabierał rzeczowego charakteru („na oczy mojej zmarłej matki?”)). Gdyby nie zaprogramowane odruchy już dawno zacząłby rzucać wielosylabowymi zapożyczeniami, póki miał jakąkolwiek kontrolę nad swoją kukłą pociągał za napięte sznurki zza kulis dostosowując język do odbiorcy, który według wszystkich kosztownych badań i analiz mógł zadawać sobie w tym momencie tylko jedno pytanie: co ja z tego będę mieć?

- Polska Inicjatywa Patriotyczna obniżyła wiek emerytalny i

wprowadziła z powodzeniem program Syta Rodzina z dofinansowaniem na każde dziecko. Jako prezydent mam zamiar kontynuować politykę przynoszącą realne korzyści, dzięki którym jakość życia w Polsce będzie się podnosić. To wszystko wymaga pracy, która nie mieści się w jednej kadencji. Jesteśmy w dobrym miejscu, ale dokończenie działań rozpoczętych przez rząd, który, warto przypomnieć, zastał kraj w rozsypce przejmując stery po Ruchu Obywatelskim, może być zagwarantowane jedynie przez moją osobę. Konsekwencja to stabilność drodzy państwo. Polska potrzebuje stabilnej i konsekwentnej polityki.

- Piękne słowa panie Batory, ale w swojej świetlanej wizji skupia się pan na młodych i seniorach pomijając cały ciężko pracujący na te grupy społeczne środek – ripostował Wolniak.

Z bliska nawet nie wyglądał na polityka – pomyślał Sierpiński. Bardziej na obwoźnego sprzedawcę kuchennych garów w srebrnej skodzie i garniturze, na którego nie było go stać, przedstawiciela fikcyjnej firmy, specjalistę od przelewania pustego w próżne. Mówił szybko, jakby bał się, że zapomni puenty, skręci w połowie zdania w jakąś anegdotę. Sam odpowiadał na własne pytania, używał neologizmów zupełnie przypadkowych miejscach. I co on robił z tymi dłońmi pod stołem? Sierpiński potrzebował stu godzin z Danielem żeby ustawić swoje ciało, ale od dziecka wiedział, że każdemu politykowi wszyscy patrzą na ręce. One muszą być przez cały czas na widoku.

- Mamy w Polsce wielu kreatywnych, ambitnych i uzdolnionych ludzi pomiędzy trzydziestym a czterdziestym piątym rokiem życia, którzy zakładają własne firmy i ja rozmawiam często z takimi osobami, wie pan co one mi mówią gdy już poznają realia? Że gdyby wiedziały na co się piszą od razu poszłyby na etat. Albo wyjechali za granicę zarabiać trzy razy więcej. Czy to jest normalna sytuacja? Śmiem wątpić. Czy uważam, że jestem w stanie stworzyć bardziej przyjazny klimat dla startupów? Zdecydowanie. Pan mówi stabilność. Ja mówię synergia. Pan mówi stagnacja, ja mówię współpraca.

Śmiech Krzysztofa Łacha był zaraźliwy. Na skali leżał gdzieś pomiędzy najebanym sarmackim rykiem, a piszczeniem paska klinowego, ale było też w nim coś zaskakująco przebiegłego, jak zemsta klasowego kujona. Sam Łach tytanem intelektu może nie był, ale, jak słusznie zauważył Vermont podczas godzin spędzonych na analizowaniu nagrań z jego udziałem miał naturalny talent do kompletnego wytrącania swoich rozmówców z równowagi. Zawsze czekał do końca, by uderzyć, a później sprowadzał zaskoczonego oponenta (przeważnie dziennikarza) do parteru i wygrywał partię w trzech ruchach. Na polskiej scenie politycznej niewiele osób wypadało lepiej w bezpośrednich starciach. Sierpiński wiedział, że nie można go lekceważyć, nawet gdy żądał legalizacji opiatów i cytował Mao.

- Panowie obaj jesteście bardzo dobrzy w dotykaniu powierzchownych problemów bardzo wąskiej grupy. Ja mam dużo prostszy plan: zapewnić godny byt wszystkim obywatelom niezależnie od ich miejsca w społeczeństwie i przez godny nie mam na myśli załatwienia kolejnego przelewu dla matek, piętnastej emerytury babci i siódmego dodatku na bezrobotnych – uwaga była ewidentnie skierowana do Batorego. – Te wszystkie pieniądze są fikcyjne, za chwilę je oddamy robiąc zakupy i przelewy do Zakładu Utylizacji Składek. Państwo zbyt często mylą zamożność z godnością. Godnie ma być traktowana osoba pracująca, uboga, niepełnosprawna i homoseksualna. Godność to szacunek, możliwość samorealizacji i poczucie bezpieczeństwa, także finansowego. Chciałbym żeby Polska była krajem wszystkich Polaków, a nie tylko tych, którzy na panów oddadzą swoje głosy.

- Problem jest niestety taki, że w kraju, w którym od lat każda partia rządząca forsuje podziały nieustannie segregując lud na lepsze i gorsze kategorie pański sen o jedności, panie Łach jest delikatnie mówiąc mało realistyczny – skwitowała Potocka. – Tu zgoda może być wprowadzona jedynie przymusem. Wszak w naszym narodowym charakterze leży byśmy wiedzieli lepiej i mieli zdanie na każdy temat. A im mniej mamy kompetencji do tego, by trzeźwo ocenić sytuację, z tym większą pewnością ogłaszamy swoje rewelacje. Ja zdaję sobie

sprawę z tego, że panów może dziwić moja obecność przy tym stole i rozpatrują ją w charakterze swoistego *comic relief*, ale skoro dostałam czas antenowy, to go wykorzystam żeby zaszczepić pewną niewygodną myśl w głowach osób, które wybiorą się w przyszłym roku dwukrotnie na głosowanie. W Polsce większość ludzi nie chodzi na wybory. Z tej mniejszości niecała połowa opowiada się za oddaniem władzy w ręce polityków z Polskiej Inicjatywy Patriotycznej. Wspomniana partia ma jednego lidera, który niepodzielnie decyduje o najważniejszych kwestiach dotyczących pozostałych 38 milionów obywateli. Zadanie domowe z matematyki: ile osób potrzeba żeby wprowadzić w Polsce monarchię?

Starał się na nią nie gapić, ale nie mógł. Była jak eksplozja koloru w zimnej studyjnej bieli, antidotum na ich zaprasowane kanty. Uwielbiał ją, jej styl, jej głos, jej gesty. Rozpraszała go tym jak płynęła przez słowa nie mając nic do stracenia, jedynie do zyskania (nie przyszła tu po koronę, przyszła po kolejne 500 tysięcy followersów na Instagramie w drodze do szóstego miliona, ale była warta wszystkich wyklikanych serc). Rozpraszała go gdy miał mówić o gospodarce. Miłość i strach. Miłość i strach – powiedział mu kiedyś Welkin. Dla niej zarąbałby toporem smoka.

- Szanowni państwo chciałbym na chwilę jednak wrócić do ważnej kwestii, którą poruszył pan Wolniak – (zaczął pamiętając o dłoniach, oczach i całej reszcie). – Wiele osób zarzuca mi krótki, bo niespełna dwudziestoletni staż w polityce – (zbyt późno przypomniał sobie o nieakcentowaniu negatywów). – ja natomiast chciałby zapytać o państwa kompetencje w biznesie. Przez większość mojego życia zarządzałem firmą, tworzyłem miejsca pracy, odprowadzałem podatki i tu muszę wyrazić absolutną zgodę z kandydatem Wolniakiem, że nic tak nie hartuje charakteru jak nawigowanie przez meandry polskich przepisów przy prowadzeniu własnej działalności. Wspominał pan o synergii, o pewnej współpracy, ale my to już przerabiamy od dawna. Poziom tej współpracy jest dyskusyjny, ale proszę zauważyć, że absolutnie nikt nie jest w stanie funkcjonować w próżni – (a gówno zawsze spada w dół – dopowiedział w myślach swoją ulubioną

maksymę). – W interesie wszystkich, od prezesów, po pracowników do bezrobotnych, leży dbanie zdrowy stan polskiej gospodarki. Zdrowa gospodarka to zamożne państwo, to mniejsze bezrobocie, to bardziej dostępna edukacja i lepszy socjal, który w przeciwieństwie do tego, co mamy obecnie nie jest tworzony na zasadzie piramidy finansowej ale wynika z PKB. Trudno w tym momencie mówić o zdrowej gospodarce i dobrobycie, gdy aparat skarbowy ma nałożone limity efektywności wymuszające szukanie natychmiastowych, krótkotrwałych zysków, więc każda firma w tym kraju jest traktowana z polecenia pana Batorego jak piniata, którą należy jak najszybciej rozbić dla kilku cukierków.

Skończył ze spojrzeniem wycelowanym w neutralny punkt centymetr ponad brwiami Kupca, więc nie umknął mu cień aprobaty, który przemknął po jego twarzy. Łach teatralnie przewrócił oczyma. Wolniak zaśmiał się niepotrzebnie, niestosownie i odrobine zbyt głośno wychodząc z roli i tym samym po raz pierwszy materializując się w ciele, które zamieszkiwał. Po Batorym spłynęło to jak po kaczce. Jego postawa, ton, brak pośpiechu przy udzielaniu odpowiedzi (od kiedy nauczył się zwracać uwagę na te rzeczy Sierpiński czuł się jakby założył na nos okulary, które pozwalały oglądać ludzi nago) nie pozwalały im nawet na sekundę zapomnieć, że tu wszystko należało do niego. Od krzeseł, na których siedzieli, po powietrze, którym oddychali. To była jego stacja, jego debata i jego zasady.

- Wróćmy jeszcze na chwilę do omawiania naszych CV, bo myślę, że wyborców może to zainteresować – rozpoczął znów z oddechem. – Pan Sierpiński zapytał o moje doświadczenie biznesowe, więc z chęcią odpowiadam: od lat prowadzę największą firmę w tym kraju. Ta firma nazywa się Polska. Przejęliśmy ją w rozpaczliwym stanie, po poprzednikach z Ruchu Obywatelskiego, których bardziej interesowały prywatne jachty i wystawne obiady niż to czy przeciętna rodzina z Łęczycy wytrzymuje finansowo do końca miesiąca i zamieniliśmy w dobrze naoliwiony mechanizm, który dba o swoich pracowników i przekazuje nadwyżki najbardziej potrzebującym. Oczywiście, że szukamy pieniędzy, ale szukamy ich tam, gdzie jest ich

najwięcej – wśród przedsiębiorców.

- Niestety nie wszystkich – Sierpiński wypalił od razu, czekał na tę deklarację jak napastnik na błąd obrońców. – Przeciętnie zagraniczna korporacja płaci w podatku CIT około 1% swojego dochodu, a przedsiębiorca prowadzący jednoosobową działalność sztywne 19%.

- A kościół płaci okrągłe zero – wtrącił się Łach.

- Jeśli już jesteśmy przy liczbach, ja chciałabym tylko zauważyć, że samotne matki to 30 procent wszystkich rodzin w kraju i ich dumnie prezentowana tu polityka prorodzinna pańskiego rządu w ogóle nie obejmuje – dodała Potocka.

Sierpiński prawie się uśmiechnął. W przeciwieństwie do wciąż wyciosanego ze spokoju i pewności siebie Batorego nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Czekał jeszcze na cios ze strony Wolniaka, ale ten jedynie mlasnął jak przez sen, wziął długopis do ręki i pstryknął nim kilkukrotnie, najwidoczniej uznając, że nie należało kopać leżącego. Kupiec ruszył z podsumowaniem zdejmując z Batorego presję zbicia zarzutów jakąś błyskotliwą ripostą, której nie mógł w tym momencie doszukać się ani w głowie ani w swoich notatkach.

- Szanowni państwo, zgodnie z harmonogramem powinniśmy właśnie zakończyć sekcję poświęconą rozwojowi gospodarczemu, proponuję wobec tego przejść do kolejnego etapu naszej rozmowy, którym będzie polityka zagraniczna i bezpieczeństwo Polski. Podobnie jak przy pierwszej części zapytaliśmy internautów o kluczowe dla nich kwestie. Pytanie, które najbardziej nurtowało respondentów dotyczyło celowości partycypacji Polski w strukturach Unii Europejskiej. Jaką rolę waszym zdaniem ma do odegrania Polska w Europie i czy w obliczu licznych przetasowań w jej szeregach dalsze członkostwo ma dla naszego kraju sens? Zacznijmy tym razem od pana Józefa Batorego.

Zanim nabrał powietrza jeszcze raz spojrzał na Sierpińskiego z wyższością, jak pokerzysta trzymający *royal flusha*, który może

przegrać tylko z bogiem. Wystawione pytanie do załadowanej odpowiedzi. Ostatnia runda zapasów, w których jedna spocona góra mięsa chwyta drugą i razem robią efektowne salto na matę. Sędzia odlicza do dziesięciu, można przelać hajs, wydrapać resztki hot-dogów z siedzeń i gasić światła. Unia była dla Sierpińskiego czarnym kotem, który szczał mu na notatki i drapał w podniebienie ilekroć próbował się na jej temat się wypowiadać. Już w pierwszym roku swojej politycznej kariery publicznie popisał się niewiedzą z zakresu państw członkowskich publikując statystykę, według której Andora i Liechtenstein należały do wspólnoty. Pięć lat później, gdy jeszcze należał do obozu eurosceptyków dziennikarz Nowego Tygodnia wyliczył mu wszystkie jedenaście milionów dwieście siedemdziesiąt cztery tysiące i sto siedemnaście złotych w dotacjach pobranych na rodzinną firmę drukując raport na pierwszej stronie brukowca krwistoczerwonym fontem. Wiele osób wciąż musiało pamiętać jego entuzjazm, gdy wygłaszał płomienne przemówienie wychwalające transparentność Unii przy okazji zeszłorocznych wyborów do Parlamentu Europejskiego. Tego samego dnia wyciekł raport, według którego polscy eurodeputowani przewalali ustawowe 200 milionów złotych rocznie na krajowe biura ostentacyjnie defraudując lwią część tych środków. Rekordzista, Czesław Siemiradzki, były poseł Ruchu Obywatelskiego, posiadał trzynaście lokali przeznaczonych do kontaktu z wyborcami, z których jedenaście dzierżawił sobie sam. Po tylu *faux pas* samo wypowiedzenie skrótu UE powodowało u Sierpińskiego odruch wymiotny, o czym Batory doskonale wiedział. Teraz chciał go szturchać w słaby punkt już do końca debaty równie mocno jak dźgać nasze narodowe kompleksy. W tym był absolutnym mistrzem.

- Szanowni państwo, jeśli zapytamy tu zgromadzonych o ich ubiór, telefony i samochody usłyszymy Hugo Boss, iPhone, Lexus. Niemcy, Ameryka, Japonia, a tak naprawdę to Chiny, Chiny i Chiny. Ja mam na sobie garnitur Recman uszyty w Suwałkach. Gdybym mógł dzwoniłbym z telefonu polskiej produkcji i jeździł polskim samochodem. Niestety przy obecnej sytuacji, w której zostajemy zalewani produktem zagranicznym polskie firmy, które chcą

projektować konkurencyjne i nierzadko lepsze produkty stoją na z góry straconej pozycji. Temat gospodarki wraca jak bumerang, ale jak słusznie zauważył poseł Sierpiński, to jest układ naczyń połączonych, niestety niektóre z tych połączeń są niewłaściwe, a wręcz szkodliwe i niepotrzebne. Poseł wspominał również o zagranicznych korporacjach i ich wkładzie do budżetu. Nad tym też mielibyśmy kontrolę gdybyśmy byli w pełni władzy, ale nie jesteśmy. Członkostwo w skostniałym, sztucznym i archaicznym tworze zwanym Unią Europejską pociąga za sobą szereg ograniczeń i ustępstw na które musimy się godzić. Nie bójmy się tego powiedzieć, zostaliśmy kupieni obietnicą dotacji, obietnicą wspólnoty, ale na koniec dnia potraktowano nas wyłącznie jako kolejny chłonny rynek zbytu i źródło taniej siły roboczej. Oczywiście, dla wielu beneficjentów, takich jak obecny tu… dobry boże! – jego głos załamał się nagle, jakby strzeliła struna w instrumencie, twarz wykrzywiło szczere obrzydzenie – Panie Wolniak, wszystko w porządku?

Wolniak właśnie kończył dorysowywać sobie okulary. Zataczał kręgi długopisem wokół oczu zostawiając na skórze grube ślady sinego tuszu. W jego ruchach dało zauważyć się pewną sztywność, automatyzm, jakby ta czynność była nadzwyczajnym wysiłkiem, ale mimo trudności nie przerywał jej pogrubiając kontury i zmieniając się w swoją własną karykaturę, nabazgraną nie w gazecie, ale umyślnie w programie na żywo.

- Jestem, kurwa, znudzony – powiedział od niechcenia przerzucając przez nos linię łączącą okręgi. – Pierdolicie w kółko o tym samym.

Cisza, która zapadła po jego słowach była nagła i absolutna, jakby w transmisji urwał się dźwięk. Potocka schowała usta w dłoniach, bynajmniej nie po to, by powstrzymać śmiech, Sierpiński widział to wyraźnie. Jej przerażenie, zdziwienie Łacha, obrzydzenie na twarzy Batorego, niepewność Kupca rzucającego błagalne spojrzenie w kierunku reżyserki, by wysłali tu kogoś, przerwali to w porę (transmisja na żywo miała zwyczajowe siedem sekund opóźnienia, ale jak się okazało na prośbę Batorego zwiększono tę różnicę do

bezpiecznej minuty).

- Może poprosimy tu… - spróbował.

Wolniak uniósł brwi i mrugnął, a jego oczy utraciły znajomy, ludzki wyraz. Cokolwiek siedziało tam w środku, właśnie przejęło nad nim całkowitą kontrolę i zwijało go jak szmatę wyżymając z resztek człowieczeństwa. Ryknął śmiechem, huknął otwartą dłonią w blat próbując złożyć proste zdanie, ale z ust wydobywały się jedynie dzikie okrzyki i ślina.

- Poprosimy o asystę. Pan Wolniak najwyraźniej źle się poczuł – zawołał Kupiec przekrzykując się z liderem RO.

Asystę. Źle poczuł. Żaden eufemizm nie był w stanie złagodzić widoku pomazanego ryja wykrzywionego szaleństwem. Gdy wydawało się, że jego faza mija, gdy przez ułamek sekundy wracał do siebie rozglądając się wokoło zaskoczonym spojrzeniem, próbując wyczytać z pozostałych twarzy powód ich konsternacji, kolejna fala obłędu zalewała go od wewnątrz i wciskała coraz mocniej w głąb siebie. Wstał. Spróbował iść, ale wszystkie stawy zakleszczyły się jak zardzewiałe zawiasy. Poruszał się jak plastikowa zabawka w rękach dziecka, przechylając się na sztywnych nogach to w lewo to w prawo. W kadrze pojawiło się wreszcie dwóch rosłych mężczyzn, którzy wyprowadzili go ze światła.

- Szanowni państwo, drodzy widzowie, w naszym studio doszło właśnie do niecodziennej sytuacji i nie jestem pewien, czy będziemy w stanie kontynuować naszą debatę – powiedział Kupiec, jego chłodny i zdystansowany ton zabarwiły pojedyncze plamy emocji. – Najważniejsze w tym momencie jest zdrowie pana Adama Wolniaka, musimy upewnić się, że wszystko jest w porządku.

- Absolutnie. Jeżeli pozostali uczestnicy nie mają obiekcji, ja także wnoszę o zakończenie spotkania – powiedział Batory. – Wierzę też, że nie wyczerpaliśmy wszystkich tematów i jesteśmy winni naszym odbiorcom dokończenie tej wyjątkowo ciekawej debaty w bardziej dogodnym terminie i w pełnym składzie.

- Oczywiście – potwierdził Sierpiński.

Krzesła zaszurały o podłogę w unisono, wszyscy podnieśli się jak na umówiony sygnał.

- Dziękujemy w takim razie za spotkanie i przepraszamy wszystkich za niezależne od nas…

- To już? Jak to tak? – głos Wolniaka dobiegał zza kulis.

Chwilę później znów pojawił się w kadrze cały na złoto, bo opleciony kocem termicznym spływającym z jego ramienia niczym peleryna. Ruszył w kierunku swojego miejsca błyszcząc i powłócząc nogami. Jego wzrok zaczepił się o suknię Potockiej, reszta ciała poddała się inercji i wykonała niemal taneczny półobrót. Wreszcie stanął wyprostowany jak struna z przymkniętymi powiekami i ręką przyłożoną do piersi, jak na przysiędze. To było jak oglądanie wypadku w zwolnionym tempie. Powolne gięcie blachy, jęk i eksplozje szkła wirującego w jasnym, sztucznym świetle. Batory nie wyciągnął wtyczki, nie przerwał transmisji. Odliczył w głowie ostatnie sześćdziesiąt sekund dzielące go od prezydentury przypatrując się przepysznej katastrofie z wyrazem głębokiego zrozumienia i spokoju.

- Szanowni państwo – zaczął Wolniak – jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy. Tylko co to za narodowa gościnność co każe zdejmować buty w przedpokoju? Zastanawiacie się dlaczego jesteście biedni? Bo jesteście głupi. Bo nasza kuchnia jest taka fatalna, sam tłuszcz z grilla i chrzczone piwo. Habemus papam all inclusive, Jan Paweł II krył pedofili, taka jest prawda. A polska piłka ssie kutasa, Niemcy nigdy nie powinni z nami przegrać. Z czego tu być dumnym? Curie była Francuzką, Janosik Słowakiem, a Mickiewicz Litwinem – dokończył i ukłonił się sztywno.

Deszcz wciąż walił w szyby. Edwin zmusił dłonie do współpracy, pokroił mięso w plasterki i zsunął je z deski na rozgrzaną patelnię. Skwierczenie zastąpiło szum, ale nie przykryło jednostajnego pisku, który utkwił mu w uszach, wybrzmiewał gdzieś na górnej granicy rejestru, od doby doprowadzał do szału.

- Kazimierz chce przenieść całą operację do Juraty. Już po weekendzie.

- Jedziesz? – zapytał Oskar.

Nie odpowiedział. Sypnął pieprzem na patelnię i podrzucił mięso. Wczoraj wieczorem pili w bunkrze oglądając na rzutniku powtórki debaty, tytuły artykułów, zdjęcia Wolniaka w pelerynie bieda-bohatera z doklejonymi cytatami jak w memach z Paulo Coelho. Memy z Paulo Coelho z cytatami z Wolniaka. Przeróbki filmów Testovirona. Remiksy wypowiedzi przepuszczone przez programy muzyczne, komentarze znanych polityków i przypadkowych toksykologów. Ruch Obywatelski nie wydał żadnego oświadczenia, poza tym, że ich lider jest pod stałą obserwacją lekarzy, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Edwin brał bierny udział w celebracji, usiadł w kącie, sączył whisky za tysiąc złotych, która pachniała spaloną ziemią i sosnowym lasem. Trzymał ją w dłoniach aż rozpuścił się cały lód. Sierpiński nie był w stanie usiedzieć w miejscu, odbijał się od ludzi i obiektów, uzupełniał ledwie upite szklanki, unosił się wysoko, coraz wyżej. Chwycił kredę w dłonie i napisał na ścianie pięć nazwisk, a następnie podrzucił ją Welkinowi. Czyń honory – zawołał. Edwin zamarł z ustami pełnymi nieprzełkniętej łychy wżerającej się w jego język i dziąsła. Równie dobrze jego też mogli przekreślić.

- Wiesz jaki jest twój problem, kolego? – zapytał Oskar. – Ty za bardzo lubisz pieniądze żeby wyhodować sobie kręgosłup.

- Przestań.

- Nie, posłuchaj mnie tym razem, to może ocalisz skórę. Zadzwoń tam jutro i powiedz, że potrzebujesz dwóch tygodni żeby odpocząć. Za dwa tygodnie napiszesz, że potrzebujesz jeszcze dwóch.

- W takim momencie? Na ostatniej prostej przed wyborami?

- Kazio szybko o tobie zapomni, nie jesteś mu niezbędny. Jesteś jego… – Oskar zatrzymał się, grubsza obelga zatańczyła na końcu języka – kierowcą – powiedział wreszcie.

- Weźmie mnie za sprzedawczyka. Pomyśli, że próbuję go zniszczyć i wtedy spuści na mnie swoje psy. Uwierz mi Oskar, nie chciałbyś mieć z tymi ludźmi do czynienia. Oni wiedzą wszystko. Są w stanie wygrzebać każdy brud – mówił szybko, wdychał spalony tłuszcz, do oczu napływały mu łzy.

- Ty się naprawdę boisz.

- Pewnie, że się kurwa boję. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – rzucił, patelnia huknęła na blat. – Ja nie mogę przestać.

Oskar pokręcił głową. Jego spojrzenie przeszyło Edwina na wylot. Patrzył dalej, gdzieś poza to miejsce, poza zlane deszczem miasto, cały ten parszywy dzień, który ledwie się rozpoczął.

- Ta twoja Argentyna… - zaczął.

- Pojedziemy tam.

- Nie pojedziemy.

- Obiecuję.

- Najpierw była Hiszpania, pamiętasz? Później Kanada. Jesteś dobry w obiecywaniu. Robisz te wszystkie plany sam nie wiem po co.

- Po co się robi plany, Oskar? Żeby je zrealizować. I to się stanie. Po wyborach. Muszę dokończyć tę sprawę. Nie mam wyjścia. Kupiłem bilet. Wysiadam na ostatnim przystanku.

Zrobił krok w jego kierunku, Oskar cofnął się w mrok korytarza, jak odepchnięty siłą tego samego bieguna, w połowie zniknął.

- Kocham cię, Edwin. Ale ty kochasz tylko pieniądze – powiedział i zamknął oczy. Wreszcie odwrócił się i ruszył do drzwi.

Słyszał jak otwiera szafę i zakłada płaszcz, wkłada buty i owija się szalem, ściąga klucze z szafki, wsuwa telefon do kieszeni, wkłada słuchawki do uszu, wybiera muzykę na podróż, długą podróż pociągiem do swojego domu. Widział to wszystko, mimo, że stała pomiędzy nimi betonowa ściana. Ale bał się wyjść z kuchni, bał się

zmierzyć ze swoimi emocjami, wypowiadać słowa. Wiedział, że będą coraz głupsze. Powie mu to, co chce usłyszeć, a on przejrzy jego blef. Że zepsuje wszystko, co między nimi było na zawsze. Teraz jest jeszcze nadzieja – powtarzał sobie spoglądając przez okno, czekając na szczupłą postać idącą przez deszcz. Gdy to się skończy wrócimy do normalności. Drzwi trzasnęły, wszystko ucichło nagle, nawet pisk w jego uszach. Zawrócił do kuchni, spojrzał z politowaniem na skrawki czarnego mięsa przyspawane do patelni. Przypominały węgiel.

***

Mam ochotę go wyprzedzić. Nie. Mam ochotę zajechać mu drogę, zepchnąć do rowu, oblać benzyną, podpalić i patrzeć jak próbuje wyplątać się z pasów, krzyczy i tłucze łokciem w szybę zbyt słabo, by ją zbić, jak ogień pożera go, zagłusza wrzaski, wypala w nim dziurę, zamazuje na czarno robiąc miejsce na nowe rzeczy.

- To obrzydliwe – mówię na głos. – Jestem zdegustowany.

Daniel podnosi głowę znad telefonu rozgląda się i po chwili wpada z powrotem pomiędzy kolorowe ekrany. Null śpi na tylnym siedzeniu ze słuchawkami na uszach i nogami zarzuconymi na oparcie. Jej stopy zostawiają ciepłe owalne ślady pary na szybie. Śni spokojny sen albo tylko udaje, że śpi i słucha czegoś wprawiającego ją w dobry nastrój. Na jej twarzy pojawiają się delikatne uśmiechy, są nieuchwytne jak refleksy światła odbite od zimnej i czystej wody, ale ja je widzę. Zaangażowana w świat pod powiekami i wynurzona spomiędzy włosów znów wygląda na swoje szesnaście lat. Każdy dałby się nabrać, że to tylko zwyczajna nastolatka w zenicie ufarbowanego i zakolczykowanego kryzysu tożsamości. Za chwilę wyleci ze swojego nigdy nie sprzątanego i wietrzonego gniazda, dostanie pierwszą pracę, zarobi wystarczająco dużo pieniędzy, by po raz pierwszy przejąć kontrolę, zrozumie, że to poczucie kontroli daje większego kopa niż alkohol i narkotyki, których do tej pory próbowała. Pozna hierarchie rządzące światem, nauczy się po nich poruszać, dopasowywać do sytuacji. Zdobędzie nowe użyteczne umiejętności, takie jak zdolność do niesentymentalnego wyrzucania ludzi ze swojego życia.

Ale prawda jest taka, że metamorfoza jest już dawno za nią. To jest jej ostateczna forma. Nawet gdy umyje włosy i wciśnie się w drogie ubrania, usiądzie na tarasie widokowym drogiego hotelu z kieliszkiem Dom Perignon w pełnym słońcu, jej spojrzenie wciąż będzie wściekłe i dzikie, wciąż będzie się bała, że przez wąską szczelinę pomiędzy powiekami każdy dostrzeże wnętrze pełne uszkodzonych elementów. Pieniądze i ludzie nie przedstawiają już dla niej żadnej wartości, dlatego nigdy nie będą mieć nad nią władzy. W pewnym sensie jest bardziej dorosła od nas. Ktoś lub coś zmusiło ją w przeszłości, by zajrzała pod kolorowe warstwy i dogrzebała się do pulsującej czernią i promieniejącej chorym ciepłem tkanki świata, dlatego teraz żeby się uśmiechnąć musi ten świat najpierw zasłonić i zagłuszyć, na chwilę zapomnieć jaki jest naprawdę.

- Czym? – pyta Daniel.

Długa podróż samochodem sprawia, że czas ulega deformacji, proste rozmowy rozciągają się na dziesiątki kilometrów. Mknące wokół obrazy, jednostajny szum, odgłos cicho pracujących wycieraczek wlewają w nas spokój, wygładzają krawędzie. Mobilna medytacja, która mogłaby dać nam odrobinę przyjemności, gdyby nie była stosunkiem nieustannie przerywanym przez czerwone światła. Daniel podnosi wzrok w samą porę, by dostrzec jak jadące przed nami auto wychyla się zza tira wprost na czołowe. Błysk świateł, pisk opon, wycie klaksonu które narasta do eksplozji i rozpływa się łagodną falą za naszymi plecami. Już nie muszę odpowiadać. Czarne Maserati porusza się zerojedynkowo szarpie się jak zwierzę w sieci, przyspiesza lub zwalnia zawsze z maksymalną siłą. Nie ma w tym finezji, jest tylko nerwowość i obrzydliwy brak zdecydowania. Sierpiński wciska hamulec zjeżdżając na stację benzynową w ostatniej chwili. Pokonaliśmy zaledwie trzysta kilometrów, ale każdy już jest wykończony.

Parkujemy na tyłach budynku wyglądającego jakby był powiększoną zabawką odlaną z białego plastiku na taśmie w chińskiej fabryce. Wszystkie stacje są jednakowe, pachną jednakowo, mają jednakowo zblazowanych ekspedientów proponujących hot doga i kawę tym

samym głosem absolutnej i namacalnej śmierci. Każdy człowiek czuje upływający czas, ale oni obserwują go latami gdy pędzi 200 km/h po autostradzie, by osiągać cele, których nigdy nie dane im będzie poznać. Już dawno przestali się zastanawiać kim mogą być ludzie wysiadający z czarnego Maserati, nie dopisują historii do ich pieniędzy. Przyjmują to za stały element rzeczywistości. Znają swoje miejsce. Wszystko jest tu tymczasowe i powierzchowne, przepływa szumem w obu kierunkach. Rozmowy składają się głównie z przywitań, liczb i pożegnań. Ludzie odruchy zostają ograniczone do fizjologicznego minimum. Picie, szczanie, wdech benzynowego powietrza. Dalej.

Wracam z kawą i siadam na rozgrzanej masce. Blanka wyjmuje cienkiego papierosa z torebki. Daniel daje jej ognia. Płomień walczy z wiatrem pomiędzy zziębniętymi palcami, wreszcie zamienia się w żar. Dym unosi się wysoko nad moją głową. Auta suną trasą, metaliczny warkot jest prawie jak muzyka, crescendo i diminuendo od teraz do końca świata. Przełykam gorzką smołę i zwracam twarz w stronę szarego nieba, spoglądając w miejsce, w którym powinno wisieć słońce. Chmury są tu delikatnie jaśniejsze, jakby ktoś niedokładnie wycieniował szkic. Drzwi auta zamykają się z głuchym hukiem. Null wysiada z ciepłego, skórzanego wnętrza w objęcia chłodu, rozgarnia włosy wypuszczone z kaptura bluzy i wkłada papierosa w usta. We trójkę wyglądają jak najdziwniejsza rodzina na świecie, bezgłośna kolizja wątków wyrwanych z różnych opowieści. Wszystko zgrzyta, ale jednocześnie harmonizuje w swoim nieprzystawaniu. Jedyne czego nie wiadomo, to kto z kim sypia.

- Kiedyś spędzałam dużo czasu w drodze – mówi Blanka, a w jej oczach pojawia się coś na kształt tęsknoty za domem. Odprowadza wzrokiem białego busa na katowickich blachach jakby ten był mustangiem galopującym przez prerię.

Sierpiński idzie metr przed Edwinem targającym dwie pokaźne siaty wypełnione spożywką, stawia na sztorc kołnierz płaszcza osłaniając się od podmuchów zimnego wiatru. Wyjmuje z kieszeni kluczyki od auta. Masz, prowadź – mówi mu wyciągając dłoń za siebie, wciąż

zapatrzony w swoje odbicie w szybie stacji. Edwin czeka przez kilka sekund na coś, co się nigdy nie wydarzy, wreszcie wzdycha, chwyta obie reklamówki jedną dłonią, przejmuje pilota i rusza do auta uginając się pod ciężarem zakupów.

Wypadamy na trasę. Ostatnia część drogi prowadzi przez niewielkie nadmorskie miasteczka, które po sezonie wypuszczają z siebie powietrze i kurczą do swoich rzeczywistych rozmiarów. Gasną światła w restauracjach, znikają szyldy i stragany obrzygane kolorem, wiatr wywiewa z deptaków zapach przypalonej ryby, zamiata zgniecione puszki i paczki po fajkach. Wszystko staje się na powrót betonowo-szare, ciche i prawdziwe. Znów słychać morze. Stalowa tafla wyłania się zza wąskiego pasa drzew. Po prawej stronie zatoka jest pusta. Ląd zawija się łukiem i pędzi wzdłuż linii horyzontu, wyzbywa się koloru i znika w oddali jak szybkie pociągnięcie pędzla. Dwa czarne auta na szarej nitce prowadzącej przez półwysep, samotna droga, prosta jak struna na gryfie. Znów dostrzegam błogi uśmiech na jej twarzy. Ona zawsze wie, gdy ktoś zbyt długo się jej przygląda. Odrywa wzrok od rozmazanego świata za szybą, niechętnie wygrzebuje się z myśli jak z grubego, ciepłego koca, nasze spojrzenia spotykają się w lusterku.

- Czego słuchasz? – pytam.

Przekrzywia głowę, zapewne zdziwiona tonem mojego głosu, który po raz pierwszy nie brzmi jak polecenie. Po chwili wyciąga telefon z kieszeni bluzy, jeździ palcem po wyświetlaczu, zdalnie uruchamia radio w aucie. Na ekranie nawigacji pojawia się tytuł utworu: „Op. 28 No. 15”. Z głośników zaczynają płynąć pojedyncze dźwięki, spadają na nas jak krople. Przez następne sześć minut siedzimy z Chopinem w opuszczonym klasztorze na Majorce i wyglądamy burzy. Gdy wreszcie przychodzi, topi cały świat, chwyta za łeb i wciska głęboko pod wodę rytmicznie wytłukując powietrze z płuc. To są jego sny o śmierci. Być może pragnął odejść z hukiem, rozerwany w hałas, nie zdechnąć cicho pokasłując w wiecznych przeciągach. Potężne grzmoty brzmią jak gitarowe riffy, a po nich znów pojawia się słońce, błyszczy w każdej zimnej kropli jak źrenica boga. Melodia sprzed dwustu lat, która równie dobrze mogłaby zostać napisana za kolejne dwieście. Dźwięki

istniejące poza czasem, tak znane, że obiektywnie może się do nich odnieść jedynie kompletny ignorant.

- Piękne – komentuje Daniel.

- Za każdym wielkim pianistą stoi rodzic, który nie odpuścił – mówię skręcając w las.

Droga jest nierówna, rzadko używana, prowadzi zygzakiem pod górę pomiędzy strzelistymi sosnami, których wierzchołki powyginał nieustający tu wiatr. Mijamy stalową bramę. Spomiędzy drzew wyłania się posiadłość Sierpińskiego. Wielki murowany dom ewidentnie zainspirowany architekturą renesansu, potężnymi dworami, w których arystokracja zwykła niegdyś pijać herbatę po polowaniu, z wnętrzem pełnym długich korytarzy, skrzypiącymi schodami prowadzącymi na piętro, rzędami okien wpuszczających do środka światło bez umiaru i ogromnym ogrodem, idealnym, by zakopać w nim wszystkie zakończone romanse i przegrane zakłady. Przed frontowymi drzwiami znajduje się niewielkie rondo otaczające fontannę pełną suchych igieł. Tam właśnie parkujemy.

Powietrze pachnie żywicą i solą, jest zimne i czyste jak szkło, można się go napić i ugasi pragnienie. Słońce ledwie wychyla się ponad korony drzew, cienie są długie nawet w południe. Jeszcze miesiąc i szron zacznie wdrapywać się po pniach i jeżyć na gałęziach, a wiatr będzie ciął po twarzach. Ale dziś jest tu pięknie i cicho jak w oku cyklonu. Podwójne drzwi otwierają się i staje w nich kobieta. Sierpiński podchodzi do niej i obejmuje jak starą przyjaciółkę, którą być może jest.

- Róża – mówi podając mi dłoń.

Ma mocny uścisk, drogi żakiet i wysokie szpilki, gdy wita się, patrzy każdemu prosto w oczy. Każdy z jej rudych włosów pozostaje posłusznie zaczesany do tyłu i upięty w baletowy kok. Ciepłym głosem informuje, że wszystko zostało przygotowane na nasz przyjazd. Zamykamy auta i wchodzimy pojedynczo przez próg prosto w marmurowe i wysprzątane przestrzenie głównego hallu. Korytarz na

prawo prowadzi do kuchni i sali bankietowej, w której znajduje się długi na dwadzieścia osób stół i kominek, który od lat nie widział ognia. Ściany są wytapetowane obowiązkowym adamaszkowym wzorem, na oknach powieszono ciężkie zasłony. Po lewej znajduje się gabinet sąsiadujący z zimowym ogrodem, sala kinowa i kolejne pomieszczenie z barkiem i stołem bilardowym.

Sierpiński prowadzi przodem, oddycha głęboko, napawa się widokiem tego miejsca jakby sam odkrywał je na nowo. Ukradkiem sprawdza na czym zawieszają się nasze spojrzenia i wtedy wypełnia to treścią. Nakręcony opowiada o kamieniach sprowadzanych z Afryki i detalach wykonanych ze skał wulkanicznych. Nie podaje konkretnych kwot, ale operuje w latach i tonach. Od debaty urósł cztery metry w górę, jest jak latarnia wystająca z lasu. Jego ambicje stały się nuklearne. Widzę to w nim – ten polityczny priapizm, który trzyma go w pionie dzień i noc – przed oczyma ma już tylko jeden cel i nie spocznie dopóki nie zobaczy najwyższego słupka podpisanego swoim nazwiskiem.

- Prezydent też ma tu gdzieś swoją kwaterę – zauważa Edwin. – Bardziej od strony zatoki.

- Od zatoki śmierdzi – komentuje Sierpiński i znów zwalnia kroku przechodząc obok swojego biura.

Przez uchylone drzwi dostrzegam wnętrze gabinetu. Zgodnie z oczekiwaniami jest pełne drewna, skóry, tapet, figurek koni, zegarów i dostojnego półmroku. Brakuje jedynie Marlona Brando wydającego wyroki i zapachu cygar. Jest za to reprodukcja „Wiedźm w drodze na sabat" Luisa Ricardo Falero oprawiona w ciężkie złote ramy. Na dębowym biurku ustawiono świeżo ścięte kwiaty dla nikogo. Całe to miejsce jest dla nikogo. Jest jak ledwie ukończony wiersz wrzucony prosto w ogień. Piękne marnotrawstwo, które istnieje, tylko dlatego, że może.

Wreszcie kończymy nasze tournée po parterze i wdrapujemy się szerokimi schodami na górę. To tu znajdują się pokoje i wspólna przestrzeń do pracy. Sierpiński najpierw prowadzi nas do biura. Skrzydła rozchylają się na boki odsłaniając ogromną i wysoką na pięć

metrów przestrzeń z antresolą. Honorowe miejsce na środku pomieszczenia zajmują dwa fortepiany Steinwaya – czarny i biały – ustawione w przeciwnych kierunkach i przysunięte bokami widziane z góry przypominają symbol yin i yang. Kiedyś znajdował się tu pokój muzyczny. Marzyłem żeby komponować, ale nigdy nie znalazłem w sobie wystarczająco cierpliwości do nauki – wyjaśnia. Usunęliśmy z niego większość instrumentów. Fortepiany też mogą zniknąć jeśli chcemy. Nie chcemy – mówi Daniel i podnosi klapę czarnego Steinwaya. Przykłada palce do klawiszy, zimna kość słoniowa czeka na uderzenie, które nigdy nie nadchodzi. Za oknami przez przerzedzony las widać morze. Jest nieruchome. Null podchodzi do sterty kartonów i znajduje ten należący do niej. Rozrywa taśmę, wyciąga butelkę wina i wkłada ją pod pachę. Sierpiński daje nam jeszcze chwilę, by wchłonąć to wszystko i wreszcie ogłasza czas wolny kierując na kwatery.

Mój pokój znajduje się na samym końcu korytarza. Tu stężenie nuworyszowskich fantazji osiąga stan krytyczny. Każda powierzchnia pręży się bogactwem błyszczących detali, które jak w drogim hotelu bez renomy w najbardziej obrzydliwy sposób podkreślają, że znalazłem się w wyjątkowym miejscu, że dostaję dokładnie to, za co płacę. To przestrzeń, która nieustannie wibruje, tło, które nie chce się zamknąć i zniknąć. Nie można tu odpoczywać, nie można myśleć. Ale przynajmniej łóżko jest szerokie, materac twardy jak deska, a zasłony nie przepuszczają światła. Okna wychodzą na ogród, znajdują się bezpośrednio nad tarasem, nad którym przewieszono długie sznury lamp. W oddali dostrzegam białą altanę i niewielkie oczko wodne. Po prawej stronie, tuż przy ogrodzeniu ziemia jest ciemniejsza. Prostokątny kształt ma wymiary boiska do tenisa. Budowa została porzucona dawno temu. Kolejne marzenie, które powoli zarasta i znika jak ślad wygnieciony w dywanie.

Przesuwam dłonią i jak na komendę ciemność połyka pokój. Wracam po omacku do łóżka i padam na nie bez życia. Nasłuchuję odgłosów zza ściany, kroków w korytarzu, ale nie słyszę nic. Jedynie szum starej taśmy wsuwający się przez uchylone okno, który słabnie z każdą

sekundą. Wypuszczam oddech i zamieram w bezruchu. Przez chwilę nie ma mnie nigdzie, rozpuszczam się jak larwa w kokonie. Moje ciało traci formę, rozpada się na pojedyncze komórki, unosi w powietrzu i wypełnia całą przestrzeń pomiędzy podłogą a sufitem. Pomiędzy chodnikiem, a chmurami. Pomiędzy początkiem i końcem czasu. Na krótką chwilę wszystko nabiera absolutnego sensu. Pukanie do drzwi znów skleja mnie w całość.

- Moi drodzy, przede wszystkim chciałbym wam podziękować, za to, że tu jesteście. Jeśli brzmię i wyglądam teraz jakbym wygłaszał przemówienie przed kamerami, to tylko dlatego, że sami nauczyliście mnie, by pilnować się w każdej sytuacji.

Sierpiński peroruje z końca długiego stołu. Dobry humor go nie opuszcza, to w końcu jego show. W oknach zachód słońca rozlewa się krwawą czerwienią, wewnątrz powietrze wypełniają zapachy potraw. Ogromny mężczyzna o aparycji szefa gangu motocyklowego kładzie przede mną plater pełen ledwie martwego mięsa polanego czarnym sosem. Sierpiński twierdzi, że Bartek to najlepszy kucharz w Polsce. Spędził pół życia w Los Angeles gotując dla wiecznie spalonych raperów i gwiazd popu, które jadają tylko raz dziennie, wiec to, co wkładają do ust musi być najwyższej jakości. Dobierał wina dla Bourdain'a i zbierał cięgi od Ramsaya. Ponoć robi lepsze sushi niż Jiro. Kolekcjonuje broń białą. Wszyscy mówią na niego Bart.

- Smacznego drodzy państwo.

Róża pojawia się znikąd, podchodzi do Sierpińskiego i szepcze mu coś na ucho zanim ten zdąży wskazać jej wolne miejsce przy stole. Jego brwi unoszą się lekko, ale zdziwienie natychmiast zmienia się profesjonalny i kompletnie wiarygodny uśmiech. Z bliska jego przemiana jest jeszcze bardziej imponująca. Nie ma już śladu po tym stłamszonym stresem mężczyźnie zakrzykującym zdenerwowanie kabaretowym humorem, który kilka miesięcy temu zaprosił mnie do swojego apartamentu na Kabatach. Daniel starł z niego resztki tej przaśności, usunął zadry, obtoczył w obły kształt odbijający światło pod zadziwiającym kątem. Jego prawdziwe emocje stały się zupełnie

nieczytelne.

- Odprowadzę cię – mówi i energicznie wstaje.

Zatrzymują się jeszcze na chwilę przy drzwiach. Dopiero tam, poza sceną, wypuszczają powietrze i pozwalają sobie na długie spojrzenia. Jego ręka natychmiast ląduje na jej biodrze. Kobieta podchodzi o krok bliżej i unosi głowę wypowiadając kilka słów. Wybuchają śmiechem i nagle wypadają z rytmu jak tancerze ugodzeni niepewnością kolejnego kroku. Sierpiński poważnieje, sięga do wnętrza marynarki i wyciąga portfel. Przekazuje jej plik banknotów. Róża znika za drzwiami rzucając w naszą stronę ostatnie spojrzenie. Odwracam wzrok zbyt późno, by nie zostać przyłapanym i w samą porę, żeby zobaczyć jak Null oblewa się winem. Daniel bierze kęs wołowiny i przeżuwa go powoli z zamkniętymi oczyma pozwalając, by smak skonsumował jego. Telefon Blanki znów wibruje w torebce. Wyciąga go i odrzuca połączenie. Edwin zerka wyczekująco na ekran swojego telefonu. Przez chwilę kontempluje etykiety whiskaczy ustawionych w rzędzie na stole pod ścianą. Wreszcie zamiera z wzrokiem utkwionym w ciemniejący las za oknem, bezwiednie dziabiąc stygnące ziemniaki widelcem z prawdziwego srebra. Sierpiński wraca do stołu, rozpina marynarkę i chwyta za sztućce. Przesuwa wzrokiem po naszych twarzach zastanawiając się kogo pierwszego ma zjeść.

- Edwin, coś taki posępny. Bart jeszcze pomyśli, że ci nie smakuje. Wiesz, ja o tej kolekcji broni wspominałem nie bez powodu.

- Dużo mam na głowie ostatnio. I zastanawiam się, jak my to pogodzimy. Pracę tu i nasze normalne obowiązki w Warszawie. Do tego miałem zamiar wyjechać…

- Ty mi o żadnych wyjazdach nawet nie wspominaj. Od odpoczywania to są wakacje. Potrzebuję ciebie i Blanki tu przynajmniej raz w tygodniu. Przez pozostałe dni będziecie działać w Warszawie na froncie. Spotykać się z ludźmi, reprezentować mnie wszędzie, gdzie nie mogę pojawić się osobiście. W tym samym czasie zespół Artura pozostanie na miejscu i będzie torował nam drogę do zwycięstwa tak skutecznie, jak robi to do tej pory.

- Taki jest plan.

- Swoją drogą, to, co zrobiliście przez ostatnie trzy miesiące. Muszę wam się przyznać, że na początku kompletnie nie wierzyłem w powodzenie tego przedsięwzięcia. Byłem jak te wszystkie dziady, które wciąż uważają, że internet służy do oglądania darmowego porno, a na facebooka można co najwyżej wrzucić zdjęcia bachorów. Ale dzięki wam zobaczyłem jak wielką mocą dysponują urządzenia, które każdy z nas nosi w kieszeni. Perfekcyjne narzędzia komunikacji już zostały opracowane. Wystarczy tylko umieć je wykorzystać. Moi oponenci będą jeździć po tych wszystkich wioskach i tracić godziny żeby wygłosić płomienne przemówienie dla stu osób w jakimś Przeźmierowie, tymczasem my dotrzemy do każdego, kto ma choćby kreskę zasięgu.

- Wciąż uważam, że nic nie jest w stanie zastąpić bezpośredniego kontaktu. To trochę jak ze słuchaniem muzyki z płyty i na żywo.

- Oczywiście, Danielu. Dlatego pracujemy żebym nie miał się czego wstydzić występując przed tłumem. Ale jeśli chodzi o bliskość, o to poczucie, że ktoś mówi bezpośrednio do nas, zna nas, dostrzega problemy, wyciąga w naszą stronę pomocną dłoń? Skąd mówca ma wiedzieć do kogo mówi? Perspektywa sceny też tworzy dystans. A z dystansu wszystkie jednostki zawsze zlewają się w masę. Tłum stoi w ciemności i czasem słychać dochodzące z dołu pojedyncze głosy, ale nie sposób odpowiedzieć na każdy. Dopiero w internecie wiemy z kim mamy do czynienia. Znamy potrzeby każdego użytkownika i jesteśmy je w stanie je zaadresować, bo to urządzenie – Sierpiński macha telefonem i rzuca go na stół – wie o ludziach wszystko. To nasz największy przyjaciel.

- Smutne.

- Nie uciekniemy od tego. Nikt z nas nie jest lepszy, Blanka. Twój telefon też dzwoni odkąd tu usiedliśmy. Tak teraz załatwiamy nasze sprawy. Tak, czy inaczej… Próbowaliście wołowiny?

- Jest świetna.

- Powiedzcie to Bartowi.

- Słyszałem i bardzo dziękuję za te słowa. Życzą sobie państwo coś jeszcze?

- Czy ja mogę poprosić kawy? Podwójne espresso.

- To ja też.

- Odbijesz sobie te wakacje Edwin. Nie przyjeżdżasz tu na darmo ani za darmo.

- I dla pani tu kieliszek wina.

- Wiem. Po prostu jestem zmęczony. Potrzebuję gdzieś wyjechać.

- Czerwone, wytrawne. Shiraz, jeśli jest.

- Przecież wyjechałeś. Do Juraty. Wspaniałe miejsce po sezonie. Natura, pusta plaża, jod.

- Panie Kazimierzu, coś dla pana? Może deser?

- Nie dziękuję, Bart. Muszę pilnować kalorii jak nigdy. Tylko czarną, dużą.

- Już podaję.

- A ty Edwin, to najbardziej potrzebujesz baby, a nie wyjazdu. Kiedy ostatni raz się z kimś umówiłeś? Kobieta by cię doprowadziła do porządku.

- Przepraszam, ale nie znam migowego. Danielu, możesz mi powiedzieć, co podać Null?

- Rozmawiam z ekspertem od tych spraw, rozumiem?

- Krewetki. I to nie był język migowy. Null po prostu tak wyobraża sobie poruszającą się krewetkę. Nie rób takiej miny, to było bardzo zabawne.

- Bez urazy, Kaziu, to nie miało tak zabrzmieć. Po prostu nie mam w tym momencie parcia na związek. Są ważniejsze rzeczy.

- Jak ta whisky, Arturze?

- Nie przejmuj się, Ed. Ja też czuję, że być może czas, by poznać kogoś już minął. Od śmierci Wiktorii nie byłem w stanie się z nikim związać na dłużej. Samotne kobiety robią się z wiekiem coraz bardziej zdesperowane, ale mężczyźni są coraz wygodniejsi.

- Torfowa, jak wszystkie z Islay. Trzeba lubić wędzony aromat.

- Co w takim razie polecasz dla człowieka o niewyrobionym smaku?

- Nie przesadzałabym z tą desperacją, ale jeśli chodzi o wygodnictwo, to akurat absolutna prawda.

- Glenlivet. Albo ulubiony trunek prezydenta Sierpińskiego, czyli Mortlach.

- Masz oko do szczegółów, chłopaku. A wracając do naszej rozmowy o związkach, Blanka, to może jest jedynie kwestia tego pieprzonego stereotypu, że to mężczyzna powinien zawsze wykonać pierwszy krok. W pewnym wieku jesteśmy już ponad tym konwenansem, ale dla osoby z boku obserwującej godowy taniec ludzi po czterdziestce taka refleksja może wydać się nieobca.

- Niestety, z przejmowania się presją z zewnątrz raczej nikt nie wyrasta. Prędzej czy później każdy zaczyna kalkulować. Do głosu dochodzi rozsądek, przelicza się pieniądze, patrzy częściej w lustro oczyma innych osób. Z wiekiem ten okres pomiędzy pierwszym impulsem, a korektą rzeczywistości znacząco się skraca. Dorosły związek to nic innego jak układ. Kontrakt z obopólnymi korzyściami.

- Z lodem to pić? Z colą?

- Popatrzcie na nas. Tak jak tu siedzimy, nikt z nas nie tworzy nic stałego, a jak wiele mamy do powiedzenia na ten temat.

- Jak już masz dolewać coli, to tylko tego

dwudziestopięcioletniego.

- Dla pani znalazła się jeszcze butelka Hermitage La Chapelle Rouge z 1990 roku. Doskonały shiraz. Polecam spróbować z duszoną wołowiną.

- Oczywiście, że mamy, Edwin. Co mogą powiedzieć na temat tworzenia relacji, ludzie którzy  związali się ze swoją miłością z liceum na całe życie? Doświadczenie bierze się z niepowodzeń i zmarnowanych szans.

- Wy słuchacie co tam się wyrabia? Bart? Bart! Zostaw to wino, pofatyguj się proszę do gabinetu i przynieś sztucer mojego ojca. Muszę zastrzelić Daniela za to świętokradztwo i Artura żeby już więcej nie podsuwał nikomu tego typu pomysłów.

- Podobno de gustibus non est disputandum.

- Tak, ale admoneri bonus gaudet.

- Według mnie to sus Minervam docet.

- Ja też znam trochę łaciny. Chcecie posłuchać? Wypierdalać z imprezy. Jak chcecie do porządnej whisky dolewać odrdzewiacza, to nie w moim domu.

- Gdybym sam cię nie nauczył jak być stanowczym, pewnie bym uwierzył w tę groźbę. Póki tu stoję, czy ktoś jeszcze życzy sobie drinka?

- Jezu, on naprawdę to zrobił.

- Spokojnie, to nie Mortlach. I nie dolałem zbyt dużo.

- Podaj mi tę butelkę, chłopaku, zanim przyjdą ci do głowy kolejne złe pomysły. A wy przygotujcie szklanki, bo musimy opić to spotkanie. Tę niezwykłą historię, którą wspólnie tworzymy. Wiem, że nie powinniśmy zostawiać żadnych trwałych śladów, ale czasem mam ochotę zapisywać dzień po dniu wszystko, co tu robimy. Była by z tego dobra historia.

- W którą nikt by nie uwierzył.

- Włącznie trybunałem stanu, miejmy nadzieję.

- Bez obaw, pomimo wrodzonej próżności, nie mam zamiaru nikogo narażać. Ale chciałbym wydać autoryzowaną biografię jeszcze przed wyborami. Myślę, że to będzie świetny pretekst do opowiedzenia o moim życiu wreszcie w nietabloidowy sposób. Na zdrowie!

- Zdrowie.

- To jest dobry pomysł, ale czas goni. Mogę na poniedziałek przygotować listę potencjalnych autorów.

- Nie ma potrzeby, Arturze, już się zdecydowałem. Zrobi to Greta Otto.

- Otto? To akurat najgorszy możliwy wybór.

- A to ciekawe. Sam widziałem, że wozisz w aucie jej nową książkę.

- Tak. Stąd wiem, że ta kobieta to grafomanka.

- Ale my tu nie potrzebujemy Szekspira. Ile razy mi powtarzałeś, że do ludzi trzeba mówić jak do dzieci? Prostymi jak cep zdaniami, inaczej się pogubią. A jak przestaną rozumieć to albo się wyłączą, albo co gorsza zaczną zadawać idiotyczne pytania. A my mamy do opowiedzenia bardzo trywialną historię, brzmi tak: dawno, dawno, temu za siedmioma górami za siedmioma lasami urodził się Kazimierz Sierpiński, człowiek, który od zawsze miał pomysł na Polskę. Później został jej prezydentem. Happy end. No i co ty o tym sądzisz?

- Nie wyobrażam sobie współpracy z tą osobą. I szczerze mówiąc nie wyobrażam sobie dalszej współpracy między nami, jeżeli moje zdanie ma być kwestionowane na każdym kroku.

Sierpiński prostuje się na krześle, odkłada whisky i koncentruje całą swoją uwagę na mnie. Wciąż szuka w kącikach moich ust śladów

uśmiechu, który mógłby zmienić trajektorię tej rozmowy i zamienić wszystko w niepotrzebny żart. Ale dobrze wie, że nic takiego nie nastąpi. Wiec robi to, co może w tej sytuacji i milczy obmyślając plan awaryjny, szukając słów, którymi sprowadzi mnie do parteru. Tu nie chodzi o Gretę. Ją można zastąpić dowolnym głodującym chałturnikiem albo nawet doświadczonym i uznanym autorem, mającym na koncie jakieś statuetki za swoje szesnaście kryminałów różniących się jedynie tytułem. W Polsce jest pełno ludzi pióra, którzy za pięćdziesiąt koła zrezygnują na dwa miesiące ze snu i życia prywatnego żeby spisać wszystkie jego przekoloryzowane anegdoty i miałkie metafory. W cenie powiedzą mu nawet, że jego życie jest ciekawsze of fikcji. Ale teraz, gdy wszyscy już przysłuchują się naszej rozmowie, a Bart zamarł za kuchennymi drzwiami z tacą pełną kaw, jest zbyt późno by się wycofać. Można tylko powiedzieć: sprawdzam.

- Arturze, bardzo cenię sobie twoje zdanie, masz wolną rękę jeśli chodzi o strategię kampanii i nie zamierzam podważać twoich kompetencji. Natomiast w tej kwestii nie ustąpię. Na pewno istnieje bardzo ważny powód, dla którego nie chcesz zaangażować panny Otto w to zadanie. W tym momencie powinienem przypomnieć ci naszą pierwszą rozmowę, w której postawiłeś mi warunek szczerości i zażądać tego samego od ciebie, ale być może poruszylibyśmy tematy, którymi nie chcesz się dzielić na forum publicznym. Rozumiem to. I w pełni szanuję twoje prawo do zachowania milczenia. Ty z kolei musisz uszanować moje prawo do podejmowania decyzji. Greta Otto napisze moją biografię. Zaczyna od poniedziałku.

- Oczywiście – mówię i wstaję.

Zapinam marynarkę i wychodzę do hallu, który stanął w ogniu. Czerwona łuna gasnącego dnia wspina się po marmurowych kolumnach. Wspinam się po schodach. Pakuję moje rzeczy, zwijam kable, ścieram odciski palców. Zabieram z pokoju torbę, zarzucam ją na ramię i schodzę powoli w dół. Sierpiński czeka na mnie w wejściu do jadalni. Oparty o framugę ze spojrzeniem puszczonym wzdłuż ciemniejącego korytarza nasłuchuje zbliżających się kroków.

- Myślisz, że nie poradzimy sobie bez ciebie? – pyta gdy przechodzę obok, nie spoglądając na mnie ani razu.

Nie odpowiadam. Być może w całej historii naszej znajomości nigdy nie szanowałem go bardziej niż w tej chwili. Właśnie dlatego, że nie chwyta mnie za ramię, nie próbuje zawrócić, przemówić do rozsądku ani zastraszyć. Po prostu pozwala mi odejść.

Wsiadam do auta i objeżdżam rondo na wstecznym. Brama otwiera się automatycznie. Po chwili mknę już główną drogą i ważę tyle, co nic. To było czyste cięcie, schludne wręcz, z minimalną ilością zepsutej krwi. Nici powiewają na wietrze, ja odklejony od kolejnej sieci zależności wracam do mojego prawdziwego domu – pustki wypełniającej całą przestrzeń pomiędzy tym, co istnieje. To dobre uczucie znów być nigdzie, w wiecznym ruchu. W ruchomy cel trudniej trafić. Przyciskam gaz i rozmazuję świat jak świeżą farbę. Fiolet gaśnie w szarość, ta gęstnieje w czerń. Rzędy świateł pełzną po masce auta, pod którą wrzeszczy jego metalowe serce, łączą się w linie i zbiegają w punkt w oddali wyznaczając jedyną dostępną drogę. W ustach powoli znika posmak drogiej whisky i surowego mięsa. Jeszcze kwadrans i nie będzie na świecie ani jednej rzeczy, która mogłaby mnie przekonać, że nie dokonałem dziś słusznego wyboru.

Mój telefon dzwoni. To Lipa. Nie mówi nic, tylko oddycha szybko jakby bała się, że za chwile ktoś znów chwyci ją za włosy i wciśnie jej głowę z powrotem pod wodę.

***

Powiedziała mu, że nie przyjdzie. Wymyśliła gównianą wymówkę na poczekaniu, coś o raportach, których sterta piętrzyła się na jej biurku (jakich raportach? w życiu nie musiała się nikomu spowiadać z przebiegu swojej pracy, poza tym w dobie wysyłania wszystkiego mailem piętrzyć na biurku to mogły się jedynie kubki od kawy (dzięki swoim domyślnym skojarzeniom Blanka uświadomiła sobie, że nie jest staroświecka, jest po prostu stara)), dorzuciła do tego zmęczenie ciągłymi podróżami – jej wyimaginowany pociąg miał urojone trzy godziny opóźnienia, stanął w polu gdzieś w okolicach Torunia (przez

chwilę zastanawiała się czy nie palnęła głupstwa, bezskutecznie próbowała odtworzyć w głowie przebieg trasy z Gdańska do Warszawy) i żeby zabrzmieć wiarygodnie na koniec przeciągle ziewnęła. Twoja strata – odpowiedział przekrzykując dudniącą muzykę i się rozłączył. Dwa słowa ukuły ją pod samo żebro. Twoja strata? Nie spodziewała się po nim żadnego „wielka szkoda", tym bardziej „mocno tęsknię", może prędzej „innym razem", względnie „odbijemy sobie". Twoja strata. Co ten arogancki gnojek sobie wyobraża? – pomyślała i pobiegła zapytać go o to osobiście.

Perspektywa wyprawy do klubu po latach imprezowej abstynencji sprawiała, że treść żołądka sama podchodziła jej do gardła. Te wszystkie tłuste basy, polepione włosy, gorzkie rzygi po ósmym drinku, zaszczana podłoga, dziury w sukienkach wypalone petami, spocone dłonie, najebane wyznania, ocierające się fiuty, napuchnięte tampony, które prawie trafiły do kosza, zaplute lustra, bójki na parkingu, wielkie plany, niemożliwe obietnice, krew z nosa, łzy i rozmazany tusz. Światło stroboskopu wyjmowało z jej pamięci kolejne sceny z dawno porzuconego życia, do którego na chwilę znów miała zajrzeć. Ale tymczasowość dawała jej złudne poczucie kontroli. Jak przyjazd do rodzinnego miasta, w którym nie musiała zmarnować swoich dni (ono zawsze było piękne na odległość i w małych dawkach, jej wspomnienia zasiedlały teraz nocne rajdy z przyjaciółmi, rozmowy do rana, wszystkie te ciepłe chwile zepchnęły na dalszy plan troski, przez które zgasiła kilka papierosów na swoim udzie). Postanowiła zajrzeć tam ostatni raz. Powolny przejazd przez złą dzielnicę z opuszczonymi szybami – istny szczyt odwagi.

Wiedziała dokładnie gdzie go znajdzie. Miał swój ulubiony stolik w strefie VIP z dobrym widokiem na parkiet w dole (lubił podkreślać, że właściciel jest jego dłużnikiem, znała go krótko, ale już wiedziała, że bardziej wolał posiadać ludzi niż rzeczy). Zastanawiała się czy zastanie go z kimś. A jeśli tak, to czy podejdzie i przywita się. Zrobi scenę? Dlaczego miałaby robić scenę? To tylko przelotna znajomość. Dobra rozmowa. Dobry seks. Trochę adrenaliny. Żadne ciepłe miejsce i wcale nie kotwica, ani latarnia, w żadnym przypadku ostoja, nigdy

dom. Jechała taksówką przez zmarznięte i senne miasto wyobrażając go sobie w pobliżu innej kobiety, z dłonią niby przypadkiem lądującą na ramieniu zamiast na oparciu, z ustami składającymi się by szeptać do ucha pierdoły, którymi ją też zwykł częstować. To ten moment, w którym dostrajają częstotliwość, odnajdują uwielbiany przez nich i nikomu nieznany utwór, przypominają sobie o miejscu, które odwiedzili albo filmie, który tylko oni są w stanie zrozumieć i docenić ukrytą w nim magię i nagle otwierają się na oścież drzwi, przez które można włożyć kutasa. Proste, powtarzalne doświadczenie. Ale wobec tego uczucia jedności każda z nas jest bezbronna. Co innego mamy w tym życiu poza krótką chwilą, w której możemy poczuć, że nie jesteśmy na tym kurewsko smutnym świecie zupełnie same?

- Wiedziałem, że przyjdziesz… – powiedział starannie ukrywając zaskoczenie, wybijając na pierwszy plan radość, która wydała jej się szczera.

Oderwał wzrok od telefonu, na którym oglądał mecz. Na stoliku stały dwie szklanki, ale jedna z nich była od dawna pusta. Kelner widocznie jej jeszcze nie sprzątnął. Gdy po kwadransie nikt nie wrócił z kibla, uspokoiła się do reszty. Rozsiadła wygodniej. Zapytała o nowiny z miasta (po staremu). Sączyła rum z cynamonem, który powoli roztapiał ją od środka, przesuwał granice, które próbowała wyznaczyć, w nadziei, że rano pod prysznicem nie będzie musiała znów dać sobie wykładu na temat godności osobistej. Para różnokolorowych oczu wyglądała na nią spomiędzy zmrużonych powiek. Wołała głębiej w mrok.

- Słyszałem, że Maciek znów miał kłopoty – powiedział prostując się na kanapie. Podniósł drinka do ust, żeby zasłonić uśmiech. Blanka nie przypominała sobie, żeby od ich pierwszego spotkania kiedykolwiek wspominał o jej przyszywanym synu.

- Tak, utknął na jakimś zadupiu i zatrzasnął kluczyki w aucie razem z telefonem – odparła. – Ale poradził sobie. Jak dla mnie takie problemy może mieć przez cały czas. Skąd o tym wiesz? Pochwalił ci się?

- Nie. Nie rozmawiamy ze sobą już od jakiegoś czasu.

- To dobrze. Nie jesteś dla niego dobrym towarzystwem.

- Dla ciebie jestem? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok, by zwabić do siebie kelnerkę, która atakowała stolik zajęty przez piątkę podpitych mężczyzn w typie właścicieli firm z uporczywością muchy tłukącej głową w szybę i od kilku kwadransów konsekwentnie unikała tej części sali. Blanka miała ochotę się upić. Pierwszy drink wypełnił jej ciało przyjemnym ciepłem, a ona sama coraz głębiej zapadła się w kanapę. Chciała więcej tego uczucia. Chciała wreszcie przestać myśleć o wizerunku i poparciu, patrzeć na wykresy, wisieć na telefonie. Ostatnie trzy dni zderzyły się ze sobą w pędzie wypełniając jej głowę kolorowym szumem. Wreszcie udało jej się wypłynąć na powierzchnię i złapać pierwszy oddech. Po drodze z Juraty obiecywała sobie kubek gorącej herbaty, szlafrok i Netflixa. Weekend tylko dla siebie, by naładować baterie. Patrz, prawie się udało – ironizowała machając telefonem w kierunku nadjeżdżającego Ubera.

- Jeszcze raz to samo – cisnęła słowami w przemykającą obok kobietę nieznacznie wytrącając ją z rytmu.

Gdy znów spojrzała przed siebie, on wciąż czekał na odpowiedź. Wzruszyła ramionami. Gdzieś pod tym całym miękkim otumanieniem wierciła się niewygodna myśl, której musiała się pozbyć, wyciąć z siebie jak raka, by móc normalnie żyć. Przekierowała rozmowę w bezpieczniejsze rejony, zapytała ile postawił, na kogo (nazwy, które wymienił równie dobrze mogłyby być pozycjami w menu modnej restauracji (piłka nie interesowała ją wcale, kiedyś żeby imponować chłopakom z osiedla nauczyła się kilku nazwisk, ale była pewna, że gdyby wpisała je dziś do wyszukiwarki ujrzałaby tłuste, pomarszczone karykatury mężczyzn z jej wspomnień a zamiast statystyk bramkowych daty śmierci)). Przeczekała dwa utwory, uczucie nie chciało zniknąć, wszystkie myśli owinęły się wokół tego jednego pytania.

- To ty go pobiłeś, prawda? – zapytała pochylając się do przodu, teraz ona spoglądała na niego jak na zwierzynę. – Maciek ściemnia, że niczego nie pamięta. Ale ty mi powiesz prawdę.

- Tak – odparł odkładając telefon na stół. – Ale to nie było nic osobistego. Po prostu zapracował sobie na wpierdol, a ja dostałem zadanie do wykonania.

- Więc najpierw go stłukłeś, a później zawiozłeś na SOR?

- Wilk syty i Manchester City – wzruszył ramionami. – Wolałabyś żebym go tam zostawił?

Blanka pokręciła głową i westchnęła. Kobieca dłoń postawiła przed nią szklankę pełną rumu i lodu, ale ona praktycznie nie zarejestrowała tego faktu. Dopiero po chwili dotarł do niej aromat, który uświadomił jej, że coś, na co czekała już tu jest. Odruchowo sięgnęła po drinka. Miała ochotę wlać go w siebie na raz, poczuć jak topi wszystkie słowa cisnące jej się na usta. Nie zdążyła.

- I tak jestem ci wdzięczna. Nie powinnam, ale jestem – mówiła powoli, cicho, korzystając z przerwy pomiędzy utworami. – Brzmię jak najgorsza matka na świecie. Być może jestem najgorszą matką na świecie, bo rozmawiałam z Maćkiem tyle razy i próbowałam przemówić mu do rozsądku, bezskutecznie. Dopiero to, co ty zrobiłeś zadziałało. Jak ręką odjął. Zobaczył dwa złamane żebra na prześwietleniu i swoją poobijaną twarz w lustrze i nagle zrozumiał wszystko. Że to nie jest film. Że nie jest nieśmiertelny. Że musi się trzymać z dala od ludzi takich jak ty.

Husky pokiwał głową. Spojrzał przez ramię na parkiet w dole, gdzie roztańczona, spocona masa znów unosiła się i opadała niesiona muzyką, piętrzyła się wyciągniętymi dłońmi, chlustała na boki i odbijała od ścian.

- Ludzi takich jak ty – powtórzył po niej jak wielce spóźnione echo. – Wiesz, my wcale tak bardzo się nie różnimy.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Być może, ale wiem coś o tym mieście. Przyglądam mu się już od dłuższego czasu i zauważam pewne wzory.

- Oświeć mnie, proszę – zażądała bardziej niż poprosiła.

Wstał, okrążył stolik i usiadł tuż obok. Teraz obydwoje mieli doskonały widok na parter i bar. Przysunął się bliżej, poczuła znajome perfumy i jego oddech. Usłyszała głos, który wreszcie nie musiał przekrzykiwać się z muzyką. Lubiła gdy mówił, zawsze robił to w bardzo opanowany sposób, używał tylko tych potrzebnych słów. I doskonale wiedział kiedy należało się zamknąć.

- To miasto jest jak ustawiony mecz – powiedział jej. – Tam, na dole policjanci i złodzieje, celebryci, dilerzy, politycy, influencerki, przedsiębiorcy i ich prawnicy grają w pewną grę. Z daleka wydaje się, że walka jest zażarta, ale chodzi tylko o to żeby zrobić dobre widowisko. Pomiędzy nimi nie ma wrogości. Jedyny prawdziwy wróg siedzi tu, na widowni. To jego trzeba zabawiać na tyle umiejętnie, żeby nie zadawał pytań. Wytrawni zawodnicy wiedzą, że to wszystko jest naprawdę bardzo proste. Życie sprowadza się do czterech rzeczy: pieniędzy, władzy, seksu i ćpania, a tak naprawdę tylko do pieniędzy, bo one dają ci poczucie władzy i pozwalają ćpać wszystko i pieprzyć się z każdym. Ci ludzie na dole, oni chcą żeby mecz trwał wiecznie, dlatego do końca będą grali na remis. Oczywiście, żeby nie było nudno od czasu do czasu pozwalają sędziemu wyrzucić kogoś z boiska. Wtedy gwizdy z widowni natychmiast cichną i można bawić się dalej – uśmiechnął się i uniósł drinka w toaście. Blanka jedynie popatrzyła na swoją szklankę i pokręciła głową. – Nie rób takiej miny – powiedział. – Oboje jesteśmy beneficjentami tego układu. Razem z grubymi rybami pływa cała masa planktonu, takiego jak my, który tylko marzy żeby przyczepić się do czyjegoś grzbietu i wypłynąć ze ścieku na powierzchnię. Ja też mam swojego Sierpińskiego. Pracuje w nieco innej branży, ale na pewno zna się z twoim.

Blanka przesunęła wzrokiem po sali wyławiając z niej kilka przypadkowych kadrów. Głośny toast, błysk ekranu w ciemności, pijany, idiotyczny śmiech, którego nienawidziła, neon z reklamą

whisky odbity w szybie, za którą zamarzał świat, dłoń biznesmena lądująca na pupie kelnerki, upuszczona szklanka, która rzygnęła resztką zawartości i ocalała, snujące się cienie szukające wolnego miejsca. Wszystko wokół było w ciągłym ruchu, jakby w klubie nie przestawały eksplodować bomby. Słowa plątały się ze sobą w niemożliwych kombinacjach, zderzenia przypadkowych spojrzeń były jak drzwi prowadzące donikąd.

- A ty? Też chcesz tego, co wszyscy? Po prostu nachapać się i poruchać? – zapytała go.

- Nie – roześmiał się, jakby opowiedziała dobry żart. – Ja chcę rzeczy, których nie można kupić. Ale przede wszystkim chcę wiedzieć – zbliżył się do niej, niebieskie oko spojrzało na nią badawczo, dotknął palcami jej szyi, przespacerował po obojczyku i zaczął zsuwać się coraz niżej w dekolt – To taka moja mała obsesja, dowiedzieć się co siedzi w środku każdego z nas. Wszyscy mamy swoje narkotyki, ja ćpam prawdę. Nie wierzę w ślizganie się po powierzchni. Chcę przejść przez to życie na wylot – palce złożone w gest broni ukuły ją w mostek – Otworzyć każdą osobę, którą spotkam i obejrzeć jej serce pod światło.

Blanka poddała się pchnięciu. Ruszył za nią z pocałunkiem i przykrył całą jak ciepła fala. Zatopiła palce w jego włosach, zamknęła oczy i wyłączyła muzykę. Poczuła się jak w pędzącym aucie, które właśnie przebiło się przez ścianę i niewzruszone jechało dalej. Tam za nią w tumanach kurzu padała kolejna granica.

- Tańcz ze mną albo wychodzę – wyszeptała mu do ucha.

- To idź – powiedział i natychmiast chwycił ją za rękę.

Zeszli na dół i zanurzyli się w tłumie. Tu, na parterze klubu w południowym Śródmieściu, kilka minut po północy, z dwoma drinkami na rachunku, zgubiona w dźwięku, wciśnięta pomiędzy spocone ciała Blanka odnalazła namiastkę spokoju. Może nie był to ten spokój wyidealizowanego wieczoru spędzonego pod kocem, ucieczki od siebie w cudze historie dostępne na żądanie, tym bardziej

nie miał nic wspólnego z uczciwym spokojem epilogu dnia powszedniego (to szczęście spracowanej matki całującej dziecko na dobranoc smakujące jak dojazd do mety (uczucie, z którego nieosiągalnością już dawno się pogodziła)), jej spokój objawiał się brakiem. Brakiem niepokoju o to, co przyniesie jutro, brakiem cofających się do gardła pytań o cel podróży, które zadawała swojemu odbiciu w nieprzetartym lustrze, brakiem pragnień, poza tym jednym – by ten stan trwał jak najdłużej. By znów mogła być osiemnastką podskakującą na parkiecie jak nakręcona sprężyna nocy, czuć uderzenia muzyki przeszywające ciało na wylot i płynąć dalej bez planu i mapy jak słodki zapach niesiony przez wiatr.

Perspektywa przetańczenia następnych kilku godzin sprawiała, że znów chciało jej się żyć. Te wszystkie tłuste basy, fruwające włosy, kolorowe drinki, błyszczące światła, splecione dłonie, szczere wyznania, spontaniczne pocałunki, śmiech, ruch, życie, jeszcze jeden łyk, jeszcze jeden utwór i dalej do samego końca nocy lub sił. Światło stroboskopu wyjmowało z mroku klubu jego sylwetkę ozdobioną parą oczu należącą do dwóch różnych osób, w które nie mogła przestać się wpatrywać. Nawet jeśli czar miał niebawem prysnąć (wychodząc z klubu pijana w sztok połamałaby szpilki na schodach, rano znów obudziła w ciele podstarzałej singielki), postanowiła cieszyć się każdą daną jej chwilą. Bycie tu i teraz sprawiało, że znów mogła sprawować kontrolę nad swoim życiem.

Poczuła silne pchnięcie w plecy i upadła na kolana. Alkohol nie złagodził zderzenia z parkietem, zabolało bardziej niż mogłaby się tego spodziewać. Łzy stanęły jej w oczach. Husky ukucnął przy niej. Tłum skakał wokół niewzruszony, w każdej chwili mógł zwalić im się na głowy i przycisnąć do podłogi, rozdeptać, ale on się tym nie przejmował. Interesowało go tylko czy wszystko z nią w porządku. Pokiwała głową, zawiesiła się na jego ramieniu i wstała z trudem. Czerwona skóra piekła, ale nie na tyle, by zawrócić ją do stolika.

- Poczekaj tu – poprosił i pocałował ją w zmarszczone czoło.

Widziała dokładnie jak ruszył przez tłum w kierunku baru. Wyłowił

spomiędzy głów tą właściwą, chwycił ją jak piłkę i huknął o krawędź drewnianej lady. Zaskoczona twarz odbiła się i zwróciła ku niemu więc poprawił kierując ją prosto w świeżo nalane drinki. Chlusnęło po sukienkach alkoholem zmieszanym ze śliną, krwią i potłuczonym szkłem. Kobiety otworzyły usta, ale Blanka nie usłyszała żadnego krzyku. Nawet muzyka natychmiast zgasła, choć tłum za jej plecami nie przestawał podskakiwać. Ona stała tam jak eksponat zamknięty w gablocie i oglądała niemy film z taśmy, która w kółko odtwarzała to samo zniekształcone, ledwie wyraźne ujęcie mężczyzny osuwającego się z tępym wyrazem twarzy na podłogę. Husky spojrzał prosto na nią. Chciał się upewnić, że widziała wszystko. Dopiero wtedy skinął, jakby dając jej znać, że już może zamknąć oczy. Zaciągnęła się głęboko gorącym powietrzem i zaczęła wypuszczać je z siebie powoli, jak przebita opona. Gdy ponownie uniosła powieki, pokancerowana twarz stała tuż przed nią. Z ran sączyła się krew, spomiędzy spuchniętych ust wypadały nieskładne słowa.

- Przepraszam ciebie najmocniej, że tak nie uważałem – powiedział wciągając raz po raz brązową kroplę wychylającą się z nosa. – Sam sobie jestem winien.

Chciała mu powiedzieć, że nic się nie stało, żeby się nie przejmował, ale zanim przypomniała sobie, w którym miejscu ma język, Husky popchnął go w tłum i objął ją ramieniem odprowadzając w bliżej nieokreślonym kierunku. Chwilę później siedzieli na swoich miejscach, przy stoliku, na którym wylądowały dwa świeże drinki. Przyłożyła rum do ust i odstawiła go z powrotem ruchem, w którym nie było płynności (coś się ewidentnie zepsuło tam, w środku, zatarty mechanizm przeskakiwał wydając z siebie cichy zgrzyt) on wychylił swoje whisky na raz, puścił oko do kelnerki i zagrzechotał kostkami lodu w pustej szklance. Rozprostował palce dłoni, przyglądając się zaczerwienionym knykciom. Nie drżała.

- Dlaczego? – zapytała go. – Po co?

Uśmiechnął się tylko, pełen jakiegoś niewytłumaczalnego spokoju, jakby pogodził się właśnie z całym światem i wszystkim, co miało go

w nim spotkać. Za jej plecami rozległy się kroki. Wielki ciężar przetoczył się po podłodze i zatrzymał tuż obok. Dwóch rosłych mężczyzn przedstawiło się jako ochrona klubu. Mieli wschodni akcent i trzy sekundy, żeby ocenić sytuację. Spod rękawów ich obcisłych koszulek wypełzały sine, tatuaże przedstawiające nogi gołych bab, tribale i imiona żon, dup lub córek naniesione nieczytelną kursywą, ozdobione florystycznym wzorem. Ich pozbawione mimiki i włosów obciągnięte napiętą skórą czaszki błyszczały w świetle lamp jak dwie kule do kręgli.

- Podobno doszło przed chwilą do incydentu – rzucił sucho pierwszy z nich.

- Tak. Jakiś idiota popchnął i przewrócił moją koleżankę – wyjaśnił Husky. – Ale już przeprosił.

- Jak wyglądał?

- Wysoki blondas w czarnej koszuli ze stolika na dole. Widziałem, że szedł ogarnąć się do łazienki. Chyba oblał się drinkiem.

- Pani nic się nie stało? – zapytał drugi drab.

Blanka pokręciła głową, próbując się uśmiechnąć. Z jej twarzy emanował porcelanowy spokój ofiary lobotomii.

- To my pójdziemy z nim porozmawiać. A państwu życzymy spokojnego wieczoru.

- Dzięki, Illia.

Sięgnął do kieszeni po telefon, sprawdził wynik meczu i zaklął cicho. Do końca został już tylko kwadrans, a wciąż utrzymywał się remis – wyjaśnił, choć o nic nie pytała. Zauważył, że przyglądała mu się inaczej niż zwykle. Ignorował to tak długo, jak tylko mógł. Szukał czegoś po kieszeniach. Podążył wzrokiem za dźwiękiem zatrzaskiwanych drzwi. Odebrał whisky i wcisnął kelnerce napiwek. Wreszcie skapitulował, a w jego oczach nie było już spokoju. Nagle ubyło mu lat. Patrzył na nią jak zwierzę, które zamarło w światłach pędzącego auta.

- Jesteś zła? – zapytał. – Sorry za tę „koleżankę”, ale naprawdę nie wiedziałem jakiego słowa miałem użyć. Przyjaciółka? Kobieta? Jesteś moją kobietą? Mogę tak mówić?

- Zrobią mu coś? – zapytała.

- Nie. Porozmawiają tylko. Załagodzą sytuację, zamówią taksówkę. Mówiłem ci, to wszystko gra. Póki jesteś na boisku, nic złego ci się nie stanie. Zadbam o to – dodał.

Blanka uświadomiła sobie, że sama powinna w tym momencie siedzieć w taksówce. Wracać do domu wściekła i kasować numer w telefonie. Ale z jakiegoś powodu czuła tylko złośliwą satysfakcję i wdzięczność. Nikt wcześniej nie wstawił się za nią. Nie w taki sposób. Ludzie mówili jej różne rzeczy, bo ludzie głównie potrafią tylko mówić, ale jeśli przychodzi czas na działanie, każdy ci powie, że nie warto. Ich mantrą było: puszczanie mimo uszu, schodzenie z drogi, nadstawianie drugiego policzka i milion innych nieżyciowych zasad, które wkuła na pamięć jako mała dziewczynka z ostatniej ławki gnojona przez polonistkę za to, że kiedyś założyła zbyt krótką spódniczkę, przez co została wyciągnięta podczas apelu na sam środek sali i zrobiono z niej przykład ku przestrodze, zasad których nauczyła się jako dorastająca dziewczyna, bo koleżanki zazdrościły nóg lub cycków, już nie pamięta, więc wymyśliły historię o tym, że jej ojciec chla, a ona ubiera się w lumpie, wyciąga szmaty ze śmietnika, markowe rzeczy ogląda przez szybę wystawową, i jako dorosła kobieta, która pragnęła prostego szczęścia z drugim człowiekiem, nie ideału szczęścia samego w sobie, ale zwykłych poranków w łóżku, filmowych wieczorów, rozmów na balkonie przy lampce białego wina i garstki marzeń, ale znajdywała tylko chłopców lubiących szybko jeździć i szybko zapominać, durne wymówki, pogryzione, przemoczone poduszki i odrzucone połączenia, sytuacje i ludzi, którym najchętniej sama roztrzaskałaby łby o bar.

- Chodźmy stąd – poprosiła go. – Jedźmy gdzieś. Gdziekolwiek.

- Mam nowy samochód. Spodoba ci się – powiedział stając się na powrót Huskym, którego znała.

Chwilę później pędzili w czarnym BMW Nowogrodzką. Ona z tyłu jak gwiazda rocka (otworzył przed nią drzwi, ukłonił nisko, pewnie, że wolałaby usiąść z przodu, widzieć drogę lepiej, zaciskać pięści i deptać nieistniejący hamulec, gdy siadaliby komuś na zderzaku, ale wobec takiej kurtuazji nie potrafiła odmówić), on za kółkiem po trzech drinkach, albo dziesięciu, cholera wie od kiedy tam siedział. Wpadli w zakręt, poczuła znajomy stan nieważkości, asfalt wyślizgnął się spod kół, zostawili za sobą tunel z dymu, w którym jak latarki błądziły światła innych aut. Oparła głowę na półce, pomiędzy głośnikami z których huczała muzyka i patrzyła przez tylną szybę na przemykające wieżowce i nieruchome niebo zawieszone wysoko nad miastem. Zapytał ją gdzie chce jechać. Wyciągnęła dłoń przed siebie i trochę w prawo. Autem natychmiast szarpnęło. Wokół rozległy się klaksony. A teraz dokąd? Pokazała w przeciwnym kierunku ani na moment nie spoglądając na drogę. Husky zaciągnął ręczny. Samochód zwolnił, obrócił się i podskoczył na nierównościach. Usłyszała wołanie. Czyjaś dłoń odbiła ślad na bocznej szybie.

- Przed chwilą jechaliśmy pod prąd, ale teraz jesteśmy na chodniku, więc proszę cię, zastanów się zanim odpowiesz. W którą stronę?

- Nad rzekę. Zabierz mnie nad Wisłę – powiedziała jak przez sen. – I wyłącz to gówno. Chcę posłuchać Pearl Jam. Zawołaj tu Eddiego.

Noc była przeraźliwie zimna. Blanka zawinęła się w szal po sam nos. Gwiazdy drgały na niebie, korytem rzeki płynęła cicho czarna woda. Szli pod ramię szukając rytmu dla swoich kroków, piasek zgrzytał pod ich butami, mróz szczypał w powieki, wypuszczali z siebie obłoki ciepłej pary, które odpływały jeden po drugim w górę. Tej nocy Blanka odkryła, że nie potrzeba skomplikowanej maszynerii i sztabu naukowców, by podróżować w czasie, tylko kilkunastu gramów alkoholu, szybkiego samochodu i jednego nieodpowiedzialnego gnojka, który nigdy by jej nie odmówił. Chciała zamieszkać w tej

chwili, zatrzymać ją dla siebie, odłożyć na półkę, by móc później przyglądać się jej z każdego kąta, jak otwartemu zwierzęciu zatopionemu w formalinie.

- Mam czterdzieści trzy lata – powiedziała mu.

- Zabiłem kiedyś człowieka – odparł. – Ale przez przypadek – dodał zanim w pełni zrozumiała znaczenie tych słów. – Pracowałem w Anglii na dźwigu. Ktoś źle zabezpieczył ładunek i urwał mi się betonowy blok z żurawia. Wiesz co pięćdziesiąt ton betonu robi z ciałem?

- Nie chcę wiedzieć.

- I tak ci powiem. Zmienia je w kałużę. Nawet kości ścierają się w taką drobnicę, że wyglądają jak piasek. Jak podnieśli blok, jego po prostu tam nie było. Jakbyś skasowała plik.

- Ja zawsze się boję, że to już koniec – powiedziała starając nie wyobrażać sobie jak wygląda zupa z człowieka.

- Że umrzesz? – zapytał.

- Gorzej. Że będę żyła, ale już po nic. Będzie mnie coraz mniej, bo wszystko co się miało wydarzyć ważnego, już się stało. Wyglądam tych końców, żeby ich nie przegapić. Ale tego nigdy nie wiesz, prawda? – zapytała. – Jak byłam mała moja mama powiedziała mi, że rosnę tak szybko, że któregoś dnia nie będzie już miała siły wziąć mnie na ręce. Ten moment przyszedł i minął, jak zwykły dzień.

- Nikt nie zapamiętuje takich rzeczy.

- Przeszkadza ci, że jestem stara?

- To tylko liczba. Jak numer mieszkania.

- Mi przeszkadza, że jesteś młodszy. Chciałabym żeby cały świat umarł przede mną. To byłoby sprawiedliwe.

Blanka wcisnęła dłonie głębiej w kieszenie, uwięziła jego ramię jak kłódka. Gdzieś w oddali wyludniały się ulice, wyły syreny, puszczały

nerwy, miasto zapadało w płytki, pijany sen, z którego miało obudzić się siedem godzin później z nieświeżym oddechem i jeszcze większym debetem na rachunku. Zawróciła do auta ciągnąc go za sobą. Szli przez czarny las torując sobie drogę w mroku lampką telefonu. Nowoczesna technologia przegrywała z pierwotnym, pogańskim mrokiem. Gałęzie pękały z trzaskiem pod jej stopami i czuła, że gdyby spróbowała poruszyć zziębniętymi palcami stóp, one trzasnęłyby tak samo.

Wreszcie dotarli do auta. Otworzył przed nią drzwi jak wcześniej (ale już bez ukłonu) i sam wepchnął się za nią na tylne siedzenie. Pod maską zaszczekał silnik. Przednie lampy błysnęły i zgasły, zdjęcie świata: szron na krawężnikach i długie cienie drzew z gałęziami wyciągniętymi jak ręce lunatyka. Kabina powoli wypełniała się ciepłem, które kłuło ją w twarz i roztapiało myśli w bezkształtną, senną papkę. Zdjęła z siebie buty i usiadła po turecku. On rozpiął kurtkę i rzucił na przednie siedzenie. Zarzuciła mu dłonie na ramiona i zaplotła palce za szyją, nad jej głową zgasła lampka, do zaparowanych szyb przylgnęła noc. Pocałował ją, przysunął bliżej, włożył lodowatą dłoń pod bluzkę i nie czując oporu, (jedynie drżenie jej ciała), przesunął ją po brzuchu i położył na piersi. Wiesz do kogo należało to auto? – zapytał. Blanka była zbyt zajęta szukaniem suwaków i guzików w ciemnościach, by odpowiedzieć. Wreszcie znalazła pasek i wyplątała go ze szlufki, patrząc przez szybę na zawieszone do góry nogami światła kominów i oddychając coraz szybciej, czując kolejne mokre pocałunki spadające na jej szyję, znów myśląc o końcu, którego trzeba było się kurczowo złapać. To fura Sierpińskiego. Kazałem ją wyklepać i teraz jest moja – powiedział. Blanka podniosła głowę. Zamknął jej usta pocałunkiem. Ona wcisnęła dłoń głębiej w jego spodnie, natrafiła na coś twardego i sztywnego. Objęła to palcami i przyciągnęła do siebie. Nie zrób sobie krzywdy – szepnął jej do ucha przewracając ją na siedzenie. Padła na plecy, uderzyła stopą w lampkę na suficie. Do kabiny wróciło światło. Blanka uświadomiła sobie, że trzyma w ręku broń. Poczuła jej ciężar i chłód stali, jakby po raz pierwszy w życiu wzięła do ręki prawdziwy przedmiot. Bo to była prawda. Czysta, żywa i gotowa, by zabijać. Husky spojrzał w dół, lufa

celowała prosto w jego przyrodzenie.

Wyskoczyła z auta na boso, stopy spadły na zmrożone źdźbła jak na poduszkę pełną igieł. Wróciła po płaszcz, buty, torebkę, na końcu chustkę za każdym razem wściekle trzaskając drzwiami. Krzyczała tak, jak zwykle krzyczą kobiety wytrącone z równowagi, których języki przewrotnie nabierają wyjątkowego jadu i precyzji. Gdyby słowa były równie skuteczne jak pociski leżałby tam teraz na tylnym siedzeniu limuzyny z nieobecnym wzrokiem wycelowanym w sufit i pajęczynami utkanymi na szybach, po których spływałaby stygnąca krew. Skurwysyn w brzuch, gnój między oczy, strata czasu prosto w serce. Co ja sobie myślałam w nieżywy łeb, tak dla pewności. Koniec, którego wypatrywała właśnie nastąpił. Trzasnęła ostatni raz i nie odwróciła się nawet gdy ją wołał. Obcasy stukały w bruk miarowo, jak klawisze maszyny do pisania wypluwającej ostatnie zdanie gównianej opowieści.

Husky oparł się o auto, włożył papierosa w usta, odpalił go i przyglądał długo jak zmierzała w kierunku świateł miasta na przemian goniąc i ciągnąc za sobą własny cień. Wreszcie sięgnął za pas i uniósł broń. Wypuścił powietrze, przymknął oko, do którego wpadł dym, lufa stanęła nieruchomo w jego dłoni. Jeden strzał, gdzieś obok, iskra odbita od chodnika. Chciał zobaczyć jak upada, jak zrywa się do biegu, albo zatrzymuje i wrzeszczy, chciał jeszcze raz usłyszeć jej zdarty do czerwoności piękny, wściekły głos. Chciał żeby krzyczała bez oporów, jak wtedy, gdy ją pieprzył. Żeby jeszcze raz przypomniała mu, że on istnieje naprawdę.

***

Sprawię, że staniesz się nieśmiertelny. Jesteś gotów? Magnus zaciąga się cygarem, trzyma dym długo w sobie, cały jest z dymu i powietrza, ulatnia się szybko ze swojej formy. Zimowe słońce wstaje gdzieś w oddali za jego plecami. Światło zadomowia się w koronach szklanych drzew i płynie przez konary. Niebo nad głową od dawna płonie. On stoi nieruchomo w lesie wyciętym ze szkła, wyjętym z głowy i wsadzonym siłą w tę rzeczywistość, to jego kościół, a on jest

kapłanem, który nie słyszy innego głosu poza swoim. Zaraz zacznie się msza. Sprawię, że staniesz się nieśmiertelny. Jesteś gotów? – pyta Igora. Zaprowadzę cię do światła. Chłopak otwiera oko, budzi się przywiązany do krzesła ogrodowego, po środku pola, wśród szklanych drzew. Krople benzyny ściekają z trzęsącego się podbródka. Dygocze z zimna i strachu, srebrna taśma zakleja szczelnie usta, zatrzymuje wzbierającą panikę w środku, jak tama. Próbuje się wyrwać, ale ledwie może poruszyć barkami. Nie czuje odmrożonych dłoni i stóp, jedynie słodki, gryzący zapach benzyny wlewający się haustami w jego płuca. Magnus sprawdza kamerę, szerokokątny obiektyw ustawiony tuż przy ziemi dynamicznie kadruje tę scenę, filtr polaryzacyjny sprawia, że wszystkie detale są doskonale widoczne. Las ze szkła wypełnia się dniem, ciepłe światło spływa po gałęziach jak miód. Po środku czarne kontury dwóch postaci – jedna z nich wciąż wierzy, że da się zawrócić, czeka na puentę, ukrytą kamerę, policyjny furgon pędzący przez pola i deus ex machinę wymachującą bronią z uchylonego okna, nie dopuszcza do siebie myśli, że zostawi tak wiele tak szybko tak bezsensownie, druga stoi nieruchomo i patrzy w dół jak przed skokiem w przepaść. Pomiędzy nimi przeskakuje iskra. Cygaro uderza Igora w pierś, opary benzyny stają w płomieniach. Chłopak szamocze się, próbując wyplątać z ognia, ale ten chwyta go na raz ze wszystkich stron, gryzie wściekle i wdziera się do środka, odrywa warstwę po warstwie i wywraca ciało na lewą stronę. Cały pali się jak pochodnia, z czubka głowy ulatnia się dym. Kurzy ci się z głowy – mówiła mu mama gdy kłamał. Często kłamał. To jego ostatnia myśl, później świadomość i ból gasną, zostaje tylko płomień pożerający resztki. Postać zastyga nieruchomo i czernieje, nogi plastikowego krzesła wyginają się od ciężaru i ciepła. Pada jak kukła na twardą ziemię, popieleje i topi się w bezkształtną masę. Czarny słup dymu wznosi się wysoko ponad drzewa. Obojętne słońce wędruje ponad horyzont. Kiedyś spuchnie i połknie Ziemię. Magnus liczy, że póki to się nie stanie, stary, pęknięty świat będzie pamiętał. Ostatni raz przygląda się swojemu dziełu, pogodzony i dumny. Wreszcie zawraca w kierunku domu umazanego po dach farbą. Znika w drzwiach. Na parterze zapala się światło. Firanki podskakują jakby zerwał się

huragan, mimo, że okna pozostają zamknięte. Ogień wchodzi po schodach i zajmuje piętro. Szyby pękają z gorąca. Potężna eksplozja zalewa kadr ślepą bielą, która na moment gasi słońce. Dom znika, deski wirują w powietrzu. Czarny śnieg sypie z nieba i powoli opada na las.

Godzinę później w kadrze pojawia się ruch. Przez szklane drzewa przemykają zniekształcone sylwetki. Trójka policjantów zbliża się od strony spalonego domu, maszerują przygarbieni, z głowami wciśniętymi między ramiona i wycelowaną przed siebie bronią. Jeden z nich klęka przy kupce popiołu, drugi chwyta za kamerę przerywając transmisję na żywo śledzoną przez pięć osób. Co to kurwa był jakiś performens? – docieka użytkownik vastaa_49. Nie, to morderstwo połączone z samobójstwem – niebawem donoszą media. YouTube usuwa nagranie, które natychmiast wypływa na trzydziestu innych portalach otagowane jako [DRASTYCZNE +18]. Do końca dnia suma wyświetleń przebija cztery miliony.

Lipa spędza noc w rodzinnym domu. W weekendy trzyma się postanowienia, by jak najmniej używać telefonu. Zamiast przewijania zajmuje dłonie katalogowaniem niedoświetlonych zdjęć jakiejś pulchnej i źle umalowanej dziewicy w jednolicie czarnych ubraniach, wkładaniem włosów za ucho, przekładaniem kartek odręcznie zapisanych zeszytów o pofalowanych stronach, dotykaniem poręczy, biurek i klamek, w których fakturze zapisane są wspomnienia językiem, który tylko jej palce są w stanie odczytać. Ale na kiblu nie może sobie odmówić odrobiny dopaminy. Zablokowała wszystkie powiadomienia, więc musi przecież manualnie sprawdzić czy nikt do niej nie napisał w sobotę o dziewiątej rano w ważnej sprawie, to w końcu jej ostatni kontakt z telefonem dzisiaj. Nagłówki krzyczą o porwaniu urzędnika, rytualnym spaleniu i obłąkanym artyście. Zachęcają do kliknięcia płomiennymi zdjęciami i nieustępliwą majuskułą. Jej nie interesują takie gówna, w rodzinnym domu chce się wyciszyć i uciec od syfu tego świata, jest ponad owczym pędem udostępnień, tu nie ma nad nią władzy żadne FOMO. Wychodzi z mamą na spacer i oddycha znajomym, wiejskim powietrzem.

Rozmawiają o tacie i o nadchodzących świętach, które będą inne, dzielą między siebie obowiązki, a ona przez cały ten czas nie może pozbyć się wrażenia, że matula przy użyciu menu i proporcji składników ciast próbuje wywróżyć czy Lipa przyjedzie w tym roku sama czy może przyciągnie ze sobą jakiegoś towarzysza. Odwiedzają dawno zamknięte przedszkole, w którym w klasach wyrosły drzewa, przechadzają się parkiem wokół jeziora, wchodzą na pustą scenę plenerowego teatru, gdzie Lipa recytuje pierwsze cztery zwrotki wiersza, którym wygrała dekadę temu lokalny konkurs poetycki. Nazywał się „Ciepłe maszyny" i opowiadał o automatyzacji uczuć, choć według interpretacji jej przyjaciółki Karoliny przez wersy przemawiała nieuświadomiona chęć zakupu wibratora.

Wracają do domu. Telefon pali ją w kieszeni więc wyciąga go, bezwiednie odblokowuje, sprawdza godzinę, która jest niemożliwym do zapamiętania rzędem przypadkowych cyfr, a następnie odkłada na szafkę w przedpokoju. Matka odruchowo włącza telewizor. W momencie gdy w głowie dziewczyny krystalizuje się łącząca pokolenia analogia rytualnego gapienia się na ekrany różnej maści, widok zdeformowanych zwłok człowieka, którego tożsamości wciąż nie potwierdzono i jego samochodu, który Lipa doskonale rozpoznaje, usadza ją ciężko na kanapie i trzyma tam w stanie przeciążenia do końca wydania wiadomości. Mama pyta trzy razy co zrobić na kolację. Lipa nie odpowiada, tylko zrywa się z kanapy, przez chwilę błądzi po mieszkaniu, sprawdza kieszenie, otwiera brzęczące szuflady ze sztućcami, wreszcie znajduje telefon, dzwoni do mnie i o wszystkim mi opowiada.

To uczucie ma konkretny kolor. Jest szare i różowe. Spod spękanej powierzchni wyłania się pulsująca, żywa tkanka. Na zewnątrz temperatura spada poniżej zera. Jadę przez pół nocy, mijam miasta, które znam tylko z nazwy i całą przestrzeń pomiędzy nimi, która obchodzi wyłącznie ich mieszkańców i GUS. Psy tam dupami szczekają. Psy chujami wodę piją. Dlaczego to zawsze muszą być psy? Ludzie są jak psy, wąchają się po dupach i wiecznie ustalają hierarchię. Dystrakcja za dystrakcją. Pomóż mi ugasić pożar – piszę do

Null. Auto woła paliwa. Prdl sie, już dla mne nie pracujesz – jej słowa są pijane, tylko w ten sposób może bełkotać, więc nie folguje sobie. Ile? – pytam wklepując litery jedną ręką, lecąc lewym pasem po zamarzającej drodze. Światła rozmywają się w bocznych szybach, muzyka zgasła, słychać tylko mokry szum toczących się kół. Ne potrzebje hajsu – odpowiada Null. To co ty tam właściwie robisz?

Zatrzymuję się na stacji, zamawiam kawę i dzwonię do Lipy. Nie odbiera. Uświadamiam sobie, że jest trzecia w nocy. Normalni ludzie o tej porze nie odbierają. Ani nie dzwonią. Przez chwilę łudziłem się, że to telefon w służbowej sprawie. Może Nowak kazał jej przywołać mnie do porządku, ustawił spotkanie na dziewiątą rano w poniedziałek i chciał dopilnować że przybędę tam w całej zaspanej chwale tylko po to, by spędzić pierwsze czterdzieści minut słuchając o jego nowym stole zrobionym z dwustuletniego drewna wyłowionego z dna szwajcarskiego jeziora. Ale gdy zaczęła jęczeć, wciągać gluty i powtarzać Igor, Igor, wiedziałem, że popełniłem błąd. Nie zauważyłem tego, choć powinienem, bo stało tuż przede mną na widoku czytelne i dobrze oświetlone każdego popołudnia w pracowni i każdego wieczoru na werandzie, czaiło się w słowach wydobywanych z gardła przepalonego i rzężącego jak rura wydechowa. Zabierz człowiekowi cel i czas, a zobaczysz, że jeszcze za życia wyrzeknie się człowieczeństwa.

Wsiadam do auta. Telefon wibruje. Za barzo sie rozlało – pisze Null. Nic juz nie dka sie ztym zrobic. Po co tam jesteś? – ponawiam moje pytanie. Dla hajsu – odpowiada. Odwiedzę cię, to wszystko mi opowiesz – odgrażam się. Rzucam telefon na siedzenie, wciskam gaz, włączam muzykę. W głośnikach rozlega się dokładnie ten sam utwór, który rano puściła nam Null. Nie wierzę w przypadki. Wszystko jest zaprojektowane. Nee spotkamy sie bo sprawie ze bedziesz bardzo zajety – odpowiada po chwili i dodaje emotikonkę ognia. Nie zadzieraj ze mną. – odpisuję bez ozdobników i strzelam w nią wściekłą, czarną kropką. Ty zeemna tez.

Różowy i szary. Mięso pod warstwą popiołu. Powinienem to zobaczyć i powstrzymać. Zwykle nie umykają mi takie rzeczy. Widzę wszystko,

słyszę słowa zanim zostaną wypowiedziane. Rzeczywistość jest konstrukcją, która działa wedle ściśle ustalonego kodu. Cała muzyka to dwanaście dźwięków. Cały człowiek to czterdzieści sześć chromosomów. Wszystko jest żywe i w ciągłym ruchu, wszechświat pulsuje przybierając przypadkowe formy, próbując nowych rzeczy, a my jesteśmy jego świadomością. Wszyscy jesteśmy zbudowani z tego, co wyrzygały z siebie gwiazdy, które zgasły. Wszystko jest istotne i kompletnie pozbawione znaczenia.

Ekran telefonu błyska. Mie dzynami spoko? – pisze Null gdy mijam uśpioną Warszawę. Spoko – odpowiadam i pytam o Sierpińskiego. Chcę wiedzieć jak przyjął moją nagłą rezygnację. Znając go wściekał się po cichu i z godnością do trzeciej kolejki włącznie. Pewnie kazał jej poszukać na mnie brudu. Kazal mi poszukac na ciebie brudu, ake nicnie znalazlam – odpisuje po chwili. Nie istnieesz. I tak ma zostać – wysyłam ostatnią wiadomość. Null jest sprytniejsza od tego bałwana. Nawet jeśli coś wygrzebała, zachowa to dla siebie na czarną godzinę. Takie informacje są na wagę złota, ratują z opresji skuteczniej niż kasa i prawnicy. Pieniądze można stracić i zarobić. Czynów nie da się nigdy cofnąć.

Ostatnie sto kilometrów przejeżdżam w bezmyślnej ciszy. Ale przy bramie wszystko do mnie wraca. Każda wizyta i nasze rozmowy. Powinienem to przewidzieć. Dlaczego tak uparcie ignorowałem sygnały? Wysiadam na zewnątrz i idę powoli przez rozjeżdżone podwórze. W miejscu domu nagi, czarny szkielet jak ogołocone z mięsa żebra zwierzęcia, które przewróciło się na plecy i zdechło. W powietrzu wciąż unosi się wyczuwalny zapach spalenizny. Śmierć przyszła tu zanim przyjechały walce. Dokładnie tak, jak tego chciał Magnus. Prędzej umrę niż stąd odejdę – powiedział mi dwa lata temu, gdy pierwszy raz zapukałem do jego drzwi wymachując propozycją wywłaszczenia. Mogłem mu uwierzyć, gdy zarzekał się, że jeszcze zdąży stworzyć dzieło, którego nie zeżre rak ani czas.

- Dziewięć na dziesięć! – krzyczę i biję brawo do pustych pól.

Miliony wyświetleń i prasa na całym świecie. Setki interpretacji

rozrzucanych jak kości po całym spektrum od sztuki performatywnej, przez protest polityczny po ekologiczne pierdolenie. Jesteś bohaterem, jesteś mordercą, jesteś święty, stałeś się częścią popkultury, wypaliłeś swoje inicjały na garbie tego świata, będą produkować koszulki z twoją podobizną i rozdawać je dzieciakom na protestach.

Tylko ciebie opuściło szczęście – mówię do ciemnej plamy, która była kiedyś Igorem. Dotykam ziemi skopanej saperkami. Jest zimna, jest po prostu gliną zmieszaną z plastikiem, krwią i gównem. Wokoło walają się porwane policyjne taśmy. Unoszę głowę i widzę jak księżyc wypełnia korony szklanych drzew światłem. Wieje, ale ich konary nie poruszają się nawet o milimetr, tylko błyszczą na tle czarnego nieba. Sztuka jest imitacją. Ofiara statystyką. Ciekawe medium wybrałeś żeby opowiedzieć tę historię głupi starcze.

Zawracam w stronę domu, wspinam się po schodach, mijam werandę i przekraczam niewidzialny próg. Osmolona podłoga skrzypi jak dawniej, ale charakterystyczna woń terpentyny i starości ulotniła się, podobnie jak schody, ściany i dach. Wśród zgliszczy dostrzegam znajome kształty, fragment poręczy, grube zawiasy drzwi, widelec, żeliwną ramę fortepianu, do której przylgnęły stopione struny. Dom to teraz wysypisko pomieszanych wspomnień. Podważam czubkiem buta długą deskę i odwalam na bok odsłaniając więcej śmieci. Ogień przerwał robotę w połowie. Gdyby to ode mnie zależało spaliłbym nawet popioły. Wymazał cię do nicości. Kopię we fragment ściany, a ta przewraca się z trzaskiem wypełniając powietrze czarnym pyłem, jakby rój owadów nagle zerwał się z trupa. Ciskam karniszem w miejsce, w którym niegdyś znajdowało się okno wyglądające na ogród i praktycznie słyszę brzęk tłuczonego szkła. Moja stopa uderza w coś ciężkiego, but klinuje się pomiędzy deskami. Sięgam ręką w ciemność i wydobywam z niej osmoloną butelkę pełną rudego płynu. Etykieta spłonęła, ale wiem dokładnie co to za trunek. Sam kazałem go tu przywieźć. Szukam godnego celu, o który ją roztrzaskam. Wystająca z podłogi metalowa rura wydaje się wystarczająco solidna ale chwilę później namierzam żeliwny kaloryfer. Unoszę butelkę nad głowę i natychmiast opuszczam, jakby moje ciało nagle opadło z sił. To

miejsce widziało już wystarczająco wiele zbrodni.

Teraz leżę plecami na chodniku w kałuży, która wypełnia się krwią. Trzymam się za brzuch, każdy oddech sprawia ból, ciepło wylewa się ze mnie falami, dłonie próbują wcisnąć je przez dziurę z powrotem do środka. Wiedźma jest tuż obok, kuca przy mnie i obejmuje moją twarz palcami o czarnych paznokciach przypominających popękane skrzydła żuków. Z długich włosów kapią krople deszczu i spadają na moje czoło ciężko, biją twardo jak kamienie, woda zbiera się w oczodołach, tonę. Ona otwiera usta, ale nie słyszę słów. Czuję tylko zapach pieprzu, miodu i dymu. Tak pachną jej pocałunki, tak pachnie śmierć. Próbuję się podnieść, ale dłoń przyciska mnie mocno do ziemi. Widzę jak kręci głową i znów coś mówi. Jej twarz jest tysiąc metrów nad powierzchnią, ukryta w cieniu, pozbawiona wyrazu. To twarz, która może należeć do kogokolwiek. Może nawet do mnie. Wyobrażam sobie tę scenę jej oczami, jak żałośnie muszę teraz wyglądać gdy wykrwawiam się na brudnej ulicy. Proszę żeby odsłoniła mi niebo, to ostatnie, co chcę zobaczyć w tym życiu. Beznadziejne, wiem. Ona rozkłada swoje czarne skrzydła i wzbija się wysoko. Zatacza kręgi nad dachami kamienic próbując rozpędzić chmury, czekając na mój koniec. To sen czy wspomnienie?

Przez ciemność biegnie do mnie dźwięk, wbija się jak hak w skroń i wyciąga mnie spod sterty przemoczonych, zbutwiałych obrazów regularnymi szarpnięciami, wietrzy zaduch w głowie, podważa powieki i wpycha pod spód niewyraźne kształty. Linie spotykają się w przelotnej harmonii nakreślając kontury kobiety w szklanej koronie. Znów jestem w czyiś ramionach i na czyjejś łasce. Próbuję się podnieść, a ona chwyta moją głowę w dłonie delikatnie jakby była stłuczonym obiektem, który w każdej chwili może się rozpaść w pył i na zawsze stracić swój kształt.

- Lipa?

- Boże, czy ty już do reszty postradałeś rozum?

- Lipa? Co ty tu robisz?

- Co ja tu robię? Co JA tu robię?!

Podnoszę się z ziemi, próbuję wstać, ale sił wystarcza mi jedynie, by oprzeć się o szklane drzewo. Pusta butelka przymarzła mi do dłoni. Nie czuję palców, nie czuję nic.

- Dzwonię po karetkę.

- Nie. Pomóż mi dojść do samochodu, tam się rozgrzeję.

Chwyta mnie za ramię i szarpie do góry z całych sił. Próbuję zmusić moje ciało do współpracy ale to daremne, zupełnie jakbym chciał unieść przedmiot wyłącznie siłą woli. Moje nogi leżą wyciągnięte nieruchomo. Wszystko poza ramionami, powiekami, ustami i gardłem, do którego wciąż wpadają kłujące oddechy nie należy już do mnie.

- Jezu, ty nie masz czucia.

- Mam też drgawki i jestem przytomny. Przyprowadź samochód. Klucze są w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Lipa nachyla się nade mną jak matka, która chce przytulić swoje dziecko i nakłamać, że wszystko będzie dobrze, wiatr rozrzuca jej włosy po mojej twarzy, czuję zapach goździków i ciepłą dłoń opierające się o mnie. Wyciąga pilota z kieszeni i biegnie sprintem w kierunku auta. Dopiero wtedy zauważam, że pola są pokryte śniegiem. Z szarego nieba wciąż spadają pojedyncze płatki. Na horyzoncie wstaje zimowy dzień. Dobrze. Niech nas wszystkich zasypie. Nakryje cały ten syf białą kartką, której nikt nie zbruka ani jednym niepotrzebnym słowem, niech świat zgaśnie w ciszy. To jest moje marzenie. Zdmuchnąłbym świeczkę, gdybym jakąś miał. Dziś są w końcu moje urodziny.

Lipa odpala silnik i rusza przez otwartą bramę. BMW podskakuje na nierównościach i przedziera się do mnie po śladach, które wyryły radiowozy. Skupiam całą siłę i prostuję nogi zapierając się plecami o drzewo. Ślizgam się po jego powierzchni, staję w pionie, a następnie przewracam się do przodu i wpadam przez otwarte drzwi prosto do kabiny podstawionego auta. Silnik ledwie grzeje, ale powietrze

wydobywające się z nawiewów sprawia, że moja skóra piecze niemiłosiernie i ciągnie, sprawia wrażenie starej tapety, która zaraz odklei się od ściany. Nie jestem w stanie powstrzymać drgawek. Z trudem ściągam z siebie płaszcz i buty. Lipa wyciąga z plecaka butelkę wody i tuli ją w dłoniach patrząc na mnie pytająco.

- Połóż ją na silniku, to się szybciej nagrzeje. Muszę napić się czegoś ciepłego.

Wyjaśniam jej gdzie ma szukać uchwytu żeby odblokować maskę z zaczepów. Wychodzi na zewnątrz i po chwili wraca z dłońmi umazanymi smarem.

- Co ty tu robisz? – pytam ponownie.

- Dzwoniłeś do mnie sześć razy w nocy, nie pamiętasz?

- Nie. Co mówiłem?

- Powtarzałeś, że powinieneś to przewidzieć i powstrzymać. Że wszystko jest zaprojektowane i tego typu brednie. Brzmiałeś jak naćpany. Próbowałam się dowiedzieć gdzie jesteś, ale nie chciałeś powiedzieć. Później wysłałeś mi link z lokalizacją i tak cię znalazłam. Byłam akurat na weekend w Siedlcach, to niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd.

- Dziękuję.

- Wiesz, co? Pierdol się, Artur. Musiałam ukraść matce kluczyki od auta. Ja nawet nie mam prawka. To znaczy byłam na kursie, ale nie zdałam sześć razy.

- Przykro mi.

- Zamarzłbyś gdybym nie przyjechała. Za godzinę byłbyś trupem. Dlaczego moje życie nie może być normalne? Ja chcę tylko zaciążyć z kimś, wziąć kredyt hipoteczny, pić codziennie i odliczać dni do weekendu. Czy to zbyt wiele?

- Jesteś stworzona do lepszych rzeczy. Zawsze ci to powtarzałem.

- Na przykład do ściągania cię nieprzytomnego ze środka pola. Co się stało z Igorem?

- Wciąż nie żyje. Chyba, że coś się zmieniło.

- Bardzo, kurwa, śmieszne. Pytam co tu się stało? Dlaczego?

- Wiem tyle co ty.

- Znaliście się z tym psychopatą. Często go odwiedzałeś.

- Jak się okazało, nie znaliśmy się wcale.

- Lepiej ci trochę? Mam iść po tę wodę?

- Tak, poproszę.

Lipa otwiera drzwi wpuszczając do środka falę brutalnego chłodu. Ja odzyskuję władzę nad moim ciałem. Wciąż dygoczę, ale mogę poruszać palcami stóp, czuję jak bardzo piecze mnie skóra na uszach. Zupełnie jakby ktoś mnie obił ze wszystkich stron, a następnie polał głowę wrzątkiem. Łyk gorącej wody sprawia, że chce mi się wymiotować, ale piję dalej rozmrażając wnętrzności. Przetrawiona whisky podchodzi do gardła. Drgawki powoli ustają. Oddech spowalnia, kabina wypełnia się ciepłem. Śnieg sypie coraz mocniej i przykrywa szyby. Proszę ją, by włączyła jakąś muzykę. Kręci mi się w głowie. Muszę przez chwilę nie myśleć o tym jak bardzo wszystko mnie boli. Ona uruchamia radio, które donosi o rytualnym spaleniu urzędnika Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad. Później leci reklama Coca-Coli. Coraz bliżej święta. Patrzę na nią błagalnie. Przełącza kanały i trafia na jakiś wymuskany, brokatowy pop. Dziewczyna piszczy, że nie daje żadnemu drugiej szansy. Nie dowiadujemy się czy odnajduje wreszcie swój ideał. Kabina auta wypełnia się drżeniem dzwonka, nieznośny dźwięk rykoszetuje od szyb i sufitu. Odbieram na głośnomówiącym.

- Nie śpisz? – pyta Nowak. – Mam, kurwa, nadzieję że nie śpisz, tak samo jak ja od wczoraj.

- Posprzątamy to.

- Wolniak już się zapowiedział z wizytą. Przyjedzie mnie tu ruchać w poniedziałek, a jak mu się nie spodoba, wróci z prokuraturą i będzie urabiał temat tak długo, aż udowodni że to przez nasze zaniedbanie spalili mu siostrzeńca. Co ja mam mu teraz powiedzieć? Czekam na propozycje.

- Że sprawa póki co nie jest polityczna i dla jego wizerunku najlepiej by było żeby nikt go z nią nie łączył.

- Przecież on już nie ma wizerunku. Teraz będzie się łapał wszystkiego, żeby odwrócić uwagę od tej nieszczęsnej debaty. Może będzie chciał pozować na obrońcę praw wywłaszczonych, wykryć jakąś aferę przy okazji albo chuj go tam wie. Poza tym rodzina zmarłego na pewno na niego naciska.

- Nie może cię pociągać do odpowiedzialności, bo jesteście z jednej drużyny.

- Na mieście chodzą słuchy, że partia się od niego niedługo odetnie. Prawdopodobnie będą chcieli wystawić nowego kandydata.

- Przecież nie mają nikogo.

- To sobie znajdą nowy ryj. Wolniak też był znikąd, a dobił do trzydziestu procent poparcia. Nie jest niezastąpiony.

- Przypomnij mu o tym. Zasugeruj delikatnie, że jak będzie fikał, to go wymienią. Albo najlepiej pozwól mi z nim porozmawiać.

- Przecież ja cię nawet nie mam na liście płac. Jak mi tu wjedzie kontrola, to będę musiał wytłumaczyć dlaczego powierzyłem negocjacje z psychopatą człowiekowi, który tu oficjalnie nie pracuje. A jak już dojadą mnie, to zabiorą się za ciebie.

- Zawsze możemy zalegalizować nasz związek. Dokumenty w urzędach lubią znikać.

- To nie jest czas ani miejsce. Teraz najlepiej będzie jak ty znikniesz. Zrób sobie wolne dopóki się nie uspokoi. Za trzy tygodnie wrócimy do tematu.

- Dobra. Jak chcesz.

- Ale bądź pod telefonem. Będę miał do ciebie sprawę po spotkaniu z Wolniakiem.

- Jak już się wyszczeka przyjmij postawę dobrego wujka. Powiedz, że byłeś sam w podobnej sytuacji i rozumiesz jak to jest. Doradź mu żeby grał na szczerości jak chce się jeszcze liczyć w wyścigu. Niech zawłaszczy swój kryzys i buduje świadomość osoby, która zawsze mówi to, co myśli. Ludzie wolą najgorszą prawdę i tak dalej.

- Tak im się tylko, kurwa, wydaje. Ludzie chcą prawdy dopóki jej nie usłyszą.

- Powodzenia w poniedziałek.

- Co za jebany burdel.

Nowak rozłącza się. W radio znów blok reklamowy. Lektor namawia żeby zdecydowanie uderzyć w źródło bólu swojego gardła. Lipa zmienia kanał na rockową klasykę. Śnieg zasypał już dolną połowę szyby, nad polami szaleje zamieć. Gitara Johna Frusciante wypełnia krótką chwilę pomiędzy słowami kalifornijskim słońcem.

- Więc tak rozmawiają dorośli? – pyta.

- Byłbym wdzięczny gdybyś zapomniała o wszystkim, co tu dziś usłyszałaś. I zobaczyłaś.

- Spokojnie, nie potrzebuję aż tylu problemów. Lepiej się czujesz?

- Tak, dzięki. Nic mi nie będzie.

- Ja padam z nóg. Pora wracać do domu.

- Lipa?

- No?

- Nie zapomnę ci tego.

- Mam nadzieję.

Wysiadamy na zewnątrz. Wyjmuję szczotkę z bagażnika i pomagam jej odśnieżyć kradzionego opla. Ona opowiada mi o wszystkich wydarzeniach poprzedniego dnia i nocy. Mówi, że czuła się jak zbuntowana nastolatka grzebiąc w torebce mamy i wymykając się z domu na boso o piątej nad ranem. Przez całą drogę myślała, że wyląduje w rowie. To auto ma fatalne światła i jeszcze gorsze hamulce, a skrzynia brzmi jak zarzynane zwierzę. Po świętach wróci na kurs i zrobi wreszcie to prawko – to jej wczesne postanowienie noworoczne. Na moje postanowienia też ma kilka pomysłów. Płatek śniegu ląduje na jej zadartym nosie i topnieje. Lipa podnosi wzrok i patrzy na mnie jakby czekała aż powiem coś, zamknę tę scenę. Na świecie jest cicho i biało. Robię dwa skrzypiące kroki po świeżym śniegu i obejmuję ją. Ciepło, włosy, goździki. Nikt nic nie mówi, nikt się nie rusza, na chwilę stajemy się posągiem, szklanym drzewem, przez które przenika światło.

- Uważaj na siebie.

- Ty też. I jedź już lepiej zanim znów cię zasypie.

- Zobaczymy się po twoim urlopie.

- Myślę, że szybko z niego nie wrócę.

- Masz u mnie dług. Więc lepiej wróć.

Kiwam głową. Ona uśmiecha się i wsiada do samochodu. Wrzuca wsteczny i wyjeżdża na drogę. Ostatni raz macha do mnie zza zaparowanej szyby i rusza z powrotem do domu. Patrzę na zielone auto telepiące się w koleinach. Gdy znika za zakrętem otwieram drzwi i chowam się w rozgrzanej kabinie. Przykręcam temperaturę, zrzucam wycieraczkami świeży śnieg, który zdążył zamienić się w ciężką i podmokłą breję. Szkielet domu zniknął pod puchem, szklane drzewa to ledwie naszkicowane kontury pomysłu na krawędzi snu. Wszystko, co tu się stało nie ma już znaczenia. Przede mną pustka, przez którą mogę wyznaczyć nową drogę. Włączam silnik i odjeżdżam stąd na zawsze.

Dwadzieścia godzin później podchodzę do lądowania w

Longyearbyen. Białe szczyty wyłaniają się z czarnej wody. W dolinie nieopodal kilka świetlistych linii zdradza miejsce, w którym życie przylgnęło do arktycznej skały. To ostatni przystanek przed biegunem północnym, dalej samoloty pasażerskie nie latają. Słońce wstanie dopiero w lutym. Wiatr przegania śnieżne igły po stokach tej nicości. Statki zamarzły w portach. Ulice, domy i głowy wypełnia wszechobecna, pobożna cisza. Człowiek jest tu bardzo mały, praktycznie nie istnieje. To idealne miejsce, by zapomnieć. By wymazać czas.

***

Wiatr wiał z północy. Był zimny i słony. Sierpiński długo patrzył na taniec fal, szukał (pogarszającym się z każdą zimą) wzrokiem miejsca, z którego startowały ku niemu spienione grzbiety. W dzieciństwie lubił gonić za falą po grząskim piasku i uciekać gdy jej następczyni wracała z odwetem. Teraz miał na stopach skórzane Bontoni w kolorze koniaku i trochę szkoda mu było utopić cały ten włoski kunszt w Bałtyku. Zaciągnął szal na usta i zmarszczył czoło po raz ostatni. Wydawało mu się, że daleko na horyzoncie dostrzegł statek. Zastanawiał się jakie to uczucie być zdanym na łaskę stalowego morza. Na samą myśl o tych wszystkich śmiałkach przepływających kajakiem świat dookoła, szaleńcach rzucających się w sztorm drewnianymi łupinami dreszcz spływał mu po plecach. Przerażała go wizja utonięcia. Czasem budził się w środku nocy z zaciśniętym gardłem i patrzył rozwartymi oczyma w otaczającą go ciemność szukając światła znad powierzchni, ledwie łapiąc oddech. W tych chwilach był najbliżej śmierci – tak myślał.

Nad ranem padało. Na piasku wciąż widać było wyżłobione ślady kropel. On stąpał po mokrej skorupie wygrzebując spod niej sypkie złoto. Sierpiński rozejrzał się dookoła, podniósł obtoczony kamień i rzucił go falom na pożarcie. Zszedł z plaży, po czym ruszył przez sosnowy las w stronę posiadłości. Słońce przebijało się spomiędzy szarych chmur. Krople na gałęziach błyszczały. Wciąż kochał to miejsce, wciąż uważał je za swój dom, ostatni przystanek, do którego zjedzie, by przeczekać życie, gdy już zabraknie woli walki. Gdy już nie

będzie musiał nikomu nic udowadniać.

Otworzył furtkę i przeszedł przez ogród snując plany, stawiając w głowie budowle i burząc je zaledwie ruchem powieki. Z jakiegoś powodu pomyślał o dzieciach. Małych kulkach żywej energii, które mogłyby zamieszkiwać tę przestrzeń, krzycząc i pocąc się w sierpniowym słońcu. Życie kilkukrotnie dało mu szanse, ale wybrał co innego i teraz nie miał zamiaru zawracać (wiedział, że zabrnął zbyt daleko, gdyby zawrócił z obranej drogi i tak nie zdążyłby przed zmrokiem). Wszedł do cichego domu. Na zegarze w przedpokoju wybiła dziesiąta. Lubił jak mu się życie tak synchronizowało, lubił porządek, zamknięte rozdziały i regularne rytmy. Zrzucił płaszcz, włączył ekspres i wybrał americano. Pokroił pomidory i mozzarellę, polał je oliwą i posypał liśćmi bazylii, wyrwał kęs z chrupiącej bagietki, nalał sobie świeżo wyciśniętego soku z grejpfrutów do szklanki i usiadł do skromnego śniadania.

Gdy skończył sięgnął po telefon dokładnie w momencie, w którym ten zaczął wibrować. Kolejne uderzenie w punkt – pomyślał uznając to za dobry omen. Blanka dzwoniła z dobrą nowiną: właśnie została wypisana ze szpitala i może wracać do obowiązków. Rana postrzałowa nie była groźna i goiła się dobrze. Sierpiński zaoferował pomoc, transport i opiekę. Odparła, że dziękuje za troskę, ale ma wszystko, czego trzeba. Chciał jej opowiedzieć o nowym planie, ale ostatecznie ugryzł się w język, rozłączył i wybrał kolejny numer przez cały czas myśląc o bólu przeszywającym ciało rozrywane gorącym pociskiem. Na poniedziałek zaplanował serię artykułów donoszących o tym, że szefowa jego sztabu wyborczego została postrzelona przez niezidentyfikowanego napastnika, na wtorek konferencję prasową mającą poruszać kwestię mowy nienawiści w służbie agitacji politycznej (w jego mniemaniu nagły awans Blanki był wystarczającym zadośćuczynieniem za fakt, że zdecydował się handlować jej historią). W słuchawce odezwał się kobiecy głos.

- Dzień dobry, tu Kazimierz Sierpiński. Dzwonię, by osobiście podziękować, że zdecydowała się pani na współpracę z nami i przede wszystkim za tak szybko podjętą decyzję. Dla nas, polityków czas

płynie nieco inaczej, zwłaszcza gdy zbliżamy się do ostatniej prostej przedwyborczego wyścigu. Nie mogę doczekać się spotkania w cztery oczy i wspólnej pracy nad książką – wyrzucił z siebie jednym tchem, jakby czytał z kartki albo nagrywał się na pocztę głosową. – Dostałem właśnie sygnał, że mój kierowca zbliża się do celu, więc chciałem życzyć pani przyjemnej podróży.

- Dziękuję, panie Kazimierzu. Z tego co widzę auto już jest na miejscu – odpowiedziałam wyglądając przez okno.

Przed domem zaparkowało czarne Maserati. Ze środka wysiadł zmarnowany mężczyzna o pociągłej, niedokładnie ogolonej twarzy i ruszył w kierunku furtki.

- Doskonale. W takim razie do zobaczenia w Juracie.

- Do zobaczenia – odpowiedziałam stając tyłem do okna.

Zimne światło zalewało pusty, posprzątany pokój. Pomieszczenie wyglądało jakby nikt tu od lat nie mieszkał. W korytarzu, przy drzwiach czekała pokaźna torba podróżna. Odbicie w lustrze było czarną plamą, która nagle zaczęła rosnąć.

Część trzecia

## DZIURY PO LUDZIACH

Wystarczyło popchnąć niewłaściwe drzwi. Och, ta historia mogła być przecież zupełnie inna. Tak niewiele zabrakło, a nigdy nie otworzylibyśmy tego rozdziału. Ale w domu tak ogromnym i nieznajomym łatwo zabłądzić. Gdy przekroczyłam próg stałam już po kolana w jego koszmarze. Edwin uniósł wzrok znad rozpostartych dokumentów, otworzył szeroko usta i syknął jakby się oparzył. Z plecami przypartymi do ściany mógł jedynie zaatakować.

- Sierpińskiego tu nie ma – rzucił sucho i wbił we mnie wściekły wzrok.

Poniżej jego ręce pracowały, by czym prędzej posprzątać bałagan. Wciskał papiery do folderu byle jak nasłuchując kroków w marmurowym korytarzu. Gdy zobaczył, że stoję na boso, prawie się uśmiechnął. Jego zakłopotanie, otwarta szuflada, telefon, którym robił zdjęcia – to wszystko było zbyt oczywiste. Mimo, że auto sfrunęło ze skarpy, on i tak dalej z uporem naciskał na hamulec.

- Sprawdź na plaży. O tej porze zwykle wybiera się na poranny spacer.

Skinęłam i zamknęłam za sobą drzwi, pozostając po ich niewłaściwej stronie. Przez całą drogę do Juraty zamieniliśmy ze sobą może dwadzieścia zdań (pytał głównie o pisanie i czy chcę zrobić postój). Autostradowy standard, oszczędna kurtuazja i znudzone monologi. Ale teraz byliśmy już poza fizjologią i literaturą. Teraz spacerowaliśmy po nerwie rozciągniętym nad przepaścią i wreszcie mogliśmy przeprowadzić naszą pierwszą prawdziwą rozmowę.

- Co to jest? – zapytałam go.

- Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć – odburknął chowając

telefon do kieszeni.

Wrzucił dokumenty do szuflady, przekręcił klucz i odłożył go do szkatułki. Szkatułkę wsunął głęboko pomiędzy książki i załatał dziurę trzema tomami encyklopedii (L,N,M). Ruszył w kierunku drzwi ciągnąc wzrok po podłodze i stanął tuż przede mną.

- Odsuń się – jego polecenie brzmiało jakby mu się odbiło jadem.

- Będziesz musiał mnie zabić – odparłam spokojnie i rzeczowo. – Najlepiej zrób to szybko, bo będę darła się tak, żeby usłyszeli mnie na plaży.

- Porąbało cię? Czego ty chcesz, kobieto? – rzucił i cofnął się w głąb gabinetu.

Był sparaliżowany strachem. Nie znał mnie dobrze, ale wystarczająco, by wiedzieć, że nie żartowałam. Biedny Edwin, gdybym nie pomyliła pokoi, moglibyśmy koegzystować w przyjacielskiej obojętności. Ale gdy życie wrzuca cię do klatki lwa masz tylko dwie opcje: walczyć lub dać się pożreć.

- Chcę żebyś odpowiedział na moje pytanie. Jeszcze nic się nie stało. Jesteśmy tu tylko we dwoje – zapewniłam go.

Skrzywił się, tak jak krzywią się ludzie zniesmaczeni własną nieudolnością i niemocą. Włożył ręce do kieszeni, sapał coraz ciężej malejąc z każdym wydechem. Spojrzał w kierunku ciężkiej statuetki na parapecie. Była w zasięgu jego dłoni. Zauważyłam to i wybuchłam donośnym, szczerym śmiechem, co sprawiło, że przez chwilę faktycznie zaczął rozważać rozłupanie mojej czaszki. Obydwoje doskonale wiedzieliśmy, że nic takiego nigdy tu nie nastąpi.

- Sierpiński poprosił mnie żebym skopiował dla niego— Wydarłam się. Nabrałam powietrza w płuca i wydałam z siebie przeciągły, świdrujący pisk. Edwin dopadł do mnie i przystawił swoją spoconą dłoń do moich ust. Ugryzłam go zostawiając ślad i odepchnęłam z całej siły. Zatoczył się, ale nie upadł.

- Boże… – wyszeptał kręcąc głową z niedowierzaniem, rozmasowując pogryzione palce.

- Nie powinieneś mnie okłamywać – powiedziałam. – Spróbujmy jeszcze raz.

Przez chwilę próbował wyłuskać z ciszy tętent nadbiegającej katastrofy, ale w dusznym powietrzu gabinetu wybrzmiewało jedynie miarowe stukanie wahadła.

- To potwierdzenia przelewów dla jego zespołu doradców – powiedział wreszcie.

- Po co ci one?

- Chciałem go zdyskredytować. – odparł. – To w jaki sposób prowadzi kampanię… Ten człowiek jest kompletnie pozbawiony moralności.

Wzięłam głęboki oddech. Edwin popatrzył na mnie z przerażeniem.

- Chcę to zakończyć. I odzyskać coś, co straciłem. Kogoś – poprawił się. – To wszystko. Nic więcej ci nie powiem.

Pokiwałam głową. Zza okien dobiegło skrzypnięcie furtki i odgłosy kroków na śniegu. Gdy odwrócił wzrok od okna jego stara, pomarszczona twarz przybrała błagalny wyraz przywodzący na myśl głęboko zdeformowane i upośledzone dziecko.

- Niestety nie mogę ci na to pozwolić – powiedziałam wyciągając dłoń. – Przyjechałam tu żeby napisać książkę. A to brzmi jak gówniane zakończenie.

Zrozumiał od razu. Wyjął telefon z kieszeni, odblokował go i przekazał w moje ręce. Otworzyłam galerię i skasowałam wszystkie zdjęcia. Reszta jego prywatnego życia mnie nie obchodziła, póki co.

- Ale to, co powiedziałeś wcześniej ma potencjał. Zobaczysz, wspólnie stworzymy lepszą historię – powiedziałam oddając mu telefon i odsuwając się od drzwi. – Opowiesz mi o wszystkim innym razem.

Otworzył drzwi i ruszył spłoszony długim korytarzem nie oglądając się za siebie ani razu. Słyszałam jego kroki gdy wbiegał po schodach na górę (przeskakując po dwa stopnie) i trzaśnięcie drzwi pokoju, w którym nocował. Wyszłam z gabinetu i ruszyłam powoli w kierunku jadalni, z której dochodziły odgłosy cichej rozmowy.

- Idealny timing, pani Greto – wykrzyknął Sierpiński klaszcząc w zziębnięte dłonie. – Właśnie poprosiłem Barta o przygotowanie śniadania. Na co ma pani ochotę?

*

Gdzieś w okolicach Krośniewic Sierpiński uświadomił sobie po raz kolejny jak brzydkim krajem przyjdzie mu rządzić. Wzdłuż dróg ciągnęły się w nieskończoność szpalery pstrokatych billboardów. Płoty ceglanych chałup uginały się od ogłoszeń hurtowni materiałów budowlanych, sal ślubnych i komisów samochodowych (i jeszcze te hasła: „Tani Armani", „Beton dla najlepszych"). Każda wylotówka w tym kraju była obsrana tym żółto-czarno-czerwonym kałem. W miastach wcale nie było lepiej. Tu lokalne firmy musiały ustąpić potędze sieciówek i dyskontów, które waliły całą mocą czteropiętrowych wizualizacji prestiżu po taniości. Ich czerń była jeszcze bardziej czarna, a żółć jeszcze bardziej oczojebna. Zza reklamy szynki i odkurzacza wychylały się zmodernizowane bloki z wielkiej płyty. Sprane, pastelowe mozaiki, którymi przykryto szarość napawały optymizmem jak makijaż na trupie.

Sierpiński przymknął zmęczone oczy i przypomniał sobie swoją pierwszą podróż do Norwegii. Kolorowe domki ułożone w rzędy i majestatyczną przyrodę niezasłoniętą przez ani jedno ogłoszenie. Wspomniał Japonię, gdzie przez miesiąc oglądał jedynie zagrabione ogródki, wypielęgnowane krzaczki i ascetycznie urządzone mieszkania, w których nocował na twardych łóżkach i wysypiał się jak nigdy. Środowisko wychowuje lub rujnuje człowieka – myślał. To czym się otaczamy, jak i gdzie mieszkamy, jakie obrazy codziennie wypalamy na swoich siatkówkach uwrażliwia nas na piękno, lub znieczula. Dobry design to nie tylko ładne rzeczy, to lepsza jakość

życia i większy porządek w głowie. Czy w budzie skleconej z dykty i blachy falistej ma szansę rozkwitnąć wrażliwość na miarę Zahy Hadid czy antyludzki brutalizm Le Corbusiera? – dywagował. „Ustawa krajobrazowa!" – dopisał do listy postulatów i odłożył iPhone'a na skórzane siedzenie.

Edwin skręcił z głównej drogi i mknął teraz bez respektu dla zawieszenia wzdłuż popegieerowskich gospodarstw. Za szybami Maserati przesuwały się zrujnowane chałupy chylące się pod drutami wysokiego napięcia, zakratowane okna sklepików i kamienne mury parafii z wciąż widocznym napisem ŻUR 97. Nawigacja poddała się, więc jechali na azymut goniąc szybko opadające słońce. Gdzieś pośród tych pól zasianych ciszą i zapomnieniem, w zrewitalizowanym zespole pałacowo-parkowym z końcówki XIX wieku Jacek Brygant ustanowił swoją zimową kwaterę. I to tu po miesiącach odwołanych spotkań i odrzuconych połączeń postanowił poświęcić Sierpińskiemu całe trzy kwadranse swojego bezcennego czasu.

Gdy wreszcie znaleźli właściwy adres i zaparkowali pod posiadłością wyjętą żywcem z francuskiego renesansu, Sierpińskiemu zaschło w gardle. Śnieżnobiałe fasady skąpane gasnącym słońcem grudniowego dnia, bogactwo detalu na kolumnach i pilastrach, przegięte łuki nawiązujące do późnego gotyckiego stylu flamboyant, wszystkie te marmurowe kolumienki na balustradach i szlacheckie herby gustownie wkomponowane w boniowane, kamienne ciosy poraziły go nie mniej niż widok Jacka Bryganta stojącego na progu w koszuli rozpiętej pod szyją, napompowanego splendorem jak cherub, o ryle ogorzałym i zarośniętym niczym sarmata.

Przywitali się jak starzy, dobrzy znajomi (posuwając się nawet do przyjacielskiego poklepywania po plecach) i weszli jednocześnie przez podwójne wrota. Pierwszy kwadrans upłynął na zamawianiu espresso i wolnym spacerze przez labirynt umeblowanych po królewsku pałacowych korytarzy podczas których Sierpiński komentował przepych zastanego latyfundium, a Brygant przez wrodzoną skromność bagatelizował domniemane koszty chowając się za tarczą z napisem „dobra inwestycja". Wreszcie zasiedli w (jednej z ośmiu) sal

konferencyjnych, doniesiono im zamówione napitki, dębowe drzwi trzasnęły cicho i z należytą powagą, a maski odłożono na długi stół, tuż obok porcelanowych filiżanek.

- Powiedz mi Jacku, co to był za zamach na mnie w listopadzie? – zaatakował Sierpiński nie chcąc tracić ani jednej z upływających minut.

- Oj, zwykły artykuł sponsorowany – wzruszył ramionami Brygant i siorbnął pianki.

- Wiem, że na takie pytania nie odpowiadasz, ale zróbmy tak, że ja będę zgadywał, a ty przez grzeczność nie zaprzeczysz – zaproponował. – Wymierzyłem Batoremu cios ustawą deweloperską, a on chciał się zrewanżować wpuszczając mnie w tłumaczenie się z majaczeń jakiegoś emerytowanego policjanta z długami i problemem alkoholowym – rzucił spojrzeniem przez stół.

Brygant odłożył filiżankę na talerzyk i pomasował się po szerokim karku nieustannie uśmiechając.

- Zanim tekst spadł z głównej przeczytało go pięć osób, z czego dwie ze zrozumieniem, więc nie przejmowałbym się tym wcale – powiedział.

- Widzisz, a ja się przejmuję, bo mam bardzo konkretne plany wobec nadchodzących miesięcy. I zastanawiam się na co mam się jeszcze przygotować. Znając życie te patałachy trzymają w zanadrzu więcej wyssanych z dupy teorii, które wypuszczą w strategicznych momentach przed marcową debatą, w ostatniej chwili przed ciszą wyborczą, a jeśli będzie trzeba to może i po pierwszej turze. I teraz nie wiem czy się cieszyć, że zaczęli traktować mnie poważnie czy od razu wytaczać ciężkie działa? Co ci instynkt podpowiada, Jacku?

- Podpowiada mi, że jeszcze w tym tygodniu przeskoczysz w sondażach Adama Wolniaka.

- Mów dalej.

- Zachciało mu się bawić się w detektywa, więc rozdrapał

sprawę tego spalonego urzędnika z Gdaki. Moi ludzie powęszyli w temacie i okazało się, że Adam sam kazał go Nowakowi zatrudnić. Najwidoczniej próbował zatrzeć złe wrażenie po debacie, a wpierdolił się w stary, dobry nepotyzm. Przeczytasz o tym dzisiaj wieczorem – powiedział Brygant. – Albo nie.

- Teraz Ruch nie ma innego wyjścia. Muszą wystawić nowego kandydata. Startują od zera.

- Wszystko wskazuje na to, że jest ci pisana druga tura – uśmiechnął się Brygant spoglądając do wnętrza pustej filiżanki jakby ta była kryształową kulą.

- Czy ja się przesłyszałem, Jacku? Czy ty powiedziałeś prezydentura?

Donośny śmiech Bryganta odbił się potężnym echem od wytwornych, wytapetowanych ścian.

- Kaziu, ty zdajesz sobie sprawę z tego, że ja jestem tylko zwykłym dziennikarzem. Moim obowiązkiem jest rzetelnie informować, nie mogę uprzedzać faktów – odparł rozkładając ręce. – Poza tym, Polska to taki śmieszny kraj, w którym wiatr steruje sympatiami społecznymi. Jak pizga ze wschodu, to wszyscy chcą żeby im powiało z zachodu, jak świeci słońce, to zastanawiają się kiedy popada. Tu się nie da wszystkim dogodzić, więc można tylko starać się dogodzić głosującej mniejszości. Cała reszta to kompost i chuj z ich interesami. Wiesz jak to działa, sam prowadzisz biznes. Wyjdź na ulicę i porozmawiaj z ludźmi, to każdy ci powie, że sam lepiej zarządzałby Polską, ale jak zapytasz dlaczego jeszcze tego nie robi to szybko dostaniesz po ryju. Whisky?

- Z lodem.

Na korytarzu Edwin powoli implodował. Z wzrokiem skierowanym w obraz zawieszony na przeciwległej ścianie, ciałem pochylonym i zastygłym jak suchy badyl i uchem wypełnionym głosami przebijającymi się coraz śmielej przez drzwi, trwał cierpliwie przez szósty już kwadrans zapadając się głębiej w świadomy sen. Edwin nie

należał do ludzi, którzy wyciągnęliby telefon z kieszeni, by przewijać czas. Uważał to za prostackie, tchórzowskie wyjście tak uśmierzać rzeczywistość. W jego głowie od dawna tliła się świadomość nieuchronnie nadchodzącego końca, dlatego chciał poczuć każdą z przepływających przez niego chwil, nawet jeśli miałoby to oznaczać umartwianie duszy i ciała, nieskończoną niewygodę, deprywację sensoryczną, zatwardzenie, otępiającą nudę i halucynacje. Twardy stukot wysokich obcasów w korytarzu nie przykuł jego uwagi. Ot, kolejna dostawa whisky do sali konferencyjnej, gdzie konferencja zamieniała się w *symposium* w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, a wyważony dotychczas dialog coraz częściej rozsadzał tubalny śmiech. Odśpiewano też hymn.

Obraz, na którym Edwin skupił całą swoją uwagę był kolorową interpretacją doskonale znanego mu motywu, ale nie potrafił umieścić go w stylu, epoce ani tym bardziej przypisać do niego nazwiska. Płótno przedstawiało klęczącego podróżnika, który przebił się głową przez nieboskłon i doświadczał teraz równie wspaniałej, co przerażającej wizji. Poza firmamentem upstrzonym gwiazdami zachmurzone horyzonty tworzyły nowy, niezrozumiały porządek. W ich fałdach tonęły obce słońca, rodziły się światy i obracały koła czasu. Wędrowiec wyciągał dłoń i dla Edwina ten gest zawsze wyrażał jakąś nieopisaną tęsknotę za prawdą, która leżała tak daleko poza naszym zasięgiem. Ulotny moment jasności umysłu, gdy można było obcować z rzeczywistością w surowej formie, prawdziwą i banalną jak brud pod paznokciami. Zabierzcie mnie tam – pomyślał wyciągając dłoń w kierunku obrazu – byle dalej stąd. W tym samym momencie odepchnięte drzwi rąbnęły z impetem w futrynę, a z sali wyskoczył Sierpiński przed Brygantem.

- Wstawaj Edwin – zarządził – będziesz moim sekundantem. Idziemy się z Jackiem strzelać. Co ty, hajlujesz?

Mężczyźni ruszyli rozchwianym krokiem w kierunku głównego hallu. Po chwili dołączyła do nich kobieta, która zamiast kolejnej butelki whisky dźwigała pokaźnych rozmiarów drewniane pudło oraz kamerdyner niosący stos ręczników. Edwin podążał dziesięć metrów

za tym dziwnym orszakiem próbując znaleźć puentę. Ale puenty nie było. Pojawiły się za to dwa pistolety w wyłożonej czerwonym aksamitem skrzynce i ściskające za gardło, niedające się odpędzić uczucie, że za chwilę wydarzy się tu coś, z czego trudno będzie się wytłumaczyć przed sądem.

- Coś tak zbladł? – zapytał go Sierpiński. – Nie przyjechałem tu umierać. Ale honoru trzeba bronić.

Stanęli na śniegu w ogrodzie w samych koszulach, jakby wyskoczyli z wesela na papierosa. Po niebie wylały się kolory, ale za domem panował już półmrok. Brygant machnął do okien i polecił odpalić lampy ogrodowe. Następnie chwycił jeden z pistoletów za lufę i podał go Sierpińskiemu.

- Idziemy naprzód po piętnaście kroków, na komendę odwracamy się i oddajemy po strzale. Walka do pierwszej krwi – pogonił wyjaśnienia stłumionym beknięciem i otarł pysk mankietem. Uśmiech wciąż nie znikał z jego twarzy.

Sierpiński nie był rozbawiony, bardziej zdeterminowany. To nie była jego gra, ale przez stawkę widać było, że chciał ją za wszelką cenę wygrać. Edwin rozejrzał się wokoło, tym razem w poszukiwaniu ratunku. Kamienne twarze rzeźb nie różniły się wcale od obojętnych spojrzeń, którymi odpowiedzieli na jego wezwanie służący. Wtedy pierwszy raz poczuł strach, bo już wiedział, że zabłądził.

- Edwin, licz! – krzyknął Sierpiński ustawiając się plecami do Bryganta z lufą opartą o brodę.

- Je.. jeden – wyszeptał Edwin.

- Kurwa, głośniej.

- JEDEN! DWA!

Miarowe chrupnięcia suchego, przemrożonego śniegu jak cykanie zegara odliczającego sekundy do katastrofy. I jego własny głos wykrzykujący słowa w tę wiejską pustkę gdzieś na zadupiu w łódzkim. Mogli ich tu rzucić na ziemię i żywcem obdzierać ze skóry, i tak nikt

nie usłyszałby ich wołania o pomoc.

- SIEDEM! O-SIEM!

Przełknął ślinę na tyle szybko, by nie zburzyć ich rytmu. Na zachodzie niebo czerwieniało jakby otworzyła się rana. Widział to wyraźnie, jak rosła pomiędzy koronami drzew, zalewała falą cały świat, sprawiała, że cienie siniały, a śnieg zabarwiał się na różowo.

- JEDENAŚCIE! DWANAŚCIE!

Później nie myślał już wcale. Nie zadawał sobie pytań jak się tu znalazł. Odliczył do końca i z wciąż otwartymi ustami, przez obłoki wydychanej pary obserwował pojedynek. Mężczyźni zwrócili się ku sobie i unieśli broń, ale strzałów nie było słychać. Edwin już był gotów się uśmiechnąć, pochwalić rozmach tej szarady, gdy Brygant nacisnął spust. Broń wydała z siebie cichy, mechaniczny odgłos (spodziewał się huku, iskier i dymu, dostał dźwięk godny dławiącej się papierem drukarki) ale ramieniem Sierpińskiego i tak szarpnęło i zatoczył się do tyłu. Teraz przeciwnik zmrużył oczy i wycelował. Kula uderzyła Bryganta prosto w pierś. Załopotało koszulą i chlusnęło czerwienią, jakby wybił spod niej ogromny kwiat. Brygant upadł na plecy i znieruchomiał. Sierpiński uniósł broń nad głowę w geście zwycięstwa.

- Pojedynek dla pana Sierpińskiego – zakomunikował lokaj ruszając w kierunku Bryganta z ręcznikami. Ten wciąż leżał w śniegu nieruchomy, ale zdecydowanie żywy, bo ryczał ze śmiechu jak dziecko. Służący stanął nad nim i długo czekał na odpowiedni moment, który nie nastąpił. Nie wiedząc za bardzo co dalej, schylił się i zaczął wycierać jego koszulę.

- Paszoł, won – odgonił lokaja Brygant i sam podniósł się do pionu prezentując wielką czerwoną plamę na piersi i drugą, mokrą, na plecach. - Piękny strzał, panie Sierpiński, muszę przyznać – powiedział wyciągając w jego stronę dłoń. – Ale te kulki z farbą bolą jak kurwa mać – dodał masując się po splocie słonecznym. – Następnym razem szable.

Wrócili do wnętrza. Brygant założył świeżą koszulę i zaprowadził

Sierpińskiego i Edwina do biblioteki, gdzie już czekał na nich rozpalony kominek i kolejny polew whisky. W półmroku, w otoczeniu książek, z pierwszym łykiem niebiańskiego Macallana rozprowadzonym po języku i przyjemnym ciepłem spływającym po plecach Edwin znów na chwilę przypomniał sobie dlaczego od dobrych dziesięciu lat dawał temu człowiekowi sobą pomiatać. Suma na koncie i smak w gardle się zgadzały. A wizja własnego gabinetu pełnego książek, których nigdy by nie przeczytał, whisky, którą zdecydowanie by wypił i ciepła, którego nigdy dość, zwłaszcza w takie zimowe wieczory, jak ten, była bardziej realna niż kiedykolwiek. Na krótką chwilę przestał nawet myśleć o Oskarze (choć, tak naprawdę nigdy nie przestawał o nim myśleć (widok mężczyzny przemykającego za oknami jego domu zamieszkał z tyłu jego głowy, jak świadomość nieuleczalnej choroby, którą tak naprawdę można było ignorować tylko podczas najgłębszego snu, wracał do niego z trzaśnięciem każdych drzwi)).

- Wygrałeś pojedynek, więc zgodnie z umową jestem ci dłużny jedną informację – powiedział Brygant ściszając głos. – Mogę? – zapytał spoglądając prosto na Edwina.

- Tu sami swoi – odpowiedział mu Sierpiński, Edwin odetchnął z ulgą, bo naprawdę nie chciał rozstawać się ze swoim trunkiem.

- Ostatnio odwiedził mnie pewien bardzo ambitny młody chłopak, który zdradza niezdrowe zainteresowanie twoją osobą – zaczął. – Położył mi na biurku historię o tym jak to rzekomo wykorzystujesz zaawansowane algorytmy do siania dezinformacji wśród użytkowników portali społecznościowych, podkładasz fejki i skupujesz informacje w darknecie. W swoich teoriach posunął się nawet do stwierdzenia, że to ty podałeś kwasa Wolniakowi przed debatą.

- Jezu… - Sierpiński pokiwał głową. – I co zrobiłeś?

- Jak to co? Pogoniłem gnoja, bo teorii spiskowych nie skupuję. Ale mówię ci to, żebyś wiedział, że ktoś się wokół ciebie zakręcił. Tu go znajdziesz.

Brygant położył na stoliku wizytówkę i posunął ją palcem wskazującym w kierunku Sierpińskiego. Ten nie schylił się po nią od razu. Zmrużył oczy próbując rozpoznać nazwisko. Pokiwał głową, przepłukał gardło whisky i uniósł wzrok znad szklanki.

- Dlaczego mi pomagasz? – zapytał wprost.

- Bo konkurencja jest zdrowa. Wtedy wszyscy muszą się bardziej starać.

- Chciałeś powiedzieć więcej wydawać – uśmiechnął się.

- Tak, Kaziu – odparł. – Ale jak ty dostaniesz równą szansę na prezydenturę, a ja zarobię parę groszy więcej na reklamach, to myślę, że żaden z nas nie będzie miał krzywdy, co nie? – zapytał wznosząc toast.

Godzinę później czarne Maserati ruszyło drogą prowadzącą przez zasypane pola. Zanim skręciło na Warszawę w Juracie płonęły już wszystkie komputery.

*

Słuchali wspomnień brytyjskich weteranów wojennych, których bez słowa wywieziono barkami na środek Pacyfiku, by uczestniczyli w testach bomb atomowych. Przypalonych dziadków opowiadających łamiącym się głosem o błysku widzianym przez zamknięte powieki i przyłożone do twarzy dłonie. Wspominających jak ciała współtowarzyszy stały się przezroczyste i ujrzeli przez skórę i mundury ich kości, poczuli żar przepływający pomiędzy wnętrznościami, jakby nie stanowiły żadnej bariery, po nim uderzenie nuklearnego wiatru, które łamało kończyny, sprawiało, że dorośli żołnierze płakali i wołali do swoich matek (dwadzieścia dwa i pół tysiąca osób poddanych próbie i żadna z nich nie zmarła z przyczyn naturalnych).

Oglądali zretuszowane, soczyste ujęcia eksplozji, grzyby sięgające chmur, drzewa uginające się niczym źdźbła trawy przy silniejszym podmuchu, świnie umierające w klatkach, szkolne autobusy

zgniecione jak puste opakowania, domy zdmuchnięte rozpalonym oddechem, cofającą się falę, która zabierała to wszystko z powrotem w nicość, jakby nicość miała gardło i mogła powiedzieć: cała wasza śmierć należy teraz do mnie. Odtwarzali chińskie filmy propagandowe na których zamaskowani jeźdźcy na zamaskowanych koniach wymachiwali szablami i pruli z kałacha pędząc do rytmu partyjnej pieśni w kierunku świetlistego grzyba, a nad ich głowami powiewały czerwone flagi i według Null była w tym jakaś tęsknota i poetyckość.

Widzieli ciała rozrzucone jak kolorowe śmieci na trawie, leżeli w grupach, rodziny razem, większość twarzą do ziemi. 605 dorosłych i 304 dzieci z posmakiem winogron i cyjanku w ustach. Jestem waszym największym przyjacielem – powtarzał ich pasterz. Beze mnie życie nie ma sensu. Uwierzyli mu i odeszli po cichu zapisując cały swój dobytek Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Czytali wspomnienia doktora Mengele, szeptane monologi z długich spacerów po brazylijskiej plaży. Wyobrażali go sobie jak słucha *Mondscheinsonate* Beethovena, raczy się lampką słodkiego wina, jak wchodzi cały na biało na peron i pokazuje palcem kto ma umierać, a za sekundę jego wola staje się prawem, zupełnie jakby był bogiem dla tych wychudzonych kreatur w łachmanach (bo był!). Jak próbuje odetkać słuchawkę prysznica i naprawić zepsuty telewizor.

Przeglądali odtajnione akta z czasów Zimnej Wojny gdy Brytyjczycy przez dekadę zrzucili na głowy swoich obywateli cztery i pół tony siarczku cynku i kadmu w ramach testów broni biologicznej. Późniejsze poronienia, zdeformowane płody i rak bez związku ze sprawą. Ze statku rozpylono w kierunku wybrzeża tony Escherichia coli zarażając ponad milion osób. Rząd pozwolił zagazować londyńskie metro w porze lunchu. Do końca konfliktu niegroźnie eksperymentowano jeszcze dziewięćdziesiąt siedem razy. W Rosji Laboratorium Kamera. Stanach MKUltra. W Japonii jednostka 731. Trucizna dla niemowląt. Pokoje ciszy, w których traciło się rozum od szumu krwi krążącej w żyłach. Wiwisekcje bez znieczulenia.

Czytali o tym, jak amerykanie przywieźli do Gwatemali wolność i

syfilis. Tysiąc pięciuset pacjentów szpitala psychiatrycznego zarażonych chorobami wenerycznymi i zachęconych, by dzielić się nimi z kim popadnie. Po nich pojawiły się koncerny medyczne, by zaopiekować się nienarodzonymi dziećmi, sterylizować kobiety, zmieniać płeć osobom homoseksualnym, zatruwać ziemię i testować Trovan. Rząd, bóg, korporacja. Świat panów i niewolników – mówił Daniel spluwając na piasek, stawiał kołnierz, wciskał ręce w kieszenie. Znów wiało od morza. Null chowała się za nim jak za parawanem.

Któregoś dnia po lunchu zamknęli się z grubym jointem w sali kinowej, puścili Death Grips i tańczyli w strumieniu światła wycinając w ziarnistych scenach swoje kontury. Oglądali film Zaprudera: machającego do tłumu Kennedy'ego, mózg eksplodujący w 313 klatce (Jackie była tak blisko (mogła praktycznie poczuć jego ostatni oddech)), ataki na World Trade Center, podziurawione wieże, deszcz szkła i popiół osiadający na ulicach. Przesłuchali ostatnie rozmowy z pokładu samolotu. I ten zapłakany telefon z 83 piętra (musisz myśleć pozytywnie). Z daleka było widać tylko dym i ogień, z bliska ludzi wystających z okien (idealna metafora pożegnania z depresją, gdy śmierć wciąż przeraża, ale życie w płomieniach jest gorszą alternatywą). Człowiek spadający głową w dół uchwycony na kliszy w samym środku aktu umierania. Być może był pogodzony z losem, a może tak po ludzku się bał (ze statycznego obrazka niewiele wynikało). Bart przygotował im pizzę z anchois i kaparami, Null odtworzyła ujęcia z dronów eksplodujących na afgańskich dachach. Czarno białe, prześwietlone ujęcia termowizyjne, celowniki, HUD jak w grze komputerowej, fruwające kończyny. Zgliszcza szpitala w Kunduz, gdy po raz pierwszy w historii jeden laureat Pokojowej Nagrody Nobla zamordował drugiego.

W ostatni weekend przed świętami ruszyli do gdańskiej galerii żeby podziwiać obrazy największych mistrzów wydrukowane w technice 3D na postarzanych płótnach. Laserowe pomiary oryginałów pozwoliły nie tylko perfekcyjnie odwzorować kolory, ale także odtworzyć każde pociągnięcie pędzla z dokładnością do dwóch nanometrów. Dzieła można było fotografować i dotykać. Null snuła się

po prześwietlonych korytarzach z kieliszkiem białego wina w dłoni, Daniel pił podwójne espresso z kartonowego kubka i powoli rozmarzał. Minęła chwila zanim zdecydował się dotknąć skrzydła jednego z kruków Van Gogha. Grube warstwy farby naniesione techniką *impasto* praktycznie krzyczały pod jego palcami. Ozłocona słońcem wieś była ostatnią ostoją zbankrutowanego geniusza zanim przyłożył pistolet do brzucha. Puste pole, wściekły błękit, kilka ptaków, nieskończoność. *La tristesse durera toujours.* Daniel rozłożył dłoń zakrywając słońce. Null wbiła paznokieć w autoportret Jeanne Hébuterne zaznaczając swój ślad w spękanej farbie. Widzieli zwiedzających przekazujących sobie z rąk do rąk miniatury Salvadora Dalego. Blondynkę w błękitnej opasce robiącą selfie z Dziewczyną z Perłą, kobietę całującą płótno Gustava Klimta. Muzyka sącząca się z głośników stawała się coraz trudniejsza do zignorowania.

Usiedli w największej sali, której ściany i sufit zostały wyłożone obrazami Marka Rothko. Tam było najmniej zwiedzających. I najmniej powietrza. Wielkie połacie koloru zalewały każdy centymetr powierzchni, absorbowały swoimi niedopowiedzeniami. Minęli kubizm. Ruszyli w kierunku romantyzmu, prawilnej galerii szaleństwa. Cały ten bunt na szczycie góry. Świat w ruinach pędzla Caspara Davida Friedricha i Saturn pożerający własne dzieci Goi. Zakrwawione ciało pozbawione głowy wyciągało dłoń w geście zwycięstwa ginąc w paszczy potwora. Null przyglądała się długo detalom dopóki ktoś nie chwycił obrazu za ramy i nie zabrał go ze sobą. Z sąsiedniej sali rozległ się dźwięk tłuczonej porcelany. Waza z Dynastii Han opatrzona logotypem Coca Coli przegrała starcie z posadzką. Ktoś inny chwycił za marker i domalował wąsy Oldze Nikolaïevnej uwłaczając jej dworskiej powadze.

- Szanowni państwo – grzmiał kustosz – jeżeli któreś z dzieł zostanie zniszczone w wyniku waszych działań, proszę się nie obawiać. Jesteśmy w stanie wyprodukować nieskończenie wiele idealnych reprodukcji ponosząc minimalne koszty.

Następnie zwiedzającym rozdano spraye oraz noże modelarskie. Soczyste pejzaże flamandzkich mistrzów znikały pod grubymi

warstwami wściekle różowej farby. Przecięte płótno na piersi dürerowskiego Adama zwisało jak płat żywej skóry usunięty, by odsłonić serce. Ktoś inny z uporem maniaka wycinał z tła Monę Lisę. Odwieszone na ścianę dzieło z agresywnie białą plamą w miejscu postaci zdawało się intrygować zwiedzających nie mniej niż mityczny uśmiech. W sąsiedniej sali podcięto gardło abdykującemu Napoleonowi (cesarskie cięcie! – wyrwał się okrzyk). Jego umartwiona głowa została następnie oddzielona od ciała i przeszczepiona jednej z nagich niewiast Modiglianiego. Na wody Zatoki Marsylskiej widzianej z Estaque Cézanne'a wpłynęły papierowe łódki i uzbrojone lotniskowce. Twórczy chaos opanowywał kolejne pomieszczenia. Zewsząd dobiegał dźwięk cięcia, rwania, grzechot puszek, brzęk kieliszków i coraz donośniejszy aplauz. Widziano zwiedzających przymierzających twarz zmęczonego Rembrandta i tworzących na podłodze kolaż z odrzuconych części ciał. Kelnerzy donosili alkohol i młotki na srebrnych tacach. Muzyka utonęła w rozgardiaszu, ale bardziej selektywne ucho było w stanie wychwycić, że chwilę po tym jak zgasła kompletnie, głośniki zaczęły emitować różowy szum o stopniowo narastającym natężeniu.

W hałasie wybrzmiał czyjś protest. Wybił się ostrym kolcem z ekstatycznego i radosnego pomruku, ale był czymś więcej niż szorstkim przywołaniem do porządku. Przypominał dźwięk jaki mogłaby wydać z siebie matka dostrzegająca własne dziecko znikające w eksplozji, bezradny i zatracony w czystym przerażeniu. Kilka głów zwróciło swoje zaciekawione oblicza w kierunku, z którego nadszedł. W hallu stała poturbowana kobieta. Odziana w czarne, podarte szmaty wyglądały jakby ją także wyszarpano z czyjegoś obrazu. Wokół jej nadgarstków i kostek zwisały serpentyny szerokiej taśmy, na których widniały odciśnięte ślady zębów. Rozmazany make-up spływał różem i czerwienią z twarzy. Oddychała szybko, coraz głębiej jakby wciąż brakowało jej powietrza, przewracała oczami, dwiema wielkimi kulami ze szmaragdowego szkła, w których odbijały się chirurgiczne światła galerii i drżała próbując utrzymać wewnątrz nadchodzącą eksplozję.

Kolejny wrzask rozdarł do reszty fakturę kreatywnego uniesienia. Kobieta runęła na posadzkę i zaczęła czołgać się po zimnej podłodze zagarniając pod siebie resztki zniszczonych dzieł, wyzywając wszystkich od barbarzyńców i morderców w wielu znanych jej językach i był to obrzydliwy, uwłaczający widok, od którego nie sposób było oderwać wzroku. Po chwili już każda para oczu śledziła jej kruchą postać pływającą w morzu śmieci, szpilek i mokasynów. Czy wy nie wiecie? – pytała. Czy wy nie wiecie, że to były prawdziwe dzieła? Zniszczyliście historię wy zwierzęta! Pierdolone zwierzęta! – strzelała obelgami z gardła zdartego w szept.

Na sali pojawił się też kustosz. Lawirował przez chwilę w tłumie nieruchomych gapiów, ukucnął przy kobiecie i pomógł jej wstać.

- Szanowni państwo, okazuje się, że mogło dojść do tragicznego nieporozumienia. Prosimy wszystkich o pozostanie na miejscach. Policja jest już w drodze – rzeczowo poinformował zgromadzonych.

Ci rozglądali się po sobie skonsternowani szukając potwierdzenia własnej niewinności. Większość wciąż się uśmiechała, bardziej przezorna część gości dyskretnie odłożyła narzędzia i zaczęła kierować się do wyjścia paradując tuż przed apatycznym spojrzeniem kobiety i ignorując kategoryczne nawoływania kustosza. Przy drzwiach doszło do szarpaniny. Kilka podniesionych głosów zmusiło ochroniarza, by otworzył drzwi i wpuścił do środka mróz, spaliny i metalowy kaszel ulicy. Daniel zszedł do szatni, wymienił numerki na płaszcze dochodząc do wniosku, że nadszedł najwyższy czas, by coś zjeść. Gdy opuszczali z Null budynek gdańskiej galerii kobieta w łachmanach wręczyła im kartkę z kwestionariuszem zawierającym następujące pytania: [ 1 ] Czy czujesz się bezpośrednio odpowiedzialny/a za śmierć sztuki? T/N

[ 2 ] Czy uważasz, że deprecjonowanie wartości klasycznych dzieł może wpływać stymulująco na Twoją kreatywność? T/N

[ 3 ] Jak często myślisz o unieśmiertelnieniu siebie poprzez czyn artystyczny [często/rzadko/nigdy]

[ 4 ] Jak często myślisz o unieśmiertelnieniu siebie poprzez akt biologiczny [często/rzadko/nigdy]

[ 5 ] Czy rozumiesz, że przy tak znaczącej interferencji emocji automatycznych w przebieg procesów poznawczych każda współczesna forma sztuki powinna być rozrywką? T/N

Znaleźli knajpę nieopodal i zamówili po naleśniku (ona: wytrawny, on: na słodko). Za oknami Gdańsk przesuwał się przez fale marznącego deszczu i rozmiękającej brei ogrzewany szałem przedświątecznych zakupów. Z latarni zwisały ozdobne sznury, których światło znikało przytłumione szarością nadmorskiej aury. W środku, za grubą szybą parowały kubki i stukały sztućce.

- A ty masz kogoś, komu dasz prezent? – zapytał ją. – Jakąś rodzinę czy coś?

Dłonie Null nie drgnęły. Ale przeszyła go spojrzeniem, które sprawiło, że poczuł jakby stanął właśnie na zewnątrz pozbawiony ostatniego skrawka ubrania. Skinął, bo zrozumiał. Później jedli w ciszy obserwując z narastającą satysfakcją i coraz pełniejszymi brzuchami zmagania obładowanych zakupami klientów pobliskiej galerii, pakunki wyślizgujące się z rąk prosto w błoto, chwilowe utraty równowagi, uderzenia gorąca, kłótnie przy śmietnikach, kłótnie w samochodach, szczekające, czerwone głowy, dłonie wymachujące papierosami, wykręcone kostki, bo znów zaczynało wszystko zamarzać, agonalny ruch na ulicach, zawiesinę falującą na jej powierzchni, całe to przedświąteczne ostatnie sto metrów, które wszyscy zdawali się pokonywać na złamanych nogach, ślepi od zmęczenia, strumienie świateł przecinające gęstniejącą szarość, uderzające prosto w nich niczym strażniczy reflektor (a wy jakim cudem wydostaliście się ze swoich cel?).

Ale w porcie czas płynął innym rytmem. Kutry leniwie bujały się na keji, wybrzeże było praktycznie opustoszałe nie licząc kilku pracowników stojących w plamie żółtego światła. Nad ich głowami snuły się kłęby gorzkiego dymu. W wodach zatoki tonęły latarnie,

dalej rozciągała się martwa, niczyja czerń i właśnie do niej chcieli teraz popłynąć. Chwilę zajęło im zanim znaleźli właściciela kutra gotowego na nocny rejs. Mężczyzna zważył na swojej dłoni plik banknotów i schował je razem z zaciśniętą pięścią do kieszeni wzdychając ciężko. Tam – mruknął niechętnie wskazując skinieniem zielono-żółtą krypę. Nie jesteście jacyś dziwni, co? Nie chcecie się tam przypadkiem romantycznie utopić? – zapytał jak już wsiedli na pokład.

Popłynęli na wschód. Dalej, dalej poza linię horyzontu. Światła miasta wciąż wychylały się znad wody, ale stawały się mniejsze od słonych kropli błyszczących na burtach. Ślizgali się po powierzchni czarnego lustra wycinając w nim gruby, biały ślad. Gdy ostatni skrawek lądu zatonął w ciemności Daniel kazał szyprowi zgasić silnik. Dryfowali przez ciszę pod niebem pełnym gwiazd z drugim niebem falującym z cichym pluskiem wokół zagubionej łodzi. W tym miejscu nie istniał czas. W tym miejscu świat wyglądał dokładnie tak samo od tysiącleci. Mogliby tu zostać na zawsze i nigdy się nie zestarzeć. Przeczekać wszystkie wyroki do przedawnienia. Dobić pewnego dnia do lądu i ujrzeć ruiny cywilizacji, drzewa porastające dachy galerii handlowych i piach przesypujący się pomiędzy żebrami jednakowo białych szkieletów. Daniel uniósł piwo w górę wznosząc cichy toast za powodzenie tej wizji. Butelka wyślizgnęła się spomiędzy zmarzniętych palców, uderzyła o kadłub łodzi i wpadła do wody. On pokręcił głową rozbawiony i wbił wzrok w niebo, którego widok nie był w stanie go znudzić.

- Rzeczy się po prostu wydarzają – powiedział do nikogo. – Nie powinniśmy udawać, że potrafimy kontrolować ten chaos.

Null szturchnęła go w ramię po raz kolejny. Potrząsnęła zaciśniętymi pięściami i złożyła dłonie w trójkąt. Zimno mi. Wracajmy. Silnik łodzi eksplodował w ciszy warkotem i mieli wrażenie, że cały świat ich właśnie usłyszał. Około drugiej w nocy dobili do portu w Jastarni, gdzie czekała na nich zamówiona taksówka. Wsiedli do rozgrzanego, pachnącego wanilią i petami wnętrza i praktycznie natychmiast zasnęli. Kierowca uchylił okno. Niedawno przeniósł się tu z Piaseczna

i wciąż nie był w stanie przyzwyczaić się do smrodu ryb.

Wigilijny poranek spędzili spacerując po kompletnie pustej plaży. Ciepły front przytargał ze sobą zapach jesiennej zgnilizny i rozpuścił szron na gałęziach. Wieczorem znów wiało. Deszcz spływał po zimnych szybach i łupał w dach. Szare dni były jak błyski latarni ledwie dosięgające ich okien, resztę zalewała niekończąca się noc. Oni snuli się po pustym domu podróżując po tylko sobie znanych trajektoriach, czasem obierając wspólny kurs, innym razem mijając bez słowa w długim korytarzu. Zza ścian wysyłali zaszyfrowane sygnały (stuknięcie talerzy, odgłos szumiącej wody wpadającej do wanny, trzaśnięcie drzwi barku, kroki na balkonie). To były dla nich szczęśliwe dni, pełne spokoju i ciszy. Wciąż znajdywali się poza czasem, w przestrzeni, która należała tylko do nich.

Kwadrans przed końcem roku Daniel chwycił butelkę dwudziestopięcioletniego Mortlacha, wdrapał się po schodach na drugie piętro i stanął w progu pustej pracowni. Zgodnie z jego prośbą Sierpiński nie usunął z niej fortepianów, mimo, że powoli zaczynało brakować dla nich miejsca. Pod ścianą piętrzyły się kartony z nowymi, jeszcze nie rozpakowanymi komputerami. Po ostatniej akcji kasowania danych (według niektórych relacji płomienie widać było i z plaży i z zatoki) ustawiono też niszczarki do papieru i dysków. Dwa Steinwaye stały naprzeciw siebie, musiał jedynie zdecydować przy którym usiąść (niemożliwe zadanie, które trwało zbyt długo pozbawiając go całego entuzjazmu). Wybrał biały (ale bez przekonania), ustawił szklankę i butelkę na klapie i zawiesił dłonie nad klawiszami, próbując odtworzyć w głowie melodię, którą wyrył w swojej pamięci podczas godzin żmudnych ćwiczeń. Nuty wyblakły, dźwięki zlewały się ze sobą w coś równie znajomego, jak obcego. Przełknął whisky, zamknął oczy, przypomniał sobie doskonale oświetlony pokój, duszny zapach kwiatów i własne palce biegle przebierające w dźwiękach. Ciało przestawało ważyć gdy grał. Cały stawał się muzyką. Tysiąc żyć temu, w innym miejscu, w innej osobie. Otworzył oczy i nieomalże się zdziwił dostrzegając tatuaże na własnych dłoniach i wszechobecną noc.

Null zakradła się do niego na palcach i objęła go przylegając do jego pleców. Czasem nosił ją tak, zarzuconą na ramię jak bagaż podręczny, gdy nie chciało jej się wędrować po plaży. Czasem przychodziła do niego w środku nocy i kładła się w nogach łóżka, jak kot. Budził się później rano zdrętwiały i niewyspany i długo patrzył na jej twarz rozmytą snem, poplątane błękitne włosy i strużkę śliny wyciekającą z kącika ust. Teraz odwrócił się i zobaczył, że stanęła przed nim kompletnie naga. Blade światło sączące się przez uchylone drzwi z korytarza oświetlało jej ciało. Cofnęła się, założyła ręce na biodra, przeniosła ciężar na lewą nogę, uniosła brwi i uśmiechnęła się zadziornie zadając mu proste pytanie. Zauważył blizny na jej udach i brzuchu, skórę zrośniętą w gwiazdy, całą galaktykę wypaloną na ramieniu, wspomnienia, które sięgały głębiej niż nacięcia na ciele. „Rodzina" wyjaśniła mu zataczając kręgi palcami.

Później długo leżeli na podłodze, na skórze ściągniętej z jakiegoś zwierzęcia, wśród rozrzuconych ubrań. Powiedział jej, że od pewnego czasu nie czuł się żywy. Mówił o dniach przepływających wokół niego i przyspieszającym nurcie wydarzeń, przez które przechodził na pamięć i natychmiast o nich zapominał. O wiszeniu na linie i telefonie z zaświatów (historia, która rozbawiła ją do łez). Uniósł do góry szklankę. Null stuknęła w nią swoim kieliszkiem. Gdy zapytał ją czy kiedyś opowie mu o sobie uśmiechnęła się tylko, odwróciła plecami, wtuliła w niego i natychmiast zasnęła. Długo czekał na swoją kolej wpuszczając do środka jej ciepło, gapiąc w sufit i nucąc w myślach melodię, której od lat nie potrafił zagrać.

Obudził się zmarznięty, zdrętwiały i nagi. W pokoju nie było nikogo. Nie spotkali się na śniadaniu ani na spacerze. Stuknięcia i skrzypnięcia dawały mu znać, że Null wciąż tam jest, ale żadne z nich nie brzmiało zapraszająco. Wyszedł na plażę sam. Znów maszerował przed siebie schowany w kapturze, obserwując jak wiatr czesał fale. Stalowe morze podpływało do jego stóp coraz śmielej. Po niebie rozlała się jednolita szarość. Chciał wychodzić z siebie wszystkie myśli, wystartować od zera (w końcu to był pierwszy dzień nowego roku (każdy z nas żyje cyklami)), ale wrócił pełen obaw i z butami ciężkimi od mokrego

piachu.

Null czekała na niego w kuchni. Od razu zauważył jej zakłopotanie, obgryzione, paznokcie pokryte odpryskującym czarnym lakierem, palce zaplecione wokół kubka, bose stopy wybijające nierówny rytm na podłodze, przygryzioną wargę, wciąż mokre włosy włożone za ucho, które natychmiast zza niego wypadły i zasłoniły drugą połowę twarzy. Sięgnęła do kieszeni bluzy. Po stole przesunął się gruby wymięty zeszyt. Daniel usiadł na swoim zwykłym miejscu i długo przyglądał się zniszczonej okładce zastanawiając czy powinien go otworzyć. Spojrzał jeszcze raz przed siebie, by się upewnić. Null odwróciła wzrok do okna.

Pomiędzy pofalowane kartki wklejone zostały bilety, pocztówki, mapy, zdjęcia, dodatkowe kartki, każda z nich zapisana po brzegi delirycznymi hieroglifami, pokryta rysunkami, czasem jedynie pokreślona, pognieciona lub rozdarta w pół. Skompresowana treść pękająca od wspomnień, anegdot, wierszy, pojedynczych wściekłych słów wyrytych w papierze ledwie żywym wkładem, opisów dni urozmaiconych plamami kawy, krwi, śliny, tuszu rozmazanego od łez (wybrane krople zakreślone i opatrzone stosownymi komentarzami). Rozpostarł przed sobą szeleszczące, umazane życiem strony i zanurkował pomiędzy jej wspomnienia.

*DZIEWIĘĆ DZIEWIĘĆ TRZY ZERO ZERO Nowy adres nowy dom. Mam ciężki plecak.*

*Tym razem wszystko się ułoży, wierzę w to. Pewnie nie powinnam z marszu pytać dlaczego nie mogą mieć dzieci. Marta mama popatrzyła na mnie smutno a później na Krzyśka już mniej smutno. Lubię go, choć jeszcze nie odezwał się do mnie ani jednym słowem (poleceń i uprzejmości nie zaliczam do rozmowy). Mam zwracać się do nich mamo i tato ale jak się krępuję to nie muszę, byle nie po imieniu. Co w takim razie pozostaje? Kwadratowe bezosobowe zdania, przez które czuję się jakbym stanęła na języku i próbowała utrzymać równowagę (podobno język to najsilniejszy mięsień w ciele).*

*Dostałam własny komputer (yay!). Nie mogę go używać dłużej niż godzinę dziennie :((((((((( może to dlatego, że stłukłam wazon? Mokre kwiaty ozdobione szkłem wyglądały dużo lepiej niż zdychające na stole. Chyba nie byli w stanie zobaczyć tego z mojej perspektywy. W końcu są wyżsi o głowę.*

*Lubię deszcz gdy ulewa rozkręca się jak próbuję zasnąć, lubię zimną, szeleszczącą pościel, lubię stukot pociągów na wiadukcie za rzeką. Lubię zapach spalonego asfaltu przy kortach, lubię dziewczyny i chłopaków z osiedla, papierosy i ból w gardle, lubię to miejsce, które jest jak domek z liści na chwilę przed uderzeniem wiatru. Przeczytałam to zdanie w pięknym wierszu. Ukradłam te słowa, ale nikt nie zgłosił kradzieży, więc teraz są moje.*

*Buty w przedpokoju. Kurz na parapecie. Książki na półce. Naczynia w zlewie. Ubrania na krześle. Drzwi niedomknięte. Wszystko w złej kolejności. Nie JEJ kolejności. Kiedyś nauczę się segregować myśl i segregować śmieci. Czasem patrzą na mnie jak na dzikie zwierzę, które wylazło z lasu nasrać na ich nowy dywan. Czasem tęsknię za ciotką Sobotką i wujciem Waldusiem. Byli przyszywani, ale szwy trzymały nas mocno. Szkoda, że to też spierdoliłam.*

*Dysnomia to zaburzenie neurologiczne pojawiające się w chorobach zwyrodnieniowych, polegające na utracie płynności mowy wskutek trudności w znalezieniu w pamięci słów odpowiednich do wyrażenia swoich myśli. Wszyscy tu chorujemy na to samo.*

*Marzę o psie. O czymś żywym i ciepłym. Chcę trzymać to na kolanach, dotykać palcami, nadać temu imię. Wszystko w tym domu jest martwe. Muszę stąd częściej wychodzić.*

*Znaleźliśmy sto złotych pod wiaduktem. Leżało w kieszeni nieprzytomnego mężczyzny. Śmierdział gównem i alkoholem. Jestem pijana.*

*Nawaliłam się.*
*Pogodziliśmy się.*
*Głowa do góry,*
*jak to mówią wampiry* Spaliłyśmy skręta z Manianą (<3) i wpadłam na

genialny pomysł na biznes. Dom starców, w którym można legalnie ćpać. Biuro turystyczne bez wychodzenia z domu. Możesz tripować, jak już ci nie zależy, bo zrobiłaś wszystko, co trzeba. Wnuki odchowane, ciastka upieczone. Crack, kwas, feta, meta, co tam chcesz babciu. Zarobię miliony.

*Dzisiaj spotkałam BOGA. Chciałam się odezwać i zapytać o co w tym wszystkim chodzi, ale od razu kazał mi się zamknąć i to on zaczął zadawać pytania. „Dlaczego boicie się śmierci?" i tym podobne. Mówił, że nas pojebało z tym życiem wiecznym, nikt z nas nie wytrzymałby wieczności, to nie dla nas. Powinniśmy się cieszyć, że po śmierci nic już nas nie czeka. Potem coś krzyczał, że wszystko musi być permanentne. Gdyby decyzje były odwracalne żadna z nich nie miałaby znaczenia. Dostaliście ode mnie życie a po nim macie już święty spokój WIĘC PRZESTAŃCIE KURWA NARZEKAĆ! Serio, strasznie był zły. Nie tak go sobie wyobrażałam.*

*Szlaban dzień dwunasty. Za oknem przesuwają się samochody, ludzie, psy, chmury dni. Jestem jak te wszystkie przegrywy, które nic nie mają, więc nieustannie muszą patrzeć przez okno na innych i im wygrażać zza zasłonki.*

*#31 Nie wiesz skąd jestem. Ja też nie. Zranię cię tylko, gdy mi na to pozwolisz.*

*Nigdy nie zapomnę jej oczu – PUSTKI – po tym jak się dowiedziała, że wyczyściłam im konta. Cały ich hajs przelany na dzieci z autyzmem. HA! WIDZISZ DZIWKO, pracowałaś po nocach w słusznej sprawie. Patrzyli na mnie jak by sami byli dziećmi z autyzmem. Dzwonili do banku, na policję. Kto nie zabezpiecza komputerów hasłem? Kto zostawia otwarte sesje i odblokowane telefony wychodząc z domu? Ludzie ze szkła wypełnieni banknotami. Wysypałam z ich wszystko. Teraz myślę, że nie było mi z nimi tak źle. Może trzeba było trzymać się rodziny nr 3. Tam nikt nie rzucał we mnie butelkami, żaden wujo nie chciał sadzać na kolanka.*

*Przepraszam. To moja wina. Człowiek psuje się od serca :(*

*Czasem wydaje mi się, że pamiętam jak powstałam. Jak moje komórki*

*dzieliły się na pół a później wystrzeliłam z piczy mojej starej na świat. Wieźli mnie pod kocem w kratę na tylnym siedzeniu samochodu, do domu z wielką ziejącą dziurą w podłodze, do której wpadłam. Kiedyś znajdę cię, mamo i zapytam dlaczego nie zasypaliście mnie ziemią od razu?*

*Ludzie czasem pękają nie dlatego, że są słabi, ale dlatego, że byli silni zbyt długo Moje ciało już nie należy do mnie. Tylko pomieszkuję w nim. Siedzę odcięta na strychu. Boję się schodzić na dół. Piwnicę zalało i w niej straszy. Ci ludzie, to nie ludzie. Oni tylko wkładają rzeczy w usta i wypluwają kości. Pukanie do drzwi o trzeciej nad ranem. Wcisnęłam krzesło pod klamkę i zasnęłam na pół godziny. Śnił mi się wysoki budynek wystający ze spalonej ziemi. Nie miał wejścia, tylko ogromny komin na dachu, który strzelał martwymi, nagimi ciałami w niebo.*

*Jesteśmy zdeformowanymi dziećmi upośledzonego boga. Nikt już nie wie o co w tym wszystkim chodzi.*

*Wykręcił mi rękę, ściągnął spodenki i przycisnął twarz do ściany. Nie broniłam się. Wyśmiałam go. Powiedziałam żeby lepiej stanął na wysokości zadania, bo rżnęły mnie kutasy twardsze i większe od tego smutnego rozgotowanego makaronu zwisającego między jego nogami. Kutasy, grube jak pały bejzbolowe, długie jak rury od odkurzacza, twarde jak gałęzie drzew, na których może się powiesić. Kutasy, po których można biegać, skakać jak na trampolinie i zjeżdżać na sankach. Grube chuje, które strzelają śniegiem jak armatki na stoku. Tłukł mnie pięścią w plecy, a ja się tylko śmiałam z tego, że nic nie może mi zrobić. Wkurwiłam go nie na żarty. Pół nocy plułam krwią do zlewu a on płakał za ścianą. 2:1 dla mnie. Jutro Wigilia. Pewnie coś dostanę.*

*Nowy rok, nowe postanowienia. Będziemy lepsi dla siebie i innych. Pojechaliśmy nad morze. Nikogo tam nie spotkaliśmy. Wszystko było zamknięte. Samochód padł na autostradzie. Próbowałam złapać stopa i się zerwać, ale marcin mnie przyciął jak rozmawiałam z kierowcą tira i się rozpruł starym. Niewdzięczny gnojek. Nienawidzę morza.*

*Nie zmienisz siebie. Nie zmienisz świata. Nie zmienisz nic.*

*WBIŁAM MU WIDELEC W DŁOŃ i powiedziałam, że zabiję go WE ŚNIE*

*darł się ale ja krzyczałam GŁOŚNIEJ marcin rzucił się w obronie ojca chyba wybił mi ząb rusza się w dziąśle i wydaje z siebie mokry dźwięk mam w ustach posmak metalu przynajmniej spokój ze szkołą dopóki pizda spod oka nie zniknie podkoloruję ją jeszcze Dzisiaj przeczytałam o tym, że płomień nie jest w stanie sam siebie spalić. Nie można być uczniem i przedmiotem jednocześnie. Kto zrozumie nas skoro sami nie jesteśmy w stanie siebie zrozumieć? Świat to organizm, który jest w nieustającej walce ze sobą samym cierpi na chorobę autoimmunologiczną.*

*Zafarbowałam się na zielono. Powiedział, że ogoli mi głowę na łyso.*

*WATCH HOW I PULL IT / ON KITTY COLLAR TIGHT!*
*MAKE IT SING ITS SONG / MAKE IT FIGHT!*
*MAKE IT FIGHT FIGHT!*

*Ogolił mi głowę na łyso. Stara śmiała się, choć „czuła się potwornie". Wyglądam jak dziecko gwiazd. Intergalaktyczny misjonarz, który przybył w pokoju, ale na widok Ziemi dostał raka. Czas się stąd zwijać.*

*TO wszystko musi zostać zapisane żeby nie zapomnieć. Fizycznie tu, w zeszycie, nie w pliku. Tamten świat nie istnieje. Ja istnieję. Te łzy oddechy godziny kroki sny rany słowa są prawdą, Możesz położyć na nich palce i poczuć, że zostały wstrzyknięte pomiędzy włókna papieru. Zrób to teraz! Połóż dłoń na kartkach. Wciąż są ciepłe? To mój ślad.*

*Wolność. Mokre ulice. Biegłam dopóki płuca nie zaczęły płonąć. Nigdy tam nie wrócę. Jestem głodna, w mieście, którego nie znam. Na dworcu jakiś koleś w kapturze opowiedział dowcip, którego nie pamiętam. Puenta była taka, że gdy jesteś w ciąży nigdy nie pijesz w samotności. Nie śmiałam się. Spóźnia mi się okres.*

*Jak mocny jest człowiek?*
*Bardzo*
*i nigdy wystarczająco Przyszła zima zła. Teraz mieszkam z Vincentem. Mam swój kąt u niego na poddaszu pomiędzy książkami i kablami. V. pokazał mi jak wygląda świat od spodu. Nauczył mnie jak przechodzić przez ściany. To czary. Gdy jesteśmy razem nikt nie jest bezpieczny. Pijemy wino od rana. Skreślam nazwiska z listy. Szukamy moich prawdziwych*

*rodziców. Chcę im osobiście podziękować za TE WSPANIAŁE DOŚWIADCZENIA.*

*ZERO*
*ZERO*
*NULL*
*NIC NIE ZNALEŹLIŚMY*
*ZNALEŹLIŚMY NIC*

*Czasem czuję się zimna jak odbicie w lustrze. Moja dusza dźwiga trupa. Muszę iść dalej. Nie ma przyszłości i nie ma przeszłości. Istniejemy tylko TERAZ. Świat jest DOKŁADNIE taki, jakim go sobie stworzymy. Wszystko da się zmienić. Zakoduję go od nowa Ludzie to PROCEDURA STARTOWA dla sztucznej inteligencji. Układamy górę trupów trupy na trupach trupy na trupach trupy na trupach na trupach na trupach jedne na drugich wspinają się coraz wyżej aż w końcu ostatni człowiek dotknie nieba, a niebo odpowie nam deszczem.*

*Obudziłam się w pustym mieszkaniu. Nie ma go. Zniknęły komputery i ubrania. Zniknął jego zapach i włosy w zlewie. Skasował nawet swoje zdjęcia z mojego telefonu. Wymazał się, tak jak obiecał. Do zera. Zostawił tylko jedną kartkę z poleceniem. Podobno nie da się tego spierdolić. Podobno.*

*Czytałam, czytałam tak wiele razy, że pozostały już tylko puste słowa,*
*i oczy obojętne, szare niebieskie, zamknięte, myślałam dzisiaj,*
*wczoraj, zawsze, może już nie wiem dokąd zmierzamy co*
*myśleć mam gdy pogrzebana za siebie się chowam*
*W niczyich głosach wyrażam swoje cudze myśli*
*Na smyczy na zawsze za tobą przez czas*
*Mieszkam w pałacu pod mostem*
*I kontempluję w milczeniu*
*Ile zostało z nas*
*Nie pamiętam*
*Bo utonęłam*
*W Tobie*
*Ty*

*Zostań*
*Dla mnie*
*Tylko dźwiękiem*
*Czas się nie zatrzymał*
*W pustych pokojach zapominam*
*Zapominam zapominam zapominam*
*Zapominam zapominam zapominam zapominam*
*Zapominam zapominam zapominam zapominam zapominam*
*Zapominam zapominam zapominam zapominam zapominam zapominam*
*Zapominam zapominam zapominam zapominam zapominam zapominam zapominam Gdzie jesteś, V? Wiem, że nigdy się nie dowiem. Wysyłam listy do nikogo bez adresu, na poczcie mi powiedzieli, że tak nie wolno, ale co mi tam? Pakuję plecak i znów ruszam przed siebie, tym razem do 53W2+FX (ze wszystkich miejsc na tej Ziemi!). Śmiałbyś się gdybym ci powiedziała co to za fucha. Potrzebuję znów wyjść na powierzchnię. I potrzebuję hajsu. Nauczyłeś mnie tak wiele, ale ja zapamiętam najdłużej jedno: nie wszyscy ludzie to skurwysyny. I ani razu nie zapomniałam podlać kwiatów. Widzisz? Jest we mnie jeszcze trochę człowieka. Klucze zostawiam tam, gdzie zwykle. Może kiedyś się spotkamy i będę mogła ci podziękować że zgarnąłeś mnie wtedy z tego dworca. Choć wiem, że w życiu nie ma przypadków. Prawda?*

Daniel zamknął dziennik. Wyłowił z niego zaledwie kilka stron, ale i tak poczuł, że wtargnął zbyt daleko. Zobaczył więcej niż musiał. Na drugim końcu stołu Null ściskała pusty kubek starając się ze wszystkich sił nie oderwać wzroku od okna. Ogród powoli znikał pod warstwą świeżej bieli.

*

- Mówił pan o ojcu – przypomniałam mu.

Sierpiński spojrzał na mnie osłupiałym wzrokiem człowieka, który przegapił przystanek. Być może całą masę przystanków, terminów, spotkań, obietnic, miejsc prawdziwych z nazwy i iluzorycznych granic wyznaczonych w powietrzu (jego strach narastał wykładniczo, sięgał daleko poza jedną chwilę nieuwagi, gdy pozwolił myślom odpłynąć).

Zbudzony na obcym terenie mógł wciąć żywić płonną nadzieję, że pociąg, który wiózł go w nieznane ponownie przejedzie przez jego stację (Ziemia w końcu jest okrągła), w żadnym razie nie rozpaczać nad straconym czasem i nigdy, przenigdy nie doszukiwać się przejawu łaskawości losu w zbiegu okoliczności, który rozłożył przed nim nową perspektywę z gotowym planem ucieczki od własnego życia.

- Tak. Najmocniej przepraszam – powiedział odkładając telefon z powrotem do kieszeni.

Pomiędzy poranną masturbacją pod prysznicem, a pierwszym łykiem whisky zmieścił się dzień pełen nieporozumień i katastrof. Godziny spędzone w twardej sejmowej ławie (niewygody, o których szczęśliwie zapomniał przez w głównej mierze samotne, lecz wyjątkowo spokojne święta), pierwsze noworoczne czytanie projektu ustawy budżetowej, sprawozdanie Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka dotyczące rządowego projektu dodatku do emerytur, powracający jak co zima temat smogu (na sam dźwięk słowa „rekuperacja" Sierpińskiemu przewracały się wnętrzności (ale i tak szedł w zaparte cytując naukowe pisma i po raz kolejny podkreślając konieczność wietrzenia szkolnych klatek)), znów przepychanki, znów nawoływanie do weryfikowania fake newsów i całe rzędy fałszywych uśmiechów polityków z wyprzedaży zasiadających w szeregach Polskiej Inicjatywy Patriotycznej, żądających od opozycji, by choć przez jeden dzień postarała się być merytoryczna (Spróbujcie, naprawdę, obywatele to docenią). Zaskakująco merytoryczne wystąpienia młodych wilków Ruchu Obywatelskiego w przebudowie, tłukące w nich twardymi statystykami, przed którymi nie ma innej obrony niż lekceważące machnięcie dłonią, ironiczny uśmiech, wcieranie środkowego palca w kącik oka, wystąpienia wytrawnych mówców, medialnych rzezimieszków, biznesmenów, z firmami zarejestrowanymi na brata szwagra, które nigdy nie przegrały państwowego przetargu i byłych polonistek płynących na ideologicznej fali pięcioprocentowego poparcia, których kariery to połączenie dobrej dykcji, bezczelności i szalonego szczęścia.

W chwilach takich, jak ta Sierpiński lubił spojrzeć wstecz i ocenić

dystans, który dzielił go od spokojnej przystani dostatniego, przeciętnego życia, z której wypłynął zaraz po tym jak ją własnoręcznie podpalił. Wtedy jeszcze o coś mu chodziło. *Les structures ne descendent pas dans la rue.* On potrafił wyjść z transparentem na ulicę i mówić o powrocie do normalności. Z tłumu wyłowiło go oko kamery i wysłało jego słowa w świat, wystrzeliło wysoko do góry, gdzie przez całe miesiące eksplodował jasnym światłem. Mówiło się, że niewiele osób byłoby w stanie zrobić karierę tak szybko. Nie w tym kraju. Nie bez odpowiednich znajomości. Ludzie lgnęli do niego, chcieli go słuchać. Wykorzystał siłę rozpędu, założył własną partię, przeskoczył próg już w pierwszych wyborach. Upajał się myślą, że pewnego dnia zasiądzie na tym samym miejscu, na którym zasiadał Nowak, ten sam, w którego wieko trumny wbił ostatni gwóźdź.

Przestał się pilnować. Ściskał spocone, lepkie dłonie, uwierzył w obietnice, które brzmiały zbyt dobrze, by mogły być prawdziwe, zrobił Żanecie dziecko. Związek z Wiktorią trzymał się na ostatnich niciach, aż wreszcie wylądował z hukiem w rowie. Znów był w świetle jupiterów, ale z niewłaściwych powodów. Próbował odzyskać władzę nad swoją własną historią, włożył w to całe mnóstwo czasu i jeszcze więcej pieniędzy, zwołał sztab ekspertów, by tworzyli dla niego tylko potrzebne ustawy, chciał mówić o rzeczach ważnych, wyrzucić wszystkie te wióry, którymi się tu lubowali obsypywać, chciał być krystaliczny w swoich motywacjach, realizować sejmowe motto i wypełniać wolę narodu. W momencie, gdy już wyjeżdżał na prostą, przed maskę życie wepchnęło mu kalekiego geja. Jeśli to nie jest w stanie złamać człowieka i odrzeć go ze złudzeń, być może jego upór jest ślepy, a on sam już dawno postradał zmysły.

Sierpiński wciąż był w stanie przywołać to uczucie, gdy po raz pierwszy dopadła go pewność, że świat musi go wysłuchać (jak górnolotnie by tego nie nazywać, każdy kto choć na chwilę znalazł się po drugiej stronie legislatywy, wiedział, że władza polityków w tym kraju ma niewiele wspólnego z tapetowaniem firmamentu i ogranicza się do aranżowania niewielkiego, zaniedbanego podwórka), to uczucie

leżało na samym wierzchu, w zasięgu dłoni, powodowało gęsią skórkę i mentalny wzwód, z którym mógł przemaszerować dumnie przez całą salę plenarną. Ale z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że wciąż bliżej było mu do polonistki z dobrą dykcją niż rasowego polityka. Przy życiu utrzymywały go nagłówki. Na jego szczęście dziennikarze chcieli pisać wyłącznie o tym kto kogo rucha, kogo widziano najebanego w centrum, kto do kogo i jak bardzo soczystą „kurwą" rzucił nie wyłączywszy uprzednio swojego mikrofonu. Jesteś jak biały raper w latach dziewięćdziesiątych – powiedział mu kiedyś Edwin – nie masz papierów, więc możesz rapować dwa razy lepiej ale i tak nigdy otwarcie nie przyznają, że jesteś tak samo dobry jak oni.

Polityka odebrała mu wszystko i dała mu wszystko. Dzięki polityce przestał dryfować, staczać się po równi pochyłej w kierunku niemego, głuchego i ślepego ustatkowania, w którym mógłby spokojnie się rozgościć i rozpuścić. To polityka sprawiła, że mimo lat wciąż przyglądał się światu tym samym żywym, ciekawskim spojrzeniem, którym niegdyś rozbierał koleżanki z kolonii podczas długiego, upalnego lata w Łebie (sny na jawie znalazły swój finał ostatniej nocy gdy pomyliwszy drzwi do łazienki mógł skonfrontować swoje wyobrażenia rzeczywistością, ostatecznie utwierdzając się w przekonaniu, że pewne rzeczy najlepiej pozostawić w niedopowiedzeniu). Teraz był zakochany jedynie w swojej wizji. Tylko jej pozostał przez te wszystkie lata wierny, licząc, że w przeciwieństwie do tych ułomnych, bełkoczących mięsnych tworów, czysta idea nigdy nie będzie w stanie go rozczarować.

Opuszczając sejmowe ławy wciąż myślał o gorącym piasku przylepiającym się do jego pleców i słońcu przepalającym się przez przymknięte powieki. Kiedyś łatwiej było o spokój, Ziemia naprawdę obracała się wolniej. Gdy maszerował korytarzem w otoczeniu partyjnej świty, wśród posłów wpatrujących się w niego wzrokiem psa czekającego na resztki z obiadu i szczebioczących posłanek pytających czy wypuścić twitta z komentarzem, na chwilę przed spotkaniem się z dziennikarzami, czuł się ściśnięty, sprasowany w dwa wymiary, wystarczyło przylepić do niego numer listy, slogan i gotowe. Jacek

Hyży wbił się klinem w formację i szczęśliwie porwał go ze sobą na stronę. Przez chwilę rozmawiali o świątecznym przejedzeniu i syfiastej aurze. O aferze w Gdace i zastąpieniu Wolniaka Krzyżanowskim.

- Chciałbym żebyś przejął stery – wypalił wreszcie. Moment był dobry, jak każdy inny. – Jeszcze nieoficjalnie, ale widzę w tobie lidera, Jacek. Ja muszę teraz włożyć całą głowę w kampanię i przygotować się do kwietnia. Niezależnie od wyniku będę z wami na jesieni, ale ktoś musi tu zostać i doprowadzić nas do kolejnej kadencji.

- Ja? To znaczy… - zająknął się, automatycznie prowokując w Sierpińskim ojcowski ton.

- Oczywiście, że ty, Jacku. Rozumiem, że to zakłopotanie to tylko przez grzeczność?

- Nie, to bardzo niespodziewana wiadomość. Do kiedy mam czas na odpowiedź?

- Tu nie ma co się zastanawiać. Tu trzeba działać. Jest wiele do zrobienia, jesteśmy na dobrej drodze. Mamy osiem miesięcy żeby wszystko poukładać jak należy, choć tak naprawdę to ostatnie dwa żeby wyjść do ludzi i przypomnieć o sobie. Mój udział w kampanii prezydenckiej da wam jeszcze większego kopa. Ty to rozumiesz i wiesz, co trzeba zrobić. Z kim ja mam rozmawiać, jak nie z tobą? Z Nowacką? Ja Ewę bardzo lubię, ale… - ugryzł się w język zanim wspomniał o przysłowiowych i niemetaforycznych jajach – wolę ciebie w tej roli.

Chłopak pokiwał głową ze zrozumieniem i westchnął ciężko.

- Jeśli mam być szczery, to myślę o tym żeby odejść.

Sierpiński uznał, że się przesłyszał, więc uśmiechnął się tylko czekając na dalszą część dowcipu. Gdy ta nie nadeszła uśmiechnął się jeszcze raz, ale w sposób, w który uśmiechają się ludzie przełykający ból na widoku.

- Chcesz budować coś swojego? – zapytał. – To od razu mogę ci powiedzieć, że robisz to zbyt wcześnie. Potrzebujesz dużo więcej

doświadczenia.

- Więcej niż na fotel szefa trzeciej największej partii w kraju?

- To co innego. Nie działałbyś samodzielnie.

- Dostałem propozycję od Inicjatywy. Chcą obniżyć średnią wieku w partii i przyciągnąć młodych wyborców. Są otwarci na głosy z dołu.

- Akurat – roześmiał się. – Wykorzystają cię i wyjebią po wyborach. Znam Batorego troszkę lepiej od ciebie, Jacku. Ta partia jest zabetonowana, te same ryje od trzydziestu lat.

- Zaryzykuję – odparł. – Oni będą rządzić jeszcze długo. Tu i tak mnie nic nie czeka. Bez urazy, ale nie wierzę, że przekroczymy próg. Nasz czas się skończył. To nie tylko moje zdanie.

- Co ty możesz…

Sierpiński wyhamował zanim na dobre się rozpędził. Gdyby Hyży mu na to pozwolił, mógłby przez godzinę wykładać filozofię konsekwencji w działaniu autorstwa Kazimierza Sierpińskiego, ewentualnie dźgnąć go pod żebro argumentem lojalności lub ostatecznie zdeptać podkreślając jak taki ruch może odbić się na wizerunku młodego polityka (wykorzystując do tego metaforę zaczerpniętą z porno biznesu, gdzie dobrą praktyką jest nie zaczynać swojej kariery od analnych orgii, lecz eksploatować swoje ciało stopniowo przechodząc w coraz większy hardcore). Ostatecznie tylko odchrząknął, po czym spojrzał na zegarek potwierdzając godzinę zgonu.

- Zawieszam cię w prawach członka partii Nowy Początek ze skutkiem natychmiastowym. Powodzenia – rzucił sucho i skierował się do wyjścia.

W połowie korytarza świeżo mianowany lider partii Ruchu Obywatelskiego Mariusz Krzyżanowski płaszczył się przed kamerami i mikrofonami obiecując nowy początek (choć nie było mu wcale do śmiechu, ten dobór słów wyjątkowo rozbawił Sierpińskiego). Chciał przemknąć niezauważony za jego plecami i ruszyć na lunch z Blanką.

Plan mógłby się powieść, gdyby nie kilku dziennikarzy mniejszych stacji, którzy nie zdołali przedrzeć się przez tabuny obwieszonych sprzętem kolegów z wiodących koncernów medialnych i teraz upatrzyli sobie w Sierpińskim ostatnią szansę na jakikolwiek sejmowy materiał. Chwilę później stał na neutralnym tle, doświetlony i uśmiechnięty próbując wyraźnie odpowiadać na najbardziej miałkie, napisane na kolanie pytania. Z morderczo wypracowaną lekkością opisał spokojne, tradycyjne święta, przebrnął przez podsumowanie obrad i celowo zawyżył o kilka procent wskaźnik poparcia plasujący go obecnie na drugim miejscu wśród kandydatów na fotel prezydenta (ale wciąż nie zapewniający mu drugiej tury). Spoważniał dopiero gdy dziewczyna z internetowej telewizji poli.tv streściła mu wczorajsze wydarzenia z Łodzi, gdzie w biały dzień, na ulicy Piotrkowskiej zamaskowani sprawcy zaatakowali osoby spacerujące z tęczową flagą wysyłając troje z nich na intensywną terapię.

- Oczywiście, nie umknęło to mojej uwadze – skłamał. – To bardzo przykre, że w kraju, który postrzega się jako otwarty, nowoczesny i postępowy wciąż dochodzi do tego typu sytuacji. Niestety, nic się nie zmieni w tej kwestii dopóki politycy z wiodących dwóch partii będą polaryzować naród i używać preferencji seksualnych jako narzędzia do konsolidowania swoich grup wyborczych. Jest jeszcze trzecia opcja, zdroworozsądkowa droga dialogu, porozumienia i złotego środka, po której ja i moja partia kroczymy i do której zapraszamy obie strony. Polska jest krajem wszystkich ludzi, którzy ją zamieszkują i po każdym tego typu bezsensownym akcie przemocy chciałoby się powiedzieć, że zasługuje na więcej. Nie mam nic do dodania poza tym, że życzę poszkodowanym aktywistom, aby jak najszybciej wrócili do zdrowia – podsumował, ukłonił się i wyszedł z kadru.

Do restauracji wparował spóźniony i głodny. Zaczepił kelnera i poprosił o cokolwiek da się przygotować w dziesięć minut wskazując stolik przy oknie. Blanka uniosła wzrok znad ekranu i zsunęła nogę z kolana przybierając bardziej reprezentatywną pozę. Przywitali się (jak zawsze) uściskiem dłoni.

- Trendujesz na twitterze – rzuciła przesuwając telefon po stole.

- Streść mi proszę, mam kwadrans i muszę lecieć na spotkanie w biurze poselskim.

- Nie używasz feminatywów. Poza tym pomyliłeś płeć aktywistek. Ta po lewej to Mirka, po środku masz Lunę, a ta po prawej to Vera.

Sierpiński długo wpatrywał się w ściągnięte z facebooka zdjęcie działaczek ruchu Arahja, z których według jego najlepszej wiedzy jedna przejawiała ewidentne cechy męskie, a pozostałe dwie żeńskie.

- Co? – zapytał.

- Luna identyfikuje się jako kobieta, a Vera i Mirka są jej partnerkami z którymi Luna tworzy poliamoryczny lesbijski związek.

- Co? – ponowił pytanie Sierpiński ściągając z siebie płaszcz.

Blanka wzięła głęboki oddech szukając w głowie odpowiednich słów.

- Osoba po środku posiadająca tradycyjne fizjonomiczne cechy męskie identyfikuje się jako kobieta. Natomiast pozostałe dwie osoby posiadające typowe fizjonomiczne cechy żeńskie pozostają z nią w homoseksualnym związku.

- Blanka, wyjaśnij mi proszę jak chłopak może być lesbijką?

- Może. Teraz każdy ma prawo określić swoją własną płeć.

- A to, co mamy w majtkach nie określa naszej płci?

- W XXI wieku już nie zaglądamy sobie w majtki. W skrócie: powinieneś powiedzieć „politycy i polityczki”, a ofiary nazwać „aktywistkami”.

- Czy ja mogę w takim razie identyfikować się jako prezydent? Czy złotówki na moim koncie mogą identyfikować się jako funty szterlingi? Naprawdę z całej mojej wypowiedzi wynieśli tylko to, że nie użyłem rodzaju żeńskiego?

Przed Sierpińskim wylądował talerz wypełniony kluskami chluśniętymi pikantną oliwą. *Aglio e olio peperoncino* wyrecytował kelner władający fatalnym akcentem i życzył mu smacznego.

- Mieliśmy rozmawiać o kampanii – przypomniał jej łapczywie wciągając tłuste kluchy.

- Zgodnie z harmonogramem powinniśmy zacząć werbować influencerów. Rozważamy też zaangażowanie agencji, która zorganizuje szeptankę.

- Jesteś w stanie się tym zająć?

- A jakie są szanse na powrót Welkina?

- Zerowe – odpowiedział zgodnie z prawdą.

- No to chyba nie mam wyjścia, prawda? – skwitowała Blanka, dając mu do zrozumienia, że zadania, które przed nią stawia coraz bardziej wykraczają poza jej kompetencje.

- Edwin jest zajęty – rzucił sam nie wiedzieć czemu, w końcu Edwin był jeszcze gorszym wyborem do tego zadania niż Blanka. – Załatwia mi jeden drobny temat – dodał.

Ten drobny temat, był powodem, przez który Sierpiński coraz gorzej sypiał, przez który nabawił się obsesyjnej wręcz chęci usuwania wszystkich prywatnych danych z telefonu i komputera, logował się na pocztę jedynie przy zasłoniętych oknach i co drugi dzień zmieniał hasła do Twittera i Facebooka. Ale tego Blanka już nie musiała wiedzieć.

Znalezienie adresu dziennikarza, który zbyt mocno zainteresował jego osobą zajęło Null dokładnie siedem minut. Następne cztery tygodnie upłynęły Sierpińskiemu na planowaniu jak zaradzić tej sytuacji. Wolno upływające dni żywiły jego paranoje, łapał się na tym, że układał w głowie linię obrony wobec (abstrakcyjnych! niedorzecznych!) oskarżeń o manipulowanie opinią publiczną, zamachy na wizerunek kontrkandydatów i głębiej, o tak, głębiej pomiędzy wszystkie te zbutwiałe brudy wyciągnięte z szaf, na wpół rozłożone trupy

śmierdzące mokrą ziemią i rozkładem już niebawem na pierwszych stronach gazet (znajomy czarny strach pełzał po jego plecach próbując wsiąknąć przez skórę i zamieszkać w nim na stałe). Z drugiej strony cieszył się, że nie zagregował pochopnie. Gdyby od razu zajął się tą sprawą wysłałby jasny sygnał, że ma coś do ukrycia. Wciąż nie był w stanie przejrzeć motywów Bryganta, ale jak zawsze w biznesie, życiu i polityce dobrą zasadą było nie ufać nikomu.

Równy miesiąc po sarmackim ochlaju w podkrośniewickich latyfundiach czarne Maserati zaparkowało na Saskiej Kępie. Edwin długo nie wyłączał silnika, lubił ten wkurwiony bulgot wydobywający się z czterech rur wydechowych. Auto po serwisie brzmiało lepiej, jeździło żwawiej. Stać go było na nową S-klasę, mógł w każdej chwili wejść do salonu BMW albo Audi wybrać największą, najbardziej wypasioną limuzynę, skonfigurować ją tak żeby podwoić jej wyjściową cenę, zażądać stebnowanych skór w kolorze koniaku, masujących lędźwie podparć, miliona pozbawionych gustu świecących dodatków i benzynowego silnika w opcji jebać biedę, po czym wyjechać tym potworem na warszawskie ulice i toczyć się 20 km/h po centrum wyglądając jak każdy inny prawnik, celebryta czy hurtownik koksu w tym mieście. On wolał swoje wysłużone Maserati. Wciąż było eleganckie, ale wygodne, budzące respekt i znajome. Poruszanie się w nim dawało mu uczucie szczęścia podobne do tego, które czuje człowiek przebierający się z garnituru w dres.

Za szybami szybko zapadał zmierzch. Strumień chłodnego powietrza wsuwał się przez wąską szczelinę i spływał po jego coraz bardziej zrezygnowanej twarzy. Gdyby palił wyszedłby na szluga. Gdyby nie było tak późno kupiłby kawę. Teraz pozostawało mu jedynie czekać i obserwować okna budynku po drugiej stronie ulicy w nadziei, że wreszcie pojawi się w nich światło. Jak dla mnie to możesz go nawet – powiedział Sierpiński zastępując ostatnie słowo wymownym gestem. Jadąc na drugi koniec miasta Edwin długo myślał nad sposobem, w który najlepiej byłoby uśmiercić dziennikarza. Zrobiłby to w najzwyklejszy poniedziałkowy wieczór, taki jak ten, u niego w mieszkaniu (na własnym terenie każdy z nas najszybciej traci

czujność). Wprosiłby się do środka pod pretekstem dostarczenia oficjalnego pisma. Być może zasugerował chęć przedstawienia oferty w imieniu swojego klienta. Nic brudnego, zwyczajna ugoda (ucięcie spekulacji w zamian za ekskluzywny materiał – od tego zacząłby negocjacje i z każdą odmową delikatnie podbijał stawkę). Wyczekałby odpowiedniego momentu, gdy emocje opadną, pojawią się pierwsze żarty, w jakiejś uprzednio spreparowanej opowieści z czasów studenckich wybrzmią wszystkie właściwe nuty (dzięki Null wiedzieli nie tylko gdzie spał, ale także z kim się spotykał za plecami narzeczonej, jakiej muzyki słuchał w aucie zarejestrowanym na matkę i ile razy poprawiał egzamin z komunikacji wizualnej podczas trzeciego roku). W bezpośredniej konfrontacji ten energiczny 25-latek zapewne połamałby Edwina jak zapałkę. Paralizator był pewniejszym wyjściem, ale później i tak trzeba by było użyć tępego narzędzia lub noża (wizja tłuczenia lub krojenia bezbronnej, nieprzytomnej osoby wywoływała w nim głębokie obrzydzenie). Dosypanie trucizny bazowało na zbyt wielu zmiennych. Idealnie byłoby po prostu użyć broni wyposażonej w tłumik. Rozwiązanie równie trywialne, co skuteczne i na tle pozostałych bezsprzecznie eleganckie.

Edwin miał przed oczami moment, w którym kładzie umowę na stoliku, sięga za klapę marynarki i zamiast długopisu wyciąga stamtąd kawał połyskującej stali. Ściśnięcie spustu (trudniejsze niż na filmach, trzeba użyć zdecydowanej siły (przede wszystkim pamiętać o odbezpieczeniu broni!)), pocisk natychmiast wypluty między oczy (powstrzymujący ewentualne prośby, krzyki, apele). Trup rozwalony na kanapie w fontannie czerwieni. Miałby czas żeby dokładnie posprzątać po sobie. Usunąć wszystkie ślady, zaciągnąć się zapachem obcego domu. Ile razy obejrzałby się przez ramię, by sprawdzić czy martwe oczy podążają za nim gdy spaceruje przez ciszę wycierając klamki? Co zrobiłby gdyby nagle rozległo się pukanie do drzwi?

- Sorry, stary, myślałem że to mój Uber taką furą przyjechał – roześmiany gnojek uderzył ponownie knykciami w szybę i uwiesił się na jego lusterku. – Luzik, luzik, już sobie idę – dodał, odepchnął się nabierając rozpędu i ruszył dalej zygzakiem wzdłuż ulicy w kierunku

brudnobiałej toyoty.

Jakim typem człowieka trzeba być żeby się doprowadzić do takiego stanu w poniedziałek o 18:35? Bogatym – odpowiedział sobie natychmiast Edwin. Bogatym w czas lub pieniądze. On też był kiedyś młody, ale roztrwonił swój kapitał w ławach i bibliotekach, a życie przyspieszało z każdym kolejnym rokiem. Teraz uświadomił sobie, że przez cały ten czas ubożał goniąc za majątkiem, który pozwala posiadać wszystko poza czasem. Z miejsca, w którym się znajdywał bardzo dokładnie widać było linię mety. Dawał sobie jeszcze piętnaście lat. Może dwadzieścia. Od dekady praktycznie co roku wybierał się na pogrzeb kogoś bliskiego. Ukuła go ta myśl mocno, wbiła się swoim kościstym szponem pod brodę i uniosła jego wzrok ku rozświetlonym oknom. W tej pojedynczej chwili, w bocznej uliczce na Saskiej Kępie, Edwin obiecał sobie, że zanim zamieni się w popiół nie posiądzie go żaden strach.

Wysiadł z auta, przeskoczył strumień brudnej brei płynący w dół ulicy i ruszył w kierunku bloku. W drzwiach minął się z młodą dziewczyną (ani na moment nie oderwała wzroku od ekranu telefonu). Wbiegł po schodach na drugie piętro i zapukał do drzwi.

- Miałeś być o szóstej w domu – powiedział mu wchodząc do środka.

- Korki? – chłopak wytłumaczył się pytaniem i ruszył do kuchni, z której dobiegał bulgot gotującej się wody. – Masz coś dla mnie?

Edwin rozejrzał się po pokoju. Coś się zmieniło od jego ostatniej wizyty. Miał w głowie obraz, który był bardziej bogaty w szczegóły niż zastane wnętrze studenckiej meliny udającej dorosłe mieszkanie. Z parapetów poznikały kwiaty, ze ścian zdjęcia. W przedpokoju zauważył tylko męskie buty.

- Masz coś dla mnie? – zapytał ponownie.

- Nie udało mi się nic zdobyć. Wydarzyło się coś i muszę być bardziej ostrożny. Wszystko wskazuje na to, Tomaszu, że będziemy

musieli zawiesić naszą współpracę.

- Zaraz, zaraz – obruszył się. – Nie tak się umawialiśmy. Ja wiem, że ryzykujesz, ale ja tu kładę na szalę moją reputację i wiarygodność. Rozmawiałem już z pewnymi osobami i powiem ci, że brud na Sierpińskiego jest w cenie.

- Nikt cię o to nie prosił. Wręcz przeciwnie, kazałem ci siedzieć na dupie i czekać na komplet materiałów, ale oczywiście, czego ja mogłem się spodziewać po… - oszczędził mu inwektywy. – Sierpiński wie, że węszysz.

- Skąd? – zadał pytanie, na które i tak nie spodziewał się otrzymać odpowiedzi. – I co teraz? Zostawiasz mnie z niczym?

Edwin przysiadł na oparciu od kanapy, wciąż w płaszczu, którego nawet nie rozpiął. W jego mniemaniu ta rozmowa miała nie trwać dłużej niż pięć minut. On już czuł, że się zasiedział.

- Mam dla ciebie inne rozwiązanie, które może cię usatysfakcjonować. Oczywiście, jeśli będziesz chciał podjąć ryzyko.

- Mów.

- Sierpiński chce sprawdzić jak dużo wiesz, dlatego wysłał mnie tu żebym ustawił między wami spotkanie – wyjaśnił Edwin. – Weź wszystko, co ci dałem i pokaż mu, że nie blefujesz. Powiedz, że jest tego dużo więcej. Kiedy złoży ci propozycję, po prostu ją przyjmij. Chyba nie muszę ci mówić, co masz zrobić gdy zapyta o źródła?

- I tyle?

- Tak, tyle. Bądź uprzejmy, pewny siebie i uśmiechnięty. Ciesz się, że coś z tego masz, bo mogłeś nie mieć nic. Przyszły wtorek piętnasta, w biurze poselskim przy Kruczej. Zapisz.

Chłopak wyjął niechętnie telefon z kieszeni i wstukał datę do kalendarza.

- To mógłby być początek pięknej kariery – westchnął, ale już z uśmiechem.

- Na chuj ci kariera jak masz pieniądze? – zapytał Edwin ruszając do wyjścia.

Drzwi zamknęły się za nim cicho. Zszedł na dół ponownie mijając dziewczynę przylepioną do ekranu. Ćmiła cienkiego szluga kadrując selfie wykonane w windzie (gdy był zdenerwowany nie umykały mu żadne szczegóły). Przeszedł przez ulicę, wsiadł do auta i wybrał numer Sierpińskiego.

- Załatwione – powiedział mu. – Spotka się z tobą we wtorek.

- Dzięki, Edwin.

Sierpiński odetchnął odkładając telefon z powrotem do kieszeni. Przez chwilę błądził nieobecnym wzrokiem po pomieszczeniu, aż wreszcie zakotwiczył go na mnie. Długo wpatrywał się w moje czoło z największym zaciekawieniem, jakby skóra nagle stała się przezroczysta odsłaniając wszystkie pulsujące myśli.

- Mówił pan o ojcu – przypomniałam mu ponownie.

- Tak! Oczywiście! Najmocniej panią przepraszam, ale mam tak wiele… dzisiejszy dzień cały. Z resztą – wytłumaczył się nie tłumacząc nic. – Ojciec… - zamyślił się tym razem nie tracąc koncentracji. – Kupił to mieszkanie. Pomagał mi przez cale życie. Ale o tym już pani wie. Co jeszcze mogę o nim opowiedzieć?

- Jakim był człowiekiem? Chciałabym go poznać – wyjaśniłam. – Wiem, że piszemy książkę o panu, ale każda opowieść wymaga skonstruowania świata, którego wycinek ostatecznie pokazujemy odbiorcy. Inaczej czytelnik będzie czuł brak, oszustwo, to, że świat przedstawiony nie jest żywy, a jedynie stworzony na potrzeby jego rozrywki, jak fasady odmalowane na trasie przemarszu, potiomkinowska wieś.

- Zamierza pani tego wszystkiego użyć? – zapytał.

- Jeszcze nie wiem czego zamierzam użyć. Na razie jesteśmy na etapie zbierania materiałów.

- Chciałbym wydać tę książkę w marcu – przypomniał naciskając miękko i z uśmiechem.

- Pamiętam o tym.

Oparł łokcie na stole, złożył ręce, a na kopule zaparkował swoją brodę. Wygonił wzrok przez ogromne okno za którym zakorkowana Warszawa przedzierała się przez brudną breję z powrotem do domu. Pomyślał o Juracie, odliczył cztery dni.

- Jest jedna historia – zaczął, – i jeśli ją opowiem będzie pani drugą osobą, która ją zna. Mój ojciec – pociągnął nie dając sobie szansy, by się wycofać, – cierpiał na pewną przypadłość: nienawidził lekarzy. Nie będzie mi żaden doktorzyna wsadzał palca w dupę – tak zwykł mawiać. Fakt, on nigdy nie chorował. Nie odwiedzał nawet dentysty. Pomimo czternastogodzinnego dnia pracy przeżył moją matkę i wszystkich swoich braci. Zawsze mówił, że to przez ten rower, na którym wszędzie jeździł. Jak jego stara koza się rozpadła kupił sobie najtańszego górala z marketu. Później, gdy kolana zaczęły dawać o sobie znać, przesiadł się na rower elektryczny, ale i tak najczęściej wyłączał napęd i pedałował na nim codziennie do roboty. Auto wyciągał z garażu tylko jak lało albo spadł śnieg. Ludzie w mieście mówili, że prezes jedzie i od razu było wiadomo, że jak się odwrócą zobaczą starego Sierpińskiego w garniturze i ze skórzaną aktówką zawieszoną na kierownicy – uśmiechnął się do wspomnień.

- Ironia losu jest taka, że gdyby pozwolił jakiemuś lekarzowi się zbadać, może dowiedziałby się w porę o raku prostaty. Diagnozę usłyszał jak nowotwór zadomowił się w kościach i węzłach chłonnych. W tamtych czasach jedyną dostępną metodą leczenia była chemioterapia. Ojciec oczywiście odmówił. Nie miał zamiaru żreć trucizny, łysieć i rzygać do kubła, jak to sam określał. Wymyślił sobie, że odejdzie z godnością, czyli zwijając się z bólu i lejąc pod siebie we własnym łóżku – ciągnął Sierpiński głosem z którego zniknęły barwy.

- Oczywiście, nie zamierzałem mu na to pozwolić. Uruchomiłem swoje kontakty i namierzyłem klinikę w Bostonie, w której stosowano z wielkim powodzeniem leki antyandrogenowe

zmniejszające wytwarzanie testosteronu. To była wtedy eksperymentalna terapia, która kosztowała krocie, ale jeśli chodzi o własne życie, to kto się liczy z kosztami, prawda? – zapytał. – Pamiętam, że pojechałem prosto do ojca, to była ostatnia sobota miesiąca. Wiedziałem, że będzie siedział jak zwykle na zakładzie i wypełniał papiery. Wparowałem do jego biura, otworzyłem laptopa i pokazałem mu wszystko po kolei: w jednej zakładce klinikę, w drugiej cennik, w trzeciej opinie i rokowania pacjentów, w następnej rezerwację biletów na samolot. Wyznaczyłem mu całą drogę, od fotela prosto do nowego życia – dokładnie tych słów użyłem. Ojciec się obruszył, wziął mnie za frak, jakbym wciąż miał dwanaście lat i wypchnął przez drzwi prosto na salę produkcyjną. I ty myślisz, że ja mam to wszystko teraz poświecić dla kilku miesięcy? – zapytał. Mam zwolnić ludzi, zamknąć firmę, a ciebie zostawić z niczym? Tobie chyba rozum odjęło.

- Kazał mi się wynosić. Przestał odbierać moje telefony. Gdy chciałem się z nim spotkać, odpisywał, że jest zbyt zajęty. Kłamał, że czuje się coraz lepiej. Zerwał wszystkie kontakty, zabronił mi mówić komukolwiek o swojej chorobie, uparł się, żeby przemilczeć resztę dni, które mu zostały. W końcu ja też odpuściłem. Człowiek nie jest w stanie pomóc komuś, kto nie chce pomocy. Kilka miesięcy później ból po raz kolejny położył go do szpitala, ale wciąż nie był w stanie złamać jego charakteru. Zaciskał zęby i konsekwentnie odmawiał chemii, ale tym razem już się nie zażądał wypisu. Na ostatniej prostej podawali mu już tylko morfinę. Bałem się go odwiedzić, bałem się tego, co tam zobaczę. Pisałem wiadomości i czekałem na jego zwykłe „wszystko w porządku", „traktują mnie tu dobrze", „mam wszystko czego mi trzeba". Wreszcie pewnego grudniowego poranka dostałem telefon z informacją, że odszedł – powiedział wzdychając ciężko. – Takim właśnie człowiekiem był mój ojciec.

Fotel skrzypnął. Sierpiński wstał i ruszył z pustym kubkiem do kuchni. Odkręcił wodę, wymył go dokładnie i odstawił na suszarkę. Wytarł dłonie w ścierkę i zawiesił ją na uchwycie od piekarnika, odwrócił się w stronę salonu i przyglądał mi się długo odczuwając wyrzuty

sumienia i ulgę w jednakowych proporcjach.

- Proszę o tym napisać – odezwał się wreszcie, jego głos znów przybrał przyjemny, gościnny ton. – Wiem, że ojciec znienawidziłby mnie za to, że handluję jego historią, ale z drugiej strony czuję, że w pewien sposób jestem mu winien upamiętnienie. Pani nie jest przekonana?

- Bynajmniej, natomiast na pewno oszczędziłabym czytelnikom kilku cytatów natury fizjologicznej – odpowiedziałam.

- To zrozumiałe.

- Czuję też, że moglibyśmy nadać tej historii bardziej współczesny wydźwięk i wykorzystać ją jako element budowania pańskiego charakteru i systemu wartości.

- Co dokładnie ma pani na myśli?

- Na przykład podczas kluczowej rozmowy z ojcem w biurze, czy myśli pan że to możliwe, aby zamiast „nowego życia" użyć frazy „nowy początek"?

Sierpiński pokiwał głową z uznaniem.

- Subtelne. Ale wymowne. Podoba mi się. Zawsze imponowało mi takie przywiązanie uwagi do detalu, precyzyjny dobór słów i umiejętność wyłowienia z czyjejś wypowiedzi tylko tego, co istotne. Przypomina mi pani w tym kogoś… – uciął czując, że wkracza na zbyt grząski grunt. Chciał się wycofać w porę, ale błysk dostrzeżony zaledwie kącikiem oka, zdążył skierować jego spojrzenie ku dawno zarośniętym ścieżkom. Uczucie utkwiło w nim jak ostry paproch pod powieką. Nie pozwalało się zignorować (bo oto rozwinęły się przed nim dwie perspektywy tego wieczoru, pierwsza, w której domyka wątki i odprowadza mnie do drzwi i druga, mogąca potoczyć się w każdy inny sposób). Nabrał ochoty by rozpiąć pasy, odrzucić choćby na jedną rozmowę rygor budowania monolitycznego wizerunku Sierpińskiego i podążyć za pragnieniem do samego końca (bo czy może być coś przyjemniejszego niż uczucie dryfowania w chwili, gdy

słowa płyną, płyną bezwładnie z ust uwiedzionych własną melodią, a każda myśl stroi?).

- Wiem ile ryzykuję proponując whisky w obecności osoby władającej piórem, ale jak rozumiem, obowiązuje panią tajemnica zawodowa? – zażartował.

- Proszę się nie przejmować. Jak każdy twórca, kradnę od wszystkich, ale na szczęście nigdy nie podaję źródeł.

Sierpiński uśmiechnął się, napełnił kryształowe szklanki, wręczył mi błyszczące narzędzie, przyjął znieczulenie i rozłożył się wygodnie na stole.

*

Poniedziałek, 19 stycznia w Polsce. „Wolniakowanie" zostało uznane za Młodzieżowe Słowo Roku w plebiscycie zorganizowanym przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Zgodnie z zaproponowaną definicją osoba, która „wolniakuje" nieskrępowanie i nad wyraz dobitnie wyraża swoje nierzadko kontrowersyjne poglądy. Choć „wolniakować" można na dowolne tematy, kontekst wypowiedzi najczęściej dotyczy kwestii politycznych oraz społecznych.

W geście protestu przeciw ustawie antyaborcyjnej zaśnieżonymi ulicami Warszawy przemaszerowało ponad dwadzieścia tysięcy kobiet. To reakcja na śmierć Julianny Kulki, szesnastolatki, która razem ze swoim o rok starszym partnerem postanowiła przeprowadzić aborcję domowymi metodami według instrukcji znalezionej w internecie. Gdy podczas procedury nastolatka zaczęła obficie krwawić, jej partner uciekł z wynajętego mieszkania, zostawiając dziewczynę bez możliwości ratunku. „Jesteśmy przedmiotami" powiedziała Marietta Potocka z ugrupowania NORMA podkreślając, że obecnej sytuacji kobiet w Polsce nie da się naprawić pojedynczą ustawą, lecz globalną zmianą sposobu myślenia. „Współczesna kobiecość, wyemancypowana i pewna siebie to reklamowy insight, który pomaga sprzedawać produkty, ale nie ma żadnego odzwierciedlenia w prawie, języku, płacach czy obyczajach. Jak może być inaczej, skoro nasz kod

kulturowy od zawsze umieszczał kobietę w roli ozdoby, dodatku. Skoro w języku, którym posługujemy się na co dzień jesteśmy synonimiczne z tylną częścią naszego ciała, definiowane przez naszą fizyczność. Proszę sobie wyobrazić zwrot „niezłe ch*je idą" zastosowany w odniesieniu do atrakcyjnych mężczyzn. Nie walczę o semantyczny symetryzm, ale istnieje wiele problemów, które warto poruszyć kontekście obecnej sytuacji kobiet w Polsce, niestety żeby skutecznie zwrócić na nie uwagę naszych mężów stanu musiałabym wypisać je sobie na cyckach" ironizowała ubiegająca się o fotel prezydenta szefowa Narodowej Organizacji Monarchistycznej.

Kilka godzin po przytoczonej wypowiedzi na Instagram zalały zdjęcia użytkowniczek, które na swoich dekoltach umieściły hasła, takie jak „prawo do aborcji", „stop przemocy", „równość" czy „nie jestem przedmiotem", a na szczycie listy najpopularniejszych hashtagów na Twitterze znalazło się hasło akcji #kobietatonieprzedmiot. Do protestu przyłączyły się również liczne brandy odzieżowe, modowe i lifestyle'owe. Ekskluzywna marka biustonoszy Bravado postanowiła nawiązać kontakt z czołowymi influencerkami platformy proponując swoje produkty w zamian za umieszczenie ich na fotografiach, fakt który został ujawniony, a następnie powszechnie skrytykowany jako anty-przykład real time marketingu. „W imieniu marki Bravado chciałbym przeprosić wszystkie kobiety które poczuły, że zbagatelizowaliśmy ich problemy. Wyciągnęliśmy już odpowiednie konsekwencje wobec naszych pracowników oraz agencji reklamowej, która jest pomysłodawcą całej akcji. W ramach dodatkowego zadośćuczynienia zdecydowaliśmy także, że przekażemy kwotę pięciuset tysięcy złotych Fundacji Lux Aeterna działającej na rzecz poprawy jakości życia kobiet po zabiegu mastektomii" – wyjaśniła w wydanym jeszcze tego samego dnia oświadczeniu właścicielka marki Bravado Melora Creager. Według niektórych specjalistów z branży reklamowej wystosowane przeprosiny są elementem uprzednio zaplanowanej strategii, według której Bravado nie przestaje w sposób cyniczny i wykalkulowany wykorzystywać obecnego zrywu społecznego do budowania rozpoznawalności własnego brandu.

Trwa protest nauczycieli w przasnyskim liceum po tym jak zostali oni oskarżeni o dyskryminację i psychiczną przemoc wobec jednego z uczniów. Według rodziców szesnastoletniego Pawła Romańczuka ustawiczne wystawianie mu negatywnych ocen i określanie jego odpowiedzi niedostatecznymi mocno zachwiało samooceną nastolatka. „Wyrywkowe przepytywanie z wiedzy i orientacja na wynik są przestarzałymi metodami wprowadzającymi niepotrzebną i krzywdzącą presję w szkolne ławy" – oznajmił ojciec chłopca. Rodzice Pawła rozpoczęli już współpracę z psychologiem, który ma wspierać ucznia w odbudowywaniu jego kontenansu i zapowiedzieli, że podejmą kroki prawne wobec pięciu nauczycieli liceum, do którego uczęszczał ich syn. W odpowiedzi kadra nauczycielska przasnyskiego liceum od tygodnia wystawia wyłącznie oceny bardzo dobre niezależnie od stanu wiedzy uczniów. MEN nie zajęło stanowiska wobec zaistniałej sytuacji.

W dzień po premierze z desek Wrocławskiego Teatru Współczesnego zdjęto sztukę „Miłuj bliźniego swego". Według zapowiedzi tytuł miał być „aktualnym obrazem polskiej religijności oraz dogłębną analizą przyczyn laicyzującego się społeczeństwa". Niemałe było zdziwienie widzów, którzy już w pierwszym akcie sztuki ujrzeli kobietę masturbującą się krzyżem do rytmu muzyki GG Allina oraz niesymulowany stosunek analny dwóch mężczyzn, którzy wkroczyli na scenę w przebrani w różowe stroje liturgiczne. „Człowiek ma prawo błądzić! Wszystkie grzechy odpuszczone!" miała grzmieć do mikrofonu czarnoskóra aktorka wcielająca się w postać Jezusa, którą przywiązano do krzyża, a następnie zanurzono po szyję w smole i wytarzano w piórach. Przedstawienie zostało przerwane po zaledwie piętnastu minutach. „Zostaliśmy wprowadzeni w błąd przez reżysera i aktorów. Na próbach wyglądało to zupełnie inaczej" – tłumaczył się dyrektor naczelny WTW Wojciech Kowalewicz. „Jeżeli nasze przedstawienie, w którym aktorzy z własnej nieprzymuszonej woli oddawali się aktom seksualnym wywołał w widzach tak potężny szok, to nie wyobrażam sobie ich reakcji gdy dowiedzą się, że w polskim kościele katolickim dochodzi do podobnych czynów, z tą różnicą, że biorące w nich udział osoby są manipulowane przy użyciu wiary,

zastraszane i w większości przypadków niepełnoletnie” – skomentował autor sztuki Armand Hasko. Aktorom i reżyserowi zostały postawione zarzuty z Art. 196. Za obrażanie uczuć religijnych grozi im grzywna lub kara pozbawienia wolności do lat dwóch. Sztukę skrytykowały także środowiska LGBTQ, określając ją jako „niepotrzebną prowokację nie wnoszącą nic w dialog pomiędzy kościołem, katolikami i mniejszościami seksualnymi funkcjonującymi w naszym krańcowo skłóconym państwie”.

Nie żyje Antoni Boryczko, przedsiębiorca, założyciel technologicznego startupu Digital House, którego firma została doprowadzona do bankructwa na skutek urzędniczego błędu. Przypomnijmy, spółkę objęto postępowaniem skarbowym po tym jak fiskus zarzucił jej niepoprawne stosowanie zerowej stawki podatku VAT. W konsekwencji decyzji Urzędu Kontroli Skarbowej zabezpieczono kwotę 35 milionów złotych należących do firmy. W toku śledztwa prowadzonego najpierw przez Prokuraturę Rejonową w Białymstoku, a następnie przez Sąd Rejonowy w Wołominie i Prokuraturę Okręgową w Warszawie Antoni Boryczko trzykrotnie usłyszał wyrok uniewinniający zarzucanym mu czynom. Za każdym razem fiskus odwoływał się od decyzji sądu przedłużając urzędniczą procedurę i uniemożliwiając startupowi odzyskanie zamrożonych środków. W lipcu zeszłego roku, po dziesięciu latach bezowocnej batalii sądowej Antoni Boryczko złożył wniosek o upadłość. Tego samego dnia podpalił się pod siedzibą Izby Administracji Skarbowej w Warszawie protestując przeciw urzędniczej bezkarności. Zainteresowanie mediów oraz presja społeczna pomogły przedsiębiorcy, bo niespełna miesiąc później Sąd Najwyższy prawomocnym wyrokiem nakazał zwrócić firmie Digital House zajęty majątek dodatkowo nakładając na dyrektora UKS w Białymstoku karę zadośćuczynienia w wysokości pięciu tysięcy złotych. Po incydencie w lipcu zeszłego roku Antoni Boryczko przebywał na oddziale intensywnej terapii szpitala Bielańskiego, a następnie kontynuował rekonwalescencję w zaciszu domowym. Tej nocy jego stan uległ nagłemu pogorszeniu, a próby ratowania życia przeprowadzone przez medyków, którzy zostali wezwani na miejsce, nie przyniosły rezultatu. Żona przedsiębiorcy

odmówiła komentarza.

- Blanka, Blanka? – przerwał jej. – Co to ma być?

Podniosła wzrok znad ekranu i rozejrzała się po wytwornie urządzonym, choć nieco przykurzonym gabinecie. Nad głową Sierpińskiego unosiły się nagie ciała wiedźm, satyrów i demonów zatraconych w lubieżnym tańcu (czy chciałabyś żyć przepysznie? (czasem marzyła o tym by ktoś wyszeptał jej te słowa do ucha w ciemnej szopie)). Uwielbiała ten obraz. Chciała być tam teraz, wolna i lekka jak myśl, nie tu pod karcącym spojrzeniem i wciśnięta w ciasne godziny spotkań.

- Poranny briefing. Dzisiejsze wiadomości – odpowiedziała maskując irytację w głosie, gdy zrozumiała, że od dziesięciu minut produkowała się na próżno.

- Ale ja umiem czytać.

- Mam informować cię o najważniejszych wydarzeniach w kraju, w których warto zabrać głos. Takie zadanie mi powierzyłeś.

Sierpiński schował twarz w dłonie i syknął głośno, jakby w jego głowie otworzył się właz i doszło do dekompresji.

- Czytanie nagłówków. Uważasz, że za to ci płacę? Tak? – huknął. – Od kilku tygodni biegamy jak kura bez głowy próbując przyczepić się do byle gównonewsa. Tu skomentujemy, tam wbijemy szpileczkę, może rzucimy żarcikiem żeby ktoś udostępnił. Czy takie działania sprawiają, że posuwamy się w sondażach? Czy mamy plan jak to zmienić? Odpowiedz sobie, Blanka. Strategia Welkina była dobra. Mieliśmy nadawać ton tej dyskusji, moderować nastrój i być o krok przed oponentami. Wcześniej nam się to udawało. Teraz gonimy ogon – wstał i ruszył energicznie do okna, w którym świat nakrył się oślepiającą bielą. – Jest za cicho. Za cicho – powtórzył wpatrując się w delikatnie opadające płatki śniegu. – Krzyżanowski ma już praktycznie tyle samo poparcia, co Wolniak przed debatą. Batory całuje rączki biskupów, obiecuje dodatki rolnikom, żulom dorzuca do wina, kurwa mać, jak będzie trzeba obieca bezchmurne niebo przez całe wakacje i

dopłaty do parawanów, a my co mamy? – oparł czoło o lodowatą szybę i poczuł ulgę. – Dlaczego nasz team interaktywny już się nie stara?

- Sam kazałeś przystopować z propagandą w social mediach.

- Interpretowaniem bieżących wydarzeń – poprawił ją. – Teraz mają z powrotem napierdalać. Kopać dziury głębiej i wyciągać wszystko, co w nich znajdą. Duże hasła. Proste teksty. Cała naprzód. I tak do samych wyborów – wybuchnął śmiechem i natychmiast spoważniał. Spoglądał przez szybę zaparowaną oddechem coraz bardziej zbity z tropu, zupełnie jakby pierwszy raz usłyszał brzmienie swojego głosu, ujrzał rozmyte odbicie groteskowej twarzy wykrzywionej emocjami, które przyszły mu tak naturalnie i zmieniły ją w coś, czego nie był w stanie rozpoznać. – W ten sposób nic nie osiągniemy – skwitował. – Potrzebujemy lepszego planu.

- Moim zdaniem – zebrała w sobie wszystkie siły – moim zdaniem powinniśmy skupić się na kolejnej debacie. Ta będzie organizowana na neutralnym terenie, więc warto poruszyć tematy, w których rząd Batorego niedomaga, na przykład służba zdrowia, edukacja, prawa kobiet. Zbudowałeś swoje poparcie łącząc ludzi, a teraz przeszedłeś do ataku nie proponując nic w zamian.

Krzesło skrzypnęło. Blanka poczuła delikatne mrowienie w lewym pośladku, a sekundę później do gabinetu wpadła z pieśnią na ustach Chumbawamba. W panicznym odruchu wyrwała telefon z kieszeni spodni i cisnęła nim przed siebie prosto pod nogi Sierpińskiego (upadam i wstaję, nie powstrzymacie mnie, upadam i wstaję śpiewał głos i wyły gitary). Nienawidziła muzycznych dzwonków, bo ubijały ulubione utwory w papkę, zdzierały je do kompletnego znieczulenia, ale tego nie ustawiała sama. Zrobił to Husky gdy wpisywał swój numer (leżeli na wymiętej pościeli w nogach łóżka dopalając skręta, wpatrując się w krople spływające po oknie w dachu (wydawało im się, że cały dom jest łodzią, która kołysze się w rytm podmuchów zimnego wiatru (podniósł jej telefon z szafki nocnej, zrobił im zdjęcie i powiedział, że teraz jej już nigdy nie da jej spokoju (wyparła ten fakt,

jak wszystko inne z nim związane (od kiedy ją postrzelił nie odważył się zadzwonić))))).

Sierpiński spojrzał w dół i przez chwilę rozważał roztrzaskanie ekranu podeszwą, miał już przygotowany cały ruch, spięte mięśnie i obrany cel (roześmianą twarz gnoja, którego wziął za jej syna). Pozwolił mu się wykrzyczeć. Zanurkował po telefon, ruszył z nim przez gabinet i bezceremonialnie wyrzucił za drzwi. Dźwięk pękającej obudowy odbił się echem po korytarzu.

- Ostatni raz – powiedział jej – ostatni raz wchodzisz tu z włączonym telefonem. Następnym razem wyrzucę też ciebie – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Blanka podniosła się z krzesła. Poczuła ból w nodze, wyraźny i ostry, zupełnie jak tamtej nocy, gdy czołgała się po mokrym asfalcie w kierunku torebki, z której wypadły kolorowe wnętrzności. Leżała na brzuchu tracąc ciepło i próbując wystukać numer ratunkowy trzęsącymi się palcami. Usłyszała dźwięk uruchamianego silnika i pisk opon.

- A co do twojej pożal się boże strategii to pamiętaj, że Polska jest krajem, w którym możesz być za lub przeciw, inaczej nie masz własnego zdania, nie istniejesz – powiedział patrząc przez nią na drzwi, jakby stała się przezroczysta. – Koniec strzelania na oślep. Sprowadź mi tu Welkina. Nie wiem jak to zrobisz, możesz go wykopać spod ziemi, ale ma tu wrócić i dokończyć to, co zaczął. Greta zostaje. To wszystko.

Warkot silnika stawał się coraz głośniejszy. Próbowała wstać, ale sił starczyło jej tylko, by odepchnąć twarz od brudnego asfaltu. Ziemia drżała, szum kół pędzących prosto na nią narastał, ujrzała siebie wyciętą ze strumienia światła i rozciągniętą w nieskończoność w noc. Zamknęła oczy. Auto przemknęło tuż obok jej ucha, wystarczająco blisko, by usłyszeć schowany w ryku silnika śmiech. Przez odrzucone podmuchem włosy zobaczyła oddalającą się parę świateł. Wzięła telefon do ręki i zadzwoniła po pomoc. Dwie godziny później chirurg wydłubał z jej nogi centymetrowy kawałek kamienia. Jest pani pewna,

że do pani strzelano? – zapytał policjant o nieruchomej, napęczniałej twarzy osiedlowego boksera. Postanowiła wcielić się w głupią pijaną dupę, za którą ją miał i zeznała, że w sumie nic nie pamięta. Usłyszała za plecami głośny huk, wpadła do rowu. Może to był tłumik. Może się potknęła.

Nigdy cię dam ci spokoju – powiedział zanim zrobił im zdjęcie. Wykadrował siebie, wpisał numer, ustawił dzwonek i przewrócił się na bok żeby pieprzyć się jeszcze raz. Spod popękanego ekranu wyglądała para różnokolorowych oczu, które nigdy nie przestawały jej śledzić. Widziała je w tłumie na dworcu, wyglądały na nią spod kapturów zgarbionych cieni snujących się w bocznych uliczkach nieopodal jej domu. Blanka wytarła łzy. Co ja sobie myślałam? – zapytała na głos. Nikt nie odpowiedział. Była tu sama, w kiblu na końcu korytarza nadmorskiej posiadłości, ze spuszczonymi majtkami i rozbitym telefonem w ręku, z ciężkim strachem siedzącym jej na ramionach jak wielkie czarne ptaszysko wbijające swoje szpony coraz głębiej w skórę, moment przed odlotem w absolutną ciemność. Spojrzała w dół, przesunęła palcami po udzie wyczuwając wszystkie drobne nacięcia i zagłębienia, białe linie i gwiazdki, ślady innych strachów, wspomnienia podobnych szarych dni. Przedarła się przez nie wszystkie, jak przez ciężkie kotary, zawsze odnajdując wyjście z labiryntu.

Przypomniała sobie o metalowym pudełku zakopanym pod drzewem, czerwonym latawcu, zapachu ostatniego dnia lata, tańcu na dachu auta, o innej nocy w innym świecie, innym ciele. Miłości, która błysnęła i zgasła zostawiając jedynie wypalone białe ślady na skórze i pod powiekami. Podniosła telefon i wydłubała kawałek zbitego ekranu. Nie mam przeszłości – powiedziała do siebie. Tak bardzo chciała w to uwierzyć. Wbiła szkło w skórę i zaczęła kreślić kolejną linię, sięgając coraz głębiej. Świat otworzył się, rozstąpił na boki i wpuścił do środka oddech. Drugi oddech. Trzeci oddech. Każdy coraz spokojniejszy. Słodki, znajomy ból okrył ją ciepłem, zagłuszył resztę myśli. Gęsta krew spływała po wewnętrznej stronie uda i kapała leniwie do muszli. Długo patrzyła jak czerwień sączy się ze świeżej

rany, błyszczy w światłach i krzepnie. Ona też krzepła, zmieniała się z ubitej rozpłakanej pulpy z powrotem w porcelanę.

Drzwi otworzyły się. Usłyszała szum wody i mój głos, mówiący do siebie wszystkie te brednie, które wypowiada człowiek, gdy wydaje mu się, że nikt go nie słucha. Wytarła krew, przyłożyła papier do rany, naciągnęła spodnie na tyłek i otarła łzy. Przeszła z ubikacji do łazienki, stanęła przy drugim lustrze, przemyła opuchnięte oczy i wyciągnęła podkład z torebki. Nałożyła go na policzki i poprawiła różem.

- Mam nadzieję, że nie powiesz nikomu o tym, co tu usłyszałaś – powiedziałam.

- Mam nadzieję, że nie powiesz nikomu o tym, co tu zobaczyłaś – odpowiedziała Blanka.

Jej telefon zadzwonił ponownie. Wygrzebała go z torebki, przesunęła palcem po strzaskanym ekranie, wyjaśniła, że nie może rozmawiać i rozłączyła się.

- Co tam? – zapytała widząc, że wciąż jej się przyglądam.

- Krwawisz.

Bordowa plama rosła na jej udzie.

- Okres – rzuciła tonem, który kazał mi się odpierdolić, zdjęła z wieszaka długi płaszcz, zapięła go i ruszyła do wyjścia (stuknięcia obcasów coraz lżejsze z każdym krokiem). Oparła dłoń na klamce i zatrzymała się zerkając przez ramię, szukając lepszych słów.

- Wcześniej pracował z nami pewien człowiek, nazywał się Artur Welkin. Odszedł kiedy dowiedział się, że Sierpiński zamierza cię zatrudnić. Co wiesz o nim?

- Welkin? – zamyśliłam się. – Nie kojarzę nazwiska.

- Pomóż mi go odnaleźć. To bardzo ważne – powiedziała zanim zamknęła za sobą drzwi.

*

Edwin patrzył przez szybę na brudną breję mieszaną w korycie ulicy przez pędzące samochody i myślał o tym, że lepsze czasy już nie wrócą. Znów było na plusie. Powietrze stało się nieznośnie wilgotne, wszystko ociekało wodą, spod śniegu wyjrzały niepozbierane psie gówna. Świat był z gówna, tylko dobrze się ukrywał przez ostatni miesiąc. Ciepłe dni wydawały się wyblakłym szkicem nierealnego wspomnienia. Poprzedniego wieczora leżał rozciągnięty i zapadnięty w kanapę, tę samą na której Oskar zbawiał świat wymachując padem, na której oglądali czarno-białe filmy, obżerali się tapasami i rozlewali wino. Wspominał dni, w których składał głowę na jego kolanach i odpływał usypiany przez monotonny brzęk zderzanej stali i ciepło jego ciała. Bolały go plecy i głowa, butelka była pusta, jak on, jak dom. Gapił się w sufit przez godzinę i nie doszedł do żadnych wniosków. Wciąż nie potrafił odpuścić. Czytał wiadomości, które wysyłali do siebie po nocach, oglądał zdjęcia z wyjazdów do lepszych miejsc, w których widok dwóch mężczyzn trzymających się za ręce nikogo nie dziwił.

Czasem zdarzały mu się jaśniejsze dni, te w których ciął przez życie na oślep próbując pogodzić pracę w kancelarii, zlecenia od Sierpińskiego, sfermentowane śmieci pod zlewem, pustą lodówkę, rezerwę paliwa i wizyty w urzędach. Te dni, w których po powrocie do domu padał na ryj i zasypiał w koszuli i jednym bucie na krawędzi łóżka. Czuł, że jego świeca spala się z obu stron, ale wolał zatracić się w tym pędzie niż zatrzymać i znów o nim myśleć. Rano przełykał z kawą żal, zapinał koszulę i przedzierał się przez miasto zagłuszając wrzaskiem silnika i muzyką głosy mówiące mu, że ktoś taki jak Oskar był przypadkiem nie mającym prawa się wydarzyć, bez szans na jakiekolwiek „dłużej" tym bardziej „zawsze", okrutne głosy mówiące, że widział w Edwinie tylko pieniądze, był z nim z litości. (Gdy śnimy tak długo jeden sen zapominamy, że istnieje jakiś inny świat, poza tym, który rozkwitł w naszej głowie).

Zdarzały się też dni, w których poważnie myślał nad uśmierceniem Kazimierza Sierpińskiego. Trucizna w whisky, mocniejsze pchnięcie ze

schodów, pożar wschodniego skrzydła w Juracie (zapewne jakieś zwarcie), ostatecznie broń (w czyjejś dłoni, za pieniądze, z oddali, bez związku). W ramach ćwiczeń przeprowadzał mniej lub bardziej zuchwałe zamachy na jego wizerunek. Wysyłał anonimowe donosy nieprzychylnym mediom, umawiał się z dziennikarzami gotowymi ubrać w soczyste akapity wszystko, co udawało mu się wyciągnąć potajemnie z szuflad jego biurka. Knuł jeszcze większe zbrodnie. To w Sierpińskim ulokował cały swój gniew za niemoc, za bezruch. Był gotowy pójść razem z nim na dno.

Na skrzyżowaniu wysiadła sygnalizacja. Samochody stały w rzędzie jeden za drugim, srebrne i czarne puszki oblepione mokrym brudem w kolorze bez nazwy, pełne jednakowych ludzi o jednakowo znudzonych twarzach czekających tak jak on na koniec świata, jakiś fantastyczny kataklizm, który zdjąłby z ich barków raz na zawsze ciężar niepodjętych decyzji.

- Gdzie ten chuj? – burknął Sierpiński sprawdzając zegarek. – Powinien być tu dziesięć minut temu.

- Korki – odpowiedział mu Edwin bezwiednie.

Wreszcie usłyszeli głosy za ścianą. Głuche uderzenia butów wycieraczkę, ciche uprzejmości, stuknięcie w drzwi. W progu stanął na oko dwudziestopięcioletni chłopaczyna, łysy jak kolano i owinięty czarnym szalem pod sam nos. Dopiero gdy się z niego odpakował ujrzeli bujny, wypielęgnowany zarost, który dodawał mu nieco (choć niewiele więcej) powagi.

- Przeprowadzimy tę rozmowę w obecności mojego prawnika – oznajmił Sierpiński.

Mężczyzna skinął wymieniając z Edwinem krótkie spojrzenie. Krzesła skrzypnęły, w ciszy zasiedli do stołu. Dziennikarz otworzył plecak, wyjął z niego segregator pełen dokumentów, wyłożył na blat skany zdjęć, powielone w nieskończoność kserokopie, zrzuty ekranu, wydruki przedstawiające linijki kodu i komentarze zakreślone żółtym markerem, po czym zaczął układać je pedantycznie róg do rogu (cała

ta operacja trwała dłużej niż powinna i sprawiła, że gotująca się w Sierpińskim wściekłość zaczęła powoli stygnąć). Gdy skończył podniósł wzrok i uśmiechnął się w bezczelny sposób, w jego oczach nie było krzty skrępowania czy strachu. Mieli wiedzieć, że przyszedł zabić smoka.

- Szanując pański czas, pozwolę sobie od razu przejść do sedna – zaczął, – panie Sierpiński, jak pan się z pewnością domyśla wszedłem w posiadanie materiałów obciążających pańską osobę. Z tych materiałów jasno wynika, że pański sztab wyborczy wykorzystuje w kampanii prezydenckiej nieuczciwe praktyki, takie jak produkowanie i promowanie fake newsów oczerniających kontrkandydatów, moderowanie komentarzy na forach i stronach serwisów informacyjnych czy wręcz przeprowadzanie bezpośrednie ataków DDoS na strony polityków reprezentujących inne ugrupowania. Jeśli pan chce jestem gotów omówić po kolei prezentowane tu dowody, lub mogę zawęzić moją prezentację tylko do szczegółów, które bezpośrednio wiążą pana ze sprawą.

- Będę wdzięczny za skróconą wersję.

- W tym folderze – powiedział przesuwając po stole pokaźny segregator – znajdzie pan zrzuty ekranów postów, które zostały udostępnione z trzydziestu pięciu facebookowych i twitterowych profili. Są to linki prowadzące donikąd. Ich zadaniem jest przekazywanie odpowiednio spreparowanych treści za pośrednictwem nagłówków i krótkiego komentarza. Wszystkie profile zostały założone w tym samym tygodniu i użyto ich do udostępniania oraz płatnej promocji wprowadzających w błąd informacji.

- I jaki to ma związek ze mną?

- Jest pan jedynym kandydatem, którego one nie dotyczą.

- I na tej podstawie wysuwa pan swoje oskarżenia? – pokręcił głową zrezygnowany (gest, którego zamierzał użyć jeszcze wielokrotnie podczas tej dyskusji).

- Idźmy dalej. W tym folderze – chłopak wskazał równie opasły

segregator – znajdzie pan przykłady dwudziestu tysięcy – podkreślił – dwudziestu tysięcy komentarzy w serwisach informacyjnych, na forach o tematyce politycznej oraz portalach społecznościowych, które krytycznie odnoszą się do pozostałych kandydatów ośmieszając, szykanując lub w niektórych przypadkach oskarżając ich o niepotwierdzone lub wprost nieprawdziwe działania. Liczba krytycznych wypowiedzi dotyczących partii Nowy Początek oraz osoby Kazimierza Sierpińskiego: zero.

- Innymi słowy zebrał pan przypadkowe cytaty z internetu żeby potwierdzić wyssaną z palca teorię. Z całym szacunkiem, spodziewałem się prawdziwej bomby, a widzę, że przyniósł pan jedynie garstkę teorii uszytych bardzo grubymi nićmi – uśmiechnął się spoglądając na Edwina i wymuszając na nim, by on także uniósł kąciki szczelnie zaciśniętych ust.

- Otóż myli się pan. Jest coś co łączy te komentarze. Proszę popatrzeć na nazwy użytkowników – wyłożył na stół stronę gęsto zadrukowaną regularnymi rzędami znaków i przeczytał kilka z nich – uiTOn32, ErPIG03, Astor71, sELio18, anADE72, BRian84. Dostrzega pan wzór?

- Nie – skłamał.

- Pięć znaków. Dwie cyfry. Algorytm dobiera litery tak, żeby przypominały prawdziwe słowa dbając o odpowiednią liczbę samogłosek, ale to wciąż generator nazw losowych, powie panu to każdy średnio ogarnięty programista.

- Przypuśćmy, jak absurdalnie by to nie zabrzmiało, że ma pan rację i faktycznie te komentarze zostały wygenerowane przez algorytm. Wciąż nie widzę ani jednego dowodu łączącego mnie bezpośrednio z tą sprawą. Mamy za to mocno naciąganą opowieść pisaną pod zamówienie opozycji, która włącznie z przedstawionymi tu dowodami – chwycił słowo palcami w cudzysłów – może równie dobrze być zawoalowaną próbą zdyskredytowania mojej osoby. Ktoś zadał sobie wyjątkowo wiele trudu…

- Tu – przerwał mu chłopak zagrywając kolejną kartę. – To kod źródłowy pańskiej strony, zakładka aktualności. Na wierzchu niewinnie wyglądające ogłoszenie o pracę, poszukiwana asystentka biura poselskiego z doświadczeniem na podobnym stanowisku. Ale jeśli zagłębić się w kod… - uśmiechnął się. – Polecam zaznaczony fragment.

Sierpiński przyjrzał się ciągowi znaków i teatralnie westchnął.

- To kod heksadecymalny. Rozszyfrowany brzmi: „jeśli potrafisz to przeczytać, być może potrzebujemy kogoś z twoim zestawem umiejętności. Wiesz jak nas znaleźć".

- Jak sam pan widzi moja wiedza dotycząca programowania jest zerowa. Moimi stronami zarządza zewnętrzna firma i ja nie mam kompetencji, by kontrolować ich działania.

- Firma Everybody Schandenfreude, zarejestrowana pół roku temu w Malezji, logująca się między innymi z krajowego adresu IP, który należy do prywatnej osoby zamieszkałej w Juracie przy ulicy Świętopełka 49, zgadza się?

Sierpiński wbił w dziennikarza parę stalowych oczu. Twoje ciało stoi przed tobą, wyobraź je sobie jako odbicie, któremu spoglądasz na plecy – przypomniał sobie słowa Daniela – gdy poruszysz dłonią, ono też się poruszy. Pozostań zawsze w jego cieniu. Wykorzystaj ten dystans i wydawaj świadome komendy. Sierpiński wciąż nie do końca rozumiał jak miało mu to pomóc w chwilach próby, ale i tak zdobył się na wizualizację swojego awatara rzucającego się dziennikarzowi do szyi (żylasta, świeżo ogolona czaszka przewracająca w panice oczyma z językiem wyrzuconym na brodę, nogi wściekle tłukące piętami w błyszczący parkiet (wyciskałby z niego życie do ostatniej kropli, podziwiając swoje odbicie w rozwartych strachem źrenicach aż zamieniłyby się w szkło)).

- To wszystko? – zapytał.

- Bynajmniej – chłopak uśmiechnął się unosząc brwi. – Teraz chciałbym poruszyć wątek pańskich wypadków.

- Obawiam się, że na ten temat napisano już wszystko – odparł.

- W takim razie mam nadzieję, że uda mi się pana ponownie czymś zaskoczyć.

Dziennikarz rozłożył przed nimi zdjęcia głębokich bruzd wyrytych w ziemi prowadzących do pogiętego wraku, pola obsypanego błyszczącym szkłem, powiewającego na wietrze plastikowego worka spod którego wystawała kobieca dłoń.

- Czy to naprawdę konieczne? – zapytał przysuwając do siebie fotografie, by przyjrzeć się szczegółom.

- Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że tak. Ile to już lat minęło? Piętnaście?

- W lipcu szesnaście – odpowiedział z oddali.

Krótka chwila, w której żył przez całe lata (wspomnienia wracały falą przeszywającą bólem wybitych kręgów i złamanych żeber), ale teraz, stojąc na poboczu swojej osobistej tragedii, nie mógł pozbyć się wrażenia, że oglądał jej nazbyt dramatyczną, ostentacyjnie przekłamaną rekonstrukcję. Czarna limuzyna z drzwiami wyłamanymi pędem, wypchniętą przednią szybą i bokiem zawiniętym wokół drzewa, zniszczona o wiele bardziej niż we wspomnieniach, w których oswoił się z uczuciem bezwładności, gdzie zawsze był przygotowany na uderzenie. Odmalowywał tę scenę bez końca pokrywając płótno kolejnymi warstwami, za każdym razem rozjaśniając nieco barwy, wygładzając kształty. Przysunął do siebie zdjęcie Wiktorii na metalowym łożu. Nie zestarzała się ani o sekundę. Prawie zapomniał jak była piękna, nawet w śmierci. Pomyślał, że byłoby mu wstyd pokazać się z nią teraz na mieście (jego poharatana walką o jutro twarz nijak nie przystawała do jej filmowej urody). Zamknął oczy i wziął głęboki wdech, powietrze pachniało świeżo skopaną ziemią i benzyną, było ciepło i tak cicho, a on nie potrafił przestać się trząść, jakby wewnątrz jego ciała wybuchła burza śnieżna. Sen w śnie, w którym zamarzał znikając w bieli. W dłoniach gasł mały płomień. Przekreślony ogień. W czterech prostokątach rozświetlone wnętrze,

zamieszkały dom pełen znajomych zapachów. Na podłodze plama czerni, jad sączący się powoli z otwartej rany w sercu, której nie potrafił i nie chciał zatamować.

- Panie Sierpiński – powtórzył dziennikarz.

Gdy otworzył oczy ujrzał postać wyrysowaną na tle okna, za którym znikał dzień. Chwilę zajęło mu zanim przypomniał sobie dlaczego tu jest. Mężczyzna pochylił się nad stołem i rozgarnął zdjęcia szukając właściwej fotografii. Jego ruchy były pospieszne, palce zostawiały mokre ślady na krawędziach błyszczących odbitek.

- Panie Sierpiński, materiały, które zebrałem wskazują na to, że podczas wypadku, w którym zginęła pana żona w aucie przebywały trzy osoby – powiedział spoglądając w dół. – Proszę spojrzeć na te zdjęcia. Zostały wykonane na miejscu zdarzenia przez lokalnego fotografa i nigdy wcześniej nie były opublikowane. Na dwóch z nich możemy wyraźnie dostrzec fotelik dziecięcy wpięty w tylną kanapę auta. Kolory obicia, charakterystyczne wypustki i sposób montażu pozwalają zidentyfikować go jako model Cybex Sirona przeznaczony do przewozu dzieci w kategorii wiekowej od zera do czterech lat.

- I czego to ma niby dowodzić? – zapytał Sierpiński.

- Ponieważ nie mam dostępu do wszystkich policyjnych dokumentów, w tym najważniejszego raportu z miejsca zdarzenia, wkraczamy w sferę spekulacji, ale uważam, że celowo ukrył pan przed opinią publiczną istnienie pańskiego dziecka. Nie mam pojęcia czy przeżyło wypadek, ale z całą pewnością mogę stwierdzić, że włożył pan wiele energii w to, by zatrzeć po nim wszelkie ślady. Nie bez znaczenia pozostaje również fakt, że pierwsze doniesienia z miejsca wypadku mówiły o polityku podróżującym „z rodziną”.

- Bardzo dobrze pan to określił, to są czyste spekulacje. Nic więcej.

- Moim obowiązkiem jako dziennikarza jest dociekać prawdy za wszelką cenę, zadawać pytania, także te niewygodne. Liczę, że nowe wątki zainspirują kogoś do ponownego otwarcia akt i

przyjrzenia się tej sprawie. Tak wiele rzeczy wciąż pozostaje tu niejasnych. Przede wszystkim okoliczności samego wypadku, brak śladów hamowania, które są odruchem bezwarunkowym w sytuacji zagrożenia, niezwykle późny przyjazd policji, brak wyników rutynowego badania na obecność alkoholu. W pierwszym zeznaniu przypisał pan winę sobie, dopiero w oświadczeniu wydanym następnego dnia pojawia się tajemnicze drugie auto, które rzekomo zajechało panu drogę.

- Tak – potwierdził Sierpiński. – Miałem wstrząśnienie mózgu, uraz kręgosłupa, trzy złamane żebra i straciłem półtora litra krwi. W tym stanie mogłem równie dobrze zeznać, że jestem Królową Brytyjską – rzucił nie kryjąc irytacji. – Chce pan rozdrapywać stare rany? Proszę bardzo, jestem przyzwyczajony. To nic więcej jak kolejne desperackie zamachy na mój wizerunek, które nie tylko ośmieszą moją opozycję, ale także pana. No chyba, że nie zamierza się pan podpisywać się pod tymi oszczerstwami?

- Zastanawia mnie też przekazywanie sprawy z rąk do rąk do samego umorzenia. No i jest jeszcze ten policjant, który miał złożyć nowe zeznania, ale nie zdążył, bo zmarł – chłopak szedł w zaparte. – Panie Sierpiński, proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja pana o nic nie oskarżam, ja nie zajmuję stron. Nie wykluczam też, że za pół roku okaże się, że za atakami hakerskimi i trollingiem stała grupa internetowych anarchistów, albo przypadkowych dzieciaków ze zbyt dużą ilością wolnego czasu w życiu i być może odkryjemy, że nikt nie wydobył z wraku dziecka, a pijany proboszcz faktycznie zajechał panu drogę, a także, o czym za chwilę porozmawiamy, że rządowa limuzyna, pod kołami której zginął Romuald Zakrzewski posiadała przegląd, jej kierowca stosowne uprawnienia, a pan wcale nie wracał z klubu nocnego Sogo, w którym wystawiono panu rachunek wysokości półrocznego uposażenia poselskiego, ale zanim to się wydarzy spragniona opinia publiczna dostanie swoją paszę i znów z pełną gębą będzie mogła wypowiadać się w sprawach, które jej kompletnie nie dotyczą – powiedział i skrzyżował ręce na piersi. – Sam pan dobrze wie, jak to działa. Nie liczy się cel, tylko podróż. Jak

w tym przysłowiu.

Sierpiński przykrył dłońmi fotografie i odsunął wszystkie zimne trupy i wygięte blachy w stronę dziennikarza, po czym podniósł się do pionu i rozprostował. Grymas bólu przeszył jego twarz.

- Poproszę o chwilę cierpliwości. Muszę rozmówić się z moim prawnikiem – powiedział.

- Oczywiście.

Gdy wychodzili chłopak był zajęty organizowaniem zdjęć w trzy osobne pedantycznie ułożone sterty, przy których czekały otwarte segregatory.

- Zapaliłbym – powiedział Sierpiński gdy stanęli w korytarzu. – Ed, nie masz fajka?

Spojrzał przez ramię nerwowo, jakby spodziewał się, że nakryją ich dorośli. Z biura dochodziło szczekanie drukarki wypluwającej z siebie kolejne dokumenty, monotonny głos spowiadał się słuchawce ze swoich pospolitych trosk.

- Możemy zabrać to do sądu, ale chłopak ma w jednym rację, sprawa z tak dużą ilością wątków będzie ciągnęła się miesiącami. Nie unikniemy rozgłosu. No i zapomnij, że poznamy źródła, w tym przypadku chroni go tajemnica dziennikarska. Z drugiej strony skoro zgodził się na to spotkanie, to poczuł krew nosem i na pewno liczy, że padnie propozycja. Najprostszym rozwiązaniem będzie mu ją po prostu złożyć. Zabezpieczymy materiały, podpisze klauzulę poufności, dostanie bonus pod stołem i więcej o nim nie usłyszysz.

Sierpiński wysłuchał Edwina, pokiwał głową i poklepał go przyjacielsko po ramieniu. Nabrał płuca pełne powietrza, otworzył drzwi gabinetu i ruszył do stołu wolnym krokiem, z rękami w kieszeniach. Gdy je wyjął dłonie miał pełne grzechoczących breloków. Wysypał je na stół przed dziennikarzem i zajął swoje miejsce naprzeciwko. Chłopak przyjrzał się stercie plastiku. Dostrzegł wytłoczone, połyskujące logotypy Ferrari, Maserati, Porsche i

Mercedesa. Rozpoznał charakterystyczną kobrę należącą do Shelby, szczególnie zaintrygował go staromodny klucz przypięty złotym łańcuszkiem do eleganckiego skórzanego futerału, niewątpliwie relikt minionej epoki w której luksus nie kłaniał się pospólstwu a klasa średnia chadzała pieszo. Na wytartym metalu dostrzegł ledwie widoczne skrzydła.

- Jest kilka drzwi, które możesz teraz wybrać, włącznie z tymi, przez które tu wszedłeś – wyjaśnił mu Sierpiński. – Więc wybieraj.

- Tak po prostu? – zapytał.

- Tak. Tak po prostu.

Chłopak uśmiechnął się i zatoczył wzrokiem koło po pomieszczeniu, od kluczyków przez szczelnie zamknięte drzwi, Edwina spoglądającego za okna nieustająco zblazowanym wzrokiem, coraz gęstszej warszawskiej szarości, w której rozbłysły uliczne latarnie, łodzi walczących z żywiołem, całej tej rozpaczy oprawionej w złote ramy, barku pełnego kosztownych trunków, których smaku jeszcze nie poznał, Sierpińskiego wyczekującego na decyzję i propozycji, którą mu złożył zalegającej na stole górą połyskującego, drogocennego metalu i chromu, pachnącego skórą i prawdziwą jak zastrzyk żywej adrenaliny prosto w korę. Bezpośredniość tego aktu, sprawiła, że poczuł coś na kształt szacunku wobec starego polityka, który choć raz zdobył się na odwagę, by nie udawać. Dał sobie jeszcze chwilę, mimo, że nie miał żądnych wątpliwości, po czym pochylił nad stołem i przesunął wszystkie kluczyki w stronę Sierpińskiego zostawiając sobie jeden.

- Zawsze uwielbiałem konie – odparł wodząc palcem po symbolu Ferrari.

- Doskonały wybór – przyznał Sierpiński. – A teraz zrobimy tak. Ja sprzedam to auto i przeznaczę wszystkie środki, żeby zrujnować twój wizerunek. Co ty na to? Pista raczej przybiera na wartości, więc masz przeciw sobie dwa miliony złotówek.

- Pan chyba nie słuchał tego, co ja…

- Gnoju – przerwał mu – przychodzisz tu oskarżać mnie o największy przekręt w historii polskiego internetu, zatrudnianie hakerów i myślisz, że ja się do tego spotkania nie przygotowałem? – na stole wylądował z hukiem laptop. Sierpiński uniósł wieko i wcisnął spację. – Niebawem każdy człowiek w tym kraju zobaczy jak walisz konia pod animowane porno z mackami.

Z miejsca, w którym stał, Edwin nie mógł dostrzec ekranu. Słyszał za to żywiołową muzykę, cienkie głosiki popiskujące w ekstazie i ciężkie sapanie do rytmu dłoni ślizgającej się po obficie nawilżonym przyrodzeniu. Widział to bezgraniczne przerażenie wstępujące na twarz dziennikarza, który z otwartymi ustami obserwował swoje własne morderstwo w toku. Oprawca nie spieszył się, by zadać ostateczny cios.

- A jak to nie zażre są przecież jeszcze twoje domowe produkcje. Ta dziewczyna już nie jest z tobą, co? Zablokowała cię na fejsie. Wie w ogóle, że ją nagrywałeś? – zapytał go i uruchomił kolejny film. Ekran wybuchł mu w twarz ostrym światłem. Rozległy się bluzgi pełne bólu, soczyste klapsy i znajomy głos (o, kurwa, tak, wytrzymaj, już prawie doszedłem).

- To jest twój koniec, nagrany i gotowy do powielania w internecie i poza nim. Jest tego więcej. Chcesz zobaczyć wszystko czy mam się ograniczyć jedynie do szczegółów, które wiążą pana ze sprawą ty pierdolony bezczelny idioto. Twoja dupa należy teraz do mnie i zobaczysz jak to jest być naprawdę ruchanym. Po czymś takim nie pomaga nawet zmiana nazwiska. Musiałbyś sobie twarz zoperować, wyjechać z kraju. Ale przyjaciele i rodzina na zawsze zapamiętają cię w ten sposób. Jak zdrowie mamy, tak przy okazji? Odstawiła leki przeciwzakrzepowe? Teraz to już tylko szczepienie przeciw wzw b zostało. Termin operacji w kwietniu. Może się przesunąć. Kto to wie z naszą służbą zdrowia?

Nie odpowiedział. Zerwał się z krzesła i zaczął pakować dokumenty do torby byle jak, kartki sypały się na podłogę. Schylił się po nie, spojrzał na Edwina. Ten odwrócił wzrok. Za oknem błysnęły światła karetki.

Przebiła się przez skrzyżowanie i pofrunęła dalej ponad tłumem w kierunku centrum.

- Odłóż to. Wszystko zostaje. Twój telefon też – powiedział Sierpiński wychodząc zza stołu. Jego głos odzyskał zwykły medialny, kompletnie rzeczowy ton.

- Mogłem to wszystko nagrać. I wysłać – spróbował.

- Tu nie ma zasięgu. Nie wierzysz? Sprawdź. No dalej!

Chłopak wyjął telefon z kieszeni i wpatrywał się długo w ekran tępym wzrokiem. Wreszcie odłożył go niechętnie na stertę dokumentów i wycofał się pod ścianę. Z największym wysiłkiem uniósł wzrok i ponownie przerzucił spojrzeniem po pomieszczeniu wyglądając przy tym jak małe wystraszone zwierzę (Sierpiński, Edwin, Sierpiński, Edwin) a później zamarł czekając na polecenia, bo wiedział, że jego słowa nie miały już żadnej mocy.

- W twoim najlepszym interesie jest dopilnować żeby wszystko, co się tu dziś wydarzyło i wszystko o czym dyskutowaliśmy zostało między nami. W przeciwnym razie – nie dokończył, jedynie wskazał laptopa, z którego wciąż dochodziły ciche odgłosy kopulacji. – Włamania i kradzieży komputera też bym na twoim miejscu nie zgłaszał, bo może nagle się odnaleźć ale z dyskiem pełnym dziecięcej pornografii.

Chłopak skinął. Rozumiem – powiedział na głos, uznając, że skinienie może nie wystarczyć. Przez dłuższą chwilę nic się nie wydarzyło. Sierpiński stanął przy drzwiach i uchylił je lekko. Dziennikarz wypadł przez nie jak przeciąg. Przemaszerował sztywnym krokiem przez biuro poselskie i bez słowa wyparował na ulicę.

Zostali sami, w wymownej ciszy, którą smakował jak najlepszą whisky, rozcierał po podniebieniu upajając się tym niewielkim zwycięstwem.

***

Przed świtem kroczy najpotężniejsza ciemność. Słońce wciąż pozostaje

odległym snem, okrąża skulony świat zbudowany z domysłów osiem stopni poniżej linii horyzontu. Pod rozgwieżdżonym niebem rozciągają się połacie księżycowego śniegu przykrywającego skalisty kręgosłup jej wysokości.

Jadę po powierzchni zamarzniętej rzeki w głąb doliny Adventalen. Mijam ruiny lotniska zbudowanego przez nazistów, na którym w długie noce takie jak ta lądowały samoloty celując ryczącymi silnikami pomiędzy słabe rzędy światełek tlących się na kaskach klęczących górników. Zbite z desek baraki oszlifowane wiatrem, ruiny zepchniętego w nurt bombowca. Dalej jeszcze więcej metalowych szkieletów. Dwa zardzewiałe łóżka pozostawione po środku tej nicości. Ledwie widoczne ślady ludzi, którzy zanim przegrali z naturą polegli przed własną pychą. One także znikną, lodowata pustka upomni się po nie i pożre je powoli, czas wyrówna wszystko do zera. Nawet ziemia wypycha tu kości na powierzchnię, traktując człowieka jak chorobę, którą trzeba wyleżeć i wydalić.

Gdy rozpędzam się lodowate powietrze wdziera się w szczelinę pomiędzy goglami i maską przeciągając po skórze zimnym szkłem, gąsienica wyrzuca w górę kłęby bieli, które rozpływają się i opadają łagodną falą. Po trzydziestu kilometrach jazdy na zachód teren staje się zbyt stromy, a śnieg zbyt głęboki, by kontynuować podróż. Zwalniam, zatrzymuję skuter i wyłączam silnik. Zdejmuję kask i stoję tam długo z parującą głową zasłuchany w pierwotną ciszę, którą nie sposób się nasycić. Ślad płóz i te kilka kroków w śniegu to jedyne dowody na moje istnienie. Wspomnienia są zawsze spekulacją.

Ona i tak mnie odnajduje. Wiadomość czeka zapisana ołówkiem na kartce rzuconej na stół. Zdejmuję z siebie kurtkę, stukam butami w podłogę, strzepuję śnieg ramion i brody. Skóra pali, palce z trudem zaciskają się w pięść. Wstawiam wodę i wchodzę pod prysznic. Gorący strumień przestrzeliwuje mnie na wylot, rozbija na małe kawałki i składa z powrotem w całość. Na zegarze wstaje dzień, za oknami nie zmienia się absolutnie nic. Zakładam szlafrok, parzę kawę i siadam w salonie wpatrując się w kartkę zapisaną rzędem cyfr. Nie zastanawiam się czy powinienem oddzwonić. Ta decyzja została już dawno podjęta,

w innej rzeczywistości, przez osobę, za której błędy wciąż muszę płacić. Wybieram numer i wysyłam sygnał na drugi koniec Ziemi. Gdy odbiera słyszę jej śmiech. Pewny siebie, bezczelny jak zawsze, uderza melodią, której nie potrafię zapomnieć. Mówi, że wyczuła tu mój zapach, jej zwykłe brednie, że ktoś inny mnie potrzebuje. Wie, że przyjadę, że nie odmówię jej i sobie tej przyjemności. Odkładam słuchawkę nie wypowiedziawszy ani jednego słowa.

Łóżko na górze skrzypi. Podnoszę wzrok i słucham wyobrażając sobie jak przewraca się na drugi bok, nurkuje głową pod kołdrę szukając resztek snu. Przez uchylone zasłony zagląda księżyc oświetlając czarne, lśniące kosmki włosów rozrzucone po poduszce i zwinięte ciało odrysowane w pościeli unoszące się w powolnym rytmie oddechu. Zanim się obudzi mnie już dawno nie będzie.

Część czwarta

## KOPIA BEZ ORYGINAŁU

Zanim zaczniemy muszę włożyć ci do głowy kilka obrazów.

Morze.

Wielka płachta szarości falująca pod twoimi plecami. Długie, potężne fale rozbijają się o brzeg plując strumieniami piany pod wiatr. Unosisz się i opadasz odpływając powoli w stronę horyzontu.

Niebo

nad tobą jest pełne gwiazd, dostrzegasz ich tak wiele, wypełniają całą ciemność. Każda z nich to słońce, takie jak nasze. Wypala się po cichu i rośnie. Wyciągnij dłonie przed siebie, rozsuń je na boki, odepchnij mocniej i płyń na drugą stronę. Twoja głowa jest głęboko pod powierzchnią, tam nie dociera do ciebie żaden dźwięk. Zobacz jak gwiazdy ulatują wokoło niczym pęcherzyki powietrza i gasną jedna po drugiej. Świat przelewa się przez świat. Twoje ciało nie waży nic, nie ma już góry ani dołu, lewej ani prawej strony. Pozostał tylko oddech bujający tobą niczym ledwie wyczuwalny morski prąd. W czerni pojawia się płomień.

Nie widzisz go, ale czujesz wyraźnie, bo płonie w tobie. Wybucha ciepłem w splocie słonecznym i rozpływa żyłami po same granice twojego ciała. Wypływa dalej, koniuszkami palców, każdym kręgiem wzdłuż pleców, ustami i czubkiem głowy. Nie zaciskaj dłoni, pozwól mu uciec. Nic na tym świecie nie należy do nikogo, ale wszystko jest ze sobą połączone siecią zależności, których nie potrafimy dostrzec.

Wydech.

Nie ma ciebie. Stajesz się czystą energią, której przeznaczeniem jest się rozproszyć. Możesz być wszędzie jednocześnie i nie potrzebujesz oczu, by zajrzeć pod każdy kamień. Zobacz, z czerni wyłaniają się niewyraźne kształty. Twój blask wyjmuje z mroku lśniące kontury

poza definicją. Nie zbliżaj się do nich jeszcze, musisz być gotowa. Masz tylko jedną szansę, by przyjrzeć im się z bliska zanim twoja wola przetopi każde z nich w kopię wspomnienia. Gdy będziesz gotowa przegryź kapsułkę.

I płyń.

Pod zamkniętymi powiekami Null ustał ruch. Daniel położył się na twardej podłodze obok ciała, w którym nie było nikogo. Jej duch unosił się w cieniu pod sufitem poddasza i ulatywał wyżej, w ciemność, której drzwi po raz kolejny stanęły otworem. Zapuszczali się w nią coraz głębiej eksplorując labirynty jednakowych korytarzy w poszukiwaniu czego właściwie? Tylko ona mogła to wiedzieć. Odpowiedzi leżały zagrzebane tysiąc kilometrów wewnątrz jej głowy. Chwycił jej dłoń (była bezwładna i ciepła) i zamknął oczy. Chciał, być pierwszą osobą, którą Null ujrzy po powrocie.

Piętro niżej Kazimierz Sierpiński dostrzegł zza firanki czarną limuzynę parkującą przed bramą jego posiadłości. Z kaloryfera buchało gorące powietrze, temperatura na zewnątrz spadła dziesięć stopni poniżej zera. Za samochodem unosiły się kłęby gęstego dymu. Rozgrzany silnik roztopił lód z maski, ale dach wciąż był pokryty białymi grudami, które nie poddały się prędkości. Drzwi otworzyły się z impetem. Rozpoznał postać, która wysiadła z rozgrzanego wnętrza prosto w otrzeźwiający mróz. Sekundę później na parterze rozległ się dzwonek domofonu. Pozwolił mężczyźnie czekać obracając pilota od bramy w kieszeni, muskając kciukiem wypukłości przycisków, przez cały czas zastanawiając się czy to litość, desperacja czy ciekawość sprawiły, że Welkin odpowiedział na wezwanie. Ostatecznie postanowił nie mieszać w to emocji (od narzędzi nie oczekuje się respektu, mają wyłącznie spełniać swoją rolę). Sierpiński wyjął dłonie z kieszeni, skrzyżował je na piersi i patrzył jak czarne auto zbliżało się do posesji zarzucając tyłem na nieodśnieżonej drodze.

Parter tonął w świetle. Dzień wdzierał się przez odsłonięte okna do kuchni, w której jak co rano spędzałam czas patrząc śmierci w oczy. Migoczący kursor odmierzał kolejne bezpłodne sekundy, z kieliszka do

wina wypełnionego w połowie kawą wystawał język pary. Pani wybaczy – uśmiechnął się Bart przemykając niczym duch przez puste salony. Jeszcze jedna *carte blanche*, bo nikt tu nie śmiał kwestionować moich metod. Każde z nich stało otwarte jak rodzinny dom (choć do niektórych musiałam wtargnąć siłą, związać dłonie, wepchnąć w usta knebel i przyłożyć zapalniczkę do zasłon). Ale brak słów nie uwierał, skoro natchnienie mogło nadejść lada moment. Usłyszałam niski pomruk, dobiegający zza okna. Czarne auto okrążyło rondo z zamarzniętą fontanną. Silnik zamilkł. Ze środka wysiadł mężczyzna, zaciągnął się po brzegi płuc kryształowym powietrzem i zaczął kroczyć przez wysoki śnieg. Mój wilk. Teraz. Tam na dole. A pod nim ziemia nasączona krwią, w której zakopano przeszłość, pod jego stopami dłonie otwierające się jak usychające kwiaty. Przeciąg zdmuchnął parę znad kieliszka, spłynął zimnem do brzucha.

***

Trzy miesiące nocy. Teraz czuję się jakbym patrzył prosto w słońce. Okno zalewa mnie światłem, fotel naprzeciwko jest czarną, rozmytą plamą na sześciu nogach, z której wyłania się dłoń trzymająca kieliszek.

- Pozwólcie, że zostawię was samych. Podejrzewam, że macie sobie wiele do powiedzenia.

Sierpiński znika za drzwiami. Dwie z nóg, zamieniają się miejscami. Dłoń cofa się w ciemność i wraca po chwili prezentując opróżnione naczynie spływające spienionymi resztkami. Zerkam w kierunku wyjścia. W zamku jest klucz, ale stracę zbyt wiele czasu próbując go obrócić. Jeśli nie popełnię błędu, być może nie będzie takiej potrzeby. Kroki na korytarzu oddalają się i gubią się wśród trzasków dobiegających z kominka. Zrywam się i wbiegam z impetem w ciemność. Fotel przewraca się na plecy, kieliszek wystrzeliwuje w powietrze, ona przelatuje przez oparcie i uderza głową w parkiet. Układam jej ręce wzdłuż ciała, siadam okrakiem krępując je na wysokości łokci. Chwytam za szyję, a drugą dłonią zamykam usta i przyciskam z całej siły do podłogi. Brzęk szkła. Świadomość wraca jak

odczyniony urok. Czuję zęby zaciskające się na mojej skórze, nogi wijące się za plecami, kolana uderzające kręgosłup, naprężone ciało, które próbuje mnie zrzucić. Szpilki spadają ze stóp. Wbija we mnie swoje spojrzenie, wściekłe, żywe, brudnoniebieskie.

- Obiecałem ci, że cię zabiję – mówię zaciskając palce, napierając na nią całym ciężarem, każdym kilogramem.

Ona gryzie mocniej, po policzkach spływają strugi ciepłej krwi i błyszczą na mahoniowych deskach. Wokół jej głowy rozrzucona czarna korona z włosów sprawia, że wygląda jak okrutna ikona jakiegoś zakazanego, bestialskiego kultu. Bełkocze zaklęcia dusząc się pod moją dłonią. Zawieszam twarz nad nią wystarczająco blisko, by przejrzeć się w jej źrenicach. Ciemność rozpycha kolor, rośnie w środku i wrze, ale wiedźma nie ma już nade mną żadnej mocy. Byle wytrzymać do końca.

Kolejny wrzask, który wciskam z powrotem w jej gardło. Ciało pode mną wije się w agonii, wygina w łuk unosząc nas nadludzkim wysiłkiem do góry i uderza z powrotem o podłogę. Jedna z dłoni wydostaje się z klinczu i próbuje wydrapać mi oczy. Jej ciosy są jadowite, ale brak im siły i precyzji. Czarne pazury fruwają przed moim nosem, rozcinają usta, wyrywają włosy, ryją kolejne bruzdy w czole. Wytrzymać. Jesteśmy już tak blisko. Czuję jak słabnie, skręca się jak spirala, dusi połkniętą krwią, tłucze kolanami w moje plecy i piętami w podłogę przesuwając kolejny centymetr w kierunku okna, w kierunku światła, które z każdą sekundą coraz szybciej gaśnie w jej oczach. Ostatnią rzeczą, którą zobaczy będę ja dyszący nad nią, biegnący wstecz przez jej wspomnienia.

Wiem, że myślisz o tym teraz. Na scenie dziewczyna w bordowej sukni błyszczy jak otwarta rana w słońcu, z jej wnętrza wydobywa się krzyk. Pijani mężczyźni nie potrafią oderwać od niej wzroku, szorują łokciami po barze zasypanym popiołem wypuszczając z siebie siwe westchnienia. Gdzieś dalej zderzają się bile, od czasu do czasu któraś z nich wypada ze stołu i pędzi pomiędzy tupiącymi nogami, odbija od pięt roztańczonych kobiet. Ktoś zawsze biegnie za nią z nosem przy

ziemi, starając się nie stracić celu z oczu. Trzaskają drzwi, skrzypi podłoga, pioruny walą w dach, z kontaktów sypią się iskry i przygasa światło. Chaos pożera to miejsce. Powoli, metodycznie zaciska na nim swoją czarną łapę i wywleka na lewą stronę. Ty siadasz naprzeciwko i przyglądasz się mi jak zapisuję kolejne strony głuchy na to wszystko. Nie rozumiesz. Ale nie pytasz.

Drugie piętro galerii. Stoimy na czerwonej plaży wpatrując się w wieże wystające z oceanu maźniętego trzema pociągnięciami grubego pędzla. Energii w nich wystarczy, by kołysał się dłużej niż nasz świat. Fale opływają obojętnie wspomnienia dumnego, upadłego królestwa. To już ostatni raz – mówisz do siebie, a może do mnie. Później stajesz pod ścianą, wysuwasz jedną nogę z buta i zginasz ją chowając całą pod suknią. Stoisz tam długo w tej bocianiej pozycji z enigmatycznym butem pozostawionym samemu sobie. Kolejna zagadka w galerii zagadek.

Deszcz spływa po szybach. Miasto budzi się sine i zimne. Leżymy na podłodze zawinięci w koc poprzepalany papierosami na wylot. Powietrze stoi w miejscu, słychać szum budzących się ulic i krople spadające na metalowe parapety. Zaplatam palce w twoje włosy. Otwierasz oczy i patrzysz na mnie długo próbując zgadnąć o czym myślę. Chcę ci wszystko powiedzieć, jestem gotów otworzyć się i rozlać i wsiąknąć w twoją skórę, ale ty ubiegasz mnie. Znienawidzisz mnie zanim to się skończy. Dopilnuję tego – dodajesz nim zdążę zapytać.

Zapach dymu, pieprzu, kawy i miodu. Zapach śmierci. Świat nagle znika za mgłą, drugie uderzenie w skroń rzuca mną o podłogę. Ona bierze zamach, podnoszę głowę w samą porę, by uniknąć rozpędzonego pogrzebacza. Widzę jak chwyta się za gardło, kaszle i spluwa gęstą krwią. Czołgam się poza zasięg jej dłoni, przewracam na plecy i mrużę oczy próbując posklejać rozwarstwiony obraz. Z przegryzionej dłoni leje się krew, rozsmarowuję ją po parkiecie jakbym pokrywał płótno farbą. Świat w czerwieni, tak nazywa się ten obraz.

Greta wbija pogrzebacz w podłogę i wspina się po nim. Wygładza fałdy spódnicy zgniecionej i rozdartej po samo biodro. Za drzwiami słychać kroki. Sierpiński pyta czy wszystko w porządku. Ona rusza w kierunku drzwi chwiejąc się na nogach i celując bosymi stopami pomiędzy krew i szkło.

- Wszystko jest w jak najlepszym porządku – odpowiada i przekręca klucz zamykając mnie tu ze sobą.

Tępy ból pulsuje w czaszce, czuję się jakby moje ciało zgubiło oś symetrii, a grawitacja wciąż ściągała mnie do przodu, ku niej. Czarna dziura, która pożera wszystko, włącznie ze światłem i czasem rośnie na tle okna.

- Och, mój wilku, nigdy nie zawodzisz – mówi tym swoim napuszonym, teatralnym tonem, ściąga palcem krew z policzka, wsadza do ust i zaczyna go ssać, jej oczy nie przestają się śmiać, nie przestają drwić.

- Zabiłaś mnie! – mówię.

- Nie. Po prostu zostawiłam cię tam żebyś sobie umarł.

- Co za różnica.

Robię krok do przodu. Ona zaciska dłoń na metalowym pręcie i podnosi go przed siebie niczym floret. Słowa wypadają z moich ust mimo woli.

- Podpisałaś moją książkę swoim nazwiskiem.

- Napisaliśmy ją razem, nie pamiętasz? Twoje prawdziwe życie okazało się o wiele ciekawsze niż te wymięte barowe notatki. Nie mogłam przecież przemilczeć wszystkich wspaniałych chwil, które przeżyliśmy razem.

- Całego brudu, który sprowokowałaś tylko po to żeby mieć czym wypełnić strony.

- Każdy pisarz, który ma serce we właściwym miejscu ostatecznie zrozumie, że same słowa nie wystarczą. I z tą fatalną

myślą musi jakoś żyć.

- To jest twoje wytłumaczenie?

- Stworzyłam cię na nowo. Popatrz na siebie, jakim pięknym zwierzęciem się stałeś. Powinieneś być mi wdzięczny.

- Masz rację. Teraz już nie ma odwrotu.

Podchodzę bliżej. Ona zaczyna tłuc na oślep. Pogrzebacz uderza w przedramię, w biodro, w żebra, rozdziera koszulę odsłaniając starą bliznę, przyprawiając moje ciało o nowe ślady. Przedzieram się przez nawałnicę ciosów, przeskakuję ponad bólem, chwytam ją za gardło i popycham do przodu. Upada na plecy, rozkładając się przede mną jakby miękko wylądowała w pościeli. Jej oczy chciwie śledzą każdy mój ruch, gdy schylam się i chwytam upuszczoną przez nią broń. Metal jest ciepły od jej uścisku, lepki od zasychającej krwi. Przykładam ostry koniec do jej gardła i popycham wystarczająco mocno, by wyczuć puls pędzący pod skórą.

- Dalej – prowokuje mnie. – Dowiedz się jakie to uczucie.

W moim brzuchu eksploduje słońce, cały wypełniam się bólem ostrym jak światło. Na rękojeści noża wciąż zaciskają się czyjeś palce. Chwytam za dłoń i spoglądam w oczy równie przerażone jak moje. To był błąd. To był przypadek. To wszystko już nieważne. Chłopak próbuje się wyrwać, uwolnić rękę z potrzasku, odgryźć ją i zostawić za sobą, jeśli przyjdzie taka potrzeba, ale nie pozwalam mu na to. Przyciągam go bliżej do siebie, tak blisko, że mogę wyczuć odór wymiocin napływających do jego ust gorzką falą. Metal porusza się w moich wnętrznościach, ostatnie, co czuję to jego zimno. Gdy ponownie otwieram oczy rękojeść wciąż wystaje z brzucha, ale chłopca już tu nie ma. Mokre chmury płyną wolno wypłakując się nad miastem pijanym weekendem. Wreszcie pojawiasz się ty. Wchodzisz w kadr bez słowa, niewyraźna jak niechciany sen. Tylko zapach pieprzu, dymu i miodu mówi mi, że jesteśmy tu naprawdę, a ja wykrwawiam się leżąc w kałuży na brudnej ulicy. Wyciągam do ciebie dłoń. Ty chwytasz się za usta, kręcisz głową i uciekasz w noc razem z idealnym

zakończeniem.

- Nawet w takiej chwili chcesz mi wydawać polecenia – mówię. – Na dziś wystarczy.

Pogrzebacz ląduje z hukiem na podłodze. Podchodzę do drzwi i przekręcam klucz dając chwilę ciekawskim karaluchom, by pochowały się po kątach.

***

Przemknęliśmy pustym korytarzem do najbliższej łazienki. Stanęliśmy obok siebie przed lustrem ścierając z twarzy ślady walki jakbyśmy byli parą aktorów usuwającą charakteryzację po skończonym przedstawieniu (zmaltretowane oblicza przyglądały się naszym wyćwiczonym ruchom bez emocji (gdy odkręciliśmy gorącą wodę szczęśliwie zniknęły we mgle)). Wytarłam zaschniętą strugę krwi spływającą z szyi prosto w dekolt. Rozpuściłam włosy chowając w nich twarz i założyłam z powrotem szpilki. Artur owinął dłoń ręcznikiem, zapiął koszulę i przykrył bordowe plamy marynarką (niewiele więcej mogliśmy w tym momencie zrobić).

Choć nasze spojrzenia nie spotkały się ani razu, wiedziałam, że w środku wypełniał go spokój. Nie było i nigdy nie będzie na świecie dwóch istnień bardziej jednakowych niż my. Lądujący obok siebie na tej samej podłodze, wciąż rozbijani w pył i rekonstruowani z pomieszanych elementów, niszczeni i odradzani w niekończącym się cyklu, przyciągani do siebie przez siły mocniejsze niż strach i rozsądek. Pozszywani z cudzych wspomnień i wnętrzności, wiecznie krążący po przecinających się orbitach, predystynowani do zderzeń. Zamknięci w cyklu. Ja i mój wilk. A każda chwila przy nim była jak powrót do domu.

Sierpiński zajrzał do gabinetu i nie zastawszy nas ruszył w kierunku jadalni, z której dochodziły pyszne zapachy przypraw i świeżo zmielonej kawy. Usiadł przodem do okna, poprosił Barta o jajecznicę na maśle, świeżo wyciskany sok z grejpfrutów i kawę, wbił srebrny widelec w mimolette i postanowił, że koszty zniszczonej podłogi i

połamanego fotela potrąci z naszego wynagrodzenia i nigdy nie zapyta o szczegóły. Na górze trzasnęły drzwi. Gałęzie za oknem były pokryte grubą warstwą świeżego śniegu, który błyszczał w zimowym słońcu. Po ogrodzie spacerowały gawrony. Nikt nie spisywał tych rzadkich chwil absolutnej ciszy pomiędzy uderzeniami wiatru. Sierpiński jadł i myślał o tym, że gdyby przyszło mu kiedyś napisać książkę jego bohaterowie spędzaliby długie akapity właśnie w ten sposób: jedząc i rozmyślając w pustych pomieszczeniach, starając się przy tym wyglądać godnie. Stworzyłby świat zaludniony odpryskami własnej duszy, przegonił chmury z nieba, rozłożył sztućce na białych obrusach, wypełnił przestrzenie rozświetloną ciszą i po prostu pozwolił jej trwać.

Krzesło przed nim skrzypnęło, a gdy podniósł wzrok znad wyczyszczonego talerza ujrzał swoją własną twarz przyglądającą mu się z uwagą. Delektował się aromatyczną kawą marząc o sobowtórze, który znosiłby za niego długie spotkania i cierpliwie wysłuchiwał bełkotu, pozwalając jemu spijać z wierzchu jedynie gratulacje i błyski flesza, o idealnej kopii, w której ciele mógłby zamieszkać gdyby jego stało się bezużyteczne. Teraz wiedział co należało zrobić.

***

W hali odlotów rozlega się kaszel. Jego epicentrum znajduje się w okolicach stoiska z kawą i przekąskami. Uporczywe szczekanie wydobywające się z niezidentyfikowanego gardła zatkanego czerstwą bułą za 5 euro jedzoną w pośpiechu pomiędzy odprawą a kolejnym telefonem. Krzesła i korytarze są pełne pasażerów wciąż zapatrzonych w ekrany, sprawdzających numery bramek, warunki narciarskie na alpejskich stokach, czytających maile, wysyłających ostatnie wiadomości przed odlotem, które z jakiegoś powodu brzmią bardziej emocjonalnie niż zwykle. Ale kaszel nie ustaje. Co gorsze, dochodzi do niego obrzydliwy świst zaciśniętej krtani spragnionej powietrza, który wybrzmiewa pomiędzy kolejnymi napadami duszności jak stłamszone wołanie o pomoc. Ludzie stojący najbliżej rozstępują się na boki. Kobieta zgarnia z lady kantoru resztę wymienionej waluty i pada na kolana wypuszczając z ręki garść monet. Przykłada pięści do ust, jej plecy wygięte w łuk nie przestają się trząść.

- Niech ktoś zawoła obsługę – rozlega się głos, który sam równie dobrze mógłby zawołać obsługę, ale z jakiegoś powodu zadowala się rolą publicznego narratora. – Ta kobieta zaraz się udusi.

Inny mężczyzna podnosi się z krzesła, być może wie jak jej pomóc, lub zamierza pozbierać rozrzucone pieniądze. Dłoń kilkuletniej dziewczynki zaciśnięta na rękawie jego marynarki nie pozwala mu zrobić kolejnego kroku. Plama pustki rozlewa się po podłodze spychając pasażerów pod ściany. Kilka osób wyciąga z torebek dawno zapomniane maski i zakłada je na twarz ukrywając obrzydzenie. Wracają wspomnienia zamkniętych hoteli i galerii, niewydolnych szpitali, zapachu środków do dezynfekcji, popękanej skóry na dłoniach i zaparowanych okularów. Codzienna dawka domowej klaustrofobii i niekończące się kolejki pod sklepami. Cały ten aspołeczny dystans, o którym przez kilka słonecznych wakacji i nadzwyczaj łagodnych zim udało się szczęśliwie zapomnieć znów wypełnia powietrze, którym wszyscy oddychamy.

- Boże uchowaj nas przed kolejną pandemią – mówi Sierpiński opróżniając swoją szklankę jednym haustem. – Inaczej nigdy się nie uwolnimy od tych skurwysynów.

Lotniska są fascynujące ze względu na paletę emocji, które wyzwalają. To miejsca usunięte z czasoprzestrzeni, pełne powierzchowności i jednorazowych znajomości. Pozostają w permanentnym ruchu, tak gęstym, że można się w nim zanurzyć, schować i odnaleźć na jego dnie ukojenie. Tu nawet nasze myśli mają tendencję, by nieustannie ulatywać, a strach przed śmiercią jest praktycznie namacalny. Za chwilę my też powierzymy nasze życia pilotom sterującym stu pięćdziesięcioma tonami latającego złomu, a nasza poranna degustacja darmowej whisky w Salonie Executive dobiegnie końca.

- Ludzie za szybko zapominają.

- Ma to swoje dobre strony – przypominam mu.

Za szybą kobieta podnosi się z kolan, wpycha drobne do torebki i oddala się na własnych nogach eskortowana przez ratowników

medycznych. W opuszczone przez nią miejsce z powrotem wlewa się tłum.

- Jak układa się współpraca z zespołem? – Sierpiński natychmiast zmienia temat. – Trzy miesiące to nie jest wieczność, ale wiele się zmieniło przez ten czas.

- Wróciliśmy do wypracowanych metod.

- A panna Otto?

- Ufam, że sumiennie realizuje swoje zadanie. Nie wchodzimy sobie w kompetencje.

- W marcu książka powinna trafić do druku. Do tego czasu musimy wymyślić jak ją promować.

- Skorzystamy z nowego algorytmu Null. Pozwoli nam łatwo dotrzeć do grup najsilniej wspierającej, sympatyzującej i niezdecydowanej. W drugiej fazie zabronimy sprzedawać biografii, ale będziemy ją dalej dystrybuować nieoficjalnymi kanałami, dzięki czemu przedłużymy peak sprzedażowy i przykujemy uwagę zwolenników opozycji.

- Powód dla którego uciekamy się do cenzury?

- Nic kontrowersyjnego. Nieautoryzowana zawartość. Wyjaśnimy, że panna Otto dokonała kilku nieprecyzyjnych skrótów myślowych. Prace nad drugim, poprawionym wydaniem zostaną niezwłocznie rozpoczęte, ale i tak nie zdążymy z nim przed wyborami. Nada to tytułowi jeszcze więcej autentyczności, na pewno wzbudzi zaciekawienie osób postronnych no i oczywiście zaspokoi potrzeby osób konsumujących tabloidowe treści. Oczywiście w mediach akcent będzie postawiony na sam fakt wycofania pozycji, przyczyna pozostanie celowo zdefiniowana nieprecyzyjnie.

- Możemy liczyć na pełne wsparcie Jacka przy promocji. A skoro już o tym mowa, obiło ci się o uszy, że Krzyżanowski spotkał się z Łachem żeby żebrać o poparcie na wypadek gdyby udało mu się przejść do drugiej tury? Podobno obiecał mu koalicję po

parlamentarnych.

- Tak, to temat z wczoraj, ale kompletnie przeszedł bez echa.

- Być może wrzucilibyśmy do rotacji jakiś dobrze klikający się tytuł? Coś w stylu „Cyniczne rozgrywki liderów RO i WJM". Albo „Parlamentarne sojusze za głosy".

- Posłowie po słowie – mówię.

Sierpiński spogląda na mnie zdziwiony, uznając że się zająknąłem. Mija chwila zanim wstawi spacje w odpowiednie miejsca i uśmiechnie się szeroko, tak, jak zawsze się uśmiecha, gdy przypominam mu za co mi płaci. Sekundę później chwyta za telefon i dzwoni do Bryganta.

- Jacku będziemy chcieli opublikować kilka wiadomości w trybie pilnym. Tak. Nie. Dzisiaj. Za dwie godziny ląduję w Warszawie. Do tego czasu powinieneś dostać tekst na maila. No pewnie, że znajdę dla ciebie chwilę. Tylko tym razem nie będziemy się strzelać.

Gdy rozlega się ostatnie wezwanie do bramki dopijamy whisky i wchodzimy na pokład bez kolejki. Na lotach krajowych nie obowiązuje opcja premium, ale Sierpiński zawsze instruuje Blankę, by wykupiła także sąsiadujące miejsca. Silniki startują i po chwili pełnej wstrząsów i hałasów odrywamy się od pasa. Rozkładam laptopa i zaczynam przygotowywać artykuł. Sierpiński wkłada słuchawki do uszu i trwa w niezmąconym spokoju, zapatrzony w połacie białej ziemi, którą chce posiąść całkowicie i bezdyskusyjnie – od wieżowców Warszawy po ostatni zapadnięty dach na końcu szutrowej drogi. Wznosimy się wyżej i świat znika w gęstej szarości.

Sierpiński wyciąga notatki i przegląda treści przemówienia. Za dwie godziny odbędzie się konferencja prasowa podczas której ogłosi powstanie międzypartyjnej komisji do spraw zwalczania nieprawdziwych informacji zwanych potocznie fejk newsami. Jako pomysłodawca i lider nowej inicjatywy zaprosi do współpracy wszystkie partie i kluby parlamentarne. „Szanowni państwo, prawda jest uniwersalną wartością i w naszym wspólnym interesie jest aby udoskonalić współczesne sposoby przepływu informacji tak, aby

zminimalizować, lub kompletnie wykluczyć z nich obecność fałszywych treści. Stoimy dziś w obliczu ogromnego zagrożenia jakim jest przekłamywanie obrazu rzeczywistości w środkach masowego przekazu. Partie, korporacje, marki, zarówno globalne, jak i lokalne, celebryci, influencerzy, aktywiści, tak naprawdę każdy kto korzysta z przywileju uwagi masowego odbiorcy trzyma w rękach potężne narzędzie. Jeśli to narzędzie jest wykorzystywane do wygłaszania indywidualnych opinii, to możemy mówić o wolność słowa. Ale jeżeli ktoś celowo stara się wykreować nieprawdziwy obraz wydarzeń, z premedytacją wprowadza w błąd odbiorcę, to popełnia najzwyczajniej w świecie przestępstwo, za które polskie prawo przewiduje określone kary. Niestety prawo nie zawsze nadąża za rozwojem technologii i stąd rodzi się potrzeba nadzwyczajnych rozwiązań".

Oczywiście każdy, kto nie przystąpi do inicjatywy Sierpińskiego będzie musiał się liczyć z tym, że jego wiarygodność zostanie poddana wyjątkowo skrupulatnej ocenie. Cała sprawa skończy się za dwa, trzy miesiące wykazaniem nieprawidłowości w kilku popularnych serwisach i nałożeniem jakiś fikcyjnych kar, których żaden z nich nigdy nie zapłaci. Przy dobrych wiatrach uda się za to wyeliminować z gry całą masę blogerów i nieprzychylnych fanpejdży, które lubią koloryzować swój przekaz. Gdy temat nabierze rozpędu, posypią się wyroki, a dziennikarze będą zmuszeni wielokrotnie sprawdzać swoje źródła, zminimalizujemy hałas w mediach dając więcej przestrzeni dla merytoryki, co zostanie odebrane jako namacalny dowód na skuteczność całego przedsięwzięcia. Najważniejszym benefitem pozostanie oczywiście kontrola nad narracją w temacie fake newsów na ostatniej prostej przed wyborami i zabezpieczenie tyłów na wypadek gdyby kolejny zbyt dociekliwy dziennikarz zechciał doszukiwać się spisku pomiędzy linijkami kodu.

Lot mija szybko i pracowicie. Warszawskie ulice błyszczą się od deszczu, wieżowce toną w chmurach. Trudno tęsknić za miejscem takim jak to – molochem ulepionym z betonu i spalin – ale nawet bity pies nie potrafi przestać kochać swojego pana, jeśli ten go wciąż karmi.

- Jest jeszcze jeden temat – mówi Sierpiński pokazując mi swoje zdjęcie na telefonie.

- Nowe profilowe?

- Ten mężczyzna nazywa się Janos Szabó i pochodzi z Szeged w południowych Węgrzech. Null przepuściła jego facebookowe zdjęcia z wakacji przez program do rozpoznawania twarzy, który potwierdził podobieństwo na poziomie 99%. Problem jest taki, że Janos nie mówi słowa po polsku, więc się nie nada.

- Po co ci sobowtór?

- Zamierzam go wrzucić pod koła pędzącej limuzyny żeby wywołać falę wsparcia i współczucia.

- Myślę, że będziemy w stanie nauczyć Janosa krzyczeć z bólu w naszym języku.

- To nie wystarczy, poszukajcie kogoś w kraju. Oczywiście zachowując pełną dyskrecję. Gdyby miało dojść do wywiadu podpisujcie najpierw klauzulę poufności. To nie jest priorytetowe zadanie, ale jestem ciekaw co uda wam się znaleźć.

- Zajmę się tym po powrocie do Juraty.

Samolot ląduje. Wsiadamy do osobnych taksówek. Sierpiński rusza do biura poselskiego, ja w kierunku centrum. Odgradzam się Basinkim od metalicznego hałasu. Eteryczne melodie zredukowane do ledwie pulsującego szumu wlewają się do moich uszu zimnymi falami, w oddali zawodzi kobiecy głos. Brniemy przez sen – mój niczego nieświadomy kierowca i ja – a świat za szybami szybko pozbywa się konturów.

Odzyskuje je dopiero pod siedzibą Generalnej Dyrekcji, gdzie wszystko jest konkretne, choć niedopilnowane. Wchodzę do szklanego budynku korzystając z mojej przepustki, która o dziwo wciąż działa i ruszam niezapowiedziany prosto do biura Nowaka. Na piętrze wszystko wygląda dokładnie tak samo jak przed trzema miesiącami, dokładnie tak samo jak za trzy miesiące i za trzy lata i za trzy stulecia gdy

będziemy budować źle oznakowane drogi na Marsie i bić się z osadnikami o prawo własności do krateru. Biurko Lipy jest puste, na blacie stoi kubek ze świeżo zaparzoną kawą. Mam ochotę zgarnąć go i wylać do zlewu w imię starych czasów. Zamiast tego pukam do gabinetu prezesa. Zza drzwi dobiega zrezygnowany jęk, który interpretuję jako zaproszenie.

- Jak czystość towaru? – pytam rozpoznając główny motyw z Breaking Bad.

Nowak wygląda zaskoczony zza laptopa.

- To on! – woła, wstaje i ściska wyciągniętą dłoń. – Już myślałem, że cię niedźwiedzie wyruchały i zjadły.

- Wiem, że dzwoniłeś, ale musiałem się odciąć od wszystkiego na jakiś czas. Dopiero wróciłem. Jak sprawy?

- Była kontrola – rzuca sucho. – Nie wykazali żadnych nieprawidłowości, poziom bałaganu jest wysoki, ale stabilny.

- A Wolniak? Sprawiał jakieś problemy?

- Spotkaliśmy się. Powtórzyłem mu to, co mi powiedziałeś i się odpierdolił. Dwa tygodnie później Ruch ogłosił nominację Krzyżanowskiego, a Adam wypisał się z partii i postanowił zostać gwiazdą youtube'a. Chyba sobie wziął całą tą gadkę o szczerości do serca, bo już trzecie konto mu zablokowali. Widziałeś jego filmy?

- Nie.

- To patrz na to.

Nowak odwraca laptopa i uderza w spację. Twarz Wolniaka wypełnia ekran. Wygląda inaczej, zarósł na twarzy, garnitur zamienił na sportową bluzę, studio na wnętrze terenowego auta. Z polityka pozostała mu już tylko hiperpoprawna artykulacja.

- Wszystko jest w naszych genach, wystarczy sięgnąć do historii. Słowianin inaczej slav czyli niewolnik. Polanie to ludzie mieszkający na polu. W błocie, jak zwierzęta. Gnój i praca za darmo,

oto nasze dziedzictwo, nasze tradycje, które chlubnie kultywujemy po dziś dzień. Marzeniem współczesnego Polaka jest robić dla niemieckiego albo angielskiego pana za ochłapy. Tyrać po dwanaście godzin i nie odłożyć nic, ale mieć siedemdziesięciocalową plazmę, która ledwie się mieści w wynajmowanym kurniku i używane Audi, na widok którego w rodzinnej wiosce sąsiadom powypadają gały. Bo każdy niewolnik nie marzy o tym by być wolnym, tylko żeby być panem! Polska, kraj parobasów, schowek na szczotki, z którego inne nacje wyciągają sobie narzędzia do zamiatania ulic, mycia kibli i pilnowania ich otłuszczonych dzieci. I my do tego aspirujemy pasąc Brajanka snickersami i colą. Ale otyłe dzieci o obco brzmiących imionach nie zrobią z nas Zachodu. Bo w głębi duszy zawsze będziemy niewolnikami. Białymi czarnuchami wyręczającymi swoich właścicieli w codziennych obowiązkach, by ci mogli poświęcić całą swoją uwagę kulturze, sztuce, rozwojowi duchowemu i gromadzeniu kapitału, temu co tak naprawdę jest ważne, co odróżnia nas od zwierząt. Więc powiedzcie mi drodzy Polanie, kiedy wy ostatni raz byliście w teatrze? Nie chodzicie, bo za granicą nie znacie języka, a jak wam się w życiu poszczęściło i nie musieliście emigrować, to tyracie sześć dni w tygodniu do dwudziestej w korpo i nie macie czasu, co? Ja wam mówię, u nas będzie dobrze dopiero jak Niemcy przesuną swoją granicę z powrotem na Bug.

- Trzymam go w ulubionych i puszczam sobie jak mam gorszy dzień – mówi Nowak, rozbawiony do łez.

- Półtora miliona wyświetleń. Nie zwierzał ci się czy planuje kandydować jako bezpartyjny?

- Sądzę, że wątpię. Jak sfinansuje kampanię? Zrzutkami w necie i sprzedażą koszulek z napisem „Willkommen zurück”? Bo jak znam Adama, to nie sięgnie do własnej kieszeni. Jego nie są nawet w połowie tak głębokie jak u twojego kandydata.

- Mojego kandydata?

- Arturze, traktujmy się jak dorośli ludzie. Ja od dawna wiem, że lecisz ze mną na dwa baty. Powiem ci więcej, ja naprawdę życzę

Sierpińskiemu żeby wygrał. Wtedy chuj się przekona na własnej skórze jak to jest być u władzy i jak szybko można ją stracić. A to doświadczenie, którego nie da się kupić, mówię ci.

- Nie boisz się, że po ciebie przyjdzie?

- Moje dni w tym interesie i tak są już policzone. Przesiedzę tu może jeszcze z jedną, dwie zimy i jadę na Mazury. Udało się zakupić kilka działek z dostępem do wody na bardzo preferencyjnych warunkach. Postawię tam hotel z centrum konferencyjnym i keją. Warszawka będzie przyjeżdżać się tam nachlać, poruchać i żeglować. Może zobaczę jakiś starych znajomych. Będzie okazja naszczać komuś do zupy.

- Brzmi jak plan.

- A ty?

- Liczyłem na moje stare biurko i podwyżkę. Ale twoje biurko też ujdzie.

- Dobre. Może jeszcze Lipę ci tu sprowadzę?

- Lipa już nie pracuje?

- Dałem jej prosty wybór: rozwój zawodowy albo drzwi. Powiedziała, że dziś wieczorem jest zajęta i rzuciła papierami. Szkoda, bo miała świetne nogi, ale wszyscy wiemy, że gdyby tu została, zmieniłaby się w kolejną smutną raszplę z wielką dupą i pięcioma kotami, a na to nie mógłbym patrzeć. To miejsce jest jak ukryty wymiar, w którym ziemia przenika się z piekłem. Ono mutuje ludzi, wysysa z nich całą energię i zamienia w te szare upośledzone kreatury, którym już na niczym nie zależy. Sam się dziwię, że tak długo tu wytrzymałem.

- Powiedziałbym ci, że nie miałeś wyboru, ale za bardzo się lubimy.

- Empatyczny i taktowny, to właśnie w tobie szanuję. Co mogę w takim razie jeszcze dla ciebie zrobić, Arturze? Kawa? Lunch?

- Nie dam rady. Zaraz musze być w centrum na konferencji. Sierpiński powołuje organ do zwalczania fejk newsów.

- Bardzo dobrze, trzeba walczyć z tym kurestwem. Z prawdziwymi newsami zresztą też. Chodź, odprowadzę cię do wyjścia.

Podnoszę się z fotela i dostrzegam nacięcie na krawędzi biurka. Zagubiony sygnał, który wysłałem do siebie samego wraca z próżni przynosząc zgoła odmienną wiadomość. W miejscu triumfu znajduję gorzkie przeświadczenie przypominające mi po raz kolejny o tym, że nie mamy nad niczym kontroli. Możemy jedynie znakować szlaki, którymi chadzamy, w nadziei, że nie zaczniemy kręcić się w kółko.

Ruszamy do wind. Nowa asystentka podnosi wzrok znad papierów i uśmiecha się do nas obu ciepło. Drzwi mojego dawnego gabinetu stoją otworem. W pustym pomieszczeniu urządzono skład zużytych krzeseł z których odpadły kółka. Dalej, za oknami szklane wieże rozmywają się w brudnym powietrzu. Oddaję przepustkę w recepcji. Stajemy przed budynkiem, Nowak zapala szluga i zaciąga się mocno.

- Czas nie czeka na nikogo, co? Dziesięć lat temu byłem premierem tego kurwidołka, a Sierpiński wymachiwał transparentem pod moim oknem. Teraz on idzie po fotel, a ja pakuję się na emeryturę, możesz w to uwierzyć? – pyta dmuchając gęstymi chmurami. – Przekaż mu żeby chwytał dzień, bo prędzej czy później ktoś zgłosi się po niego. Może z RO, może jakaś PIPa. Nastąpi kolejna jeszcze lepsza zmiana na to samo, po niej kolejna i tak bez końca. Orzeł albo reszka. Adam ma rację, tu kurwa nigdy nie będzie dobrze. Może tak, jak reprezentacja naszych kopaczy, potrzebujemy zagranicznego trenera, bo w trzydziestoośmiomilionowym narodzie nie ma ani jednej osoby, która nauczyłaby nas grać drużynowo?

- Brzmisz jakbyś już znał wynik wyborów. Wiesz coś czego ja nie wiem?

- Przeczucie nigdy mnie nie myli. Po drugie byłem ostatnio na bilardzie i wpadłem na Batorego. On jest przerażony. Chwalił mi się, że przekabacił jakąś młodzież z Nowego Początku żeby przeszła do

Inicjatywy. Podobno zrobili badania i się okazało, że w trakcie ostatnich pięciu lat wymarło im piętnaście procent elektoratu. Teraz wykonuje jakieś paniczne ruchy. Obu nienawidzę, ale jak mam wybierać pomiędzy dżumą a cholerą, to niech już będzie Kaziu.

- Wydasz oficjalne oświadczenie, że go popierasz?

- Ni chuja. Ale jak wygra wyślę mu pudło dobrych cygar. I szczotę do kibla. Przyda mu się przy ilości gówna, które będzie musiał codziennie przepychać – Nowak upuszcza niedopałek do kałuży.

- Praca z panem była czystą przyjemnością – mówię wyciągając dłoń. – Moja taksówka czeka.

- Nie pierdol farmazonów tylko zadzwoń czasem. Wpadnij do mnie na Mazury jak już się urządzę.

- Żebyś mi naszczał do zupy?

Nowak salutuje i znika w wejściu szklanego budynku. Ja wsiadam do auta, wyciągam telefon z kieszeni i w gąszczu notatek odszukuję prywatny numer Lipy. Przyglądam się falującym odbiciom witryn, dwie ulice dalej znajduję właściwe słowa.

Abonent czasowo niedostępny.

***

Edwin zdjął płaszcz strzepując z ramion resztki mokrego śniegu, zajął miejsce na antresoli przy stoliku z dobrym widokiem na dolną salę, zamówił podwójne espresso i zrozumiał, że to przez własne metody Sierpiński popadł w paranoję. O ile nie dziwił go zakaz wnoszenia telefonów na spotkania ani prośby o regularną zmianę haseł, to już instalowanie urządzeń zagłuszających sygnał GSM, czy wypruwanie tapicerki z samochodów z powodu nieuzasadnionego niczym przeczucia wydawało mu się czymś więcej niż zachowywaniem niezbędnych środków ostrożności. Nie rozumiał aluzji i półsłówek, obłych zdań odfiltrowanych z podmiotów i orzeczeń, którymi coraz częściej posługiwano się w rozmowach telefonicznych i publicznie, ani soczystych w szczegóły wywodów o węgierskich *doppelgängerach*,

które przypadkiem podsłuchał przechodząc wolniej obok uchylonych drzwi (Sierpiński brzmiał jakby ponownie wynalazł koło, ale ani Welkin ani Vermont zdawali się nie podzielać jego entuzjazmu). Dzień po dniu czuł coraz wyraźniej narastającą presję zwycięstwa, widział piętrzące się rachunki, podkręcające atmosferę nagłówki i bezlitośnie upływający czas, na którego coraz szybszy bieg po cichu liczył. Ciało, które zwlekał rano z łóżka ważyło każdego dnia więcej, choć skóra coraz mocniej opinała szkielet. Jego wewnętrzny głos zamilkł. On sam usiadł w drugim rzędzie i obserwował przez zamglone szyby bieg wydarzeń, przyjmując wszystko z wytrenowaną obojętnością. Obiecał sobie że dotrwa do wyborów i wyjedzie do Argentyny, poczłapie na plażę, rozłoży się na kocyku i będzie tak leżał dopóki go w niego nie zawiną i nie wrzucą do głębokiego dołu.

- Poczekaj tu, to nie zajmie długo – oznajmiła Blanka parkując auto na zakazie. – Zostawiam ci kluczyki, w razie co się przeparkuj. Słyszałeś, co powiedziałam? – spytała próbując ściągnąć Maćkowi słuchawki z uszu.

- Słyszałem – odburknął robiąc unik.

Wysiadła prosto pod koła taksówki. Prius zatrąbił, chlusnął breją i pomknął dalej w miasto. Śnieg sypał jej w oczy i za kołnierz, obcasy rozjeżdżały się na chodniku. Przeszła sto metrów pod wiatr i po omacku, popchnęła drzwi restauracji i wpadła do środka razem z całą zawieruchą. Robert czekał na nią przy stoliku. Sądząc po pustym talerzu, chłodnym spojrzeniu i wysoko uniesionym nadgarstku, był tu dłużej niż planował (Blanka nie zamierzała się usprawiedliwiać).

- Chcę żebyś zabrał Maćka do siebie – powiedziała rzucając płaszcz na wolne krzesło. – Chcę żebyś zrobił to dzisiaj.

- Cześć – odparł. – Miło cię widzieć. Dobrze wyglądasz.

Westchnęła ciężko wiedząc, że w jego przypadku nawet najbardziej elegancko podane komplementy nie zawierały słowa prawdy.

- Robert, ja naprawdę nie mam czasu na sparing. Jest sobota, a

ja pracuję. To jest moja przerwa na lunch, którego nie zjem. Maciek czeka na zewnątrz w samochodzie, spakowany.

- Przywiozłaś go tu? – zapytał bardziej zdenerwowany niż zaskoczony.

- Tak! Nie miałam innego wyjścia.

- Niby dlaczego? Coś się stało?

Zamiast odpowiedzieć skinęła w kierunku kelnera (ewidentnie niedoświadczonego w fachu chłopaka nie potrafiącego wybrać pomiędzy taktem, a wykonywaniem swoich obowiązków), który pełzał w ich kierunku z kartką i długopisem wyczekując aż strzały wreszcie ucichną. Zamówiła kawę i kawałek ciasta (zdecydowała, że nie ma ochoty na słodkości sekundę po tym jak odszedł od stolika), Robert utkwił wzrok w zaśnieżonym oknie za którym ciągnęła się niekończąca się procesja brudnych samochodów, a wiatr wespół ze śniegiem wciskał przechodniów głębiej w ich kołnierze i kieszenie.

- Nie jestem w stanie poświęcić Maćkowi wystarczająco uwagi, a on potrzebuje rodzica. Ktoś musi pomóc mu stawiać pierwsze kroki w dorosłym życiu. Halo? – pstryknęła Robertowi palcami przed nosem.

- Myślisz, że ja mam dla niego czas? Teraz jestem góra trzy dni w tygodniu w Warszawie. Zapowiada się bardzo pracowity rok. Mogę zrobić dokładnie to samo, co ty i wynająć opiekunkę. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz żeby został w miejscu, w którym dobrze się czuje. Przelewam ci przecież pieniądze – powiedział nie patrząc na nią ani razu.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Tu nie chodzi o pieniądze, a Maciek nie ma pięciu lat i nie potrzebuje żeby ktoś mu pupkę wycierał. To jest dorosły chłopak, który kompletnie nie wie co ma zrobić ze swoim życiem. Zawala kolejne studia. Nie masz pojęcia w jakie kłopoty potrafi się wpakować!

Dwa złamane żebra, podcięte gardło, zmasakrowana twarz. Bezbronne

ciało w szpitalnym łóżku podłączone do kabli i rurek (widok, który prześladował ją przez dni i sny). Nie powiedziała Robertowi o tym co się przytrafiło Maćkowi. Przemilczała przestrzeloną nogę (mimo, że ta nie dawała o sobie zapomnieć częstując ją na każdym kroku ledwie przytłumionym wspomnieniem rozrywającego bólu, bezsilności i przerażenia). Nie zamierzała opowiadać o pachnących bukietach krwistoczerwonych kwiatów i telefonach nad ranem. Tym bardziej o czarnych autach wystrzeliwujących z rykiem z bocznych uliczek, które pędziły bokiem przez skrzyżowania i odjeżdżały w kłębach dymu. Tydzień temu wybudziło ją ze snu pukanie do drzwi. Nakryła głowę poduszką i skuliła się w kłębek (mama poradziłaby jej żeby pomyśleć o czymś przyjemnym (dygocąc ze strachu zagrzebana w pościeli czuła wyraźnie, że wciąż jest tą samą małą dziewczyną z małego miasta, której życie mogłoby być tak spokojne gdyby przestała chcieć czegoś więcej i pozwoliła przed laty zrujnować się pewnemu smutnemu chłopcu sprowadzającemu zajeżdżone beemki, z którym lubiła leżeć na rozgrzanej masce auta i patrzeć w niebo (to wspomnienie wrosło w nią (zbyt głęboko) nie potrafiła wyrzucić go z głowy) z jakiegoś powodu uwierzyła, że będzie w stanie bezkarnie je odtworzyć w nowym życiu z kimś zupełnie innym) ale zamiast wehikułu czasu opracowała perfekcyjną metodę zamieniania najprzyjemniejszych wspomnień w ból) pukanie wreszcie ustało. Wczoraj wieczorem znalazła na wycieraczce pocisk.

Edwin mimowolnie przysłuchiwał się ożywionej rozmowie dobiegającej z parteru i wysysał resztki zimnej kawy z dna filiżanki. Miał ochotę na kolejne espresso, ale postanowił nie zwracać na siebie uwagi. Wyciszony telefon zawibrował w kieszeni. Sierpiński pytał o spotkanie. W toku – odpisał lakonicznie i schował twarz w dłonie nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Rozpędzone głosy przekroczyły barierę krzyku. Czyjaś dłoń uderzyła w blat.

- Dobrze – powiedział Robert. – Trzy miesiące u mnie na próbę. A później zobaczymy.

- Dziękuję – odetchnęła z ulgą. – Wyświadczasz mu wielką

przysługę.

- Myślałem, że tobie – pokręcił głową. – Chodźmy. Mówiłaś, że się spieszysz.

Skrzypnęły krzesła. Edwin kiwnął śmielej w stronę kelnerki i poprosił o rachunek artykułując słowa wyraźnie, lecz bez dźwięku. Robert rozpostarł płaszcz przed Blanką, ale ona zamiast wejść w niego półobrotem chwyciła go za kołnierz i ubrała się sama. Pokręcił głową i upuścił banknot na stół. Chwilę później stali we dwoje na chodniku osłaniając twarze od wiatru, wpatrując się w ciemny prostokątny ślad zasypywany przez świeży śnieg.

- No zadzwoń i zapytaj czy się przeparkował czy go odholowali czy co – rzucił tracąc cierpliwość.

- Ma wyłączony telefon – odparła po chwili spoglądając na Roberta w sposób, który wyjaśnił mu więcej niż kwadrans rozmowy w restauracji. Nie odezwał się, tylko złapał ją pod rękę i zaprowadził do swojego samochodu.

Edwin ruszył na dół. Dostrzegł przez szybę swój cel znikający za rogiem i pomyślał, że ma jeszcze chwilę zanim odśnieżą auto. Naprzeciwko restauracji stał rząd taksówek gotowych do drogi, wystarczyło wybrać jedną z nich, a następnie wytłumaczyć kierowcy za którym samochodem powinien podążać i jaki dystans zachować, by nie wzbudzać podejrzeń. Bał się, że zabrzmi sztucznie, że nie zostanie potraktowany poważnie i straci czas na opowiadanie historii, której szczegółów jeszcze nie zdążył dopracować. Z drugiej strony trudniej o bardziej doświadczonych życiowo ludzi niż kierowcy taksówek. Na skali pomiędzy rzygającą pigułami nastolatką, a podpitym gangusem z fujarą na wierzchu plasował się w bezpiecznym środku: ot, niegroźne urozmaicenie w monotonii dziennych kursów, być może zazdrosny mąż, ewentualnie brat czy kolega planujący sprawić komuś niewinną niespodziankę swoją obecnością – improwizował. Sięgnął po szal do kieszeni i owinął nim całą twarz. Zarzucił kaptur kurtki na głowę i szarpnął energicznie za klamkę wyrywając drzwi z ręki osoby stojącej

po ich drugiej stronie. Dłoń mężczyzny oparła się o pustkę, a on sam zachwiał, zatoczył do przodu i wpadł na Edwina.

- Przepraszam – powiedział bez złości.

Edwin wyjrzał zdziwiony spod futrzastego kaptura.

- Oskar?

Robert otworzył przed Blanką drzwi. Bez słowa sprzeciwu wskoczyła do pachnącego skórą i tytoniem wnętrza znajdując schronienie przed zamiecią. Włączył silnik, zrzucił wycieraczkami ciężki śnieg z szyby.

- Dokąd? – zapytał.

- Jedź do mnie – rzuciła bez namysłu. – Być może wrócił do domu.

Mercedes przemknął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Klaksony zniknęły w oddali zagłuszone warkotem silnika. Robert pędził buspasem lawirując pomiędzy taksówkami. Dwieście lat temu w innym życiu Blanka namawiałaby go, by jechał szybciej, a on, zakochany w jej szaleństwie przesuwałby kolejną granicę, sprawdzając na jak wiele może sobie pozwolić. Teraz była zbyt świadoma, zbyt trzeźwa, zbyt doświadczona by dać się pozbawić resztek kontroli.

- Uważaj! – krzyknęła, przypominając sobie jak zawsze nienawidził, gdy komentowała jego jazdę.

- Zamknij się – rzucił odruchowo, nabuzowany adrenaliną. – Chcesz prowadzić?

Maski opadły, przez moment znów znaleźli się w świecie wyuczonych odruchów skostniałego związku sklejonego przyzwyczajeniem do wygody, kasy i cotygodniowego seksu, który frunął na autopilocie prosto w ścianę.

- Ty siebie słyszysz? – pokręciła głową prawie się uśmiechając. Kolejne zaproszenie do kłótni zawisło w powietrzu. Partia werbalnych szachów rozegrana z pamięci z przeciwnikiem, którego rozpracowała

wystarczająco, by przewidzieć każdy ruch i zbyt słabo, by którykolwiek z nich powstrzymać.

- Uwierz mi, że szukałem dla nas najlepszego wyjścia – odezwał się uprzedzając jej myśl. – Być może nie poświęcałem wam wystarczająco dużo uwagi. Z drugiej strony spróbuj pogodzić prowadzenie firmy i fundacji.

- Z ruchaniem asystentek – wtrąciła się.

- Karierą polityczną. I miej jeszcze czas wrócić do domu być dobrym ojcem i mężem – ciągnął ignorując jej przytyki. – To jest ten paradoks: siedzenie w domu nie zapewni ci bytu, a jak się poświęcisz pracy, to już nie masz do czego wracać.

- Co za brednie – skomentowała. – Masz zaniki pamięci czy wyparłeś już dla kogo zostawałeś po godzinach? Dopiero jak cię Kasia z Asią przegoniły, wracałeś z podkulonym ogonem i plotłeś te swoje farmazony. Przepraszam, kochanie, popełniłem błąd – przedrzeźniała go.

- Moim największym błędem było zaangażowanie cię w fundację. Przez to stałaś się zachłanna.

- O, więc teraz moja kariera to także twoja zasługa? – zapytała. – W idealnym świecie powinnam zostać w domu, prać skarpetki, gotować obiadki, niańczyć twojego rozpieszczonego synalka i dawać ci dupy udając, że nic nie widzę?

- Wszystkie jesteście dokładnie takie same. Kobiecy orgazm to mit, pieprzycie swoich facetów dla benefitów albo ze strachu, że odejdą. Ale jak tylko stajecie na własne nogi, przestajecie się bać i same odchodzicie.

- Jesteś chamem i idiotą, Robercie i zasłużyłeś sobie na wszystko, co cię spotkało ze strony kobiet – powiedziała z jadowitą satysfakcją.

- A ty jesteś cyniczną manipulantką, która zawsze musi postawić na swoim. Patrz! – krzyknął wymachując dłonią w kierunku

miasta przesuwającego się w przeciwnym kierunku sto dwadzieścia kilometrów na godzinę (moc jego głosu była ściśle skorelowana z tempem jazdy) – znów robimy to, co ty chcesz!

- To. Jest. Twój. Syn – wycedziła przez zęby. – Wykaż się chociażby minimalną odpowiedzialnością.

Auto zatrzymało się na podjeździe jednego z białych segmentów, silnik zgasł i przez moment słychać było tylko jak z chmur sypie się potłuczone szkło. Blanka chwyciła za klamkę, spojrzała na Roberta i uznała, że nie warto strzępić sobie dłużej języka.

- Zaczekaj w aucie – powiedziała zamiast tego i ruszyła w kierunku wejścia.

Edwinowi coraz gorzej wychodziło ukrywanie emocji. Próbował się nie uśmiechać, błądził spojrzeniem udając, że myśli o czymś głębokim, co zaraz, lada moment zwerbalizuje odmieniając ten szary dzień, a być może całe ludzkie doświadczenie. Nie wiedział co ma zrobić z dłońmi – on, prawie sześćdziesięcioletni adwokat, który brylował na salach sądowych i bankietowych, gdzie elegancko ubrani mężczyźni i piękne kobiety stawali w ciasnych kręgach próbując dodatkowo rozbłysnąć erudycją, przeciągając wątki w nieskończoność i będąc w pełni świadomymi, że w sekundę po opuszczeniu kółka wzajemnej adoracji ich słowa i stroje zostaną podane dysekcji przez pozostałych zgromadzonych – przy Oskarze czuł się jak gówniarz i rumienił.

Nie mógł przestać wpatrywać się w niego jak w film, który tak dobrze znał, ale który czas spędzony osobno przyprawił o nowe wątki. A może zawsze tam były – zastanawiał się – tylko wcześniej nie pojmował ich znaczenia? Teraz dostrzegał wszystkie metafory. Całe to spotkanie było metaforą jego życia, ich związku, który był opowieścią o cyklach, rozpoczynał się, kończył i ponownie rozpoczynał zawsze od przypadkowego zderzenia, bo jakimś cudem zawsze potrafili się znaleźć w świecie bez pomocy telefonów i aplikacji.

Zamówili po drinku (jedynym dostępnym w karcie mlecznym bełcie składającym się głównie z wódy i bitej śmietany). Był równie

obrzydliwy, co skuteczny, więc poprosili o więcej. Nim się spostrzegł minęła piętnasta, a za oknami zimowy wieczór zgęstniał. Ignorując wibracje dochodzące z kieszeni i szybko słabnące poczucie obowiązku, pochylił się nad stołem i przyjrzał uważniej swojej zgubie.

Paznokieć pękł między zębami. Na dworze szalała zamieć. Zgubili trop. Szyby powoli pokrywały się parą.

- Może pojechał do ciebie – spróbowała.

- Rozmawiałem z Kingą, ma dać znać gdyby ktoś się u nas pojawił.

Postanowiła nie pytać kim jest Kinga. Wyobraziła sobie wysoką brunetkę przed trzydziestką o perfekcyjnych kształtach i spojrzeniu martwej ryby. Włożyła dłoń do kieszeni. Palce natrafiły na lodowaty kawałek metalu. W uszach zapiszczało jakby faktycznie usłyszała wystrzał.

Na początku myślała, że błyszczący przedmiot na jej wycieraczce to klucz, który kiedyś zgubiła. Mógł do niej wrócić, w końcu był dokładnie opisany (nigdy nie zdjęła plakietki z adresem, a gdy się zawieruszył zwlekała ze zmianą zamków dwa tygodnie (wzdrygnęła się myśląc o tym teraz (myśląc o Maćku znajdującym jej blade zwłoki porąbane siekierą pod prysznicem i obmyte z resztek życia strumieniem zimnej wody))). Gdy podeszła bliżej błysk, który przemknął po spłonce nakreślając jej owalny kształt przywiódł na myśl obrączkę lub pierścionek. Nigdy się ode mnie nie uwolnisz – odczytała wiadomość, obejrzała się za plecy na pustą ulicę i podbiegła do drzwi. Dopiero gdy chwyciła przedmiot w dłoń, poczuła jego wagę, przesunęła palcem po szpiczastym czubku zrozumiała jakie było jego prawdziwe przesłanie.

Trzasnęła drzwiami, przekręciła zamki, wpadła do pokoju Maćka i natychmiast, bez żadnych wyjaśnień kazała mu się pakować. Później stała długo nad toaletą patrząc z obrzydzeniem na pocisk, marząc o tym, by się go jak najszybciej pozbyć, równocześnie wiedząc, że trzyma w dłoni jedyny dowód na to, że ten koszmar jej się nie śni.

- Śledzi cię – usłyszała z oddali. Głos nie brzmiał jak ostrzeżenie, był pytaniem.

- Kto?

- Twój ubezpieczyciel. Może masz założony lokalizator GPS w samochodzie? – zapytał Robert. – W ten sposób dowiemy się gdzie jest Maciek.

- Nie. To w ogóle legalne? – zapytała. – Poczekaj! Mam lepszy pomysł. – Przypomniała sobie o służbowym laptopie rzuconym na tylne siedzenie, którego zawsze zapominała wyłączyć. – Muszę zapalić – dodała wychodząc na zewnątrz.

- Teraz?

Oddaliła się na kilka kroków od auta i stanęła twarzą w twarz z wiatrem. Połączenie zostało odebrane, ale w słuchawce nikt się nie odezwał.

- Null, potrzebuję żebyś namierzyła mojego laptopa.

Odpowiedziały jej kroki bosych stóp i skrzypienie starej podłogi. Uchylające się drzwi i stukanie w klawiaturę. Telefon zadrżał eksplodując jej prosto w ucho dźwiękiem odebranej wiadomości. – Dziękuję! – zdążyła powiedzieć nim połączenie zostało przerwane. Kliknęła w link. Czerwona pinezka spadła na las ciągnący się wzdłuż prawego brzegu Wisły. Wyrzuciła nieodpalonego papierosa i pobiegła do auta.

Na stole wylądowały dwa talerze pełne przystawek i kolejne drinki. Barman musiał być pojętny, bo przyjmował krytykę z godnością i z każdą kolejną iteracją biały rusek stawał się coraz bardziej okrzesany i dostosowany do standardów europejskiego podniebienia. Druga możliwość była taka, że było im już wszystko jedno.

- Powiem ci, że ze wszystkiego najbardziej zaskoczyło mnie jak wiele jest ludzi jest brzydkich – Edwin ciągnął wątek przerwany przez kelnerkę. – Głównie facetów. Kobiety są piękne. Większość ma

wystarczająco kasy, by się zrobić. Reszta to akcesoria, więc z założenia muszą wyglądać. Ale ci kolesie? – kręcił głową przeżuwając krewetkę. – Łysiejące, grube nieforemne typy metr sześćdziesiąt w butach podwyższających od Mario Bertulli z krzywymi zębami i nieświeżym oddechem. Karykatury ludzi ubrane w pieniądze. Śmiej się, Oskar, ale ja naprawdę myślałem, że tam będzie jak na filmie. Christian Bale i McConaughey w najdroższych garniturach. Tymczasem Schiavelli na zmianę z Buscemim. Poza tym większość z nich jest krypto, zwłaszcza tych najbardziej walczących o tradycję. Taki mechanizm obronny najwidoczniej – dodał po chwili namysłu.

- Nie chcę, ci tego wytykać, Ed, ale sam raczej nie zawyżasz średniej – powiedział z uśmiechem.

- Ja, kochany, przede wszystkim do nich nie należę – obruszył się. – Przebywamy w tych samych pomieszczeniach, czasem wymieniamy się wizytówkami. Nic więcej. Jestem tam z czystego przypadku. Już niedługo.

Edwin uniósł swojego drinka, szklanki stuknęły.

- Jak ty się właściwie wkręciłeś w tę politykę? Nigdy mi o tym nie opowiadałeś – zapytał Oskar szukając mętnym wzrokiem kelnerki. Nigdy nie miał mocnej głowy i zbliżał się szybko do granicy swojej wytrzymałości.

- Poszedłem z Sierpińskim na dziwki.

- Serio?

- To było zaraz po aferze taśmowej, jak zdjęli Nowaka ze stanowiska. Kilku jego wysoko postawionych kolegów w prokuraturze postanowiło prześwietlić interesy Kazia. Znaleźli na niego jakieś paragrafy i chcieli mu zamknąć firmę, tę którą odziedziczył po ojcu. Na mieście było wiadomo, że sprawa jest polityczna, więc nikt nie chciał jej wziąć. Ja wziąłem – wyjaśnił.

- Edwin wybawca. Edwin waleczny – klasnął w dłonie.

- Po prostu wiedziałem, że Ruch Obywatelski jest na wyjściu i

są łatwe pieniądze do zarobienia. Wysłałem parę pism, przeciągnąłem temat do wyborów, zmieniła się warta, Nowy Początek wszedł do sejmu, sprawę szybko umorzono – wyjaśnił. – Po wszystkim zawiozłem mu papiery, napiliśmy się whisky w klubie jak dorośli, a potem poseł zaproponował mi pewien układ, który następnie przypieczętowaliśmy wizytą w ekskluzywnym burdelu – wzruszył ramionami. – Nie mogłem mu przecież odmówić jak płacił dwa tysiące od divy.

- I co? Warto było?

- Zdecydowanie. Dziewczyna zrobiła mi fenomenalny masaż pleców. Przez resztę czasu gadaliśmy o projektowaniu ogrodów. Tym zajmowała się w sezonie – powiedział. – Gdy wychodziliśmy stamtąd Sierpiński wyznał mi, że zawsze jak już spuści z krzyża i zapali papierosa wraca myślami do czasów liceum, do jednej takiej Anieli, ostatniej kobiety przy której czuł się szczęśliwy i powiem ci, Oskar, że to była najsmutniejsza, kurwa, rzecz jaką w życiu słyszałem.

Blanka biegła przez czarno-biały las na wysokich obcasach. W samochodzie zaparkowanym przy ulicy nie znaleźli nikogo. Świeże ślady wydeptane w śniegu prowadziły między drzewa. Podążała tropem potykając się o korzenie i zaplątując włosami w gałęzie. Nie czuła już zimna, nie myślała o niczym. Słyszała tylko własne ciężkie oddechy. Białe obłoki jeden po drugim, zostawały gdzieś z tyłu. Robert ruszył inną ścieżką w kierunku rzeki. Raz po raz wyciągał telefon z kieszeni sprawdzając przychodzące połączenia (wszystkie z pracy, żadne od Maćka). Wreszcie wyszli z lasu na białą plażę, koryto zmarzniętej rzeki, po której płynęły kry. Tam, dalej przy ciemnej wstędze przecinającej ośnieżony krajobraz przesuwał się niewielki punkt. Postać schylała się po kolejne kamienie i rzucała nimi mocno przed siebie, tak, by odbijały się wysoko od czarnego lustra wody.

- Jesteś tu sam? – krzyknęła Blanka z oddali, gdy uznała, że ją usłyszy. – Co ty sobie wyobrażasz żeby tak znikać?

- To tata? – zapytał dostrzegając w oddali Roberta idącego

powoli przez śnieg. – Ej! – zaprotestował gdy Blanka odepchnęła go z pretensją, a następnie przyciągnęła go do siebie za kurtkę i objęła. Nic z tego nie rozumiał, ale po chwili odwzajemnił uścisk.

- Dogadaliście się, tak? – zapytał przyglądając się zbliżającej postaci. – Teraz będę musiał z nim mieszkać?

- Tak – odparła, wycierając spod oka łzę lub rozmiękniety śnieg. – Nigdy więcej tak nie rób.

Stanęła przed nim z wyciągniętą dłonią. Maciek niechętnie sięgnął do kieszeni i przekazał jej pilota.

- Sorry. Chyba po prostu potrzebowałem chwilę pobyć sam – wyjaśnił. – Sam nie wiem.

Pokiwała głową. Chciała powiedzieć mu o tym, jak bardzo się bała, ale tego też by nie zrozumiał. Nagle zrobiło jej się go żal, bo zobaczyła go takim, jakim naprawdę był: pogubionym, wycofanym dzieciakiem przerzucanym z kąta w kąt jak przedmiot, wiecznie schowanym za monitorami, przeżywającym swoje życie z dala od ciała, lub głęboko w głowie. Ofiarę okoliczności, złych wyborów, krótkich chwil zapomnienia, konfliktów interesów i egoizmu ludzi dwukrotnie starszych, ale niewiele bardziej dorosłych od niego. Właśnie po raz kolejny ktoś z niego rezygnował. Myśl, że tylko w ten sposób będzie bezpieczny nie przynosiła Blance żadnego ukojenia.

- Idźmy stąd zanim wszyscy zamarzniemy – poprosiła.

- Chodź, synu – powiedział Robert i rozłożył ręce, które Maciek minął obojętnie.

Wrócili po śladach, w ciszy. Przy aucie objął ją jeszcze raz.

- Będziemy się widywać częściej niż myślisz – obiecała.

- Spoko. Wiem jak będzie – pociągnął nosem, zabrał walizkę i wsiadł do Mercedesa. Auto ruszyło przed siebie wyrzucając spod kół strumienie rozjeżdżonego śniegu.

Blanka wskoczyła do Lexusa, uruchomiła silnik, zrzuciła buty ze stóp i

zamarła skulona na fotelu z zamkniętymi oczyma i poczuciem pustki, w miejscu, w którym powinny pojawić się emocje (słona i wilgotna bezsilność, której litry wsiąknęły w jej bluzki i poduszki zawsze czaiła się na krawędzi powiek gotowa wypłynąć). Teraz znajome uczucie opuściło ją, zupełnie jakby zgubiła je gdzieś po drodze przez te mroczne dni. Być może wypadło jej z kieszeni gdy czołgała się z podziurawioną nogą po asfalcie, a może wyrzuciła je do kibla zamiast pocisku. Ciepłe powietrze wypełniało powoli kabinę, ale ona czuła rosnący w niej chłód. Przeszła ze swoim strachem na ty, nie paraliżował jej jak dawniej, jedynie motywował i podpowiadał niemożliwe rozwiązania. Już nie potrzebowała żyletki, by nad nim zapanować. Otworzyła oczy, biel nabrała konturów. Silnik zamruczał gotowy do drogi. Wcisnęła gaz, koła obróciły się w miejscu. Włączyła wsteczny i zapadła się w zaspie jeszcze głębiej.

- Kurwa! Kurwa! – krzyczała tłukąc dłonią w kierownicę, obiecując sobie, że utknęła już ostatni raz.

Zmierzch zapadł szybko, Edwin przyłapał się na tym, że od pewnego czasu nie słuchał tego, co mówił Oskar. Powtarzał się w kółko wracając do tych samych miejsc, tych samych sytuacji, przekoszony wódą, zatopiony w tym rozpamiętywaniu przypominał starca, który mógł czerpać radość jedynie ze wspomnień. To był jego największy koszmar tak skończyć. Jako pijany dziad nadający z kąta sali w knajpie nieczytelny bełkot, wyrzucający z siebie całe garście słów szybko zanim uciszy go ochrona, obłąkany starzec drący ryja w autobusie, czy bardziej perfidnie, stały klient dopadający ekspedientki, które muszą go znieść do końca zmiany, częstujący je spleśniałymi fragmentami własnego życia i opowieściami, które przywłaszczył. Niewolnik chwil utraconych bezpowrotnie. Pozbawiony godności, nikomu niepotrzebny przedmiot.

Wzdrygnął się na samą myśl, ale patrzył dalej na siedzące po drugiej stronie stołu lustro, które zawsze odmładzało go, a teraz z jakiegoś powodu zdecydowało objawić mu jego przyszłość. Postanowił złapać się tego uczucia kurczowo, pociągnął za nie i podniósł się do pionu.

Oskar dopiero po chwili zauważył, że Edwin ma na sobie kurtkę i jest gotowy do drogi.

- Strasznie się porobiłem – powiedział. – Odwieziesz mnie do domu?

- Zamówię ci taksówkę. Chodź.

Pomógł mu się ubrać, zawiązał szalik pod szyją jak małemu dziecku i sprowadził po schodach z obojętnością, której nie rozumiał, ale w pełni ją akceptował. Być może dolali mu czegoś do drinka, ale po raz pierwszy od dawna poczuł, że może oddychać swobodnie. Nie zżerał go żal, przestał czekać na odmianę, wiedział, że nic więcej się tu nie wydarzy.

Stanęli na chodniku. Oskar uwiesił się na jego ramieniu, ziewał i przysypiał walcząc z grawitacją. Zimny wiatr hulał nad dachami, gdzieś wyżej ponad pomarańczową łuną lśniły pojedyncze gwiazdy. Zasypane miasto powoli przedzierało się przez skostniałą breję i rozjeżdżało do domów. Pięć minut tej niewygody później taksówka zaparkowała tuż przed nimi. Edwin ruszył ramieniem i obudził Oskara.

- Twoja karoca, księżniczko – powiedział otwierając przed nim drzwi. – Wyśpij się.

Oskar wpakował się z impetem do środka w butach oblepionych brudnym śniegiem. Po trzeciej próbie udało mu się chwycić pas wystarczająco mocno, by przeciągnąć go przez pierś (trafienie klamrą w zatrzask po drugiej stronie okazało się zbyt wymagające, więc pozostawił go zwisającego bezużytecznie jak szelkę). Wzrok kierowcy w lusterku wstecznym przyglądał się spektaklowi żenady z opanowaniem godnym napiwku. Edwin zamknął drzwi i wyciągnął telefon. Zignorował wiadomości i nieodebrane połączenia i zamówił taksówkę dla siebie. Auto z Oskarem wciąż nie odjeżdżało. Usłyszał głosy z kabiny. Zza opuszczonej szyby wyjrzała para przekrwionych, rozbieganych oczu.

- No wsiadaj! – zawołał.

Blanka zaparkowała pod domem marząc o lampce merlota i kąpieli. Tylko ten wielokrotnie sprawdzony zestaw mógł skutecznie wymazać cały dzień z jej pamięci. Po godzinie spędzonej na wydostawaniu się z zaspy (ulitował się nad nią mężczyzna spacerujący z sędziwym labradorem, który najpierw pokręcił głową na wykrzykującą wulgaryzmy histeryczkę, a kwadrans później wrócił bez psa, ale za to z łopatą i dobrą radą, by szanowna pani raczyła się w podobny sprzęt wyposażyć, zwłaszcza jeśli zamierza częściej wypuszczać się swoim ekskluzywnym SUVem w nadwiślańskie bezdroża) Blanka nie miała już siły z nikim się spotykać i niczego załatwiać. Sierpiński i tak wydzwaniał wydając polecenia i prosząc o sprawozdania, a ona kłamała jakby miało nie być jutra. W międzyczasie zadzwoniła do Maćka pod błahym pretekstem rękawiczek zostawionych na siedzeniu, ale jego telefon pozostawał wyłączony. Chciała napisać mu wiadomość i nie znalazła właściwych słów. Załatwiła sprawę w banku, wysłała trzy maile z pobocza i kupiła wino, którego omal nie rozbiła tracąc równowagę na schodach przed domem.

Wreszcie stanęła na progu i zanurkowała dłonią w torebkę, w poszukiwaniu kluczy. Im dłużej jej palce potykały się o zapalniczki, blistry, rozmaite tubki i zgniecione paragony tym bardziej realna stawała się wizja rozmowy z Robertem. Próbowała odtworzyć sekwencję zdarzeń z niewyraźnych wspomnień (pamiętała ze szczegółami telefon do Null, skrzypnięcie, które mogły wydać z siebie jedynie do drzwi jadalni, ale z jakiegoś powodu nie była w stanie ustalić czy po wizycie w domu włożyła te jebane klucze do kieszeni czy do torebki). Jeszcze raz przeszukała płaszcz. Zimny przedmiot ukuł ją w palce, wyciągnęła go z wewnętrznej kieszeni bardzo ostrożnie i wepchnęła do zamka. Nie usłyszała kroków. Dopiero jego głos, gdy wyszeptał jej do ucha: - Kobieta powinna potrafić przyjąć przeprosiny.

Zamknęła oczy jakby to był tylko sen. Pomyślała o gazie w torebce, którego nie potrafiła używać i drzwiach, których nie zdążyłaby przed nim zamknąć.

- Będę krzyczeć – oznajmiła.

- Krzycz. Zobaczymy czy zdążysz narobić hałasu – odparł. – Mam tu coś, co skutecznie potrafi uciszać.

Sięgnął do kieszeni kurtki i zacisnął dłoń na broni. Blanka usłyszała dźwięk, który wydały z siebie ruchome metalowe elementy, brzmiał gniewnie, jak zgrzyt zębów.

- Czego chcesz?

- Żebyś przestała się dąsać. Przyszedłem cię przeprosić – odpowiedział spokojnie.

- To jest twój sposób na przeprosiny? Wysyłanie mi kwiatów i pocisków? Nachodzenie mnie w nocy?

Wciąż stała tyłem do niego, widziała tylko cień rzucony na drzwi i niewyraźne odbicie w przeszkleniu. Czuła, że przed chwilą skończył palić papierosa. Jednego z wielu. Być może czekał tu przez cały wieczór. Gdy złapał ją za tyłek jego dłoń była lodowata.

- Wpadłem na lepszy pomysł. Zrobię coś, co zawsze sprawiało ci radość – powiedział zaciskając palce na jej pośladku. – Widzę, że przyjechałaś przygotowana. Otworzymy to wino, będzie fajnie jak dawniej, zobaczysz suko.

- Proszę cię. Odejdź – wyszeptała drżącym głosem.

Uśmiechnął się. Stanął krok bliżej zasłaniając światło wszystkich latarni.

- Nie bądź taka niedostępna. No dalej, otwieraj.

Z ulicy dobiegł głos.

- Halo, proszę pani? Wszystko w porządku?

Brzmiał znajomo, choć używał obcych słów. Blance nie była w tym momencie niczego pewna, poza tym, że musi działać. Odwróciła się i zobaczyła Edwina stojącego przy furtce. Po drugiej stronie ulicy na włączonym silniku czekała taksówka.

- Nie wpierdalaj się, dziadku – rzucił Husky.

- Niestety nie mogę tego zrobić dopóki nie upewnię się, że nie doszło tu do najścia – odpowiedział tym swoim wypolerowanym, adwokackim tonem. – Proszę pani?

- Tak?

- Czy ten pan się pani narzuca?

- Ten pan już idzie do domu – odpowiedziała głośno spoglądając prosto w niedopasowane i wściekłe oczy. Całe miasto zamarło, jakby na każdym skrzyżowaniu rozbłysło czerwone światło. Nagle Husky wyjął ręce z kieszeni. W jednej trzymał zapalniczkę, w drugiej papierosa.

- Skoro tak, miłego wieczoru – rzucił, ukłonił się uprzejmie i zszedł ze schodów. – Zobaczymy się niebawem – dodał ruszając powoli w kierunku Edwina. Zmierzył go wzrokiem i zniknął w bocznej uliczce. Chwilę później nad ośnieżonymi dachami domków rozległ się niski warkot i pisk opon, a czarne auto pomknęło w noc.

Dopiero w taksówce Blanka uświadomiła sobie, że nie zapytała Edwina czy może u niego przenocować. Gdy Husky się ulotnił ona wyrwała klucz z zamka i pobiegła prosto do auta. Jechali w ciszy przez Ursynów, w oparach zwietrzałego alkoholu, podskakując na progach zwalniających, nie odzywając się do siebie ani razu.

- Sierpiński kazał mi ciebie śledzić – Edwin przerwał ciszę.

Blanka pokiwała głową opacznie rozumiejąc jego obecność jako ochronę, a nie inwigilację (dopiero później dotarło do niej, że po Sierpińskim nie mogłaby spodziewać się tego typu troski). Na miejsce dotarli kwadrans przed północą. Edwin przygotował pościel i ręczniki, rozłożył kanapę i nalał dobrej whisky.

- Przeżyliśmy kolejny dzień – powiedział wręczając jej jedną ze szklanek. – Wypijmy za to.

***

# NOWY POCZĄTEK

## Autoryzowana biografia Kazimierza Sierpińskiego

### Rozdział I – Najkrótsza z wieczności

Wychowałem się w małym domku przy lesie. W lecie las tętnił życiem, wabił milionem dźwięków i zapachów. W zimę na krętej drodze oddzielającej nasz rodzinny dom od pierwszych rzędów drzew pojawiały się tropy zwierząt i długie, czarne ślady opon odciśnięte w śniegu. Drogą przejeżdżało niewiele aut. Czasem musiałem odczekać kilka dni zanim w przejmującej, wiejskiej ciszy dało się usłyszeć warkot silnika dobiegający zza zakrętu. Jeśli bawiłem się akurat na dworze zwykle podbiegałem do bramy, wspinałem się na nią po metalowych przęsłach i kierowałem mój wzrok w miejsce, w którym miałem nadzieję wypatrzeć lśniącego trabanta, malucha czy rzadziej – poloneza sunącego wolno w kierunku miasta, lub wracającego z niego z zakupami. Zdarzało się, że beztroskie chwile przerywały syreny karetek pędzących na miejsce wypadku lub wozów strażackich wezwanych do pożaru. W żniwa drogę przemierzały traktory ciągnące przyczepy pełne zboża i ogromne kombajny. Marzyłem o tym, by pewnego dnia poprowadzić czerwonego bizona przez pola i wyciąć swoje imię pośród złotych łanów, tak, by widać je było nawet z okien srebrzystych samolotów mknących nie wiadomo dokąd nad moją głową. Lubiłem kłaść się na świeżo skoszonej trawie i patrzeć godzinami jak białe smugi wyplute z potężnych silników rozpływają się po niebie. W szóste urodziny ojciec zabrał mnie do składnicy harcerskiej i sfinansował zakup modelu Jaka-1M, który następnie skleiliśmy i ozdobiliśmy kalkomanią. Tego dnia ostatecznie porzuciłem marzenie, by zostać kombajnistą na rzecz kariery pilota. Rozkładałem ręce na boki i zbiegałem z górki wyobrażając sobie wolność, którą może dawać pęd i uczucie nieważkości. Choć dzieciństwo spędziłem sam nigdy nie czułem się samotny. Pola i las były moim placem zabaw otwierającym przede mną codziennie nowe możliwości. Budowałem szałasy, wspinałem się na drzewa, rysowałem na wymiętym papierze śniadaniowym mapy leśnych ścieżek zaznaczając tłustymi iksami miejsca w których zakopano skarby, a

następnie udawałem się tam ze szpadlem, by sprawdzić czy moja wyobraźnia była w stanie odmienić rzeczywistość i uczynić mnie bogatym. Nigdy nie znalazłem nazistowskiego złota, które według lokalnych legend zostało ukryte w naszej okolicy, ale las obdarzał mnie w inny sposób. Przez lata zgromadziłem pokaźną kolekcję zardzewiałego złomu, monet i łusek po nabojach. Stałem się także posiadaczem ponad tuzina mieczy, proc i łuków własnej konstrukcji, które pewnego letniego wieczora spłonęły w ogromnym ognisku za stodołą. Rodzice zadecydowali, że rozbite szyby szklarni odpracuję pomagając sąsiadowi przy zbiorze czarnych porzeczek. Po tygodniu spędzonym na dźwiganiu ciężkich wiader z jednego końca pola na drugi definitywnie straciłem ochotę, by wcielać się w Robina z Sherwood. Ludziom, którzy uważają, że nuda jest zmarnowanym czasem przez palce przecieka moc możliwości. Nuda jest żyzną glebą, gotową, by obsiać ją pomysłami. To ona daje nam przestrzeń do tworzenia. Teraz, gdy kompletnie wyeliminowaliśmy nudę z naszego życia, gdy każda wolna chwila została wypełniona konsumpcją treści, gdy pozwalamy nieustannie bombardować się informacjami, znieczulając nasze przestymulowane receptory na serwowany przekaz, gdy jemy bez spoglądania na talerz i potrafimy przeczytać cały internet stojąc w kolejce do kasy nie zapamiętując ani jednej wartościowej informacji, gdy narzędzia do przewijania i pożerania czasu stały się doskonałe, interfejsy niezauważalne, a nasze głowy wypełnione hałasem i pozbawione inwencji, każdy z nas odczuwa podskórnie tęsknotę do prostoty świata lat dziecięcych, w którym myśli zawsze były czyste, uczucia żywe, a my wierzyliśmy, że możemy zostać każdym i zrobić wszystko. W wieku siedmiu lat dorosnąć znaczyło dla mnie tyle co urosnąć. Moi rodzice dołożyli wszelkich starań, bym pozostał naiwny jak najdłużej, odcinając mnie od trapiących ich problemów finansowych i zdrowotnych, wyciszając kłótnie szczelnie zamkniętymi drzwiami, pozostawiając na widoku jedynie swoją miłość. Ale dzieciństwo, tak jak wiele innych rzeczy w moim życiu, zostało ostatecznie przerwane hukiem giętej blachy i brzękiem szkła. Ze szczytu bramy miałem doskonały widok na zakręt. Silnik wył głośno jeszcze zanim pojazd wyłonił się zza drzew. Nie

zdążyłem nacieszyć oczu widokiem połyskującej, czerwonej karoserii. Usłyszałem pisk opon, który brzmiał jak wołanie o pomoc i hałas przypominający wystrzał z karabinu. Z drzewa posypały się liście. Z rowu buchnął obłok gęstej pary. Jedno z kół wciąż kręciło się zawzięcie, jakby auto chciało pędzić dalej. Nigdy nie zapomnę tej ciszy, która przykryła wszystkie dźwięki na świecie ani uczucia strachu, które towarzyszyło mi gdy dreptałem poboczem w kierunku rozbitego samochodu. Do tego dnia zawsze uważałem, że najodważniejszą rzeczą, na jaką się zdobyłem było wyciągnięcie psa z przerębla. To był jeden z tych zaniedbanych wiejskich kundli, złych psów wściekle ujadających na przechodniów zza ogrodzenia, który w uchylonej furtce dopatrzył się szansy na odmianę swojego losu. Gdy zbliżyłem się do niego sunąc na czworakach po cienkim lodzie w pierwszym odruchu próbował odgryźć mi ręce. Nie odpuściłem i Barry przeżył siedem długich lat strzegąc naszego obejścia i odwzajemniając się wiernością, jakiej nie uświadczycie ze strony żadnego człowieka. Zanim zajrzałem przez rozbitą szybę do wnętrza pojazdu głęboko wierzyłem, że i tym razem nie może być inaczej. Dziecięca logika zakłada, że wystarczy wyciągnąć dłoń, by uratować kogoś z największej opresji, a każda historia musi skończyć się happy endem. Spoglądając w parę podeszłych krwią, nieruchomych oczu zrozumiałem, że tak naprawdę nie jesteśmy w stanie niczego przewidzieć, a przypadkowość naszej codzienności nie musi skrywać żadnego morału. Świat nie pozwolił, bym kiedykolwiek zapomniał tej lekcji. W moim życiu wydarzyły się trzy wypadki, które permanentnie zmieniły jego bieg: pierwszy z nich zakończył moje dzieciństwo, drugi pozbawił mnie miłości, trzeci zniszczył moją karierę. Za każdym razem odebrane zostały mi osoby i rzeczy najbliższe mojemu sercu. Czy można podnieść się po czymś takim ? Nie będziecie pierwszymi, którzy zadadzą mi i sobie to pytanie. Jako ekspert od tracenia mogę wam powiedzieć od razu – nie można. Człowiek, którym byłem nie przeżył żadnego z tych wypadków. Za każdym razem musiałem porzucić go, pozwolić mu na zawsze pozostać w miejscu, w którym zatrzymał się dla niego czas. A dla reszty siebie wymyślić nowy początek.

- Trzysta pięćdziesiąt stron masturbacji przed lustrem – rzucam manuskrypt na biurko. Greta przyciska kartki obcasem, przeciąga się w fotelu, ziewa, bierze łyka kawy z kieliszka, odrzuca włosy z twarzy, odstawia cały swój teatr.

- Później robi się mniej sentymentalnie. Jest też humor. I polityka, niestety.

- Widzę, że wciąż nienawidzisz akapitów.

- Forma to represja. Nie zamierzam być niewolnikiem formy – odpowiada ostro. – Czysta myśl, kochanie. Żywe słowo. Próbowałeś kiedyś złapać inspirację za gardło, usiąść i wykrwawić się na kartkę? Zdrapywałeś przecinki z ekranu? Ja tu maluję portrety, dlaczego każesz mi zamiatać pracownię? Poza tym – dodaje ciszej – napisałam całość w dwa tygodnie i nie skreśliłam ani jednego słowa.

- Skoro tak, mam nadzieję, że masz dobrego redaktora. Musimy jak najszybciej puścić to do druku.

- Och, Wiola jest najlepsza. Zamieni surowe mięso w wytworne danie. Sprawi, że zapomnisz, że to, co jesz w ogóle żyło.

Druga noga ląduje na biurku. Para zmrużonych oczu śledzi każdy mój ruch. Dotyka ust krawędzią szkła i zaciąga się zapachem kawy. Dłoń chwyta materiał sukni w garść i zaczyna bardzo powoli podciągać ją do góry odsłaniając więcej ciała, które jest białe jak papier. Wszystko jest dla niej zabawą. Nigdy nie przestaje sprawdzać na jak wiele może sobie pozwolić. Jej świat trwa permanentnie zawieszony w trzecim akcie opowieści, gdy reguły zostały już ustalone, a rozstawione na planszy pionki wyczekują zderzeń.

- Sierpiński chce żebyś zajęła się pisaniem jego przemówień.

- Tak jest, szefie. Pełne zaangażowanie – rzuca ironicznie. – Choć, nie powiem, ostatnio pojawił się pewien kuszący pomysł, którego nie jestem w stanie wygonić z głowy. To opowieść o polityku, który stracił wizerunek i podpisał pakt z diabłem, by go odzyskać. Historia triumfu woli i śmierci prawdy napisana bardziej poetycko niż

wypada współczesnej prozie. Co o tym sądzisz?

- Cokolwiek tworzysz, pamiętaj o najważniejszej zasadzie.

- Pokazywać, nie opisywać?

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Korytarz jest pusty. Tuż obok otwierają się kolejne drzwi. Róża wymyka się na palcach z pokoju Sierpińskiego i mija mnie bez słowa. Poza harmonogramem zamieniamy się w duchy, przenikamy przez siebie i snujemy w cieniu grubych zasłon ziewając i potrząsając dzwoniącymi telefonami. Daniel czeka na mnie na balkonie oparty o rzeźbioną balustradę, z głowy zwieszonej pomiędzy barkami ulatuje dym. Wychodzę na zewnątrz. Zapach tytoniu miesza się z wonią soli i mokrej ziemi. Na świecie wszystko ożyło, od nieuporządkowanego nieba pełnego podartych form i popołudniowych kolorów, po błyszczące źdźbła w ogrodzie zroszone wiosennym deszczem i przeczesane wiatrem. Null zrywa młode liście z krzaka i składa je w palcach jak żywe kartki papieru upuszczając kwadratowe fragmenty na kupkę pomiędzy nogami, słuchając cierpliwie tego, co ma jej do powiedzenia Blanka.

- Zawsze to robi gdy się denerwuje – mówi Daniel.

- Drze liście?

- Nie, Blanka. Wbija paznokcie w udo. Założę się, że nosi tam jakąś pamiątkę. Ludzie lubią rozdrapywać stare rany. Dosłownie.

- To musi być osobliwe uczucie.

- Co takiego?

- Patrzeć przez innych na wylot. Znać ich lepiej niż facebook.

- Tylko boli od tego głowa. W większości przypadków wolałbym nie wiedzieć. Na szczęście nie wszyscy są aż tak czytelni.

- Ty nie jesteś.

- Tylko gdy się pilnuję.

Pet ląduje w kawie. Przed bramą parkuje czarne Maserati. Blanka pierwsza odwraca głowę w kierunku dźwięku. Null spogląda prosto na nas i kalkuluje. Przykłada dłoń do ust i robi zamach rzucając w nas słowem, którego nie uchwycę. Daniel uśmiecha się i kiwa głową. Pokazuje na nadgarstek i wzrusza ramionami. Teraz ona się uśmiecha. Przez chwilę krótką jak odbicie słońca w otwieranym oknie ja też mogę nasycić się tym światłem. Auto parkuje przed wejściem. Ryczący silnik gaśnie i słychać syk rozgrzanych chłodnic, a później kroki stukające po schodach i skrzypnięcie drzwi. Spokojne popołudnie w posiadłości rodziny Addamsów dobiega końca.

- Nigdy ci tego nie mówiłem, ale uratowałeś mi życie – odzywa się po chwili i wkłada kolejnego papierosa w usta. – Jak zadzwoniłeś do mnie ja właśnie próbowałem się powiesić. Wtedy wydawało mi się, że opracowuję nowy trick do filmu, ale ja naprawdę chciałem mieć już to z głowy. Wierzysz w przeznaczenie?

- Nie.

- Wierzysz w cokolwiek?

- Każdy w coś wierzy. Nawet nihiliści nie pozostają obojętni na ból – odpowiadam.

- Gdy usłyszałem dzwonek, zacząłem się szarpać. Lina wreszcie pękła – ciągnie swoją opowieść. – Po wszystkim wyszedłem na papierosa na balkon i stałem tak jak teraz przez dwie godziny paląc i patrząc w dół. Ja chyba zawsze marzyłem o tym, żeby zostać magikiem. Nie po to żeby oczarować ludzi, tylko żeby zajrzeć za kotarę i zobaczyć jak działa iluzja. Chciałem poznać prawdę. Szkoda tylko, że ostatnie pięć lat przeleżałem na kanapie paląc jointy, waląc konia i modląc się żeby wszyscy dali mi święty spokój. Dlatego oddzwoniłem. Żeby się uratować z tego upośledzenia.

- I słusznie.

- Wiele się zmieniło odkąd tu jestem – mówi spoglądając na Null. – Kiedyś myślałem, że jesteśmy po prostu rozśpiewanym, roztańczonym gównem tego świata. Fruniemy przez kosmos

przylepieni do kuli brudu i robimy rzeczy kompletnie pozbawione znaczenia. Ćpałem dopaminę i nie czekałem na jutro. Teraz wiem, że wszystko jest po coś. My też. Jesteśmy potomkami tych, którzy przetrwali. Nasze ciała to najbardziej skomplikowane konstrukcje we wszechświecie, hodujemy i roznosimy wirus życia i nic nie jest w stanie nas powstrzymać. Zarazimy sobą cały wszechświat i przeżyjemy go. Sami napiszemy swoją historię – mówi wysysając ostatnią chmurę z filtra. – Dlatego wszystko, co robimy ma znaczenie.

- Co to by była za gra bez stawki? – pytam spoglądając przed siebie, daleko, jeszcze dalej, tam gdzie stare deski skrzypią pod ciężarem rozklekotanych kości. Magnus uderza fajką o poręcz wytrząsając z niej popiół. Przed nami tonie słońce. Wiatr dmucha mocniej, a dom rozpada się, płonie i zwija. Czarny śnieg tańczy po niebie jak chmara wieczornych ptaków, które wyruszyły na żer. W lesie ze szkła czeka samotne krzesło.

***

Sierpiński patrzył w lustro. Odbicie stało przed nim nieruchomo uparcie ignorując rozkazy wydawane przez głowę. Przyglądając się tej scenie z odpowiedniego kąta, widząc jej zaburzoną symetrię, będąc świadkiem zerwania paktu ciała ze światłem można było odnieść wrażenie, że materia rzeczywistości puściła na szwie, odsłaniając swój kod źródłowy, który mogli nadpisać dowolnym szaleństwem. Sierpiński obszedł mężczyznę dookoła i ruszył w kierunku okna. Zawahał się nim energicznie rozsunął zasłony rozświetlając gabinet. Otworzył usta, ale nie znalazł odpowiednich słów. Jego kopia odezwała się za niego.

- Dzień dobry, państwu. Nazywam się Kazimierz Sierpiński i jestem założycielem partii Nowy Początek.

Spojrzał po kolei na Artura, Daniela i Edwina, jakby chciał się upewnić, że usłyszeli to samo, co on.

- W pierwszej kolejności pracowaliśmy nad dykcją i sądzę, że udało nam się zamaskować większość różnic wynikających z nieco

odmiennej barwy głosu – wyjaśnił Vermont. Ewentualne rozbieżności mogą być zauważalne wyłącznie podczas bezpośrednich rozmów i przemówień bez użycia mikrofonu, gdy nie jesteśmy w stanie modulować tembru. Szczegółowy opis, w tym porównania spektrogramów znajdziesz w folderze – dodał wręczając mu opasłą teczkę. – Jeśli chodzi o warunki fizyczne pana— - Nie! – przerwał mu Sierpiński – Nie chcę znać twojego imienia. Ty jesteś mną – mówił zwracając się wyłącznie do swojej kopii. – Nie wierzyłem, że to będzie możliwe. Jak długo ukrywaliście go przede mną?

- Uruchomiliśmy algorytm cztery tygodnie temu. Następnie prowadziliśmy obserwacje w terenie i wyłoniliśmy trzech najbardziej obiecujących kandydatów, z którymi przeprowadziliśmy bezpośrednie wywiady. Obecny tu – Welkin zastąpił słowo zrezygnowanym westchnieniem – wykazywał największy potencjał. Podpisaliśmy umowę wraz z klauzulą poufności po czym przystąpiliśmy do cyklu zabiegów i treningów, które trwały przez ostatnie dziewiętnaście dni. Dzisiaj postanowiliśmy zaprezentować ci pierwsze efekty. Zważywszy na czas, którym dysponowaliśmy, sądzę, że rezultat jest więcej niż obiecujący. Ale to dopiero pierwszy etap metamorfozy.

- Pierwszy etap? – zapytał Sierpiński. – Dla mnie to jest skończony projekt.

- Będziemy kontynuować pracę nad mową ciała – oznajmił Daniel. – Nie poradzimy sobie z różnicą wzrostu, która na szczęście jest niewielka. Wciąż, pozostaje szereg innych znaków szczególnych, niedostrzegalnych na pierwszy rzut oka, ale mogących mieć wpływ na cokolwiek tu próbujemy zrobić.

- Dobrze byłoby już w tym momencie określić zakres obowiązków pana… numer dwa – Edwin nie popisał się inwencją. – Od tego zależy także kwestia wynagrodzenia.

Sierpiński popatrzył jeszcze raz w swoje odbicie.

- Chcę żebyś był mną przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Myślał jak ja. Czuł dokładnie to, co ja – powiedział przesuwając

dłonią po jego policzku (sobowtór nawet nie drgnął). – Chcę żebyś zapomniał o swoim dotychczasowym życiu, bo ciebie nigdy nie było. Ile coś takiego może kosztować?

Później leżał długo w noc z otwartymi oczyma w kompletnej ciemności, wypełniony strachem i fascynacją, nie mogąc przestać myśleć o tym na co mogła patrzyć druga para jego oczu. Jego ciało wypełniała nieznana dotąd siła, czuł się bezkarny jak bohater gry komputerowej, który zyskał dodatkowe życie. Gdy wreszcie opuściła go świadomość, świat pod jego powiekami zaroił się od muszych oczu, kalejdoskopów i twarzy zwielokrotnionych przez potłuczone lustra. Zbudził się z płytkiego snu pełen obaw, niekompletny, zupełnie jakby to ten drugi on sterował teraz jego światem. Postanowił sprawdzić jak było naprawdę.

Polecił Sierpińskiemu, by zadzwonił do Blanki, a następnie słuchał przez dziesięć minut jak ten beszta ją za niedopilnowanie tematu z influencerami (jeden wyjątkowo wyszczekany i popularny na youtubie gnojek postanowił rozpętać gównoburzę po tym jak zaproponowano mu płatną recenzję biografii (Null zgasiła pożar eksplozją publikując w jego imieniu serię gróźb karalnych pod adresem czołowych polityków opozycji, które zaowocowały skasowaniem profilu i zawiadomieniem prokuratury)). Gdyby to on faktycznie trzymał swój telefon w dłoni pewnie użyłby lepszych słów, postawił akcenty w innych miejscach i co najważniejsze zapomniał imienia jej przyszywanego syna (fakt, który musiał później zweryfikować z Welkinem) ale to wszystko było nieważne, skoro Blanki nie dopadła żadna wątpliwość odnośnie tego kto udzielał jej reprymendy.

Przez kamerę laptopa obserwował siebie jedzącego obiad, śledził powolny ruch dłoni nad talerzem. Kolejne kawałki dobrze wysmażonego befsztyku nadziewane na srebrny widelec znikały w ustach (sam nigdy nie zamówiłby tak przyrządzonego mięsa (ich preferencje kulinarne nie mogły być bardziej rozbieżne)). Gdy Bart wypytał go o nieoczekiwaną zmianę, niewzruszony zaczął opowiadać o reakcji Maillarda, smaku umami i wynikach eksperymentów, z

których jasno wynikało, że nawet drapieżniki usmażyłyby swoją zdobycz gdyby miały taką możliwość, a następnie poprosił o lampkę wina Beaujolais (wybór, który spotkał się z najwyższym uznaniem ze strony jego nadwornego kucharza).

Przyglądał się sobie z każdej możliwej perspektywy. Prowadził niekończące się wymiany zdań, które brzmiały jak monologi wewnątrz jego własnej głowy, korygował gesty, opowiadał o szczegółach, które tylko oni mogli znać. Polecił mu się rozebrać i długo obserwował ciało noszące wątłe wspomnienie sportowej przeszłości, której sam nigdy nie doświadczył. Wydawało się młodsze niż w istocie było (fakt, który wypełnił go żalem i niezrozumiałym rodzajem zazdrości (w końcu mocą kontraktu ono także należało do niego). Zauważył wyblakły tatuaż na wewnętrznej stronie ramienia przedstawiający klepsydrę. Jej kontury dawno rozpłynęły się pod skórą.

- Mogę to usunąć – powiedział cień.

- Nie ma potrzeby – odparł. – Zawsze marzyłem o tatuażu.

Wieczorem wziął prysznic, spryskał się niezawodnym Égoïste i zadzwonił po Różę instruując ją, by założyła czarną bieliznę pod casualową sukienkę. Czas pozostały do jej przybycia upłynął mu na kursowaniu od fotela do okna ze szklanką, w której nie ubywało whisky. Jedenaście razy zrywał się tak i spoglądał w ciemność nasłuchując odległych fal i głośniejszego od nich bicia serca nim wreszcie ujrzał światła taksówki przemykające pomiędzy drzewami. Otworzył bramę, jeszcze raz popatrzył w lustro sprawdzając, czy wszystkie detale były na swoim miejscu. Przywitali się w progu pocałunkami, które zawisnęły w powietrzu i ruszyli na górę. Opowiadał jej długo o trudach zbliżającej się kampanii, książkach, na które nie mógł znaleźć czasu w całej tej zawierusze, o tym, że morze było wyjątkowo niespokojne jak na tę porę roku. Polewał kolejne kieliszki wina i słuchał jak jej śmiech i śmiałość nabierały na sile. Gdy poczuł, że zaczyna ją zanudzać przesunął dłonią po szyi i sięgnął do guzika na plecach. Sukienka zsunęła się z jej piersi i opadła falą na uda. Róża rozciągnęła się na kanapie, zahaczyła go piętą i

przyciągnęła do siebie. Zamknął oczy i zachwiał się nad krawędzią. Pragnął rzucić się w dół i w niej utopić (tak, jak wiele razy wcześniej), ale w ostatniej chwili opamiętał się i wycofał na palcach podając błahy pretekst, który ona zbyła ledwie machnięciem dłoni sięgającej po telefon. Zza drzwi łazienki rozległ się szum wody. Po chwili wrócił rozpoczynając w tym samym miejscu, w którym zakończył: pomiędzy jej nogami, z jedną dłonią oswobadzającą szyję z kołnierza koszuli, drugą ściskającą pierś, spadając szybko pomiędzy mieniące się czerwienią usta. Obserwował swoje spocone plecy rytmicznie poruszające się nad nią. Słuchał jej jęków przebijających się przez ścianę, które rozbrzmiewały anielskim echem w ciasnym korytarzu pomiędzy pokojami. Tam, ukryty w zakurzonym mroku pachnącym stuletnim zapomnieniem z twarzą przyciśniętą do desek i załzawionym okiem nie mającym odwagi odwrócić się ani mrugnąć, przeżywał najczystsze uniesienie.

Edwin protestował, straszył konsekwencjami, prosił, błagał i groził odejściem (argument, który najbardziej rozbawił Sierpińskiego). Wreszcie zaklął cicho pod nosem, wyciągnął telefon z kieszeni i umówił dwa spotkania w kolidującym terminie na dwóch różnych końcach Warszawy. Następnego dnia zaparkował w garażu podziemnym na Kabatach i pofatygował się windą na dziewiąte piętro. Sierpiński nie wpuścił go do apartamentu (tłumacząc się środkami ostrożności). Przez szparę w drzwiach ulatniało się wyperfumowane powietrze. Przeciąg wpychał w jego nozdrza nuty, które mogły leżeć dobrze jedynie na kobiecie.

W windzie spróbował po raz ostatni przemówić mu do rozsądku. Podróż autem upłynęła w ciszy. Pędził po zalanych słońcem, budzących się do życia, obsianych rozmarzniętymi gównami ulicach spoglądając raz po raz w lusterko, w którym czekało na niego spojrzenie wyrażające bezgraniczną i niezłomną determinację. Tymczasem świat wokół Edwina rozmywał się w szary bełt, granice traciły na ostrości, słowa zamieniały definicjami. Do restauracji weszli we dwoje. On zajął miejsce przy wejściu, Sierpiński ruszył prosto do

jedynego zajętego stolika, przy którym czekał na niego Mariusz Krzyżanowski. Podwójne espresso wylądowało na stole (odruch bezwarunkowy, Edwin nawet nie pamiętał czy je zamówił). Schylił się po chusteczkę, która zsunęła się kelnerce z podstawka i zauważył, że jeden z jego butów był cały uwalany w błocie. Nad Buenos Aires wschodziło słońce rozpoczynając kolejny upalny dzień.

- Podziwiam pańską bezczelność – powiedział z uśmiechem gdy już przebrnęli przez formalności. – Według najnowszego sondażu jest między nami jedynie pięć punktów różnicy, a pan już rozpisuje drugą turę. Pański asystent poinformował mnie, że będziemy rozmawiać o kwestii powietrza w Warszawie. Wczoraj pokonaliśmy w rankingu Kalkutę.

- Siedem punktów – poprawił go Sierpiński. – A smog to temat sezonowy. Wrócimy do niego zapewne na jakimś jesiennym posiedzeniu gdy któryś z dziennikarzy znów wyciągnie statystyki albo jakiś uczeń zemdleje w nieprzewietrzonej klasie. Widzi pan, póki Inicjatywa steruje tym statkiem atmosfera nigdy się nie poprawi. Będziemy pływać we mgle, aż w końcu zatopi nas góra lodowa z napisem hiperinflacja. Pan wygląda na bardziej rozsądnego człowieka niż Batory, dlatego rozmawiamy.

Krzyżanowski wyprostował się na krześle. Gdy mijali się niespełna trzy miesiące temu w sejmowym hallu widział to dziewicze skrępowanie na jego twarzy nieprzyzwyczajonej do błysków flesza, gąszczu mikrofonów wpychanych w usta, ujadania i wyczekujących spojrzeń. Ten czas wystarczył, by nabrał werwy i wyzbył się złudzeń. Był jak dobrze dotarte auto, które mogło jechać bez końca na granicy przyczepności. Wciąż od czasu do czasu trafiał na kamień, który potrafił wytrącić go z równowagi (pozwalał przyłapywać się na nieznajomości mniej oczywistych nazwisk, prawo i paragrafy nigdy nie były jego mocną stroną), ale szybko uczył się zasad gry i to Sierpiński uważał w nim za najbardziej niebezpieczne.

- Proponuję bardzo prosty układ, który zadziała w obie strony – ciągnął Sierpiński. – I proszę nie doszukiwać się tu żadnych ukrytych

intencji, to czysta kalkulacja. Pańskie postulaty w największym stopniu pokrywają się z moimi, a ja chciałbym któregoś dnia obudzić się w Polsce, w której szanowane są prawa obywatela, zamiast rozdawnictwa stymulowana jest przedsiębiorczość, mamy dobrą edukację, wydolną służbę zdrowia i obiektywne media publiczne. To niewiarygodne, że rozmowa o podstawowych sprawach brzmi jakby była pełna frazesów, a one same wciąż leżą w sferze odległych marzeń.

Krzyżanowski bezwiednie pokiwał głową i spojrzał prosto na Edwina. W restauracji nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć, ale i tak ściszył głos.

- W lutym wytknięto mi, że próbuję dogadać się z Krzysztofem Łachem, mimo, że na naszym spotkaniu ledwie poruszyliśmy temat wyborów. Jaki piękny tytuł ktoś nawet ułożył, nie mogłem wyjść z podziwu. Rozumie pan, że nie chciałbym powtórzyć drugi raz tego samego błędu i dawać oponentom paliwa do krytyki. Bądź co bądź, pan jest moim oponentem.

- Wie pan jak to jest z liniami lotniczymi? – zapytał go Sierpiński – Najbezpieczniejsza linia to ta, której samolot wczoraj się rozbił. Dlatego wiem, że będzie pan nad wyraz ostrożny i wszystko, o czym dziś rozmawialiśmy pozostanie między nami. Proszę przemyśleć moją propozycję. A ja będę pamiętał o panu.

- Nie mogę nic obiecać.

Sierpiński pokiwał głową.

- Wiem, że zrobi pan to, co najlepsze dla Polski – powiedział mu na odchodne. – Do zobaczenia na debacie.

Pożegnali się uściskiem dłoni. Edwin przelał w gardło resztę kawy i ruszył za nim na zewnątrz. Sierpiński stanął na chodniku z rękami w kieszeniach, wyprostował się i zaciągnął głęboko gęstym, miejskim powietrzem. Po drugiej stronie ulicy pracownicy kończyli rozklejać na billboardzie ogromną twarz Józefa Batorego.

***

- Polska silna i sprawiedliwa. Co to w ogóle za hasło? – pyta Sierpiński wiążąc krawat przed lustrem, jego ruchy są energiczne i precyzyjne, kątem oka monitoruje bezlitośnie uciekający czas. – To jakiś mokry sen o potędze. Założę się, że sam je sobie napisał.

- Jeśli tak, to pogratuluj mu ode mnie – odpowiadam zawieszając się nad Null i zerkając w jej monitor. Wiem jak tego nienawidzi. Wzdryga się i odsuwa w bok, patrząc z ukosa jakbym był ptakiem, który chce jej nasrać na ramię.

- Tobie się podoba?

- Myślę, że idealnie spełnia swoją funkcję – odpowiadam zostawiając ją w spokoju. Podchodzę do okna i wsłuchuję się przez chwilę w metalowy zgrzyt ulic. Sierpiński staje obok i patrzy na miasto tonące w wyborczych płachtach. W zasięgu wzroku czterech Batorych składa tę samą obietnicę.

- Wyjaśnij mi proszę, bo może ja tu czegoś nie rozumiem.

- To bardzo proste – mówię. – Na wstępie masz Polskę, która jest nadrzędną wartością. To koncept, na który składają się wszystkie nasze romantyczne zrywy i powojenne gruzy, bursztynowe świerzopy, smak wódki, złoto jesieni, skoki narciarskie, sukcesy w tenisie i przede wszystkim ludzie, bo to dla nich i o nich jest ta historia. Polska może wydawać się inkluzywnym pojęciem, odnoszącym się do każdego człowieka mieszkającego w naszym kraju, ale spędziliśmy zbyt wiele czasu dyskutując na temat tego kto zasługuje na miano „prawdziwego Polaka", by mieć jeszcze jakiekolwiek wątpliwości. Wyborcy Batorego na pewno ich nie mają. Co więcej, czują się zagrożeni, że ktoś może chcieć im tę małą i dużą ojczyznę zmieniać, nadpisać swoimi nowoczesnymi definicjami rodziny, kobiety, wiary, wartości. Opowiadać o niej z akcentem. Dlatego są gotowi o swoją Polskę walczyć. Stąd wynika numer dwa w haśle, czyli siła. W sile pokładają nadzieję na to, że ich wizja zostanie zrealizowana. Siła jest zawsze dynamiczna, wymaga działania, nie stoi z boku i nie przygląda się jak

jej przemeblowują salon tylko bierze sprawy w swoje ręce. Pamiętaj, że ludzie przede wszystkim boją się chaosu. Ich egzystencja musi mieć jakiś cel. Gdy nie są w stanie wyznaczyć go sobie sami, a większość nie jest, zwracają się ku idolom, którzy pokazują im udeptaną ścieżkę. Bogowie i ich kapłani, politycy i ich doktryny, gwiazdy i muzyka, celebryci i skandale, kluby i barwy, to gotowce, którymi można wypełnić ziejącą dziurę w miejscu, w którym powinna znajdować się dusza i zagłuszyć lęk przed pustką i bezsensem. Nawet najbardziej gówniany cel będzie lepszy niż żaden. Silna osobowość, która ma posłuch jest gwarantem tego, że podążamy we właściwym kierunku, zapominając, że plan, który realizujemy nie jest nasz. Adoptujemy cudze myśli i doktryny, by poczuć się silnymi w grupie – dodaję. – Na trzecim miejscu masz sprawiedliwość, która wieńczy i ostatecznie dowodzi geniuszu tego hasła. Sprawiedliwość jest często mylona z prawością, ale rzadko kiedy służy słusznej sprawie. Sprawiedliwość to opium dla przegranych, którzy wreszcie po latach gnojenia i wyrzeczeń doczekują dnia, w którym mogą powiedzieć „teraz moja kolej". Sprawiedliwość to głos ludzi zamiecionych pod dywan, których ignorowała każda kolejna władza próbująca odciążyć tonący statek kosztem swoich najstarszych, najbiedniejszych i najmniej użytecznych pasażerów. Mówimy oczywiście o sprawiedliwości, która wynika z siły, więc nie ma wątpliwości co do tego, że zostanie wyegzekwowana. „W Polsce będzie tak, jak my chcemy". Tak czytaj to hasło. Jest piękne w swojej prostocie, podąża zgodnie z najlepszą praktyką od ogółu do szczegółu, daje ci zestaw ideologiczny, wzywa do działania i składa obietnicę w trzech zrozumiałych słowach i do tego brzmi neutralnie, mimo, że to czysta przemoc. Czy przeciętny obywatel zada sobie trud żeby zinterpretować hasło? Szczerze wątpię. Ale melodia i energia w nim zawarte będą mu dobrze znane. Żaden przekaz oczywiście nie funkcjonuje w próżni. Cała kampania Batorego jest zbudowana na strachu przed zmianą i utratą kontroli, przed konsekwencjami oddania władzy tym, którzy chcą Polski słabej i niesprawiedliwej. W jego haśle, natomiast, nie ma po tym strachu śladu. Tu jest jasna odpowiedź: to ja jestem waszym lepszym jutrem.

- Miłość i strach – mówi Sierpiński kiwając głową. –

Powinieneś pójść na tą debatę za mnie, Arturze. Chętnie popatrzyłbym jak elegancko patroszysz ich swoją retoryką.

- Będę tam z tobą.

Trzy kwadranse później słyszę jego oddech gdy wspina się po schodach szklanej wieży prosto do studia. To jego rytuał, musi wpierw zmęczyć ciało, by oczyścić umysł. Poczuć łupiący ból w kolanach, przeskok iskry w sercu, rozruszać zardzewiałe lędźwie i wsłuchać się w rytm kroków. Raz dwa trzy cztery tupie i dyszy dźwigając swoją ambicję i cały nadbagaż lęków w każdym rozmiarze na siódme piętro. Gdy otwiera podwójne drzwi studia jest już za późno na wątpliwości. Asystenci rzucają się na niego, czyjeś dłonie pociągają za koszulę, montują na nim mikrofon, proszą o wyłączenie i przekazanie wszystkich urządzeń mobilnych, oferują butelkę szczelnie zakręconej wody mineralnej w opcji z gazem lub bez i wskazują miejsce na sali wytapetowanej monitorami. Jeszcze chwila i na tle biało-czerwonych wizualizacji zabłysną jasne uśmiechy i pofruną zaostrzone słowa. W takiej scenerii nawet najbardziej okrutna śmierć może wyglądać elegancko jeśli kamerzysta zdąży ją dobrze wykadrować.

Null uruchamia podgląd z kamery przemysłowej, która da nam ogólny rzut na studio. Kamera laptopa w reżyserce pokaże podgląd z transmisji bez czterominutowego opóźnienia. Jeśli mnie słyszysz połóż dłoń na stanowisku – mówię do mikrofonu. Sierpiński uderza w piedestał, pyta przechodzącej makijażystki gdzie ma nacisnąć gdyby okazało się, że zna prawidłową odpowiedź. Dziewczyna komplementuje żart uśmiechem i wraca za kulisy. Kandydaci zajmują przydzielone miejsca i milczą spoglądając pozostałym prosto w oczy jak zwierzęta w ubraniach, którymi w istocie są. Daniel rozdaje po pięć kart. Rzucam dwójkę, Null wykłada trójkę, on dobiera. Na tle gasnącego nieba czernieją kontury miasta, przez uchylone okno wpada zimny wiatr i pociąga za brudną zasłonkę.

Czerwone diody kamer rozbłyskują w ciemności jak laserowe celowniki. Słowa padają gęsto całe ciężkie od treści. Długie tasiemce podzielone na minutowe segmenty, wyciągane z gardeł bez znaków

przestankowych, obietnice pisane w powietrzu, słowa klucze, twarde akcenty podkreślone przez oszczędne gesty. Samce wydają odgłosy godowe rywalizując o uwagę stada, wśród pohukiwań i okrzyków daje się słyszeć cichy trel pojedynczej samicy, która zdecydowała się dołączyć do tego niezrozumiałego rytuału. Oczywiście wszystko, co powiedzą zostanie użyte przeciwko nim, wyszydzone, rozebrane na elementy pierwsze przez wnikliwych youtuberów, którzy nigdy nie chodzą na głosowanie. Ci, którzy chodzą już dawno się zdecydowali i są tu po to, by dalej utwierdzać się w przekonaniu, kibicować swoim w meczu polsko-polskim o mistrzostwo kraju podzielonego na sektory jakby został przykryty potłuczonym szkłem. Długie czarne linie przebiegają przez środek domów oddzielając pokoje i pokolenia. W telewizorze trwa bitwa, ale prawdziwej wojny nie widać, tylko słychać ją czasem przez ścianę od sąsiada, rozgrywa się za zamkniętymi drzwiami, przy niedzielnym obiedzie zagłuszanym wyciem telewizora, widać ją w cichych spojrzeniach w korytarzu, czuć w powietrzu, najczęściej po wieczornych powrotach, gdy gardła i dłonie świerzbią, by ranić, szukać winnego wszędzie byle nie w sobie.

Minuta na wypowiedź o unijnych regulacjach szybko przeradza się w gorącą rozmowę dotyczącą ustanowienia praw dla członków społeczności LGBTQIA+. Krzyżanowski wsadza kij w mrowisko wspominając o związkach jednopłciowych. Łachowi nic co ludzkie nie jest obce, ale w kwestii decydowania o losach Polaków wolałby jednak zachować autonomię. Michał Miller, nowa twarz Koalicji Patriotycznej stawia na piedestale wartości pochodzące od bozi, ale jakby mniej stanowczo niż jego tłukący ciężarną poprzednik. Sprzedaż odzieży patriotycznej spadła o 55% rok do roku. To fakt, którego nawet najbardziej ogolona głowa nie potrafi zignorować. Coraz rzadziej widuje się kotwicę przylepioną do bagażników solidnych, niemieckich aut, a dyskretny urok faszyzmu nie uwodzi jak kiedyś, bo młodzież dorasta w rozczarowaniu, nie w buncie. Batory daje się łatwo wciągnąć w przepychankę i wykłada na statystyce dotyczącej przemocy na tle nienawiści myląc liczbę zgłoszeń z pięciokrotnie wyższą szacowaną ilością napaści. Sprawdzamy ten fakt podsuwając Sierpińskiemu komentarz naszpikowany liczbami, krzywymi i

procentami, dorzucając twardo okupowane przez Polskę ostatnie miejsce w rankingu ILGA Europe gratis, a gdy przychodzi jego czas on recytuje nasze trzykrotnie zweryfikowane informacje wbijając w szpilę za szpilą w lidera Polskiej Inicjatywy Patriotycznej jakby praktykował voodoo. Opóźnienie w transmisji na żywo natychmiast spada do trzech minut i dwudziestu sekund gdy z obu wypowiedzi zostają wycięte sprzeczne dane.

Na swój ostatni występ w przestrzeni politycznej Marietta Potocka przywdziała najbardziej wytworną z szat. Karmazynowy jedwab przyozdobiony wzorami utkanymi z kryształów spływa z niej krwawą falą, sznur pereł błyszczy wokół długiej szyi, wyeksponowanej przez upięte włosy. Ilekroć łapczywe oko kamery skupia się na jej postaci, rozkwitają marzenia o ściętych głowach. Kto z widzów nie chciałby zobaczyć jak do studia wpada straż przyboczna i wśród okrzyków trwogi i ekscytacji prowadzi kandydatów jednego za drugim na gilotyny. Świszczą ostrza, głowy spadają do drewnianych kubłów i nareszcie rozlega się błoga cisza. Intronizacja królowej rozpoczyna złoty wiek zgody. Skazani za krzywoprzysięstwo muszą szczekać, złodzieje są pozbawiani uszu i wraca zwyczaj karmienia woźnych pozwami sądowymi – scenariusz, który nie ma szansy się ziścić dopóki jedyną cechą wspólną polityków i wyborców w tym kraju pozostaje brak poczucia humoru.

Nie byliśmy w stanie zweryfikować pytań przed debatą, więc najbardziej dyskusyjne kwestie testujemy na grupie kontrolnej. Do badania zaprosiliśmy dwieście pięćdziesiąt osób, które podzieliliśmy na mniejsze podgrupy pokrywające się z demografią i psychografią wyborców, o których najbardziej chcemy zawalczyć. Zmobilizowani czekają na pytania przed monitorami i ekranami telefonów wiedząc, że tylko odpowiedź udzielona w ciągu trzydziestu sekund zagwarantuje im wynagrodzenie za udział w eksperymencie przeprowadzanym przez Szwedzki Instytut Badań Behawioralnych, który w zeszłym tygodniu powołaliśmy do życia. Pół minuty po tym jak Łukasz Kupiec podnosi kwestię przebudowy programu pomocy rodzinom otrzymujemy wnioski, z których jasno wynika, że socjal

musi zostać, a dziura budżetowa to abstrakcyjne pojęcie, które powinno obchodzić polityków a nie Kowalskiego. Null pokazuje mi wyniki, a ja streszczam je Sierpińskiemu proponując kilka retorycznych rozwiązań.

- Priorytetem osób u władzy jest zapewnienie godnego życia każdemu obywatelowi naszego kraju – mówi natychmiast zapominając, by używać krótkich zdań. – Pomimo tego, że dodatki dla rodzin i emerytów oraz widmo ich likwidacji są bezpardonowo używane przez patię rządzącą do manipulowania nastrojami społecznymi, należy zdawać sobie sprawę z tego, że nie są one bezpośrednio odpowiedzialne za fatalny stan finansów państwa. Winę ponosi w głównej mierze rozrośnięty do granic absurdu aparat administracyjny pożerający miliardy złotych, urzędy wykonujące niepotrzebną pracę, która dawno temu powinna zostać skomputeryzowana i przede wszystkim całe zastępy decydentów, którzy dbają wyłącznie o własny interes. Najwyższy czas otworzyć wytworne gabinety i przewietrzyć szafy, zajrzeć do kosztorysów i rejestrów i tam poszukać oszczędności, z których da się wspierać rodziny w najtrudniejszej sytuacji życiowej jednocześnie nie zaniedbując edukacji i służby zdrowia, ułatwiając życie młodym przedsiębiorcom i ponosząc jakość życia osób niepełnosprawnych. Pora przywrócić regularny bieg rzece pieniędzy, która rozpływa się po polach fantazji obecnie panującej nam kasty rządzącej przeprowadzającej informatyzację ZUS za kwoty, które wystarczają NASA do wysłania sondy na Marsa – kończy równo z gongiem.

- Zastanawiająca zmiana stanowiska – wytyka mu Krzyżanowski. – Jeszcze niedawno był pan zdecydowanym oponentem wprowadzania cytuję piętnastych i dwudziestych emerytur i dodatków dla rodzin twierdząc że są one nieuzasadnionym ekonomicznie populizmem.

Sierpiński odpłaca się za argument ad personam wytykając oponentowi co najmniej trzy niekonsekwencje w wypowiedziach z listy szesnastu, które zakuł na pamięć przygotowując się do debaty. To dość dużo jak na postać, która pojawiła się na scenie politycznej zaledwie przedwczoraj – podsumowuje nie szczędząc ironii w tonie.

Kupiec nieśmiało przypomina o regulaminowym czasie i kolejności wypowiedzi, ale Sierpiński już poczuł krew i wie, że to jest moment, w którym przechodzi razem z Batorym do drugiej tury. Ciągnie dalej nie zważając na upomnienia.

- A skoro już wspomniał pan o zmianie poglądów, proszę nam powiedzieć więcej o spotkaniu, podczas którego próbował pan zapewnić sobie poparcie wyborców pana Krzysztofa Łacha.

Twarz Krzyżanowskiego staje się bordowa i znika w fałdach powiewającej za nim flagi. Kupiec niczym wytrawny sędzia w meczu o wszystko dostrzega faul, ale puszcza akcję dla dobra widowiska. Bufor bezpieczeństwa wciąż ma trzy minuty. Jest tylko jedna rzecz, którą można zrobić w tej sytuacji i Krzyżanowski ją robi.

- Proszę się nie ośmieszać, Panie Sierpiński. Nie dalej jak tydzień temu spotkał się pan ze mną, by omówić dokładnie tę samą kwestię. Podkreślam, że nie zgodziłem się na jakiekolwiek układy – wypala prosto w twarz siedmiu milionom widzów.

- Nie wiem w jakiej fantazji pan żyje, ale zaręczam, że do takiego spotkania nigdy nie doszło.

- To jest kłamstwo, które mogę bardzo łatwo udowodnić. Mam podać szczegóły? Proszę bardzo. Spotkaliśmy się dwudziestego trzeciego marca o godzinie jedenastej w restauracji przy ulicy Kruczej w towarzystwie pańskiego adwokata.

- Nie mam dostępu do mojego kalendarza, ale o ile mnie pamięć nie myli całe przedpołudnie dwudziestego trzeciego marca spędziłem z obecnym tu kandydatem Józefem Batorym na debacie klimatycznej zorganizowanej przez portal Lepiej Oddychaj. Może pan łatwo znaleźć transmisję z tego spotkania w internecie – ripostuje.

W studio po raz pierwszy zapada cisza. Krzyżanowski krzywi się jakby usłyszał obrzydliwy dowcip, ale i tak jest zbity z tropu siłą, z jaką Sierpiński idzie w zaparte.

- Żeby nie przedłużać tej groteski, potwierdzam wersję

wydarzeń kandydata Sierpińskiego – odzywa się nagle Batory. – Faktycznie spędziliśmy ten dzień w studio. A teraz prosiłbym uprzejmie o przywrócenie porządku debaty, mamy jeszcze wiele kwestii do omówienia. Szanujmy czas pozostałych kandydatów i widzów, którzy liczą na merytoryczne wypowiedzi, a nie konfabulacje.

Trup na miejscu. Możemy wyłączyć komputery, zniszczyć dyski i wracać do domu. Ale z poczucia obowiązku trwamy przed monitorami kolejną godzinę patrząc kątem oka jak Krzyżanowski zapada się w sobie coraz głębiej, a Sierpiński rośnie, błyszczy i zachwyca tańcząc na linie pod którą rozciągnęliśmy siatkę zabezpieczającą. Rzucamy karty na stół słuchając sarkastycznych przytyków Łacha. Spuszczona woda w kiblu zagłusza Millera gdy ten wykłada swoją sztywną ideologię ubierając ją w lekkostrawne eufemizmy. Batory znów rozprawia o zagrożeniach tonem kapłana nawracającego lud. Potocka jako jedyna ma świadomość bezgranicznego absurdu sytuacji, w której się znalazła i tego jak nie na miejscu są jej merytoryczne wypowiedzi.

Liczba wyświetleń transmisji debaty klimatycznej, która nikogo do tej pory nikogo nie obchodziła rośnie czterdziestokrotnie. Odnotowujemy też kliknięcia we wcześniej przygotowane wzmianki prasowe i posty na portalach, które opublikowaliśmy dziś ze wsteczną datą. Można się tylko domyślać jak szybko rozprzestrzenia się pożar w siedzibie Ruchu Obywatelskiego. Twarz Krzyżanowskiego to bezpośrednia transmisja z końca świata. Jeszcze dziś po sprawdzeniu wszystkich maili i połączeń wsiądzie w auto i uda się na Kruczą, by zobaczyć na własne oczy zabity dechami lokal, w którym nie miał prawa z nikim się spotkać. Wszystko nabierze sensu gdy przypomni sobie pojedynczy telefon z nieznanego numeru, przekierowany przez jego asystentkę, krótką rozmowę z Edwinem, propozycję spotkania w centrum, nic nie mówiącą mu nazwę kawiarni, po której w jego pamięci nie pozostał ani jeden ślad. Czy mógł nagrywać rozmowę na dyktafon? Oczywiście istnieje taka możliwość, ale jeśli ktoś miałby uwierzyć w fejka, to dużo łatwiej jest podłożyć głos niż spreparować godzinną transmisję na żywo. Sierpiński nie mógł przecież przebywać w dwóch miejscach jednocześnie.

- Widziałeś jego minę? – pyta zanosząc się śmiechem. – Widziałeś jak się zesrał?

- Spotkajmy się – mówię. – Tylko w cztery oczy.

- Przy torach. Mogę być tam za pół godziny.

Sierpiński wychodzi ze studia, my opuszczamy wynajęty lokal mijając się w drzwiach z ekipą sprzątającą. Przechodzę kilka ulic i łapię taksówkę na Dworzec Zachodni. Brudna skoda podskakuje na nierównościach wytrząsając z zagłówków stuletni łupież, wnętrze śmierdzi jak stara szopa, w której ktoś odstrzelił sobie głowę. Znów myślę o tym żeby zadzwonić do Lipy, układam słowa, w których opowiem jej o podróży na koniec świata, zapytam o to, o co zwykle pytają ludzie, którzy długo się nie słyszeli. Poudajemy trochę, a później się rozłączę. Uczucie pojawia się i znika szybko. Jestem w tym coraz lepszy, potrafię je spreparować i zabić w czasie jednego uderzenia serca. Tak jest lepiej, bo przynajmniej nie muszę jej w to angażować.

Szkło skrzypi pod nogami gdy wspinam się na siódme piętro opuszczonego biurowca. Sierpiński czeka na mnie na górze, wita objęciem, jego radość jest ujmująca, niepohamowana, wręcz dziecięca. Na parapecie stoi otwarta whisky i dwie szklanki. W tle rozświetlone miasto, którego tej nocy czuje się właścicielem. Chwyta butelkę i tańczy wokół mnie nucąc melodię, która nic mi nie przypomina. Obejmuje mnie i prowadzi do zaimprowizowanego barku, polewa do szklanek. Wreszcie zastyga w bezruchu z wzrokiem utkwionym w wieżowce centrum.

- To tu wszystko się zaczęło. Wydaje się jakby minęły wieki – mówi. – Po wyborach zrobię z tej ruiny biznes park. A to biuro wynajmę dla siebie i będę przyjeżdżał tu wieczorami. Widok stąd jest przepiękny.

- Została jeszcze druga tura.

- Jesteś prawdziwym mistrzem w rujnowaniu klimatu – rzuca, ale bez złości w głosie. Stukają szklanki. – No to słucham. Jak sobie z

nią poradzimy?

- Big data. Czasy mówienia do ogółu bezpowrotnie minęły. Nie ma czegoś takiego, jak uniwersalne przesłanie. Wiemy to, bo przez ostatnie pół roku dowiedzieliśmy się praktycznie wszystkiego o naszych odbiorcach. Dlatego teraz trzeba się skupić na działaniach taktycznych. Zamierzamy precyzyjnie uderzać w niewielkie grupy podsuwając im angażujące treści. A jeśli chodzi o betonowy elektorat Batorego, którego nie będziemy w stanie przeciągnąć na swoją stronę, postaramy się zniechęcić ich do oddania głosu na kogokolwiek.

- Bardzo dobrze, Arturze, ale powiedz mi, proszę jak ty zamierzasz dotrzeć sponsorowanymi postami do jakiejś babiny mieszkającej w polu na Podlasiu? Ilu prostych chłopów zaktywizujesz twitterem?

- Dlatego przeniesiemy naszą strategię w teren. Zgromadziliśmy ogromną ilość danych dotyczących wydarzeń, które poruszały lokalne społeczności w ostatnich latach w praktycznie każdym zakątku w Polsce. Zamierzamy przypomnieć wszystkie te historie i podać je w kontekście, który stawia politykę Batorego w niekorzystnym świetle. Mamy do dyspozycji dziesiątki biznesów zbankrutowanych przez zmienione przepisy, molestujących pracownice radnych, których nikt nie usunął ze stanowiska, molestujących księży przerzucanych ze wsi do wsi, pola zmienione w wysypiska śmieci, deweloperską samowolkę, wycięte lasy, wstrzymane inwestycje, pęknięte wały, zamknięte szkoły, zlikwidowane połączenia kolejowe i autobusowe, a do tego całą masę rozbojów, kradzieży i morderstw napędzanych refundowanym alkoholem. Setki tysięcy koszmarów, które nikogo nie obchodzą. Nikogo, poza ludźmi, którzy sami ich doświadczyli lub byli ich świadkami. Nie pozwolimy łatwo o nich zapomnieć. Użyjemy sponsorowanych artykułów w lokalnej prasie, radia, broszur informacyjnych, a jeśli będzie trzeba to napisów na murach i najzwyklejszych w świecie plotek.

- To ogromne przedsięwzięcie.

- Tak. I obawiam się, że wciąż nie wystarczy żeby być

spokojnym o zwycięstwo. Potrzebujemy jeszcze jednej rzeczy. A właściwie osoby.

- Bryganta. – Sierpiński kiwa głową.

- Musimy wiedzieć, to, co on wie. Prześwietlić wszystkie opcje. Próbowaliśmy go infiltrować, ale zbyt dobrze się pilnuje. Powinniśmy się z nim spotkać. Złożyć mu propozycję.

- Jak myślisz, ile to będzie kosztować?

- A ile masz? – pytam go.

Nie odpowiada tylko uśmiecha się, mruży jedno oko, unosi szklankę i spogląda na światła miasta przez bursztynowy płyn. A później wypija je wszystkie.

***

Jeśli czytał, to tylko pozycje z listy lektur. Zadawał się wyłącznie z ludźmi, którzy mogli coś dla niego zrobić. Nie posiadał zwierząt domowych ani wyszukanych lub czasochłonnych pasji. Związki traktował jako transakcję z obopólnymi korzyściami. Internetowe zakupy i wynajęte sprzątaczki odsuwały od niego błahą codzienność na bezpieczny dystans. Edwin nie robił rzeczy niepotrzebnych. Wszystkie decyzje, które podejmował w życiu przesuwały go o jeden krok do przodu i przybliżały do celu. Tylko czym był ten cel? Mokrym prześcieradłem, w którym noc po nocy wypacał swój kontur (słone, zaschnięte linie obrysowywały nieruchome ciało zaznaczając pozycję zgonu). Oddanym głosem (czy człowiek tak wymazany mógł jeszcze mówić w swoim imieniu)?

A jednak ktoś od wielu dni krzątał się po jego domu, delikatnie wytrącając go z obranej trajektorii. Człowiek jakiś. Zlepek marzeń i historii, na poznawaniu których spędził mimowolnie niejeden wieczór. Z początku czuł się jakby żył z wiecznie nadającym radiem, którego nie sposób wyłączyć. Z czasem przywykł i zaczepiony nauczył się odpowiadać. Ja też kiedyś żyłem – powiedział jej pewnej nocy przy lampce wina i wysypał na stół zdjęcia. Poznała Oskara w jego słowach

i za nic w świecie nie mogła zrozumieć dlaczego nie wsiadł do tej taksówki.

Gdy spakowała się i znów został sam przypomniał sobie o ciszy. Chodził po pustym mieszkaniu i wystawał w oknach, pił kawę oglądając wiadomości z wyłączonym dźwiękiem (tylko paski czerwone i żółte czytał, przewijające się procenty, słupki, wykresy i mapy ze słońcem, chmurką i piorunem, znów ktoś umarł, coś się spaliło, gdzieś ludzie protestowali przykuci łańcuchem do słupa, (wszystko mu było jedno (siwych włosów na starej głowie już i tak nie przybędzie))). Któregoś dnia wyszedł nago na balkon i policzył sześć pięter w dół. Wychylił się przez barierkę, mokre ręce poślizgnęły się na poręczy, a oczy i usta otworzyły szeroko. Na parkingu kilkuletnia dziewczynka szarpnęła swojego tatę za rękę i pokazała palcem do góry. Schował się do mieszkania, usiadł na kanapie i nie poruszył do wieczora myśląc o tym jak samolubni ludzie robili sobie dzieci ze strachu przed własną samotnością.

W dzień wyborów dokładnie się ogolił, zaczesał przerzedzone włosy do tyłu, założył białą koszulę pod czarny garnitur i wsiadł do Maserati. Apokaliptyczny ryk silnika wygonił ptaki z drzew. Zaparkował pod liceum i długo patrzył przez szybę na ludzi zmierzających do lokalu wyborczego. Namierzył okno na drugim piętrze, gdzie znajdowała się jego stara sala od matematyki. Któregoś razu został tam po lekcjach, by wytłumaczyć rachunek prawdopodobieństwa koledze z klasy i przekonać się, że prawdopodobieństwo bycia przyłapanym z cudzym fiutem w ręku było większe niż wynikało to z jego obliczeń. Bał się, że będzie jak w podstawówce, znów zaczną gadać i wytykać palcami, ale poza jednym napisem w męskiej szatni, który łatwo zszedł starty palcem i śliną świat się nie zatrzymał. Zdziwił się i ucieszył jednocześnie, myśląc o tym, że być może pewnego dnia przestanie się czuć jak człowiek upchnięty w drugim człowieku, ściśnięty strachem swoim i cudzym. Myślał, że w większym mieście będzie inaczej. Miesiąc później ktoś odnalazł jego adres domowy i wysłał do Radomia tłustą kopertę z opisem wszystkich jego grzechów. Jesteś pedałem, tak? – zapytał go

ojciec wprost gdy przyjechał do nich na weekend.  – Nie na takiego człowieka cię wychowałam – płakała matka. Powiedział im, że w Warszawie wszyscy teraz się ruchają w dupę, bo to takie modne i postępowe. Trzasnął drzwiami i nie pojawił się w domu do Wigilii, pięć lat później.

Nad wejściem powiewały dwie biało-czerwone flagi. Wysiadł z auta, wszedł na dziedziniec i obszedł żółty budynek dookoła. Stanął na boisku, po którym niegdyś przy minusowych temperaturach biegali chudzi, pryszczaci chłopcy w szortach i spojrzał w okna korytarza, z którego dziś nie dochodził gwar i śmiech. Wszystko wydawało się mniejsze niż pamiętał. Małe bramki i małe okna. Małe strachy i małe miłości. Zostawił je dawno w tyle, ale i tak nie potrafił opuścić tego miejsca. Wracał, by się napawać. Parkował Maserati na parkingu, na którym jego dawni nauczyciele zostawiali swoje cieknące olejem, pierdzące fordy i przechadzał się po boiskach i korytarzach patrząc portretom prosto w oczy. Zdarzało się, że spotykał starych wrogów i znajomych (wpatrywał się zbyt długo w twarze zmienione tłuszczem i czasem próbując zedrzeć z nich warstwy żeby bardziej pasowały do tego, co zatrzymał we wspomnieniach).

Wreszcie wszedł do środka, w szkolny chłód korytarzy, które zawsze tonęły w mroku. Wylegitymował się dowodem, podpisał na karcie i schował pomiędzy płachtami dykty zapewniającymi odrobinę prywatności. Nieugięty alfabet zrzucił Sierpińskiego na sam dół strony, gdzie według własnych słów wyglądał jak zła odpowiedź. Listę otwierało nazwisko Józefa Batorego, zdecydowanie najkrótsze, a więc najłatwiejsze do zapamiętania. Sierpiński nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że Batory zmobilizuje domy spokojnej starości i ośrodki pomocy, wymiecie z każdego zmurszałego kąta wszystkich tych śliniących się tetryków i póki będą w stanie utrzymać w dłoni długopis, zawiezie ich wypakowanymi po dach autobusami do komisji wyborczych szkoląc po drodze przy czyim nazwisku mają postawić X. Gdyby był na jego miejscu, zrobiłby dokładnie tak samo – tłumaczył.

Edwin sięgnął do marynarki po długopis Montblanc Meisterstück (kolejny kaprys) w przepięknym kolorze nieba o błękitnej godzinie, na

którym kazał za dodatkową opłatą wygrawerować swoją ulubioną łacińską sentencję: *jebać biedę.* Następnie rozpiął rozporek, wydobył z niego przyrodzenie, położył je na karcie do głosowania i zaczął odrysowywać jego kształt nie dodając sobie ani centymetra. Dokładnie tyle ten kraj był w stanie dla niego zrobić. Dokładnie tyle sam mógł zmienić – myślał pracując nad detalami prącia, dodając światłocień na owłosionych jajach. Gdy uznał dzieło za skończone i ponownie upewnił się, że nic nie wystaje mu ze spodni, złożył kartę w pół, a następnie wrzucił ją do szklanej urny, gdzie wylądowała na grzbiecie otwierając się i eksponując swoją zawartość.

Pomyślał o kawie i wygodnych dresach przerzuconych przez oparcie krzesła, o leniwym niedzielnym przedpołudniu, które mógł roztrwonić wedle uznania. Na końcu długiego, ciemnego tunelu rozbłysło światło. W otwartych drzwiach stanęła postać. Rozpoznał te włosy rozrzucone wiatrem w każdą stronę i biały szalik, który sam mu kupił. Niewiele myśląc popchnął drzwi od łazienki i wparował do środka uciekając przed ślepym okrucieństwem przypadku, który zaserwował mu kolejną scenę rozstania w życiu usianym rozstaniami. Nie wsiadł do taksówki, bo nie wytrzymałby gdyby jeszcze raz miał go stracić. A teraz stojąc tak opartym o brudny parapet i przykładając do twarzy dłoń bez papierosa, wydmuchując niewidzialne obłoki dymu daleko poza zakratowane okno marzył żeby drzwi za nim otworzyły się i nie miał już dokąd uciekać.

Nie wiedział ile czasu właściwie upłynęło, zapadł się w chwili bez reszty, a gdy myśli niewygodne spłynęły wreszcie pomiędzy spękane wspomnienia słonecznych dni ostatniego roku spędzonego w tych murach, ognisk palonych nad Wisłą, śpiewu i chwil bezproduktywnej beztroski (która bezsprzecznie mu się należała), postanowił wrócić do reszty swojego życia i dożyć je spokojnie jakby było nic nie wnoszącą końcówką semestru po wystawieniu ocen. Oskar czekał na niego na schodach przed wejściem.

- Dzień dobry, czy zechce pan wziąć udział w sondażu exit poll? – zapytał go wskazując miejsce na stopniu obok siebie.

- To zależy z jakiej pan jesteś telewizji. Bo jak od tych faszyzujących lewaków, to nie mam nic do powiedzenia.

- Broń boże, proszę pana. Ja kocham Polskę.

Edwin westchnął, podciągnął nogawki i usiadł na schodach. Od strony chodnika nadchodziło coraz więcej osób. Rodziny ciągnęły za sobą dzieci, którym już obiecano nagrody za chwilę cierpliwości, kilka młodych osób z naszywkami na rękawach kurtek mówiło jeden przez drugiego, za nimi kroczyły odświętne ubrane i przesadnie wymalowane babiny i cała reszta złomu, która wysypała się z pobliskiego kościoła.

- No to jak zagłosowałeś?

- Ty mnie pytasz na serio? – rzucił Edwin spoglądając na łopoczące nad głową flagi i błękitne niebo wyżej. – Jak musisz wiedzieć narysowałem wielkiego chuja na karcie wyborczej – dodał po chwili.

- Ja zapomniałem dowodu. Jechałem tu przez pół miasta.

- Musisz się w końcu ode mnie wymeldować – powiedział i spojrzał na zegarek.

- A co, jeśli nie chcę? – zapytał go Oskar.

- Są pewne narzędzia prawne.

- Myślę, że popełniłem błąd, Ed.

- Myślisz? – zapytał.

- Wiem to. Nie łap mnie za słówka – mruknął. – Dzisiaj rano przeczytałem wiersz. Wiem, że nie znosisz poezji, ale i tak ci go wyrecytuję. Nazywa się Ostatniej nocy prowadziłem samochód. Idzie jakoś tak: ostatniej nocy prowadziłem samochód, nie wiedząc jak go prowadzić, nie posiadając samochodu, jechałem i potrącałem ludzi, których kocham, przejechałem dwieście na godzinę przez miasto. Zatrzymałem się na zadupiu i zasnąłem na tylnym siedzeniu podekscytowany na samą myśl o moim nowym życiu.

- Nie wiem co mam ci na to odpowiedzieć.

- Ludzie tacy jak my muszą spoglądać na świat przez metafory. My jesteśmy metaforą, Edwin. Dla każdego oznaczamy coś. Nie marzysz o tym czasem żeby wmieszać się w tłum? Wiem, że nie. Ty nosisz zbroję. Ale ja tak nie potrafię. Pewnego dnia pomyślałem sobie, że spróbuję pobyć sam, to będzie mi łatwiej. Ale nic nie jest gorsze od wracania po całym dniu do pustego mieszkania. Wydaje ci się, że możesz zrobić cokolwiek, ale nie robisz nic. Włączasz Netflixa i zasypiasz z ręką w misce chipsów.

- Ludzie mogą być razem i osobno jednocześnie. Sam zawsze mówiłeś, że za dużo pracuję, że wiecznie mnie nie ma.

- Nie – pokręcił głową. – Szukałem pretekstu żeby się od ciebie uwolnić. Co miałem ci powiedzieć? Że mam wątpliwości? Że to moja wina?

- No tak. To zawsze musi być wina tej drugiej osoby.

- Dziwisz się? Co ty, nie wiesz jak działają ludzie? – powiedział hamując gniew.

Edwin złapał się na tym, że od dłuższego czasu wpatrywał się w parę lśniących czarnych butów skierowanych czubkami w jego stronę. Podniósł wzrok i zobaczył całą resztę ochroniarza.

- Panowie już po głosowaniu? – zapytał szeroki mężczyzna w typie młodego Stathama.

- Omawiamy z kolegą ostatnie kwestie zanim pójdzie zagłosować. Właściwie to nie jest mój kolega tylko chłopak. Być może kiedyś się pobierzemy. Zależy, kto wygra – odpowiedział Oskar.

Facet pokręcił głową i wrócił do środka.

- Musiałeś, co? – rzucił Edwin. – W taki sposób chcesz się wmieszać w tłum?

- Nie, już nie chcę – odpowiedział. – Jebać tłum i całą hipokryzję. Mamuśki zasłaniające oczy dzieciom gdy widzą dwóch

mężczyzn idących za rękę ulicą i facetów walących konia pod heteroseksualne kobiety, które liżą sobie cipki dla pieniędzy. Jebać katolików z miłością dla bliźniego swego wybranego na swoje podobieństwo. Jebać opakowanych w plastik wypolerowanych telewizyjnych pedałków z magazynów i prowokatorów przybijających kutasy do krzyży. Jebać aktywistów z tęczami i tych, którzy te tęcze podpalają. Mam już dosyć, stary. Nie chcę brać w tym dłużej udziału. Już o nic nie walczę, to nie moja wojna. Teraz chcę po prostu żyć.

Oparł głowę na ramieniu Edwina i westchnął. Dzień zaczynał robić się zbyt ciepły na płaszcze, a może to po prostu Edwinowi zrobiło się gorąco. Znów pomyślał o dniach spędzonych w szkolnych murach, o tym co by go spotkało gdyby odważył się z kimś tak obejmować na widoku. To strach z którego się nie wyrasta – pomyślał, ale powiedział coś innego.

- Za dwa tygodnie będzie po wszystkim. Mam zabukowany lot do Argentyny. Zrobimy to. Polecimy tam razem. A jak już będę wiedział, że jestem wystarczająco daleko od Sierpińskiego, zrujnuję go. To jedyne dwie rzeczy, o których marzę.

- Nie – przerwał mu Oskar i podniósł głowę. – Nie zrobisz tego – rzucił ostro. – Żadnego oglądania się za siebie. Jeśli mamy tam lecieć, to tylko bez bagaży.

Popatrzył na niego poważnie. Zobaczył ocean falujący wokół źrenic i uśmiech wschodzący ponad linię ust. Sen był tak blisko, że wypełniał całe pole widzenia. Zacisnął dłonie mocniej, wstał i pociągnął go za sobą do góry. Ci, którzy znaleźli się wówczas w głównej bramie, mogli ujrzeć dwóch mężczyzn całujących się na schodach liceum i biało-czerwone flagi łopoczące nad ich głowami niczym skrzydła gołębi.

***

Jesteśmy młodzi i pieprzymy się jakby nam jeszcze zależało. Spędzamy wieczory mówiąc słowami, których nikt nie rozumie. Muzyka zagłusza myśli, w oczy wlewa się deszcz. Wsiadam za kierownicą kabrioletu, ona staje na tylnych siedzeniach odpala

czerwoną rację i unosi ją wysoko ponad głowę. Jedziemy tak dwadzieścia na godzinę przez miasto jak mobilna parada z okazji końca świata. Ulice są puste, wokoło spadają krople czerwone jak krew. Włamujemy się do czyjegoś domu i mieszkamy tam przez dwa tygodnie przyjmując cudzą tożsamość, śpiąc w nie swoim łóżku, ubrania prawie pasują, odbicia w lustrze się zgadzają. Przynoszę jej śniadania do wanny, ona pali papierosa za papierosem i czyta niedokończony rękopis wyciągnięty z drukarki o chłopcach sprowadzających używane samochody i dziewczynach dokonujących samych złych wyborów, zakreśla zdania ołówkiem. Je też ukradniemy. Mokra trawa w świetle księżyca ma fluoroscencyjną barwę, patrzę jak tańczy w ogrodzie mając na sobie jedynie rozpiętą koszulę, z papierosem w ustach i butelką prosecco w dłoni. Otwiera się przede mną jak róża, pachnie miodem i pieprzem, jest głosem z tyłu głowy, który mówi, że może być jeszcze gorzej. Ma misję: chce wydrapać dziurę w świecie i wyciągnąć z niego wnętrzności. Mówi, że jesteśmy tu tylko na chwilę. Nie mamy ze sobą nic wspólnego, bo jest wszystkim czego ja nie mam i pragnę mieć. Popiół sypie się z papierosa, ogień pożera ściany domu, brudne ubrania i niedokończone książki, to wszystko jej wina. Jej ulubiony kolor to miedź, wytrzymuje dwie minuty pod wodą, ma cztery metry wzrostu i osiem rąk, jej pierwsze wspomnienie to czerwony latawiec unoszący się nad łąką przeciągającą się w sierpniowym słońcu. Gdy jest zdenerwowana krzyczy: kurwa! zabiję cię!, zawsze zanim się rozpłacze mówi, że nie potrafi płakać, nie zostawia odcisków palców. Uwielbia łapać mnie za włosy i tyłek, obejmować nogami i gryźć w ucho, gdyby miała być zwierzęciem byłaby motylem o przezroczystych skrzydłach. Jest tylko jedna rzecz na świecie, która potrafi sprowadzić ją na ziemię i jest to ludzka obojętność na porażające piękno każdego zachodu i wschodu słońca, codziennie niebo wyświetla nam spektakl zupełnie za darmo, jak możesz wciąż patrzeć pod nogi?

Chce żebym pisał, pisał, pisał, wykrwawiał się na kartki, nie filtrował niczego, przestał chować się za metaforą. Słowa mają być precyzyjne, obrazy wyraźniejsze. Dobry rzemieślnik uczy się na swoich błędach. Prawdziwy artysta wierzy, że urodził się geniuszem i nikt na świecie

nie może kwestionować jego metod. Będzie kradł, kłamał i wypaczał każdą rzeczywistość dopóki nie osiągnie celu, a celem jest opowieść. Musi wyrzucić ją z siebie, wypocić jak chorobę, inaczej ona pożre go od środka, wydrąży wnętrze i zostawi spróchniałą dziurę w miejscu serca nie oferując w zamian żadnego morału. Artysta będzie wielbić swoich mistrzów i stąpać po ich czaszkach ciężkimi krokami zawsze chcąc być wyżej. Jego próżność wyśmiewa strach. Potrafi w każdej chwili zgnieść świat w zaciśniętej pięści, rzucić go w kąt i rozpocząć od nowa. Więc piszę, a ona milknie i czyta moje zapiski otulona poprzepalanym kocem wyglądając od czasu do czasu spomiędzy włosów. Chce żyć mocno, od początku do końca, zupełnie tak, jak moi bohaterowie. Proza inspiruje życie, które inspiruje prozę, która inspiruje życie. Nakręcamy tę spiralę, odsuwając od siebie wszystkie granice, bo w miłości i szaleństwie nie ma miejsca na wątpliwości. Codziennie stajemy się kimś innym. Podróżujemy z miasta do miasta zostawiając za sobą wypalony ślad.

Gdy umieram zabiera wszystkie zapiski, zmienia narrację na trzecioosobową i wydaje pod swoim nazwiskiem. Zapytana opowiada ze szczegółami o bohaterach i wydarzeniach jakby były fikcją, czerpiąc perwersyjną radość z tego, że nasze brudne sekrety spoczywają ukryte na widoku. Czasem przychodzę na jej spotkania autorskie, staję w ostatnim rzędzie i czekam aż dostrzeże mnie kątem oka i zgubi myśl. Bardziej boli ją, gdy nie pojawiam się wcale. Pisze do mnie długie, mokre i wulgarne listy błagając, bym wrócił i pozwolił wyssać z siebie całą krew. Muza zamienia się miejscami z autorem. Jej druga książka to krzykliwy chłam, któremu brakuje substancji. Gdy udaje jej się zmanipulować rzeczywistość wystarczająco, by wrzucić nas na kurs kolizyjny, daję jej wreszcie coś wartego opisania. Ale ona chce więcej. Dzień po dniu widzę jak oplata mury tego domu, pnie się po ścianach niczym bluszcz, wrasta głęboko w ludzi i przejmuje nad nimi kontrolę. Snuje się na boso pustymi korytarzami, zerka przez uchylone drzwi, podchodzi na palcach i zagląda mi przez ramię szepcząc do ucha - Nie odbierzesz?

Światy, które miały nigdy się nie spotkać wpadają na siebie z hukiem.

Wiedźma obrosła oczami, jak podejrzliwa żona dostrzega drobne nieścisłości w rutynach. Chce zajrzeć mi pod skórę i sprawdzić co tam ukrywam. Wychodzę na ogród zostawiając ją w środku. W lesie obudziło się życie, które daje o sobie znać milionem głosów. Kwadrans po zachodzie słońca niebo powoli gaśnie zapadając się z różu w głębokie indygo, za którym kroczy czerń. Dzwonek wybrzmiewa zbyt długo, w takim momencie najlepiej byłoby gdybym wcale nie odebrał, zwłoka pachnie przerwaniem, wtrąceniem się w cudze.

- Cześć, Lipa – mówię.

- Hej – odpowiada zaskoczona. – Dzwonię nie w porę? Widziałam, że próbowałeś się do mnie dobić.

- Wróciłem i chciałem się przywitać. Nowak mówił mi, że odeszłaś z pracy.

- To się przejęzyczył, bo powinien powiedzieć, że rzuciłam to z trzaskiem. Mam nadzieję, że ryj go piecze do tej pory. Zapytaj go o to w poniedziałek.

- Nie ma szans. Krzyś spakował moje rzeczy i wystawił torby na wycieraczkę. Sam też niebawem się wyprowadza.

- Oj, a ja zawsze uważałam was za idealnie dobraną parę. Obydwaj byliście tak samo dobrzy w unikaniu obowiązków. No, może on miał w tym nieco więcej doświadczenia. To jaki masz plan na siebie? Gdzie człowiek z takim zestawem umiejętności jest w stanie się odnaleźć?

- Już tylko w polityce.

Ciepły śmiech wlewa się do mojego ucha. W tle rozbrzmiewa muzyka, żywe tło pełne głosów, młode, pijane i rozpędzone. Zaraz przyjdę – rzuca do kogoś. Ponownie wybucha śmiechem, tym razem zupełnie inaczej, ten śmiech nie jest skierowany do mnie.

- Przepraszam za zakłócenia. Jest u mnie kilka osób.

- Cieszę się, że żyjesz.

- Uczę się tego. W końcu, chciałoby się powiedzieć, co? Ale to odejście dało mi nową perspektywę. Zmiany są dobre.

- Nigdy nie wygrasz stojąc zbyt długo w jednym miejscu.

- To z jakiegoś poradnika do biznesu?

- Życiówka od Cave'a. Wracaj na balet. Ja też zaraz mam spotkanie.

- O tej porze to albo randka albo szemrane interesy. Nie pytam, więc nie odpowiadaj.

Znów obcy głos. Tym razem bliżej, więc jestem w stanie wychwycić każde ze słów. Wystarczy ich, by poskładać tę historię w całość z samego brzmienia jej głosu, tego jak bardzo się spieszy, jak milknie w połowie myśli nie pozwalając sobie na nic więcej niż chłodną wymianę przyjacielskich złośliwości, jak wychodzi do innego pokoju i siada na podłodze oparta o drzwi i milczy w ciemności pozwalając mi posłuchać jej oddechu, który pachnie winem i jointem, zwalnia i przyspiesza. Opowieść, którą mógłbym tak łatwo nadpisać własną wersją.

- Wciąż mam u ciebie dług – mówię jej. – Myślałaś o tym jak mogę go spłacić?

- Myślałam – odpowiada po dłuższej chwili. – Po prostu nie rób tak więcej.

- Zamarzanie w szczerym polu brzmi strasznie pospolicie, więc jest duża szansa, że nie umrę w ten sposób.

- Byłoby cudnie.

Mówi coś jeszcze, ale jej słowa giną przykryte falą hałasu. Drzwi otwierają się i zabiera ją światło. Żegna się nie czekając na odpowiedź. Odkładam telefon na trawę. Siadam na schodach prowadzących na taras. Wiedźma kuca tuż za mną, oplata mnie swoimi nogami i dłońmi i składa głowę na ramieniu.

- Za nic w świecie nie mógł wygonić jej głosu z głowy – szepcze

mi do ucha. – Wszystkie te zdania, którymi się wymienili, każde z nich jak długi korytarz, w który wbiegał tylko po to, by odkryć, że prowadzi donikąd. Czy naprawdę uwierzył, że może stać się kimś innym? Nocne powietrze pachniało solą. Zaciągnął się nim po brzegi płuc, wypuścił powoli smakując rozczarowanie. Wilk marzył o tym, by pobiec prosto przed siebie i wedrzeć się w kolejne życie znacząc je swoimi pazurami. Ale z tyłu głowy wybrzmiewał inny głos, który podpowiadał mu, że zablokowanie jej numeru było najlepszym, co mógł dla niej zrobić.

Odwracam głowę i spoglądam prosto w jej oczy, które są ciemne i pełne triumfu. W miękkiej trawie słychać kroki. Sierpiński zachodzi do ogrodu od strony głównego wejścia i zastaje nas w tej trudnej do wytłumaczenia sytuacji. Nie pyta o nic.

- Nie chciałbym przeszkadzać, ale za godzinę musimy być w Gdańsku – przypomina mi.

- Jedźmy – mówię oswobadzając się z jej uścisku.

Cień kobiety wspina się po schodach i nabiera barwy w rozświetlonym wnętrzu. My wyjeżdżamy na drogę i przecinamy noc wzdłuż przerywanej linii.

Nadciąga ochłodzenie. Radio nadaje wypadek na jedynce, przez barierki przekoziołkowało auto rozrzucając fragmenty ludzi po asfalcie. Radio nadaje dziadkerski rock i nieskończone bloki reklam wykrzyczane głosem przed którym nie ma ucieczki w myśli. Radio nadaje wyniki wyborów. Edwin sięga do przycisków, być może chce dać głośniej lub zawrócić do stacji z muzyką. Zostaw! – rozkazuje Sierpiński z tylnego siedzenia. Wciąż niezmiennie: Batory 38,9%. Sierpiński 21,1%. Krzyżanowski 20,7% - różnica jak ostrze noża, jak strzał, który miał trafić w głowę, ale jedynie drasnął skórę i uderzył w ścianę zabijając cień. Dalej Łach 14,5%, Potocka 3,2% i Miller 1,6%. Rekordowo niska frekwencja wynosząca żenujące 35%, najgorszy wynik po ‘89 roku. W studio szukają przyczyn apatii wśród młodzieży, niewytłumaczalnych wahnięć poparcia trzech wiodących kandydatów.

Mówią o potężnej różnicy na wejściu do drugiej tury.

Sierpiński wygląda przez szybę, za którą nie widać nic, jedynie wyje mrok. Jego twarz nie zmieniła wyrazu od soboty. Wciąż nosi na wierzchu rozczarowanie i złość. Nic się nie stało, ale wszystko się stało. Gdy potwierdzono wynik i wybuchły fanfary on stał nieruchomo wśród wiwatującego tłumu. Fale radości wznosiły i rozbijały się o jego niedostępne brzegi. W środku krzyczał, widząc jak niewiele brakowało, by wszystko o czym marzył umarło na jego oczach, a on sam wystawiony na pożarcie tłumu musiałby wytłumaczyć się z porażki słowami, których nie śmiał przygotować. Wreszcie odruchy wzięły górę, dłonie zderzyły się w oklasku, a z ust popłynęła pieśń dziękczynna skierowana do wyborców, tych którzy uwierzyli, że w Polsce zamiast skręcać w lewo lub prawo można wciąż iść prosto. Tłum odpowiedział refrenem piosenki Kultu zmieniając doświadczenie z pogranicza śmierci w moment tak piękny i spontaniczny, że nie sposób było go zniweczyć bolesnym grymasem ani brakiem pewności.

- Stoimy u bramy wielkiej zmiany. Teraz nadszedł czas, by wejść do środka i pokazać, że można zrobić to lepiej, mądrzej – mówił do rozgrzanej publiczności. – Oddając swoje głosy na polityków, Polacy od dawna musieli wybierać mniejsze zło. Mam nadzieję, że za dwa tygodnie będą po raz pierwszy mogli dokonać słusznego wyboru – podsumował.

Nasze estymacje były błędne. Dawaliśmy Batoremu góra 35%, Sierpińskiemu w najgorszym przypadku 25%. Nie doszacowaliśmy jak bardzo zabetonowany jest elektorat Inicjatywy i jak kapryśny potrafi być nasz wyborca. Uznaliśmy, że po debacie Krzyżanowski przestał stanowić zagrożenie, a jednak zbliżył się na odległość ciosu. Cztery dziesiąte procenta, uczucie jakbyśmy w ostatniej chwili uciekli przed czołowym zderzeniem. W uszach pisk opon i wycie klaksonu spiętrzone i odpływające falą w niebyt.

Na obwodnicy trójmiasta Edwin rozpędza Maserati do katalogowej prędkości maksymalnej, próbując zrekompensować kwadrans spędzony lawetą ciągnącą łódź. Wreszcie zanurzamy się w gąszcz

miejskich ulic, a kilka minut później parkujemy na tyłach Olivia Star. Brygant czeka na nas na trzydziestym czwartym piętrze, które zgodnie z jego zamiłowaniem do przesady zostało w całości wynajęte na potrzeby naszego krótkiego spotkania. Sierpiński nie ma już złudzeń. Od tej rozmowy zależy wszystko. Zanim ruszy do drzwi zaciąga się mocno nocnym powietrzem, odchrząkuje i spluwa. Portier prosi nas o przekazanie telefonów i przepuszcza pojedynczo przez wykrywacz metali. Winda wystrzeliwuje w górę.

- Cokolwiek się stanie… – zaczyna nie znajdując odpowiednich słów przed końcem naszej krótkiej podróży.

Ściana za jego plecami pęka i wchodzimy do bogatej sali, za którą rozciąga się nie mniej imponujący widok rozświetlonego miasta na krawędzi przepaści. W ciemności unoszą się pojedyncze punkty dryfujące w noc. Fortepianowa muzyka urywa się nagle. Śmiech Bryganta słychać jeszcze zanim jego korpulentna sylwetka wyłoni się zza instrumentu.

- Kaziu, Kaziu, ty mnie masz za chama i prostaka, a ja tak naprawdę jestem wrażliwym chamem i prostakiem.

- Jacku.

Witamy się po kolei. Jego uścisk dłoni jest żelazny, z twarzy nie znika radość. Wskazuje nam miejsce przy stoliku, na którym leży opróżniona szklanka po whisky i brudny talerz.

- Ja ci mówiłem, że będzie dobrze, a ty nie chciałeś mi wierzyć.

- Myślisz, że niecałe pół procenta to dobrze?

- Oj, szczegóły. Jesteś w drugiej turze, tak? Tylko to się liczy. Krzyżanowski już obiecał ci poparcie – ponownie wybucha śmiechem tak donośnym, że jakimś cudem jest w stanie wypełnić nim całe osiemset metrów kwadratowych. Siadamy na fotelach, Brygant zawiesza się na oparciu i przygląda nam z uwagą – przepraszam, mnie to strasznie bawi. Jak można tak dać z siebie zrobić idiotę? Ten człowiek jest skompromitowany. Ruch powinien przeprosić się z

Wolniakiem.

- Nie traćmy czasu na rozmowy o nieważnych ludziach.

- Prosto do celu, jak na człowieka czynu przystało – mówi nie szukając aprobaty w niczyich oczach. Jego spojrzenie jest wiecznie skierowane do wewnątrz, widzi tylko siebie, w siebie ubrał cały świat, my wszyscy mieścimy się w jego definicji człowieka nieważnego. – Dobrze, Kaziu, bez gry wstępnej mów co cię do mnie sprowadza.

- Chciałbym zostać prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej.

- No to musisz wygrać wybory.

Sierpiński wlepia wzrok w Bryganta nawet nie starając się ukryć, że ma już wszystkiego dosyć. Nie zszedł ze sceny od wypadku na rondzie, a jego rola wymaga od niego coraz większych poświęceń. Coraz trudniej wypełnić mu kontur olbrzyma, którym zapragnął się stać, jego wola słabnie, a sny o potędze coraz częściej pragnie zastąpić plamami czerni, w których znika czas pomiędzy ostatnim szelestem pościeli a budzikiem. Brygant widzi to dokładnie, słyszy każde słowo cisnące mu się na usta, czuje wściekłość wzbierającą w nim jak fala, która zamiast się przełamać musi zgasnąć po cichu i upaja się tym widokiem. Wreszcie odwraca się i podchodzi do ściany ze szkła, stając twarzą w twarz ze swoim odbiciem.

- Ja cię lubię, Kaziu, dlatego powiem ci prawdę. Ty chcesz czegoś, co cię zniszczy. Ludzie tacy jak ty nie zostają prezydentami, bo są na to zbyt mało zdegenerowani. Ludzie tacy jak ty przegrywają w drugiej turze, ich partia spada poniżej progu wyborczego, a oni sami wracają do zarabiania pieniędzy na startupach albo inwestują w nieruchomości. Ja wiem, że to dziś boli, ale pomyśl sobie o tym w ten sposób. Za pół roku będziesz leżeć na jachcie zacumowanym w Prowansji pełen kawioru i gorzały z opaloną marsylianką entuzjastycznie podskakującą na twoim chuju, daleki od problemów tego świata. W tym samym czasie Batory będzie biegał spocony pomiędzy konferencjami prasowymi próbując wytłumaczyć się z kolejnej dyplomatycznej kompromitacji. Zapytam filozoficznie i

eurosceptycznie: czy Polska jest warta zachodu? Naprawdę tak bardzo chcesz trafić do podręczników? Jeszcze jest szansa żeby się wycofać.

Sierpiński przełyka ślinę, tylko tyle podano nam tu do picia. Bierze głęboki oddech, drugi, trzeci.

- Z całym szacunkiem, ale nie obchodzi mnie co o tym sądzisz. Powiedziałem ci dlaczego tu jestem. Teraz ty podaj swoją cenę i będziemy mogli iść do domu.

Brygant w odbiciu kiwa głową ze zrozumieniem. Kwadratowa twarz poważnieje.

- Chcę złotówkę – mówi.

- To rozsądna kwota.

- Za każdą osobę, dla której będziesz prezydentem – uśmiecha się. – Trzydzieści siedem milionów pięćset siedemdziesiąt osiem tysięcy według najnowszych danych GUS. Ta oferta będzie ważna tylko do jutra.

Gdy odwraca się od czarnego lustra i rusza wolnym krokiem z powrotem do stolika na jego twarzy nie ma śladu radości. Edwin wciąga pełen haust ekskluzywnego powietrza, jest równie przerażony, co zaintrygowany. Sierpiński prostuje się w fotelu.

- Wciąż nie wiem co oferujesz w zamian.

- Dokładnie to, czego chcesz.

- Skąd mogę mieć pewność?

Brygant podciąga rękawy, zupełnie jakby szykował się, by któremuś z nas przypierdolić.

- To bardzo proste – szepcze sięgając do wnętrza marynarki. – Pedał nie może zostać prezydentem Polski.

Telefon upada z hukiem na stół. Na ekranie zdjęcie zdjęcia przedstawiającego dwóch mężczyzn siedzących nago na krawędzi łóżka. Jeden z nich jest pochylony, wyciąga dłoń przed siebie z

zamiarem, by sięgnąć po któreś z rozrzuconych po podłodze ubrań. Drugi trzyma rękę za głową, jakby właśnie odgarnął włosy z czoła. W ustach nieodpalony papieros. Spocona twarz jest zwrócona w kierunku sufitu, patrzy prosto w miejsce, w którym została umieszczona kamera. Ten mężczyzna to Józef Batory.

- Co to jest?

- Kaziu, drogi Kazimierzu. To jest twoje zwycięstwo i jednocześnie największy skandal w nowożytnej historii Polski. To lata kłamstw, podwójne życie, rozbita rodzina, wstyd i miliony wyświetleń. To jest wszystko, czego pragniemy jako naród, jako ludzie, jako politycy i dziennikarze. Uwierz mi, że czekałem przez dekady żeby wydobyć to na światło dzienne. Nawet sobie nie wyobrażasz jak uwierała mnie ta wiedza. To nawet nie był kamień w bucie, to głaz przyczepiony do szyi i ja go cierpliwie za sobą targałem dzień po dniu po to, by dziś wieczorem wreszcie z twoją pomocą go z siebie zrzucić.

- Jakoś tego nie widzę – rzuca z przekąsem Sierpiński. – To zdjęcie może przedstawiać kogokolwiek.

- Bo jeszcze nie znasz jego historii. Ale czekaj. Daj mi chwilę. Przedtem musimy się napić – mówi i rusza do zamkniętego baru, przerzuca swoje wielkie cielsko przez blat, chwilę wymachuje nogami, zrzuca szkło na podłogę, wreszcie wraca do nas trzymając cztery szklanki i flaszkę whisky.

- Za prawdę, która cię wyzwoli – mówi i wlewa w siebie szkocką nie czekając na nikogo. – Na Jana Pawła w Warszawie był kiedyś burdel. Niejeden – odchrząkuje ocierając twarz rękawem – ale ten, o którym mowa był otwarty tylko dla bardzo konkretnej klienteli. To był 2002 czy 2003 rok. Ja byłem wtedy dziennikarzem śledczym i miałem zlecenie żeby zrobić artykuł o mafii i burdelach. Nie wiedziałem za bardzo jak mam się za to zabrać, ale znałem jednego chłopaka z miasta, który był mi dłużny przysługę. Powiedziałem mu, że zbieram materiały do książki o prostytucji i chcę porozmawiać z dziewczynami czy są zadowolone z pracy i takie tam. Trzy miesiące

wierciłem mu dziurę w brzuchu, aż wreszcie wysłał mi adres SMSem. Pojechaliśmy tam z kolegą, kompletnie obsrani, bo cholera wie co mogło się wydarzyć. Z zewnątrz obskurna buda w pawilonach. W środku, proszę panów, złote klamki, silikony i futra. Nawet bankomat sobie wstawili do korytarza, żeby łatwiej było regulować rachunki – przerywa na moment żeby rozlać drugą kolejkę. – Przyprowadzają nam dziewczyny. Zaczynamy zadawać im jakieś pytania. Ja wpadam na genialny pomysł żeby zrobić im ukradkiem zdjęcie. Będzie lepiej wyglądało w artykule – sobie myślę. To były czasy kiedy aparaty w telefonach to była rzecz zupełnie nieznana, a ja już miałem Nokię 7650. W momencie jak cykam fotę spod stołu na salę wpada niejaki pan Kazan, jeden z bardziej prominentnych gangusów z Pruszkowa, dosiada się do nas jak gdyby nigdy nic i zaczyna pierdolić o tym, że mu się auto zepsuło, więc je zepchnął do rowu, że pies dostał sraczki, coś tam że Legia z Polonią zremisowała bezbramkowo. Że ma same problemy odkąd zaczęli odwiedzać ich politycy. Nie płacą, awanturują się. Siedzę tam wbity w fotel z ręką wciąż ściskającą telefon a kieszeni i słucham tego wszystkiego myśląc, że właśnie poszczęściło mi się i do tego podwójnie. Ty znasz mnie, Kaziu. Może nie jestem chojrak, ale jak poczuję krew, to płynę. Więc ciągnę go za język, a on rzuca nazwiskami wspominając między innymi o tym, że pan Batory lubi wpadać do nich na chłopców. Żartuje, że musi zacząć nagrywać ich jako polisę. Ale ja wiem, że od dawna już to robi.

- Jacku… - Sierpiński próbuje przerwać jego słowotok, ale Brygant odbiera to jak zaproszenie do toastu. Wznosi szklankę i czeka, aż wszyscy w nią stukniemy.

- Za prezydenta Kazimierza Sierpińskiego! – woła, przechyla, kaszle, wyciera ryj i mówi dalej powoli popychając opowieść do przodu. – Mój artykuł idzie do druku. W tekście zero nazwisk, ale są pewne przesłanki, że politycy prawicy upodobali sobie pewien przybytek w centrum. Następnego dnia lokal znika. Ale w jakim stylu, panowie. W środku imprezy wpada policja i ekipa BORu, wyrzuca wszystkich na ulicę z gołymi dupami, rwie tapety ze ścian i klepki z podłogi do żywego betonu. Wszystko konfiskują, ludzi zamykają i

cześć. Gdy się o tym dowiaduję wiem już, że popełniłem błąd, bo spaliłem temat. Trzeba było wpierw znaleźć twarde dowody, teraz już nie mam szans, bo wszystko zostało zutylizowane. Ale głupi ma zawsze szczęście. Mija miesiąc i nagle dzwoni do mnie mój kolega żołnierz. Mówi, że Kazan dostał cynk o tym, że szykuje się nalot, więc dał mu na przechowanie karton pełen płyt i może ja bym był zainteresowany żeby za drobną opłatą co nieco z nich obejrzeć zanim wrzuci je do pieca – Brygant stuka palcem w swój telefon. – No to już wiesz co tam było.

- Chcę zobaczyć resztę – mówi Sierpiński.

- Powodzenia. Ale najlepiej na pusty żołądek. Starsi chłopcy. Młodsi chłopcy. Zabawa w kolejarza, kakaowe rodeo i bita śmietana.

- Jak potwierdzimy autentyczność dostaniesz swoją kasę – obiecuje.

- Nie, nie, Kaziu. Zrobimy na odwrót. Jak ja dostanę pieniądze, ty otrzymasz materiały do wglądu – odpowiada i znów zrywa się z fotela. – Nie musisz się obawiać, ja zawsze wiem z kim tańczę. Ty byś mnie pociągnął ze sobą na samo dno gdybym cię spróbował wydymać. Znam cię przyjacielu lepiej niż ty sam siebie znasz – mówi i sięga po resztę whisky zalegającą na dnie pękatej butelki.

Trzydzieści cztery piętra niżej wiatr przegania papiery po pustej ulicy. Kobieta zatrzymuje się na przejściu i mimo, że zasypiające miasto wróciło już dawno do domu, cierpliwie czeka aż na skrzyżowaniu zapali się zielone światło. Wkłada włosy za ucho, poprawia kołnierz i podnosi wzrok wysoko, ku ciemnemu niebu, na którym dziś nie ma gwiazd. W rozświetlonych oknach wieżowca dostrzega postać. Przez chwilę spogląda na świat cudzymi oczami. Myśli o widoku na zatokę, wyobraża sobie poświatę księżyca rozrzuconą po grzbietach czarnych fal i tęskni za uczuciem przestrzeni, które uskrzydla i uziemia jednocześnie, zgniata człowieka w malutki punkt, zaledwie paproch gotowy by zgubić się w swojej własnej kieszeni.

- Patrz, jaka to będzie piękna katastrofa – mówi Brygant

przerzucając nagłówki na telefonie. – My już jesteśmy gotowi z całym kontentem. Analizy filmów klatka po klatce, zestawienie dziesięciu najbardziej homofobicznych wypowiedzi, projekty ustaw PIP blokujące związki partnerskie, całe to pierdolenie o moralności i wartościach. Oddzielne wyjazdy państwa Batorych na wakacje, rok po roku. Córki nie utrzymują z ojcem kontaktu. Profesjonalny ekspert od mowy ciała orzeka: państwo Batory zachowują się jak nieznajomi. Ale żeby nie przegrzać, Kaziu, żadnego pierdolenia i wyssanych z chuja teorii. Nie mogą nas przyłapać na fantazjach, więc mimo, że korci, nie napiszemy o domniemanych kontaktach z mafią, praniu kasy w burdelach, dotowaniu kościelnych pedofili czy wybatożonych nieletnich. Ale inni to zrobią – Brygant nakręca się, wymachuje dłonią rozlewając whisky po podłodze. – To będzie jak Nowy Rok i wszystkie Święta razem w kupie. Ty już widzisz te fajerwerki? Jeden większy od drugiego. Józefa Batory korzystał z usług męskich prostytutek JEB! Kandydat na prezydenta prowadzi podwójne życie JEB! Hipokryzja prawicy JEB! Sierpiński prezydentem – ciska szklankę gdzie bądź i zaczyna bić brawo. Edwin patrzy na Sierpińskiego, później na mnie i już wie, że trzeba dzwonić do banku.

- Nie możemy wypuścić tego zbyt wcześnie – mówię. – Jeśli Batory ugnie się pod presją i wycofa kandydaturę do drugiej tury wchodzi Krzyżanowski, a z nim przegramy.

- Bardzo dobrze pan myśli, panie Welkin. Dlatego proponuję odpalić ładunek tak na dwa dni przed ciszą wyborczą. Wystarczy nam czasu, by dotrzeć do każdego. Będziemy tym grzali od rana do wieczora, nawet jak nałożą na nas kary.

Sierpiński przełyka whisky i odstawia pustą szklankę na zalany stół, kładzie dłonie na kolanach, jego głowa zwisa pomiędzy ramionami i kołysze się rytmicznie, bo wreszcie zaczęli tu grać jego ulubioną melodię.

- Nie kłamałeś, cholera – mówi. – Teraz już nie wiem co będzie lepsze, wynik wyborów czy przerażony ryj Batorego, gdy zobaczy siebie na każdej stronie w pieprzonym internecie.

Brygant przechadza się po sali, rozbite szkło chrzęści pod jego butami.

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której musisz wiedzieć – mówi. – Batory też będzie miał coś na ciebie, ale to nic w porównaniu z bombą, którą ty odpalisz. Będą pytać o Żanetę i wasze dzieci, więc przygotuj sobie sensowną historię. A najlepiej zrobisz jak schowasz ich gdzieś na czas wyborów. Słyszałem, że na Malé jest teraz bardzo ładna pogoda. Mogą polecieć moim odrzutowcem. Daj tylko znać kiedy wam pasuje.

- To nie jest nic – rzuca przez zęby.

- Wiesz, że nie mogłem mu odmówić. Ale zawsze mogło być dużo gorzej – uśmiecha się.

Zapada cisza, która jest absolutna. Nie słychać miasta, ani szumu morza. Jesteśmy w przestrzeni wyciętej z tego świata, do której nie ma wejścia z poziomu ulicy, na zapleczu, gdzie konstruowana jest rzeczywistość. Niebawem nasze ustalenia zostaną ogłoszone tłustym fontem i wysłane do kieszeni, a następnie do głów prowokując myśli i emocje. Mechanizmy są znane, reakcje przewidywalne, narzędzia precyzyjne, a uderzenia punktowe. Wszystko i tak może się jeszcze zawalić w najmniej oczekiwanym momencie. Ale zanim to nastąpi możemy przez moment udawać, że chaos jest pod naszą kontrolą. I za tę potężną iluzję warto zapłacić każde pieniądze.

Sierpiński podnosi się z fotela, zapina marynarkę.

- Po co układać się z jedną opcją polityczną, skoro można wziąć kasę od każdego? Doskonale rozegrane, panie Brygant.

- Ja, Kaziu, sram na wszystkich jednakowo. To mój dziennikarski obowiązek. Dla dobra ludu muszę pozostać bezstronny.

- Ed przywiezie jutro pieniądze.

Ruszamy do wyjścia. Brygant siada przed fortepianem i zaczyna grać Entertainera tłukąc zawzięcie w klawisze, bujając się do rytmu, gdyby mógł podzielić ciało na pół, by grać i jednocześnie tańczyć, z pewnością wybiegłby na środek i podskakiwał do własnej melodii.

Portier oddaje nam telefony i wychodzimy na zewnątrz. Mam dwa nieodebrane połączenia od Lipy i jedną pijaną wiadomość.

- No, to by było na tyle – Edwin odzywa się po raz pierwszy od godziny wypuszczając z siebie zgromadzone napięcie pod postacią kilku nic nie znaczących dźwięków, a później milknie, wsiada za kierownicę i rusza w drogę powrotną.

Sierpiński siedzi rozwalony na tylnej kanapie, po zamkniętych powiekach przepływają światła ulicznych latarni. Wiem, że nie śpi. Wciąż jest na trzydziestym czwartym piętrze wieżowca i kupuje sobie całkiem spory kawałek ziemi, jeszcze raz i jeszcze raz, włada lepszymi słowami, zbija cenę, chwyta potłuczone szkło i wciska odłamek Brygantowi w oko krzycząc prosto w jego przerażoną twarz, na moment staje się nim, dilerem strachu i marzeń, zostaje tam sam, w ciszy, którą kocha i której pragnie, ze szklanką whisky w dłoni i nogą zarzuconą na nogę i patrzy jak z ciemności podnosi się nowy dzień.

Sory ze nie moglam gadac. Zdzwonmy się jak bezziesz mial chwile. Mam nadzieje zebawiles się dobrze ;) A ja znów gapię się w ten świecący ekran czytając jej koślawe słowa. I co ja mam niby odpisać? Jest za późno na prawdę. Z miejsca, w którym stoję widać już koniec świata. Chciałbym spojrzeć wewnątrz siebie żeby sprawdzić czy jeszcze tam jesteś, ale moje wnętrze zostało wytapetowane lustrami. Coraz trudniej mi poczuć to, co czułem gdy byłaś obok. Jesteśmy jak dwa auta, które minęły się na łuku, zdążyliśmy oślepić się światłami zanim ruszyliśmy w przeciwnych kierunkach. Nasze wspomnienia to gasnące powidoki. Pamiętaj, Lipa, czasem w późne wieczory wychylę się przez parapet wyobrażając sobie, że palę szluga, wyobrażając sobie, że stoisz za moimi plecami i wołasz mnie do środka. Mam nadzieję, że mieszkając w tobie będę znośnym lokatorem. Jeśli będzie przeszkadzać ci zbyt głośna muzyka, to wiedz, że moje grzechy mogły być dużo większe. Ale zbyt mało chciałem, ty zbyt bardzo się bałaś. Więc żyj sobie dalej w strachu, a ja będę żył sobie dalej w niechceniu i tak przebrniemy przez resztę naszych dni. Śmiejesz się, widzę, biegasz boso po mojej głowie, jasne okna, białe prześcieradła, poranne uśmiechy tak samo oślepiające jak te halogeny. Jeśli miałbym mieć

ostatnie słowo zamilknąłbym, bo nie jestem w stanie powiedzieć ci więcej niż to, co już powiedziałem. Gdybym mógł cofnąć czas zrobiłbym dokładnie to samo i znów nie osiągnął nic, jedynie wspaniale zmarnował z tobą mój czas. Jesteśmy ulepieni z różnych elementów, Lipa. Ty wybrałaś życie, ja chcę pożreć świat zanim on pożre mnie. I próbuję, próbuję zrobić to lepiej, ale coraz mniej we mnie motywacji. Jak będziesz już miała tego wszystkiego dosyć odpal Stille Oppror, zamknij oczy i odpuść sobie. Będę tam gdzieś niedaleko. Tuż poza polem widzenia, rozmyty w tle. Czas spędzony osobno mam zamiar poświęcić na pracę nad sobą, przybiorę na wadze, zacznę palić i przestanę się ruszać, zostanę wysokofunkcjonującym alkoholikiem z dyskopatią w odcinku lędźwiowym.

Zawieszam palec nad strzałką i tylko większa dziura w asfalcie wystarczy, by wysłać do niej wszystkie te słowa. Ale droga jest równa jak stół. Kilka minut po północy dojeżdżamy do Juraty. Silnik gaśnie wydając z siebie przeciągły syk. Schody skrzypią pod ciężarem dnia, który uwiesił się na moich barkach. Zamykam drzwi pokoju zostawiając świat po drugiej stronie.

***

Raca przemknęła łukiem nad dachami aut rozwijając w powietrzu serpentynę dymu. Przez ulicę przelewało się morze ludzi, szli torami tramwajowymi, rozdeptywali pasy zieleni, przeskakiwali żelazne barierki, wdrapywali się na wiaty przystanków. Nad ich głowami powiewały flagi, a wyżej, pomiędzy szklanymi ścianami wieżowców, w siwym powietrzu błyskały światła dronów. Blanka sięgnęła po papierosy z torebki. Strzeliła zapalniczką i zaciągnęła się mocno. Mężczyzna stojący obok wcisnął wściekle klakson, który utonął w morzu innych dźwięków. Jego auto bujało się w rytm uderzeń, które wymierzał kierownicy. Po drugiej stronie para dwudziestolatków siedziała przytulona do siebie na stygnącej masce auta przyglądając się paradzie, machając do tłumu wolnymi dłońmi, (które akurat nie były zaangażowanie w objęcia, masowanie pleców, zatapianie się we włosy, rajdy po udzie i szybkie skoki z łopatki w biustonosz (cały ten spacer po krawędzi łóżka)). Dmuchnęła dymem przez szparę i

zamknęła szybę żeby lepiej słyszeć telefon. Sierpiński zapraszał ją na nieformalne spotkanie z okazji zakończenia kampanii. No nie może ciebie zabraknąć, Blanka kokietował uprzejmiej niż zwykle (dobry humor nie opuszczał go od chwili gdy w sztabie wyborczym Batorego wybiło szambo). Obiecała, że nie zabraknie, jeśli nic innego nie wypadnie po drodze. Postara się zwolnić miejsce w kalendarzu, który w stu procentach składał się z wizyt u dentystów, fryzjerów i ginekologów. Podziękował jej ładnie i się rozłączył.

- Na szczęście to już koniec – głos z radia brzmiał niezwykle trafnie.

Mówili o wyborach, bo teraz mówiło się tylko o wyborach. O finiszu, do którego dwóch kandydatów zbliżało się powłócząc nogami i rywalizacji pełnej nieczystych zagrań. Nikt już nie miał ochoty dłużej na to patrzeć. Nikt nie był w stanie odwrócić wzroku.

- Parlamentarne w listopadzie, tak tylko przypominam. Wtedy nie będzie inaczej. Stworzyła się nowa jakość w polityce. Partie będą bardziej skupione na oponentach niż na sobie, nawet przedstawiając własny program.

- I to jest właśnie to czym nazywam negatywne zaangażowanie. Kiedyś głosowaliśmy za kimś. Teraz głosujemy przeciw komuś – skomentował inny głos. – Liderzy prowadzą ultraagresywną retorykę i cementują zwolenników strachem i wkurwem.

- Przywykniemy i do tego, tak samo jak przywykliśmy do smogu, jesiennych pandemii i wulgaryzmów w radio. Wszystko zostanie znormalizowane repetycją.

- Dlatego tym bardziej nie mogę wyjść z podziwu dla postawy Józefa Batorego.

- Zdecydowanie.

- Nie wyparł się, nie grał na czas tylko wziął to na klatę. Tak, jestem gejem. Tak, żałuję decyzji, które podjąłem. Tak, od teraz

zamierzam reprezentować wartości, w które wierzę. Jak wielkiej odwagi potrzeba, żeby coś takiego zrobić? Nie wiem, jak wy, ale ogromnie dziś zyskał w moich oczach jako człowiek.

- Tracąc jednocześnie wszystko jako polityk. Nie ma już szans żeby emocje opadły przed głosowaniem, do urn pójdziemy na gorąco. I pytanie, na które każdy będzie musiał sobie odpowiedzieć nie brzmi czy szanuję go za tę zaskakującą zmianę postawy tylko czy jestem w stanie powierzyć kraj komuś, kto dopiero przyparty do ściany obszedł się prawdą?

- Paradoksalnie, środowiska LGBTQ+ nigdy nie miały lepszej szansy na reprezentację na tak wysokim szczeblu. Król Holandii i Kanclerz Niemiec już wysłali słowa wsparcia Batoremu na twitterze. Słuchajcie, idzie nowe?

- Wszystko jest możliwe przy frekwencji poniżej dwudziestu procent.

Samochody ruszyły powoli do przodu, tylko po to by utknąć ulicę dalej. Blanka wypatrzyła wolne miejsce parkingowe przy krawężniku i przecisnęła się do niego lawirując pomiędzy ludźmi. Stacja metra byłą wyłączona z użytku, ale do domu zostały już tylko dwa kilometry. Zmieniła szpilki na adidasy, zamknęła auto i ruszyła razem z tłumem dając się porwać tej rozkrzyczanej i roztańczonej rzece dźwięku i światła. Nad jej głową powiewały biało czerwone, tęczowe i pirackie flagi. Płonęły race i rozdarte gardła. Zderzyła się z kobietą przebraną za La Catrinę, trupia twarz uśmiechnęła się do niej spod parasola i zostawiła ślad białego podkładu na ramieniu. Policja odcinała drogę w boczne uliczki próbując skanalizować ruch zapędzając demonstrujących w stronę Pól Mokotowskich, ale oni rozpływali się, mnożyli i przejmowali kolejne ulice.

Widziała grupę podpitych studentów, którzy dźwigali makietę statku podpisaną na burcie TSS Batory, z jego kominów buchał kolorowy dym gdy żeglował przez morze głów. Widziała starsze małżeństwo niosące przed sobą oprawione czarno-białe zdjęcia młodszych wersji siebie, a powaga na ich twarzach była równie pozbawiona koloru.

Widziała człowieka przebranego za psa, który podnosił nogę na nieruchomych funkcjonariuszy odgradzających wejście do kościoła. Nawróćcie się! apelował transparent rozciągnięty przez pół ulicy, pod którym przechodziły tanecznym krokiem niezliczone ilości Sierpińskich i Batorych (papierowe twarze nosiły na sobie ślady walki, na inne nałożono make up, przyozdobiono koronami). Wyżej, na balkonach ludzie z telefonami w rękach filmowali przebieg parady, palili, spluwali w tłum, obserwowali zamieszanie obojętnym wzrokiem zgaszonej latarni.

O co im wszystkim chodzi? zastanawiała się Blanka. Mężczyzna niosący na ramionach córkę uśmiechnął się do niej bez powodu. Nad głową dziecka frunął pęk balonów w kształcie serc, każde z nich opatrzone hasłem „Love is Love". Dziewczynka wyciągnęła dłoń i podała Blance jeden ze sznurków.

- To dla mnie? Dziękuję – ucieszyła się.

- Trzydzieści złotych – oznajmiła zanim rozdzielił ich prąd napływających z tyłu ciał, który wbił się klinem w sam środek demonstrujących.

- Tam są, do przodu – krzyknął mężczyzna w kasku motocyklisty i poszli dalej rozpychając ludzi na boki.

Ktoś nadepnął jej na stopę glanem. Ktoś inny szturchnął w plecy transparentem. Odruchowo sprawdziła suwak w torebce i telefon w kieszeni (zero wiadomości, sieć była przeciążona). Przedarła się na chodnik i stanęła pod budą z kebabem sycząc z bólu. Ruszyła palcami stopy, wszystkie zareagowały na polecenie, ale czuła, że pomiędzy nimi sączyła się lepka krew. Tuż obok jej ucha wystrzeliła krótka seria migawki aparatu. Fotograf kadrował ulicę wraz z zawieszonymi nad tłumem oknami biurowców. Tam, na tle wygaszonych korytarzy i opustoszałych open space'ów pracownicy korporacji przyglądali się tłumowi popijając ostatnią dziś kawę. Czarne sylwetki stały nieruchomo i Blanka była gotowa przysiąc, że przygląda się manekinom na wystawie ubranym w najnowszą kolekcję office fashion. W pewnym momencie jedna z kobiet zburzyła iluzję celując

palcem w tłum. Jej spojrzenie podążyło za gestem, w organicznej masie płynącej ulicą zauważyła jeden statyczny punkt, który przyglądał jej się parą różnokolorowych oczu. Miasto zgasło przykryte cieniem, krzyk wypełnił ją od poranionych stóp do szczelnie zaciśniętych ust. Odwróciła się, przeszła kilka kroków i spojrzała ponownie, ostrożniej. Nie było go tam. To nie był on – przekonywała siebie próbując uspokoić myśli (to nie pierwszy raz, gdy spotkała go w tłumie, mijali się już w drzwiach ulubionej kawiarni, wołał za nią na ulicy, dostrzegała go kontem oka w każdym czarnym samochodzie zaparkowanym wzdłuż przejścia dla pieszych gotowym, by wystrzelić przed siebie i zmielić pod kołami jej chude kości, robotnicy na budowie i kierowcy autobusu nosili jego twarz) ale instynkt kazał ruszyć się, zapomnieć o bólu, czym prędzej stąd zniknąć.

Więc ruszyła. Z krwią w bucie, dymem w płucach i łzami w oczach pokonała kilkaset metrów pod prąd pochodu i uciekła w boczną uliczkę. Kordon policjantów blokował przejście, ich przezroczyste tarcze były okopcone dymem, pokryte śladami farby i niezliczoną ilością rys. W wąskich szczelinach pomiędzy maskami i kaskami połyskiwały czujne oczy.

- Przepraszam, ale wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi – oznajmiła.

- Jakieś dwieście tysięcy osób – odpowiedział jej głos pozbawiony wyrazu. – Jak mogę pani pomóc?

Blanka obejrzała się za siebie. Ulicą sunęła zbita, hałaśliwa masa, była jak ściana tornada, z którą nie chciała ponownie się zderzyć.

- Przepuścicie mnie? Mieszkam tuż za parkiem – poprosiła dostrzegając rzędy latarni wyznaczające ścieżki wśród drzew.

Policjant przyjrzał jej się uważnie i z autorytetem, a następnie jakby od niechcenia odsunął barierkę, kierując wzrok w przeciwną stronę i puszczając ją wolno. Blanka podziękowała skinieniem i przemknęła szybko pomiędzy kordonem mężczyzn ubranych w ciężkie zbroje. Im bardziej oddalała się od zawieruchy, tym głośniejsze stawało się

mlaskanie dobiegające z lewego buta. Kuśtykała pomiędzy drzewami uwieszona obiema dłońmi na pasku od torebki. Parkiem snuli się wieczorni maruderzy z psami, gdzieś dalej oparcia ławek obsiadła młodzież, która od społecznego aktywizmu wolała stary dobry melanż w plenerze, ale w rozmowie i tak nie udawało im się uciec od bieżących tematów. Obstawiali wyniki jak przed meczem. Komentowali składy rodzin kandydatów. Zastanawiali się jak mógłby brzmieć męski odpowiednik pierwszej damy.

Blanka obejrzała się w lewo, prawo i za siebie i ruszyła przez ulicę. Do wejścia miała jeszcze dobre sto metrów, ale już zaciskała klucz w dłoni i układała plan na wieczór. Wczoraj wyszła z kąpieli rozgrzana i pełna wina i usnęła z telefonem w ręku po zaledwie kilku minutach przeglądania maili. Dziś znów musiała zdecydować pomiędzy uchlaniem się, a bezsennością. Edwin mówił, że miejsce na kanapie zawsze będzie na nią czekać, ale od kiedy wprowadził się Oskar, uznała, że najwyższy czas przestać się narzucać.

Ostatnią wspólną noc spędzili grając w planszówki jakby znów mieli po dwadzieścia lat (imprezie w duchu prawdziwie studenckiej zabrakło jedynie tego seksualnego imperatywu wybrzmiewającego w każdym geście, szturchnięciu i słowie, które drążyło, sprawdzało grunt, sugerowało mimochodem, by ostatecznie skierować kroki do pustego pokoju na końcu korytarza, odłączyć się od reszty i rozebrać w cudzej pościeli, dać ujście uczuciu, które pełzało pod skórą coraz bardziej elektryczną, spragnioną dotyku). Zamiast tego wypełnili noc śmiechem i rozmową i Blanka uświadomiła sobie, że dawno nie widziała dwoje ludzi tak szczęśliwych ze sobą, pełnych wsparcia i zrozumienia. Wypełniał ich spokój, zupełnie jakby poznali już każde piekło i nic nie było w stanie ich zaskoczyć w tym życiu. Uczucie, które było dla niej równie fascynujące, co kompletnie obce.

Przekręciła klucz w zamku. Z oddali dochodziło plemienne dudnienie bębnów i wycie syren, fasady budynków spływały czerwoną łuną. Popatrzyła na miasto ostatni raz i weszła w ciemność domu. Odwróciła się i popchnęła drzwi, a drzwi odepchnęły ją z powrotem. Upadła na podłogę, usłyszała dwa ciężkie kroki i uderzenie w twarz,

które nieomal pozbawiło ją przytomności.

- Mam cię, kurwo – wyszeptał jej do ucha i szarpnął za bluzkę wyrywając z niej wszystkie guziki, złapał za biustonosz i podciągnął go pod szyję, krzyknęła, więc huknął jej w twarz jeszcze raz, mocniej, prosto w skroń. Łzy przepłynęły z oka do oka, poczuła jego dłonie rozpinające jej spodnie, ściskające ją za pierś. Nie była w stanie wydobyć z siebie dźwięku, tylko krótkie oddechy opuszczały jej opuchnięte usta, coś rzęziło w środku, jakby ją zepsuł, połamał mechanizm, który działał dobrze przez tyle lat. Drzwi pozostawały uchylone, słyszała słabnącą melodię miasta, samochody, głosy, światło, życie, to wszystko zmieściło się wąskiej szparze, przez którą jeszcze mogła uciec. Poderwała się ponownie, tym razem angażując wszystkie siły, machnęła dłonią na oślep (paznokcie wbiły się w skórę, ryły w niej bruzdy i rwały włosy). Wierzgała nogami próbując zrzucić z siebie ciężar. Jego pięści znów wysłały ją na podłogę. Tłukł w nią jak w worek, w twarz, żebra, brzuch. Później wstał i kopnął ją w plecy czubkiem buta, tak dla pewności.

- Kurwa! – zaklął ścierając krew z rozdrapanego czoła – A miało być tak miło. Chyba zostanę dłużej, skoro nalegasz – powiedział i ruszył w kierunku drzwi, by je zatrzasnąć.

Świadomość gasła szybko. Podłoga przestała ziębić, ciało przestało ważyć, oczy zalane łzami i krwią pokazywały rozmazane kontury świata, w którym nie dostrzegała już nic znajomego. Ekran telefonu rozbłysnął w półmroku. Mogłaby go chwycić gdyby zdołała przeczołgać się te dwadzieścia centymetrów w stronę kuchni. Zacisnęła dłoń w pięść wyczerpując resztki sił. Drzwi trzasnęły i połknęła ją ciemność.

Zielony pionek nieuchronnie zbliżał się do mety, ale gra jeszcze nie była przesądzona, wciąż każdy mógł ją wygrać. Spojrzała w karty, później na stół, papierowe banknoty zasypywały podstawki dawno opróżnionych kieliszków, w których pozasychały czerwone krople. Edwin i Oskar siedzieli naprzeciw, dziwnie obojętni wobec siebie.

- Mój ruch? – zapytała niepewnie sennym głosem. Nic się nie zgadzało. Edwin nie przypominał Edwina, Oskar Oskara. Zauważyła, że w pokoju był jeszcze jeden mężczyzna i to on jej odpowiedział.

- Musi pani zdecydować, co mamy z nim zrobić.

Powieki osunęły się na oczy. Chciała przytulić się do poduszki, ale za każdym razem gdy odpływała w sen, jej głowa odrywała się od ciała, a nieznośne uczucie spadania natychmiast przywoływało ją do porządku. Po kilku wycieczkach w bezświadomość obudziła się wreszcie pełna bólu w swoim własnym salonie, ubrana w szlafrok i otoczona trojgiem mężczyzn, których widziała po raz pierwszy w życiu.

- Kim jesteście? Co robicie w moim domu?

- Wynajęła nas pani do ochrony – wyjaśnił młody chłopak patrzący na nią spokojnym wzrokiem, w którym oprócz współczucia dostrzegła coś obcego, zimnego jak stal – Przepraszam, że nie zareagowaliśmy wcześniej, ale wokół było pełno policji, nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi – dodał.

- Co tu się stało?

- Napadnięto na panią – oznajmił inny mężczyzna, zarośnięty typ, którego barki ledwie mieściły się w fotelu.

Drzwi, parada, krew, podłoga. Niewyraźne obrazy przemknęły jej przed oczyma. Ręka zaciskająca się na szyi, zrywająca z niej majtki, rozszarpująca ją na strzępy z wściekłością i zwierzęcym głodem. Mimowolnie objęła się i podciągnęła nogi chowając się w sobie, jakby wciąż uciekała. Podarte ubrania ukryte pod szlafrokiem uwierały ją coraz bardziej.

- Przykro mi – odezwał się ten pierwszy.

- Gdzie on jest? – zapytała Blanka.

- W garażu. Powinien niedługo odzyskać przytomność, ale myślę, że już nie ma o czym rozmawiać. Właściwie to sugerowałbym

żeby poszła pani na dłuższy spacer, a my zajmiemy się resztą.

- Chcę go zobaczyć. Że to naprawdę on – wydukała jakieś słowa, wciągając nosem skrzepy krwi.

Mężczyźni popatrzyli na siebie w milczeniu. Ten, który wydawał się najmłodszy pomógł jej wstać. Ruszyli przez ciemny korytarz. Otworzył przed nią drzwi i przepuścił przodem. W kącie pomieszczenia dostrzegła człowieka przywiązanego do krzesła. Krew lała się z nosa po taśmie klejącej owiniętej wokół jego głowy na wysokości ust, wsiąkała w bluzę i kapała ze związanych dłoni na grube warstwy folii, którymi wyłożono podłogę. Czerwone bruzdy na czole były jej dziełem, ale sińce pod oczami i rany na szyi już nie. Poturbowali go strasznie, obili mu twarz tak, że straciła wszystkie znajome rysy, może dlatego było jej łatwiej na niego spojrzeć. Nie rozpoznawała w tym zdeformowanym obliczu nic, co wypełniało ją lękiem, czego kiedyś pragnęła, za czym tęskniła, o czym nieustannie myślała, zdarli z niego ten czarujący uśmiech i rozbili w pył pewność siebie, zostawiając jedynie strach i żal i zaczął wreszcie wyglądać na swój wiek, ten przerażony gnojek, pierdolony śmieć, któremu wydawało się, że świat i każda w nim rzecz należy do niego. Popatrz na siebie teraz! – wyrwało jej się i poszła za ciosem. Podbiegła do niego z krzykiem i zaczęła okładać otwartymi dłońmi potłuczoną głowę, która odskakiwała to na lewą, to na prawą stronę akceptując swoją karę w milczeniu. – Nienawidzę cię! Nienawidzę cię!

Gdy poprosiła Null o pomoc, w głębi duszy marzyła o tym, by znalazła dla niej najbardziej skurwysyńskich bandytów, jakich mogą kupić pieniądze. To było piękne słoneczne popołudnie w ogrodzie, chłopcy stali na balkonie i przyglądali im się z oddali, gdy Blanka spowiadała się z ostatnich miesięcy, które przeżyła przyciśnięta do ściany, bez oddechu. Ciepłe wspomnienia wydawały się cudze, przyszłość niosła garście lęków, puste butelki, kolejne recepty. Strach kończy się gdy wreszcie wypadniesz za burtę powiedział jej ktoś kiedyś. Ona nie mogła już dłużej znieść czekania na nieuniknione. Chciała sprowokować konfrontację, obronić się lub przegrać, ale przestać

podporządkowywać każdy dzień i wszystkie myśli pojedynczej obsesji. Wypowiedziała życzenie. Niema dziewczyna zabrała je ze sobą na górę i wklepała do komputera.

Stanęła zziajana nad nim, zacisnęła trzęsące się dłonie w pięści. Z trudem podniósł wzrok i wymamrotał coś przez taśmę. Nie zrozumiała ani słowa. Mężczyźni przyglądali się jej cierpliwie i wiedziała, że będą tu dopóty, dopóki ona nie da im sygnału, że to już koniec. Powietrze pachniało krwią i wódą. Cofnęła się w głąb pomieszczenia. Co teraz? zapytała chłopaka o stalowym spojrzeniu.

- Teraz pani pójdzie się przewietrzyć, a my tu posprzątamy – powiedział. Zauważyła, że obracał coś w dłoniach. Metal błysnął w słabym świetle latarni sączącym się przez wąskie okna.

- Boże – szepnęła.

Uśmiechnął się, jakby opowiedziała mu dobry dowcip. Dokręcił tłumik do lufy i spojrzał za siebie w kierunku korytarza próbując wyłowić coś z przejmującej ciszy. Dopiero wtedy Blanka uświadomiła sobie, że był środek nocy. Światła w domach dawno zgasły, nie słyszała samochodów, ulicami snuły się jedynie porwane kartony i turlały wypalone race, na chodnikach błyszczało potłuczone szkło. Ten trzeci, który nie odezwał się ani razu, ruszył w kierunku frontowych drzwi. Po chwili wrócił, skinął i stanął dokładnie w tym samym miejscu.

- No już, wyjdź – tym razem to nie była prośba.

Ruszył w kierunku Husky'ego, Blanka poczuła ciężką dłoń na swoim ramieniu odciągającą ją gdzieś do tyłu. Usłyszała stłumione krzyki, wołanie o pomoc wydobywające się z zaklejonych ust, tupanie w podłogę. Czuła się jakby wpadła z jednego koszmaru w kolejny, nic, co wydarzyło się tego wieczora nie wydawało jej się realne. Czy te poranione dłonie, którymi przed chwilą okładała go po głowie należały do niej? Nie potrafiła stwierdzić na pewno. Po raz kolejny traciła kontrolę, dawała się przesuwać jak przedmiot z jednego kąta w drugi i tak wyglądało całe jej życie.

- Nie! – krzyknęła. Odskoczyła w bok i zawróciła do garażu. Palec podniósł się ze spustu, lufa odsunęła od głowy. Husky podniósł wzrok i spojrzał na nią oczyma, w których ożyła nadzieja. Blanka podeszła bliżej, wchodząc twarzą w światło.

- Chcę tu być – powiedziała. – Muszę wiedzieć, że…

Chłopak skinął i ponownie uniósł broń. Huk pistoletu wypełnił cały garaż, ze skroni chlusnęło lepką mazią, a ciało przechyliło się i rąbnęło razem z krzesłem bezwładnie na podłogę. Zobaczyła krew sączącą się z oczu, nosa i ust, spienioną, gęstą, pełną bąbli, krew wzbierającą w uchu, napęczniałe krople, które bryzgnęły na ścianę spływały w dół niezliczonymi strugami, czarna kałuża rosła, jakby otworzyła się otchłań. Zaczęła krzyczeć, ale wielka dłoń czekała w gotowości, dokładnie wiedząc, co tu się wydarzy. Ona nie wiedziała. Szarpała się, próbując wydostać z żelaznego uścisku. Kopała w ściany, zrzucała obrazy, gdy niósł ją przez dom. Zabrakło jej powietrza, ale i tak dalej wyła zakneblowana, chciała wyrzygać z siebie do końca, to, co zobaczyła, wywinąć się na lewą stronę.

Postawił przed nią kubek herbaty i usiadł w fotelu. W garażu rozległ się dźwięk silnika. Brama podniosła się z łoskotem do góry, furgonetka wyjechała na podjazd, prosto w rzęsisty deszcz. Za oknami wstawał dzień, wiatr chwiał drzewami w parku i przeganiał chmury po sinym niebie. Ulice spływały wodą, wciąż puste, ludzie wiercili się w ciepłych łóżkach próbując złapać ostatnie chwile snu. Siedzieli tak poza czasem. Dotknęła ustami krawędzi kubka i poczuła ostry zapach. Skrzywiła się, ale przełknęła kilka łyków wywaru, w którym herbata stanowiła jedynie dodatek do alkoholu. Zawinęła się mocniej w koc, starając się, by ledwie tlące się w niej ciepło nie zgasło. Usłyszała pukanie w okno. Chłopak wstał, spojrzał na nią ostatni raz i wyszedł bez słowa. Furgonetka wyjechała na ulicę i pomknęła po kałużach. Z garażu dochodziła silna woń chemikaliów. Podniosła się z kanapy żeby zamknąć drzwi. Pomieszczenie było puste i wysprzątane jak nigdy. Przy stole w jadalni stały trzy krzesła.

***

Osiemnaście miesięcy na wciągniętym brzuchu, permanentny deficyt snu i kroplówka z kofeiny. Cztery spotkania dziennie z briefingiem w taksówce a w głowie nieustający monolog wewnętrzny, bo każda sekunda ciszy po zadanym pytaniu inspiruje brak zdecydowania. Setki wpadek, choć więcej tych niezauważonych, których nikt nie zamienił w nagłówek. Wątpliwości przy śniadaniu, obawy na obiad, whisky na kolację. Dużo whisky, tej drogiej, która pachnie deszczem, drewnem i ziemią i mieni się w krysztale jakby wyżęto doń słońce. Czasem seks za pieniądze, żeby nie zapomnieć jak, ale zapomnieć o. Rano wiertarka w ucho, łom pod powiekę i od początku – adresy, spotkania, telefony, nazwiska – a równolegle drugie życie, nieudokumentowane, ukryte tuż pod linią horyzontu, w miejscu, gdzie zamieszkały wszystkie nadzieje. Nowe szaty, nowe słowa, nowe myśli, nowa głowa, wieczne liczenie zysków i strat. Ciężko zauważyć jak wiele się zmieniło gdy całe dnie spędza się przed lustrem ćwicząc adekwatną powagę i pełne zrozumienie. I ręce. Nigdy nie zapominaj o rękach. O niczym nie zapominaj. Złotowłosa niewiasta wije się za mikrofonem i mruczy zmysłowo *Happy Birthday Mr President*. Sierpiński nie ma urodzin, ani nie jest prezydentem, ale z całej kampanii to tę chwilę zapamięta najdłużej.

Jest coś pięknego i tandetnego za razem w tej scenie, która jest kopią imitacji. Marilyn Monroe nigdy nie była prawdziwa. Sierpiński nie dba o to. Póki jej głos wibruje wysoko, dekolt unosi się, a suknia błyszczy, póki śpiewa tylko dla niego i patrzy tylko na niego dając mu przedsmak zwycięstwa on wierzy w każde jej słowo. I trwają tak zamknięci w spojrzeniu rzuconym przez wypełnioną salę, w krótkiej chwili która jest dla niego zwieńczeniem pewnego etapu. Ale gdy pierwsze zauroczenie mija, uszy przyzwyczajają się do melodii, a kontekst przechyla tę z pozoru niewinną i w pełni przećwiczoną improwizację w stronę pastiszu i groteski, scena znajduje swoje idealne zwieńczenie w odgłosie pękniętej struny walącej z hukiem o wieko fortepianu.

Muzyka urywa się z jękiem. Znów jesteśmy w Polsce. Nad morzem. Na prywatnym balu zorganizowanym z okazji końca kampanii, z trzema

drinkami w krwioobiegu i jeszcze niezaplanowanym powrotem. Coś się zepsuło? A może to część przedstawienia? Sierpiński wstaje pierwszy i zaczyna klaskać, rozładowując atmosferę, a reszta wtóruje mu zalewając salę śmiechem i brawami. Kobieta kłania się i rusza rozchwianym krokiem w jego kierunku. On całuje jej dłoń, ona szepcze mu coś na ucho, wyciąga papierosa z torebki i wychodzi na balkon. Możemy wrócić do rozmów pozbawionych szczegółów, najeżonych aluzjami wystarczająco czytelnymi, by wywoływać donośne salwy śmiechu, które są absolutną esencją spotkań na najwyższym szczeblu.

- Widzę, że świetnie się bawisz – mówi wiedźma kręcąc szampanem w kieliszku – nie mów, sama zgadnę. Schowałeś się w kącie żeby obserwować. I na pewno myślisz o czymś głębokim i uniwersalnym. Na przykład o tym, że na ziemi jest tyle samo zakrętów w prawo, co w lewo. Zastanawiasz się jak niektóre osoby mogłyby zareagować gdybyś puścił im swoje ulubione utwory. Układasz sceny, sprawdzasz możliwości. Wiesz, że wszyscy ludzie w twojej głowie to tak naprawdę ty? Każda z nich mówi twoim głosem.

- Nie powinnaś pisać przemówienia na wieczór wyborczy?

- Bez presji czasu nie potrafię pracować. Poza tym pozwól duszy odpocząć. Tylko to pisanie i pisanie. Wylałam już z siebie wszystko, teraz muszę uzupełnić rezerwy, zobacz ile materiału – jej dłoń zaznacza mniej więcej trzy czwarte sali wypełnionej ciasnymi kręgami drogich garniturów i równie dobrze skrojonych sukni.

Są tu wszyscy, którzy znaczą cokolwiek w tym kraju i chcą coś znaczyć po zmianie, która już za dwa dni niechybnie nadejdzie. Wyczuwają ją jak pierwszy wieczorny powiew chłodu od morza zwiastujący koniec dnia, jak zapach deszczu unoszący się w powietrzu jeszcze zanim krople uderzą w zakurzone dachy. Przyszli przyjrzeć się z bliska temu, co nadchodzi, ugrać coś, być może tylko dać się zauważyć. Ich status można łatwo zweryfikować oceniając tempo spożywania drinków i stan, do jakiego się doprowadzają. Aspirujący i nic nie znaczący przerzucają oczami od jednych obślinionych ust do

drugich wyczekując szansy, by wbiec pomiędzy rozpędzone słowa ze swoją trafną pointą i nie dać się rozjechać ripostą. Na przeciwległym końcu skali kompletnie najebany Łukasz Janicki, prezes największego banku w kraju opieprza kelnera za zbyt małą ilość lodu w drinku wymachując dłonią, podczas gdy druga spoczywa pewnie na pośladku jego czwartej żony, modelki Yaritzy Al-Sayif, która nawet gdyby mówiła po polsku, jedyne, co mogłaby powiedzieć w tej sytuacji to „okej". Jest też Templin, ze swoim libacyjnym symetryzmem, zgodnie z którym co drugi drink ląduje w doniczce lub zostaje porzucony na cudzym stole, bo kto nie pije, ten z Inicjatywy, ale jak się przechodzi do opozycji zawsze warto patrzeć pod nogi i oglądać się przez ramię.

- Czuję się jakbym oglądał deepfake. A to wszystko prawda – mówię.

Greta uśmiecha się i zlizuje z warg resztki szampana. Daniel przechodzi obok fortepianu, uderza w niemy klawisz oceniając straty i wraca na górę z pełnym kieliszkiem wina dla Null, której nikt nie zaprosił na bal. Na zewnątrz długie snopy świateł rzuconych w ciemność ogrodu pozwalają dostrzec snujące się sylwetki. Dźwięk słów rozwiewa wiatr, popiół pada na trawę u ich stóp, to co ustalą nie zostanie nigdzie zapisane, ale zmaterializuje się w świecie jedynie siłą nieustępliwej woli. Nikt tu nie traci czasu, dlatego spotkanie ma podwyższony puls, wszyscy zaczepiają się słowami, szarpią spojrzeniami, ćwiczą uniki w korytarzach i zderzenia przy stole. A jednak winda zjeżdża w dół i z każdą minutą daje się odczuć rosnące ciśnienie. Wlane w gardło godziny doprowadziły głosy śmiało na granicę krzyku.

- Chodź Kaziu, pokaż mi to dzieło sztuki – woła Iwo Liwiński, zadowolony jak przystało na członka listy stu najbogatszych. Iwo jest właścicielem sieć agencji reklamowych, którego Edwin swego czasu reprezentował w głośnej sprawie o mobbing. Wiedza o tym ile razy Sierpiński skreślał i przywracał jego nazwisko na listę mogłaby przygasić jego entuzjazm. Tymczasem zawiesza dłoń na przyszłym prezydencie, jakby byli starymi dobrymi znajomymi prowadząc go do wyjścia, a Sierpiński pozwala mu na to, bo koneksje, które Iwo

posiada w Ministerstwie Kultury są faktem, którego nie sposób zignorować.

Marilyn wraca z papierosa, pianista przesiada się do zapasowego fortepianu, salę znów wypełniają aksamitne i jednakowe melodie godne hotelowego hallu, a rozmowy mimowolnie stają się głośniejsze. Zambrzycki prosi Blankę do tańca, a ona nie odmawia. Na parkiecie to ona prowadzi jego, gdy nasze oczy spotykają się na ułamek sekundy, nie widzę w nich przyjemności, upojenia, zmęczenia. Nie widzę nic. To spojrzenie człowieka, który biegnie przed siebie, ale nie ma pojęcia dokąd i jak długo będzie biegł. Kilka innych par dołącza do nich. Wiedźma chwyta mnie za rękę i ciągnie w pląsający tłum. Wyrywam się i wychodzę na zewnątrz, byle dalej od rosnącego zamieszania, bo jeśli jest na tym świecie forma ekspresji bardziej bezużyteczna od poezji, to jest nią taniec.

W ogrodzie za domem wyrasta szklane drzewo. To samo, pod którym nieomal zamarzłem. Podchodzę przypatrzeć mu się bliżej. Po jego zimnej powierzchni pływają odbicia rozświetlonych okien, srebrny księżyc, sprawia, że gałęzie nad naszymi głowami przypominają ostrza noży. Perfekcyjna niedoskonałość natury wyrzeźbiona dłońmi szaleńca. Kolejna historia, którą mogę opowiedzieć tylko sobie.

- To, że artysta ma dobry warsztat nie sprawia, że jest on automatycznie dobrym artystą. W chłam też można włożyć mnóstwo pracy i kunsztu – mówi Liwiński. – Czasem postawienie prostej kreski w odpowiednim miejscu wystarczy żeby poruszyć świat. Ale dobra sztuka nigdy nie jest przypadkowa, bo jeśli kreska w istocie została postawiona w odpowiednim miejscu, to znaczy, że praca została wykonana.

Ludzie zaczynają naturalnie gromadzić się wokół nich zwabieni obecnością Sierpińskiego, bardziej niż tematyką rozmowy. Po chwili pod drzewem stoi już całkiem spora grupka osób i sączy drinki, ich twarze rozświetlone żarem lub ekranami telefonów rozpalają się i znikają w mroku.

- Co ja chcę ci przez to powiedzieć Kazimierzu, to, że artysta

nie ma prawa mówić odbiorcy czym jest jego dzieło, bo to odbiorca osadzi je w kontekście i wyceni jego wartość. Dlatego sztuka, w którą tak naprawdę warto inwestować musi podążać tropami znanymi dla ogółu albo musi być od nich tak mocno oderwana, żeby odbiorca mógł jedynie powiedzieć Oooooooo! – Iwo otwiera usta i wybałusza oczy wydając z siebie odgłos godny menela wybudzonego z pijackiego widu przez zgrzyt zgniatarki do odpadów. Rozlega się śmiech, czyjeś dłonie zderzają się w pojedynczym oklasku.

- Szanowni państwo, to, co Iwo chce przez to tak naprawdę powiedzieć, to że przepłaciłem – rzuca Sierpiński wywołując nie mniejszą radość.

- Bynajmniej – broni się Liwiński. – To drzewo jest niewątpliwie dziełem, symbolem buntu przeciwko establishmentowi, zostało okupione krwią. Ile ich powstało? Dwanaście? Piętnaście?

- Dziewięć.

- Wspaniale. Jeszcze większa ekskluzywność. Wszystkie trafiły w ręce prywatnych kolekcjonerów i dojrzewają. Za parę lat drzewa ze szkła będą nam się kojarzyły jedynie z lepszą przeszłością, zniknie cały smród spalenizny i spłynie z nich piana bita przez dziennikarzy. Różowe okulary nostalgii, Kazimierzu, są w stanie zmienić gloryfikację przemocy w składanie hołdu przeszłości, a co najważniejsze podwoić, czy nawet potroić cenę.

- Chuja tam – wyrywa się Janickiemu. Prezes rozsuwa ludzi na boki i przesuwa się bliżej. Jego spocone, błyszczące czoło marszczy się gdy ogarnia drzewo wzrokiem jakby chciał się z nim zmierzyć.

- Jeśli to jest drzewo, to można na nie wleźć – mówi i oddaje swojego drinka Templinowi, a sam zakasuje rękawy.

- Sztuka użytkowa – mówi Liwiński.

Jego dłonie chwytają się najniższej gałęzi. To niemożliwe, by były w stanie utrzymać, a co dopiero podciągnąć resztę jego ciała.

- Ostrożnie – dodaje Sierpiński.

Janicki poprawia uchwyt, zimna gałąź ślizga się pod spoconymi palcami, opiera nogę o konar i podskakuje na kilka centymetrów w górę.

- O ja pierdolę – wzdycha pod nosem Edwin wycofując się w głąb ogrodu. Przez otwarte okna sączą się dźwięki fortepianu. Tu słychać wyraźniej postękiwania i ciche bluzgi prezesa, który mierzy się ze swoim własnym wyobrażeniem o sprawności utraconej co najmniej dwadzieścia lat i pięćdziesiąt kilogramów temu. Słoneczne popołudnia spędzone w parkach, zapach kory, mchu i kwiatów blakną z każdym kolejnym rokiem, ale niech nas szlag trafi, jeśli ktokolwiek zabroni mu choć na chwilę do nich wrócić. Co innego pozostaje w tym wieku, jak tylko wspominać dni chwały, chwile triumfu na zimnym piasku z dala od światła ogniska i młodość, która przeminęła zbyt szybko?

- Patrz na to! – woła przerzucając łokieć nad gałęzią. Jego ciało się wydłuża i rozciąga jak balon z wodą, który ktoś szarpnął do góry. Spomiędzy koszuli i spodni wypływa owłosiony brzuch.

- Da-jesz, da-jesz – skandują podpite gardła.

Buty szlifują gładką powierzchnię kory. Jeszcze centymetr, już tylko pół żeby druga ręka przeskoczyła nad poprzeczką. Jego twarz staje się czerwona, puchnie, wydaje z siebie nieludzki okrzyk. W tym samym momencie słychać trzask. Drzewo przechyla się zrzucając Janickiego na ziemię. Korona wraca do pionu a następnie odbija się z powrotem i spada na głowy gapiów setką zaostrzonych gałęzi. Ludzie odskakują w popłochu. Ktoś krzyczy, ktoś klnie, ktoś inny przewraca się w miękką trawę pełną porzuconych szklanek i niedopalonych petów. Sierpiński stoi najbliżej, widzi jak w ćwierć sekundy niewinna pijacka fantazja zmienia się w jego największy koszmar. Nawet jeśli zrobisz wszystko dobrze, zawsze znajdzie się idiota, który pogrzebie cię swoją bezmyślnością. Nie ma czasu sformułować tych myśli, jedynie czuje jak wypełnia go wściekłość i żal. Ruiny ciągną się po horyzont.

Drzewo upada prosto na Templina. Gałęzie wbijają się w ziemię i dziurawią ciało na wylot. Słychać kolejny okrzyk, który nie należy do

niego. Jego już nie ma. Leży pogrzebany w gąszczu szklanych igieł.

- O. Ja. Pierdolę – powtarza Edwin. Słowa wypadają mu z ust pojedynczo, mimowolnie. Tuż przy brzegu przewraca się fala. Słychać ją tu wyraźnie. I kolejną. I jeszcze jedną. Wiatr od morza przedziera się pomiędzy drzewami i uderza w spocone plecy, błyszczące twarze, trzęsące się dłonie, poplątane włosy.

- Dzwoń! – mówi Janicki, ale do kogo, tego już nie precyzuje.

Podchodzę bliżej i zaglądam pomiędzy gałęzie dostrzegając w ciemności parę wybałuszonych oczu. Jego usta drżą próbując wydobyć z siebie słowo. Plecy unoszą się i opadają szybko. Ręka sięga po pomoc. Wyciągam do niego dłoń, a Templin czołga się przez labirynt szklanych kolców i wydostaje spod drzewa. Staje przodem do okien i ogląda swoje ciało pod światło zdziwiony, że wciąż jest w jednym kawału. Obce dłonie dotykają go, bo nikt nie może uwierzyć, że na jego ciele nie ma nawet draśnięcia.

- Czy nikomu na pewno nic się nie stało? – pyta Sierpiński. – Panie Templin…

- Nie… nie… - odpowiada jak we śnie i odchodzi kuśtykając w kierunku tarasu.

- Trzeba sprawdzić czy nic mu nie jest. Może jest w szoku i nie czuje bólu.

- Tak. Tak.

Nikt nie rusza się o krok. Goście obchodzą przewrócone drzewo, zaglądają do wnętrza szklanego labiryntu, oferującego śmierć na tysiąc różnych sposobów, zastanawiając się jakim cudem żadna z trajektorii nie przecięła się z ciałem rozpostartym na trawie.

- Chłop wygrał na loterii – mówi Janicki, ale nawet po nim widać, że strach zdarł z niego warstwę wesołego upojenia odsłaniając człowieka, któremu życie przefrunęło właśnie przed oczami.

Ktoś próbuje żartu. Ktoś inny proponuje się napić, co wywołuje

żywszą reakcję. Goście znikają z ogrodu jeden po drugim, a kelnerzy uwijają się lejąc trunki do połyskujących naczyń. Wieść o niedoszłej tragedii roznosi się po stolikach i korytarzach. Sierpiński odnajduje Templina w toalecie, gdy ten bezskutecznie próbuje doczyścić koszulę trąc mokre bladozielone plamy ręcznikiem. Rozmawiają długo stojąc w przejściu, mimowolnie stając się tematem wszystkich innych rozmów wokół. Muzyka wciąż gra, ale impreza nie odzyskuje już właściwego rytmu. Każdy trzyma się swojej własnej grupki i jednego tematu. Ostatecznie nawet on wyczerpuje się bo jest zbyt wcześnie, by móc go ubarwić i opowiadać wciąż od nowa. Godzinę później masowy exodus zapełnia podjazd taksówkami. Sierpiński staje na progu i żegna każdego z nich ostrożnym uśmiechem. Mam nadzieję, że ten nieszczęśliwy wypadek nie zepsuł państwu wieczoru – powtarza jak mantrę, a oni odpowiadają jeden po drugim, że najważniejsze, to że nikomu nic się nie stało, a bawili się doskonale. Pary czerwonych świateł znikają w kurzu pomiędzy drzewami. Dom znów staje się cichy, noc ciemniejsza.

Wchodzę po schodach na górę ściągając z siebie krawat. Na poddaszu jest duszno, w powietrzu czuć pot, alkohol, perfumy, skondensowane zapachy imprezy zmieszane w lepką woń snującą się pod drewnianym dachem przesiąkniętym nadmorską wilgocią. Wspomnień jest tu jeszcze więcej. Wpisuję kod i otwieram metalowe drzwi, za którymi powietrze jest gęstsze. Daniel gasi papierosa i wydmuchuje dym. Chmura przepływa przed ścianą zbudowaną z ekranów. Na każdym z nich Null odtwarza w pętlach wydarzenia wieczoru. Drukarka zgrzyta i wypluwa z siebie arkusze transkrypcji zarejestrowanych rozmów. W lewym górnym rogu Sierpiński stuka nożem w kieliszek, ostatnie promienie słońca przechadzają się po ogrodzie za jego plecami. Za ścianą Janicki pociąga nosem, strzepuje biały pył z dłoni, poprawia krawat i wraca na salę w sam raz, by zdążyć na sam koniec przemówienia. Dołącza się do oklasków eksplodując po cichu z każdym uderzeniem. Widzę Templina przygniatanego przez szklane drzewo, igły rozsypują się wokół jego ciała, wbijają w ziemię pomiędzy palcami rozpostartych dłoni. W łazience na górze kobieta siada na zlewie i rozkłada nogi. Głowa mężczyzny znika pod suknią,

ona chwyta ją za włosy i przytrzymuje tam wyginając się w łuk. Majtki bujają się na długim obcasie jak wahadło. Wreszcie zeskakuje na podłogę i odwraca się do niego tyłem spoglądając prosto w lustro. Prosto na mnie.

- Sierpiński chce się z nami spotkać. Za dziesięć minut na dole.

Null odkłada kieliszek i pada na fotel. Jest pijana i wykończona, odgarnia splątane włosy z twarzy, w szarych oczach te same szare sceny pulsują w nieskończoność. Nie potrafi już zamknąć powiek. Gdyby to zrobiła zasnęłaby od razu. Ostatni tydzień zlał się w jedną długą noc. Zamieniła ten dom w panoptykon. Tylko w pokoju, który zamieszkuje nie ma kamer i podsłuchów. Nie ma nawet okna. Jedynym źródłem światła są ekrany, które nigdy nie gasną, dziesiątki oczu skierowane we wszystkich kierunkach. Null patrzy na mnie z wyrazem absolutnej nienawiści i zdejmuje nogi z biurka. To już naprawdę koniec. Na materacu leży plecak, cały jej dobytek, z którym tu przybyła i z którym odjedzie w tylko sobie znanym kierunku. Obok sterta dysków przygotowanych do zniszczenia i dwie większe torby, do których Daniel upchnął swoje ubrania, karty i książki.

Schodzimy na dół, do pokoju, który rozerwaliśmy z Gretą na strzępy naszym ostatnim tańcem. W kominku trzaska szczapa drewna, Sierpiński przechadza się wzdłuż wielkiego okna z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wiedźma też tu jest, zawsze czujna, spogląda w kierunku drzwi dokładnie w momencie, w którym przekraczam próg. Edwin chowa telefon do kieszeni. Blanka, spokojna i pijana, obraca kieliszek szampana za podstawkę, karuzela bąbelków unosi się w szkle zakręcając helisy. Zajmujemy miejsca przy stole. Sierpiński unosi nadgarstek.

- Pięć minut do ciszy wyborczej. Wciąż możemy porozmawiać o polityce – mówi, dobrze wiedząc, że tak naprawdę już nie ma o czym rozmawiać.

Pojutrze o tej samej porze Kazimierz Sierpiński położy się do łóżka jako nowy prezydent Polski. Długo nie będzie mógł zasnąć świadom,

że żaden sen nie dorówna temu, co wydarzyło się w studio, wśród flag i świateł. Będzie myślał o oczach wpatrzonych w niego i ustach recytujących słowa hymnu, głosach ginących w hałasie, śladach tuszu na kartach i wypełnionych szklanych urnach, o dłoniach zbierających serpentyny ze sceny po tym jak z niej zejdzie, by rozdawać uściski i przyjmować gratulacje. To wszystko czeka na niego. Jedyne, co teraz musi zrobić, to uzbroić się w cierpliwość. Ale minuty płyną wolno, a wizja pali go w środku jak otwarta rana.

- Nie będę was zanudzał – obiecuje, jego głos jest pełen werwy mimo godzin i wszystkich słów, które musiał dziś wypowiedzieć. – Ale to ostatni raz gdy spotykamy się wszyscy w tym gronie. Wytrzymajcie ze mną jeszcze chwilę, a być może odwdzięczę się dobrą opowieścią – robi ukłon w kierunku Grety. – Przede wszystkim chciałbym podziękować wam za to, co dla mnie zrobiliście. Za miesiące pracy, researchu, ćwiczeń, tekstów, strategii, wsparcia. I za inspirację, bo dzięki wam uświadomiłem sobie, że każdy z nas jest w stanie stworzyć swoją własną rzeczywistość. Ta myśl zostanie ze mną na długo po tym jak zapomnę waszych twarzy i nazwisk. Jakby banalnie to nie zabrzmiało, wierzę, że jesteście niezastąpieni. Wciąż…

Gdy podchodzi bliżej dostrzegam, że coś zmienia się w jego spojrzeniu, polityczna maniera na chwile ustępuje, a on sam zawiesza się w pół zdania znikając w introspekcji, błądząc gdzieś po tunelach wspomnień, w poszukiwaniu czego? Tej nieodfiltrowanej prawdy, która podpływa pod samą powierzchnię zawsze po trzecim drinku? Ale on nie jest pijany. Alkohol wciąż go nie napoczął, jedynie pije sam siebie pielęgnując, by entuzjazm nie zgasł w jego oczach.

- Nie mam zamiaru udawać, że staliśmy się przyjaciółmi. W najlepszym przypadku traktujecie to przedsięwzięcie jak zwykłą pracę, za którą zaoferowałem wam, mam nadzieję, godne uposażenie. A skoro już o tym mowa, Danielu, fortepiany są twoje. I tak miałem się ich pozbyć. Potraktuj to jako prezent pożegnalny – dodaje. Vermont odwdzięcza się skinieniem wysłanym z końca sali. Drewno w kominku strzela. Sierpiński kończy myśl – Po tym wszystkim, co zrobiliśmy wierzę, że staliśmy się czymś więcej niż tylko zespołem. Łączy nas

pewne pokrewieństwo myśli, bo patrzymy na ten świat bez złudzeń. Widzimy jego mechanizmy wyraźnie, jakby cały był ze szkła. I sami przed sobą też już nie mamy wiele do ukrycia. Całkowita szczerość, prawda Arturze?

- Taki był mój warunek.

- Muszę w takim razie wywiązać się z umowy do końca. Ed, nalej proszę wszystkim po drinku. Chciałbym wznieść toast.

Ciężkie westchnienie uderza w mój kark. Edwin sięga do barku i uzupełnia szklanki, a następnie rozstawia je na stole wchodząc w rolę kelnera, wytrenowana obojętność gasi poczucie zeszmacenia jak peta. Null musi sama pofatygować się do kuchni po kieliszek wina. Bose stopy plaskają na parkiecie. Jej kroki są ciężkie i sztywne. Gdzieś w domu rozlegają się uderzenia metalowej sprężyny. Wybija północ. Blanka przeciągle ziewa. Przesuwane krzesła skrzypią. Coraz trudniej zachować uroczystość tej chwili. Ostatniego dnia w pracy każdy marzy, by wyjść przed czasem.

- Za miłość i za strach. Dwie siły, przed którymi nie zdołamy się obronić – mówi gdy wszystkie trunki są już gotowe. Wznosi szklankę i przechyla ją na raz. Obciera usta mankietem koszuli i dosiada się do stołu patrząc po kolei każdemu z nas prosto w oczy. Długim oddechem gasi płomienie tańczące po języku.

- Podobno jedyną rzeczą, której powinniśmy się bać jest strach – wzrusza ramionami. – Ja wiem tylko tyle, że miłość to narkotyk, który zrobi z ciebie szaleńca. Jestem tego żywym przykładem. Mam nieślubne dzieci z kobietą, z którą miałem romans. Musieliście o tym słyszeć. Oprócz łóżkowych wyczynów Batorego tylko to obecnie interesuje media. I społeczeństwo – rozkłada ręce wskazując na niewielką jego część siedzącą razem z nim przy jednym stole. – Oczywiście, to tylko w połowie prawda – dodaje. – To, czego nie dowiecie się z mediów, to fakt, że ja naprawdę kochałem tę kobietę. Tak bardzo, że byłem gotów zrobić wszystko, co konieczne.

- Poznałem ją w tym samym dniu, w którym rozpoczęła się

moja kariera – ciągnie swoją opowieść. – Byłem wtedy młodszy. Wkurwiony. Wierzyłem, że mogę coś zmienić wymachując transparentem na ulicy. Śmieszne. Ale nie do końca daremne, bo w końcu spotkaliśmy się w tłumie. Zrobiła mi zdjęcia, które trafiły na pierwsze strony gazet. Nakręciła filmy, które obejrzały tysiące. Stałem się symbolem niezadowolenia, głosem rozczarowanych. Ja. Syn milionera, z dobrego domu. Ale postanowiłem uczepić się tej okazji. Osiemnaście lat później jesteśmy tu – mówi i uderza pięścią w stół, twardo, jakby przybijał pieczęć, uwierzytelniając wszystkie słowa.

- Mój największy błąd polegał na tym, że postanowiłem ją odszukać. Wam pewnie zajęłoby to dwie sekundy, ale ja poświęciłem na to tygodnie. Dzwoniłem na uczelnie, rozpytywałem w redakcjach, nękałem znajomych. Wreszcie ktoś podał mi nazwisko. Żaneta Zięba. Obracałem je na języku raz po raz obiecując sobie, że się nie zakocham. Przecież już byłem zakochany. Moja żona w drugim miesiącu ciąży głównie spała. Miałem dużo czasu i tak wiele pracy przy zakładaniu własnego ruchu. Kalendarz pełen spotkań z wpływowymi ludźmi a pomiędzy nimi jedno rendez-vous w kafejce. Później drugie, na spacerze. Opowiadałem jej, że chcę zmienić świat, a ona wierzyła w każde moje słowo. Piękna, jasnowłosa, drobna i zawsze uśmiechnięta. Jak promień słońca. Wieczorem wracałem do domu i żyłem tym drugim, cichym i zacienionym życiem, które w pocie czoła zbudowałem dzień po dniu. Mniej emocji, więcej satysfakcji z przebytej wspólnie drogi. Jednego nie da się zamienić na drugie. A człowiek zawsze chciałby mieć oba. Człowiek jest zachłanny i chce mieć wszystko – mówi wpatrując się w przygasający ogień. Iskry sypią się i ulatują w komin. Na moment zapada absolutna cisza.

- Obiecałem sobie, że się nie zakocham – powtarza przymykając oczy. – Więc trzymałem ją na dystans. Udawałem zajętego, przekładałem spotkania. Ale w głowie widziałem tylko ją. Od rana do wieczora słyszałem jej głos. Wyobrażałem sobie nas razem w jakiejś alternatywnej rzeczywistości. Wyrzucałem sobie, że poznałem Wiktorię zbyt wcześnie, Żanetę za późno. Ożeniłem się zbyt młodo, nie dałem sobie szansy żeby zobaczyć świat, posmakować kolorów

życia, poznać ludzi, znaczyć coś dla nich. Czułem się staro, zbyt staro. A przy Żanecie ubywało mi lat – zamyśla się. Wiatr sypie drobnymi kroplami deszczu na szybę. W oknie odbija się rozświetlone, ciepłe pomieszczenie, nasze sylwetki, długi stół.

- Zaczęło się przypadkowym muśnięciem dłoni, które splotły się w uścisku. Patrzyliśmy sobie długo w oczy sami nie wiedząc co mamy zrobić z uczuciem, które wiło się zduszone rozsądkiem i odpowiedzialnością. Obiecałem sobie, że się nie zakocham, a nocami leżałem obok Wiktorii myśląc tylko o Żanecie. Szedłem przez dni pijany ukrytym szczęściem, rozerwany na pół przez niemożliwy wybór. Coraz bardziej szalony. Zdesperowany. Ale to były tylko myśli. Jeszcze nie stało się nic złego, prawda? – kręci głową, jakby próbował wygonić z niej sen, nim pochłonie go do końca. – Wybaczcie tę szczerość, być może powiedziałem już zbyt wiele.

- Sam obiecałeś nam dobrą opowieść.

- To prawda, Greto – uśmiecha się. – I wiem, że muszę dotrzymać słowa, choćby dlatego żeby pozwolić przeszłości odejść raz na zawsze. Nawet jeśli po latach czuję się jakbym opowiadał o obcej osobie. Teraz widzę jak bardzo byłem chory z miłości. Tej prawdziwej, która wyłamuje dłonie i wpycha cię pod koła samochodu. Rozkazuje ci zniszczyć swoje życie, a ty robisz to z pieśnią na ustach dziękując za możliwość – rozpędza się karmiąc ją wszystkim, czego ona pragnie usłyszeć. – Trwało to chwilę, ale wreszcie wylądowaliśmy w łóżku. Kochaliśmy się w wynajętych pokojach hotelowych. Nie obiecywaliśmy sobie żadnej przyszłości. Wyjeżdżaliśmy nad morze pod przykrywką podróży służbowej. Żaneta mówiła, że czuje się fatalnie z tym, że ingeruje w czyjś związek. Kupowałem jej bieliznę, z której następnie ją rozbierałem. Obiecywaliśmy sobie, że zrobimy to tak, by nikt nie ucierpiał. Gdy Wiktoria trafiła do szpitala z podejrzeniem odklejenia się łożyska, Żaneta natychmiast wprowadziła się do mnie. Na tydzień zamieniliśmy się w prawdziwe małżeństwo z wspólnym gotowaniem obiadów i kłótniami o banały. Pieprzyłem ją na naszym małżeńskim łożu, a twarz Wiktorii przyglądała się nam ze zdjęć nie tracąc uśmiechu. Żaneta zaczęła przebierać się w ubrania

mojej żony. Powiedziała, że jej nienawidzi. Że chce być nią. Zażądała, bym ją zostawił w dziewiątym miesiącu ciąży – urywa zdanie i przygląda się nam wzrokiem nauczyciela, który właśnie kazał zostawić na ławkach jedynie kartki i długopisy. – Teraz już wszyscy słuchają.

- Byłem głupi, ale nie okrutny – ciągnie dalej. – Więc się opamiętałem. Długa, mroźna zima dobiegała końca. Nasza córka urodziła się w pierwszy dzień wiosny. Odebrałem to jako znak. Nowy początek dla nas wszystkich. Ale każdy, kto choć raz próbował zerwać z nałogiem wie jak jesteśmy dobrzy w okłamywaniu samych siebie, że to już ostatni raz. Moje dni wypełniły się szybko pieluchami i zapachem mleka. Nosiłem na rękach to małe, bezbronne stworzenie i obiecywałem szeptem, że będę lepszy. Dla niej. Że wychowa się w domu pełnym miłości. Stawałem przed lustrem z zakrwawionymi oczyma o czwartej nad ranem, budzony krzykiem i mówiłem: patrz, masz wszystko. Dom, miłość, zdrowie, pieniądze, córkę, pracę, marzenia. A zachowujesz się jakbyś chciał zrobić wszystko żeby to wszystko stracić. Nie spierdol tego. Nie spierdol tego.

W jego głosie żywe emocje. Edwin sięga po whisky, cicho, by nie zwrócić na siebie żadnej uwagi. Sierpiński zauważa to, grobową powagę, którą przykrył tę scenę. Ale już nie jest w stanie zdobyć się na uśmiech. Skinieniem daje znać, by jemu też polał. Edwin podchodzi, robi swoje i znika szybko ze sceny trzymając głowę nisko, jak chłopiec do podawania piłek mknący wzdłuż siatki po nieudanym serwisie.

- Mniej więcej w okolicach czterdziestego roku życia głowie każdego mężczyzny rozpoczyna się głośne odliczanie. Nie sposób go nie usłyszeć. Tik-tak, patrz, twoje ciało rozpada się coraz szybciej. Siwe włosy, wory pod oczami. Nic, tak jak dziecko nie przyspiesza procesu starzenia. Tik-tak, dni chwały minęły. Oglądasz stare zdjęcia i widzisz siebie na szczycie świata, wśród przyjaciół, z których połowa nie żyje, a od drugiej połowy nie odebrałbyś telefonu, choć i tak nie ma ryzyka, że zadzwonią, bo już od dawna nie wiedzą kim jesteś. I ty sam też już nie wiesz kim jesteś. Nie poznajesz siebie. Byłeś pięknym zwierzęciem, ale dałeś sobie obciąć pazury i się udomowić. Nie jesteś

lwem, jesteś kundlem, siedzisz w cieple i czekasz na miskę w którą ktoś przeleje dla ciebie odrobinę uczuć. A tych coraz mniej, bo zmęczenie, praca, korki, pieluchy. Te wszystkie pierdoły to nie jest życie – mówisz sobie. Urodziłeś się po to żeby zdobywać. Tik-tak. Nagle zaczynasz oglądać się na ulicy za dwadzieścia lat młodszymi od siebie kobietami i kupujesz sportowe auto, nie żeby się pokazać, ale żeby poczuć cokolwiek. Wciskasz gaz i jeździsz ryczącym, twardym jak sam skurwysyn plastikowym bolidem po zalanych deszczem ulicach Warszawy realizując swoje chłopięce marzenia trzydzieści lat po czasie. Zamieniasz się w stereotyp, z którego jeszcze nie dawno śmiałeś się do rozpuku, ale teraz wszystko jest tak bardzo prawdziwe, bo twoje. Nikt już nie zwraca na ciebie uwagi, ty stary głupcze. W domu jesteś podajnikiem i otwieraczem. W życiu nieudacznikiem. I nagle, zupełnym przypadkiem spotykasz kobietę, która jakimś cudem nie ma wyjebane. O, boże, ona chce słuchać tego, co ja mówię. Zaczynasz z nią rozmawiać i uświadamiasz sobie, że od dekady nie przeprowadziłeś prawdziwej z rozmowy. Słowa, które wydobywały się z twoich ust były jedynie potwierdzeniami i poleceniami. Skończył się papier toaletowy. Rozwiesisz pranie? Nikt od stu lat nie zapytał cię jak się czujesz. Aż tu nagle odnajdujesz swoją fontannę młodości. Perfekcyjny narkotyk. To jest wehikuł czasu, który cofa zegar do miejsca, w którym chciałbyś na zawsze pozostać. Nie słyszysz już odliczania, tylko jej głos. Nikt nie jest w stanie z czegoś takiego zrezygnować – rzuca obracając szklankę w palcach. Jeszcze nie. Jeszcze chwila.

- Oczywiście wróciłem do niej. Wiktoria niebawem dowiedziała się o wszystkim. Kobiety zawsze widzą takie rzeczy, niektóre tylko wolą milczeć ze strachu. Ona krzyczała. Powiedziała, że zabije kurwę, a mnie zrujnuję. Że już nigdy nie zobaczę córki. Chciała zakończyć moją karierę. Każdy miał się dowiedzieć o tym, co zrobiłem. Ostatecznie nie dowiedział się nikt – dodaje po chwili.

- Odbudowywanie związku po zdradzie przypomina sklejanie potłuczonych garów. Niektórych elementów brakuje i zawsze już będzie widać pęknięcia. Jestem bardzo dobry w obiecywaniu, więc

udało mi się wybłagać moją ostatnią szansę. Kilka miesięcy później zaczęliśmy normalnie rozmawiać. Spać w jednym łóżku. Poszliśmy do kina. W czerwcu ojciec Wiktorii zaprosił nas na swoje urodziny. Zawsze lubiłem człowieka, był życiowy i miał w sobie coś bardzo smutnego. Mówił, że każdą książkę zawsze czyta dwa razy, bo autor też zawsze pisze ją dwa razy. Raz dla emocji. Raz dla konstrukcji. Uwielbiał prostotę Hemingwaya, też miał owłosioną klatę, wiecznie palił cygara i jeździł nad morze tak często, jak tylko mógł. Od tamtego wieczora nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Ale wtedy rozmawialiśmy dużo. Wiktoria karmiła, więc byłem trzeźwy jak świnia przez cały wieczór. Nic nie było w stanie złagodzić uderzenia, gdy Żaneta zadzwoniła do mnie z wiadomością, że jest w ciąży.

Sierpiński podnosi szklankę i przygląda się rudej cieczy. Za oknami leje. Za rozkołysanym lasem morze rzuca falami o brzeg. W domu jest spokojnie jak w oku cyklonu. On nie czeka na nasze westchnienia. Odkłada szklankę i rusza dalej we wspomnienia rozpruwając ostatnie szwy, wyjmując z siebie wszystko, co dawno temu tam schował żeby zgniło i sczerniało. Jeszcze chwila i będzie mógł wreszcie oddychać. A my będziemy jego niemymi świadkami. I nawet jeśli jesteśmy skałą dla fali jego uczuć, to nie ma żadnego znaczenia, bo wreszcie będzie mógł wszystkie je rozbić wrócić w ciemność, płynąć w drugą stronę.

- Przed samym wyjazdem pokłóciliśmy się. Nie pamiętam już nawet z jakiego powodu. Być może powiedziałem coś niewłaściwego w obecności jej chorej na wszystko matki lub nie zapiąłem małej w foteliku, tak jak prosiła. Wiktoria miała krótki lont. Usprawiedliwiona moim skurwysyństwem wybuchała przy każdej okazji, przestała dbać o pozory. Później jechaliśmy w ciszy przez wiejskie drogi. A ja znów czułem się jak we śnie. Gdzieś tam, całkiem niedaleko rosło inne życie. Też moje. Poczułem, że konsekwencje dopadły mnie wreszcie i nie jestem w stanie od nich uciec. W światłach auta widziałem dwie drogi. Jak wybrać właściwą, jeśli wybór jest niemożliwy? Wiedziałem, że świat, w którym wszyscy będziemy szczęśliwi nie istnieje. Więc zdałem się na los. Rzuciłem kośćmi żeby sprawdzić co wypadnie. Droga była prosta. Wzdłuż poboczy ciągnęły się rzędy drzew.

Wystarczyło tylko lekko skręcić kierownicą – zawiesza głos. – W ostatniej chwili okazało się, że nie mogę być bezstronny. Że już tak naprawdę wybrałem. Wcisnąłem przycisk rozpinając jej pasy. Pierwsze drzewo złamało się przewracając auto na dach. Obróciliśmy się kilka razy i uderzyliśmy w gruby pień. Gdy się obudziłem, fotel Wiktorii był pusty. Leżała w polu dziesięć metrów dalej. Zabiłem moją żonę. I nie spotkała mnie za to żadna kara.

Podnosi szklankę i połyka whisky, tak jak ludzie połykają siebie nawzajem w zaciszu domów. Bez grymasu, bez emocji. Wszystkie znicze już dawno zgasły, ślady na drodze rozmył deszcz. Ale on znów tam jest. Przez chwilę przygląda się jak szkło błyszczy w świetle księżyca. Z auta wyciąga się mężczyzna. Upada na ziemię, wstaje. Znów upada. Czołga się przez zrytą ziemię w kierunku stygnącego ciała zawiniętego w podarte szmaty. Kładzie się obok, odpala papierosa i patrzy w gwiazdy absolutnie spokojny, mimo, że noc rozdziera płacz. Myślami jest już w drugim życiu.

- Co z dzieckiem? – pyta Blanka odzywając się po raz pierwszy odkąd tu jesteśmy.

- Przeżyło. Ale nie wiem gdzie jest, ani kim jest – odpowiada. – Musicie zrozumieć, że jeżeli jesteście obiecującym politykiem, w którym wiele osób pokłada swoje nadzieje, zawsze otrzymacie odpowiednią pomoc. Przyznałem się do wszystkiego od razu. Powiedziałem, że zabiłem Wiktorię, że specjalnie spowodowałem wypadek. Ale oni nie pozwolili mi utonąć. Następnego dnia zmieniłem zeznania i wypisano nas ze szpitala. Żaneta nie chciała słyszeć o kolejnym dziecku, była zbyt przerażona własną ciąży. Rodzice Wiktorii nie nadawali się na rodzinę zastępczą, ledwie byli w stanie sami zająć się sobą. Pociągnąłem za kilka sznurków i znalazłem dla niej odpowiedni ośrodek. Obiecano mi, że będzie miała dobre życie. Że dorośnie u boku kogoś mniej zajętego pracą. Poza dwójką policjantów, nikogo nie było na miejscu. Zapłacono im za milczenie. Dostałem czystą kartę. Mogłem zacząć od nowa.

Za moimi plecami szura krzesło. Daniel otwiera drzwi i wychodzi.

Słyszę oddalające się kroki i skrzypienie szarpanej poręczy. Sierpiński wsłuchuje się w dźwięki dopóki nie utoną w szumie. Nie komentuje tego w żaden sposób. Obraca pustą szklankę w palcach, po zmęczonej twarzy przesuwają się odpryski światła.

- Na końcu wszyscy przegrywamy. W życiu chodzi o to żeby godnie przegrać – mówi ledwie słyszalnym głosem. – Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem. Nie ma dnia żebym nie myślał to tych kilku chwilach w aucie. Wtedy nie wiedziałem, że zabijam nas wszystkich. Nie potrafiłem już później się zakochać. Czułem się jakby ktoś wyciął ze mnie środek i wypchał papierem. Żaneta to widziała, ale i tak spróbowaliśmy. Jak było już bardzo źle wpadliśmy na pomysł, że drugie dziecko pomoże nam się ponownie zbliżyć. My, para egoistów, próbująca uszczęśliwić się na siłę jeszcze większą ilością obowiązków – parska śmiechem. – Jedyne, do czego zdołałem się przyłożyć, to praca. Tu byłem w ciągłym ruchu, mogłem na chwilę zapomnieć o wszystkim. Wreszcie przestałem w ogóle wracać do domu. Nie daliśmy sobie nawet satysfakcji rozstania się po porządnej kłótni. Wszystko rozpłynęło się we mgle – wyrzuca z siebie pojedyncze myśli. Pauzy pomiędzy zdaniami stają się coraz dłuższe. Nad naszymi głowami wybrzmiewają dźwięki torturowanego fortepianu. Sierpiński przeciera oczy budząc się ze zbyt długiego snu. W jego spojrzeniu nie ma już śladu emocji, tylko przeszywający chłód. Daje sobie jeszcze chwilę na przegrupowanie. Patrzy na Blankę, której łzy podpłynęły do oczu, na coraz bardziej pijanego Edwina, obojętną Null, na Gretę, która to wszystko zapisała w głowie i zrobi z tego powieść, pozmienia nieznacznie daty i nazwiska, albo nie zmieni nic, tylko wetrze te gorzkie słowa i brudne obrazy w białe kartki, usmaruje je błotem i krwią, opowie to tak, jak nam zostało opowiedziane. Na końcu spogląda na mnie, zaciska usta i kłania się nisko.

- Wystąpił przed państwem Kazimierz Sierpiński, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej wybrany w demokratycznych wyborach przez swój naród do pełnienia funkcji najwyższego przedstawiciela polskich władz. Urząd ten zamierzam piastować godnie, tak, by nie przynosić mu hańby swoim uczynkiem, mową i zaniedbaniem. Moja

wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, ale święć się królestwo polskie teraz i zawsze i na wieki wieków zamęt. Zapisałaś wszystko? – pyta Grety. – To dziękuję za uwagę, możecie się rozejść. Gościłbym was dłużej, ale zmęczone ciało zasłużyło na odrobinę odpoczynku. Przekażcie Danielowi, że życzę mu samych sukcesów. I żeby było jasne, nigdy się nie spotkaliśmy w tym gronie. Żadne z wydarzeń, w którym wydaje wam się że braliście udział nie miało miejsca. Nie muszę wam chyba mówić, jak to działa.

Ciężka torba ląduje w progu. Daniel podchodzi powoli do Sierpińskiego, spogląda na niego z góry i wysypuje z dłoni garść kluczy. Niektóre wpadają prosto do pustej szklanki, inne odbijają się od stołu i lądują na podłodze. Jego nonszalancja wywołuje jedynie ironiczny uśmiech. Słów nie potrzeba, zbyt wiele zostało dziś wypowiedzianych. Mija stół, staje przodem do okna wpatrując się przez chwilę w swoje własne odbicie, po drugiej stronie szkła przepływa świat, szumi, faluje, piętrzy się i opada. Ani jedna kropla nocnej furii nie dosięga ciepłego wnętrza, w którym na moment zatrzymał się czas.

- Będzie mi brakowało morza – mówi odwraca się i kładzie Sierpińskiemu dłoń na ramieniu, wyglądając przez chwilę jakby się żegnał z przyjacielem. On podnosi głowę i zerka na niego coraz szybciej tracąc cierpliwość niepotrzebną sytuacją.

- No już. Wystarczy – mówi, wybałusza oczy i obnaża zęby w sekundę tracąc całą powagę zamieniając się w dziecko, które próbuje odstraszyć groźną miną tego niedobrego, niedobrego Daniela, który przyszedł tu i zacisnął mu fortepianową strunę na szyi. Sierpiński wyrzuca dłonie do góry, palce chwytają powietrze. Vermont ściąga go z krzesła i sadza na podłodze, przed sobą. Wykrzywiona twarz podchodzi purpurą. Naprężone żyły porastają skronie jak pnącza. Struna wgryza się w szyję głębiej, otwiera skórę dookoła opuszczając czerwoną kotarę krwi. Upada krzesło. Rozlega się pisk. Pęka szkło. Ale żaden z dźwięków nie jest głośniejszy niż charczenie i bulgotanie wydobywające się z rozcinanej tchawicy. Sierpiński opuszcza dłonie, próbuje wepchnąć palce pod strunę, ale ona już dawno mieszka w

nim, zawęża obwód. Drapie bezskutecznie skórę odchodzącą z niego płatem. Jego oczy są coraz większe, wypełniają się krwią, jakby jego wnętrzności chciały wykipieć, gardło zalewa posmak metalu, różowa piana wycieka z ust krzyczących ciszą. Maska bólu deformuje znajome kształty w obrzydliwą groteskę. Nogi uderzają obcasami w parkiet coraz słabiej, dłonie zsuwają się bezsilnie po zakrwawionym torsie, jedno oko wciąż mruga szybko. Kolejna awaria wywołana zwarciem w uszkodzonym obwodzie. Null zrywa się z krzesła i rusza w jego kierunku, nie by go ratować, tylko zdążyć nim zajdzie słońce. Daniel zacieśnia uścisk, z porżniętych palców zwisają gęste krople. Sierpiński podnosi głowę i spogląda na dziewczynę. Ostatnie, co zobaczy to jej twarz przyglądającą mu się z uwagą. Nieme usta otworzą się, język stuknie dwa razy w zęby. Usłyszy to, co chce mu powiedzieć nim zapadnie się w ciemność.

Ciało wali o podłogę. Daniel ogląda swoje pocięte dłonie w świetle, drżą po raz pierwszy odkąd pamięta. Zaciska je w pięści i podnosi wzrok. Wszystko rusza z miejsca. Otwarte usta wypełniają się głosami.

- O, boże.

- O, kurwa.

Blanka oddycha ciężko, opiera się o stół starając się ze wszystkich sił nie zwymiotować. Edwin przechadza się w letargu wzdłuż ściany spoglądając raz po raz na trupa, sprawdzając czy jeszcze wstanie. Sierpiński leży z nosem w kałuży krwi, wpatrzony we własne odbicie i nie podniosą go już żadni bogowie ani kurwy.

Null obejmuje Daniela, wchodzi pomiędzy nas, zasłania go broniąc przed tym, co może nastąpić. On wsuwa palce w kieszeń marynarki. Powoli wyciąga stamtąd papierosa. Druga dłoń odnajduje zapalniczkę w spodniach. Kciuk ślizga się po krzemieniu. Pstryka raz. Drugi. Trzeci. Czwarty. Piąty. Szósty. Siódmy. Ósmy. Wciąga ogień przez liście głęboko w siebie i trzyma tam długo, aż cały się wchłonie w miękkie, różowe wnętrze. Gdy wypuszcza powietrze, dym jest praktycznie niezauważalny, jego ciało odzyskuje równowagę.

- Ale. Tu. Się nie pali – mówi Edwin, w pauzach pomiędzy jego słowami mieszczą się całe opowieści, alternatywne historie, z których każda kończy się w dowolny inny sposób niż ten koszmar.

Daniel kiwa głową i zaciąga się ponownie, bibuła między jego palcami jest coraz bardziej nasiąknięta krwią. Słychać tylko deszcz cicho stukający w parapet i zwijające się liście gdy pociąga kolejne łyki gorzkiego spokoju. Pet spada w krew z sykiem. Obejmuje poranioną dłonią Null, ostrożnie, by jej nie ubrudzić i całuje w głowę. Zaciąga się zapachem jej włosów.

- Możecie iść – mówi. – Zgłoszę to jak będziecie daleko.

Dziewczyna uwalnia się z uścisku i patrzy na niego przerażona. Wymachuje dłonią, chwyta go za rękaw i szarpie do wyjścia, bezskutecznie. On tu zostanie. Gdy przyjdzie pora wyjdzie przez główne drzwi z petem w ustach i rękami nad głową prosto w sine światło poranka i policyjną dyskotekę. Rzucą nim o ziemię. Zagrają zabezpieczenia na broniach i szczekną kajdanki. Ciężkie buciory naniosą błota do środka gdy pobiegną szukać ciała.

- Daj spokój. Tak musi być.

Uderza go dłonią, bardziej wściekle i patrzy jeszcze raz na torby leżące w wejściu a później pod nogi. W stygnącej kałuży przegląda się coraz więcej głów. Ciekawskie spojrzenia układają się w krąg. Nie ma ucieczki od faktu, że Kazimierz Sierpiński jest martwy. A im dłużej czekamy, tym bardziej wszyscy stajemy się współwinni jego śmierci. Jeszcze chwila i krew podpłynie do czubków naszych butów. Ubrudzimy się nią na zawsze i każdy dowie się kim jesteśmy i co zrobiliśmy.

- Spalmy dom – odzywa się wreszcie Blanka. – Wszędzie jest pełno naszych odcisków palców.

Edwin przygląda się jej, a później pustej szklance, którą od kilku minut tuli w dłoniach. Myśli o ogniu, który zaciera wszystkie ślady i przez chwilę wydaje mu się, że znów widzi światło. Prawnicza rutyna wespół z promilami prowadzą go z powrotem długim tunelem w

kierunku zimnej rzeczywistości.

- Tak, to może się udać. Nie mamy innego wyjścia – racjonalizuje i natychmiast neguje wszystko, co powiedział. – Ale co z ciałem? Przecież sekcja wykaże poderżnięte gardło?

Pięści Null rozkwitają w eksplozję pochłaniającą posiadłość, rozrywającą ciało na strzępy. Dyskusja nagle staje się merytoryczna. Dywagujemy na temat zamachu i motywów opozycji, tak jak milion razy wcześniej podczas kampanii, na polecenie trupa równie upartego, jak za życia. Greta staje tuż obok i chwyta mnie za rękę. Czuję jej palce wsuwające się pomiędzy moje, zimny, spocony dotyk. W całym tym chaosie znajduje sobie miejsce, wycina w nim dziurę i wyścieła ją swoim szaleństwem. Ale czy coś może nas jeszcze zdziwić? Może gdyby usiadła okrakiem na stole i zaczęła podciągać suknię, wabiąc mnie spojrzeniem. Może gdyby odgryzła sama sobie głowę, wywołałoby to jakąkolwiek reakcję. Ale teraz? Równie dobrze możemy stać tam trzymając się za ręce, omawiając najlepsze metody utylizacji zwłok.

- To jest koniec. To się nie uda – oznajmia Edwin szarpiąc za resztki włosów wystających z pomarszczonej głowy. Postarzał się w dziesięć minut o dziesięć lat, teraz sam wygląda jak coś, co wyczołgało się z grobu. Wydeptuje chwiejnym krokiem wciąż tę samą ścieżkę wzdłuż ściany opowiadając o zrujnowanych marzeniach, żegnając się z argentyńskimi plażami i odzyskaną miłością. Wylewa wszystko, biczuje się, sam odczytuje sobie wyrok.

- Jest jeszcze jedna możliwość – przypominam. – Sierpiński wciąż może zostać prezydentem. Nikt nie musi się dowiedzieć, co tu się stało.

- Jak? – pyta gotów złapać się każdej szansy.

- Mamy jego kopię.

Blanka studiuje nasze twarze, szybko orientując się, że to musi być kolejny obłąkany projekt, w który nikt jej nie wtajemniczył. Ile jeszcze trupów wypadnie z tej szafy, nim ten prawdziwy wystygnie? Nad

głowami wybrzmiewa metaliczne uderzenie, niesie się echem przez ciche korytarze, rezonuje w pustym wnętrzu, jakby cały dom stał zegarem. Jeśli będziemy mieli wystarczająco dużo szczęścia być może uda nam się dosięgnąć mechanizmu, chwycić za zębatki i sprężyny i zawrócić czas do miejsca, gdy mieliśmy jakikolwiek wybór.

- Głosujmy. Kto jest za tym żeby Kazimierz Sierpiński został prezydentem?

Ręce unoszą się do góry. Czerwone, trzęsące się, spocone i zimne ręce.

***

Zakopaliśmy go w ogrodzie, tam, gdzie miał powstać kort tenisowy albo plac zabaw dla dzieci, które nie chciały go znać. Kopali we dwóch w ciemności, zderzając się łopatami, deszcz lał im się na głowy i przylepiał koszule do pleców, sprawiając, że stawały się przezroczyste. Pod materiałem pracowały mięśnie. Ruch, rzut, oddech. W rytmie. Wykopanie dziury, w której zmieści się człowiek nie jest prostym zadaniem. Ziemia osuwała im się wypiętrzając dół, niwecząc kolejny kwadrans pracy. Wtedy klęli, wbijali szpadle w trawę, rozlewali whisky, doprawiali je deszczem i próbowali znów. Na końcu spomiędzy hałd świeżo obróconej ziemi widać było już tylko czubki głów parujące z gorąca.

Złapali go za ręce i nogi, upuścili na dywan i na tym dywanie wyfrunął do ogrodu. Zawinięte ciało wpadło głową w dół ustawiając się w pozycji porodowej, jakby dół był ciemną pizdą przez którą miał zostać wypchnięty w zaświaty.

- Czy może ktoś chce coś powiedzieć? – zapytał Edwin.

Daniel splunął. Blanka kaszlnęła. Ponownie chwycili za łopaty. Zasypywanie ciała trwało zdecydowanie krócej, Sierpiński zapadał się w ziemi (na końcu widać było tylko podeszwę drogiego buta rozmiar 44, lekko ściętą na krawędzi pięty, później już nic). W pokoju z kominkiem podłoga znów błyszczała jak szkło. Powietrze pachniało octem, solą i dymem.

Edwin zmienił koszulę, obmył twarz zimną wodą i po długim, milczącym starciu z lustrem zawiózł się do Gdańska. Z poddasza dobiegały nieludzkie dźwięki. Null wrzucała dyski do niszczarki, prosto w szczęki wystarczająco ostre, by zamienić najtwardszą prawdę w fikcję. Daniel karmił ogień kolejnymi wydrukami. Kartki zwijały się i czerniały. Wszystkie słowa frunęły prosto w komin, języki dymu unosiły się wysoko i rozpływały w mokrym powietrzu nad lasem.

Włamałyśmy się z Blanką do pokoju Sierpińskiego. Wszystkie jego szuflady skrywały nudne życie człowieka, który mówi dokładnie to, co chcesz usłyszeć. Mówiły nam: patrz, jaki mam porządek, zawsze odkładam wszystko na swoje miejsce, jakbym wiedział, że lada chwila mogę zniknąć (nikt nie powinien zostawiać po sobie bałaganu, inaczej jak będziecie mogli o nim zapomnieć?). Włamałyśmy się do gabinetu, gdzie masywne dębowe biurko wyznaczało wyraźną granicę pomiędzy strefami wpływów. Za nim fotel porzucony w półobrocie czekał na dalszą część posiedzenia. Powyżej, jak brudne myśli unosiły się wiedźmy zamknięte w tańcu i ekstazie. Blanka wyciągała szuflady i obracała je do góry nogami, zdjęcia, dokumenty, wizytówki sypały się jak grube białe płaty na podłogę, a później wszystko do wora, wór w ogień, a popioły do ziemi. Laptop poprosił o hasło. Wpisała „weronika", wpisała „zanetazieba" wpisała „blankatosuka" po czym zawołała Null, która zeskanowała swój odcisk palca, bo hasło już dawno było złamane. Wyczyściła kalendarz i wspólną korespondencję, wyszukała swoje imię i wyświetliła foldery. Wciąż trzymał jej nagie zdjęcia. Kilka błędów z przeszłości popełnionych z bliska telefonem w łazience, mokra skóra i różowe sutki wystające zza dłoni, którą się objęła podnosząc biust ponad wciągnięty z całej siły brzuch (prawie się roześmiała zanim wysłała wszystko w cyfrową próżnię). Zamknęła laptopa z hukiem, wyprostowała się w fotelu i zarzuciła nogi na biurko. Spojrzała w górę, gdzie trwał sabat, a później prosto na mnie oczyma, które pragnęły ciepła. Och, gdyby tylko starczyło jej odwagi, by poderwać się do lotu.

Daniel usypał stos ze wszystkiego, co mu przyniosłyśmy, oblał go paliwem do kosiarki i podpalił. Siedzieliśmy wszyscy na tarasie pijąc

białe wino i patrząc jak ogień tańczy po wspomnieniach. Przed domem zaparkowało auto. Silnik zgasł i znów słychać było krzyk ptaków i morze. W szarości ogrodu pojawiły się dwie postaci. Podeszły bliżej, wtedy ujrzałam go po raz pierwszy, tę kopię pozbawioną oryginału, której zmarszczki ułożyły się w znajomy uśmiech. Przedłużyliśmy umowę na czas nieokreślony – poinformował nas Edwin.

- Chętnie zabawiłbym dłużej, ale przede mną pracowity czas. Życzcie mi powodzenia w niedzielę – powiedział i poszedł na górę, gdzie czekało na niego zaścielone łóżko i szklanka zimnej wody. Założył piżamę, umył zęby i wsunął się w pościel, bo to wszystko należało teraz do niego.

Chmury powoli nasiąkały światłem. Z ciemności w siną szarość przeświturającą przez korony drzew. Przestało padać, uspokoił się wiatr. Pojedyncze krople spadały z rynien na parapety, z parapetów prosto w srebrne kałuże. Null zeszła ze schodów niosąc ciężki plecak na ramieniu. Daniel ruszył za nią dźwigając torby. W oddali ich sylwetki zlały się w jedną ciemną plamę, która zniknęła pomiędzy drzewami. Edwin czekał na włączonym silniku aż Blanka dopali papierosa. Usłyszałam za sobą kolejne kroki dochodzące z wnętrza domu.

- Dokąd teraz? – zapytałam go.

- Gdzieś, gdzie mnie nigdy nie znajdziesz – odparł nie zatrzymując się.

- Un jour tu reviendras – zawołałam za nim. Zwolnił, by odpowiedzieć, ale w końcu przełknął słowa i zabrał je ze sobą.

Patrzyłam jak odchodzi nie czując się zwycięzcą ani pokonanym. Mój wilk. Tylko przy nim mogłam nieustannie trwać w zakochaniu trzymając go zawsze w ślepej plamce mojego oka. Nasz czas był nieskończony, nie musiałam się spieszyć. Tropy, które zostawiał były dla mnie zawsze wyraźne. Wystarczyło podążyć śladem krwi i spalonych marzeń, iść środkiem wydartego w ziemi rowu, by na samym końcu znaleźć jego, bo on sam nie był w stanie uciec od siebie

nawet na krok. Pewnego dnia, na długo zanim słońce spuchnie i pożre ziemię, człowiek zje swoje gniazdo i zostawi za sobą brudnoniebieską kulę frunącą przez zimny wszechświat. A nasza miłość będzie trwać dalej w innym miejscu, bo tylko my potrafimy kochać i rujnować się do upadłego i nie damy sobie nic przetłumaczyć.

Zdjęłam buty, przeszłam przez ogród na boso i ruszyłam tylną furtką przez las po mokrych igłach w kierunku morza. Światło rozcięło i podniosło chmury na wschodzie, czerwone oko zajrzało w ciemność. Wiatr wsunął się rękawem pod sukienkę i spłynął po nagim ciele zimną falą. Rozpuściłam włosy i przeszłam kilka kroków z zamkniętymi oczyma. Gdy ponownie je otworzyłam byłam już na plaży. Stalowe fale uderzały o brzeg. Na horyzoncie nie widać było ani jednego statku. Nie było tu nic poza niebem, wodą i ziemią, bo na świecie nie ma nic więcej. Cała reszta to hałas.